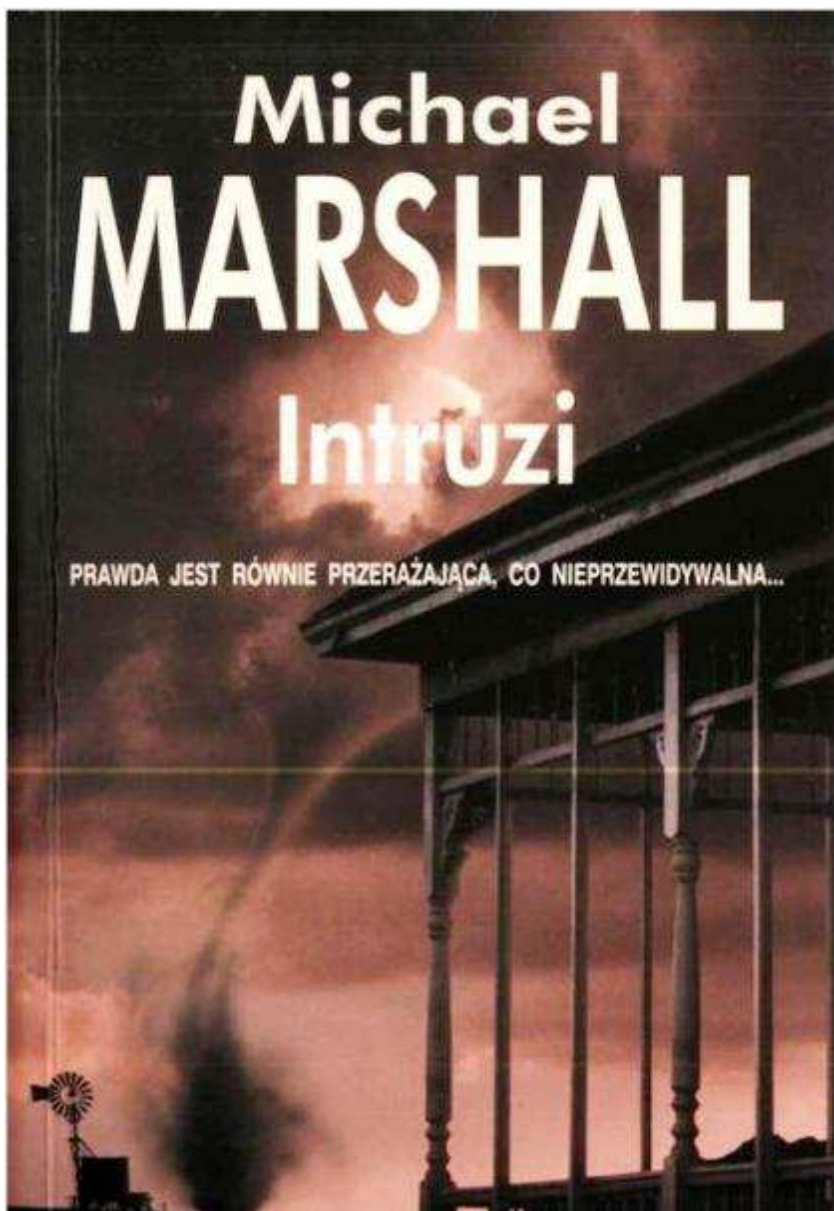
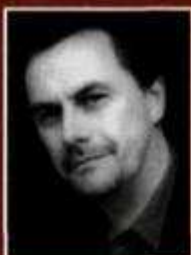


# Michael MARSHALL

## Intruzi

PRAWDA JEST RÓWNIĘ PRZERAŻAJĄCA, CO NIEPRZEWDYWALNA...





## MICHAEL MARSHALL

Michael Marshall jest uważany za nowy wielki talent w gatunku literatury sensacyjnej. Porównuje się go do takich mistrzów jak Thomas Harris (*Milczenie owiec*), Dean Koontz i Robert Ludlum. Dużą popularność przyniosła mu trylogia *Niewidzialni* – trzymające w napięciu powieści o globalnym spisku z fabułą skonstruowaną według zasady „nic nie jest tym, czym się wydaje”. Stephen King, który jest fanem twórczości Marshalla, nazwał je „błyskotliwie napisanymi, piekielnie przerażającymi thrillerami”.

Jack Whalen odchodzi z pracy w policji i wraz z żoną Amy przeniósł się do miasteczka w górach, gdzie pracuje nad swoją powieścią. Podczas podróży służbowej Amy dosłownie zapada się pod ziemię, potem nieoczekiwanie odnajduje. Jej mętne wyjaśnienia tylko pogłębiają niepokój Jacka, że coś dziwnego wisi w powietrzu. W tym samym czasie dziewięćcioletnia dziewczynka po spotkaniu na plaży z nieznajomym ucieka z domu. Zachowuje się jak w transie, ma jedynie przebliski świadomości, jest agresywna; jej poczynaniami wydaje się kierować jakaś zewnętrzna siła. Rodzina Billa Andersona, fizyka pracującego na uczelni w Seattle, zostaje zamordowana przez męczyznę podającego się za agenta FBI. Poszukiwany przez policję Anderson zniknął. Co łączy te trzy wątki? Kim jest morderca, podążający tropem zaginionego dziecka? Wszystko, co się dzieje, spowija nastrój grozy i nadprzyrodzonej siły, za którą wydają się stać tajemniczy „oni”...

ISBN 978-83-7359-940-6



Michael  
MARSHALL

# Intruzi

Z angielskiego przełożył  
LECH Z. ŻOŁĘDZIOWSKI



Tytuł oryginału:

THE INTRUDERS

Copyright © Michael Marshall Smith 2007 All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2010

Polish translation copyright © Lech Z. Żotędziowski 2010

Redakcja:

Jacek Ring

Zdjęcie Michaela Marshalla:

Jerry Bauer

Zdjęcie na okładce:

Getty images/Flash Press Media

Projekt graficzny okładki i serii:

Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7359-940-6

*Dystrybucja*

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

t./f. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

*Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe*

[www.empik.com](http://www.empik.com)

[www.merlin.pl](http://www.merlin.pl)

[www.gandalf.com.pl](http://www.gandalf.com.pl)

[www.ksiazki.wp.pl](http://www.ksiazki.wp.pl)

[www.amazonka.pl](http://www.amazonka.pl)

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

2010. Wydanie I Druk: B.M. Abedik S.A., Poznań

*Nathanielowi*

*...udało się*

## Podziękowania

Bardzo dziękuję moim redaktorkom Jane Johnson i Carolyn Marino za sprawienie, że ta książka przybrała obecną formę, a także Sarah Hodgson, Lisie Gallagher, Lynn Grady i Amandzie Ridout; Jonny'emu Gellerowi i Ralphowi Vicinanzie za pomoc i światłe rady; Sarze Broecker i Jonowi Digby'emu za zgłębienie tematu i research; Arielowi za sieć; Stephenowi Jonesowi, Adamowi Simonowi, Davidowi Smithowi (oraz The Junction) za wsparcie oraz Andriei „Peppie” Passos za dużo więcej. Wyrazy miłości dla mojej lepszej połowy, Pauli, i małego Nate'a. Jesteście najlepsi!

*Skąd mamy mieć pewność, że nie jesteśmy intruzami?*

Jacques Lacan

*Les quatre concepts fondamentaux de la psychanalyse*

## Prolog

Dudnienie niosło się na pół ulicy i aż dziw, że sąsiedzi nie protestowali — lub nie robili tego częściej i bardziej zdecydowanie. Na ich miejscu na pewno by to zrobiła, zwłaszcza że muzyka była naprawdę okropna. Czuli, że powinna od razu po wejściu udać się na górę i wrzasnąć na Josha, żeby to ściszył. Podejrzewała, że obrzuciliby ją hardym spojrzeniem nastolatka, jakby nie bardzo wiedział, kim jest, kto dał jej prawo mieszać się do jego życia i co się, u diabła, stało, że zrobiła się taka nudna i stara. Ewentualnie jako w zasadzie dobre dziecko przewróciłby tylko oczami i ściszył o jedną kreskę, tyle że w ciągu pół godziny natężenie dźwięku stopniowo osiągnęłoby poziom nawet wyższy niż wcześniej.

Zwykle takie interwencje należały na Billa — chyba że siedział zamknięty w swoim warsztacie w piwnicy lub tak jak dziś nie było go w domu, ponieważ spotkał się z kolegami z wydziału. Nie miała o to do niego żalu, częściowo dlatego, że pozwolił mu to nagrać się w kręgle, a ona nie będzie musiała w tej idiotycznej rozrywce uczestniczyć, częściowo zaś dlatego, że tego typu wyjścia zdarzały mu się bardzo rzadko. Co parę tygodni szli tylko we dwójkę wieczorem do restauracji, ale ostatnio najczęściej jedli kolację w domu, po czym Bill wstawał od stołu i z wyrazem podekscytowania na twarzy i z kluczem



francuskim w dłoni ruszał do piwnicy. Czasem jego majsterkowaniu towarzyszyły dziwne dźwięki — niskie buczenie, które aż rezonowało w żołądku — ale na szczęście ostatnio to ustało. Facetowi dobrze robi, kiedy od czasu do czasu może wyskoczyć z domu i powalać się z kolegami, nawet jeśli są to Pete Chen i Gerry Johnson, dwaj najgorsi nudziarze, jakich spotkała w całym swoim życiu. Nie umiała sobie nawet wyobrazić, jak zrelaksowani grają w kręgle lub stoją przy barze z drinkiem w ręku, a właściwie robią cokolwiek, co nie ma bezpośredniego związku z UNIX-em lub kolbą lutowniczą. Dodatkową zaletą wyjść Billa było też to, że miała wtedy trochę czasu dla siebie. Należy się to każdej, nawet najbardziej kochającej żonie. Na dziś zaplanowała dwie godziny oglądania ulubionych programów w telewizji i ani razu nie przełączyła na żaden z kanałów publicystycznych. Robiąc cotygodniowe zakupy w delikatesach na Broadwayu, specjalnie z myślą o tym kupiła kilka smakowitych przekąsek.

Gina otworzyła drzwi i wkroczyła w strefę jeszcze gorszego hałasu, przez moment zastanowiła się, czyjej synowi przychodzi w ogóle do głowy, że jego solidna, bezbarwna mama też była kiedyś ostrą zawodniczką. Że zanim zakochała się w młodym wykładowcy fizyki Billu Andersonie i rozpoczęła z nim szczęśliwe życie w ciepłym domowym ognisku, włóczyła się po znacznie mniej szacownych przybytkach Seattle, Tacomy i okolic, słuchając głośnej muzyki, pijąc tanie piwo i budząc się rano z głową tak obolałą, jakby ktoś walił w nią obuchem. Że zapamiętała podrygiwała na koncertach Pearl Jam i Ideal Mausoleum, a nawet Nirvany w czasach, gdy były to jeszcze miejscowe, nikomu nieznanne zespoły, w których grali pełni zapału i ambicji chłopcy, a nie kościste żywe trupy. I że do dziś miała w pamięci pewien wieczór, kiedy podawana z rak do rąk płynęła nad głowami tłumu i nagle zwymiotowała. Rzucono ją wtedy na głowę, ale i tak w śmierdzącej moczem i trawą toalecie zaliczyła jakiegoś faceta, którego nie widziała nigdy przedtem ani nigdy potem.

To znaczy, chyba nie. Uśmiechnęła się do siebie w duchu. To tylko dowodzi, że młodzi nie zjedli wszystkich rozumów, prawda?

\* \* \*

Ale po godzinie miała już dosyć. Dudnienie nad głową dawało się wytrzymać, dopóki zerkała na ekran jednym okiem (przez chwilę muzyka nawet trochę przycichła, co mogło znaczyć, że zabrał się do lekcji, a z czego należało się cieszyć), ale wkrótce poziom dźwięku znów poszybował w górę, a ona właśnie zabierała się do obejrzenia powtórki odcinka serialu *Prezydencki poker*, którego wcześniej nie widziała. Aby orientować się w nagłych zwrotach akcji i nadążać za trajkocącymi jak karabin maszynowy aktorami, potrzebne były spokój i wolna od trosk głowa. A poza tym o wpół do dziesiątej przestało to być zabawne.

Zaczęła od wrzaśnięcia w stronę sufitu (pokój Josha mieścił się bezpośrednio nad salonem), ale nic nie wskazywało na to, żeby ją usłyszał. Westchnęła, odstawiła talerz z resztką przekąsek na stolik i zdjęła nogi z kanapy. Na schodach miała wrażenie, że musi pokonywać fizyczny opór ściany dźwięku. Podeszła do drzwi i załomotała.

Po chwili otworzyły się i stanął w nich chudy chłopak z niezwykle fryzurą na głowie. Przez ułamek sekundy Gina niemal go nie rozpoznała. Stojąca przed nią postać nie była już chłopcem i Gina uświadomiła sobie nagle, że wraz z Billem dzielą teraz dom nie z dzieckiem, a z młodym mężczyzną.

— Kochanie — zaczęła. — Nie chcę się wtrącać do twoich gustów, ale skoro już musisz słuchać tak głośno, może masz coś bardziej przypominającego muzykę.

— He?

— Ścisz to!

Uśmiechnął się kwaśno, cofnął w głąb pokoju i ściszył dźwięk przynajmniej o połowę, co na tyle ją ośmieliło, że weszła do środka. Zdała sobie sprawę, że od dawna nie była w tym pokoju razem z nim.

Lata temu spędzali tu z Billem całe godziny, siedząc na podłodze i z zachwytem wpatrując się w paruletniego brzdąca, który na chwiejnych nóżkach laził po pokoju i co chwila przynosił jakiś przedmiot z triumfalnym „Ma!”. Pamiętała też, jak później otulała go w łóżeczku i czytała bajkę albo dwie, albo trzy, i jak w pierwszych latach szkoły siadywał tu na łóżku i rozwiązywał zadania z arytmetyki.

Jakiś rok temu reguły się zmieniły i od tej chwili wszystkie wizyty w jego pokoju celem zmiany pościeli czy zabrania do prania sterty brudnych T-shirtów odbywały się już pod jego nieobecność. Zresztą miała w pamięci własne doświadczenia z okresu dorastania i chcąc uszanować prywatność swego dziecka, starała się jak najmniej tu zaglądać.

Wśród porozrzucanych ciuchów, pudełek od kompaktów i co najmniej jednego komputera w częściach dojrzała ślady świadczące, że odrabiał lekcje.

— Jak ci idzie?

Wzruszył ramionami. Wzruszanie ramionami należało do uniwersalnego języka młodzieży, co pamiętała z własnej młodości.

— Idzie.

— To dobrze. A czego ty właściwie słuchasz?

Josh zarumienił się, jakby matka spytała, co to za jedna ta Connie Lingus, o której wszyscy tyle mówią\*.

\* Connie Lingus — w amerykańskim żargonie szkolnym oznacza nauczycielkę. Męskim odpowiednikiem jest Phil Atio.

— Stu Rezni — mruknął obojętnie. — Grał...

— Wiem, grał na bębnach z Fallowem. Oglądałam ich w Astorii. Jeszcze zanim ją rozebrali. Był tak wykończony, że aż spadł ze stołka.

Z przyjemnością odnotowała, że brwi jej syna powędrowały w górę, ale starała się zachować kamienną twarz.

— Kochanie, czy dałoby się utrzymać głośność na mniej więcej ludzkim poziomie? W telewizji jest program, który chcę obejrzeć. Nie

mówiąc już o przechodniach, którym przed naszym domem cieknie krew z popękanych bębenków, a przecież wiesz, jak to fatalnie wpływa na wartość nieruchomości.

— Jasne — powiedział i tym razem autentycznie się uśmiechnął. — Przepraszam.

— Nic się nie stało — zapewniła go, myśląc jednocześnie z czułością, że jeszcze będą z niego ludzie. Bo tak naprawdę był miłym, dobrym chłopcem. Leniem, któremu jednak w końcu udawało się robić wszystko (no, prawie wszystko), czego od niego oczekiwała. Bez cienia zarozumiałstwa lubiła myśleć, że obok wielu cech odziedziczonych po ojcu trochę wziął też od niej. Chłopak już teraz spędzał mnóstwo czasu, samotnie przy czymś dłubiąc, i wyglądał na najszcześliwszego, gdy udało mu się rozłożyć coś na części i z powrotem złożyć. Bardzo się z tego cieszyła, ale miała też nadzieję, że niedługo dostrzeże u niego objawy pierwszego porannego kaca. Człowiek nie może żyć samymi algorytmami, nawet w tych zwariowanych czasach.

— No to nara — rzuciła.

Miała nadzieję, że nie zabrzmiało to zbyt sztucznie. Z dołu zabręczał dzwonek do drzwi.

\* \* \*

Zbiegając po schodach, usłyszała, że jeszcze trochę ściszył muzykę. Uśmiechnęła się z satysfakcją i zadowolona otworzyła drzwi.

Na dworze było zupełnie ciemno i tylko latarnia na rogu ulicy rzucała pomarańczową poświatę na opadłe liście na trawniku i chodniku. Trzymające się gałęzi drzew niedobitki szeleściły w ostrych podmuchach wiatru, a zerwane wirowały w powietrzu i ścieliły się na uliczkach ich spokojnej rezydencjalnej dzielnicy.

Parę metrów od drzwi ujrzała wysoka sylwetkę w długim ciemnym płaszczu.

— Tak? — rzuciła.

Zapaliła światło na ganku i przyjrzała się przybyszowi. Stał przed nią mężczyzna pod sześćdziesiątkę, z krótkimi ciemnymi włosami i ziemistą cerą. Jego ciemne, niemal czarne oczy były tak pozbawione głębi, jakby mu je domalowano do twarzy.

— Szukam Williama Andersona — powiedział.

— W tej chwili go nie ma. A pan kto?

— Agent Shepherd, FBI — rzekł mężczyzna i zaniósł się głębokim kaszlem. — Pozwoli pani, że wejdę?

Gina nie miała zamiaru pozwolić, on jednak, nie czekając, wszedł na ganek, wyminął ją i ruszył do środka.

— Zaraz, chwileczkę. — Zostawiła otwarte drzwi i podążyła za nim. — Chciałabym najpierw zobaczyć pańską odznakę.

Mężczyzna wyjął portfel i otworzył go, nawet na nią nie patrząc. Omiótł wzrokiem pokój i zatrzymał spojrzenie na suficie.

— O co chodzi? — Gina bez trudu dojrzała trzy duże litery na odznace, ale nie miała pojęcia, czego w ich domu szuka agent federalny.

— Muszę porozmawiać z pani mężem — odparł mężczyzna. Jego pozbawiony emocji ton jeszcze bardziej zwiększał absurdalność sytuacji.

Gina ujęła się pod boki. W końcu to jej dom.

— Mówiłam, że go nie ma.

Mężczyzna obrócił się ku niej, a jego pozbawione wyrazu oczy nagle rozbłysły.

— Pani mówiła, a ja usłyszałem. Chciałbym wiedzieć, gdzie jest. I chcę się rozejrzeć po domu.

— Akurat! Nie wiem, co pan sobie wyobraża, ale...

Jego ręka wykonała tak gwałtowny ruch, że Gina nawet go nie dostrzegła. Dotarło to do niej dopiero, gdy dłoń zacisnęła się na jej szyję jak imadło.

Tak ją tym zaskoczył, że gdy zaczął ją powoli ciągnąć ku sobie, nawet nie pisnęła. Potem jednak zaczęła krzyczeć, tyle że ucisk nie pozwalał jej wyartykułować ani słowa, toteż z jej ust wydobywał się tylko modulowany dźwięk.

— Gdzie on to ma? — Dotychczasowa obojętność nie znajomego przeszła niemal w znudzenie.

Gina nie miała pojęcia, o co pyta. Próbowwała się wyrwać, waląc go pięściami, kopiąc i szarpiąc głową tam i z powrotem. Wytrzymał niewiele ponad sekundę, potem zamachnął się drugą ręką i wymierzył jej cios w bok głowy. W uszach usłyszała metaliczny brzęk, jaki towarzyszy odpadającemu na jezdni kołpakowi, i nogi się pod nią ugięły. Podtrzymał ją, nie pozwalając upaść, i jednocześnie wykręcił jej szczękę z taką siłą, jakby chciał ją wyłamać.

— I tak to znajduję. — Słyszała jego głos, czując jednocześnie, jak coś wciska jej się w bok głowy. — Ale możesz zaoszczędzić mnie i sobie trochę czasu i fatygi. Gdzie on to ma? Gdzie jest jego pracownia?

— Ja... nie wiem...

— Mamo?

Gina i napastnik odwrócili się jednocześnie. Na schodach stał Josh. Na jego twarzy malował się grymas niedowierzania i chłopak nerwowo mrugał oczami.

— Puszczaj moją mamę!

Gina chciała mu powiedzieć, żeby wracał na górę, żeby uciekał, ale z jej ust wydobył się tylko rozpaczliwy jęk. Mężczyzna wsadził drugą rękę do kieszeni płaszcza i zaczął z niej coś wyciągać.

Josh zeskoczył z ostatnich stopni, ruszył w stronę napastnika.

— Puszczaj moją...

Gina zdążyła tylko pomyśleć, że jednak źle go oceniła. Jej syn nie był mężczyzną. Wyrósł i wyszczuplał, ale wciąż pozostawał dzieckiem. A potem padł strzał, który trafił go prosto w twarz.

Krzyknęła, a właściwie próbowała krzyknąć. Mężczyzna zaklął pod nosem i ciągnąc ją za sobą, wrócił do drzwi frontowych i zatrzasnął je nogą.

Potem pociągnął ją z powrotem do pokoju, gdzie na podłodze leżał jej syn szarpany konwulsjami. Miała wrażenie, jakby w głowie

rozjarzyło jej się olśniewające, pulsujące światło. W tym momencie mężczyzna wymierzył jej cios prosto w szczękę i na moment wszystko zgasło.

\* \* \*

Minęła może sekunda, może parę minut.

Poczuła, że przytomnieje, i stwierdziła, że siedzi na podłodze oparta plecami o kanapę, na której dziesięć minut temu na wół leżała z podwiniętymi nogami. Przewrócony talerz z przekąskami był w zasięgu ręki, szczękę miała tak obolałą, że nie mogła nią poruszyć. Czowała się tak, jakby ktoś jej wepchnął do uszu długie grube gwoździe.

Napastnik kucał obok Josha, którego prawa ręka wciąż konwulsyjnie drgała, rozmazując po podłodze płynącą z głowy krew.

Do nozdrzy Giny dotarła woń benzyny. Mężczyzna przestał polewać jej syna z metalowej puszki, opróżnioną rzucił na niego i wyprostował się.

A potem na nią spojrział.

— Twoja ostatnia szansa — powiedział. Czoło miał pokryte kroplami potu, choć w domu wcale nie było ciepło. W jednej ręce trzymał zapalniczkę, w drugiej pistolet. — Gdzie to jest?

Zapalił zapalniczkę, zbliżył do Josha i spojrział jej w oczy. Gina wiedziała jednak, że bez względu na to, o co ten bandzior pyta, ona i tak nie przeżyje.

# Część I

*Największym niebezpieczeństwem jest stracić samego siebie, ale może to ujść niepostrzeżenie. Żadna inna strata nie przychodzi tak niepostrzeżenie; każda inna strata, ręka, noga, pięć dukatów, żona – to co innego\*.*

Soren Kierkegaard, *Chomba na śmierć*

\* Cytat z wydania polskiego w przekładzie Jarosława Iwaszkiewicza, PWN, Warszawa 1969.



## Rozdział pierwszy

Znałem w liceum pewną dziewczynę. Miała na imię Donna i nawet to do niej nie pasowało, jakby od urodzenia żyła ze sfalszowaną etykietą. Nie była żadną Donną. W każdym razie nie taką prawdziwą. Dzięki niej zaczynało się dostrzegać ukryty rytm wszechświata, bo sama go nie czuła. Poruszała się trochę za szybko, a głową kręciła trochę za wolno. Należała do tych dziewczyn, które widuje się z daleka, gdy dźwigają stertę książek i gdy stoją w grupie koleżanek, na które człowiek w ogóle nie zwraca uwagi. Miała koleżanki, nieźle sobie radziła z nauką, nie była zupełną lewuską i miała nawet poukładane w głowie. Tyle że praktycznie się jej nie zauważało.

Jak w każdej szkole mieliśmy listę rankingową dziewczyn uszeregowanych pod względem urody, ale Donna w ogóle na niej nie figurowała. Miała bladą cerę, rysy drobne, regularne, twarz pozbawioną skaz, jeśli nie liczyć małej łukowatej blizny koło prawego oka — pamiątki po zderzeniu ze stołem w wieku niemowlęcym — oczy ciemnoszare i bardzo świetliste, i gdy ktoś w nie spojrzał, odnosił wrażenie, że w tych momentach wydaje się prawdziwa, co jednak skłaniało do zastanowienia, jaka jest, kiedy nikt na nią nie patrzy. Była może troszkę za chuda, ale poza tym zgrabna, tylko że jakoś się tego... nie dostrzegało. Zupełnie jakby nie wydzielala żadnych feromonów albo

jakby jej feromony funkcjonowały w innym wymiarze. Jakby próbowała się komunikować z odbiornikami przestarzałego typu lub takimi, jakich jeszcze nie wynaleziono.

Mimo to podobała mi się, choć właściwie nie bardzo wiedziałem dlaczego. Zdałem sobie z tego sprawę, kiedy zaczęła pokazywać się w towarzystwie Gary'ego Fishera, a ten należał do koleśki, którzy po szkolnych korytarzach poruszają się tak, jakby im cały czas towarzyszyły fanfary. W każdym, kto zetknął się z amerykańską szkołą, sytuacja taka musi budzić wątpliwości co do zasad egalitaryzmu w późniejszym życiu. Gary grał w futbol, i to bardzo dobrze, ale załapał się też do pierwszej piątki szkolnej reprezentacji w koszykówkę i odnosił sukcesy w tenisie. I oczywiście był przystojny, bo kiedy Bóg obdarza kogoś talentami sportowymi, zwykle dba też o atrakcyjne opakowanie. Fisher, w przeciwieństwie do młodych aktorów we współczesnych filmach młodzieżowych, nie przypominał nieludzko przystojnego adonisa o nieskazitelnej cerze. Był po prostu w porządku w czasach, gdy co rano wpatrywaliśmy się z przerażeniem w lustro, zastanawiając się, co się stało z naszymi twarzami i czy kiedyś będzie lepiej, czy może jeszcze gorzej.

W dodatku Fisher nie należał do dupków. Znaliśmy się trochę z boiska, gdzie rozwijałem swój skromny talent do rzucania w miarę daleko różnymi przedmiotami. Z giełdy wiadomości w szatni wiedziałem, że w wyższych szkolnych sferach nastąpiły pewne przetasowania i że dziewczyna Gary'ego, Nicole, zaczęła chodzić z jednym z jego przyjaciół, oraz że odbyło się to w drodze pokojowego porozumienia. Bez szczególnego daru obserwacji można było dostrzec, że wywołało to poruszenie wśród potencjalnych kandydatek na miejsce Nicole. Zdumienie budził natomiast fakt, że także Donna postanowiła wziąć udział w tym wyścigu. Zachowywała się tak, jakby wierzyła, że szkolny system kastowy jest czystym wymysłem i że możliwe jest wpasowanie kwadratowego kołka w okrągły otwór. Nie mogła oczywiście zjeść lunchu przy tym samym stoliku, ale z reguły siadała gdzieś w pobliżu, w bezpośrednim zasięgu wzroku Gary'ego.

Aranżowała też „przypadkowe” zderzenia na korytarzu, które kwitowała tylko nerwowym chichotem. Parę razy widziałem ją nawet w piątkowe popołudnia u Srogiego Boba — w miejscowym barze z hamburgerami i pizzą, gdzie uczniowie mieli zwyczaj zaczynać weekend. Podchodziła do stolika, przy którym siedział Fisher, i głośno rzucała jakąś uwagę o lekcjach lub pracy domowej, a potem odchodziła tym swoim za wolnym krokiem, jakby mając nadzieję, że ktoś ją przywoła z powrotem. Ale nikt nigdy tego nie zrobił. Sam Fisher chyba nie miał pojęcia, co jest grane, i najwyżej był tylko lekko zaskoczony. Parę tygodni później w jakiejś ceremonialnej sali ze złoceniami — albo, co bardziej prawdopodobne, na tylnym siedzeniu samochodu ze złoceniami — zawarto widać porozumienie, bo pewnego poranka ujrzeliśmy Gary'ego w towarzystwie Courtney Willis, blondynki pięknej jak modelka. I życie potoczyło się dalej.

Przynajmniej dla większości z nas.

Dwa dni później Donnę znaleziono w wannie w domu jej rodziców. Miała głębokie rany na nadgarstkach i jedno próbne nacięcie na przedramieniu. Zdaniem dorosłych, których opinie kilkakrotnie słyszałem, jej śmierć nie nastąpiła zbyt szybko, mimo że w ostatniej chwili podjęła desperacką próbę jej przyspieszenia, wbijając sobie nożyczki do paznokci głęboko w prawe oko — zupełnie jakby jej lukowata blizna koło oka stanowiła zły omen. Zostawiła też na podłodze odręczny list do Gary'ego Fishera, którego treść częściowo rozmyła woda przelewająca się z wanny. Wiele osób twierdziło, że na własne oczy widziało ten list lub jego fotokopię albo że zna jego treść z relacji innych. O ile wiem, nic z tego nie odpowiada prawdzie.

Wiadomości szybko się rozchodzą. Ludzie zachowywali pozory, niektórzy płakali, inni się modlili, śmiem jednak twierdzić, że nikt z nas zbyt nie przejął. W zasadzie nie byłem ani specjalnie zdziwiony, ani nadmiernie zasmucony. Zabrzmi to może okrutnie, ale właściwie nie widziałem w tym nic niezwykłego. Donna zawsze była dziwaczką.

Dziwna dziewczyna, głupia śmierć. Koniec sprawy.

Tak przynajmniej wydawało się większości z nas. Bo reakcja Gary'ego Fishera okazała się zupełnie odmienna i kompletnie zaskakująca. Ale wszystko było wtedy nowe i zaskakujące, a na dziejące się wokół nas sprawy patrzyliśmy z płaskiej perspektywy krótkiego życia, jakie mieliśmy za sobą. Każdy choć trochę imponujący zachowaniem od razu stawał się Clintem Eastwoodem. Już po roku jakaś nieco bardziej udana prywatka mogła przejść do historii, dając początek ksywkom, które do człowieka przylegały na resztę życia. A gdy ktoś decydował się pójść dalej i zrobić coś nietypowego, wszystkim zapadało to głęboko w pamięć.

W następny poniedziałek gruchnęła wieść, że Fisher odszedł z drużyny. Ze wszystkich drużyn. Wysłuchał w milczeniu wrzasku trenerów, odwrócił się i sobie poszedł. Może dziś nikt by się czymś takim specjalnie nie przejął, ale w latach osiemdziesiątych i w dziurze, w której się to działo, było to wydarzenie niezwykle: Złoty Chłopiec rezygnuje! Fishera zaczęto widywać na szkolnym dziedzińcu, gdy szedł z biblioteki do klasy, zupełnie jakby chciał naśladować Donnę. I zabrał się do pracy. Ostro. W ciągu kilku miesięcy poprawił swoją średnią ocen najpierw trochę, potem bardzo. Z ucznia trójkowego, którego część ocen i tak była podpierana wynikami sportowymi, stał się uczniem czwórkowym z wieloma piątkami. Niektórzy uważali, że rodzice opłacają mu korepetycje, ale ja w to nie wierzę. Myślę, że po prostu zmienił dyscyplinę i postanowił zostać kimś innym. W końcu doszło do tego, że nie pokazywał się nigdzie poza szkołą, a jego dawne towarzystwo przyglądało mu się bardzo nieufnie. Nikt nie chciał się do niego zbliżyć w obawie, że jego dziwactwo może się okazać zaraźliwe.

Raz jednak go spotkałem. Szykowałem się do naszych ostatnich szkolnych zawodów i po treningu zostałem trochę dłużej. Teoretycznie po to, żeby porzucić oszczepem, ale tak naprawdę lubiłem się pokręcić po boisku, kiedy nikogo poza mną na nim nie było. Spędziłem

na nim mnóstwo godzin i właśnie zaczynało do mnie docierać, że zbliżam się do końca tego rozdziału życia i że niektóre sprawy dzieją się po raz ostatni. Przemierzałem tam i z powrotem bieżnię, doskonaląc swój rozbieg, gdy na końcu boiska ujrzałem zbliżającą się postać. Po chwili rozpoznałem Gary'ego Fishera.

Szedł po bieżni i widać było, że idzie bez określonego celu. Przed wycofaniem się ze sportu był jednym z naszych najlepszych sprinterów i pomyślałem, że może przyszedł tu z tych samych powodów co ja. Stał kilka metrów ode mnie i przez chwilę przyglądał mi się w milczeniu.

- Jak ci idzie? — odezwał się w końcu.
- Nieźle. Ale i tak nie wygram.
- Dlaczego?

Wyjaśniłem, że chłopak z innej szkoły okazał się nie tylko dobrym oszczepnikiem, ale i zawziętym gościem, któremu strasznie zależy, więc praktycznie straciłem zainteresowanie. Nie powiedziałem tego dosłownie, ale taki był sens.

— Nigdy nic nie wiadomo — rzekł, wzruszając ramionami. — Może się okazać, że w piątek będziesz miał swój dzień. Powiedz sobie, że możesz wygrać, i wygraj.

Przez moment poczułem nawet, że właściwie mnie też zależy i że na ostatnich w życiu szkolnych zawodach może mi się udać. Fisher postął jeszcze chwilę, nie przestając wpatrywać się w bieżnię, jakby w uszach wciąż miał tupot nóg z minionych wyścigów.

- Ona była tymczasowa — odezwałem się nagle.

Przez chwilę nie zareagował, jakby mnie nie usłyszał. Potem powoli obrócił głowę i spojrzął na mnie.

- Co mówisz?

— Donna — wyjaśniłem. — Nigdy się tu... nie przyjęła. Jakby tu była tylko na chwilę. — Zmarszczył brwi, a ja kontynuowałem: — Zupełnie jakby wiedziała, że jej się nie uda, kumasz? Jakby przysłała na ten świat z przeświadczeniem, że ma nikłe szanse na szczęśliwe zakończenie. Dlatego postawiła wszystko na jedną kartę. Przegrała,

więc wstała i odeszła od stołu.

Niczego z tego wcześniej sobie nie obmyśliłem, ale gdy to powiedziałem, poczułem dumę. W moich słowach była głębia, przynajmniej tak to zabrzmiało, a to cholernie dużo jak na osiemnastolatka.

Fisher stał przez chwilę ze wzrokiem utkwionym w ziemię, potem lekko skinął głową.

— Dzięki — rzucił.

Też kiwnąłem głową, bo powiedziałem już wszystko, i z oszczędzeniem w rękę ruszyłem po rozbiegu. Może chciałem się popisać, zrobić wrażenie na dawnym Garym Fisherze sprzed ośmiu miesięcy, w każdym razie zrobiłem o wiele za szybki wymach, rozharatałem sobie stare skaleczenie na końcu środkowego palca i ostatnie szkolne zawody oglądałem z trybun.

Potem nastąpił koniec szkoły i jak wszyscy byłem zbyt zajęty, by przejmować się bliżej nieznanymi mi ludźmi. Egzamin i bale następowały po sobie błyskawicznie, a nasze dzieciństwo właśnie się dopalało. A potem trach! — i wrzucono nas w prawdziwe dorosłe życie, co przypominało przystąpienie do egzaminu, do którego człowiek w ogóle się nie przygotował. Właściwie do dziś miewam takie uczucie. Nie pamiętam, bym choć raz podczas tamtego lata słyszał o Fisherze, a zaraz po wakacjach wyjechałem do college'u. Później jeszcze kilka razy o nim myślałem, ale w końcu zapomniałem, tak jak o różnych sprawach, które przestały mieć dla mnie znaczenie.

Dlatego zupełnie nie byłem przygotowany na ponowne spotkanie z Garym. Po niemal dwudziestu latach stanął w drzwiach mojego domu z taką miną, jakbyśmy się rozstali wczoraj.

\* \* \*

Siedziałem przy biurku i próbowałem pracować, choć zapewne z analizy czasu wynikłoby, że moja praca polega głównie na gapieniu się w okno, tylko z rzadka przerywanym chwilami spoglądania w

monitor komputera. W domu panowała cisza i na dźwięk telefonu aż podskoczyłem w fotelu.

Zdziwiło mnie, że Amy dzwoni na stacjonarny, a nie na komórkę, ale sięgając po słuchawkę, nie czułem żadnego niepokoju. Telefoniczna rozmowa z żoną oznaczała chwilę wytchnienia od pracy. Później pójść do kuchni i zrobić sobie jeszcze jedną kawę, następnie wyjść na taras na papierosa i czas jakoś minie. A potem będzie już jutro.

— Cześć, słoneczko — powiedziałem do słuchawki. — Jak tam twoje boje z klientami?

— To ty, Jack? Jack Whalen?

Głos należał do mężczyzny.

— Tak — odrzekłem. Poprawiłem się na fotelu i zwarłem w sobie.  
— Kto mówi?

— Lepiej usiądź, przyjacielu. Gary Fisher.

Natychmiast rozpoznałem nazwisko, ale potrwało dobrą sekundę, nim je wyciągnąłem z lamusa pamięci. Nazwiska z przeszłości są jak ulice, którymi dawno się nie jechało. Trzeba sobie od nowa przypominać, dokąd prowadzą.

— Jesteś tam?

— Tak — odparłem. — Tylko mnie zatkało. Gary Fisher? Naprawdę?

— Tak na mnie mówią — powiedział i roześmiał się. — Przecież bym cię w takiej sprawie nie nabierał.

— Pewnie nie. — Nie ukrywam, że byłem zdziwiony. — Skąd masz mój numer?

— Od znajomych z Los Angeles. Dzwoniłem już wczoraj.

— Aha. — Rzeczywiście automat zgłoszeniowy zarejestrował kilka głuchych telefonów. — Ale nie zostawiłeś wiadomości.

— Bo pomyślałem, że po blisko dwudziestu latach zabrzmiałoby trochę dziwnie.

— Trochę — zgodziłem się. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, z czym Fisher może do mnie dzwonić. No, chyba że organizuje zjazd absolwentów naszej szkoły, co uznałem jednak za bardzo mało prawdopodobne. — Czy ci mogę służyć, Gary?

— Myślę, że prędzej to ja mogę się przydać tobie — odrzekł. — A może nam obu. Słuchaj, gdzie ty właściwie mieszkasz? Jestem parę dni w Seattle i pomyślałem, że byłoby fajnie się spotkać i pogadać o starych czasach.

— Miejscowość nazywa się Birch Crossing. Półtorej godziny od Seattle w głąb łądu. A w dodatku żona wzięła samochód. — Amy mówi, że gdyby udało się zebrać razem wszystkich nietowarzyskich od-ludków i przeprowadzić głosowanie, na pewno wybraliby mnie na króla. I pewnie ma rację. Od chwili ukazania się mojej książki kilka postaci z przeszłości, choć nie tak odległej jak Fisher, próbowało się ze mną skontaktować, ale mnie nie chciało się nawet odpowiadać na przekazane przez wydawcę e-maile. No dobrze, więc kiedyś się znaliśmy. I co z tego?

— Mam wolny dzień — powiedział znacząco Fisher. — Odwołali mi całą serię spotkań.

— I nie chcesz pogadać przez telefon?

— Byłaby to strasznie długa rozmowa. Ale poważnie, Jack. Zrobiłbyś mi przysługę, bo nie mogę wysiedzieć w hotelu, a jeśli jeszcze raz się przejdę po targu rybnym na Pike Place, to wyjdę stamtąd z wielką śniętą rybą, której wcale nie chcę.

Wahałem się jeszcze, ale ciekawość sprzymierzyła się z niechęcią do pracy i wspólnie zaatakowały niewielki zakątek mojej duszy, w którym z niezrozumiałych powodów nazwisko „Fisher” wciąż jeszcze wywoływało oddźwięk.

— No dobra — powiedziałem. — Czemu nie?

\* \* \*

Przyjechał trochę po drugiej. Do tej godziny nic mi się nie udało i nawet próba dodzwonienia się na komórkę Amy zakończyła się na jej poczcie głosowej. Siedziałem właśnie w kuchni, leniwie dumając o lunchu, gdy usłyszałem, że pod dom zajeżdża samochód.

Poszedłem schodami na górę i otworzyłem drzwi frontowe. W miejscu, gdzie zwykle stoi nasz SUV — obecnie przebywający z żoną



w Seattle — ujrzałem czarnego lexusa. Wysiadł z niego gość pod czterdziestkę i stąpając z chrzęstem po żwirze, ruszył w moją stronę.

— Jack Whalen — powiedział, wypuszczając z ust obłoczek pary.

— Więc jednak dorosłeś. Jak ci się to udało?

— Pojęcia nie mam — odparłem. — Robiłem wszystko, żeby do tego nie doszło.

Zaparzyłem kawę i poszliśmy do salonu. Rozejrzał się po wnętrzu i przez dłuższą chwilę wpatrywał się przez nasze wielkie panoramiczne okno w zalesioną dolinę w dole, potem spojrzał na mnie.

— Wciąż masz talent do rzucania?

— Nie wiem. Ostatnio nie mam zbyt wielu okazji, żeby czymś rzucać.

— A szkoda. To bardzo wyzwala. Próbuję czymś porzucać co najmniej raz w tygodniu.

Uśmiechnął się, a ja pomyślałem, że z tym uśmiechem na twarzy przypomina dawnego Gary'ego, tyle że teraz lepiej się ubierał. Wyciągnął ku mnie rękę, a ja ją uściśnałem.

— Dobrze wyglądasz, Jack.

— Ty też.

I mówiłem prawdę. Wystarczy spojrzeć, jak ktoś siedzi na krześle, żeby rozpoznać, czy jest w dobrej kondycji fizycznej. W ułożeniu ciała czuć swobodę i widać, że pozycja siedząca jest tylko kolejną, w której ciało dobrze się czuje. I Gary tak właśnie wyglądał. Był szczupły i wysportowany, pozbawione siwizny włosy miał dobrze przystrzyżone, wygląd jego skóry wskazywał, że Fisher nie pali i zdrowo się odżywia. Natura nagradza takim wyglądem wszystkich, którzy potrafią się zdobyć na podobny tryb życia. Z wyrazem powagi na twarzy wyglądał jak młody senator z jakiegoś mało ważnego okręgu, który w przyszłości będzie mógł nawet ubiegać się o wiceprezydenturę. Oczywiście miał niebieskie i przejrzyste, co mnie zresztą zaskoczyło.

Przez chwilę milczał, zapewne robiąc to samo co ja. Spotkanie z rówieśnikiem po wielu latach niewidzenia brutalnie i jednoznacznie unaocznia upływ czasu.

— Czytałem twoją książkę — oświadczył, potwierdzając moje obawy.

— Ach, więc to ty.

— Naprawdę? Niedobrze się sprzedała? To mnie dziwi.

— Sprzedała się dobrze — przyznałem. — Może nawet lepiej niż dobrze. Problem w tym, że nie wiem, czy będzie następna.

Wzruszył ramionami.

— Wszyscy uważają, że trzeba wciąż się sprawdzać. Wciągać banderę na maszt i pokazywać światu, kim się jest. Może ty miałeś napisać tylko tę jedną książkę.

— Może.

— Nie mógłbyś wrócić do pracy w policji? — Dojrzał moją minę.

— Przecież w podziękowaniach na końcu książki wymieniłeś policję Los Angeles.

Trochę mimo woli, ale się uśmiechnąłem. Fisher wciąż miał coś takiego w sobie.

— Nie, z tym już skończyłem. A ty z czego teraz żyjesz?

— Prawo korporacyjne. Jestem współnikiem w firmie prawniczej na wschodzie.

To, że został prawnikiem, nie zdziwiło mnie, ale też niewiele mi powiedziało. Przez chwilę siedzieliśmy, wymieniając się uwagami o ludziach i miejscach znanych nam z dawnych lat, ale specjalnie nas to nie wciągnęło. Inaczej się dzieje, gdy przez cały czas ma się z sobą jakiś kontakt, bo wtedy pomaga to utrzymać kurs na oceanie czasu, niczym latarnia morska. W przeciwnym razie człowiek czuje się dziwnie, gdy przychodzi mu stanąć twarzą w twarz z kimś obcym, kto przypadkiem nazywa się tak samo jak znany kiedyś dzieciak. I choć Fisher próbował odwoływać się do wspólnych wspomnień, tak naprawdę ich nie mieliśmy. Chyba że uznać za nie bieganie po tej samej bieżni albo zapamiętanie dań z karty u Srogiego Boba. Od tamtych

czasów w moim życiu wiele się wydarzyło, zresztą w jego pewnie też. Było jasne, że żaden z nas nie zalicza dawnych kolegów szkolnych do grona obecnych przyjaciół i że nie czuje się związany z dziurą, w której przyszło nam dorastać. Dzieci, którymi niegdyś byliśmy, wydawały się niemal postaciami zmyślonymi, a związane z nimi wspomnienia pomagały jedynie zrozumieć, gdzie się podziało pierwsze dwadzieścia lat naszego życia.

— No to — powiedziałem, dopijając resztkę kawy — o czym chciałeś porozmawiać?

— Masz już dość towarzyskiego bajdurzenia? — Uśmiechnął się.

— Nigdy za tym nie przepadałem.

— Tak, pamiętam. A dlaczego myślisz, że chcę z tobą o czymś porozmawiać?

— Bo tak powiedziałeś. A ponadto przed zdobyciem mojego numeru byłeś najwyraźniej przekonany, że nadal mieszkam w Los Angeles. A to już nie dwie godziny jazdy z Seattle. Czyli zacząłeś mnie szukać z jakiegoś konkretnego powodu.

Pokiwał głową z wyraźnym zadowoleniem.

— Jak ty tu w ogóle trafiłeś? Birch Crossing? Da się to znaleźć na jakiejś mapie?

— Amy to znalazła. Chcieliśmy się wynieść z LA. W każdym razie ja. Dostała nową pracę, dzięki której mogliśmy zamieszkać praktycznie gdziekolwiek, byle tylko mogła od czasu do czasu dojechać na lotnisko. Znalazła to miejsce chyba w Internecie. Sama pojechała je obejrzeć, a ja uwierzyłem jej na słowo.

— I dobrze się tu czujesz?

— Pewnie.

— Ale po Los Angeles to dość radykalna zmiana.

— I właśnie o to chodziło.

— Macie dzieci?

— Nie.

— Ja mam dwójkę. Pięć i dwa lata. Powinniście się postarać. Odmieniają życie, kolego.

— Podobno. A ty gdzie teraz mieszkasz?

— W Evanston. Ale biuro mam w centrum Chicago. No i z tym wiąże się moja wizyta.

Przez chwilę przyglądał się swoim dłoniom, potem w końcu zaczął mówić.

## Rozdział drugi

— Oto co wiem o tej sprawie — zaczął. — Trzy tygodnie temu w Seattle zamordowano dwie osoby. Kobieta i jej syn zginęli we własnym domu. Policję wezwał sąsiad, który poczuł dym, wyrzwał na zewnątrz i zobaczył, że z sąsiedniego domu dobywają się płomienie. W środku znaleziono na podłodze w salonie martwą właścicielkę, Ginę Anderson, lat trzydzieści siedem. Morderca wyłamał jej szczękę i skrzył kark. Kawałek dalej leżał jej syn, Joshua Anderson. Strzelono mu w twarz i podpalono ciało. W opinii straży pożarnej nie to jednak spowodowało pożar. Kiedy się tam zjawili, salon dopiero zaczął się palić. Prawdziwy pożar zaczął się w piwnicy, w pomieszczeniu służącym za pracownię pana domu, Billa Andersona. Z pogorzelska wynikało, że ktoś dokładnie przetrząsnął piwnicę, wyrzucił z szafek sterty papierów i je podpałił. Nie wiem, jak dobrze znasz Seattle, ale dom mieści się w okolicach Broadwayu, niedaleko centrum. Domy stoją dość blisko siebie, głównie piętrowe drewniane bungalowy. Gdyby pożar naprawdę się rozwinął, cała dzielnica mogłaby stanąć w ogniu.

— A co z tym mężem? — wtrąciłem.

— Tego nikt nie wie. Wcześniej umówił się z dwoma kolegami. Jest wykładowcą w społecznym college'u niecały kilometr od domu. Mniej więcej co sześć tygodni spotykają się we trzech w celach

towarzyskich. Obaj potwierdzają, że Anderson był z nimi do kwadrans po dziesiątej. O tej porze wyszli z baru i rozeszli się, każdy w swoją stronę. Od tej chwili nikt Andersona nie widział.

— Co mówi policja?

— Nikt z sąsiadów nie widział, żeby ktoś wchodził do domu Andersonów lub z niego wychodził. Panuje przeświadczenie, że mordercą jest sam Anderson, i właściwie nie szukają nikogo innego. Pytanie brzmi raczej: dlaczego to zrobił? Koledzy z pracy mówią, że ostatnio sprawiał wrażenie podenerwowanego, i wszyscy jego znajomi potwierdzają, że trwało to już od kilku tygodni, może miesiąca albo jeszcze dłużej. Nikt jednak nie wie, co go gnębiło. Nikt nawet nie napomknął o innej kobiecie czy czymś takim. Wykładowcy nie zarabiają kokosów, a Gina Anderson nie pracowała zawodowo, nic jednak nie wskazuje na poważniejsze problemy finansowe. Żona miała polisę na życie, ale tak niewielką, że nie opłacałoby się za nią kiwnąć palcem, nie mówiąc już o zabijaniu.

— Na pewno mąż — oświadczyłem. — Zawsze tak jest. Z wyjątkiem sytuacji, kiedy robi to żona.

— Nie sądzę. — Fisher pokręcił głową. — Sąsiedzi twierdzą, że w życiu Andersonów wszystko układało się dobrze. Syn trochę za głośno słuchał muzyki, ale to wszystko. Żadnych awantur, żadnych złowieszczych nastrojów.

— Patologiczne rodziny są jak umysły alkoholików. Trzeba sięgnąć w głąbi nich, żeby wiedzieć, że coś jest nie tak.

— To jak ty to widzisz?

— Scenariuszy może być kilka. Może akurat tego wieczoru Bill przyczepił się do Giny o coś, czego ty i ja nigdy byśmy nie pojęli. Syn słyszy awanturę, schodzi na dół i wrzeszczy na ojca, żeby dał matce spokój. Ojciec nie reaguje. Syn od dziecka bywa świadkiem takich scen i tym razem nie wytrzymuje. Idzie do skrytki i sięga po pistolet ojca. Wraca i oświadcza, że dość tego i że ma przestać znęcać się nad matką. Dochodzi do szarpaniny, ojciec wydziera mu pistolet i strzela

albo broń sama wypala, wszystko jedno. Syn zostaje trafiony. Żona drze się w niebogłose, postrzelony syn leży na podłodze i Anderson zdaje sobie sprawę, że się z tego nie wywinie. Idzie więc na dół i podkłada ogień w swojej pracowni, żeby wyglądało, że włamał się ktoś obcy i buszował, potem pozbywa się świadków, którzy mogliby temu zaprzeczyć. Teraz siedzi gdzieś na drugim końcu kraju, regularnie się upija i cierpi męki z powodu wyrzutów sumienia albo wręcz przeciwnie, coraz bardziej utwierdza się w przekonaniu, że sami są sobie winni. W rezultacie albo w ciągu paru tygodni popełni samobójstwo, albo za półtora roku złapią go jako przykładnego męża kelnerki w Karolinie Północnej.

Zamilkłem i zapadła cisza.

— Pewnie mogłoby tak być — powiedział po chwili Fisher — tylko że ja w to nie wierzę. Z trzech powodów. Po pierwsze, mógłby stanąć do konkursu na wizerunek zaszuszonego, sześćdziesięciokilogramowego mola książkowego. Jego wygląd zupełnie nie pasuje do obrazu kogoś dominującego w życiu dwóch innych osób.

— Ciężar nie ma żadnego znaczenia. Dominacja jest wytworem umysłu. Zawsze.

— Co także nie pasuje do Andersona, ale zostawmy to. Po drugie, jedna z sąsiadek zeznała, że mniej więcej za dwadzieścia jedenastą widziała na ulicy mężczyznę podobnego do Andersona. Nikt nie traktuje jej opowieści poważnie, bo jest starą wariatką na środkach uspokajających. Kobieta twierdzi jednak, że odprowadziła go wzrokiem do miejsca, skąd było już widać jego dom. Zobaczył policję, zawrócił i zaczął uciekać.

— Znaczy to, że jako świadek jest dla sądu bezużyteczna — wtrąciłem. — A jeśli nawet mówi prawdę, to mogła widzieć Andersona, który zapewniał sobie alibi. Co jeszcze?

— Jeszcze tylko to: Joshua Anderson ostatecznie zmarł z powodu oparzeń, ale już i tak żegnał się z życiem przez ranę postrzałową twarzy. Nie znaleziono jednak pocisku, który ją spowodował. Według protokołu lekarza sądowego pocisk koziołkował w czaszce i nigdy

jej nie opuścił. Brak rany wylotowej. Są natomiast ślady późniejszych obrażeń, które zadano ostrym narzędziem. Wygląda na to, że po oddaniu strzału i podpaleniu ciała morderca zatopił nóż w zmasakrowanej twarzy i wydlubał z niej pocisk. Nie wierzę, żeby wykładowca fizyki mógł być zdolny do czegoś takiego. I to wobec własnego syna. — Poprawił się na krześle i odchylił się na oparciu. — Zwłaszcza że w tym domu nie było pistoletu.

— Zgoda. — Wzruszyłem ramionami. — Istnieją pewne luki. Ale zawsze tak jest. Nadal stawiałbym na męża. A dlaczego ty się tym interesujesz?

— Wiąże się to z pewną nieruchomością, którą zajmuje się nasza firma. Na tym etapie nie mogę ci powiedzieć nic więcej.

Wyglądało na to, że Fisher robi unik, ale jego sprawy zawodowe mnie nie obchodziły.

— A dlaczego przychodzisz z tym do mnie?

— Bo chcę, żebyś mi pomógł.

— W czym?

— Przecież to chyba oczywiste.

— Właśnie nie bardzo — odparłem i dla pewności potrząsnąłem głową.

— Skorzystałbym na tym, wszyscy byśmy skorzystali, gdyby udało nam się dowiedzieć, co się naprawdę wydarzyło tamtego wieczoru.

— Ale policja już się tym zajmuje, prawda?

— Gliny koncentrują się na szukaniu dowodów, że to Anderson zamordował żonę i syna. A ja podejrzewam, że on nie ma z tym nic wspólnego.

— Domyślam się. — Uśmiechnąłem się. — Ale to jeszcze nie znaczy, że masz rację. I nadal nie rozumiem, dlaczego przyjechałeś z tym do mnie.

— Bo jesteś gliną.

— Nie. Byłem gliną.

— To to samo. Masz doświadczenie w prowadzeniu śledztwa.



— W tej sprawie twoi informatorzy się nie spisali. Cały czas pracowałem w prewencji. Zwykły krawężnik.

— Może brak ci formalnych kwalifikacji. Wiem, że nigdy nie doszedłeś do szczebla detektywa. Ale wiem również, że nigdy się o to nie starałeś.

Rzuciłem mu twarde spojrzenie.

— Gary, jeśli chcesz powiedzieć, że w jakiś sposób dotarłeś do moich akt osobowych, to ja...

— Nie musiałem, Jack. Jesteś inteligentnym facetem. Gdybyś chciał zostać detektywem, tobyś nim został. Nie zostałeś, więc pomyślałem, że nie chciałeś.

— Komplementami niczego nie osiągniesz — mruknąłem.

Uśmiechnął się.

— To też wiem. I pamiętam również, że wolałeś w ogóle nie próbować, niż spróbować i przegrać. Może w tym leży prawdziwa przyczyna, że spędziłeś prawie dziesięć lat na ulicach.

Już od dawna nikt ze mną tak nie rozmawiał i Fisher musiał to poznać po mojej minie.

— Posłuchaj — powiedział, unosząc dłonie — przepraszam. Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało. To, co się stało z Andersonami, nie ma dla mnie aż tak wielkiego znaczenia. To po prostu dziwna sprawa i ułatwiłoby mi życie, gdyby udało się ją rozwiązać. Przeczytałem twoją książkę i pomyślałem, że mogłoby cię to zainteresować. Tylko tyle.

— Doceniam twoją wiarę we mnie. — Kiwnąłem głową. — Ale z tamtym życiem nie mam już nic wspólnego. Nie mówiąc o tym, że pracowałem w LA, nie w Seattle. Nie znam tu ani miasta, ani ludzi. Nawet gdybym chciał się w to włączyć, nie osiągnąłbym dużo więcej niż ty, a na pewno znacznie mniej od miejscowej policji. Jeśli naprawdę uważasz, że niewłaściwie podchodzą do śledztwa, to powinienś pójść do nich i porozmawiać.

— Próbowałem. Myślą to samo co ty.

— Więc pewnie to prawda. Smutna historia, i tyle.

Fisher pokiwał wolno głową. Siedział ze wzrokiem utkwionym w widok za oknem, za którym zrobiło się już dużo ciemniej, a niebo przybrało ołowianą barwę.

— Zanosi się na burzę — powiedział. — Powinienem wracać. Wołałbym nie jechać po ciemku przez te góry.

— Przykro mi — rzekłem, wstając. — Pewnie liczyłeś, że uzyskasz coś więcej.

— Liczyłem na twoją opinię i ją usłyszałem. Szkoda tylko, że odmienną od moich oczekiwań.

— Mogliśmy dojść do tego samego przez telefon. — Uśmiechnąłem się. — Tak jak ci proponowałem.

— Tak, wiem. Ale, kurczę, fajnie było zobaczyć się po tylu latach. Powspominać. Musimy pozostać w kontakcie.

Zgodziłem się, że owszem, było fajnie, i że tak, musimy pozostać w kontakcie. Jeszcze przez chwilę pogadaliśmy o niczym, potem odprowadziłem go do drzwi i zaczekałem, aż odjedzie.

Później powstałem jeszcze trochę przed domem, choć zrobiło się zimno. Czuję się trochę tak, jakby na boisku podszedł do mnie starszy chłopak i spytał, czy chcę się przyłączyć do gry, a ja bym mu odmówił z powodu urażonej dumy. Wygląda na to, że starzeniu się wcale nie musi towarzyszyć dorastanie.

Wróciłem do domu i zasiadłem przy biurku, marnując zapewne ostatnie spokojne popołudnie w moim życiu na bezmyślne gapienie się w okno i tracenie czasu.

Czasem zastanawiam się, jak potoczyłoby się moje życie, gdybym tego ranka intensywniej pracował i pozwolił, by Fisher nagrał się na automatyczną sekretarkę. Nawet gdyby zostawił wiadomość, pewnie bym nie oddzwonił. Ale w zasadzie uważam, że nie miałyby to większego znaczenia. Myślę, że ta historia i tak była mi pisana i nieodwołalnie ku mnie zmierzała. Chciałbym móc powiedzieć, że nic na to nie wskazywało i że runęło to na mnie bez ostrzeżenia jak grom z jasnego nieba. Ale to nieprawda. Chwilami w ciągu minionych dziewięciu miesięcy — a może nawet paru lat — odczuwałem pewne drobne

zmiany, ale starałem się je ignorować, przechodzić nad nimi do porządku dziennego. Toteż gdy coś się wreszcie zdarzyło, przypominało ześlizgnięcie się z potężnego pnia, na którym od lat płynąłem po tej samej rzece, jednocześnie uzmysłowiłem sobie, że w tej rzece tak naprawdę nigdy nie było wody, a ja zamiast płynąć, leżałem rozciągnięty na plecach w jakiejś obcej, nieznannej mi krainie: pustej równinie bez drzew, gór i jakiegokolwiek punktu orientacyjnego — czegoś, co mogłoby mi pomóc zrozumieć, jak tu dotarłem skądś, gdzie przebywałem wcześniej.

Ten upadek musiał od dawna nabierać tempa, aż przerodził się w odczuwalną zmianę. Na pewno co najmniej od tego popołudnia, a być może od miesięcy lub nawet lat. Ale dogrzebywanie się do korzeni chaosu to jak mówienie, że nieważny jest moment, gdy wpadłeś pod samochód, czy ułamek sekundy, kiedy wkroczyłeś na jezdnię, nie rozejrzawszy się na boki. Tak naprawdę pamięta się tylko samo uderzenie. Ten ułamek sekundy z piskiem opon i głuchym hukiem; moment, w którym samochód na ciebie wpada i wszystkie przyszłe sprawy przestają istnieć.

Moment, w którym staje się jasne, że w twoim świecie coś się zawaliło.

## Rozdział trzeci

Plaża na brzegu Pacyfiku — ciągnąca się w nieskończoność wstęga piasku. Za dnia niemal białego, teraz w zapadającym mroku coraz bardziej szarego i matowego. Nieliczne ślady stóp zostawione po południu zostały już rozmyte w wyniku odwiecznego, cierpliwego zacierania ich przez przyrodę. W letnie weekendy zjeżdżają się tu z głębi lądu nastolatki, by się pławić w blasku beztrudnej młodości i słuchać muzyki. Niestety, niemal nigdy nie stają się celem strzelców wyborowych i żyją swym szczęśliwym, pustym życiem, robiąc o wiele za dużo hałasu na całej planecie. Ale w ten czwartkowy wieczór grubo po sezonie plaża jest zupełnie pusta i tylko przy samej linii wody uwija się stadko biegusów, przebierając nóżkami jak mechaniczne zabawki. Zakończyły już swą dzienną aktywność i szykują się do snu, zostawiając plażę cichą i opustoszałą.

Niecały kilometr w głąb lądu leży mała ekskluzywna miejscowość wypoczynkowa, Cannon Beach. Jest w niej kilka dyskretnie rozmieszczonych hoteli, ale większość zabudowy stanowią skromne letnie, najwyżej jednopiętrowe domy, stojące w przyzwoitej odległości od sąsiadów. Niektóre z nich to przysadziste wydłużone białe klocki, którym przydałoby się odmalowanie, inne wyróżniają się nieco śmielszą formą drewnianych ośmiokątów. Z każdego prowadzi wydeptana ścieżka wprost na plażę przez porośnięte krzewami wydmy.

Jest listopad i niemal wszystkie domy są ciemne i opuszczone, a wi-  
szący w pozamykanych wnętrzach zapach mleczka do opalania i wos-  
ku świec czeka na następne wakacje i przyjazd właścicieli, którzy  
każdego roku znajdują nowe srebrzyste nitki we włosach i widzą, że  
dzieci znów urosły i znów bardziej się oddaliły od dorosłych stano-  
wiających niegdyś pępek ich świata.

Od dwóch dni nie padało, co jak na Oregon o tej porze roku jest  
dość niezwykle, ale dziś od strony oceanu zbliża się gruba warstwa  
chmur, rozlewając się na boki jak wpuszczona do wody kropla atra-  
mentu. Do dotarcia chmur nad ląd została jeszcze co najmniej godzi-  
na, po czym mrok nabierze granatowoczarnej barwy i wszystko uto-  
nie w potężnej ulewie.

Ale na razie dziewczynka siedzi na piasku tuż przy samej wodzie.

\* \* \*

Zegarek na jej ręce pokazuje za dwadzieścia pięć szósta, więc nie  
ma pośpiechu. Za piętnaście szósta ma być w domu — no, może nie  
tyle domu, ile domku. Tata zawsze nazywał go ich domem na plaży,  
ale mama mówiła, że to tylko domek kempingowy. Ponieważ taty z  
nimi nie ma, tym razem to oczywiście jest domek. Nieobecność taty  
oznacza też wiele innych konsekwencji i nad jedną z nich Madison  
właśnie duma.

Program ich tygodniowego pobytu nad oceanem był za każdym  
razem taki sam. Wizyta w Cannon Beach i spacer po galeriach (raz),  
zakupy spożywcze w markecie (dwa razy) i odwiedziny w sklepie z  
zabawkami Geppetto's Toy Shoppe (tyle razy, ile udało jej się wyde-  
bić; rekordem były trzy). Poza tym spędzali czas na plaży. Wstawali  
wcześnie rano i szli plażą na długi spacer, potem zawracali. Dzień  
upływał na leżeniu na piasku, pływaniu i taplaniu się w wodzie — z  
przerwą w południe na kanapki i ochłonięcie od słońca — po czym  
około piątej następował kolejny długi spacer, tym razem w przeciwną  
stronę niż rano. Poranna przechadzka miała na celu wypędzenie z

głów resztek snu i napelnienie ich światłem, w popołudniowym spacerze chodziło o muszki, a najbardziej o zagrzebane w piasku pła-skie skorupki dolarków piaskowych. I choć zdecydowaną liderką była mama (wszystkie znalezione muszle i skorupki zabierała do domu i składała w pudle po cygarach), szukali ich wszyscy troje, jak rodzinna ekipa poszukiwawcza. Po spacerze wszyscy po kolei brali prysznic i czekając, pogryzali nachos maczane w dipie sojowym i popijali napo-jem Kool-Aid, po czym jechali samochodem do Cannon Beach na kolację w Pacific Cowgirls, gdzie na ścianach wisiały sieci rybackie, specjalnością były panierowane krewetki z sosem majonezowym, a kelnerki nawet do całkiem małych dziewczynek zwracały się „proszę pani”.

Wczoraj jednak Madison przyjechała tylko z mamą i wszystko wy-glądało inaczej. Pora roku była niewłaściwa i zimna. Rozpakowały się w milczeniu i posłuszne tradycji poszły kawałek plażą, ale choć zda-wało się, że matka idzie ze wzrokiem wbitym w piasek wzdłuż linii przyplwy, Madison nie zauważyła, by choć raz się po coś schyliła. Choćby po taki jak ten kawałek kwarcu, intensywnie różowy po jed-nej stronie, któremu normalnie by nie przepuściła. Po powrocie do domku udało jej się znaleźć w szafce puszkę kool-aid z ostatniego pobytu, ale mama nie pomyślała o kupnie doritos ani niczego innego. Madison już chciała się poskarżyć, ale dała spokój, widząc, jak matka ociężale się rusza. Restauracja Cowgirls była nieczynna z uwagi na posezonowy remont, musiały więc pojechać gdzie indziej. Usiadły przy oknie w niemal pustej sali i zaczęły się wpatrywać w ciemny ocean pod ołowianym niebem. Spaghetti okazało się smaczne, ale nawet nie umywało się do tego podawanego przy plaży.

Dziś od rana było przenikliwie zimno i nie poszły na spacer. Ma-ma spędziła całe przedpołudnie w słonecznych okularach z książką w rękę, siedząc owinięta kocem przy końcu ścieżki biegnącej przez wydmy. Po południu postanowiła przenieść się do środka i przed odejściem oświadczyła Madison, że może jeszcze zostać na plaży, ale

nie wolno jej się oddalać na więcej niż czterdzieści metrów od domu.

Z początku było nawet całkiem fajnie mieć całą plażę dla siebie, nie zbliżyła się jednak do wody. Choć dawniej bardzo to lubiła, od pewnego czasu zaczęła odczuwać lęk przed wielkimi zbiornikami wodnymi i to nawet wówczas, gdy nie było tak zimno jak dziś. Zajęła się za to rozbudową i umacnianiem zamku i sprawiło jej to frajdę. Wykopała też możliwie najgłębszy dół.

Ale w miarę zbliżania się piątej zaczęła się wiercić. Wstała i znów usiadła. Jeszcze trochę się pobawiła, ale zaczynało ją to już nużyć. Jakos przeżyła rezygnację z porannego spaceru, ale nie pójście na popołudniowy było już czymś niezwykłym i niepokojącym. Spacerować to coś ważnego. Na pewno. Inaczej po co by na nie chodzili?

W końcu podeszła do linii wody i przez chwilę się w nią wpatrywała niepewna, co ma zrobić. Plaża w obu kierunkach była zupełnie pusta, ciężkie ołowiane niebo wisiało nisko nad głową i robiło się coraz zimniej. Poczula, jak nogawkę szortów szarpie pierwszy ostry podmuch wiatru zapowiadający zbliżanie się sztormu. Chwilę odczekała, patrząc z nadzieją na wydmy zasłaniające ich domek.

Matka się nie pojawiła.

Zaczęła powoli iść plażą, stawiając długie kroki i licząc. Zatrzymała się po przejściu czterdziestu metrów. Czula się trochę niepewnie i zawróciła do punktu wyjścia. Minęła go i zrobiła następne czterdzieści kroków. Te osiemdziesiąt metrów było już namiastką spaceru. Do tego stopnia, że można było zapomnieć o nawrotach i poczuć się jak na prawdziwym spacerze bez określonego punktu docelowego. Były tylko szum fal i rozmazany ruch stóp, pojawiających się i znikających na piasku, a wzrok bezwiednie rejestrował kształty i barwy między rozbijającymi się falami a twardym mokrym piaskiem.

Zrobiła to jeszcze raz i jeszcze raz — z takim zapamiętaniem, że oba punkty zawracania przybrały kształt zaokrąglonych wałów. Starala

się nie myśleć o tym, gdzie dziś pójdą na kolację i jak mało będą ze sobą rozmawiały. Starala się nie...

A potem nagle stanęła jak wryta i pochyliła się ze zwieszoną ręką. Zanurzyła ją w gąszczu morskich wodorostów, szczap drewna i pokruszonych morskich skorupiaków i coś namacała. Wyjęła to coś, nie wierząc własnym oczom.

Znalazła cały, prawie nieuszkodzony dolarek piaskowy. Niewiele większy od ćwierćdolarówki miał dwie małe szczyrby na obwodzie. Był bardziej brudnoszary niż skorupki, które zwykle znajdowali, i po jednej stronie zabarwiony na zielono, ale i tak stanowił nie lada znalezisko. To znaczy stanowiłby, gdyby wszystko było po staremu. Ale niestety, wiele się zmieniło.

Coś, co powinno ją ucieszyć i napęlić dumą, wprawiło ją w ponury nastrój. Zdała sobie sprawę, że właściwie mogłaby znaleźć muszlę jak talerz, a i tak nic by z tego nie wynikało. Muszla mogłaby być złocista jak piasek i mieć perfekcyjny owal jak widywane w sklepach z pamiątkami, ale nie miałyby to znaczenia.

Madison usiadła na piasku i wpatrzyła się w płaską skorupkę na dłoni, potem lekko zacisnęła pięść i przeniosła wzrok nad ocean.

\* \* \*

Dziesięć minut później wciąż jeszcze siedziała bez ruchu, gdy usłyszała nagle jakiś dźwięk. Jakby łopot skrzydeł wielkiego ptaka, który leci ku niej walczyć z wiatrem. Madison uniosła głowę.

Na piasku stał jakiś mężczyzna.

Znajdował się nie dalej niż dziesięć metrów od niej, a łopot wydawały poły jego czarnego płaszcza szarpane coraz silniejszym wiatrem znad oceanu, nad którym wzbierał równie wielki ocean purpurowo-czarnych chmur. Mężczyzna stał bez ruchu, trzymając ręce schowane głęboko w kieszenie płaszcza. Resztki promieni słonecznych przeciskających się przez grubą warstwę chmur oświetlały go od tyłu, przez



co twarz pozostawiała w cieniu. Mimo to Madison nie miała wątpliwości, że mężczyzna patrzy prosto na nią. Zresztą po cóż miałby stać tak bez ruchu, wyglądając jak mroczny strach na wróble w stroju nadającym się bardziej do kościoła czy na cmentarz niż na plażę?

Zerknęła przez ramię, mierząc w myślach odległość do ścieżki do domku. Nie znajdowała się bezpośrednio za nią, ale była niedaleko. Będzie mogła bez trudu do niej dobiec. Może zresztą już powinna to zrobić, bo duża wskazówka była na dziewiątce.

Mimo to odwróciła głowę i raz jeszcze spojrzała na ciemny, wzburzony ocean. To nie była mądra decyzja, ale może zabrakło jej czegoś tak banalnego, jak pochwalne klepięcie w ramię za znalezienie tego, co trzymała w zwiniętej dłoni. Sama jednak podjęła tę decyzję i nie mogła mieć żalu do nikogo.

Mężczyzna odczekał chwilę, potem ruszył w jej stronę. Szedł po linii prostej, nie zważając na syczące wokół i liżące mu buty fale. Muszki chrzęściły mu pod nogami, ale nawet na nie nie spojrzał. Wyraźnie nie wybrał się na zbieranie muszli i były mu obojętne.

Madison zdała sobie sprawę ze swojej lekkomyślności. Należało od razu uciec, póki był wystarczająco daleko. Po prostu jakby nigdy nic wstać i szybkim krokiem ruszyć do domu. Teraz musiała liczyć na moment zaskoczenia. Skoro nie uciekła wcześniej, mężczyzna nie będzie się tego spodziewał. Postanowiła odczekać, aż podejdzie nieco bliżej, wtedy wykonać raptowny skok i z głośnym krzykiem popędzić w stronę domu. Mama na pewno ją usłyszy. A może nawet będzie już szła na plażę, żeby sprawdzić, dlaczego Madison jeszcze nie ma. Powinna tak zrobić, bo córka już się spóźniła. Coś jej jednak mówiło, że matka siedzi w fotelu z bezwładnie opuszczonymi rękami i tępo wpatruje się w swe dłonie. Tak jak wczoraj wieczorem po powrocie z restauracji.

Przygotowała się do skoku. Zaparła się stopami o ubity piasek i napięła mięśnie nóg jak sprężyny gotowa wystrzelić z całą mocą swych mięśni.

\* \* \*

Mężczyzna stanął.

Madison postanowiła do ostatniej sekundy wpatrywać się w fale, jakby w ogóle nie była świadoma obecności intruza. Nie mogła się jednak powstrzymać i lekko obróciła głowę, chcąc mieć go na oku.

Mężczyzna zatrzymał się dalej, niż się tego spodziewała. Zostało mu do niej jeszcze około sześciu metrów. Teraz dojrzała jego twarz i stwierdziła, że jest dużo starszy od jej taty, a może nawet od wujka Briana, który miał już pięćdziesiąt lat. Tyle że wujek Brian był wiecz- nie uśmiechnięty, jakby właśnie przypomniał sobie kawał usłyszany w biurze i szykował się do jego powtórzenia. Mężczyzna na plaży był zupełnie inny.

— Mam coś dla ciebie — odezwał się cicho, ale słyhać go było wyraźnie.

Madison szybko odwróciła głowę, czując, jak jej wali serce. Podświadomie chroniąc skorupkę utrzymaną w lewej dłoni, wparła w piasek prawą. Potrzebowała punktu oparcia do gwałtownego skoku.

— Ale przedtem muszę cię o coś spytać — dodał mężczyzna.

Madison wiedziała, że powinna natychmiast rzucić się do ucieczki. Wujek Brian był gruby i poruszał się, jakby w ogóle nie mógł biegać, ale pod tym względem ten mężczyzna też się od niego różnił. Głęboko zaczerpnęła powietrza. Postanowiła ruszyć na trzy. Raz...

— Popatrz na mnie, dziewczynko.

Dwa...

A potem nagle mężczyzna stał już między nią a wydmami. Przesunął się tak błyskawicznie, że prawie tego nie zauważyła.

— Spodoba ci się — powiedział tym samym monotonnym głosem,

jakby nic się nie wydarzyło. — Obiecuję. Ucieszysz się. Ale przedtem musisz mi odpowiedzieć na pytanie, zgoda?

Jego głos przybrał nieco na sile i Madison pomyślała że zgrozą, że zachowała się jak ostatnia idiotka. Przemknęło jej też przez myśl, że teraz rozumie, dlaczego matki i ojcowie każą dzieciom wracać do domu o określonej porze, zbytnio się nie oddalać, nie zadawać z obcymi i nie robić całego mnóstwa innych rzeczy. Wymagając tego, wcale nie chcą być złośliwi, uciążliwi czy nudni. Starają się tylko nie dopuścić do tego, co za chwilę się wydarzy.

Spojrzała na twarz mężczyzny i kiwnęła głową. Nie mogła nic innego zrobić i miała tylko nadzieję, że to ją jakoś wyratuje z opresji. Mężczyzna się uśmiechnął. Na policzku miał kilka pieprzyków, a jego zęby były żółte i krzywe.

— Doskonale — rzekł. Zrobił kolejny krok w jej stronę i wyjął rękę z kieszeni płaszcza. Palce dłoni miał długie i białe.

W głowie Madison zadźwięczało słowo „trzy”, ale zbyt cicho i nieprzekonująco. Jej nogi i ramiona przestały już przypominać sprężyny. Teraz bardziej przypominały gumę.

Zresztą mężczyzna i tak już był za blisko. Pachniało od niego wilgocią. W jego oczach pojawiły się dziwne błyski, jakby właśnie znalazł coś, czego od dawna szukał.

Ukucnął obok niej i roztaczana przez niego woń jeszcze się nasiliła. W jego oddechu czuło się wyziewy tych części organizmu, o których normalnie się nie myśli.

— Umiesz dochować tajemnicy? — zapytał.

## Rozdział czwarty

Wróciłem do domu trochę po dziewiątej wieczorem. By uzasadnić swoją wyprawę do miasteczka, kupiłem mleko i kawę, choć Amy pilnowała, żeby w domu niczego nie brakowało. Poszedłem piechotą, po dwadzieścia minut w jedną stronę. Spacer był przyjemny i zrobiłbym to, nawet gdyby samochód stał pod domem. Usiadłem z filiżanką americano przy stoliku w kawiarnianym ogródku i przejrzałem miejscową gazetę. Dowiedziałem się, że kilka dni temu tory jazdy dwóch samochodów niefortunnie się przecięły, ale nikomu nic się nie stało i obyło się nawet bez siniaków. Że jakiegoś lokalnego notabla wybrano do rady szkolnej po raz dwunasty z rzędu, co piszący uznawał za obsesję. Że Galeria Kaskady poszukuje osoby w dojrzałym wieku, by jej powierzyć sprzedaż obrazów i rzeźb orłów, niedźwiedzi i indiańskich wojowników. Doświadczenie zawodowe nie było konieczne, natomiast kandydat lub kandydatka powinni mieć zapal do realizacji marzeń. Niezbyt to do mnie pasowało, choćby nawet moje pisarskie plany utknęły w martwym punkcie. Pozostawało mieć nadzieję, że galeria znajdzie kogoś odpowiedniego i że będzie to osoba wystarczająco dojrzała. Wzdrygnąłem się na myśl o młokosie zachwalającym rzadkie okazy miejscowego rękodzieła.

Pokręciłem się wśród regałów sklepu Sam's Market dłużej, niż

potrzeba, biorąc do ręki różne artykuły i z powrotem je odkładając. Natknąłem się na parę produktów zbyt ekscentrycznych, by mogły się znaleźć na bardziej oświeconej liście zakupów, głównie dziwnych gatunków piwa. Przy kasie wziąłem ze stojaka książkę Stephena Kinga w miękkiej okładce. Już ją wprawdzie czytałem, ale niemal cała moja biblioteka wciąż jeszcze tkwiła w magazynie w Los Angeles, a ponadto powieść sterczała tuż pod nosem na stojaku pełnym popłuczyn po Danie Brownie i romansów autorek o dwuczłonowych nazwiskach, wypisanych grubą złoconą czcionką.

Wyszedłem ze sklepu, wsadziłem torbę z zakupami do plecaka i przez chwilę stałem niezdecydowany. Ciszę zakłócał pracujący silnik stojącego w pobliżu pick-upu, którego siedzący za kierownicą właściciel miał grubo ciosane rysy, sterczącą z uszu szczecinę i obojętny wyraz twarzy; ignorował takich obcych jak ja. Specjalnie rzuciłem w jego stronę „cześć”, żeby go trochę zbić z tropu. Z knajpy Laverne's Rib po drugiej stronie ulicy wyłoniła się jakaś para, zataczając się jak po pokładzie statku. Knajpa chwaliła się wielkością swych porcji żeberek. Obok marketu przeszła kobieta z wózkiem. Wyglądała na zmęczoną i po minie było widać, że pchanie wózka nie należy do jej ulubionych zajęć. Pewnie siedzące w wózku dziecko noc w noc toczyło z nią boje każdą dostępną mu bronią, głównie wrzaskiem. Gdy kobieta zauważyła, że na nią patrzę, podniosła głowę i rzuciła „Dziesięć miesięcy”, jakby to wszystko tłumaczyło. Poczuliem się niezręcznie i odwróciłem wzrok.

Nieco dalej mrugnęły światła stopu.

Nadal nie czułem głodu. Nie miałem ochoty na piwo w miejscu publicznym. Mogłem przejść kawałek dalej i sprawdzić, czy księgarnia jest jeszcze otwarta, uznałem jednak, że o tej porze to mało prawdopodobne. Poza tym i tak już miałem co czytać. Uznałem, że moja ekspedycja dobiegła końca.

No i co teraz? — pomyślałem. Decyzja należy do ciebie.

Ostatecznie ruszyłem w drogę powrotną stumetrowym odcinkiem

ulicy ze sklepami i zakładami usługowymi, stanowiącym całe centrum Birch Crossing. Większość z nich mieściła się w parterowych drewnianych domach: gabinet dentystyczny, salon piękności i drug-store, a także rzadziej odwiedzane przybytki, jak choćby wspomniana już Galeria Kaskady, w której Amy kupiła przesłodzone obrazy z prawdziwego Zachodu. Pośród drewnianych domów wyrastały solidne murowane budowle z czasów, gdy odziani w surduty marzyciele wierzyli, że przed osadą roztacza się świetlana przyszłość. W jednej z nich mieściła się knajpa Laverne'a, w innej bank przejęty już z rąk prywatnych właścicieli, w jeszcze innej można się było zaopatrzyć w artystycznie podniszczone meble. Tu Amy także dała się poznać jako klientka, a rezultatem jej wyprawy był grat obecnie służący mi za biurko. Ciąg zabudowań kończył się stacją benzynową, którą dawno temu przebudowano w stylu górskiej chałupy, i nieco cofniętym od ulicy biurem szeryfa. Przechodząc obok, musiałem się powstrzymać, żeby mu się nie przyglądać. Nie miałem jednak wątpliwości, że prędzej czy później to się we mnie odezwie.

Przeszedłem na drugą stronę i skręciłem w lewo, w ostatnią przecznicę w granicach miasteczka. Wiodła w kierunku lasu i po jej obu stronach ciągnęły się ogrodzenia z wielkimi skrzynkami na listy i bramami, za którymi zaczynały się długie podjazdy do domów. Po dziesięciu minutach dotarłem do skrzynki z tabliczką z napisem: „Jack i Amy Whalenowie”. Nie chciało mi się otwierać bramy i jak poprzednio przeskoczyłem przez płot, nie uwzględniłem jednak dodatkowego ciężaru na plecach i niewiele zabrakło, bym zarył nosem w ziemię. Ostatnio wznowiłem ćwiczenia fizyczne i regularnie biegałem po lesie, który zaczynał się tuż za naszą posiadłością. Początkowe bóle mięśni już ustąpiły i czułem się dużo lepiej, choć moje ciało wciąż nie pozwalało mi zapomnieć, że naprawdę dobrą kondycję miałem rok temu. Wprawdzie nikt nie widział mojej wpadki, ale i tak poczułem się jak oferma i rzuciłem soczystą wiązanekę pod adresem

bramy, że mnie tak wrednie traktuje. Ojciec zawsze twierdził, że martwe przedmioty nas nienawidzą i cały czas knują, jak nam dokuczyć. I chyba się nie mylił.

Ruszyłem wydeptaną ścieżką w stronę budowli nazywanej w umowie dzierżawy naszym domem. Znów zrobiło się zimniej i byłem ciekaw, czy tej nocy spadnie śnieg. Zastanowiłem się też — zresztą nie po raz pierwszy — jak będziemy wtedy dostawać się do domu. Miejscowi mówili o śniegu bez romantycznego błysku w oku, traktując go bardziej jak śmierć czy podatki, których nie da się uniknąć. Facet z agencji nieruchomości napomknął coś o śnieżnym skuterze, nazywając go sprzętem przydatnym w najgorszych miesiącach, my jednak nie mieliśmy śnieżnego skutera ani nie zamierzaliśmy go kupować. W żadnym fragmencie moich życiowych planów nie było miejsca na śnieżny skuter. Zamiast tego robiłem zapasy papierosów, puszek z chili i kapustą kiszoną. Nie bardzo wiem dlaczego, ale kapusta kiszona stanowiła zawsze mój przysmak.

Podjazd do domu wchodził łukiem w lekkie zagłębienie terenu, by zaraz za nim poprowadzić w górę i jakieś osiemset metrów za bramą rozszerzyć się w płaskie podwórze. Dom od tej strony nie wyglądał zbyt atrakcyjnie — parterowa szopa pokryta podniszczonym cedrowym gontem, latem niemal w całości przesłonięta drzewami. Tak właśnie wyglądał na fotografii w Internecie, co wydawało się sielskie i romantyczne. W zimie i prawdziwym życiu przypominał bardziej przeciwatomowy schron sterczący wśród odnóży martwych pajaków. Dopiero wewnątrz okazywało się, że wejście znajduje się na najwyższym piętrze dwuipółkondygnacyjnego budynku i że od strony północnej stoi ogromna szklana tafla, która zastępuje niemal całą ścianę wysokości dwóch pięter i przez którą widać opadające stromo zbocze. Za dnia roztaczał się stąd wspaniały widok na zalesioną dolinę i górujący po drugiej stronie łańcuch Wenatchee Mountains, które dalej płynnie przechodzą w Góry Kaskadowe, ciągnące się aż po terytorium Kanady. Widok był taki, że wchodzący musieli przystanąć oniemiałymi i jak Gary Fisher przez dłuższą chwilę stać w milczeniu.

Z tarasu widać też było staw o średnicy około stu pięćdziesięciu metrów, który należał do liczącej ponad półtora hektara posiadłości. Po południu można było obserwować krążące nad doliną drapieżne ptaki, które z daleka wyglądały jak opadające liście.

Porozkładałem zawartość plecaka do właściwych szafek w kuchni. Na końcu blatu stał aparat telefoniczny z automatyczną sekretarką, której lampka migiała.

— Nareszcie. — Było to pierwsze wypowiedziane głośno słowo, jakie te ściany usłyszały od wyjścia Fishera.

Moja radość była jednak przedwczesna. Sekretarka zarejestrowała dwóch dzwoniących lub dwie próby połączenia tej samej osoby, ale ani jednej wiadomości. Nawymyślałem w duchu żartownisiowi lub żartownisiom i sobie za nieuruchomienie funkcji identyfikacji numeru dzwoniącego. Na aparacie było napisane, że oferuje taką możliwość, ale japońską instrukcję obsługi przetłumaczył jakiś kompletny tuman i samo tylko nagranie powitania wymagało pomocy technicznej specjalistów z NASA. Wiedziałem tylko tyle, że to na pewno nie Amy, bo ona wie, jak mnie wkurzają takie głuche telefony, i nagrała-by przynajmniej coś w rodzaju „Bez wiadomości, o panie”, robiąc to odpowiednio ponurym głosem.

Wziąłem komórkę, nacisnąłem klawisz szybkiego wybierania i umieściłem sobie aparat między ramieniem a uchem, jednocześnie sięgając do lodówki po piwo. Po pięciu dzwonekach znów odezwała się jej poczta głosowa z powitaniem nagrany jej ciepłym, profesjonalnym tonem, którym dziękowała za telefon i obiecywała, że możliwie najszybciej oddzwoni. Zostawiłem wiadomość z prośbą o spełnienie obietnicy. Po raz drugi.

— I byłoby miło, gdyby jak najszybciej — mruknąłem, chowając telefon do kieszeni.

Z piwem w ręku przeniosłem się do mojego gabinetu. Jako osoba utrzymująca dom Amy używała obszerniejszej osobistej jaskini piętro niżej. W mojej mieściły się tylko szafka na podręczną dokumentację,



artystycznie podniszczony stół ze sklepu z antykami i zwyczajnie zniszczone krzesło, które wyciągnąłem z garażu. Jedyнным przedmiotem na stole był mój niezakurzony laptop — każdego ranka przecierałem go rękawem. Nie był też przebity gwoździem, bo nie mieliśmy w domu żadnych gwoździ. Przyciemniłem światło i usiadłem. Otworzyłem pokrywę i laptop ożył, jakby niepomny swych poprzednich doświadczeń. Na ekranie pojawił się program edytora tekstu, w którym jak dotąd nie udało mi się zedytować zbyt wiele tekstu. Część winy spadała na roztaczający się za oknem widok na gąszcz ostrokrzewów i daglezi, na który potrafiłem się gapić całymi godzinami. Wiedziałem też, że gdy spadnie śnieg, mogę w ogóle nie włączać komputera. Było już jednak ciemno i mojej bezczynności nie dało się zwalić na widok, bo poza paroma gałęziami tuż za oknem nic nie widziałem. Może teraz moje palce i umysł wreszcie się odblokują i zaczną z sobą współpracować, przyjdzie mi do głowy jakiś pomysł i przez chwilę w niej gości.

I może pozwoli mi to zapomnieć, że ledwie po miesiącu starań mój mały mózdek był już śmiertelnie tym znudzony.

\* \* \*

Siedziałem przy tym stole dlatego, że dwa lata temu napisałem książkę o pewnych miejscach w LA. Używam słowa „napisałem”, ale tak naprawdę był to album fotograficzny, choć i to określenie jest trochę na wyrost. Zaczęło się od fotografii robionych telefonem komórkowym. Któregoś dnia szedłem gdzieś z nim w ręce i pstryknąłem zdjęcie. Przeniosłem je potem do komputera i okazało się całkiem fajne. Mimo bardzo słabej jakości technicznej widać było drugi plan uchwycony niespodziewanie — zamazany i jakby efemeryczny. Potem ciągle robiłem zdjęcia, które następnie przenosiłem do tego samego pliku i do których dodawałem krótki komentarz. Z czasem opisy stawały się coraz dłuższe i każdej fotografii towarzyszyła stronica tekstu, niekiedy nawet więcej. Któregoś wieczoru zastała mnie

przy tym Amy i oznajmiła, że chciałaby to przeczytać. Zgodziłem się. Nie bałem się, wiedząc, że podejdzie do moich wycopin ze zrozumieniem i sympatią, a poza tym jej opinia i tak specjalnie mnie nie interesowała. Po paru dniach wręczyła mi nazwisko i numer telefonu kogoś pracującego w wydawnictwie artystycznym. Parsknąłem śmiechem, ale ponieważ uparła się, że mam spróbować, bez dalszych ceregieli przesłałem facetowi cały plik i prawie o tym zapomniałem

Zadzwoił po trzech tygodniach i zaproponował dwadzieścia tysięcy dolarów. Bardziej ze zdumienia niż innych powodów powiedziałem: „Jasne, zgoda”. Amy aż pisnęła z radości i zaprosiła mnie na kolację.

Książka ukazała się osiem miesięcy później. Wydano ją w kwadratowej twardej okładce z gruboziarnistym zdjęciem jakiegoś nieciekawego domu w Santa Monica. W moim odczuciu prezentowała się tak fatalnie, że trzeba było mieć źle w głowie, żeby ją wziąć do ręki, nie mówiąc o kupieniu. Okazało się jednak, że „Los Angeles Times” ją zauważył, ukazało się też kilka innych dobrych recenzji i ku memu zdumieniu przez jakiś czas nawet się sprzedawała.

Świat szedł jednak do przodu, a my wraz z nim. Wydarzyły się różne rzeczy, odszedłem z pracy i przeprowadziliśmy się tutaj. Dla wszystkich byłem „tym facetem, który napisał tę książkę”, a to musiało znaczyć, że mam obowiązek zostać facetem, który napisze następną książkę. Tylko że nic mi nie przychodziło do głowy, a brak weny charakteryzował się twardą konsekwencją godną lepszej sprawy — tak twardą, jakby unikanie mnie było jej głównym życiowym celem.

\* \* \*

Po paru godzinach przeniosłem się do salonu. Wypiłem w tym czasie jeszcze trochę piwa, ale w niczym mi to nie pomogło. Siedziałem na środku sofy, nurzając się w ponurym otepieniu typowym dla kogoś, komu nie udało się wyczarować czegoś z niczego. Wiedziałem,

że powinienem otworzyć pudło z „materiałami źródłowymi”, jakie bez większego przekonania odkładałem na stertę. Zdawałem sobie jednak sprawę, że jeśli po przejrzeniu wycinków nic się nie zmieni, pozostanie mi już tylko spacer do miasteczka, kupno paru solidnych długich gwoździ i zrealizowanie planu A. Tyle że laptop nie wyrządził mi żadnej świadomej krzywdy i nie byłem jeszcze gotów go mordować.

Wyjąłem z paczki na stole niezasłużonego „papierosa na koniec pracy” i wyszedłem na taras. Przestałem palić w pomieszczeniach zamkniętych, od kiedy ożeniłem się z Amy. Początkowo nawet się z tym godziła, zwłaszcza że kiedyś — długo przed naszym poznaniem — sama miała krótką przygodę z tytoniem, ale szybko zaczęła używać różnych odświeżaczy powietrza i unosić brwi na widok zapalanego papierosa. Czyli łagodnie, miło i dla mojego dobra. Te nowe ograniczenia nawet mi specjalnie nie przeszkadzały. W pracy mogłem palić do woli, a odwiedzający nas w domu goście nie mogli się już mnie czepiać, że wpędzam ich do grobu jako biernych palaczy. W sumie życie stało się znośniejsze.

Oparłem się o barierkę. Panowała cisza, jeśli nie liczyć łagodnego szumu drzew. Niebo nad głową było bezchmurne, zimne i granatowe. W powietrzu unosił się zapach jodeł i dymu z dalekiego ogniska — pewnie od naszych sąsiadów Zimmermanów. Było nam tu dobrze i miałem tego świadomość. Mieszkaliśmy w fajnym domu, okolica wydawała się dzika i pewnie od lat niewiele się tu zmieniło. Birch Crossing było prawdziwe i nie sadiło się na udawaną autentyczność: po drogach jeździły zarówno pick-upy, jak i SUV-y, a jeśli ktoś chciał, to mógł sobie kupić bardzo fikuśny szpadel. Do domu Zimmermanów mieliśmy pięć minut samochodem i już dwa razy wpadliśmy do nich na kolację. Oboje byli emerytowanymi profesorami historii z uniwersytetu Berkeley i podczas naszego pierwszego spotkania rozmowa zbytnio się nie kleiła, cudowne właściwości whisky single malt spowodowały jednak, że nasza druga wizyta przebiegła już gładko.

Jak na ludzi po siedemdziesiątce oboje zdawali się bardzo zwawii — Bobbi ładowała do odtwarzacza kompaktów piorunującą mieszankę od Mozarta po Sparklehorse, a czarne włosy Bena były niemal zupełnie pozbawione siwizny. Od tamtej pory gawędziliśmy ze sobą przyjaźnie przy okazji przypadkowych spotkań, choć podejrzewałem, że jego żona ocenia mnie trochę surowo.

A jednak równo tydzień temu, gdy tak jak dziś stałem na tarasie, wydarzyło się coś dziwnego.

Obserwowałem przez okno Amy siekającą jarzyny i mieszającą w rondlu na palniku, z którego rozchodził się zapach pomidorów, kaparów i oregano. Było dopiero wczesne popołudnie i światło dzienne pozwalało podziwiać zarówno widoki, jak i dom od jego lepszej strony, a także żonę, która zamiast siedzieć w pracy do dziewiętej wieczorem, z widocznym zaangażowaniem zajmowała się szykowaniem farszu do zapiekank na kolację. Było na co popatrzeć z lewa i z prawa, z tyłu i z przodu. Tego dnia rano przyszedł mi nawet do głowy pewien pomysł dający cię nadziei, że może urodzić się z tego następna książka. Wszystko grało i dziewięćdziesiąt procent ludności świata bez wahania zamieniłoby się ze mną miejscami.

A potem przez chwilę zrobiło się tak, jakby chmura przesłoniła świat. Początkowo nie bardzo się orientowałem, co czuję, i dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że nie wiem, gdzie jestem. Nie chodzi mi o nazwę miejscowości — nie pamiętałem nawet, w jakim jestem stanie. Nie pamiętałem, co się ze mną działo ani kiedy, nie miałem też pojęcia, skąd się tu wzięłem i od jak dawna tu jestem. Dom wyglądał obco, drzewa sprawiały wrażenie, jakby je ktoś powsadzał w ziemię, gdy tylko się na moment odwróciłem. Kobieta za wielką szybą była kimś zupełnie obcym, wykonywała jakieś dziwne ruchy.

Kim ona jest? Dlaczego stoi z nożem w ręku? I dlaczego przygląda mu się tak, jakby nie wiedziała, co z nim zrobić? Uczucie było zbyt wszechogarniające, bym je uznał za napad paniki, i poczułem, jak włoski na karku stają mi sztorcem.

Zamrugalem i rozejrzałem się, próbując zaczepić wzrok na czymś konkretnym. Na pewno nie zareagowałem w ten sposób na moje nowe, nieznanne otoczenie. Mnóstwo podróżowałem i byłem już śmiertelnie znudzony Los Angeles. Ostatnio źle sypiałem i czułem zmęczenie, ale to też nie mogło być przyczyną. Podobnie jak nachodzące mnie czasami zwidy. Nie czułem żalu ani winy, w zasadzie nie czułem nic konkretnego.

Po prostu coś było nie tak.

A potem chmura odpłynęła i wszystko wróciło do normy. Jakby się nic nie stało. Amy spojrzała przez szybę i mrugnęła do mnie porozumiewawczo. Bez wątpienia była tą kobietą, którą kochałem. Odpowiedziałem uśmiechem i odwróciłem się twarzą ku dolinie, by dokończyć papierosa. Las znów wyglądał zupełnie normalnie.

Kolacja była smaczna i z zainteresowaniem wysłuchałem opowieści Amy o jej nowych obowiązkach. Amy pracuje w branży reklamowej, pewnie wiecie, o co w tym chodzi. Wszystko sprowadza się do tego, żeby namawiać ludzi do wydawania pieniędzy, by ktoś zupełnie im obcy mógł sobie kupić jeszcze większy dom. W tym sensie przypomina to przestępczość zorganizowaną, tylko godziny pracy są dłuższe. Powiedziałem to kiedyś Amy, proponując, żeby zaczęli namawiać klientów, by ci machnęli ręką na badania konsumenckie i reklamy i zastąpili je wymuszaniem pożądaných zachowań przy użyciu bezpośrednich grózb pod adresem konsumentów lub ich majątku. Poprosiła, żebym nigdy tego nie powtórzył w obecności jej kolegów z pracy, bo mogliby to potraktować serio.

Jej nowy zakres obowiązków miał dla nas istotne znaczenie, gdyż dzięki stanowisku dyrektora kreatywnego całego firmowego imperium — z oddziałami w Seattle, Portland i San Francisco oraz centralą w Los Angeles — mogliśmy się wynieść z LA. Stanowisko dawało jej — dziewczynie urodzonej i wychowanej w Kalifornii — ogromną szansę, a jednocześnie pozwalało utrzymywać bliski kontakt z rodziną,

która wciąż mieszkała w rodzinnym mieście. Twierdziła wprawdzie, że do przeprowadzki w dużej mierze skłoniła ją znacząca podwyżka pensji, ja jednak wiedziałem, że nigdy nie była niewolnicą pieniędzy. Wiedziałem, że zrobiła to głównie dla mnie, by umożliwić mi wyniesienie się z LA. Przy deserze czasem nawet oznajmiałem, że jestem jej za to wdzięczny.

Przewracała oczami i mówiła, żebym się nie wygłupiał, ale przyjmowała mój pocałunek z wdzięczną miną.

\* \* \*

Skończyłem papierosa i wyciągnąłem z kieszeni komórkę, aby sprawdzić, która godzina. Było już wpół do dwunastej. Do obowiązków służbowych Amy należały częste kolacje z klientami — szczególnie teraz — mogła więc nie dotrzeć jeszcze do hotelu. Byłem pewien, że odsłucha moją wiadomość od razu, gdy tylko będzie mogła. Ale przez cały dzień nie miałem z nią kontaktu i naprawdę brakowało mi już jej głosu.

Właśnie miałem wybrać jej numer, gdy telefon sam zaćwierkał, a na wyświetlaczu pojawił się komunikat: „Amy komórka”. Uśmiechnąłem się na myśl, że nasze intencje tak się zbiegły w czasie, i przytknąłem telefon do ucha.

— Hej! — rzuciłem. — Praca, praca.

Ale głos po drugiej stronie nie należał do mojej żony.

## Rozdział piąty

— Kto mówi?

Głos był męski i brzmiał głośno i zadziornie. I do numeru Amy zupełnie nie pasował.

— Tu Jack — odparłem, co musiało zabrzmieć idiotycznie. — A kto...

— To dom?

— Co? Kim pan jest?

Głos coś wymamrotał, co mogło być nazwiskiem, ale mnie przypomniało przypadkowy ciąg sylab.

— Co? — spytałem ponownie, a on znów odpowiedział coś po polsku, rosyjsku czy marsjańsku. Albo go dusił atak kaszlu. W tle było słyhać jakieś hałasy. Chyba ruch uliczny.

— To jest dom?

— O co panu chodzi? Co pan robi z telefonem...

Ale facet miał tylko jedno pytanie i nie zamierzał z niego rezygnować.

— To jest ten numer, co jest napisane „dom”?

W końcu coś mi zaczęło świtać.

— Tak — powiedziałem. Zaczynałem rozumieć, o co chodzi. — To jest numer zapisany w telefonie mojej żony jako „dom”. Ale gdzie jest...

- Znalazłem w taksie.
- Rozumiem. Kiedy go pan znalazł?
- Piętnaście minut nazad. Dzwonię jak dobry sygnał. Tu telefony nie za dobre.
- Telefon należy do kobiety — rzekłem głośno i wyraźnie. — Krótkie blond włosy, ubrana prawdopodobnie w kostium. Wiózł pan niedawno taką pasażerką?
- Cały dzień. Cały dzień takie wożę.
- A dziś wieczorem?
- Może. Ona tam jest? Ja z nią rozmawiam?
- Nie, ja nie jestem w Seattle. Ona jest i pan jest, ale ja nie.
- Aha, okay. No to... ja nie wiem. To co pan chce?
- Proszą chwilę poczekać — rzuciłem. — Niech się pan nie rozłącza.

Zbiegłem na dół do gabinetu Amy. Na samym środku płaskiego ekranu monitora tkwił samoprzylepny karteluszek z nazwą hotelu. Tak, hotel Malo.

W słuchawce słychać było głośne wycie syreny policyjnej i musiałem odczekać, aż przejedzie.

- Hotel Malo — powiedziałem. — Zna go pan?
- Pewno — odparł. — W centrum.
- Może go pan tam zawieźć? Czy może pan zawieźć telefon do hotelu i oddać w recepcji?
- Kawał drogi.

— Nie wątpię. Ale proszę go oddać w recepcji i powiedzieć, żeby zadzwonili do tej pani. Nazywa się Amy Whalen. Zapamięta pan?

Burknął coś, co mogło przypominać nazwisko Amy. Parę razy je powtórzyłem i dwukrotnie przeliterowałem.

— Proszę go tam zawieźć, dobrze? Ona panu zapłaci. Zadzwonię do niej i uprzedzę, że jest pan w drodze. Tak? Proszą go zawieźć do hotelu.

- Okay — powiedział. — Dwadzieścia dolców.

\* \* \*



Rozłączył się, a mnie jeszcze przez chwilę serce waliło jak młot. Ale przynajmniej wiedziałem, co jest grane. Amy nie zareagowała na moją wiadomość, bo jej nie odsłuchiła, a ja na tej podstawie mogłem wyliczyć, o której mniej więcej zgubiła telefon. No więc o której? Gdzieś tak około dziewiątej. Ale mogła go też zgubić wcześniej i postanowić, że mi o tym opowie dopiero po powrocie do hotelu. Tak czy inaczej, zakładając, że to wszystko prawda, powinienem ją uprzedzić o wizycie taksówkarza. Złodzieje telefonów komórkowych czasem dzwonią do domu i udając uczciwego znalazcę, uspokajają właściciela, że telefon się znalazł. Powstrzymują go w ten sposób od zablokowania numeru, po czym korzystają z niego do woli, aż do chwili umówionego zwrotu właścicielowi, kiedy po prostu wyrzucają go do śmieci. Jeśli i tym razem tak było, niewiele mogłem poradzić. Przecież nie mogłem zgłosić kradzieży telefonu Amy, dopóki z nią nie porozmawiam. Na karteczce nie zapisała numeru telefonu hotelu, co mnie nie zaskoczyło, bo podczas jej wyjazdów zawsze dzwoniliśmy do siebie na komórki. Dlatego zresztą mój numer komórkowy figurował w jej spisie jako „dom”.

Odnalezienie hotelu Malo w Internecie zajęło mi dziesięć sekund. Zadzwoń i cierpliwie wysłuchałem obowiązkowo ciepłego powitania recepcjonisty, w którym znalazły się nawet specjalności dnia w restauracji hotelowej polecane dziś przez szefa kuchni. Skończył i poprosiłem o połączenie z Amy Whalen. Chwila cichego stukania w klawiaturę i grzeczna odpowiedź recepcjonisty: „Niestety, nie mogę, proszę pana”.

— Jeszcze nie wróciła? — Rzuciłem okiem na zegar. Dochodziła już północ. Choćby nie wiem jak ważny klient, trochę późno. — Dobrze, proszę mnie przełączyć na pocztę głosową.

— Przykro mi, proszę pana. Miałem na myśli to, że nie mieszka u nas nikt o tym nazwisku.

Rozdziawiłem usta, potem je zamknąłem. Czyżbym pomylił daty?

— O której się wymeldowała?

Znów szmer klawiatury. Gdy recepcjonista się odezwał, w jego głosie pobrzmiwała już nutka nieufności.

— W rejestrze nie mamy rezerwacji na takie nazwisko, proszę pana.

— Na dzisiaj?

— Na cały ubiegły tydzień.

— Ale jest w mieście już od dwóch dni — wyjaśniłem cierpliwie.

— Przyjechała we wtorek i zostanie tam do piątku rano. Do jutra.

Recepcjonista milczał.

— Mógłby pan sprawdzić nazwisko Amy Dyer?

Przeliterowałem mu „Dyer” — nazwisko, którym posługiwała się przed naszym ślubem. Można było sobie wyobrazić, że ktoś w jej biurze się pomylił i parę lat po ślubie zrobił rezerwację na jej panieńskie nazwisko. Warto było spróbować.

Szmer klawiatury.

— Nie, proszę pana. Dyer też nie ma.

— A proszę spróbować Kerry, Crane & Hardy. To nazwa jej firmy.

Szmer klawiatury.

— Też nic nie ma, proszę pana.

— I w ogóle się u was nie zatrzymała?

— Czy mogę być jeszcze w czymś pomocny, proszę pana?

Nie przychodziło mi już nic do głowy. Recepcjonista odczekał jeszcze chwilę, potem podał adres internetowy grupy hotelowej i rozłączył się.

\* \* \*

Odczepiłem karteluszek od ekranu monitora. Pismo Amy jest tak wyraźne, że da się je odczytać z satelity przelatującego po niskiej orbicie. Było napisane „hotel Malo”.

Zadzwoiłem ponownie, poprosiłem o połączenie z działem rezerwacji i raz jeszcze sprawdziłem wszystkie trzy możliwości, potem w ostatniej chwili poprosiłem o przełączenie do recepcji. Tym razem odebrała kobieta, którą poinformowałem, że wkrótce zjawi się tam

ktos z telefonem komórkowym. Poprosiłem ją o odebranie go w moim imieniu i wypłacenie taksówkarzowi dwudziestu dolarów z mojej karty kredytowej, której numer jej podałem.

Potem zasiadłem do komputera, wszedłem do sieci i przejrzałem listę hoteli o nazwach zbliżonych do Malo. Natrafiłem na hotel Monaco, zaledwie parę ulic dalej. Ze strony internetowej wynikało, że to dokładnie tego typu hotel, w jakich Amy lubi się zatrzymywać: niekonwencjonalny wystrój, restauracja hotelowa specjalizująca się w przepisach kuchni cajuńskiej i różne takie. Także powitalna złota rybka w pokoju, cokolwiek by to, kurwa, znaczyło.

Raz jeszcze przyjrzałem się karteczce. Na upartego mogłoby to być Monaco — pod warunkiem że napisał to ktoś ogromnie się spieszący lub cierpiący na embolie. Ale mogłoby też znaczyć, że się przesłyszała, kiedy ktoś do niej zadzwonił z biura i podał nazwę hotelu, a ona ją błędnie zapisała. Mal-o/Monac-o. No, może.

Zadzwoniłem do Monaco i trafiłem na kogoś żywego i uczynnego. Recepcjonistka bardzo kompetentnie i z żalem poinformowała mnie, że moja żona nie jest i nigdy nie była gościem w ich hotelu. Podziękowałem i odłożyłem słuchawkę. Zachowywałem całkowity spokój, jakby to wszystko miało jakiś sens. Jakbym rzeczywiście źle odczytał pismo Amy albo jakby ona rzeczywiście się przesłyszała w rozmowie z asystentką i zapisała nazwę hotelu naprawdę istniejącego, i to parę ulic dalej w tym samym mieście.

Wstałem od komputera, splotłem dłonie i powyginałem palce w stawach. Dom zdawał się otaczać i rosnać wokół mnie. Z góry usłyszałem cichy hurgot, jakby lodówka wypluła z siebie nową porcję kostek lodu.

Nie mam zbyt wybujałej wyobraźni i zdarzające mi się przebłyski intuicji zwykle mają jakieś oczywiste podstawy, choćby oparte na retrospekcji, w tym momencie poczułem się jednak zupełnie wytrącony z równowagi i bezradny — tak jak tydzień wcześniej na tarasie.

Było już po północy. Po raz ostatni rozmawiałem z żoną wczoraj około jedenastej wieczorem. Krótka wymiana zdań między dwojgiem kochających się ludzi: jak ci minął dzień, a jak tobie, krótki przegląd spraw do załatwienia, buziaczki, dobranoc. Wyobrażałem ją sobie, jak siedzi po indiańsku na rozesłanym łóżku, dzbanek kawy stoi na nocnym stoliku albo go właśnie niosą, jej eleganckie, drogie i zapewne pijące w stopy pantofle szurnięte gdzieś na środek — a wszystko to w pokoju hotelowym Malo.

Tylko że jej tam wcale nie ma.

Położyłem dłoń na myszce, z wahaniem wyszukałem plik jej osobistego organizera i dwukrotnie kliknąłem. Czułem się jak intruz, ale musiałem się upewnić. Na ekranie ukazała się stroniczka z bieżącym tygodniem, w którym przez cztery dni ciągnęła się kreska z napisem „Seattle”. Kolejne dni były wypełnione służbowymi spotkaniami i śniadaniem, lunchami i kolacjami z klientami. Z wyjątkiem dzisiejszego wieczoru. Dziś od osiemnastej trzydzieści miała wolne.

No to dlaczego wtedy nie zadzwoniła?

Były te dwie próby połączenia z numerem stacjonarnym, ale Amy zawsze dzwoniła na komórkę. Wiedziała, że mam być w domu i pracować, ale doskonale się orientowała, że moje biurko i ja działamy na siebie jak dwa magnesy o takich samych biegunach i że równie dobrze mogą być gdzie indziej. A poza tym Amy zawsze zostawiała wiadomość. Miała dość zdecydowane preferencje w kwestii hoteli i mogło się zdarzyć, że zameldowała się w Malo, coś jej się tam nie spodobało i przeniosła się gdzie indziej. Nie wspomniała o tym, uznając, że nie ma o czym mówić, a na naszą łączność i tak to nie wpłynie. Kilka kolejnych spotkań jedno po drugim, jednoosobowy stolik w jakiejś najmodniejszej w tym tygodniu knajpie w Seattle i przeglądanie podczas jedzenia wyników badań konsumenckich. Telefon do Jacka może poczekać do czasu, gdy już dotrze do swojego pokoju. W drodze powrotnej wypada jej komórka i zostaje w taksówce. W hotelu Amy

natyka się na kolegę z pracy i idzie z nim do baru na kieliszek wina. Mniej więcej o tej porze dociera wreszcie do pokoju, sięga do torebki po telefon i myśli: o cholera!

No, może.

Rozejrzałem się po jej biurku. Miejsca pracy innych ludzi są jak pozostałości po dawnych cywilizacjach. Nie sposób zrozumieć, dlaczego coś leży tu, a coś innego gdzie indziej. Jest tak nawet u Amy, u której zawsze panuje wzorowy porządek, a biurko wygląda jak na reklamie producenta artykułów biurowych. Tym razem też tak było i jej biurko wyglądało jak miejsce, do którego zaraz ktoś wróci. I jedynie jej palmtop tkwił w gnieździe ładowarki. Amy jest jedyną znaną mi osobą, która nie tylko ma osobisty organizator, ale naprawdę z niego korzysta. Używa go jako podręcznego komputera, notatnika, kalendarza i książki adresowej i zagląda do niego dwadzieścia razy dziennie. Gdy wyjeżdża służbowo, zawsze zabiera go z sobą.

A jednak tym razem został na biurku. Wyjąłem go z gniazda i włączyłem. Na ekranie ukazała się taka sama strona jak ta w komputerze. Ale także listy spraw do załatwienia, przymiarki do haseł reklamowych. Odłożyłem go na miejsce. Postanowiła wziąć z sobą jedną rzecz mniej. Wielkie rzeczy. Amy jest zorganizowana. W jej świecie każda rzecz ma swoje miejsce, którego się pilnuje, żeby jej nie podpaść.

Tylko że dziś wieczorem jej samej nie było we właściwym miejscu.

I co teraz? Sprawa telefonu była zamknięta. Podjąłem wszelkie możliwe próby porozmawiania z nią, ale bez efektu. Prawdopodobnie wszystko to nic nie znaczyło. Rozsądek podpowiadał, że wkrótce zadzwoni telefon i że usłyszę w nim zmęczony i przeprasający głos Amy, która mi przedstawi długą opowieść o gehennie przeżytej z powodu pomyłki w rezerwacji hotelowej i zgubienia komórki. Niemal miałem już w uszach jego tryl i zaczynałem się zastanawiać, czy na czas oczekiwania nie wyjść na taras i nie zapalić. Albo po prostu położyć się do łóżka.

Nie zrobiłem ani jednego, ani drugiego. Przeszedłem do salonu i opuściwszy ręce, stanąłem przed wielkim oknem. Mijały minuty, a ja trwałem w bezruchu. Wokół panowała cisza — tak głucha z powodu niedzwoniącego telefonu, że po chwili szmer krwi w moich żyłach zaczął brzmieć niepokojąco głośno. Narastał i coraz bardziej przypominał szum opon na mokrej nawierzchni. Samochodu, który był jeszcze daleko, ale który coraz bardziej się zbliżał.

Nie mogłem się uwolnić od głupich myśli, że coś jej się stało. Że znalazła się w niebezpieczeństwie. Wpatrując się poprzez swoje odbicie w szybie w ciemne kształty na tle granatowoczarnego nieba, nie potrafiłem się pozbyć wrażenia, że ten nieznanym samochód jedzie prosto na mnie.

Że zawsze byłem jego celem i że właśnie nadszedł jego czas, a dziś jest ta noc, kiedy pod niego wpadnę.

## Rozdział szósty

Oz Turner siedział w starannie wybranym miejscu tuż obok wejścia, dzięki czemu przed wzrokiem pozostałych gości Blizzard Mary był zasłonięty wieszakiem na okrycia. Miał stąd dobry widok na parking zastawiony samochodami osobowymi i półciężarówkami, które łączyło to, że wszystkie były mocno zdezelowane. Szykując się do spotkania, dwukrotnie odwiedził bar wczoraj i wiedział, że w porze lunchu schodzą się tu pracownicy okolicznych biur i młode matki z dziećmi, wieczorem klientelę stanowili samotni mężczyźni i nieliczne pary w średnim wieku, popijający swoje drinki w przyjaznym milczeniu. Na zewnątrz czekały na nich auta, jak stare wyliniałe psy porzucone w zapadającym mroku. Za parkingiem ciągnęła się główna droga miasteczka Hanley, przez które kilka ulic dalej, po drugiej stronie zadbanego starego centrum, przepływała szeroka wstęga wody. Albo już Missisipi, albo jej dopływ Black River. Oz nie miał pewności i było mu to obojętne.

Dla zachowania pozorów siedział nad kuflem piwa. Zamówił jeden z miejscowych piwnych specjalów, ale prawie go nie tknął. Powodem były nie tylko nerwy. W ciągu minionego roku jego zwyczaje bardzo się zmieniły. Kiedyś był kimś w rodzaju smakosza ilości. Do filiżanki sypał trzy pełne łyżki maxwell house. Zamawiał olbrzymie

porcje jedzenia i choć zwracał uwagę na ich smak, głównie radowała go sama ilość. To się teraz zmieniło i gdy po pewnym czasie przysła kelnerka i zabrała prawie pełen talerz, bez żalu się z nim rozstał.

Znów zerknął na zegarek. Było już dobrze po północy. W barze panował półmrok rozprasany jedynie lampkami i neonowymi reklamami piwa. Telewizor był włączony, ale dźwięk ściszony. W barze zostało już tylko dziesięć, może piętnaście osób i Oz postanowił, że poczeka jeszcze kwadrans i sobie pójdzie.

Dokładnie w tym momencie zobaczył zajeżdżający na parking samochód.

\* \* \*

Mężczyzna był ubrany w stare dżinsy i podniszczoną kurtkę Raidersów. Roztaczał wokół siebie aurę człowieka pędzącego życie na rozległych równinach, głównie w otoczeniu maszyn rolniczych. Oczywiście żadnych Raidersów nigdzie w pobliżu nie było, ale geografia w takich sprawach stała się już kwestią umowną. Tyle że równie dobrze — jak to sobie nagle uprzytomnił — kurtka miała być sygnałem rozpoznawczym dla niego. Odwrócił głowę do okna i obserwował odbicie przybysza w szybie.

Mężczyzna podszedł do baru i zamówił piwo, zagadując przyjaźnie do stojących przy bufecie. A potem ruszył prosto w stronę jego stołu. Najwyraźniej wypatrywał go w lustrze nad barem, dzięki czemu mógł udawać, że dołącza do kogoś znajomego bez rozglądania się po sali.

Oz odwrócił głowę i spojrział na mężczyznę w chwili, gdy ten wsuwał się na siedzenie po drugiej stronie stołu.

— Pan Jones?

Mężczyzna kiwnął głową i przyjrzał się Ozowi. Oz czuł, co sobie teraz myśli. Że ma przed sobą mężczyznę wyglądającego o dziesięć lat starzej i ważącego trzydzieści kilo więcej, niż powinien, którego pucułowate policzki pokrywa siwa szczecina, a wymięty gruby płaszcz



wygląda tak, jakby przez noc służył za legowisko dużemu psu.

— Cieszę się, że zgodził się pan na to spotkanie — powiedział mężczyzna. — Ale jestem też trochę zdziwiony.

— Dwóch facetów w barze — odrzekł Oz. — Poza nimi nikt nic nie wie. A e-maile zawsze zostawiają ślad. Nawet po ich śmierci.

Mężczyzna pokiwał głową.

— Jak zechcą pana znaleźć, to znajdą.

Oz aż za dobrze o tym wiedział, bo w zeszłym roku sam stał się „ich” celem, choć wciąż nie bardzo wiedział kim „oni” są. Udało mu się wyrównać wyrządzone przez nich szkody, nim wymknęło się to spod kontroli, ale i tak doszedł do wniosku, że pora wynieść się z miasta. Od tej pory wciąż był w drodze. Zostawił za sobą pracę w niedużej lokalnej gazecie i garstkę osób, które mógł nazywać przyjaciółmi, i zapadł się pod ziemię. Tak było lepiej.

Oczywiście Jones o tym nie wiedział. Za to doskonale się orientował, że każdy e-mail, każda wiadomość i każdy ściągnięty plik trafiają gdzieś na jakiś serwer. Urządzenia techniczne nic nie widzą, jeszcze mniej rozumieją, ale pamięć mają perfekcyjną. Anonimowość w Internecie to fikcja i prędzej czy później wielu solidnych obywateli odkryje, że ani ich e-maile wysyłane do kochanek, ani godziny spędzane na oglądaniu czyjejs nagości nie są ich prywatną sprawą. Że cały czas są obserwowani. Sieć to nie wielka piaskownica, lecz ruchome piaski, które mogą człowieka wessać.

— Ale dlaczego Hanley? — spytał, rozglądając się. Para siedząca w sąsiedniej łóży zażarcie się sprzeczała. Szeptem czynili sobie gorzkie wymówki, które nie miały żadnego związku ze słowami wypowiedzianymi przed chwilą przez drugą stronę. — Znam trochę Wisconsin, ale o Hanley nigdy nie słyszałem.

— Bo akurat tu jestem — odparł Oz. — Nic więcej. Skąd pan miał mój adres e-mailowy?

— Słyszałem pański podcast\*. To spowodowało, że postanowiliśmy się z panem skontaktować. Trochę poniuchaliśmy i udało się. Nic wielkiego.

\* Podcast — plik audio najczęściej wgrany na iPod (stąd nazwa) i odsłuchiwany w ruchu.

Oz skinał głową. Gdy mieszkał na wschodzie, prowadził nocną audycję radiową i choć po wyniesieniu się z miasta musiał oczywiście przestać, w ciągu ostatnich miesięcy zaczął nagrywać na laptopa różne swoje przemyślenia i wprowadzać do sieci. W ten sposób znów zaistniał. Takich jak on było więcej i wszyscy robili to samo.

— Odrobinę mnie niepokoi — powiedział — że udało wam się ustalić mój adres e-mailowy.

— Powinno pana bardziej niepokoić, gdyby nam się nie udało. Bo znaczyłoby to, że ma pan do czynienia ze zwykłymi amatorami, prawda?

— I co pan ma mi do powiedzenia?

— Zacznijmy od pana — odrzekł Jones. — To, co pan zawarł w swoim podcaście, było dość enigmatyczne. W moim e-mailu umieściłem trochę konkretów, dałem do zrozumienia, co wiemy. Teraz kolej na pana.

Oz nie był pewien, jak powiedzieć, o co chodzi, a jednocześnie nie odkryć wszystkich kart. Wypił łyk piwa, odstawił kufel i spojrzał mężczyźnie prosto w oczy.

— Neandertalczycy używali prostych fletów — powiedział. — Dlaczego?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— Żeby wygrywać melodie.

— To tylko odwrócenie pytania. Dlaczego uważali, że odtwarzanie pewnych dźwięków jest ważne, skoro znajdowanie pożywienia stanowiło wystarczająco trudne wyzwanie?

— No to dlaczego?

— Bo dźwięk jest ważny w sposób, o jakim już zapomnieliśmy. Przez miliony lat dźwięku nie dawało się utrwalić. Teraz już to umiemy,

więc skupiamy się na takich rodzajach dźwięku, które przemawiają do nas w sposób oczywisty. Ale muzyka to ślepy zaułek. Nawet mowa nie jest ważna. Wszystkie gatunki na kuli ziemskiej porozumiewają się z sobą takim czy innym ćwierkaniem lub szczekaniem. Dlaczego więc my potrzebujemy tysięcy słów?

— Bo nasz wszechświat jest bardziej złożony od wszechświata psa.

— Ale tylko dlatego, że umiemy mówić, a nie na odwrót. Nasz świat jest tak pełen odgłosów mowy, radia, telewizji czy gadaniny, że zapominamy, dlaczego panowanie nad dźwiękami było kiedyś takie ważne.

— Mianowicie?

— Mowa wykształciła się z prehistorycznych rytuałów religijnych, powstała ze śpiewnego zawodzenia. Pytanie natomiast, dlaczego zawodziliśmy. Z kim staraliśmy się porozumieć.

Na twarzy mężczyzny pojawił się cień uśmiechu.

— Wystarczy spojrzeć na prehistoryczne pomniki w Europie, by dojść do wniosku, że dźwięk odegrał ogromną rolę w ich powstaniu. Newgrange. Carnac. Choćby Stonehenge. Zewnętrzne powierzchnie kamieni są chropowate, ale wewnętrzne wygładzone. Po to, żeby przewodzić dźwięki. Określone częstotliwości dźwięku.

— Stare czasy, Oz. Któż może wiedzieć, o co tym ludziom chodziło. I dlaczego miałyby to nas obchodzić?

— Niech pan poczyta *Syntagma musicum*, stary traktat o instrumentach muzycznych Praetoriusa. W szesnastym wieku wszystkie wielkie organy katedralne w Europie zawierały blisko dziesięciometrowe piszczałki, monstra emitujące poddźwięki. Dźwięki tak niskie, że ludzkie ucho ich nie słyszy. Więc po co? Chyba że te ultradźwięki służyły do czego innego. Dlaczego ludzie w kościele czują się tak, jakby mieli kontakt z zaświatami? I dlaczego tak wiele rodzajów medycyny alternatywnej skupia się teraz na drganiach, czyli innym sposobie kwantyfikowania dźwięku?

— No, słucham — powiedział cicho Jones.

— Bo opowieść o murach Jerycha dotyczy zburzenia dźwiękiem nie dosłownych murów z kamienia, ale murów w przenośni. Murów między jednym a drugim miejscem. W dźwięku nie chodzi tylko o słyszenie, ale i o widzenie.

Mężczyzna pokiwał wolno głową, jakby się z tym zgadzał.

— Słyszę, co pan do mnie mówi, przyjacielu, głośno i wyraźnie.

Oz odchylił się do tyłu.

— Starczy?

— Na tę chwilę. Idziemy tą samą drogą, to pewne. Zaciekał mnie pan. A skąd się pan o tym wszystkim dowiedział?

— Parę lat temu na konferencji poznałem pewnego faceta. Na takim niedużym zjeździe miłośników zjawisk paranormalnych w Teksasie.

— WeirdCon?

— Właśnie. Utrzymaliśmy potem kontakt. Miał pewne pomysły i w wolnych chwilach zaczął nad nimi pracować. Coś tam budował. Od czasu do czasu wysyłaliśmy sobie e-maile, dzieliłem się z nim moimi badaniami nad prehistorycznymi analogiami. A potem, jakiś miesiąc temu, nagle zamilkł i kontakt się urwał.

— Pewnie wszystko u niego w porządku — powiedział mężczyzna.

— Czasami ludzi coś wystraszy i na jakiś czas chowają się pod ziemię. Rozmawialiście o tych sprawach publicznie?

— Skąd! Zawsze w cztery oczy.

— Nie wspominał pan o tym w e-mailach do innych?

— Nigdy.

— Bo nigdy nie wiadomo, kiedy „oni” mogą słuchać, prawda?

Był to jednocześnie żart i nie żart i Oz odchrząknął. Wśród ludzi poszukujących prawdy temat „ich” był dość złożony. Oczywiście wszyscy się zgadzali, że „oni” istnieją, bo tylko tak można tłumaczyć

wiele niepojętych wydarzeń na świecie, ale jednocześnie mieli świadomość, że powołując się na „nich”, wyglądają trochę głupio. Dlatego jedni brali przydech i umieszczali „ich” w wyraźnym cudzysłowie, inni mówili o NICH głośno i z naciskiem, jakby wersalikami, dzięki czemu nie było do końca wiadomo, czy mówiący jest świrem, czy tylko sobie pokpiwa. Słyszając w jego głosie nieco ironiczny cudzysłów, Oz pomyślał, że facet jest chyba w porządku.

— I tak jest — odrzekł, podejmując rzuconą rękawicę. — Po prostu nigdy nic nie wiadomo. Nawet jeśli „oni” naprawdę nie istnieją.

Mężczyzna się uśmiechnął.

— Pogadam z przyjaciółmi i zorganizuję spotkanie. Cieszę się, Oz, z naszego poznania. Od dawna czekaliśmy na kontakt z kimś takim jak pan.

— Też czekałem — odparł Oz i przez moment poczuł się bardzo samotny.

— Wkrótce się odezwiemy. A na razie proszę na siebie uważać — rzekł Jones, wstając od stołu.

\* \* \*

Oz patrzył przez okno, jak mężczyzna wsiada do samochodu, wyjeżdża z parkingu i kieruje się w stronę autostrady, następnie powoli dopił piwo. Tym razem nigdzie mu się nie spieszyło i nawet przez chwilę poczuł się tak, jakby w tym barze po prostu siedział, a nie tylko się ukrywał. Stojący przy bufecie rozmawiali i śmiali się, kłócąc się para za przegrodą teraz już przyjaźnie gawędziła, a ręka kobiety ciasno obejmowała szyję mężczyzny. Oz życzył im w duchu powodzenia.

Gdy w końcu wyszedł na dwór, była już ciemna noc, a po opustoszałych ulicach hulał zimny wiatr. O tej porze normalni ludzie są już w domach i śpią i Oz postanowił zrobić to samo. Za dom musiał mu wystarczyć bezosobowy motel na skraju miasteczka, ale nawet taki dom jest lepszy od żadnego.

Po drodze zaczął dumać nad poznanym dziś człowiekiem i tym, kogo mógł sobą reprezentować. Istniały liczne grupy ludzi interesujących się sprawami nie do końca wyjaśnionymi, starających się dociec ukrytej prawdy. Maniacy na punkcie zabójstwa JFK, którzy spotykali się co miesiąc i godzinami ślęczeli nad fotografiami z sekcji zwłok Kennedy'ego. Ci, co mieli świra na punkcie zamachu z 11 września, którzy w Internecie prezentowali swoje oprogramowanie do modelowania trajektorii lotu. Naśladowcy Konwentu Syjonu i rewizjoniści Holokaustu — wszelkiego autoramentu obsesjonaci na punkcie czegoś, co mogło być prawdą, półprawdą lub całkowitą nieprawdą. Ale grupa Jonesa prezentowała się inaczej. Zresztą gdyby tak nie było, Oz w ogóle nie zgodziłby się na to spotkanie. Sprawiali wrażenie grupy ściśle współpracujących i mocno zaangażowanych osób, które bez uprzedzeń badały zjawiska, potajemnie się spotykały i nie były na tyle zapatrzone w jakiś jeden aspekt sprawy, by nie dostrzegać całości problemu. A takich właśnie potrzebował. Ludzi zdyscyplinowanych umysłowo. I gotowych do poświęceń.

Po prostu, kurwa, prawdziwych ludzi, i tyle.

Może po okresie tułaczki sprawy przybiorą wreszcie dobry obrót. Przyspieszył nieco kroku, a w głowie pojawiło się pytanie, czy w motelu jest może automat z kanapkami.

\* \* \*

Automatu z kanapkami nie było, automat z napojami okazał się zepsuty. Mówi się trudno, pomyślał, ruszając do pokoju. Przed otwarciem drzwi upewnił się, że przyklejony do dolnej krawędzi strzęp taśmy samoprzylepnej nie został naruszony.

Stanął pośrodku pokoju, nie bardzo wiedząc, co ma teraz zrobić. Powinien się położyć i przespać, potem wstać wcześniej rano i ruszyć w dalszą drogę, ale wciąż był rozedrgany po dzisiejszym spotkaniu. Zdawał sobie sprawę, że gdy tylko przyłoży głowę do poduszki, natłok myśli go zmęczy i obudzi się rano niewyspany i otumaniony.

Podszedł do wiekowego telewizora szafkowego, stojącego obok prymitywnego biureczka, i włączył go. Wielki kineskop długo się nagrzewał, po czym na ekranie pojawiła się powtórka sitcomu tak starego, że Oz ledwie go pamiętał. Idealnie. Chodziło mu właśnie o coś nieangażującego w tle — jednostajny szum, który sącząc się do mózgu, upewnia go, że wszystko w porządku. Szum, który daje poczucie bezpieczeństwa.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Oz aż podskoczył, czując, jak mu wali serce.

Telewizor nie grał na tyle głośno, żeby to mogło komuś przeszkadzać. Ale cóż innego może być przyczyną pukania o tej porze. Budzik na stoliku pokazywał 2.33 w nocy.

Pukanie powtórzyło się, nieco ciszej niż poprzednio.

Oz wiedział, że blask ekranu przedostaje się wokół krawędzi zasłon i jest widoczny na zewnątrz. Podszedł do drzwi i zatrzymał się. To był właśnie ten moment, którego się obawiał i przez który nie sypiał nocami. Dopiero teraz uzmysłowił sobie, że właściwie nie obmyślił żadnego planu awaryjnego na okoliczność jego nadejścia. No i taki z niego Samotny Jeździec.

— Pan Turner? Tu Jones.

Człowiek za drzwiami mówił bardzo cicho. Oz przytknął ucho.

— Co?

— Może mnie pan wpuścić?

Oz zawahał się, potem otworzył zamek i leciutko uchylił drzwi. Przed wejściem stał Jones, dygocąc z zimna.

— Czego pan jeszcze chce?

Jones stał kilka kroków od drzwi, jakby chciał podkreślić, że nie wpycha się na siłę.

— Przejechałem parę kilometrów, gdy nagle sobie uprzytomniłem, że zapomniałem o paru sprawach. Zawróciłem, zobaczyłem pana na drodze i przyjechałem tu za panem.

Oz otworzył drzwi i wpuścił mężczyznę do środka. Był zły na siebie, że dał się tak łatwo podejść na drogę.

— Człowieku, aleś mnie pan cholernie wystraszył — jęknął, zamykając drzwi na zamek. — O Jezu!

— Wiem. I naprawdę przepraszam. Ale pomyślałem, że skoro już zrobiłem taki kawał drogi... Bo wie pan, myślę, że nasze spotkanie było bardzo ważne dla nas obu. I że może stać się początkiem czegoś jeszcze ważniejszego.

— Też tak sędzę.

— No właśnie. Więc zależało mi, żebyśmy sobie wszystko powiedzieli.

Oz trochę się rozluźnił.

— O co chodzi?

Mężczyzna wyglądał na zmieszanego.

— Po pierwsze... trochę to krępujące... Chodzi o to, że naprawdę nie nazywam się Jones.

— Okay — powiedział Oz trochę zaskoczony. Podejrzał, że mężczyzna mógł mu podać zmyślane nazwisko. — Nie ma sprawy.

— Wiem. Tylko że... i tak by się pan później dowiedział, a ja nie chciałem, żeby pan pomyślał, że niewłaściwie pana potraktowałem.

— Nie ma o czym mówić. — Oza tak to rozbroiło, że chciał nawet zaproponować mężczyźnie coś do picia, zaraz jednak sobie przypomniał, że nic nie ma. Motel nie należał do tych, które oferują gościom możliwość wypicia kawy. W takich przybytkach nawet czyste ręczniki w łazience stanowią osiągnięcie. — No to... to jak się pan naprawdę nazywa?

Mężczyzna przesunął się nieco dalej od drzwi.

— Shepherd — powiedział.

Oz wytrzymał spojrzenie, po raz pierwszy zauważając, jak ciemne są oczy jego gościa.

— A ja naprawdę nazywam się Oz Turner. Czyli kwestię nazwisk mamy z głowy. Co dalej?

— Tylko to — mruknął mężczyzna i pchnął Oza w pierś.

Oza tak to zaskoczyło, że nie zdołał utrzymać równowagi, zwłaszcza



że silnemu pchnięciu towarzyszyło jednoczesne podstawienie nogi. Zamachał rękami i runął do tyłu, waląc głową w róg telewizora.

Tak go to ogłuszyło, że nie zdołał powiedzieć słowa. Mężczyzna pochylił się nad nim i wczepiwszy się dłońmi w jego płaszcz, tak by nie dotknąć ciała, podciągnął go do pozycji pionowej.

— Co jest? — udało mu się wydusić. Poczul, jak zaczyna mu drgać prawa powieka i uginają się pod nim kolana. Zauważył też, że mężczyzna nie zdjął rękawiczek. — Co pan...

Shepherd przysunął twarz tuż do jego twarzy.

— Żebyś wiedział, że „oni” naprawdę istnieją. I ślą ci pozdrowienia.

A potem go pchnął, jednocześnie wykręcając rękę. Oz ponownie wyrznił głową w kant szafki telewizora, tym razem tak mocno, że uderzeniu towarzyszyło ciche pyknięcie.

Shepherd usiadł na krawędzi łóżka. Czekając, aż leżący przestanie rzeźzić, obojętnie zerkał na ekran telewizora. Nie pamiętał tytułu programu, ale wiedział, że niemal wszyscy występujący od dawna nie żyją. Umieranie w otoczeniu ekranowych duchów zmarłych. Prawie śmieszne.

Upewniwszy się, że już po wszystkim, wyciągnął z kieszeni pierśiówkę wódki i niemal całą zawartość wlał w usta denata, resztą skropił jego dłonie i płaszcz. Rzucił butelkę na podłogę w miejscu, gdzie mogła wypaść z rąk ofiary. Jeśli koroner okaże się skrupulatny, każe sprawdzić treść żołądkową lub poziom alkoholu we krwi denata, wątpił jednak, by do tego doszło. Nie w takiej dziurze. I nie w sytuacji, gdy Turner tak pasował do stereotypu kogoś, komu prędzej czy później taki koniec jest pisany.

Znalezienie ukrytego laptopa i notesu zajęło mu niecałe trzy minuty. W ich miejsce wstawił kolejne puste butelki po wódce, potem cicho zamknął za sobą drzwi i podszedł do samochodu Turnera. Odzyskanie przyklejonej pod deską rozdzielczą płyty z zapasową kopią

pliku zajęło mu kolejną minutę. Wszystkie trzy znalezione przedmioty będzie mógł zniszczyć jeszcze przed świtem. I to byłoby tyle, pomyślał.

\* \* \*

Podchodząc do samochodu, usłyszał, że dzwoni jego komórka. Sięgnął szybko pod siedzenie, ale nie zdążył.

Sprawdził wykaz połączeń nieodebranych. Numer nic mu nie mówił, ale rozpoznał numer kierunkowy i zaklął.

Kierunkowy 503. Oregon. Cannon Beach.

Zatrzasnął drzwi i pośpiesznie wyjechał na drogę.

## Rozdział siódmy

Jak się leży spokojnie, naprawdę spokojnie, to słyhać szum fal. Madison uważała to za jedną z głównych atrakcji domku. Kiedy szło się do łóżka i telewizor w dużym pokoju nie grał — a zwykle tak było, bo tata mówił, że wyjazdy nad morze są po to, żeby czytać i dumać, a nie oglądać wciąż te same (brzydkie słowo) — pozostawało leżenie i słuchanie fal. Ale najpierw należało się dostroić. Po drodze wznosiły się wydmy, a w czasie odpływu odległość do linii wody mogła być duża. Dlatego należało najpierw uspokoić oddech, ułożyć się na plecach, tak żeby nie zasłaniać uszu, i spokojnie się wsłuchiwać... wtedy stopniowo zaczynało się słyszeć miarowe uderzenia fal świadczące o tym, że dzisiejszą noc spędza się gdzieś na końcu świata. Zapadając w sen, cały czas słuchało się fal, a ich szum stawał się coraz wyraźniejszy, jakby ocean się zbliżał, a jego wody łagodnie lizaly stopy, wciągały w przyjazny ciepły mrok i pozwalały odpocząć.

W nocy też je było słyhać. Wtedy nawet lepiej, bo poza tym panowała głucha cisza. W Portland zawsze dobiegały człowieka jakieś nocne hałasy — samochodów, psów, przechodniów. A tu nic. Czasami fale cichły i wtedy niemal zagłuszał je szum krwi w uszach, ale podczas gorszej pogody potrafiły załamywać się z hukiem. Madison pamiętała pewną sztormową noc, kiedy z przerażeniem wsłuchiwała się

w fale, które rozbiły się niemal tuż za ścianą. Oczywiście było to złudzenie, a potem tata ją uspokoił, że chronią ich wydmy i nigdy do czegoś takiego nie dojdzie. I dlatego wsłuchiwanie się nocami w bicie fal było ekscytujące, ale nie wywoływało uczucia strachu. Wiedziała, że w pobliżu rozciąga się groźny, huczący wszechświat, który nie uczyni jej jednak żadnej krzywdy.

Dlatego też gdy zdała sobie sprawę, że nie śpi, pierwszym dźwiękiem, jaki do niej dotarł, był szum fal. Potem dopiero usłyszała, że pada i że ulewa się wzmacnia, a ciężkie krople bębnią o dach domku. Burza, która zbierała się nad oceanem, ostatecznie nadeszła. Piach na plaży będzie jutro szary, dziobaty i pewnie zasłany wodorostami. Podczas sztormu fale wyrzucały je na plażę i gdy Madison brodziła w ich gąbczastej masie, trochę dziwnie się czuła. Zakładając oczywiście, że jutro w ogóle pójdą na spacer, co...

Gwałtownie poderwała się na łóżku.

\* \* \*

Przez chwilę siedziała bez ruchu, wpatrując się w ciemność i nasłuchując. Bębnienie deszczu o dach było tak głośnie, jakby padał grad. Madison spojrzała na budzik przy łóżku. Była 1.12, więc dlaczego nie śpi? Czasami wstawała w nocy, by pójść do ubikacji, ale tym razem nie czuła potrzeby. Zresztą budząc się w środku nocy i drepcąc do łazienki, zwykle pozostawała jakby w półśnie i ledwie widziała na oczy, teraz zaś czuła się tak, jakby w ogóle nie spała. Nie tylko tej nocy, ale kiedykolwiek. W głowie kołatało się natrętnie pytanie.

Co ona tu w ogóle robi?

Obok budzika leżał płaski, okrągły przedmiot. Wzięła go do ręki. Nieduży dolarek piaskowy. Pamiętała, jak go znalazła wczoraj po południu, ale jednocześnie miała wrażenie, że stało się to już jakiś czas temu. Jakby podczas ich poprzednich letnich wakacji. Przytknęła go do nosa i powąchała. Wciąż pachniał morzem.

Pamiętała, jak siedzi na plaży i obserwuje zbliżającą się od północy burzę. Siedzi ze świadomością, że wkrótce musi wracać do domku. A potem... nie bardzo sobie mogła... Czuli się trochę tak, jak podczas długiej podróży samochodem, kiedy nagle się okazuje, że zgubił się gdzieś kawał czasu. Przed chwilą było jeszcze dwadzieścia minut do domu, aż tu nagle podjeżdża się pod drzwi. I wcale nie dlatego, że się przysnęło. Już prędzej dlatego, że przestało się uważać na drogę i pogrążyło w sennym marzeniu na jawie, a świat nie zaprzestał swego marszu do przodu. Świat, a wraz z nim twoje ciało. Niemożliwe, żeby się spało, bo coś się przez ten czas robiło, ale jakby podświadomie i bezwolnie. To było trochę jak włączenie tempomatu w samochodzie, co tata często robił na autostradzie. A potem nagle dojeżdżało się do zjazdu i trzeba było przejąć kontrolę nad pojazdem.

Tylko że... teraz już pamiętała powrót do domku. Kiedy przyszła z plaży, mama siedziała w fotelu, ale nie czytała i nie oglądała telewizji. Wyglądało, jakby się znów tylko przyglądała swoim dłoniom. Na widok Madison rzuciła wprawdzie „cześć”, ale nic więcej, co było o tyle dziwne, że Madison się spóźniła. Przynajmniej o pół godziny. A właściwie... teraz już pamiętała, że po wejściu spojrzała na zegar w kuchni, który pokazywał siódmą. Czyli wróciła całą godzinę po wyznaczonej porze.

Wzięła prysznic, żeby splukać z siebie piasek, ale gdy poszła do pokoju, mama oznajmiła, że nie ma ochoty jechać na kolację i co by Madison powiedziała na zamówienie pizzy. Madison uznała, że to superpomysł, bo pizzeria Mario's w Cannon Beach piekła pizzę nazywaną przez jej tatę „prawdziwie męskim plackiem”. W dodatku można ją było dostać tylko w Cannon Beach, bo pizzeria nie należała do żadnej sieci. Propozycja ją zaskoczyła, bo mama zwykle narzekała, że w Mario's pakują za dużo sera albo że nie wszystkie dodatki są czysto organiczne i wolne od składników genetycznie modyfikowanych, albo coś tam jeszcze. „Tak, poproszę”, powiedziała więc szybko i zdecydowanie.

Potem jednak mama nie mogła znaleźć ich menu i postanowiła zadzwonić do biura numerów pomoc, zaczęło się robić coraz później i w końcu Madison doszła do wniosku, że z pizzy będą nici. W szafce kuchennej znalazła opakowanie zupy w proszku. Zalała ją wodą, ale mama powiedziała, że nie ma ochoty na zupę. Madison też zresztą nie miała, ale kierując się rozsądkiem, zjadła połowę, potem zabrała się do czytania książki do historii. Lubiała się dowiadywać, jak wszystko wyglądało w dawnych latach.

A później poszła spać. Przebrała się w piżamę, wskoczyła do łóżka i pewnie usnęła.

Ale teraz się obudziła.

\* \* \*

Rozwarła dłoni i spojrzała na skorupkę dolarka piaskowego. Pamiętała, jak się po niego schyliła. Pamiętała też, jak z nim potem siedziała, więc dlaczego nie pamięta, co się wydarzyło zaraz potem? Znalezienie dolarka piaskowego to nie byle co, więc na pewno pobiegłaby zaraz do domu, żeby się pochwalić mamie. Może nawet liczyłaby, że to ją trochę rozweseli. Więc dlaczego nie pamięta, czy to zrobiła?

Madison opadła na poduszki i podciągnęła kołdrę pod szyję. Pamięć miała dobrą. Szkolne testy zaliczała bez problemu i często głośno podpowiadała uczestnikom quizu *Remember, Remember and Snap*. Wujek Brian twierdził nawet, że gdyby zrobili światową wersję *Remember, Remember*, Madison mogłaby bez problemu w nim startować. Ale teraz cały świat był jak wielkie studio telewizyjne, z którego nadają dwa programy jednocześnie. Albo jakby dwa sygnały telewizyjne się mieszały i na ekranie było widać obraz jednego z dźwiękiem drugiego. I choć z grubsza odpowiedziała sobie na pytanie, co tu robi, odpowiedź tak naprawdę niczego nie wyjaśniła. Była tu, bo to ich letni domek; przyjechała z mamą, teraz jest noc, więc leży w łóżku.

Tylko czy naprawdę o to jej chodziło?

Miała przyspieszony oddech, jakby oczekiwała złej wiadomości lub niepokojącego dźwięku, które będą zapowiedzią czegoś niedobrego, co ma się wydarzyć. Coś było nie tak. Nie w porządku, wbrew regułom.

I czy... czy nie było tam jakiegoś mężczyzny?

Czy nie dostała od niego czegoś, co schowała w szufladce nocnego stolika przy łóżku? Wizytówki podobnej do wizytówek taty, tylko że całej białej i bez żadnej treści?

Nie. Absolutnie nie.

Nie było żadnego mężczyzny. Na pewno. Więc w szufladce też nie może być żadnej wizytówki. Nawet nie musi sprawdzać.

Zrobiła to jednak i okazało się, że w szufladce jest jednak wizytówka. Było na niej tylko nazwisko i dopisany długopisem numer telefonu. Na drugiej stronie widniał jakiś rysunek. Wyglądał, jakby ktoś napisał dziewiątkę, obrócił nieco kartkę i na pierwszą dziewiątkę nałożył następną, po czym robił to tak długo, aż dotarł do pozycji wyjściowej.

Niemal bezwiednie sięgnęła po słuchawkę przy łóżku i wybrała numer z wizytówki. W słuchawce odezwał się sygnał buczący z takiej oddali, jakby dzwonił na księżycu. Nikt nie odebrał i w końcu odłożyła słuchawkę.

Zmusiła się, żeby znów się położyć. Zaczęła się wsłuchiwać w szum deszczu. Wyszukiwała w nim znajomego dźwięku bijących fal, które dla niej wyznaczały granicę świata. Przymknęła oczy, słuchając i czekając, aż szum znów wciągnie ją w niebyt. Jutro się obudzi i wszystko wróci do normy. Po prostu czuje się zmęczona i śpiąca. Ale wszystko jest w porządku. Wszystko jest jak zawsze.

I nie było żadnego mężczyzny.

\* \* \*

Kiedy Alison O'Donnell obudziła się o 2.37, pierwszym dźwiękiem, jaki usłyszała, był szum deszczu, wiedziała jednak, że nie to ją obudziło. Odrzuciła kołdrę i spuściła nogi, potem chwyciła leżący na końcu łóżka szlafrok i zarzuciła na siebie.

Była lekko otumaniona snem i sennymi majakami, ale matczyzny instynkt funkcjonuje poza świadomością. Można być nie wiadomo jak zmęczoną czy wręcz skonaną, a ciało i umysł bardzo pragną wrócić do łóżka i zagrzebać się w nim na tydzień, miesiąc, wręcz do końca życia, ale pewne dźwięki działają na podświadomość i to ona przejmuje kontrolę nad działaniem.

Jednym z nich jest odgłos świadczący, że jej dziecku dzieje się krzywda.

Podreptała przez pokój i wyszła na korytarz. Przez okno widziała szarpane ostrymi podmuchami wiatru gałęzie drzew i białe strużki wody ciekącej po szybach. Gwałtowne uderzenie wiatru spowodowało, że krople deszczu uderzyły w szyby jak garść rzuconego żwiru.

A potem znów to usłyszała.

Podeszła do drzwi w końcu korytarza. Były lekko uchylone, Alison delikatnie je pchnęła i zajrzała do środka.

Madison leżała na łóżku, ale była do pasa odkryta. Jej całe ciało wolno się poruszało, kręciła głową na boki i cicho pojękiwała.

Alison знаła dobrze to pojękiwanie. Nocne koszmary zaczęły nawiedzać jej córkę w wieku niespełna trzech lat i przez następne kilka lat okropnie ją męczyły. Doszło do tego, że Maddy zaczęła się bać iść do łóżka, bo wiedziała, że nocne upiory do niej przyjdą, żeby ją prześladować i dusić, a rano znów nie będzie pamiętała szczegółów. Jakiś rok temu wszystko ustało i koszmary odeszły w przeszłość. A teraz Alison znów usłyszała te jęki.

Nie bardzo wiedziała, co powinna teraz zrobić. Właściwie nigdy nie udało im się z mężem wypracować skutecznej metody. Można było obudzić Madison, ale często nie mogła później długo zasnąć, a gdy wreszcie usypiała, koszmary zwykle natychmiast wracały.

Nagle plecy Madison wygięły się w łuk i to Alison zaskoczyło. Nigdy wcześniej tego nie widziała. Z ust córki dobył się długi bolesny jęk,



po czym pierś gwałtownie jej opadła. Szarpnęła na boki głową i westchnęła. Jej wargi poruszyły się, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. A potem nagle znieruchomiła i jęki ucichły.

Alison odczekała jeszcze chwilę, upewniając się, że córka zapadła w głęboki sen. Pochyliła się, delikatnie naciągnęła kołdrę i pozostała jeszcze chwilę, wpatrując się w uśpioną twarz córki.

I niech ci się śpi jak najlepiej, dziecko, pomyślała. Zły sen to tylko zły sen, i nic więcej. Nie wiesz jeszcze, co to prawdziwy koszmar.

Już miała wyjść, gdy dostrzegła coś na podłodze. Na kawałku gołej podłogi między łóżkiem a starym dywanikiem coś leżało.

Schyliła się i dojrzała skorupkę dolarka piaskowego. Była mała i szara. I złamana na pół.

Wzięła do ręki jedną z połówek Skąd się tu wzięła? Czyżby Madison znalazła ją wczoraj po południu? Jeśli tak, dlaczego nic nie powiedziała? Przecież jest nagroda...

I nagle zrozumiała, dlaczego jej córka to przemilczała, i poczuła piekący wstyd. Połówka w jej dłoni była twarda. Złamanie skorupki wymagało nie lada wysiłku i nie mogło być przypadkowe.

Rzuciła połówkę na podłogę i wyszła z pokoju córki, przymykając za sobą drzwi. Wróciła do łóżka i długo leżała, wpatrując się w sufit i wsłuchując w ulewę.

## Rozdział ósmy

Do Malo dotarłem tuż przed dziesiątą rano. Obudziłem się już przed szóstą, ale do biura Amy nie mogłem zadzwonić wcześniej niż za parę godzin, zacząłem się więc guzdrać. U Zimmermanów też nie mogłem się zjawić z prośbą o pożyczenie samochodu wcześniej jak o siódmej, bo inaczej mogliby się zirytować. Wczorajsza wizyta Fishera podsunęła mi pomysł i powiedziałem im, że odezwał się stary przyjaciel i że będzie w mieście w porze lunchu. Bobbi obrzuciła mnie przydługim spojrzeniem, za to Ben natychmiast przystąpił do poinstruowania mnie, jak posługiwać się kierownicą.

Ruszyłem na zachód drogą numer 90 i wjechałem na piątkę akurat w chwili, gdy poranny szczyt na dobre się zaczynał. Po długich męczarniach dotarłem w końcu do James Street. Na szczęście poruszałem się po znajomym terenie, bo tydzień po przeprowadzce zrobiliśmy całodniowy wypad do miasta i Amy pokazała mi wtedy kilka słynnych miejsc, takich jak targ rybny na Pike Place czy Space Needle\*, choć wyraźnie wiedziała więcej o tutejszych salach konferencyjnych niż o atrakcjach turystycznych. Ołowianoszare niebo wisiało nisko nad głową, dokładnie jak podczas tamtej wizyty.

\* Space Needle (Kosmiczna Iglica) — wieża o wysokości 184 m, zbudowana w 1962 roku z okazji targów światowych.

W końcu udało mi się dotelepać do Szóstej Alei — szerokiego śródmiejskiego wąwozu z potężnymi betonowymi gmaszyskami po obu stronach i obsadzonego małymi, posłusznie rosnącymi drzewkami, przystrojonymi żółtymi lampkami.

Podjechałem pod hotel, dołączając do kolejki czarnych limuzyn. Wejście było osłonięte markizą w czerwono-ochrowe pasy i ledwie zdążyłem się zatrzymać, gdy od razu pojawił się facet w liberii i czapce, żeby odstawić mój samochód. Z trudem udało mi się go od tego odwieść. Hol był wyłożony płytami wapienia i ozdobiony brokatowymi tkaninami, a pod jedną ze ścian widniał wielki komin. Wózki na bagaż były z matowego mosiądzu, a pchający je boye hotelowi mieli przyklepione do twarzy skromne uśmiechy. Z ukrytych głośników płynęła dyskretna, kojarząca się z New Age muzyka, która wypełniała wnętrze jak zapach waniliowych ciasteczek czekających na wyjęcie z piekarnika.

W recepcji siedziała kobieta, z którą rozmawiałem tej nocy i która zaskoczyła mnie, wręczając mi nie tylko kopertę z telefonem, ale i pokwitowanie na dwadzieścia dolarów. Wykazała się też inicjatywą i wzięła od taksówkarza nazwisko i adres — na co sam na pewno bym nie wpadł — a także nazwę firmy taksówkowej, w której był zatrudniony. Na imię miał Georj, zamiast nazwiska widniał rząderek chrześczańcych sylab na pewno nie rodem stąd. Firma nazywała się Red Cabs i recepcjonistka przekazała mi tę informację z taką miną, jakby goście jej hotelu mieli zwyczaj korzystać z bardziej szacownych lub niekonwencjonalnych środków transportu, takich jak lektyki czy osobiste poduszki. Nakłoniłem ją do ponownego sprawdzenia listy rezerwacji, udając w tym celu kolegę z pracy, którego asystent miał dokonać tej rezerwacji i który gorzko odpokutuje, jeśli tego nie zrobiono. Bez efektu.

— Czy mógłbym prosić o jeszcze jedną przysługę? — spytałem, wdrażając pomysł obmyślony po drodze. — Jestem pewien, że rezerwowaliśmy dla niej ten hotel w przeszłości. Czy mogłaby pani

sprawdzić listę gości za ostatnie parę miesięcy?

Postukała w klawiaturę, przez chwilę pogapiła się w ekran monitora, kiwnęła głową i znów postukała.

— Okay — oświadczyła, pokazując palcem ekran. — Pani Whalen mieszkała u nas dwie doby dwa miesiące temu. Wcześniej jest też rezerwacja ze stycznia. Wtedy były to trzy doby. Chce pan, żebym się jeszcze cofnęła?

Powiedziałem, że nie, i wyszedłem z hotelu. Skręciłem za róg, żeby zejść z oczu odźwiernemu i jego pomocnikom, dopominającym się, żebym coś zrobił z samochodem. Nie byłem pewien, czy zbytnio się tym wszystkim nie przejmuję. Wiem z doświadczenia, że w sytuacjach, w których lepiej byłoby spokojnie usiąść i odczekać, zazwyczaj dociskam gaz do dechy. Ale miałem już pewność, że Amy wcześniej nocowała w tym hotelu, a to zmieniało sytuację. Nie dlatego, że potwierdzało jej obecność w Seattle wówczas — o tym wiedziałem bez nich — tylko dlatego, że znała ten hotel i go akceptowała, więc było mało prawdopodobne, by tym razem nagle się na niego obraziła. Z ich strony internetowej wiedziałem też, że mieli w tym tygodniu wolne miejsca, więc ewentualna pomyłka w rezerwacji również niczego nie tłumaczyła.

Podszedłem do odźwiernego, wetknąłem mu w łapę pieniądze i obiecałem, że zaraz wrócę. Potem przeszedłem parę kwartałów dzielących Malo od hotelu Monaco przy Czwartej Alei. Tu także by jej się spodobało — samemu Panu Bogu pewnie zresztą też — ale krótka rozmowa w recepcji upewniła mnie, że żadne z tych dwojga ostatnio tu nie nocowało.

Ze sprawdzaniem hotelu od początku nie wiązałem dużych nadziei i nadszedł chyba czas, żeby przestać zawracać sobie tym głowę. Decyzję o wyjeździe do miasta podjąłem wczoraj około pierwszej w nocy, myśląc, że zrobię Amy przysługę i odzyskam jej zgubiony telefon. Jak na północno-zachodni rejon Pacyfiku wycieczka trochę ponad sto sześćdziesiąt kilometrów od domu nie jest niczym niezwykłym. Ale oczywiście nie tylko o to chodziło. Od początku naszej

znajomości Amy regularnie wyjeżdżała służbowo sześć, siedem razy w ciągu roku, ale obowiązywała wtedy specjalnie opracowana procedura. Nie zdarzyło się ani razu, byśmy przez cały dzień nie mieli z sobą kontaktu, choćby bardzo pobieżnego. A tym razem... Tak naprawdę odbiegało od normy tylko to, że teraz nie zatrzymała się w hotelu, z którego korzystała wcześniej, a to w tej chwili nie wyglądało aż tak groźnie. Czułem się trochę głupio, że narobiłem tyle szumu, i nie mogłem pozbyć się do końca wrażenia, że cały mój wyjazd był tylko pretekstem, żeby oderwać się od biurka.

Wróciłem do Malo i zasiadłem w fotelu w pobliżu wielkiego okna, potem otworzyłem kopertę i wyjąłem komórkę Amy. Bez wątplenia był to jej telefon, mimo że tapeta na wyświetlaczu została zmieniona. Zwyczajny telefon komórkowy, i tyle. Amy zachowała się dość nietypowo i wbrew polityce firmy nie dała się wmanewrować w koszmarnego przejścia na blackberry. Nacisnąłem zielony guzik i na wyświetlaczu pojawił się wykaz połączeń wychodzących. Ostatni był wczorajszy telefon taksówkarza na moją komórkę, poprzedzała go cała lista numerów i nazwisk, które nic mi nie mówiły. Ostatnim połączeniem przychodzącym był telefon ode mnie przedwczoraj po południu.

Wszedłem w wykaz kontaktów i zacząłem go przeglądać w nadziei na znalezienie numeru Kerry, Crane & Hardy, oddział w Seattle, ale oczywiście niczego takiego nie było. Ludzi pracujących w firmie musiała znać z nazwiska i używała ich bezpośrednich numerów, omijając w ten sposób firmową centralę.

Potem przez jakieś dwie sekundy zamigotał wskaźnik baterii i wszystko znikło.

Ze swojej komórki zadzwoniłem do informacji i zdobyłem numer biura KC&H. Wybrałem go i usłyszałem głos telefonistki, która radośnie wyrecytowała znajomy trzyliterowy skrót. Poprosiłem o połączenie z kimś współpracującym z Amy Whalen. Miałem nadzieję trafić na kogoś, kto będzie znał program jej spotkań. Pozwoliliby mi to

podjechać na jedno z nich i tam się z nią spotkać. A może dopisze mi szczęście i po prostu natknę się na nią w biurze. Moglibyśmy nawet pójść razem na lunch.

W telefonie na chwilę zapadła cisza, potem odezwała się czyjaś asystentka. Jej szefem był ktoś o imieniu Todd. Kobieta potwierdziła, że Todd to właściwa osoba, z którą winienem porozmawiać, problem tylko w tym, że akurat jest na spotkaniu. Zapewniła mnie jednak, że Todd oddzwoni jak najszybciej.

Potem zadzwoniłem do Red Cabs i spytałem, jak mógłbym się porozumieć z Georjem Niewymawialnym. Okazało się, że skończył już swoją zmianę, i dyspozytor próbował mnie spławić, w końcu jednak obiecał, że gdy tylko Georj ponownie stawi się w pracy, przekaże mu moją prośbę o kontakt. Odłożyłem słuchawkę głęboko przeświadczony, że nawet nie kiwnie palcem.

Wyszedłem z hotelu, przeszedłem na drugą stronę ulicy i usiadłem w kawiarnianym ogródku Seattle's Best. Zamówiłem filiżankę mocnej kawy, zapaliłem papierosa i gapiąc się na padający deszcz, czekałem, żeby ktoś — ktokolwiek — do mnie zadzwonił.

\* \* \*

Okolo wpół do dwunastej poczułem, że jest mi coraz zimniej i jestem coraz bardziej spięty. Dziesięć dalców wciśnięte w łapę odźwiernego przestało już działać i widać było, że zaczyna się wściekać na mój samochód stojący pod hotelem. Niezbyt reprezentacyjnie wyglądający SUV Zimmermanów nie stanowił wymarzonej reklamy dla takiej instytucji, a tak naprawdę dla żadnej. Widać emerytowanym wykładowcom uniwersyteckim nie przeszkadzają błoto i wgniecenia karoserii, a wielkie antywojenne naklejki na tylnej szybie były już mocno wypłowiałe. W końcu facet w czapce przeszedł na moją stronę ulicy i musiałem mu solennie obiecać, że zaraz odjadę.

Pokręciłem się po okolicy tak długo, aż natknąłem się na podziemny parking. Zostawiłem samochód i po wyjściu na powierzchnię

poświęciłem parę minut na przestudiowanie mapki śródmieścia zabranej z recepcji Malo. Zaznaczono na niej głównie sklepy i restauracje i chwilę potrwało, nim udało mi się zlokalizować adres agencji, zwłaszcza że nie mieściła się tam, gdzie jej oczekiwałem. Myślałem, że biuro będzie zajmować tysięczne piętro w którejś z otaczających mnie betonowych wież, okazało się jednak, że znajduje się przy jednej z wąskich uliczek w okolicach targu.

Minąłem kilka przyprawiających o zawrót głowy wieżowców i natknąłem się na tablicę informującą o Targowisku Publicznym, ale i tak musiałem zapytać o drogę faceta w kiosku z prasą. Skierował mnie ku wąskiej uliczce schodzącej poniżej głównego targowiska, która kawałek dalej ostro skręcała w lewo. Tablica z nazwą potwierdziła, że istotnie jestem na Post Alley. Uliczka bardziej przypominała ślepy zaułek służący do wyładunku i załadunku ryb lub handlu narkotykami, jakieś sto metrów dalej jednak nagle rozszerzała się w w postmodernistyczny plac zabudowany w stylu lat dziewięćdziesiątych. Znajdowały się na nim bar sushi i delikatesy, w których za szybą widać było rząd ludzkich twarzy pochylonych nad porcjami identycznych sałatek. Chwilę później dojrzałem skromny szyld wiszący na malowniczej drewnianej belce i już wiedziałem, że trafiłem we właściwe miejsce.

Wszedłem do środka, zastanawiając się, jak to najlepiej rozegrać. Kariery zawodowe moje i Amy nigdy się z sobą nie krzyżowały. W LA znałem jej asystentkę, która często dzwoniła w sytuacjach awaryjnych, a parę razy nawet wpadła do nas do domu, ale kilka miesięcy przed przejściem Amy na nowe stanowisko zdecydowała się na dziecko i odeszła z pracy. Z opowieści Amy pamiętałem też kilka nazwisk jej kolegów i byłem niemal pewien, że znajdował się wśród nich jakiś Todd. Może ten sam, może inny. Pewnie istnieje przepis, że w każdej agencji reklamowej w całym kraju musi pracować ktoś o imieniu Todd. Byłoby mi dużo łatwiej załatwić to przez telefon, bo mógłbym udawać, że wciąż siedzę u siebie na wsi i próbuję się tylko z

nią skontaktować, ale już mnie zmęczyło to czekanie na telefon.

Recepcja jawiła się jako wytwór czystego egzystencjalizmu i widać było, że firma wydała kupę forsy na to, żeby nie było tego widać. Pewnie robi to wielkie wrażenie na ludziach z branży reklamowej. Każde krzesło kosztowało więcej niż miesięczna pensja recepcjonistki, która sprawiała wrażenie, że jej to wcale nie przeszkadza. Była ubrana w całości na czarno, miała tyczkowatą figurę i wielkie, tryskające bezlitosną inteligencją oczy. Roztaczała wokół siebie aurę kogoś, kto żyje na najlepszym z możliwych światów i pragnie się dzielić z wszystkimi tą radosną nowiną.

Spytałem o Todda i w odpowiedzi usłyszałem pytanie, czy Todd mnie oczekuje.

— Och, nie — odparłem, wzruszając ramionami w sposób, który miał sygnalizować całkowitą beztroskę, choć takie udawanie nie jest moją specjalnością. — Tak tylko wpadłem.

Rozpromieniła się, jakby to był najlepszy z wszystkich możliwych sposobów spotykania się z Toddem, i zaczęła telefonować. Pod koniec rozmowy z zapalem potrząsała głową i pomyślałem, że albo dostałem zgodę na wejście, albo ona dostała kręćka.

Po pięciu minutach drzwi z matową szybą w głębi recepcji otworzyły się i stanął w nich ktoś wyglądający niemal identycznie. Postać skinęła na mnie ręką, wstałem więc i podążyłem za nią do środka. Prowadząca mnie kobieta musiała zamieszkiwać najlepszy ze światów drugiej lub nawet trzeciej kategorii, bo nie była skłonna do okazania radości ani wdawania się w zbyteczne pogawędki. Mimo to udało mi się dowiedzieć, że ma na imię Bianca. Pojechaliśmy windą dwa piętra wyżej i ruszyliśmy korytarzem obudowanym szklanymi ściankami, za którymi było widać zagracone pokoiki i siedzące w nich pary krótko ostrzyżonych osób, które pracowały tak ciężko i kreatywnie, że miałem ochotę uruchomić alarm przeciwpożarowy. Najchętniej przez wzniesienie pożaru.



Na końcu korytarza Bianca otworzyła drzwi i wpuściła mnie do środka.

— Todd Crane — zaanonsowała.

Ach, no tak! Dopiero w tym momencie uzmysłowiłem sobie, że stoję przed obliczem jednej trzeciej nazwy firmy.

Znalazłem się w surowym wnętrzu z wielkimi oknami wychodzącymi na dwie strony, z których roztaczał się widok na Zatokę Elliotta i portowe pirsy. Pozostałe dwie ściany były obwieszane oprawionymi w ramki świadectwami i dyplomami oraz wielkimi reklamowymi fotografiami produktów. Dostrzegłem wśród nich kilka, w których reklamowaniu brała udział Amy. Na środku pokoju stało biurko tak ogromne, że można by na nim grać w koszykówkę. Zza biurka wysunął się szczupły mężczyzna po pięćdziesiątce, ubrany w luźne bawełniane spodnie i idealnie wyprasowaną liliową koszulę. Jego niegdyś czarne włosy były poprzetykane siwizną, twarz miał tak bezwstydnie przystojną, że mógłby występować w reklamie telewizyjnej obojętnie czego, byle wystarczająco atrakcyjnego, wzniosłego i drogiego.

— Hej — powiedział, wyciągając rękę. — Todd Crane.

Nie musisz mi tego mówić, pomyślałem, ściskając dłoń. I wcale mi się nie podobasz.

Ale muszę przyznać, że był gładki w obejściu. Tyle że pewnie jego obowiązki w dużej mierze polegają na tym, żeby obcy czuli się tu jak w domu. Na rogu biurka stał oprawiony w ramkę studyjny portret przedstawiający Crane'a obejmującego ramieniem atrakcyjną kobietę i trzy córki w dużym przedziale wiekowym. Co charakterystyczne, fotografia zwrócona była nie ku siedzącemu za biurkiem, ale na pokój — zupełnie jakby stanowiła kolejny dyplom świadczący o osiągnięciach gospodarza. W rogu na podłodze stało stare radio z lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku — zapewne kolejny symbol jego upodobań.

— A więc, Jack — uśmiechnął się, odchylając się do tyłu — narzeczcie mogę dodać twarz do znanego mi od lat nazwiska. Aż trudno zrozumieć, dlaczego nie wcześniej.

— Nie ruszałem się zbyt często z LA — odparłem. — Aż do przenosin.

— I cóż cię sprowadza do miasta? Zajmujesz się teraz książkami, prawda?

— Mam tu spotkanie. A ponadto Amy zostawiła wczoraj swoją komórkę w taksówce, więc chciałem za jednym zamachem załatwić obie sprawy i od razu oddać jej telefon. Pewnie czuje się bez niego jak bez ręki.

Todd parsknął śmiechem. Cha, cha, cha. Każde „cha” wybrzmiało oddzielnie, jakby cała sekwencja śmiechu została ustawiona, wyćwiczona i doprowadzona do perfekcji lata wcześniej.

Potem przerwał i zamilkł, czekając, czy jeszcze coś powiem. Pomyślałem, że to trochę dziwne. Oczekiwałem, że to on teraz przejmie pałeczkę i udzieli mi jakichś informacji.

— No więc — bąknąłem po chwili milczenia. — Jak mógłbym to najsprawniej zrobić?

— Cóż, nie wiem — odrzekł Crane. Przez jego twarz przemknął jakby cień zmieszania.

— Sądziłem, że ktoś w firmie zna jej plan zajęć.

— Nie bardzo. — Zasepił się. Złożył ręce na piersi i wyduł usta. — Amy jest teraz naszą specjalistką od gaszenia pożarów. Oczywiście wiesz o tym. Trzyma rękę na wielu pulsach. Ma globalny ogląd. Zajmuje się strategią. Ale w zasadzie jest nadal zatrudniona w naszym biurze w Los Angeles. Więc tylko tam może ktoś... — Przerwał, jakby nagle pojął, o co chodzi, i uważnie mi się przyjrzał. — Tylko, Jack, Amy nie ma w tym tygodniu w Seattle. W każdym razie nie w naszych sprawach.

\* \* \*

Opanowałem się najszybciej, jak mogłem, ale i tak przez sekundę musiałem mieć rozdziawione usta. Może nawet przez dwie.

— Tak, wiem — rzuciłem, przerabiając rozdziawienie w szeroki uśmiech. — Jest tu w odwiedzinach u przyjaciół. Po prostu byłem

ciekaw, czy w którymś momencie odezwała się do was. Skoro i tak tu jest.

— Nic o tym nie wiem — powiedział Todd, powoli kręcąc głową.  
— Ale wiesz, nigdy nic nie wiadomo. Próbowaleś w hotelu? Naszym ludziom zawsze rezerwujemy pokoje w Malo. Chyba że zatrzymała się u tych swoich... przyjaciół.

— Już jej zostawiłem wiadomość. Chodziło mi tylko o to, żeby jak najszybciej doręczyć jej ten telefon.

— Oczywiście, rozumiem. — Todd skinął głową, znów radośnie się uśmiechając. — Już nie da się bez nich żyć, prawda? Żałuję, Jack, że nie mogę ci pomóc. Jeśli się odezwie, to powiem, że jej poszukujesz. Chcesz mi zostawić swój numer?

— Już go zostawiłem.

— A, tak, przepraszam. Jestem dziś strasznie załatany. Klienci. Są nieznośni, ale strzelanie im w głowę nie należy podobno do zalecanych praktyk biznesowych.

Klepnął mnie w ramię i prowadząc do wyjścia, wygłosił peany na temat Amy i tego, jak jej nowe obowiązki zrewolucjonizują pracę całej agencji. Bez trudu wyobraziłem sobie, jak z podobnym entuzjazmem co rano wita swoją żonę i córki, realizując w ten sposób zasadę ciągłego przypominania o celach i osiągnięciach i podkreślając swoją nieustającą troskę i zainteresowanie.

Pożegnał mnie przy wewnętrznych drzwiach i przez pomieszczenie recepcji przemaszerowałem już sam. Nim ją opuściłem, odwróciłem głowę i wydało mi się, że za matową szybą ktoś stoi i czeka, aż wyjdę. Ale nie byłem pewien.

Ruszyłem powoli uliczką. Nie miałem przy sobie organizera Amy, ale z grubsza pamiętałem jego zawartość. Trzy kolejne dni wypełnione spotkaniami. Nie zapamiętałem oczywiście szczegółów i teoretycznie mogły dotyczyć klientów w Los Angeles, San Francisco czy Portland — do tego ostatniego było tylko trzy godziny jazdy samochodem — ale nawet przez chwilę nie wierzyłem, abym mógł pomylić miasto. Nie mówiąc o tym, że w kieszeni miałem jej telefon komórkowy,

który wczoraj wieczorem zgubiła w tym mieście. Amy pojechała do Seattle i do przedwczoraj utrzymywała ze mną zwykły kontakt. Ale w hotelu nikt jej nie widział, a ludzie w jej biurze albo udawali, albo naprawdę nic o niej nie wiedzieli.

Podobnie jak ja.

Post Alley kończyła się wąskim ślepym zaułkiem, nad którym prowadziła estakada biegnąca w stronę zatoki, kawałek dalej ostro skręcała w lewo i dołączała do wiaduktu Alaskan. Betonowe filary estakady pokrywały wyblakłe graffiti sprzed lat i hasła w rodzaju „Rev9”, „Później” i „Już jestem”. Błądząc wzrokiem po malunkach, poczułem nagle świerzbiecie między łopatkami.

Jakby od niechcienia, wolno odwróciłem głowę. Na końcu zaułka widać było ludzi krzątających się przy samochodach. Dalej dostrzegłem fragment szerokiej arterii, wrzynające się w zatokę mola i błysk światła opadającego na wody zatoki.

Nikt nie patrzył w moją stronę. Wszyscy nieustannie chodzili lub jeździli, a drgania wywołane ruchem na wiadukcie przenosiły się na okoliczne budynki i ulice, tak że cała okolica jakby wibrowała, wydając ciągły niski ton.

## Rozdział dziewiąty

Wybrałem śródmiejski bar, usiadłem przy stoliku pod oknem i zamówiłem dzbanek kawy, po czym wykorzystałem resztkę uroku osobistego i uprosiłem kelnerkę, aby mi pozwoliła skorzystać z gniazdka za bufetem i podłączyć kupiony po drodze zasilacz do telefonu Amy. W oczekiwaniu na kawę przyglądałem się gościom przy innych stolikach. Kiedyś bary były miejscem, gdzie przychodziło się po to, by uciec od zgiełku ulicy. Na tym to głównie polegało. Teraz jednak zdawało się, że wszyscy przychodzą po to, by skorzystać z bezpłatnego dostępu do sieci lub porozmawiać przez telefon komórkowy.

Nikt nie wyglądał na tyle ciekawie, by mi utrudnić sobą prowadzenie wewnętrznego dialogu. To, że Amy przebywała w mieście bez wiedzy firmy Kerry, Crane & Hardy, dawało się wyjaśnić i tym się nie martwiłem. Nadal było całkiem możliwe, że nie dzieje się nic niezwykłego i tylko ja się czegoś doszukuję. Przypomniało mi to historię sprzed mniej więcej roku, kiedy Amy nagle zaczęła mówić przez sen. Zaczęło się od cichego mamrotania, z którego nie można było nic zrozumieć, potem jednak się nasiliło i zaczęła wypowiadać całe słowa i fragmenty zdań. Noc w noc mnie to budziło i zaczynało nam przeszkadzać w normalnym śnie. Próbowwała zmieniać dietę, ograniczać ilość kofeiny i spędzać jeszcze więcej czasu w siłowni, ale nic nie

pomagało. A potem nagle wszystko ustało, choć minęły całe dwa tygodnie, nim znów zacząłem normalnie spać. Wcześniej spędziłem wiele godzin na leżeniu w ciemnościach i zastanawianiu się, co popycha mózg do takich reakcji. Jak to musi być zorganizowane, że choć wszystkie świadome funkcje przechodzą w stan uśpienia, pewien obszar mózgu wciąż coś werbalizuje. Jak to się dzieje i dlaczego? I z kim ona rozmawia?

W pewnym sensie sam się teraz tak poczułem. Część mojego umysłu — ta, nad którą sprawowałem świadomą kontrolę — próbowała stać twardo na ziemi i szukać racjonalnego wyjaśnienia. I całkiem nieźle jej to wychodziło. Amy mogła tu być w tajnej misji zdobywania nowych klientów dla KC&H po to, by ich potem triumfalnie wprowadzić do firmy jako swój osobisty wkład. Stale żyła i oddychała pracą. Być może próbowała mi to nawet powiedzieć tamtego wieczoru, tylko że nie słuchałem jej uważnie.

Ale jednocześnie inne myśli rozbiegały się spłoszone we wszystkich kierunkach. W środku każdego z nas tkwi pewnego rodzaju nieufność wobec ustalonego porządku i dlatego szuka ulgi we wtrąceniu świata w stan chaosu, który i tak cały czas kryje się w jego zakamarkach. A może tylko we mnie?

\* \* \*

Bateria w telefonie Amy trochę się podładowała i zabrałem go spod bufetu. Trzymając go w ręku, doznawałem dziwnego uczucia. Jedyne urządzenie służące do kontaktów z moją żoną było teraz u mnie, przez co jej nieobecność jeszcze bardziej mi doskwierała. Wyłazek poczty elektronicznej i telefonów komórkowych doprowadził w nas do ewolucji zachowań. Wykształciliśmy w sobie szósty zmysł, który pozwala śledzić losy i poczynania osób nieobecnych, i gdy ten szósty zmysł nagle tracimy, wpadamy w panikę, jakbyśmy oślepli i ogłuchli. Przyszło mi coś do głowy i zadzwoniłem do domu, ale telefon tylko dzwonił i dzwonił, po czym włączyła się automatyczna

sekretarka. Zostawiłem wiadomość, gdzie jestem i dlaczego, w razie gdyby Amy wróciła przede mną. Powinno mi sprawić ulgę, że zrobiłem coś, co należało zrobić, ja jednak odczułem to tak, jakby jeszcze jedna ścieżka wiodąca do Amy rozplynęła się we mgle.

Telefon Amy był innej marki niż mój i miał dużo mniejsze przyciski. Spowodowało to, że niechcący wszedłem w opcję odtwarzacza muzyki. Lista tytułów zawierała osiem utworów w formacie MP3 i to mnie zaskoczyło. Jak każdy nie będący amiszem człowiek dwudziestego pierwszego wieku, Amy miała swego osobistego iPod'a, więc nie musiała słuchać muzyki przez komórkę. Wprawdzie można było sądzić, że telefon fabrycznie wyposażono w przykładowe utwory, liczba ośmiu wydawała się jednak mocno przesadzona. Pierwszych siedem występowało na liście po prostu jako „Utwór 1” do „Utwór 7”, ostatni oznaczony był długim rzędkiem cyfr. Włączyłem „Utwór 1”. Ze słuchawki popłynęła cicha muzyczka — stary, płasko brzmiący jazz z lat dwudziestych. Z całą pewnością nie jej ulubiona muzyka. Nieraz wypowiadała się głośno, że nie znosi jazzu, a właściwie czegokolwiek wcześniejszego od Blondie. Sprawdziłem drugi utwór, potem kolejny. Rezultat był dokładnie taki sam. Jakbym słuchał muzyki w barze z czasów prohibicji. Przeszedłem do plików dźwiękowych i tam znalazłem jeden, który wydał mi się dziwny. Słysać było na nim jakby męski śmiech.

Ponownie zajrzałem do listy kontaktów i zacząłem ją przeglądać — tym razem szukając nie firmy Kerry, Crane & Hardy, ale czegoś, co wyda mi się nietypowe. Niczego takiego nie znalazłem. Nie znałem wszystkich nazwisk, ale nie było w tym nic nadzwyczajnego. Praca partnera życiowego to często teren zupełnie nieznan.

Przeszedłem do listy SMS-ów. Amy przejęła zwyczaj SMS-owania od młodszych kolegów w agencji i od pewnego czasu regularnie do siebie pisywaliśmy: kiedy wiedziałem, że jest zajęta i nie odbierze telefonu, albo gdy miała sprawę niewymagającą mojej szybkiej reakcji.

Często po to, żeby tylko powiedzieć sobie „cześć”. Na liście były otrzymane ode mnie w ciągu paru ostatnich miesięcy cztery wiadomości, a także dwie od jej siostry Natalie, która mieszka w ich rodzinnym domu w Santa Monica, gdzie się urodziły i wychowały.

Oraz jedenaście od kogoś innego.

Wiadomości od Natalie i ode mnie były sygnowane naszymi imionami, reszta nie i zapisana została tylko pod numerem telefonu. Za każdym razem tym samym.

Zajrzałem do najstarszej wiadomości. Pusta. Widać było, że SMS został nadany i odebrany, ale nie zawierał żadnego tekstu. W następnej to samo, w kolejnej też. Kto wysyła puste SMS-y? Chyba tylko ktoś, kto nie umie ich pisać, można by jednak oczekiwać, że za trzecim czy czwartym podejściem już się z tym upora. Przewinąłem całą listę pewien, że pozostałe też będą puste. Dlatego szósty z kolei mnie zaskoczył, bo jednak coś w nim było. Tyle że też nic z tego nie wynikało.

Zawierał tylko jedno słowo.

tak

Małą literą i bez kropki na końcu. Kilka następnych nie zawierało tekstu i dopiero w ostatnim coś się pojawiło.

Roza pod inną nazwą równie by pachniała... :-D

Odłożyłem telefon na stół i nalałem sobie następną filiżankę kawy. Jedenaście wiadomości to strasznie dużo, nawet jeśli w większości nie ma żadnej treści. A poza tym Amy nie należała do osób, które pozwalają zaśmiecać pamięć swojego telefonu technicznymi tępakom. I nie była osobą sentymentalną. Zdążyłem już zauważyć, że zachowała w pamięci tylko te moje wiadomości, które zawierały informacje mogące się przydać później. Kilka innych wysłanych ostatnio, w których były jedynie czułości pod jej adresem i na które równie



czule odpowiedziała, zdążyła już usunąć. Obie wiadomości od Natalie były dość napastliwe w treści i mogła je zachować po to, żeby później wykorzystać przeciw siostrze.

Więc skoro tak, to po co trzyma czyjeś puste SMS-y? I jak to możliwe, żeby dostawać od kogoś tak wiele wiadomości i nie mieć go na swojej liście kontaktów? Pamięć telefonu identyfikowała SMS-y od nas jako „Dom” (wysyłane z mojej komórki) i „Natalie”. Tamte sygnowane były tylko numerem telefonu. Jeśli ma się z kimś tak regularny kontakt, dlaczego nie zadać sobie odrobiny trudu i nie wpisać go do książki telefonicznej? Chyba że się nie chce, żeby ktoś się o tym dowiedział.

Przeszedłem do list rozmów wychodzących i przychodzących. Na żadnej nie było tego numeru. Widać kontakt ograniczał się tylko do wiadomości tekstowych albo przynajmniej w ciągu ostatniego miesiąca ani razu nie łączyła się z tym numerem.

To mi podsunęło pewien pomysł. Wróciłem do pierwszego SMS-a i spojrzałem na datę. Wysłano go nieco ponad trzy miesiące temu. Między pierwszym a drugim nastąpiła miesięczna przerwa, między drugim a trzecim — dwa tygodnie, później zaczęły przychodzić coraz częściej. Wiadomość ze słowem „tak” przysłała sześć dni temu, ta o róży zaledwie wczoraj późnym popołudniem. Amy musiała tę wiadomość odczytać, bo inaczej byłaby na liście „Nieprzeczytane”. Kilka godzin później zgubiła komórkę i wieczorem nic się już z jej telefonem nie działo.

A potem — jak wszystko na to wskazywało — zgubiła się ona sama.

Wyszedłem z listy wiadomości odebranych i zajrzałem do wykazu wiadomości wysłanych przez Amy. Lista była bardzo krótka i zawierała tylko dwie odpowiedzi, adresowane do siostry i do mnie. Oraz jeszcze jedną. Wysłała ją dwie minuty po otrzymaniu wiadomości z rózą, a treść przedstawiała się następująco:

Dzw 9. Bde czekać az bdsz got, za 2dni, za rydz,  
za rok xoxox

W tym momencie zjawiała się kelnerka z pytaniem, czy życzę sobie więcej kawy. Odpowiedziałem, że nie, i poprosiłem o piwo.

Mój ojciec był naprawdę dobry w jednym: w odpowiadaniu na pytania. Nie wykazywał nadmiernej cierpliwości w innych sprawach, ale kiedy się go o coś pytało — na przykład, skąd się wziął księżyc, dlaczego koty ciągle śpią albo dlaczego tamten pan ma tylko jedną rękę — udzielał zawsze poważnej, dorosłej odpowiedzi. Zawsze, poza tym jednym razem. Miałem wtedy około dwunastu lat. Usłyszałem w szkole, jak jeden ze starszych chłopaków popisuje się przed kolegami. Bardzo mi to zaimponowało i po powrocie do domu spytałem tatę o sens egzystencji. Byłem pewien, że zadając mu tak mądre pytanie, wyglądam co najmniej na szesnastolatka. Ale tata strasznie się zezłościł i oświadczył, że pytanie jest idiotyczne. Zupełnie go nie rozumiałem. „Załóżmy, że któregoś dnia wracasz ze szkoły na obiad — wyjaśnił — i przy stole ktoś siedzi i zjada twoją porcję. Nie pytasz go wtedy: »Dlaczego, do diabła, zjadasz mój obiad?«, bo ci po prostu powie, że był głodny. I będzie to logiczna odpowiedź na twoje pytanie, a przecież nie o to ci chodziło. Bo tak naprawdę chciałeś go spytać: »Co, u diabła, robisz w moim domu?«,».

Wtedy go nie zrozumiałem, ale później w różnych momentach życia przypominałem sobie tę rozmowę. Prawdopodobnie pomogła mi być lepszym gliniarzem. Pomogła mi unikać zadawania świadkom niepotrzebnych pytań, dzięki czemu sami mówili, co wiedzą. Siedząc teraz w śródmiejskim barze w Seattle nad pierwszym piwem, znów ją sobie przypomniałem.

Głowę miałem ciężką i obolałą, bo coś mi mówiło, że ten dzień dobrze się dla mnie nie skończy. Przeszło mi też przez myśl, że może powinienem zacząć się zastanawiać nie nad tym, gdzie jest Amy, ale dlaczego tam jest.

## Rozdział dziesiąty

Dziewczynka stała w hali portu lotniczego. Zwisający z sufitu zegar informował, że jest za dwadzieścia cztery piąta. Nie odrywając od niego wzroku, przyglądała się, jak ostatnia cyfra przeskakuje z 16.36 na 16.37. Stojąc bez ruchu, czekała, aż na zegarze ukaże się godzina 16.39. Lubiła dziewiątkę. Nie wiedziała dlaczego, ale zdecydowanie ją lubiła. Powtarzany komunikat przypominał pasażerom o zakazie palenia i Madison pomyślała, że pewnie musi ich to nieźle irytować.

Nie bardzo wiedziała, dokąd się wybiera, a przez chwilę nie była nawet pewna, gdzie się teraz znajduje. Ale już się zorientowała. To oczywiście port lotniczy w Portland. Była tu już parę razy wcześniej — ostatnio, gdy na wiosnę lecieli na Florydę w odwiedziny do babci. Madison pamiętała, jak buszowała wtedy w małej księgarni i jak piła sok przy kawiarnianym stoliku, skąd można było obserwować startujące i lądujące samoloty. Mama trochę bała się latać i tata próbował ją rozluźnić, obracając w żart jej obawy. Wtedy w ogóle było więcej śmiechu. Dużo więcej.

Ale dzisiaj? Pamiętała poranną rozmowę z mamą o pójściu do sklepu spożywczego w Cannon Beach, z czego w końcu nic nie wyszło. Potem udały się na plażę, ale było zimno i wiał wiatr, więc szybko z niej uciekły. Znowu nici ze spaceru. Zjadły w milczeniu skromny

lunch w kuchni, później mama powiedziała, że zostanie w domku, więc ona ruszyła pospacerować po plaży.

A potem... i tu właśnie była luka w pamięci. Taka sama jak wtedy, kiedy obudziła się w nocy i nie mogła sobie przypomnieć nic z tego, co się działo na plaży. Jakby ten fragment jej pamięci tonął w chmurach.

Mama nie przyjechała z nią na lotnisko, to pewne. Gdyby tu była, nie zostawiłaby jej tak samej. Madison z zaskoczeniem stwierdziła, że ma na sobie swój nowy płaszcz, co ją zdziwiło. Przecież nie poszła na plażę w nowym płaszczu. Włożyłaby stary, bo nie bałaby się, że uwala go piaskiem. Czyli po plaży musiała wrócić, przebrać się i ponownie wymknąć.

Tylko co się działo potem? Jak dostała się do Portland? Madison przypomniła sobie wyrażenie, jakiego w takich sytuacjach używał jej wujek Brian. „To się w pale nie mieści”. Ale poza tym czuła się świetnie. Po prostu normalnie. Więc o co chodzi z tymi lukami w pamięci? I co powinna teraz zrobić?

Nagle uświadomiła sobie, że w dłoni schowanej do kieszeni coś trzyma. Wyciągnęła to coś i spojrzała. Notes. Nieduży, stary, oprawiony w wytartą brązową skórkę. Zajrzała do środka. Stroniczki były zapełnione ręcznym pismem. Pierwsza linijka brzmiała:

*Na początku była Śmierć.*

Słowa tekstu miejscami się rozmazały, do ich napisania użyto pióra i atramentu o rudobrazowej barwie. Na niektórych stroniczkach widniały też rysunki: jakieś mapki, symbole i wykazy nazwisk. Jeden z symboli wyglądał dokładnie tak, jak logo na wizytówce: nałożone na siebie dziewiątki. Charakter pisma też był identyczny. W notesie tkwił złożony kawałek papieru. Bilet lotniczy United Airlines.

Kurczę, kiedy zdążyłam go kupić?

Wszystkie te pytania jednak nie budziły w niej strachu.

W każdym razie nie był to wielki strach. Na razie wszystko przypominało marzenia senne. A może najważniejsze, żeby udała się tam, dokąd powinna, a zastanowi się później? Tak. Tak będzie lepiej. Ławiej.

Madison zamknęła oczy, a gdy je ponownie otworzyła, poczuła, że właściwie nie obchodzą jej takie drobiazgi jak to, że przebyła osiemdziesiąt kilometrów dzielących Cannon Beach od lotniska w Portland albo za co kupiła kosztujący ponad sto dolarów bilet lotniczy, albo dlaczego jest tu sama.

Spokojnie zajęła się studiowaniem tablicy odlotów, sprawdzając, dokąd ma się udać.

\* \* \*

Jim Morgan uważał, że w życiu obowiązuje prosta zasada, której nauczył się od swego stryja Clive'a. Chudy jak szkielet brat ojca całe życie przepracował jako strażnik na bramie magazynu spedycyjnego Ready Ship w Tigard, gdzie sprawdzał wjeżdżające i wyjeżdżające ciężarówki. Wykonywał tę pracę pięć dni w tygodniu od ponad trzydziestu lat. Ojciec Jima nigdy nie ukrywał, że jako urzędnik bankowy (niższego stopnia) uważa się za kogoś stojącego wiele szczebli wyżej od swego starszego brata, co nie przeszkadzało, że przez całe życie narzekał i czuł się niedoceniony, podczas gdy stryj Clive wyglądał na w pełni zadowolonego ze swojego losu.

Pewnego niedzielnego wieczoru — Jim miał wtedy trzynaście lat — podczas rodzinnej kolacji stryj zaczął znów ze szczegółami opowiadać o swojej pracy. Robił to nie po raz pierwszy i rodzice Jima dość ostentacyjnie przewracali oczami na znak znużenia, ale ich syn tym razem uważnie słuchał. Słuchał opowieści stryja o spedycyjnych harmonogramach, zadaniach i obowiązujących procedurach, dzięki którym między ósmą a szesnastą w dni powszednie wjazd do Ready Ship i wyjazd stamtąd przypominał przeciskanie grubego wielbłąda przez ucho igielne. A igłą był stryj Clive. Nie miało znaczenia, kto kim był i co wiozł, jak bardzo spóźniony lub pilny był ładunek czy ile razy

wcześniej stryj widział daną twarz. Kierowca musiał się wylegitymować specjalną plakietką albo przepustką, albo oficjalnym pismem. I musiał przy tym odpowiednio się zachowywać. Stryj Clive zwracał uwagę na maniery kierowców, których uznał za źle wychowanych, przetrzymywał — długo z nimi dyskutował, dzwonił przez radiotelefon i kręcił głową niezadowolony. Nieszczęśnik odjeżdżał potem psychicznie rozbity i czuł się jak dureń, a sprawę załatwiał się w prosty sposób. Należało się wylegitymować, gdyż takie są przepisy, więc jeśli ktoś nie potrafi sobie tego wbić do łba, to już nie wina stryja Clive'a.

Jim wziął to sobie do serca i piętnaście lat później nadal zgadzał się ze stryjem. Można podskakiwać albo się przymilać, ale zawsze jest ktoś postawiony przez taką czy inną władzę do pilnowania, żeby wszystko odbywało się zgodnie z przepisami. Z historii tej płynęła też nauka, jak żyć. Czerpać przyjemność z tego, co się robi, i pilnować, żeby na swoim podwórku być królem. Amen.

Jego podwórkiem była praca w ochronie portu lotniczego w Portland i Jim wykonywał ją z pełnym zaangażowaniem. Pasażerowie stali tam, gdzie powinni, bo inaczej narażali się na jego gniew. Potrafił bez słowa przerwać kontrolę i powolnym krokiem przejść wzdłuż kolejki znieczepionych pasażerów tylko po to, by paru durniom na końcu zwrócić uwagę, że mają się równo ustawić. Co do samej kontroli też miał swoje wymagania. Podchodzić do niego należało tylko pojedynczo. Wszyscy inni towarzyszący pasażerowi — łącznie z małżonką, biznesowym partnerem, matką czy duchowym guru — mieli obowiązek stać krok za żółtą linią i czekać na swoją kolej. Nieprzestrzeganie tych reguł mogło spowodować, że Jim przerywał kontrolę, podchodził do czoła kolejki i długo perorował na temat obowiązujących zasad. Bo on naprawdę miał na to cały dzień albo przynajmniej trzy dwugodzinne zmiany. Oczywiście pasażerowie stojący dalej w kolejce nie byli po stronie takiego bałaganiarza, bo wszyscy chcieli jak najszybciej przejść kontrolę, kupić gazetę i nareszcie usiąść, więc każdy opóźniający to stawał się ich osobistym wrogiem.

Filozofia Jima sprowadzała się do zasady „dziel i rządź” lub sprowadzałaby się, gdyby przyszło mu do głowy ubrać ją w słowa. Ale nie musiał tego robić. Do jego obowiązków nie należało wyjaśnianie czegośkolwiek. Ma tak być i koniec.

Do godziny 16.48 w świecie Jima panował spokój. Kolejka pasażerów posuwała się karnie i nie była ani zbyt długa (co mogłoby wskazywać na jego opieszałość), ani zbyt krótka (co sugerowałoby, że jego kontrola jest zbyt pobieżna, a to oczywiście byłoby znacznie gorsze) i stała przed nim w idealnie prostej linii. Jim skinął głową osiemdziesięcioletce z Nebraski, która — jak się już upewnił — nie próbowała przemyścić na pokład zapalniczki, broni palnej lub bomby atomowej, dając tym samym przyzwolenie do przejścia przed aparatem rentgenowskim. Potem bez pośpiechu przeniósł wzrok na następną osobę w kolejce.

Była nią dziewczynka w wieku dziewięciu, może dziesięciu lat. Miała długie, rozpuszczone włosy i wyglądało na to, że jest sama.

Jim dał znak, że ma podejść. Dziewczynka zrobiła to, a on podniósł głowę i wlepił w nią spojrzenie, co w tłumaczeniu na ludzki język znaczyło: „Pokaż mi wszystko, co należy, i pamiętaj, żeby zachować właściwą (choć bliżej nieznaną) kolejność, bo inaczej zrobię z ciebie pośmiewisko na oczach tych wszystkich ludzi”.

— Dzień dobry — powiedziała i uśmiechnęła się. Uśmiech był z gatunku tych, które gwarantują drugie, może nawet trzecie odwiedziny w sklepie z zabawkami. Uśmiechnięta dziewczynka, która wie, jak podejść dorosłych, żeby zrobili to, na czym jej zależy.

Jim nie odwzajemnił uśmiechu. Praca w ochronie lotniska to nie żadne śmichy-chichy.

— Bilet.

Bez wahania go podała. Obejrzał go w swym zwykłym tempie, trzykrotnie dłużej, niż trzeba. Nie odrywając wzroku od kartki zawierającej wszystkie dane, rzucił:

— Osoba towarzysząca.

— Słucham?

Z wolna uniósł na nią wzrok.

— Który? Albo która?

— Ale kto? — Na twarzy dziewczynki pojawiło się zmieszanie.

Normalnie to by Jimowi wystarczyło do wygłoszenia standardowego pouczenia dla niesubordynowanych, a jego uwagi znane były z dosadności, ale tym razem chodziło o małą dziewczynkę. Dwaj stojący za nią faceci zaczęli się już przysłuchiwać rozmowie i Jim nie mógł jej zwyczajnie zmieszać z błotem.

— Żeby wejść do sali odlotów — powiedział, krzywiąc się lekko — musisz mieć dorosłą osobę towarzyszącą. Takie są przepisy.

— Na pewno? Jest pan pewien?

— Mhm. „Samotnie podróżujących nieletnich musi odprowadzić do wyjścia rodzic lub inna osoba dorosła odpowiedzialna za nieletniego — dodał, cytując punkt regulaminu — która po wejściu nieletniego na pokład ma obowiązek zostać na terenie portu lotniczego do chwili odkołowania samolotu z miejsca postojowego”. I to wszystko należy zorganizować odpowiednio wcześniej. Nie można tak po prostu sobie przyjść i polecieć, dziecko.

— Ale... ja lecę do cioci. — W głosie dziewczynki słychać było narastającą obawę. — Ona na mnie czeka. Będzie się martwiła.

— To już twoja mama powinna dopilnować, żeby...

— Proszę. Ktoś jest ze mną. Tylko... tylko wyszedł zapalić. Ale zaraz wróci, naprawdę.

Jim pokręcił przecząco głową.

— Nawet gdybym cię przepuścił, czego zresztą nie zrobię, to i tak cię nie wpuszczą do samolotu. Bez opieki dorosłego nie wejdiesz na pokład.

Uśmiech na twarzy dziewczynki powoli gasł.

— Przykro mi, mała — oświadczył Jim, podejmując poważny jak na siebie wysiłek, by nie okazać, że wcale nie jest mu przykro.

Przez chwilę przyglądała mu się uważnie.



— Lepiej uważaj na siebie — rzuciła cicho. Potem schyliła się, przeszła pod sznurem i wmieszała się w tłum kręcących się po hali pasażerów.

Jim patrzył za nią z rozdziawionymi ze zdumienia ustami. W sprawach dotyczących dzieci z zasady nie wyściubiał nosa ze swojej krainy A Co Mnie To Kurwa Obchodzi i co najwyżej rozmawiał z nimi, jakby je kiepsko słyszał. Ale... może tym razem powinien za nią pójść? Upewnić się, że naprawdę jest pod czyjąś opieką?

Kolejka pasażerów do kontroli robiła się jednak coraz dłuższa i dostrzegł w niej paru potencjalnych rozrabiaków, a poza tym prawdę było mu to obojętne. Zależało mu tylko na dotrwanii do końca zmiany, co pozwoli mu wrócić do domu, chlapnąć parę piw przed telewizorem, a potem wejść do sieci i poszukać jakiegoś dobrego pornosa. No i jeszcze...

Pewnie, że nie ma się czym przejmować. Smarkula, która się popisuje frazą usłyszaną w jakimś filmie. Tyle że w jej tonie brzmiało coś takiego, że gdyby była większa i starsza, to pewnie jej groźbę potraktowałby poważnie. I nie chciałby tego komuś wyjaśniać. Wrócił myślami do kolejki i kiwnął na następną osobę. Okazał się nią Francuz, który miał przy sobie wszystkie potrzebne dokumenty, ale nie amerykańskie. Pozwoliło to Jimowi znacznie dłużej porównywać twarz pasażera z fotografią w paszporcie i obrzucać go spojrzeniem mówiącym: „I nie myśl sobie, że zapomnieliśmy, jak stchórzyliście w Iraku”. Kończąc z nim, był już znów królem kolejki.

Nie myślał o dziewczynce aż do następnego dnia i pojawienia się policji. Dowiedział się od funkcjonariuszy, że nie wykazał czujności i nie udaremnił zniknięcia dziewięcioletniego dziecka, które rozplynęło się w powietrzu. Przy okazji zrozumiał też, że zdarzają się ucha ciśniejsze niż ucho igielne, bo w ciągu następnych kilku godzin przeciągano go tam i z powrotem przez jedno z nich.

\* \* \*

Madison wyszła z budynku portu lotniczego i speszona stanęła na chodniku.

No i co teraz?

Marszcząc z wysiłku czoło, próbowała sobie przypomnieć, dlaczego tak bardzo chciała dokądś polecieć, zamiast po prostu wsiąść do taksówki i pojechać do domu do taty. Dopiero po chwili zauważyła stojącego parę kroków dalej mężczyznę z papierosem, w którego wzroku można było wyczytać pytanie, co tu sama robi. Wyglądał dość sympatycznie i nie zdziwiłoby jej, gdyby podszedł i spytał, czy wszystko w porządku. Tyle że nie bardzo by wiedziała, co mu odpowiedzieć. Nie była też pewna, czy w ogóle powinna się wdawać w rozmowy z obcymi, gdyż niezbyt sobie ufała. Wobec strażnika na lotnisku zachowała się niegrzecznie, a to zupełnie nie w jej stylu. Przecież zawsze była bardzo grzeczna, szczególnie wobec dorosłych.

Szybkim krokiem przeszła przez jezdnię i weszła do budynku wielopoziomowego parkingu. Zrobiła to zdecydowanie, jakby od początku coś ją tam ciągnęło. Zdawało się, że widok mężczyzny z papierosem wypełnia jedną z luk w jej pamięci. Wcześniej też na nią patrzył jakiś mężczyzna, po tym jak... Ależ tak, oczywiście!

Właśnie tak się dostała do miasta.

Przyjechała — okropność — autobusem. Wysiadła na dworcu Greyhound na północno-zachodnim końcu Szóstej Alei, potem przeszła kawał drogi, szukając jakiegoś adresu. Miejsca, które niby знаła, ale nie wiedziała, gdzie się znajduje. Rejon miasta, po którym błędziła, nie należał do sympatycznych. Wiele sklepów było zabitych deskami, a ich szyldy wcale nie brzmiały po angielsku. Wszędzie wały się puste kartony, w powietrzu unosił się smród gnijących w rynsztoku owoców, wszystkie zaparkowane samochody wyglądały na bardzo stare. Od znanych jej dzielnic Portland ta różniła się też tym, że na ulicach byli sami mężczyźni. Mężczyźni w niechlujnych sklepikach z żywnością. Mężczyźni podpierający mury i sami lub w towarzystwie innych mężczyzn w milczeniu obserwujący przechodniów. Mężczyźni

sterczący na rogach ulic. Biali, czarni i Azjaci, ale wszyscy do siebie podobni, jakby ich upodobniała do siebie jednakowa wiedza. Może mama właśnie to miała na myśli, mówiąc, że kolor skóry człowieka nie ma znaczenia. W pewnej chwili zwróciła uwagę na mężczyznę, a właściwie dwóch. Trzymali na łańcuchu psa i zaczęli się do niej zbliżać, rozglądając się na boki. Tylko potem ich pies zaczął się nagle wściekać i obaj mężczyźni przeszli na drugą stronę ulicy.

Czy trafiła do szukanego miejsca? Tego wciąż nie pamiętała, była natomiast pewna, że wychodząc rano z domu, nie miała tego notesu. Zatem może właśnie tam go dostała. Dobrze, uznajmy to za wyjaśnione. Przyjechała do Portland autobusem.

Jeśli tylko uda jej się pouzupełniać te luki w pamięci, wszystko znów wróci do normy.

Na parkingu było ciemno i chłodno. Kręcili się po nim ludzie, ciągnąc za sobą walizki, których kółka podzwaniały na nierównościach. Co chwila samochody zwalniały miejsca parkingowe, kierując się do wyjazdu. Podjeżdżały wielkie, różnokolorowe autokary z odsuwanyymi drzwiami i nazwami hoteli na bokach, z których wysypywali się pasażerowie, a na ich miejsce wsiadali nowi. Parkingi są pełne obcych ludzi. To dobrze. Madison postanowiła gdzieś usiąść i spokojnie wszystko przemyśleć. Ruszyła środkiem przejścia między rzędami samochodów. Wszyscy wokół głośno rozmawiali, śmiali się, płacili taksówkarzom, szukali zawieruszonych dzieci. Była dla nich anonimowa i niewidoczna. To znów jej coś przypominało, ale nie wiedziała jeszcze co.

Zbliżając się do jednego z zaparkowanych samochodów, mimowolnie zaczęła zwalniać. Samochód był żółty, dostrzegła, że drzwi kierowcy są uchylone.

Minęła auto, zerkając w jego stronę. W środku siedział stary, siwowłosy mężczyzna. Ręce trzymał na kierownicy jak podczas jazdy, choć silnik był zgaszony. Patrzył w okno i sprawiał wrażenie, jakby siedział tam od dawna. Madison już miała spojrzeć w bok i sprawdzić, na co on tak patrzy, gdy mężczyzna jakby się ocknął. Odwrócił

głowę i na nią popatrzył. Zdążyła tylko dostrzec coś dziwnego w jego twarzy, bo gwałtownie uruchomił silnik i ruszył z miejsca, jakby przed kimś uciekał. Nim się połapała, już z piskiem opon zniknął za zakrętem.

Ale w jej pamięci wypełniała się właśnie ostatnia luka, jak w wannie wypełniającej się wodą wracającą przez odpływ. Coś się wydarzyło podczas tamtej drogi przez miasto... jakaś stara Chinka. Tak, to ona jej dała ten notes. Potem Madison opuściła dom Chinki i szła chodnikiem, i wtedy zatrzymał się jakiś samochód, a siedzący w środku mężczyzna zaproponował jej podwiezienie. Maddy od maleńkości słyszała, że nie wolno wsiadać do samochodów obcych, a jednak tak właśnie zrobiła. Mężczyzna na początku był bardzo miły. Oświadczył, że akurat jedzie na lotnisko i chętnie ją podrzuci. Potem jednak zrobił się strasznie nerwowy i trochę dziecinny. Zaczął wybuchać śmiechem, choć żadne z nich nie powiedziało nic śmiesznego. Zaczął jej też mówić, jak ślicznie wygląda. Lubiła słuchać takich słów z ust taty, ale nie od kogoś takiego.

Na lotnisku podeszli razem do kasy biletowej. Udała, że mężczyzna jest jej tatą, a on jej kupił bilet za pieniądze, które mu wręczyła. Ale potem się uparł, żeby z nim wróciła na parking i znów wsiadła do jego samochodu. Powiedział, że zrobił to, czego sobie życzyła, więc teraz ona musi być dla niego miła, i położył jej rękę na ramieniu.

Nadal nie bardzo wiedziała, co się wydarzyło dalej, pamiętała tylko, że jak spojrział na nią, gdy wyjeżdżał z parkingu, na jego twarzy widniała długa krwawa rysa. Była też pewna, że nie wsiadła ponownie do jego samochodu. Zamiast tego opuściła parking, weszła do budynku portu lotniczego i próbowała wsiąść do samolotu.

Wyciągnęła z kieszeni bilet i mu się przyjrzała. Nigdy w życiu nie była w Seattle. Po co się tam wybierała? Tego nie wiedziała, ale wiedziała, że chce tam być, i to jak najprędzej. Czowała się źle, nie będąc w Seattle. Musi znaleźć inne skuteczne rozwiązanie, jak mawiał jej tata w telefonicznych rozmowach z kolegami z pracy.

Dopiero teraz poczuła, że jej płaszcz opina ją ciasniej niż zwykle. Włożyła rękę do wewnętrznej kieszeni i wyciągnęła grubą kopertę. Była wymiętoszona, w środku znajdowały się studolarowe banknoty. Całe mnóstwo studolarówek. Nie mogły należeć do mamy, bo mama płaciła kartami kredytowymi. Na dnie koperty znajdowało się metalowe kółeczko z dwoma kluczami.

Umieściła kopertę w kieszeni i jednocześnie w przegródce w głowie, gdzie trzymała sprawy do późniejszego przemyślenia. Jest inteligentna. Każdy jej tak mówi, więc Maddy w końcu to wszystko rozwikła.

Zauważyła, że kilka miejsc dalej jakaś kobieta wkłada niewielką walizkę do bagażnika swego samochodu. Madison podeszła bliżej i stanęła tuż obok niej.

Kobieta podniosła głowę. Była młodsza od mamy Madison.

— Hej — powiedziała. — Jak ci na imię?

— Madison. A pani?

Kobieta odrzekła, że ma na imię Karen. Wyglądała na sympatyczną i przyjaźnie nastawioną do świata, i już po paru minutach rozmowy Madison uznała, że właśnie znalazła skuteczne rozwiązanie.

\* \* \*

Karen wyjechała z parkingu z pasażerką na przednim siedzeniu. W labiryncie licznych rozjazdów i drogowskazów zdawała się trochę zagubiona i podenerwowana. Madison to знаła, bo jej mama też się tak zachowywała, i na wszelki wypadek postanowiła się wyłączyć. Sięgnęła do kieszeni i ponownie wyciągnęła notes.

Otworzyła go na pierwszej stroniczce, prześlizgnęła się wzrokiem po pierwszej linijce i zaczęła czytać dalej.

*I ludzie patrzyli, i widzieli, że Śmierć zabiera, ale myśleli, że to Bóg tak chce — bo nasz Bóg był bogiem okrutnym i nas nienawidził. Wierzyli, że Śmierć jest ostateczną karą, którą wymierza na zakończenie krótkiego ciągu krwawych cierpień: że*

*porzuca nas na tej ciemnej i brutalnej równinie, byśmy się miotali tam i z powrotem w nieustępliwym deszczu, nie mając schronienia i cierpiąc głód, cały czas przygięci brzemieniem wiedzy, że kiedyś, w każdej chwili, może nas rozgnieść na miazgę na kamienistej ziemi but unurzany we krwi. Widzimy, jak zabiera nam tych, których kochamy, i jak padają i rozkładają się na naszych oczach, a my w pośpiechu marnujemy życie na jedzenie, spółkowanie i marzenie, albowiem wiemy, że nas też to spotka i że potem czeka nas już tylko wieczność, cicha i ślepa w ciemnościach, a oczekiwanie na nią osładzają nam jedynie kłamstwa, które sobie wmawiamy od chwili, gdy tylko nauczyliśmy się mówić, ponieważ wierzymy w obietnicę uwolnienia na wieki życia więzionego na przestronnym poddaszu nieba lub w piwnicznych lochach piekła.*

*A jednak i nad tym musisz się skupić...*

*Kłamstwo nie do końca jest kłamstwem.*

*Takie miejsca naprawdę istnieją, tyle że dużo bliżej. Ludzie to pojęli i zaczęli robić plany. Ale tylko niektórzy. Bardzo nieliczni. Ci, którym była dana siła woli i którzy mieli cel. Wybrani przez samych siebie. Ci, którzy pojęli, że mogą nocą otworzyć bramy więzień i powrócić. I ci, którzy w porę zrozumieli, że mogą także żyć za dnia, stając się znów mieszkańcami.*

*Ludzie tacy jak my.*

*Ludzie tacy jak ty, moja droga.*

— Co ty tam czytasz? — spytała Karen, z wyraźną ulgą wjeżdżając na główną drogę.

— Nie mam pojęcia — odparła Madison.

## Rozdział jedenasty

W moim barze było nieźle, ale trochę nudnawo. W pewnej chwili przełączyli kanał i wszyscy zaczęli się gapić na jakiś mecz w telewizorze z wyłączonym dźwiękiem. Nie jest to moje ulubione zajęcie, przeniosłem się więc kawałek dalej, do pubu Tillie's. Panowała tu trochę żywsza atmosfera, z głośników leciał głośno rock and roll, ale to wciąż nie było moje miejsce. Wadą i zaletą barów i pitego w nich alkoholu jest to, że ludzie tam łatwo się bratają. Czasem to dobrze, bo pozwala komuś samotnemu rozerwać się w towarzystwie nieznanomych, co przypomina o plemiennej więzi i siedzeniu przy wspólnym ognisku. Ale może też prowadzić do sytuacji, w której przypadkowi nieznanymi nabierają znaczenia, myśl o ukochanej osobie zaczyna drażnić i staje się nie do zniesienia, dopiero co poznani ludzie okazują się najlepszymi przyjaciółmi, a człowiek zaczyna wygadywać niestworzone rzeczy. W każdym razie mnie to się zdarza. Zwierzałem się jednemu facetowi. Koleś miał podkrążone oczy, włosy domagające się wizyty u fryzjera i w miarę przyzwoitą marynarkę, która wyglądała na kupioną w lepszych czasach. Przypominała ubiór kogoś, komu przestało się powodzić i kto spędza w niej zimowe popołudnia na ławce w jakimś zadbanym parku.

— Jack Whalen — powtórzyłem głośno, nachylając się ku niemu.

— Może być tylko na zamówienie albo trzeba ją kupić w Amazonie, ale naprawdę istnieje.

Na facecie nie zrobiło to żadnego wrażenia. Jeśli już, to z jego miny wynikało, że ma mnie za jeszcze większego palanta niż poprzednio. Czyli pewnie mnie nie dosłyszał. Albo nie zrozumiał. Po jego oczach poznałem, że jest równie zalany, jak ja. Czyli zdrowo. Już otwierałem usta, żeby mu wbić w głowę, kim jestem, ale coś w jego spojrzeniu mnie powstrzymało. Uprzytomniłem sobie, że nie patrzy na mnie ze zwykłą pogardą, ale z czymś w rodzaju tępej nienawiści.

Za plecami usłyszałem jakiś hałas i wyprostowałem się.

Facet w jasnoszarym garniturze przedzierał się w stronę pisuaru, szarpiąc po drodze suwak przy rozporku. Ledwie zdążył, bo od razu zaczął łać jak wyścigowy ogier.

— Uff! — wykrzyknął, zwracając ku mnie rozpromienioną twarz. Był wyraźnie pełen uznania dla wydolności swojego układu moczowego.

— No, no — powiedziałem. Zabrzmiało to dość miątko, ale nie bardzo wiedziałem, co mógłbym dodać. Skrupulatnie wytarłem dłonie o spodnie i wytoczyłem się z toalety, czując na karku wyraźny chłód.

Muzyka w barze wydała mi się bardziej ograna i płaska niż poprzednio, oświetlenie bardziej raziło w oczy. Tak, z grubsza zdawałem sobie sprawę, że w toalecie rozmawiałem ze swoim odbiciem w lustrze nad umywalką. Zdarza mi się to, gdy jestem mocno naprany. Gapię się na swoją twarz w lustrze i przez chwilę odbicie wydaje się zupełnie obce. Rozmowa zaczyna się zwykle przyjaźnie, ale potem często nabiera tonu osobistych przytyków w rodzaju „i podciągnij sobie te skarpetki, łajzo”. Tym razem naprawdę na chwilę zapomniałem, że rozmawiam sam z sobą. A to niedobrze. Zwłaszcza gdy jest dopiero ósma wieczorem i nic nie zapowiada rychłego powrotu do domu.

Uzmysłowiłem sobie, że do domu mam sto sześćdziesiąt kilometrów i obiecałem Zimmermannom zwrócić im wóz całe wieki temu.



I że nie ma mowy, bym mógł teraz sięść za kierownicą, że nie mam gdzie spędzić nocy i że wciąż nie nawiązałem kontaktu z żoną, a w jej telefonii komórkowym są rzeczy, które wcale mi się nie podobają.

A potem do mnie dotarło, że dokładnie nad tym samym dumiałem przed pójściem do toalety i że jak dotąd nie poczyniłem żadnych postępów w znajdowaniu rozwiązań.

\* \* \*

Z ulgą stwierdziłem, że większość mojego piwa Mack & Jack została nienaruszona i popijając je teraz, podjąłem próbę rozejrzenia się po lokalu. Jedna z kelnerek była całkiem fajna. Szczupła, pogodna, z włosami w artystycznym nieładzie i dobrze wyglądająca w fartuszkach. Mój podziw dla niej miał charakter zupełnie ogólny — coś jak zachwyt kobiety w sklepie z butami nad parą, której nie chce, nie potrzebuje i na którą jej nie stać. Ale byli goście wyrażający swe uznanie w bardziej bezpośredni sposób. Pół godziny wcześniej jeden z nich zsunął się ze stołka i z wyraźnym żalem ruszył do wyjścia, a ja podśledzałem, jak żegnając go, kelnerka mówi: „Wiesz, naprawdę przysługują ci pewne prawa jako ojcu”.

Pewnie, tylko czy ty naprawdę nie rozumiesz, że facet wyplakiwał ci się ze swoich problemów z żółzowatą żoną i rozczulił nad swoją gorącą miłością do dzieci nie w nadziei na poradę prawną, tylko z chęci ściągnięcia ci majątek? Bo im więcej piłem, tym robiłem się przenikliwszy. Często mi się to zdarza.

Miejsce faceta zajęło dwoje młodych ludzi. Dziewczyna była elegancko ubrana i mocno umalowana, ale i tak wyglądała ciepło i po domowemu. Jej nieogolony towarzysz miał wystające kości policzkowe, oliwkową cerę i był ubrany w dżinsy i wytartą czerwoną skórzaną marynarkę. Miał też kończące się szpiczasto bokobrody i czerwoną bandanę na głowie. Nie muszę dodawać, że znienawidziłem go od pierwszego wejrzenia.

— Nigdy nie umiałabym się na ciebie pogniewać — powiedziała dziewczyna. Pokiwał głową z niepewnym uśmiechem człowieka, którego znajomość języka obcego jest znacznie słabsza, niż się do tego przyznaje.

Przez cały czas rozmawiali, to znaczy na ogół mówiła dziewczyna, chłopak zaś ograniczał się do rzucania nadętym tonem głębokich przemyśleń w rodzaju: „Tak, też tak sędzę”. To, że był zupełnie nieszkodliwy i pewnie nawet dość sympatyczny, czyniło z niego jeszcze bardziej atrakcyjny cel zaczepki. Dziewczyna co chwila pochylała się ku niemu i nawet niepostrzeżenie przysunęła się do niego ze stołkiem. Znosił to ze stoickim spokojem i nagle łączący ich układ stanął mi przed oczami z taką wyrazistością, jakbym był zalany bożkiem, który tkwi na skraju ich świata i pilnuje rozwoju sytuacji. W pewnej chwili tak mocno się ku nim przechyliłem, że dziewczyna to zauważyła i spojrzała na mnie.

A potem usłyszałem swój głos.

— Kochana — rzekłem — zaoszczędzę ci czasu i bólu, i coś ci powiem. To, co Młody Carlos próbuje ci przekazać, nie ubierając tego w słowa: podobało mu się rżnięcie ciebie przez te ostatnie parę tygodni, ale teraz wraca do Europy, gdzie zacznie rżnąć kogoś innego, zapewne dziewczę ze swojego rodzinnego miasteczka, od której listy chował przez te kilka tygodni pod łóżkiem.

Dziewczyna zamrugała.

— Nie udawaj, że cię to dziwi. — Wzruszyłem ramionami. — Spójrz tylko na te jego pieprzone bokobrody. Problem w tym, że twój Pedro nie jest ani poetą, ani toreadorem. Swoje najlepsze lata spędzi za kierownicą furgonetki, którą wozi zaopatrzenie dla knajpy wuja, wskakując do każdego łóżka, póki jeszcze może, i hodując w postępie geometrycznym coraz większy brzuch i wory pod oczami. Pogódź się z tym, zapomnij o tym bubku, wróć do planu A i znajdź sobie jakiegoś miłego kolesia z MBA, który wierzy w regularne golenie się i wizyty na siłowni.

Patrzyli teraz na mnie oboje: on kompletnie nic nie rozumiejąc i lekko się uśmiechając w przekonaniu, że Amerykanie to naprawdę bardzo towarzyski naród, bo bez problemu nawiązują rozmowę z nieznajomymi, i jakie to jest fajne. Dziewczyna dwukrotnie zamrugała i pojąłem, że jeszcze to do niej nie dotarło.

— Chociaż nie, właściwie... — wtrąciłem, bo właśnie mi to przyszło do głowy — on cię wcale nie przerznął, prawda? Tylko że już jutro wraca do domu, więc masz nadzieję, że dziś będzie ta wielka noc. Przykro mi, kochana. Nic z tego. Przez cały czas byliście tylko kumplami, chociaż on czuł przez skórę, że ty byś tego chciała.

Dziewczyna patrzyła na mnie z otwartymi ustami. Powoli pokręciłem głową dla podkreślenia, że dzielę z nią ból, współczuję i odczuwam głęboką więź duchową z jej ułomną, ale z natury poczciwą duszą.

A potem ona walnęła mnie w twarz popielniczką.

\* \* \*

Opuściłem Tillie's lekko zamroczony. Próbowałem się tłumaczyć przed kelnerką, ale przeszkadzała mi w tym cieknąca z nosa krew; nie pomógł też wielki czarnoskóry drab wywołany przez kelnerkę z kuchni celem zmotywowania mnie do jak najszybszego wyjścia z lokalu. Był w tym niezły, bo poczułem się bardzo zmotywowany.

Z grubsza o własnych siłach wytoczyłem się na ulicę, gdzie powitały mnie wieczorny ruch i siąpiąca mżawka. Położyłem trochę po Czwartej Alei, heroicznie walcząc z papierosem i powarkując na mijane drzewa. Wcześniej już trzykrotnie zadzwoniłem do domu, ale nikt się nie odezwał. Wiedziałem, że się upiłem, by nie myśleć, co z tego wszystkiego może wynikać, ale to mi niewiele pomagało. Pomyślałem o hotelu Malo i barze hotelowym, ale coś mi mówiło, że nie powitano by mnie tam z otwartymi ramionami. W końcu skrzyłem w przeciwną o nazwie Madison i ruszyłem w stronę nabrzeża. Po chwili

okazało się, że Madison nie jest ulicą, tylko stromo opadającym górskim żlebem. Przez pierwsze dwa kwartały było jako tako, ale gdy dotarłem do Drugiej Alei i spojrzałem w dół ku następnej przecznicy, przez chwilę całkiem poważnie rozważałem pomysł, żeby zostać na miejscu i poczekać, aż ktoś otworzy w sąsiedztwie jakiś bar. Ostatecznie uznałem jednak, że byłaby to z mojej strony oznaka słabości — należą do tych, którzy się przejmują takimi bzdurami — i ruszyłem w dalszą drogę. Na chodniku przed Budynkiem Federalnym betonowe płyty zastąpiono rowkowaną kostką, więc to trochę ułatwiało sprawę, ale i tak po paru krokach straciłem równowagę. Wyłożyłem się jak długi, zjechałem trzy metry po chodniku i wyrznąłem z hukiem w kontener na śmieci.

W chwili gdy próbowałem wstać, minęła mnie idąca pod górę para w średnim wieku, ubrana w identyczne futerka.

— Ślisko, co? — odezwało się jedno z nich. Wyglądali jak włocho-ta dwugłowa gąsienica.

— Pierdol się — odparłem.

Na rogu Pierwszej Alei natknąłem się na sklepik i wszedłem do środka, by kupić papierosy. Chinka za ladą popatrzyła na mnie z taką miną, jakby nie chciała mieć ze mną nic wspólnego, ale obrzuciłem ją wrogim spojrzeniem i zmieniła zdanie. Kupiłem też butelkę wody i przejrzałem się w szafie na napoje, sprawdzając, czy nie mam zakrwawionej twarzy. Potem wyszedłem na ulicę i dojrzawszy na przeciwnym rogu światła baru, pokuśtykałem w jego stronę. Okazało się, że bar jest luźno powiązany z sąsiadującym hotelem i panuje w nim mrok na tyle gęsty, że opuchlizna na moim policzku nie zostanie od razu zauważona.

Zamówiłem szklankę słabego piwa i usiadłem w rogu, żeby nikomu nie rzucać się w oczy. W każdym razie taki miałem zamiar. Gdybym w tym momencie sprawował aktywną kontrolę nad dalszym przebiegiem wieczoru, wiedziałbym, że jakiegokolwiek piwo i jakiegokolwiek

bar to fatalny pomysł. Mój problem polega jednak na tym, że drań próbujący wyrządzić mi największą krzywdą mieszka w mojej głowie.

\* \* \*

Przed wszystkim upewniłem się, że telefon Amy przetrwał mój upadek. Wyglądało, że nic mu nie jest, za to gwałtowne zderzenie z ziemią trochę mnie otrzeźwiło. No, chyba że byłem już na etapie chwilowej klarowności umysłu, kiedy układ nerwowy informuje, że lada chwila się wyłączy, i daje ostatnie ostrzeżenie, żebyś czym prędzej spieszył do domu, bo jak nie, to umyje od wszystkiego ręce i padniesz jak szmata na podłogę.

Ponieważ nie udało mi się wymyślić nic mądrego w sprawie SMS-ów w telefonie Amy, wróciłem do nich i przywołałem na ekran pierwszy z brzegu. Już wcześniej miałem świadomość, że istnieje prosty sposób ustalenia ich nadawcy, ale nie chciałem tego robić. Tyle że wtedy nie byłem pijany.

Nacisnąłem zielony guzik i zadzwoniłem pod numer nadawcy.

Zapadła kilkusekundowa cisza, po czym usłyszałem komunikat o braku możliwości połączenia. Rozłączyłem się, czując ulgę, ale także niepokój. Gdzie, u diabła, jest Amy? Czy nic jej się nie stało? A jeśli nic, to dlaczego nie dzwoni? Jak długo mam czekać, zanim zgłoszę to policji? Wiedziałem, co powiedzą facetowi z tak wątpliwymi dowodami, ale naprawdę się o nią martwiłem. Jeszcze jedno przyszło mi do głowy: powinienem spróbować znaleźć nasz samochód. Mogłem zacząć od sprawdzenia wszystkich parkingów w śródmieściu. Dawało to minimalne szanse powodzenia, ale nagle pomysł bardzo mi się spodobał. No i przynajmniej będę coś robił. Podejmę prymitywne działanie, które może do czegoś doprowadzić. Na razie leje jak z cebra, ale jak tylko trochę przestanie...

Raz jeszcze zadzwoniłem do domu i ponownie nikt nie odebrał, choć minęła już dziewiąta. Zrobiłem szybkie obliczenia i wyszło, że od naszej ostatniej rozmowy minęło już czterdzieści sześć godzin, co

było rekordem ostatnich siedmiu lat. To mnie coraz bardziej utwierdzało w przekonaniu, że coś musiało się stać, a jednocześnie bardzo chciałem wierzyć, że wszystko jest w porządku. Czuję się tak, jakby mój lekarz skrzywił się na widok wyniku badania krwi, ale mnie jednocześnie gnębiła ciekawość, dlaczego od sześciu miesięcy mam wrzenie, jakbym już umierał.

Dla zabicia czasu zajrzałem znów do telefonu, by zobaczyć, czy nie znajdę jeszcze czegoś. Galeria zdjęć zawierała cztery pliki. W ciągu minionego roku zauważyłem u Amy dziwną awersję do fotografii. Wiedziałem oczywiście, że ma z nimi stale do czynienia w pracy — z olśniewającymi fotogramami produktów i z niekończącym się katalogiem zdjęć z castingów — ale wyczuwałem, że nie lubi ani być fotografowana, ani fotografować innych. Pierwszym plikiem zdjęciowym był obrazek, który poprzednio służył za tapetę w jej aparacie. Widnieliśmy na nim oboje, głowa przy głowie, radośnie roześmiani. Zrobiłem to zdjęcie swoim telefonem komórkowym półtora roku temu na końcu mola w Santa Monica. Uważałem, że to bardzo fajne zdjęcie, i wcale mi się nie podobało, że przestała go używać. Następne dwa oznaczono jako „Zdjecie-76.jpg” i „Zdjecie-113.jpg” — oba ciemne i gruboziarniste i na tak małym ekraniku nic nie widziałem. Czwarte okazało się nieco wyraźniejsze i choć też wyglądało na zrobione po ciemku, coś przynajmniej dojrzałem. Przedstawiało głowę i ramiona mężczyzny sfotografowanego z odległości mniej więcej dwóch metrów. Mężczyzna stał w cieniu i nie patrzył w obiektyw, tylko gdzieś w bok, jakby nie wiedział, że jest fotografowany. Zamiast tytułu zdjęcie miało dołączony tekst.

„Potwierdzam. Przepraszam za jakość. Ale i tak cię ucieszy”.

Numer, z którego go wysłano, był inny od tego, z którego wysłano SMS-y. Odłożyłem telefon na stolik i łyknąłem cienkusa, ale

pomysł powrotu do picia macka & jacka coraz bardziej do mnie przemawiał. Wiedziałem, że nie powinienem tego robić, ale zdawałem sobie sprawę, że to mi w niczym nie przeszkodzi. I dlatego gdy w pobliżu zjawiała się kelnerka, spojrzałem na nią wymownie, ale zaraz potem odwróciłem głowę, bo akurat zadzwonił mój telefon.

Wyświetlił się nieznany mi numer.

— Halo? — powiedziałem. — To ty?

Ale to nie była Amy. Dzwonił taksówkarz.

## Rozdział dwunasty

Przyjechał dwadzieścia minut później, ubrany w lśniące nowością dzinsy i nowiutką skórzaną kurtkę. Krótkie włosy, pospolita twarz. Rok czy dwa przed naszym wyjazdem z Los Angeles odnotowałem masowy napływ podobnych do niego imigrantów. Koni roboczych nowego tysiąclecia — młodych ludzi układających towar na półkach i handlujących kontrabandą na rogach ulic; harujących bez wytchnienia w legalnej pracy i napadających na ludzi pod osłoną nocy. A wszystko z niezłomną zimną determinacją, której brak miejscomym.

No i oczywiście prowadzących taksówki. Kiwnąłem głową, a on podszedł, usiadł naprzeciw mnie i spojrzał na moją szklanką z piwem.

— Chce pan?

— Proszę — odrzekł.

— Ale jest pan w pracy, nie?

Spojrzał na mnie bez słowa, więc podniosłem rękę i zamówiłem dwa piwa. Kelnerka była szybka i przyniosła je, nim zdążyłem zapalić następnego papierosa.

Georj pociągnął długi łyk i kiwnął głową.

— Dobrze — powiedział. — No więc?

— Dziękują za odwiezienie telefonu do hotelu.

— Dziękuję za pieniądze. Myślałem, że ich może nie będzie. No więc?



— Chciałem się tylko dowiedzieć, czy nie przypomniał pan sobie czegoś jeszcze.

Obejrzał swoje dłonie jak ktoś, kto umie zapominać różne rzeczy i nie potrafi ich sobie przypominać na zawołanie.

— Jeżdżę cały dzień. Wszędzie. Ludzie wsiadają, ludzie wysiadają.

Nacisnąłem kolejno parę przycisków na mojej komórce i wyciągnąłem w jego stronę.

— To ona — oświadczyłem.

Pochylił się i przyjrzał zdjęciu na wyświetlaczu. Temu samemu, którego do niedawna używała jako tapety w swojej komórce.

— To moja żona. A ten facet obok niej to ja, prawda? Nie jestem gliną. Próbuję ją tylko znaleźć.

Wziął ode mnie telefon i przechylił tak, żeby lepiej widzieć.

— Okay — powiedział po chwili. — Pamiętam.

Serce zaczęło mi szybciej bić, ale zachowałem spokój. W takich przesłuchaniach mam wieloletnie doświadczenie.

— Jest dość wysoka — dodałem. — Mniej więcej metr siedemdziesiąt osiem wzrostu.

Bez namysłu pokręcił głową.

— Znaczący nie ona. Tamta miała z metr siedemdziesiąt.

— Świetnie. To to samo.

Spojrzał na mnie z ironicznym uśmiechem.

— Nie glina, tak. A ja nie Ruski. Ja z Disney World.

— Masz mnie. Rzeczywiście byłem kiedyś gliną. Ale coś mi się zdaje, że ty też masz doświadczenie w kontaktach z policją. Dlatego przestańmy pogrywać i pogadajmy szczerze. Kiedy ją widziałeś?

Chwilę się zastanowił.

— Wczesny wieczór. Wsiadła w centrum. Wysiadła chyba gdzieś w Belltown.

Pokręciłem głową, bo nic mi to nie mówiło.

— Tam, za targiem rybnym — wyjaśnił, pokazując w prawo. — Dała za duży napiwek, dlatego pamiętam.

To już druga cecha potwierdzająca jej tożsamość.

— Pamiętasz coś jeszcze?

— Nie za dużo. — Wyjął papierosa z mojej paczki i zapalił. — Padało. Uważałem na drogę. Oni rozmawiali. Więc...

— Zaraz, chwileczkę. Oni?

— Ona i gość.

Poczułem gniewienie w żołądku.

— Jak on wyglądał?

— Chyba w garniturze. Ciemne włosy. Nie pamiętam.

— Wsiedli razem?

— Tak.

— I co dalej?

— Nie wiem. Chyba tylko rozmawiali.

— O czym rozmawiali?

— Skąd ja wiem? Moje radio gra.

— Daj spokój, Georj. Byli poważni? Śmiali się? No jacy?

Zdałem sobie sprawę, że bacznie mi się przypatruje, a ja tracę kontrolę nad swoim głosem i zaczynam niemal krzyczeć. Zaczepnąłem powietrza.

— Dobra — powiedziałem cicho. — Przepraszam. Zabrałeś dwoje pasażerów i zawiozłeś ich do Belltown czy gdzieś tam. Pasażerka ci zapłaciła i odjechała. To wszystko?

Dopił resztkę piwa i widać było, że się już szykuje do odejścia. W odruchu rozpaczony chwyciłem komórkę Amy, otworzyłem ostatni z plików zdjęciowych i podetknąłem mu pod nos.

— Czy to mógł być ten mężczyzna? Popatrzył na zdjęcie nie dłużej niż przez sekundę.

— Nie wiem. Złe zdjęcie. Może on. Może nie on.

— Okay, dziękuję. Jesteś teraz w pracy?

Zawahał się.

— Nie.

— No to już jesteś.

\* \* \*

Wyszedłem za nim na deszcz. Nie byłem pewien, czy w Malo mają wolne pokoje i czy o tak późnej porze wynajmą pokój komuś takiemu jak ja. Wiedziałem natomiast, że nie powinienem przebywać teraz w miejscu publicznym i że hotel Malo jest ostatnim znanym mi adresem Amy. Chociaż niewiele z tego wynikało.

Taksówkarz ruszył przodem i skręcił w przecznicę w prawo. Dlaczego nie zaparkował przed barem?

— Dlaczego nie zaparkowałeś przed barem? — burknąłem z pretensją w głosie. Zaczynałem już trochę bełkotać i pomału przestawałem kontaktować.

— W razie jak policja — odrzekł obojętnie, nawet nie odwracając głowy. — Jak oni widzą z baru do auta, jest niedobrze.

Obeszliśmy jeszcze parę narożników i nagle zdałem sobie sprawę, że jesteśmy niedaleko wylotu Post Alley i to mi przypomniało o Toddzie Cranie. Facecie o ciemnych włosach. Facecie chodzącym w garniturach. Facecie, który twierdził, że nic nie wie o losach Amy.

Ale...

Skręciliśmy w kolejną uliczkę. Była wąska, wybrukowana kocimi łbami i ciągnęła się na tyłach starych magazynów. Przy krawężniku stała zaparkowana czerwona taksówka. Georj szedł jakieś osiem, dziesięć metrów przede mną. Zatrzymał się obok samochodu, sięgnął do kieszeni po kluczyki i w tym momencie coś przyciągnęło moją uwagę. Z pogrążonego w mroku końca uliczki wynurzyli się dwaj ludzie. Byli zbyt daleko, żebym mógł się im lepiej przyjrzeć, ale wiedziałem, że obaj są ubrani na ciemno i zmierzają szybkim krokiem w naszą stronę.

— Georj... — powiedziałem półgłosem.

Obejrzał się i zobaczył, że rzucam się do ucieczki. Potem spojrzał w drugą stronę i замуrowało go.

Obaj mężczyźni też zaczęli biec, wyraźnie obierając sobie mnie za cel. Widać doszli do wniosku, że z nas dwóch ja mogę im przysporzyć więcej kłopotów. Twarze obu były blade i spokojne. Wyższy miał

jasne włosy, niższy — rude. Odruchowo sięgnąłem do pasa, zapominając, że już nic przy nim nie noszę.

Pierwszego z napastników powitałem wystawionym sztywno łokciem, jednocześnie lekko zginając kolana tak, by trafić w gardło. Wywinął kozła i zwałił się na mokry chodnik. Georj i drugi z napastników już się z sobą zwarli, ale nim zdążyłem zadziałać, bandzior uderzył bykiem w twarz taksówkarza. Georj runął do tyłu i osunął się po boku taksówki.

Poczułem na prawym ramieniu dłoń i znów przykucnąłem, równocześnie wykonując gwałtowny obrót w lewo, czyli odwrotnie, niżby to zrobiła większość. Mój pełny obrót wytrącił napastnika z równowagi, a ja mu jeszcze dołożyłem potężny cios pięścią w bok. Byliśmy tak blisko siebie, że gdy gwałtownie zacharczał, kropelki jego śliny opryskały mi twarz.

Wcisnąłem kolano w jego udo tuż nad kolanem i widać trafiłem w nerw, bo znów bezwładnie padł na ziemię. W tym czasie drugi z napastników odskoczył już od Georj a, rzucił się na mnie i zacisnął mi dłonie na gardle.

Był od tamtego silniejszy i bardziej zawzięty i udało mu się rzucić mnie plecami na maskę samochodu. Odbiłem się od niej bezwładnie i osunąłem na kocie łby, ale on popełnił błąd i zbyt szybko do mnie doskoczył.

Zrobiłem szeroki, niski wymach nogą i trafiłem go w tył łydki. Zachwiał się i pochylił, a ja poderwałem się na nogi i walnąłem go w twarz. Kiedy przewrócił się na bok, z całej siły rozgniotłem obcasem palce jego prawej dłoni.

Kątem oka dostrzegłem, że pierwszy z napastników sięga do kieszeni płaszcza, zwróciłem się ku niemu, by go sprowokować do wyciągnięcia broni. W tej chwili chyba nawet nie pomyślałem, że jestem nieuzbrojony. Pewnie w ogóle wtedy nie myślałem. Po prostu byłem walczącym samcem, którego do walki zagrzewa żądza pomszczenia nagłego i niepojętego wyłomu w jego dotychczas uporządkowanym życiu.

— Nie — rzucił powalony przeze mnie napastnik i nie było to adresowane do mnie.

Tamten zawahał się, ale wyjął rękę z kieszeni. Chwilę później obaj ruszyli biegiem w głąb uliczki.

\* \* \*

Georj siedział skulony z plecami opartymi o bok taksówki i dociskał dłonie do twarzy. Dysząc ciężko, kucnąłem przed nim; z nosa ciekła mu krew i miał nią zalane usta, brodę i przód marynarki. Nim zdołał mnie powstrzymać, szybko obmaciał mu nos. Zaklął głośno i szarpnął moją rękę.

— W porządku — powiedziałem. — Nie jest złamany.

Podniosłem się i spojrzałem w głąb uliczki. Po napastnikach nie było już śladu.

— Co to za jedni?

— Co? — Taksówkarz też się podniósł i zaczął drżącymi palcami przebierać w kluczykach. Patrzył na mnie tak, jakbym był stworem, który szczerząc zęby, właśnie wyczołgał się z zatoki.

— Słyszałeś. Spytałem, co to za jedni.

Pokręcił głową, jakby nie dowierzając własnym uszom.

— Co z tobą, do kurwy nędzy? — warknąłem i przytrzymałem drzwi. Zdążył już je otworzyć i wcisnąć się do środka. — Właśnie ocaliłem ci tyłek. Kim są ci ludzie?

— A skąd ja mam wiedzieć?

— Nie żartuj sobie — powiedziałem. — Tym razem im się nie udało, ale jeszcze po ciebie wrócą. Jak będziesz rznął głupa...

— Nie wiem! — krzyknął. — Nie jestem kryminalista. Ani tu, ani tam. Jestem magister biochemii.

— Ale...

— To prawda, panie przemądrzały. Miałem dużo rozmów z policją. Moja siostra, ona była dziennikarka w Sankt Petersburg. Zamordowali ją trzy lata temu. Dlatego dużo rozmów z nimi. — Wycelował palec w moją twarz. — Ale ty? Coś ty za jeden?

Splunął mi pod nogi, trzasnął drzwiami i odjechał.

Zostałem sam na środku pustej uliczki. Zrobiło się nagle bardzo cicho, jakby wszystko wokół umarło, i tylko z oddali dochodziły dźwięki klaksonów i syren dowodzących, że gdzieś tam toczy się życie. Czułem się bardzo nieswój i bolały mnie knykcie.

Odróciłem się i spojrzałem w głąb uliczki.

## Rozdział trzynasty

Alison opierała się rękami o blat kuchenny. Za oknem wstawał szaroniebieski, nieprzyjazny świt. Wiedziała, że musi się odwrócić i spojrzeć na męża. Wiedziała, że muszą jeszcze parę rzeczy sobie powiedzieć, choć ona właściwie powiedziała już wszystko i przypuszczała, że Simon to wie. Wprawdzie miała wrażenie, że za chwilę głowa jej pęknie na pół, wiedziała jednak, że musi ją odwrócić. Jak można w taki dzień jak dziś spojrzeć komuś w oczy?

Ale trudno. I tak musi to zrobić.

Odwróciła się. Jej mąż siedział za stołem. Był zmęczony i wyraźnie przybiły, ale czuło się w nim gotowość i chęć działania. Znała to spojrzenie. Miewał je, gdy wiedział, że coś trzeba zrobić, tylko nie bardzo wiedział co. Spojrzenie sygnalizujące gotowość do podjęcia akcji. Jakby mówił: „Wiem, że nic nie robię, ale wierz mi, jestem gotów”. Patrzył na nią pytająco.

— Nie — powiedziała. — Nic więcej. — Głos miała ochrypły po wczorajszych rozmowach i krzykach. Wołała ją, chodząc po plaży, później po domu i terenie między działką a szosą, potem po zaroślach za szosą. W końcu wróciła do domu, zaraz jednak znów wyszła i ruszyła przez wydmy na smaganą wiatrem plażę. Przy drugiej wizycie na plaży uprzytomniła sobie, że tego ranka nie poszły razem na spacer,

i pomyślała z nadzieją, że może córka sama wybrała się na przechadzkę. Ruszyła biegiem wzdłuż plaży i pokonała kawał drogi, dotarła znacznie dalej, niż kiedykolwiek zdarzyło im się dojść podczas rodzinnego spaceru. Potem zawróciła, minęła ścieżkę do domku i pobiegła co najmniej równie daleko w drugą stronę. Nic, nikogo, żadnego śladu.

Wróciła do domu. Starła się uspokoić i zacząć myśleć pozytywnie. Czas jej się dłużył, choć naprawdę minęło raptem piętnaście minut. Potem raz jeszcze wyszła na plażę i zaczęła ją metodycznie przeszukiwać, by nie dopuścić do nawrotu paniki.

W końcu ruszyła popytać sąsiadów, czy nie zauważyli kilkuletniej dziewczynki. Po jednej stronie mieli za sąsiadów wiekową parę, która mieszkała tu chyba od początku świata, ale której O'Donnellowie prawie nie znali. Kiedy się na nich patrzyło, nie można było mieć pewności, czy zauważyliby spadającą na ich dom rakietę. Z drugiej strony działka O'Donnellów graniczyła z posesją domu z czterema mieszkaniami na wynajem, który zimą stał pusty. Pilnujący go stróż niczego nie widział, ale nie omieszkiał zauważyć, że Alison powinna lepiej pilnować córki. Alison wiedziała to sama, bo nagle to do niej dotarło. Mgła, w której żyła przez kilka ostatnich dni — a właściwie miesięcy — nagle się roziała. Wiedziała, co jest ważne i na co należało zwracać uwagę. Wiedziała, że tego nie robiła i jakie mogą być tego konsekwencje.

Wróciła do domu, weszła do kuchni i zaczęła krążyć między oknem wychodzącym na plażę a drugim, które wychodziło na podwórko przed domkiem. Potem wyszła, wsiadła do samochodu i przejechała niecały kilometr dzielący domek od Cannon Beach. Zajrzała do wszystkich sklepów, kawiarni i do sklepu z zabawkami, wszędzie pytając, czy nie widziano małej dziewczynki. Wróciła do domu i po raz ostatni poszła na plażę, zaczęła po niej biegać i wołać córkę. Madison dobrze pływała i Alison nie wierzyła, żeby mogła



wejść do wody i dać się porwać falom. To znaczy pewnie uwierzyłyby, gdyby chciała, ale nie miała zamiaru tego uczynić. Przynajmniej na razie. Zrobiło się już całkiem ciemno i pojęła, że bieganie po plaży i nawoływanie nic nie da.

Wtedy nadeszła pora rozmów.

Najpierw zadzwoniła na policję, potem do Simona.

\* \* \*

— Więc ostatni raz widziałaś ją...

— Simon, już ci mówiłam.

— Wiem. Ale przez całą noc nie zmrużyłem oka, dotarłem tu o trzeciej nad ranem i naprawdę nie...

— Około południa — przerwała ochryplym głosem Alison. — Wróciła z plaży, powiedziała, że trochę poczyta, i poszła do siebie. Siedziałam w fotelu i... Pewnie usnęłam. Obudziłam się i poszłam do jej pokoju, żeby spytać, czy chce iść na spacer, ale...

Simon pokiwał głową. Położył splecione dłonie na stole i znów wlepił wzrok w ścianę. Wiedział, co myślała, gdy patrzył, jak tak siedzi. Zdawało jej się, że wie, co się wtedy z nim dzieje. Oczywiście same najgorsze rzeczy. A prawda była taka, że splatał dłonie po to, żeby nie wstać od stołu i nie uderzyć kobiety, która od dwunastu lat była jego żoną. Nigdy wcześniej tego nie zrobił. Nigdy nie był tego bliski, nawet wówczas, gdy zaczynał myśleć o... Ale wszystko jedno, teraz to i tak nie miało żadnego znaczenia. Tylko jeśli teraz ponosi winę za zniknięcie jego dziecka, to... Ale oczywiście i tak do tego nie dojdzie. Bo to niczego nie załatwi. Bo to nie w jego stylu. Bo nie należy do takich mężczyzn.

Jeszcze ciaśniej splótł dłonie.

Po raz pierwszy od jego przyjazdu znaleźli się sam na sam. Zadzwoniła do niego tuż po telefonie na policję. Nie miał o to cienia pretensji. Wolałby tylko, żeby zadzwoniła do nich wcześniej, przed rozpoczęciem wariackich poszukiwań po całym terenie; żeby zadzwoniła do nich od razu, gdy tylko się zorientowała, że Madison nie

ma w pokoju ani nigdzie blisko na plaży. Ale w tej sprawie nic już nie można zrobić. Po jej telefonie natychmiast wsiadł do samochodu i ruszył w drogę, ignorując wszelkie ograniczenia szybkości na drodze numer 26 z Portland. Gdy dotarł na miejsce, w domu było już czterech gliniarzy z miejscowego biura szeryfa. Zadali Alison mnóstwo pytań, kilka mieli też do niego, chociaż był środek nocy i na własne oczy widzieli, że dopiero co przyjechał. Chcieli wiedzieć, czy „w rodzinie jest wszystko w porządku”, jakby podejrzewali, że Maddy mogła uciec. Potem trzech dołączyło do ekipy prowadzącej poszukiwania. Istnieją pewne terminy, o których nie chce się słyszeć. Zwłaszcza gdy dotyczy to jedyne dziecko. Jednym z nich jest „ekipa poszukiwawcza”.

Potem zaczęło powoli świtać, ale policja nie przestawała się kręcić po domu i po okolicy — sadzie, plaży. Przychodzili zadawać kolejne pytania, zwykle nie więcej niż dwa. I przez cały czas przynajmniej jeden towarzyszył w domu Simonowi i jego kochającej żonie.

Żonie, która właśnie znów odwróciła się do okna i spojrzała na drogę. Może wyobrażała sobie, że ciągle wpatrywanie się w nią nagle wszystko naprawi i zobaczy Maddy wracającą ze sklepu z torbą zakupów (Simon zdążył już zauważyć, że w domu nie ma nic do jedzenia i picia). Że koszmar minie i wszystko wróci do normy. I że ona...

— Ktoś tu idzie — powiedziała.

Usłyszeli kroki na schodkach przed wejściem, potem pukanie do drzwi. Simon ruszył otworzyć. Na werandzie stał mężczyzna. Był wysoki, ubrany w ciemny płaszcz. Miał poważną pociągłą twarz o ziemistej cerze.

— Tak? — Simon czuł, jak mu wali serce.

— Mogę wejść?

— Kim pan jest?

— Nazywam się Shepherd — odparł mężczyzna.

Alison podeszła i stanęła obok męża.

— Pan jest z policji?

— Nie, proszę pani. Jestem agentem federalnym z biura w Portland.

Błysnął im legitymacją i oboje odsunęli się na bok, żeby go przepuścić. Mężczyzna wszedł do kuchni, stanął pośrodku i rozejrzył się.

— Państwa córka zaginęła — rzekł wypranym z emocji głosem.

Alison już chciała potwierdzić, ale nagle zaczęła płakać. Żaden z policjantów nie użył tego określenia. Próbowwała coś powiedzieć, ale z jej ust dobył się tylko ledwo słyszalny szept. Simon wziął ją za rękę, lecz to jedynie pogorszyło sprawę. Mężczyzna spokojnie czekał. Żadnym słowem ani gestem nie próbował jej uspokoić czy pocieszyć. Przeciwnie, wyglądał na zniecierpliwionego jej wybuchem.

— Kiedy widzieliście ją po raz ostatni?

— Wczoraj wczesnym popołudniem — odrzekł Simon. Mężczyzna mu się przyjrzał.

— Pan był przy tym obecny?

— Nie, ale...

— To niech mówi pani O'Donnell.

To wystarczyło, żeby powstrzymać jej łzy.

— Mąż wie wszystko to, co ja — oświadczyła.

Mężczyzna pokiwał głową.

— Czyli w sumie niewiele. Po prostu sobie stąd wyszła? Zniknęła?

— Spałam wtedy...

— I nie wie pani, dokąd mogła pójść? Nie ma żadnych przyjaciół ani krewnych w okolicy? Ani żadnego miejsca, w którym lubiła spędzać chwile w samotności?

— Zawsze spędzaliśmy czas razem. W rodzinnym gronie.

Spojrzała na Simona i z ulgą dostrzegła, że on też wygląda na zaskoczonoego tonem tej rozmowy. Agent zachowywał się dziwnie, jakby miał do nich pretensję.

— Żona ma rację — wtrącił Simon. — Właściwie nikogo tu nie znamy. Po prostu przyjeżdżamy i...

— Czy Madison знаła Nicka Golsona?

Alison zeszywniała.

Simon zmarszczył czoło. Nazwisko nic mu nie mówiło.

— Kogo?

— Mężczyznę, z którym pańska żona nieomal miała romans.

Simonowi krew odpłynęła z twarzy. Bez słowa wstał i ruszył do wyjścia, po czym usłyszeli, jak zbiega po schodkach na podwórko.

Ale sprawy miały przybrać jeszcze gorszy obrót.

— Ja nigdy... Skąd pan to wie?! — wybuchła. — Od jak dawna... dlaczego wy się tym...?

Mężczyzna spokojnie odczekał do końca.

— A on? Poznali się kiedyś?

Alison gwałtownie pokręciła głową.

— Golson wie, że ma pani córkę? Wykazał nią kiedyś zainteresowanie?

— Oczywiście, że nie. To znaczy, wie o jej istnieniu, ale... Ale co to ma w ogóle wspólnego...?

— Miejmy nadzieję, że nie. Pani sprawy osobiste mnie nie interesują, chyba że rzutują na bezpieczeństwo Madison. — Mężczyzna wyciągnął wizytówkę. Nie było na niej nic poza nazwiskiem i ręcznie dopisanym na odwrocie numerem telefonu. — Jeśli córka wróci, niech pani zadzwoni do mnie z komórki. Jeśli przyjdzie pani do głowy, gdzie mogła się podziać, niech pani dzwoni... z komórki. I to natychmiast. Zrozumiano?

Nie czekając na jej odpowiedź, odwrócił się i ruszył do wyjścia.

Alison stała oszołomiona pośrodku pomieszczenia, w którym dawniej gotowała posiłki, śmiała się, a kiedyś nawet kochała. Kuchnia wymagała remontu. Dziwne, że potrzebny był aż taki wstrząs, aby jej to uzmysłowić. Obserwowała przez okno, jak mężczyzna idzie przez podwórko, wsiada do samochodu i szybko odjeżdża.

Potem poszukała wzrokiem męża. Siedział na trawie na skraju

podwórka z twarzą ukrytą w dłoniach. Alison przez chwilę spokojnie się zastanowiła, czy nie byłoby prościej, gdyby się po prostu zabiła.

\* \* \*

Dwadzieścia minut później w domku zjawili się dwóch miejscowych gliniarzy. Nim zdążyli otworzyć usta, już wiedziała, że niczego nie znaleźli. Relacja o wizycie agenta FBI wyraźnie ich zaskoczyła. Oczywiście Biuro zostało o wszystkim poinformowane, ale nikt się nie spodziewał wizyty kogoś od nich wcześniej niż o ósmej, dziewiątej. Wypyтали dokładnie o rzekomego agenta i wspólnie doszli do wniosku, że tak naprawdę nie wylegitymował się, co uznali za coś bardzo dziwnego. Wręczyła im zostawioną przez niego wizytówkę i policjanci od razu zadzwonili pod podany numer. Nikt nie odebrał.

Od tej chwili akcja nabrała tempa. Kazali jej opisać mężczyznę i jego samochód, po czym rozpoczęli rozmowy przez swoje radiotelefony.

Alison ich zostawiła i ruszyła do wyjścia. Chciała porozmawiać z mężem, ale po wyjściu na zewnątrz zobaczyła, że na podwórku już go nie ma. Wybiegła na drogę i dojrzała go sto metrów dalej, idącego w stronę Cannon Beach. Szybkim krokiem ruszyła za nim.

A potem zaczęła biec.

## Rozdział czternasty

Po otwarciu oczu zobaczyłem, że sterczy nade mną jakaś wielka postać. Było mi zimno, a głowa bolała mnie tak, jakby mi ją ktoś rozłupał, mimo to dostrzegłem, że z postacią jest coś nie w porządku. Miała zupełnie zachwiane proporcje. Nawet w bladym świetle świtu widać było jej toporne i krzywe rysy twarzy, popękaną i zniszczoną skórę. Stwierdziłem też, że jest naprawdę ogromna.

I zrobiona z drewna.

Gwałtownie usiadłem, mój umysł po chwili do mnie dołączył. Okazało się, że leżałem skulony pod ścianą jakiegoś budynku, częściowo przykryty liśćmi. Po przeciwnej stronie uliczki widać było kilka zabitych deskami okien i drzwi zamknięte na przerdzewiałe kłódki — od dawna nieużywane tylne wejścia do sklepów. Dalej rozciągał się niewielki park i choć utwardzono go granitową kostką, zachowało się w nim trochę zarośli i drzew. Stojące dalej budynki z ciemnego kamienia wyglądały bliźniaczo i wszystkie miały po trzy kondygnacje. Na ławkach spało paru innych facetów. W większości byli przykryci rozłożonymi kartonami, czyli lepiej ode mnie znali się na rzeczy.

To, co ujrzałem nad sobą po przebudzeniu, okazało się słupem totemicznym lub czymś w tym rodzaju. W każdym razie było wielkie, drewniane i prymitywne. Wokół stało jeszcze kilka podobnych słupów,

w tym jeden przypominający dwa walczące z sobą potwory, które starają się skrócić sobie karki. Otoczenie bardzo kontrastowało z moimi sennymi majakami, w których było pełno ciemności, brutalności i krzyków wypełniających pomieszczenia o zatęchłym powietrzu, a także bezskutecznych poszukiwań ojca w zakamarkach rodzinnego domu.

Zegarek wskazywał dziesięć po szóstej. Zaskoczyło mnie, że wciąż go mam. Obmacałem się szybko i stwierdziłem, że zachowały się też oba telefony komórkowe i mój portfel. Albo miejscowe złodziejzki się nie spisały, albo nie chcieli się nawet do mnie zbliżyć. Bolały mnie ręce i twarz, ale dolegliwości fizyczne były niczym w porównaniu z ranami emocjonalnymi i duchowymi. Przypuszczałem, że wciąż jestem w Seattle, ale poza tym w głowie miałem kompletną pustkę, zupełnie nie wiedziałem, co się wydarzyło wczorajszego wieczoru. Na ogół dużo nie piję i tego typu sytuacje mi się nie zdarzają, nie mam więc ani doświadczenia, ani wiedzy, jak sobie z nimi radzić. Było mi niedobrze i trochę się bałem. Wstałem, mając nadzieję, że mi to pomoże.

— Dobrze się pan czuje?

Odwrociłem się i zobaczyłem faceta z rowerem.

— Jestem w Seattle? — spytałem.

— W parku Occidental, proszę pana — rzekł facet, podchodząc bliżej. Miał na głowie biały kolarski kask, narzutka na ramiona też była biała. Właściwie wszystko w nim było czyste, godne i białe. Zupełnie jak we mnie, tylko z „nie” przed każdym przymiotnikiem.

— Który jest w Seattle, tak? — upewniłem się na wszelki wypadek i od razu tego pożałowałem. Choć na pewno nie był gliną, nie ulegało wątpliwości, że pełni jakąś społeczną funkcję w dziedzinie utrzymania ładu i porządku. Czy w tym mieście można trafić do pierdła za samo bycie durnym palantem?

— Tak, proszę pana. Znajduje się pan parę przecznic od Pioneer Square, jeśli to panu coś mówi.

Mówiło. I znaczyło, że jestem pięć minut drogi od miejsca, w którym wczoraj urwał mi się film.

— Ze mną wszystko w porządku. Po prostu trochę za dużo wypilem, nic więcej.

Pokiwał głową, litościwie powstrzymując się od okrzyku w rodzaju „Nie pieprz, koleś!”.

— Nie jest pan ranny? — spytał, przyglądając się mojej twarzy.

— Poślizgnąłem się na stromym chodniku i trochę potłukłem.

— Nic panu w nocy nie zginęło?

Żeby go uspokoić, jeszcze raz sprawdziłem wszystkie kieszenie.

— Wszystko na miejscu i zgodnie z wykazem — zapewniłem go.

Miałem nadzieję, że mój dobór słów da mu do zrozumienia, że to dla mnie nietypowa sytuacja. W rzeczywistości zrobiło się jeszcze gorzej, bo moje słowa zabrzmiały jak zapewnienia starej wariatki, która próbuje dowieść, że nie jest starą wariatką.

— Ma pan dokąd pójść?

— Mam samochód. Pojadę do domu. Dzisiaj.

— Na pańskim miejscu zbytnio bym się nie śpieszył. I przydałoby się panu jakieś śniadanie.

Mężczyzna wsiadł na rower i odjechał.

Po wyjściu z parku okazało się, że tylko jedna przecznica dzieliła mnie od Pierwszej Alei, z której skręciłem w prawo i po przejściu kilkuset metrów dotarłem do Pioneer Square\*.

\* Square (ang.) — plac, rynek, kwadrat.

Wbrew nazwie niewielki placyk wcale nie jest kwadratowy, tylko trójkątny i jednym bokiem przylega do Pierwszej Alei, drugim do Yesler Way, a trzeci bok stanowi wybrukowane przejście wzdłuż rzędu zajmujących resztę kwartału wieżowców. Żaden z trzech boków nie ma więcej jak pięćdziesiąt metrów, zastawiony ławeczkami środek



jest wybrukowany i otoczony kutym żelaznym ogrodzeniem w stylu wiktoriańskim. Rosną na nim drzewa, stoi ujęcie wody pitnej z głową Indianina na czubku i słup totemiczny — wyższy i jeszcze bardziej wyrazisty od tego, który ujrzałem tuż po przebudzeniu.

Stałem pod nieczynną kawiarnią Starbucks na Pierwszej Alei i gapiłem się na drzewa. Po ulicy kręcili się zamiatacze i na mój widok jeden z nich zatrzymał się i uniósł brwi, jakby się zastanawiał, czy mnie też nie zmieść i w ten sposób usunąć z widoku publicznego. Pewnie był to fajny żart, ale mnie specjalnie nie rozbawił. Nadal czułem się kompletnie rozbity, ale ponieważ opuściłem już miejsce noclegu, mogłem zacząć udawać, że to się nigdy nie zdarzyło. Ostatnie fragmenty wczorajszego wieczoru — wszystko, co się działo po bójce — jawiły mi się jak przez mgłę, ale patrząc teraz na bar Doc Maynard's po drugiej stronie placu, zaczynałem sobie co nieco przypominać. Polazłem tam i dzielnie wgramoliłem się na stół w ciemnym barze pełnym ludzi. Uznałem, że przekroczyłem już punkt krytyczny i mogę równie dobrze to kontynuować i zobaczyć, dokąd mnie zaprowadzi. Rewelacja. Bardzo chciałbym móc cofnąć czas, stanąć twarzą w twarz z tamtym „ja” i walnąć je prosto w głowę. Zaprowadzi cię do spania na ziemi w parku! — wrzasnąłbym. I co ty na to?

Postanowiłem posłuchać rady faceta w bieli i zjeść śniadanie, zwłaszcza jeśli będzie gorące, mokre i zmieści się w kubku. Skoro mam zrobić to, na co muszę się chyba zdobyć, będzie znacznie lepiej, gdy nie będę z daleka cuchnął alkoholem. Zapaliłem papierosa w nadziei, że pomoże mi to zebrać się w sobie przed czekającym mnie długim marszem na targ rybny na Pike Place — prawdopodobnie jedyne miejsce w mieście, gdzie można o tej porze coś zjeść i wypić. Głowa bolała mnie na trzy różne sposoby. Zlokalizowałem też źródła bólu na plecach, karku i prawej ręce, a usta miałem jak wyschnięte dno morskie obumarłe po katastrofie ekologicznej.

Ale nic z tego nie stanowiło prawdziwego problemu.

Moim prawdziwym problemem było to, że od pół roku gryzłem się tym, czy uczucia mojej żony do mnie się nie zmieniły, a od wczoraj zacząłem jeszcze podejrzewać, że może mieć romans. Gdyby jedno lub drugie okazało się prawdą... nie miałem pojęcia, co zrobić. Z nią albo z sobą.

\* \* \*

Przetrzymali mnie na korytarzu czterdzieści minut, a moim jedynym zajęciem było czytanie posepnych plakatów i podciąganie nóg, by przepuszczać kręcących się interesantów. Niektórzy wyglądali na przybitych, inni na wściekłych; niektórzy wrzeszczeli, inni sprawiali wrażenie, że do końca życia nie wypowiedzą ani słowa. Wypiłem już tyle kaw i łyknąłem tyle końskich porcji tabletek od bólu głowy, że czułem się równocześnie trochę lepiej i dużo gorzej. Zdążyłem też umyć zęby i zmienić koszulę na kupioną po drodze. Miałem nadzieję, że po tych wszystkich zabiegach jestem choć trochę podobny do ludzi.

Wreszcie z drzwi w końcu korytarza wyłonił się facet w koszuli z krótkimi rękawami i krawacie i wyczytał moje nazwisko. Zaprowadził mnie w głąb korytarza i weszliśmy do klitki bez okien. Przedstawił się jako detektyw Blanchard i pokazał, że mam usiąść po drugiej stronie stołu.

Przez kilka minut czytał druk mojego zgłoszenia o zaginięciu, a ja uzmysłowiłem sobie, że machinalnie zaciskam dłonie na metalowych poręczach fotelika. Pomieszczenie było małe, miało brudnoszare ściany i nie zawierało niczego, na czym można by zawiesić oko, nie pozostawało mi więc nic innego, jak wpatrywać się w gliniarza próbującego nauczyć się mojego zgłoszenia na pamięć lub tłumaczącego go w pamięci na mandaryński. Miał widoczną nadwagę, bladą, sflaczałą skórę i rozwichrzoną blond czuprynę, która wyglądała, jakby chciała czym prędzej zniknąć z głowy i jeszcze bardziej podkreślić obraz dużego, zadowolonego z siebie bobasa. Próbowałem nie zwracać

na to wszystko uwagi i koncentrować się na spokojnym, równomiernym oddychaniu. Niestety, bez większego powodzenia.

— Moja żona zaginęła — wycedziłem piętnaście minut później. — Które z tych trzech słów uważa pan za niejasne?

— Proszę zdefiniować słowo „zaginęła”.

— Nie ma jej w hotelu, w którym miała być.

— Mogła się wymeldować.

— Nigdy się nie zameldowała. Nawet nie mieli jej rezerwacji. Tak jak to opisałem w tym zgłoszeniu.

— To było w Hiltonie? Bo mamy ich tu kilka. Może był pan nie w tym, co trzeba.

— Nie. To było w Malo. O czym też pan wie, jeśli czyta pan to, co przed panem leży.

— Hotel Malo. Ładny. Co robi pańska żona?

— Pracuje w reklamie.

Pokiwał głową, jakby praca Amy mówiła mu coś istotnego o niej lub o mnie.

— Często wyjeżdża służbowo?

— Siedem, osiem razy w roku.

— Zaprawiona. No to mogła zmienić plany. Albo ktoś pomylił rezerwację i musiała znaleźć coś innego.

— Już to przerobiłem. Bez rezultatu.

— Rozmawialiście z sobą w trakcie tej podróży? Dodzwonił się pan do niej w Malo?

— Nie, ponieważ, i będę to powtarzał tak długo, aż do pana dotrze, w ogóle się w tym hotelu nie zjawiała. Zresztą i tak dzwonię zawsze na komórkę, bo tak jest łatwiej.

— Jasne, tylko że akurat nie ma jej przy sobie.

— Od jej zgubienia minęło trzydzieści godzin. Dawno by już do mnie zadzwoniła i powiedziała, co się z nią dzieje.

— Ale w domu pana nie ma, prawda?

— Mam przy sobie komórkę.

— Za każdym razem wykręca cały numer?

— Ma numer wpisany na listę skróconego wybierania. — Niestety, musiałem mu w tej sprawie przyznać rację. Gdyby ktoś mi kazał

wyrecytować z pamięci cały numer Amy, nie jestem pewien, co by z tego wyszło. Tyle że Amy to co innego. Jej umysł jest nastawiony na tego rodzaju informacje. Chociaż... Po przeprowadzce zmieniłem operatora i aktualny numer miałem stosunkowo od niedawna.

— Więc może chciałaby do pana zadzwonić i powiedzieć, co się z nią dzieje, ale nie pamięta pańskiego numeru, a swojej komórki nie ma. Czuje pan, do czego zmierzam?

— Na pewno mój numer zna na pamięć.

— Jest pan pewien?

— Znam swoją żonę.

W milczeniu odchylił się na oparcie krzesła, uznając widać, że moje słowa nie zasługują na komentarz, szczególnie w tej sytuacji. Że może nawet lepiej będzie nic nie powiedzieć.

— Umie pan zdalnie odsłuchiwać wiadomości z domowej sekretarki?

— Nie — przyznałem. — Nigdy nie było takiej potrzeby.

— Właśnie teraz jest. Jacys sąsiedzi mają klucze do waszego domu?

Wszystko to było kompletną stratą czasu i dochodziłem do wniosku, że jeśli mu się nie postawię, nic z tego nie wyniknie. Wiedziałem, że Ben Zimmerman nie miałby nic przeciwko temu, żeby podjechać i odsłuchać nagrane wiadomości, ale nie chciałbym go o to prosić. Kiwnąłem głową.

Blanchard się tego uczeplił.

— To świetnie. Niech pan sprawdzi, czy żona nie próbowała się z panem skontaktować. Może to ona się teraz o pana martwi. Siedzi gdzieś na policji i zgłasza pańskie zaginięcie w... — raz jeszcze zajrzał do ogłoszenia — ...Birch Crossing. Gdziekolwiek to jest.

— A jeśli nie ma żadnej wiadomości?

— Wtedy proszę do mnie wrócić i pogadamy. Panie Whalen, być może wydaje się panu, że celowo utrudniam. Gdyby moja żona zniknęła mi z radaru na parę nocy, też bym się wściekał. Ale w tej chwili nie mogę zrobić nic ponad to, co sam pan już zrobił. A w tym mieście

nie brakuje spraw, którym określani ludzie muszą poświęcać uwagę. I ja jestem jednym z nich. Z tego, co wiem, pan też kiedyś był. Wlepiłem w niego wzrok.

— Tak — powiedział, lekko się uśmiechając. — Bo kiedy zjawia się facet i zgłasza rzekome zaginięcie żony, to od razu zaglądamy do bazy danych. Przy pańskim nazwisku nie ma żadnych adnotacji. Żadnych skarg na nocne awantury. Żadnych wezwań takiego czy innego pogotowia. Za to przy nazwisku Jack Whalen znajduje się informacja o dziesięcioletniej pracy w oddziałach patrolowych policji w zachodnim Los Angeles i o odejściu ze służby niecały rok temu. To pan?

— Tak. — Kiwnąłem głową. — I co z tego?

Nic nie odpowiedział. Siedział, wpatrując się we mnie tak długo, że stało się to wręcz napastliwe.

— Ma pan kłopoty ze słuchem? — burknąłem, przekrzywiając głowę.

— Po prostu mnie to zaintrygowało. Sądząc po pańskim wyglądzie, spodziewałbym się raczej, że jest pan na bakier z prawem.

— Żle przespałem tę noc. Bardzo martwię się o żonę, a nikt nie chce poważnie potraktować mojego zgłoszenia o jej zaginięciu.

— W tej chwili nie mamy do czynienia z osobą zaginioną — obruszył się Blanchard. Ton głosu nie współgrał z jego łagodną miną. — Na razie mamy do czynienia ze zgubionym telefonem komórkowym. Tyle że on już się znalazł, bo ma go pan w kieszeni marynarki, prawda?

— Prawda. — Wstałem na tyle gwałtownie, że niechcący potrąciłem stół. Właśnie dlatego nie poszedłem na policję wczoraj. I zacząłem żałować, że zrobiłem to dzisiaj.

— Tak z ciekawości — powiedział Blanchard, składając moje zgłoszenie na pół. — Może dowiem się, dlaczego zrezygnował pan z pracy w policji?

— Nie. Ale ja też mam pytanie. Czy zdarza się panu czasem zajmować prawdziwą robotą policyjną?

Uśmiechnął się do stołu.

— Powiem panu, jak to moim zdaniem wygląda. Żona nie zatrzymała się w hotelu, w którym miała się zatrzymać, i przez ostatnie półtorej doby nie podjęła próby kontaktu. Czyli albo istnieje jakieś proste wytłumaczenie, albo chciała zniknąć. A to nie jest problem policji, panie Whalen. — Podniósł na mnie wzrok. — To już jest pański problem.

\* \* \*

Przez następne dziesięć minut kręciłem się bez celu po ulicy, w końcu jednak wyjąłem komórkę Amy i zjrzałem do listy kontaktów. Przeglądając ją wczoraj, zauważyłem, że byli na niej Zimmermannowie. I całe szczęście, bo ja ich numeru nie miałem.

Trochę się spieszyłem, bo odebrała Bobbi, która zaczęła od pytania, czy z samochodem wszystko w porządku i kiedy mam zamiar go oddać. Powiedziała to takim tonem, jakby za chwilę musiała nim zawieźć do szpitala gromadę chorych dzieci i rannych zakonnic.

— Z samochodem wszystko w porządku — odparłem. — Tylko wciąż jeszcze jestem w Seattle.

— Miałeś wrócić wczoraj po południu.

— Przepraszam, ale coś się wydarzyło i... Słuchaj, jest Ben?

— Nie ma — prychnęła. — I o to chodzi. Leci dziś do San Francisco do naszego starego przyjaciela, który jest umierający.

— Przykro mi to słyszeć. — Czulem ulgę, mogąc wyrazić żal z powodu czegoś, w czym nie było żadnej mojej winy.

— Benjamin musiał zabrać drugi samochód, a ja teraz siedzę uwiązana w domu, bo sądziliśmy, że wrócisz wczoraj. A to jest... Po co chciałeś z nim rozmawiać?

— Mam problem.

— To akurat nic nowego. Tylko że...

— Bobbi — powiedziałem z naciskiem. — Czy możesz przez chwilę mnie wysłuchać? Amy zniknęła.

Zapadło długie milczenie.

— Zniknęła?

— Tak. — Nie chciałem jej w to mieszać, ale nie widziałem innego sposobu, żeby zaczęła mnie słuchać. — Dwa dni temu zgubiła swój telefon komórkowy, więc mam nadzieję, że po prostu nie pamięta numeru mojej komórki i dlatego się nie odzywa. Ale na pewno pamięta numer domowy. Chciałem więc prosić Bena, żeby do nas podjechał i sprawdził, czy nie ma jakiejś wiadomości.

— Jack... czy to jakieś żarty?

— A wygląda na żarty? — prychnąłem, tracąc w końcu cierpliwość. — Jezu, Bobbi!

— Chcesz, żebym udała się do was do domu, weszła do środka, odsłuchiwała wasze wiadomości i sprawdziła, czy nie było telefonu od Amy?

— Tak — odparłem. — Ale teraz już wiem, że nie masz samochodu, więc jeśli to za duży kłopot, to nie ma o czym mówić.

— Żaden kłopot — powiedziała. — Mogę zrobić nawet coś więcej.

Zapadła cisza, jakby ktoś zakrył dłonią słuchawkę, potem odezwał się inny głos.

— Jack? — powiedział głos. — Co się z tobą dzieje?

Przez moment miałem wrażenie, jakbym zaczął słyszeć głosy.

— Amy? To ty?

— Pewnie, że ja — powiedział głos, a ja poczułem się tak, jakbym nagle usłyszał głos matki. Mojej nieżyjącej matki. — Co ty robisz w Seattle, Jack?

— Gdzie... gdzie ty, u diabła, byłaś?

— Tutaj — powiedział głos Amy. — Zachodziłam w głowę, gdzie się podziałas.

— Nie odsłuchiwałeś wiadomości? Zostawiłem ci wiadomość na sekretarce.

— Przecież wiesz, że nie umiem się tym posługiwać. A poza tym skąd mogłam wiedzieć, że zostawiłeś mi tam jakąś wiadomość?

Otworzyłem usta, żeby jej odpowiedzieć, ale nic mi nie przychodziło do głowy.

— Kochanie, po prostu wracaj do domu, dobrze? I jedź ostrożnie.

Odłożyła słuchawkę, zostawiając mnie na środku chodnika z telefonem w ręku i rozdziawionymi ze zdumienia ustami.

Chwilę później zaczęło tak lać, jakby deszcz już dawno miał zamiar spaść, tylko zapomniał i musiał to teraz nadrobić.



## Rozdział piętnasty

Zaparkowałem samochód Zimmermanów pod ich domem, zostawiając kluczyki w stacyjce. Postąpiłbym inaczej, gdyby Ben był w domu, ale nie miałem ochoty widzieć się z Bobbi.

Mój plan spełził jednak na niczym, bo musiała stać za drzwiami i czekać — może nawet całe dwie godziny od mojego telefonu — i wybiegła, zanim zdążyłem uciec. Zaczepnąłem głęboko powietrza. Głowa nadal mi pękała i nie miałem ochoty na żadne kłótnie. Chyba że zostanę zmuszony.

— Dziękuję — powiedziała Bobbi, zupełnie mnie tym zaskakując.

Sięgnąłem do środka i wyciągnąłem kluczyki.

— Przepraszam za spóźnienie, Bobbi, ale ja...

— Wiem — przerwała. — To ja przepraszam, że byłam taka szorstka.

Skinąłem głową, bo nie bardzo wiedziałem, jak zareagować.

— Przykro mi z powodu waszego przyjaciela — bąknąłem. — Mam nadzieję, że z tego wyjdzie.

Uśmiechnęła się słabo, a ja ruszyłem w stronę naszych włości. Początkowo szedłem dość wolno, ale im bliżej byłem domu, tym bardziej przyspieszałem. Na podjeździe stał nasz samochód. Był wielki, czarny i wyglądał swojsko.

Nic strasznego w twoim życiu się nie dzieje, szefie, zdawał się mówić.

Wszedłem do środka i cicho zamknąłem za sobą drzwi. Zdjąłem płaszcz, wdrapałem się po schodach i spojrzałem na salon na dole.

Amy siedziała na środku sofy. Miała na sobie czerwony sweter i czarne spodnie, w dłoniach trzymała filiżankę kawy i zajęta była czytaniem jakiegoś raportu. Wokół niej na stoliku i podłodze leżały porozrzucone stopy papierzysek. Oto cała Amy — żywy obraz z cyklu „Kobieta pracująca w domu”. Cała scena wyglądała tak zwyczajnie, że poczułem się przy niej jak ktoś z innego świata.

Usłyszała mnie, gdy byłem w połowie schodów, i uśmiechnęła się, uniósłszy głowę.

— Hej — powiedziała. — Szybko dojechałeś.

— Kiedy wróciłaś?

— Dziś rano. — Wyglądała na trochę zmieszana, ale pogodną. — Tak jak planowałam. Jack, co się dzieje?

— W czwartek wieczorem miałem telefon. Zadzwonił ktoś, kto znalazł twoją komórkę w taksówce.

— No proszę! — parsknęła radośnie, zsuwając papiery z kolan. Wstała i podeszła, żeby mnie objąć. — Tak właśnie podejrzewałam. Złapałam taksówkę na ulicy i nie zapamiętałam, z jakiej była firmy. Przy okazji, jest świeżo zaparzona kawa.

— Co?

Pokazała głową w stronę kuchni.

— Sądząc po twoim wyglądzie, kawa dobrze ci zrobi.

— Nie potrzebuję kawy. — Staralem się mówić spokojnym, obojętnym tonem. — Wypiłem wczoraj tylko parę piw, nic wielkiego.

— Rozumiem, parę. Tylko potem jeszcze parę par, co? Masz nie-  
złą śliwę na policzku, abstynencie.

— Amy, gdzieś ty, do diabła, była?

— Przecież wiesz gdzie, kochanie. W Seattle. Za to nie bardzo mogę się połapać, co się z tobą działo. Ale to nic. Nigdzie nie jest

napisane, że jak mnie nie ma, to ty musisz siedzieć w domu jak jakaś *Hausfrau*. Tylko że wyglądasz tak, jakbyś... Na pewno wszystko w porządku?

Nie bardzo wiedziałem, od czego zacząć.

— Czy nie miałaś wrócić wczoraj?

Wzięła mnie za rękę i łagodnie poprowadziła na górę do kuchni.

— Dowód rzeczowy A — powiedziała, wskazując kalendarz na bocznej ścianie lodówki. Z jej odręcznego wpisu wynikało, że wyjeżdża do Seattle we wtorek i wraca w sobotę rano. Dzisiaj.

— Dzwoniłem do hotelu w czwartek — mruknąłem. — Powiedzieli, że cię tam w ogóle nie ma.

— Do którego hotelu? — spytała, podając mi filiżankę kawy. Była za gorąca i nie miałem na nią ochoty.

— Do Malo.

— Kochanie, przecież ci mówiłam, że się tam nie zatrzymam.

Wlepiałem w nią spojrzenie.

— Niczego takiego nie pamiętam.

— Powiedziałam ci, że nie uważam, by nocowanie w hotelu, który jest praktycznie domem noclegowym KC&H, było dobrym pomysłem w sytuacji, kiedy jestem w mieście z misją podbierania klientów. Mogłabym się nadziać na kogoś w holu hotelowym, co wypadłoby niezręcznie.

— Co to jest „podbieranie”?

Uśmiechnęła się czule, ale i z lekkim zniecierpliwieniem.

— Słoneczko, już to omówiliśmy, pamiętasz? Rozmawialiśmy o tym przy kolacji... kiedy to było? Tydzień temu? — Zrobiłem taką minę, jakby mi coś świtało, ale nic a nic nie pamiętałem. — No widzisz. — Uśmiechnęła się. — Słynny mózg Whalena znów zaczyna tykać. Wiedziałaś, że tak będzie. Jestem twoją zagorzałą fanką.

— To dlaczego mi nie powiedziałaś, w którym będziesz hotelu?

— Zdawało mi się, że powiedziałam. Zresztą jakie to ma znaczenie? I tak zawsze rozmawiamy przez komórki.

— Ale do monitora przykleiłaś kartkę ze słowami „Hotel Malo”.

— To prawda, poruczniku Columbo. Tylko że to była wiadomość dla mnie. Podczas ostatniej bytności zostawiłam tam książkę. Nic wielkiego, ale książka była prezentem z odręczną dedykacją i zapisałam sobie, żeby przed wyjazdem do nich zadzwonić. Jestem pewna, że też ci o tym wspomniałam. Dostałam ją w zeszłym roku od Natalie, pamiętasz?

Potarłem sobie skronie.

— Dlaczego nie zadzwoniłaś, kiedy się zorientowałaś, że nie masz komórki?

Parsknęła śmiechem.

— Bo nie pamiętałam cholernego numeru. Aż śmieszne. Choć tak naprawdę to niezbyt zabawne. Chyba się starzeję. Uważasz, że się starzeję?

— Nie. To tylko uzależnienie od pamięci telefonu — mruknąłem, przypominając sobie gładką gębę Blancharda. Uważał, że bez dostępu do swojej komórki nie miała jak zadzwonić. I dodał, że pewnie siedzi teraz w domu i zastanawia się, co się ze mną stało.

— I ogólnie od nowoczesności, to prawda. Ale coś ci powiem. — Wyrecytowała ciąg cyfr, które wyglądały na mój numer komórkowy. — Zaraz po powrocie do domu wykułam je na pamięć. Możesz mnie sprawdzać w każdej chwili.

Łyknąłem kawy, dumając, jakie następne dziesięć pytań zadać i w jakiej kolejności.

— Słuchaj, przykro mi — powiedziała, nagle poważniejąc. — Martwiłeś się o mnie?

— Oczywiście, że tak. Dzwoni ktoś i mówi, że znalazł twój telefon. Dzwonię do hotelu, w którym moim zdaniem mieszkasz, a tam cię nie ma. Jadę do Seattle i nigdzie nie trafiam na twój ślad. Próbowalem nawet zgłosić twoje zaginięcie na policji.

- Co takiego?
- No właśnie. A poza tym... rozmawiałem z Toddem Crane'em. Próbowałem dowiedzieć się czegoś od niego.
- Skrzywiła się.
- Naprawdę? To niedobrze.
- Nic się nie martw, wszystko w porządku. Powiedziałem mu, że jesteś z wizytą u przyjaciół, a ja tylko tak się rozglądam.
- No i rzeczywiście się rozejrzałeś. To kawał drogi, kochanie, jak na jazdę po odbiór zgubionej komórki. To oczywiście bardzo miłe, ale gdy tylko się zorientowałam, że jej nie mam, zaraz to zgłosiłam i kazałam zablokować. W poniedziałek przyślą mi nową.
- Zablokować? — Wyjąłem jej komórkę z kieszeni i podałem. — Właśnie z niej zadzwoniłem dziś rano do Bobbi.
- Zmarszczyła brwi.
- To dziwne. Zajmę się tym.
- Nic się nie stało. Nie ma śladu, żeby ktoś z niej korzystał, zanim do mnie trafiła.
- Jasne. Ale jeśli do nich dzwonię i proszę o zablokowanie, to oczekuję, że ją zablokują. Mogła trafić na kogoś innego. Zatem to nie jest w porządku.
- Oto stara, dobra Amy. Odczekałem chwilę ciekaw, czy okaże niezadowolenie, że jej komórka znalazła się w moich rękach i że nawet jej użyłem. Nie tylko go nie okazała, ale podeszła jeszcze bliżej.
- Bardzo mi się podoba, że się tak przejąłeś — powiedziała, dotykając mojego ramienia. — I wiem, że pójście na policję nie było łatwe. Jest mi bardzo przykro, że nie zadzwoniłam. Po prostu uznałam, że nie masz powodu, by się martwić, i że o tym wiesz.
- Nie wiedziałem. Nie żyjemy w świecie, w którym można uznać, że ludziom nic nie grozi. Już od dawna.
- Wiem — odparła cicho. — Wyglupiłam się. Więcej to się nie powtórzy.

— W porządku. Ja tylko...  
— Wiem. — Pocałowała mnie i zarzuciła mi na szyję swoje ciepłe ramiona. — Naprawdę. Obiecuję.

\* \* \*

Dłuższy czas spędziłem pod prysznicem, wpatrując się tępo w elegancką obudowę kabiny z tafli wapienia. Spałem bardzo krótko i wciąż miałem potężnego kaca, więc może stąd te moje niepokoje. Zdałem też sobie sprawę, że podczas całego wyjazdu poza alkoholem nic nie miałem w ustach, a to pewnie również nie pomagało.

Wyszorowany i wytarty do sucha poszedłem do kuchni i usmażyłem sobie parę jajek. Zjadłem je, pochylając się nisko nad kuchennym stołem i nawet nie czując, że coś jem. Całe ciało miałem sztywne i jakby nie swoje. Przez chwilę rozważałem nawet, czy nie wyjść i nie pobiegać, ale na myśl o wysiłku fizycznym zrobiło mi się niedobrze.

Amy wróciła na swoje miejsce na sofie, usiadła z podkurczonymi nogami i ponownie obłożyła się papierami. Była tak zaabsorbowana, że wyczuła moją obecność, dopiero kiedy nad nią stanąłem. Dostrzegłem, że tekst, nad którym ślęczy, jest napisany gęściej niż zwykle i nie zawiera żadnych tabel ani szkiców. Bardziej wyglądał na pisany na maszynie niż za pomocą edytora tekstu, a także nie było na nim wszechobecnego logo KC&H — tak charakterystycznego dla ich dokumentów firmowych.

— Nad czym pracujesz?

Uniosła głowę.

— Takie tam starocie — odparła, wyciągając rękę i zgarniając papiery bliżej siebie. — I szczerze mówiąc, dość nudnawe.

— Opowiesz mi później, jak ci poszło?

— Tak, przepraszam. Tylko na razie siedzę po uszy w papierach. Muszę się najpierw przez to przegryźć. I przepraszam, że tak tu nabałaganiałam.

- Nic nie szkodzi. Pójdę do siebie i też spróbuję popracować.
- A jak panu idzie, panie skrybo?
- Bardzo wolno.
- Tak wolno, jak... do tyłu? Uśmiechnąłem się.
- Może bardziej w bok.
- No cóż, każda, nawet najdłuższa podróż...
- Zaczyna się od mojego gapienia się w okno. To prawda.
- Wierzę w ciebie. Dotrzesz do celu — powiedziała. — Zawsze docierasz.

Przeniosłem się do mojego pokoju i przymknąłem za sobą drzwi, potem dłuższy czas zajęło mi otwieranie wszystkich plików pomocniczych i gromadzenie wokół siebie materiałów roboczych. Robiłem przy tym wystarczająco dużo hałasu, żeby nie było wątpliwości, czym się zajmuję. Na widok każdej książki, czasopisma czy wycinka chciało mi się ziewać z nudów, rozłożyłem jednak wszystko na biurku i podzieliłem na sterty. Z wiekiem nasila się we mnie skłonność do porządnego układania wszystkiego. Książki, czasopisma, pudełka z DVD. Lubię mieć porządek. I lubię układać wszystko chronologicznie. Zaczynam wręcz podejrzewać, że ułożenie materiałów w równy szereg staje się ważniejsze od tego, co jest w środku. Że bardziej mi zależy na równym ustawieniu niż na ich zawartości.

Skończyłem układanie i przeniosłem się z fotelem na koniec biurka, przesuwając laptopa tak, żeby od drzwi nie można było dojrzeć ekranu. W razie czego wytłumaczę Amy, że zrobiłem tak po to, żeby się nie rozpraszać widokiem z okna, które teraz znalazło się za moimi plecami. Tyle że Amy i tak tu nigdy nie zaglądała. W takim razie dlaczego to zrobiłem? Z ostrożności? Z przebiegłości? Pewnie po prostu z dziwactwa. Otworzyłem laptopa i na ekranie raz jeszcze pojawiła się dobrze mi znana stronica zatytułowana „Rozdział 3”. Tyle że „Rozdziały 1” i „2” jeszcze nie istniały, „Rozdział 3” nie zawierał ani jednego zdania, a ja nie przyszedłem tu po to, by to zmienić.

Chwilę odczekałem, po czym usłyszawszy dochodzący z oddali szelest przekładanych papierów, który świadczył, że Amy nadal siedzi w salonie, wyjąłem komórkę i włączyłem w laptopie tryb „Odbiór Bluetooth”. Ustawwszy wszystko, wszedłem w odpowiednią funkcję telefonu komórkowego.

A potem przesłałem do laptopa wszystkie pliki skopiowane z komórki Amy jeszcze przed opuszczeniem Seattle.

Nie liczyłem, że uda mi się wydobyć coś więcej z wiadomości tekstowych, więc ich nawet nie przenosiłem, przerzuciłem natomiast wszystkie pliki muzyczne, plik dźwiękowy i trzy zdjęcia. Potem wtknąłem wtyczkę słuchawek do gniazdka z boku laptopa i uruchomiłem pierwszy plik dźwiękowy. Słuchając go teraz głośniej i wyraźniej, mogłem się przekonać, że rzeczywiście był to nagrany męski śmiech. Podkreśliłem głośność tak, że szum zamienił się w ryk. Miałem nadzieję, że w ten sposób usłyszę coś w tle, co pozwoli mi określić miejsce nagrania, ale nic to nie dało. Słysząc było tylko męski śmiech, niezbyt stłumiony, ale i niezbyt głośny. Brzmiał dość nieprzyjemnie dla ucha, ale w tej sprawie mogłem nie być obiektywny, bo nie podobało mi się już to, że w telefonie komórkowym mojej żony został nagrany rechot obcego mężczyzny. Choć mogło być też tak, że akurat gmerła przy telefonie i przypadkiem nagrała śmiech przy sąsiednim stoliku w restauracji.

Ze zdjęć też nie wynikło nic nowego. Na ekranie laptopa były dużo większe niż na wyświetlaczu komórki, ale nadal ciemne i niewyraźne do tego stopnia, że gdybym faceta spotkał na ulicy, to pewnie bym go nie rozpoznał. Z początku na pozostałych dwu zdjęciach nie mogłem dojrzeć niczego poza ciemnym tłem z jaśniejszymi plamami i dopiero po bliższym przyjrzeniu zacząłem rozróżniać jakieś kształty. Doszedłem do wniosku, że jedno ze zdjęć przedstawia parking przed sklepem, do którego wchodzi jakiś mężczyzna. Drugiego nie udało mi się rozszyfrować — mogło ukazywać ciemne wnętrze jakiegoś baru, w którym znów można było dopatrzeć się męskiej sylwetki.



Umieściłem zdjęcia w pliku i schowałem go na głębokość paru poziomów na twardym dysku. Skopiowanie ich z komórki Amy miało w sobie coś z kradzieży i byłem zły, że nic mi to nie dało. W głowie wciąż dźwięczały mi słowa Blancharda i czułem się głupio. Została mi już tylko jedna szansa, żeby nie wyjść na kompletnego durnia, ale tego akurat nie mogłem teraz sprawdzić.

Usłyszałem jakiś dźwięk, uniosłem głowę i ujrzałem Amy. Stała blisko drzwi, ale już wewnątrz mojego gabinetu.

— Cześć — rzuciłem zaskoczony.

— Przepraszam. Nie chciałam ci przeszkadzać. Wyglądałeś na zamyślonego.

— No — potwierdziłem. — A co jest?

— Nuda, nuda, nuda — odparła. — Wybieram się, żeby coś kupić. Jeszcze sama nie wiem co. Potrzebujesz czegoś?

Przez chwilę zrobiło mi się przykro, że nawet mi nie zaproponowała, żebym z nią pojechał, ale zaraz coś sobie uprzytomniłem: przecież Amy myśli, że pracuję nad książką, więc w ten sposób okazuje szacunek dla mojej pracy. Takie zachowania najlepiej oddawały cechy charakteru mojej żony — lepiej nawet niż obraz, jaki ujrzałem po powrocie do domu. Subtelna z natury, w razie potrzeby potrafiła być bezwzględna. Należała do tych kobiet, które mogą wpaść do łazienki, akurat gdy człowiek się goli, i zaserwować tekst w rodzaju: „Słuchaj no, zasańcu! Naprawisz wreszcie tę półkę, jak obiecałeś, czy mam cię zawieźć do Husbands-R-Us?”\*. Kiedyś wspominałem o tym pewnej kłótlivej parze i zaproponowałem bardziej bezpośrednie podejście do wyjaśnienia narosłych pretensji. Od tamtej pory co rok dostawałem od nich kartkę z życzeniami na Boże Narodzenie, którą podpisywali: „Zasańcy — nadal razem”. Historię tę uważam za jeden z największych sukcesów w całej mojej pracy politycznej.

\* Husbands-R-Us (dosł. Mężowie to my) — sieć sklepów dla panów, między innymi z artykułami do majsterkowania.

— Nie, dziękuję — powiedziałem z uśmiechem, czując, jak mi serce żywiej bije. Poczułem też nagły przypływ miłości do niej i tym większy wstyd na myśl o tym, co chciałem zrobić, a co swoim wyjściem miała mi ułatwić. — Mam wszystko, czego mi trzeba.

— Zawsze miło coś zaoszczędzić — parsknęła i wyszła. Pokręciła się jeszcze chwilę po kuchni, zawołała „pa, pa!” i ruszyła do wyjścia.

Odczekałem trzy minuty, potem wyszedłem z gabinetu i wbiegłem na piętro. Zdążyłem jeszcze zobaczyć przez okno nasz samochód znikający za zakrętem. Na wszelki wypadek zostałem jeszcze chwilę, by się upewnić, że nagle nie zawróci, potem ruszyłem do jej gabinetu.

\* \* \*

Godzinę później byłem już parę kilometrów od domu, truchtając ścieżką przez las. Nigdy nie przepadałem za bieganiem. Wiąże się to z paskudnym samopoczuciem później, zmęczeniem teraz i ogólnie wydaje się pozbawione sensu. Ciało ludzkie nie jest przystosowane do długiego wysiłku. Mój umysł zresztą też nie. Ale — choć z trudem przychodzi mi to przyznać — bieganie chyba zaspokaja potrzebę ciała, by czasem poważnie je potraktować. Z początku bardzo mnie rozboleła głowa i musiałem parę razy przystanąć i zdrowo się wykaszleć, teraz jednak krok miałem już równy. Wysiłek fizyczny był jak pokuta za ekscesy wczorajszego wieczoru. Jestem typem faceta, który — jak widać — biega po lesie, a nie sypia po parkach.

Miałem też nadzieję, że na powietrzu trochę rozjaśni mi się w głowie. Kiedy wszedłem do gabinetu Amy, okazało się, że jej komputer jest wyłączony. Przez chwilę zastanawiałem się nawet nad włączeniem, ale obawiając się możliwych komplikacji i opóźnień, zrezygnowałem. Nie chciałem, żeby mnie przyłapała, jak grzebię w jej komputerze. Uznałaby to za złamanie prywatności i miałyby rację. Dlatego ograniczyłem się tylko do jej organizera. Przez chwilę przeglądałem jego zawartość, potem go wyłączyłem, wetknąłem w uchwyt

ładowarki i poszedłem się przebrać.

Robiło się coraz zimniej. Biegając, czułem, jak spada temperatura, i widziałem, jak z moich ust dobywają się coraz gęściej sze obłoki pary. Przez dziury w sklepieniu gałęzi patrzyłem na skrawki nieba o ołowianej barwie, a w sączącym się bladym świetle zieleń rosnących wokół jodeł i świerków nabierała granatowego odcienia. Wiedziałem, że niedługo zacznie się już ściemniać, postanowiłem więc zawrócić i ruszyć w drogę powrotną do domu.

Zawartość organizera nie budziła wątpliwości. Od wtorku przez kolejne dni ciągnęła się kreska z napisem „Seattle” dokładnie tak, jak to zapamiętałem. To zresztą utwierdziło mnie wtedy w przekonaniu, że tam jej muszę szukać. Tylko że teraz kreska kończyła się na sobocie rano.

Czyli inaczej, niż to zapamiętałem.

Kiedy Amy poprowadziła mnie do kuchni i pokazała kalendarz na lodówce, od razu wydało mi się, że coś się tu nie zgadza. Pamiętałem wyraźnie, że miała być w Seattle tylko do piątku. Ten dzień miałem zakodowany w głowie i byłem pewien, że tak mi powiedziała, więc gdy to ujrzałem na ekranie jej komputera, potraktowałem jako oczywiste potwierdzenie tego, co już wcześniej wiedziałem. Jak to możliwe, że plan tygodnia w jej organizerze (i pewnie też w komputerze) kończy się teraz na sobocie? Istniało tylko jedno wytłumaczenie: planowała powrót wczoraj, tylko potem coś się wydarzyło — nie miałem pojęcia co — i to przesunęło jej powrót na dzisiaj, a ona postanowiła się do tego nie przyznać. Poszła na całość i już po przyjeździe do domu zrobiła odpowiedni wpis na kalendarzu w kuchni. Była bardzo pewna jego istnienia i od razu mnie tam zaprowadziła. Zapewne w tym samym czasie zmieniała też wpis w komputerze i przeniosła go do organizera, na wypadek gdyby jej mąż zażyczył sobie dalszych dowodów rzeczowych. Czyli mówiąc inaczej, w pełni świadome mataczenie w celu zrobienia mi wody z mózgu. I w dodatku bardzo ryzykowne, bo

gdyby się okazało, że jestem pewien tego, co wcześniej widziałem, wprowadzanie ukradkiem takich zmian musiałyby zapalić w mojej głowie czerwone lampki ostrzegawcze. Tylko że nie byłem. Więc może...

Może to mnie się wszystko pokręciło.

Może od początku miała wrócić w sobotę, a ja pokręciłem wszystko już w czwartek wieczorem, kiedy zajrzałem do jej tygodniowego planu. Pewnie wcześniej wbilem sobie do głowy, że wraca w piątek, i na ekranie znalazłem tylko potwierdzenie swojego przekonania. Próbowałem sobie wyobrazić kreskę, która kończy się w piątek wieczorem, ale nie potrafiłem. W mojej wyobraźni kończyła się teraz na sobocie. Czy dlatego, że właśnie taką ostatnio widziałem, czy — co brzmiało dużo prawdopodobniej — dlatego, że od początku tak było.

„To nie problem policji... To już jest pański problem”.

Nie mając dowodu w postaci innego wpisu w organizerze, tak naprawdę nie miałem nic. I możliwe, że niczego innego nigdy nie było. Biegnąc w stronę granicy oddzielającej teren lasu od naszej posiadłości, czułem rosnące przekonanie, że tak właśnie musiało być. Odczuwałem je fizycznie w postaci rozluźnienia mięśni karku i ramion. Zrobiło mi się też wstyd. Te pliki w jej komórce rzeczywiście wyglądały dziwnie, ale prywatność innych ludzi często wydaje się dziwna. A choć nie zawsze chce się o tym pamiętać, w głębi duszy życiowy partner czy partnerka pozostaje innym człowiekiem. To, że mój dostęp do jej telefonu komórkowego zupełnie jej nie zaniepokoił, nie pasowało do koncepcji, że jego zawartość jest namacalnym dowodem jej niegodziwości. Już prędzej jakiegoś kawału ze strony jej kolegów z pracy albo przymiarek do jakiejś lewej kampanii marketingowej. Przez chwilę miałem w głowie całkowitą, wręcz fizyczną ciemność, jakby wisiał nad nią ciężar.

Znałem to wrażenie i wiedziałem, że wywodzi się z naszych doświadczeń paru ostatnich lat. Stałem się przez ten czas człowiekiem

wciąż przygotowanym na nadejście zawieruchy i dramatycznych wydarzeń. Na nagły brzęk szyby wybijanej w oknie od podwórza. Na pisk opon samochodu wdzierającego się na chodnik i pędzącego prosto na mnie. Na telefon z informacją, że jedno z nas ma raka, chociaż żadne nie poddało się badaniom i nie miało ani zamiaru, ani potrzeby tego robić.

Nic z tego naprawdę się nie wydarzyło. Co innego tak, ale tylko rzeczy niemożliwe do przewidzenia. Ani razu nie zostałem ostrzeżony o zamiarach boga zła. To nie w jego stylu, a to, że się coś wydarzyło, jeszcze nie znaczy, że się powtórzy. Nie muszę cały czas być w pogotowiu, spodziewać się najgorszego, w razie czego wymyślać możliwości. Wszystko jest okay.

Wbiegając na ostatnie długie zbocze przed domem, zacząłem to zdanie powtarzać pod nosem, dostosowując do niego rytm moich kroków.

Wszystko jest okay. Wszystko jest okay.

Fajnie się do tego biegnie.

\* \* \*

Gdy dotarłem do domu, Amy już była. Moczyła się w wannie, z rozbawieniem słuchając audycji w radiu, w której jakiś gość walnięty na punkcie teorii spiskowych rozwodził się o ciemnych i tajemniczych siłach, jakie stały za ubiegłorocznym zamachem bombowym w Thornton, w Wirginii (tak jakby zwykli terroryści nie wystarczeli). Umyłem się i przebrałem, a potem zrobiłem to, co zawsze robię po bieganiu i co mi sprawia perwersyjną przyjemność: wyjąłem z lodówki piwo i wyszedłem na taras, żeby zapalić.

Oświetlenie tarasu włączyło się automatycznie, a ja jak zwykle pomyślałem z żalem, że wolalbym, żeby tego nie robiło, a potem jak zwykle sobie uprzytomniłem, że automat wyłącza się w domu. Tylko że zawsze przychodzi mi to do głowy po wyjściu, kiedy jest już za

późno. Amy woli taras oświetlony, ale ponieważ jest ode mnie wrażliwsza na zimno i nie zdecydowała się wyjść, tym razem mogłem to zrobić. Zapisałem to w pamięci, obiecując sobie w duchu, że następnym razem będę pamiętał przed wyjściem, i podszedłem do poręczy. Coraz silniejszy wiatr szarpał koronami drzew w dole i rozjarzał czubek mojego papierosa.

Skończyłem palić, zgniotłem żar o spodnią krawędź poręczy i wtknąłem niedopałek z powrotem do paczki. Na tarasie zauważyłem kilka drobin popiołu papierosowego, które zostały tu po moim ostatnim paleniu. Zaskoczyło mnie, jak przypadek i geometria miejsca mogą decydować o tym, że nietknięte utrzymują się kilka dni pomimo wiejącego wiatru. Jakże często jest tak, że popioły przeszłości zaśmiecają teraźniejszość. Chwilę potem ostrzejszy podmuch wiatru poderwał popiół i na moich oczach zdmuchnął go z tarasu.

## Rozdział szesnasty

Jechał szybko, ale tak by nie przekraczać dozwolonej prędkości. Jak zawsze dbał o to, żeby niczym nie wyróżniać się z tłumu innych kierowców. Wprawdzie przez całe życie korzystał z wielu przywilejów, miał jednak świadomość, że w ten czy inny sposób trzeba za to płacić. Najcenniejszy jest czas. Stracona minuta na zawsze pozostaje stracona. Zatrzymanie przez policję oznaczałoby stratę pół godziny, może więcej. Nie mógł sobie na to pozwolić. I dlatego jadąc międzystanową 15, ściśle przestrzegał przepisów. Miał nadzieję, że wieczorem uda się wszystko wyprostować. Plan był przecież zupełnie prosty i nie spodziewał się, że tak łatwo może się skomplikować.

Od zniknięcia dziewczynki minęła już ponad doba.

\* \* \*

Nie oczekiwał większych rezultatów po tej wizycie, ale z natury był człowiekiem skrupulatnym, a zaczęcie od domu O'Donnellów wydawało się logiczne. Przed opuszczeniem Cannon Beach pokręcił się jeszcze po drodze i położył po wydmach, choć i po tym niczego się nie spodziewał. Miejscowi gliniarze wszystko przeszukali i zrobili to dość dokładnie. Gdyby dziewczynka gdzieś tu była, już by ją znaleźli. Nie znaleźli, czyli musi być gdzieś indziej.

Musi się dowiedzieć gdzie, i to jak najszybciej.

Gdy parkował przed domem w północno-zachodnim rejonie śródmieścia Portland — tylko parę przecznic od eleganckich sklepów przy Dwudziestej Drugiej i Dwudziestej Trzeciej Alei — był już znów agentem Shepherdem. Zapukał do drzwi, chwilę odczekał i wszedł do środka. Spędził w środku sześć minut i wyszedł przekonany, że tu jej nie ma.

Wrócił do samochodu i przez chwilę siedział, rozważając następny krok. Zaczynało już zmierzchać. Od początku rozważał najbardziej prawdopodobne miejsce, które należałoby sprawdzić, ale to wymagało dłuższej jazdy. Jeśli ruszy w drogę, a ona wciąż jeszcze włości się gdzieś po Oregonie, wkrótce zacznie z kimś rozmawiać i wygada się. A to wprowadzi nowe zmienne.

Shepherd nie lubił zmiennych. Od ponad trzydziestu lat jego życie było w zasadzie wolne od nich i to mu odpowiadało. Jedną z zalet jego stylu życia była możliwość nieliczenia się z ograniczeniami, które wiążą życie innym. Tyle że wtedy człowiek sam ponosi odpowiedzialność za swój los i w razie czego nie ma na kogo zrzucić winy. Miał w pamięci spotkanie w barze hotelowym kilka godzin drogi stąd na północ i złożoną mu wtedy propozycję. Zdawał sobie sprawę, że może to zagrozić celowi, który chciał osiągnąć i któremu poświęcił życie, ale jedno spojrzenie na siedzącego po drugiej stronie stolika mężczyznę powiedziało mu, że nie da się go od tego odwieść. Shepherd czuł, że jego rola się zmarginalizuje, bo rozmówca nie należy do ludzi, którym się odmawia. Zdarzało mu się robić rzeczy, jakie innym nie przysłyby do głowy, tym razem wiedział jednak, kto tu gra pierwsze skrzypce, kto najbardziej nie respektuje granic i kto o wszystkim ostatecznie zdecyduje.

No i oczywiście zostawała jeszcze kwestia pieniędzy.

Mnóstwa pieniędzy.

Dlatego wysłuchał go cierpliwie i wyszedł ze spotkania zdecydowany zrobić to, do czego się zobowiązał. W ciągu paru ostatnich miesięcy zaczął wprawdzie obmyślać alternatywny plan, ale jak dotąd od lat wypełniał przyjęte na siebie obowiązki.



Miał oczy szeroko otwarte i nie przestawał obserwować celu nawet wówczas, gdy ten przenosił się do innego stanu. Sam pozostawał wtopiony w tło, ale zawsze był w pobliżu i samą tylko obecnością mógł wpłynąć na czyjeś losy. Dziesięć dni wcześniej dał poważne ostrzeżenie pewnemu mężczyźnie, doprowadzając do gwałtownego zerwania znajomości, jaką Alison O'Donnell utrzymywała od pięciu miesięcy. Znajomość mogła się przerodzić w zmienną, a Shepherd zawsze wołał mieć do czynienia ze znanymi sobie stałymi. Takimi jak to, że rodzina musi być stabilna. Zerwanie to stało się główną przyczyną nagłego wyjazdu Alison do Cannon Beach. Oczywiście nie przyznała się mężowi, co naprawdę spowodowało kolejny kryzys w serii jej depresyjnych zachowań. Podobnie jak Golson nie przyznał się, dlaczego nie będzie już mieć czasu na wspólne kawki po pracy. Że wymógł to na nim mężczyzna, który przysiadł się do niego w Starbucksie i spokojnym głosem oświadczył, że albo da sobie z tym spokój, albo drogo za to zapłaci.

Bardzo możliwe, że między matką dziewczynki a jej znajomym nigdy nie doszłoby do czegoś poważniejszego, ale Shepherd wołał nie ryzykować. Zawsze unikał zbędnego ryzyka.

Wyjątkiem było tamto spotkanie w barze hotelowym.

Tyle że wtedy ryzyko wydawało się do przyjęcia, stanowiło część długofalowego planu, który miał mu zapewnić lepszą przyszłość. Ostatnio sytuacja się jednak zmieniła i dlatego dużo wcześniej, niż planował, zrobił to, co zrobił, i od tej chwili sprawy zaczęły się gmatwać. Odebrał to, co mu się należało. W tej kwestii wszystko poszło gładko. Kiedy jednak przeszedł do realizacji drugiej, krótkiej i brutalnej części swojego planu, dziewczynka zniknęła.

\* \* \*

Telefon zadzwonił jakieś pół godziny później. Był pewien, że dzwoni kobieta, która od wielu tygodni kierowała jego sprawami i z którą nie miał ochoty teraz rozmawiać, i już chciał ją zignorować, ale w końcu zdecydował się odebrać.

Dziewczynka zadzwoniła z publicznego automatu i rozmowa była krótka. Od razu poznał ją po głosie i spróbował podpytać, ale było słychać, że mała jest wystraszona i zagubiona. Zdołała tylko wykrztusić parę słów — wśród nich „strumień” i „parking” — i połączenie zostało przerwane. Rzut oka na mapę pozwolił określić możliwy rejon. Próba znalezienia jej na podstawie samej rozmowy byłaby szukaniem igły w stogu siana, ale Shepherd już wcześniej podejrzewał, że znajdzie się gdzieś na tym terenie.

Zważywszy na odległość, mogło pasować.

Wyjechał szybko z Portland i ruszył na północ. Niemal pusta o tej porze autostrada prowadząca przez Kelso i Castle Rock była po obu stronach porośnięta gęstwiną szarych drzew, tworząc wrażenie pierwotnej dzicy dopiero niedawno maźniętej cienką warstewką cywilizacji. Zaczęło padać, ale Shepherd, nie zwalniając, minął Chehalis, Centralię i pozostałe miejscowości na szlaku wiodącym wzdłuż zachodniego brzegu stanu Waszyngton w kierunku Seattle.

Półtorej godziny po wyjeździe z Portland dostrzegł tablicę zapowiadającą zjazd na parking. Zjechał na prawy pas, skręcił na odchodzący łukiem zjazd i zgasił reflektory. Deszcz zamienił się w ulewę i przesłonięty drzewami płaski parterowy pawilon i widoczny za nim obszerny parking ledwie majaczyły przez szybę zalewaną strugami deszczu. Widoczne dwa blade światelka sprawiały, że całość wyglądała na jeszcze bardziej opustoszałą.

Napis na tablicy informował, że jest to „Scatter Creek. Przydrożny parking wypoczynkowy”.

Na parkingu stał tylko jeden samochód. Shepherd podjechał tak, by znaleźć się dwadzieścia metrów od niego, i zgasił silnik. Stojący samotnie ford taurus — model popularny wśród wypożyczalni samochodów — miał zgaszone światła i z daleka wyglądał na pusty w środku. Shepherd odczekał dwie minuty i wysiadł na deszcz.

Wolnym krokiem podszedł z pistoletem w opuszczonej ręce.

Z bliska też nie było nikogo widać, ale wrodzona skrupulatność kazała mu się upewnić. Zajrzał przez szybę i stwierdził, że na tylnym siedzeniu leży tylko czyjaś marynarka. Przygięty obszedł samochód i upewnił się, że na przednich siedzeniach też nikogo nie ma. Wyprostował się i sięgnął do klamki drzwi po stronie kierowcy. Wnętrze samochodu było wychłodzone. Albo kierowca nie używał ogrzewania, albo samochód stał tu już dłuższy czas. W stacyjce brakowało kluczyków.

A może samochód się zepsuł, kierowca go porzucił i odjechał z wezwaną pomocą drogową. Niewykluczone. Tylko że wtedy chyba by go zamknął na klucz i zabrał z sobą marynarkę. Między przednimi siedzeniami tkwiło kilka cienkich map samochodowych — kolejny sygnał wskazujący na wóz z wypożyczalni.

W kieszeni na drzwiach kierowcy znajdowały się napoczęta paczka papierosów i jednorazowa zapalniczka. Na podłodze przed fotelem pasażera leżały pusta torebka po cukierkach Pop Rock i kartonowy pojemnik po Chicken McNuggets.

Shepherd zamknął drzwi. Nigdy nie był palaczem, ale nie miał wątpliwości, że ktoś tak uzależniony od nikotyny, by ignorować umieszczoną na desce rozdzielczej tabliczkę „Kategoryczny zakaz palenia”, nie rozstaje się tak łatwo ze swym zapasem rakotwórczych gwoździ do trumny.

Ktoś tu musiał być.

Odwrócił się i ruszył w stronę pawilonu. Po prawej budynek kończył się wyłożoną kafelkami ścianką, zasłaniającą wejście do męskiej toalety. Małe okienko było oświetlone, stanowiąc jeden z dwóch widocznych z daleka białych punktów świetlnych. Pod podpartym kamiennymi filarami dachem stały regały z ulotkami reklamującymi miejscowe atrakcje i tylko środkowa część wiaty była obudowana ścianami. Mieściło się w niej zasłonięte obecnie stalową żaluzją stoisko z kawą i napojami, na ścianie obok widniały trzy automaty telefoniczne i dwa poobijane dystrybutory wody pitnej. Wszystko było puste i ciemne.

Przyjrzał się lepiej i dostrzegł, że słuchawka jednego z automatów zwisa swobodnie na sznurze.

Zawrócił i wszedł do męskiej toalety. Była wyłożona kremowymi i beżowymi kafelkami i mieściła dwie umywalki, dwa pisuary, dwie kabiny — wszystko zaskakująco czyste. Ścianki kabin kończyły się pół metra nad podłogą i widać było, że wewnątrz jest pusto. Ciężkie krople deszczu dudniły o blaszany dach.

Wyszedł na zewnątrz i ruszył wzdłuż wiaty w stronę damskiej toalety. Podobny wystrój, trzy kabiny. Z tą różnicą, że tu ciekła jakaś rura i cała podłoga była zalana i śliska, a poza tym w szparze ostatniej kabiny widać było parę nóg.

Dżinsy, białe tenisówki, ich właścicielka chyba kuciała.

— Proszę pani?

Na podłodze widać było coś jeszcze. Coś plastikowego, błyszczącego, fioletowego.

Pchnął drzwi kabiny. W kącie tkwiła skulona kobieta, zupełnie jakby się bawiła w chowanego.

Shepherd schylił się i podniósł z podłogi kawałek plastiku. Osłonka baterii z telefonu komórkowego. Nałożył rękawiczki, delikatnie chwycił kobietę za ramiona i odchylił do tyłu. Przyczyną śmierci musiało być silne uderzenie w skroń, prawdopodobnie o kant miski klozetowej. Reszta telefonu z pogruchotanym wyświetlaczem leżała obok. Puścił ciało i pozwoliwszy mu powrócić do poprzedniej pozycji, ujął prawą dłoń denatki.

Wewnętrzna strona palca wskazującego była lekko zażółcona.

Palaczka.

Zapewne przyjechała tu samochodem stojącym na parkingu.

Prawdopodobnie wzięła do samochodu kogoś, kto po drodze jadł Pop Rocks i Chicken McNuggets, a potem rzucił się na nią w toalecie, gdy rozmawiała przez komórkę. Najwyraźniej autostopowiczka musiała powiedzieć coś, co kobiecie wydało się podejrzanе. Coś, co ją zdradziło.

Kobieta zjeżdża na parking i idzie do toalety, autostopowiczka za

nią. Zaskoczona kobieta poślizgnęła się i uderzyła głową w miskę klozetową. Pechowo, ale tak czasem bywa.

Mogło tak to wyglądać.

Shepherd zaklął pod nosem i wyszedł z kabiny. Idąc w lejącym deszczu do swego samochodu, od razu zaczął układać w głowie listę tego, co musi zrobić.

Usunąć kawałki telefonu. Wytrzećabinę z ewentualnych odcisków, to samo zrobić z podłogą i ścianami toalety. Wytrzeć słuchawki dwóch automatów telefonicznych i odciąć trzecią — tę, z której prawdopodobnie skorzystała. Przeszukać i wytrzeć wewnątrz samochodu ofiary. Wytrzeć blachę drzwi wokół klamki. Przenieść ciało ofiary i wrzucić do bagażnika. Przetawić samochód.

Shepherd od początku wiedział, że wygląda to źle, ale dopiero gdy wyjmował z bagażnika rzeczy potrzebne do zatarcia śladów, zaczął na zimno oceniać jak źle. Załóżmy, że ofiara nie zdążyła zawiadomić policji, bo inaczej już by tu byli. Ale ktoś mógł zauważyć, jak zabierała autostopowiczkę. Widziano je też razem na stacji benzynowej i w McDonalddie. A to może wystarczyć do skierowania szukających na właściwy trop.

Shepherd wyjął z bagażnika jeszcze parę rzeczy, wśród nich zrolowany worek z grubej szarej folii.

Czekała go paskudna robota.

\* \* \*

Rozejrzał się po okolicy, ale bez rezultatu. Jakimś cudem dziewczynce udało się stąd odjechać. Wprawdzie trudno sobie wyobrazić kierowcę, który uwierzyłby w opowieść wyjaśniającą jej obecność na tym odludziu i zgodziłby się zabrać ją do samochodu, ale Shepherd czuł, że pewnie umie być przekonującym. W każdym razie udało jej się stąd wydostać, podobnie jak udało jej się namówić denatkę, by dowiozła ją aż tutaj. Również radziła sobie przez cały dzień i noc po tym, jak zdołała dotrzeć do Portland.

Gdy odjeżdżał, samochód zaczynał się już palić i wewnątrz lizwały leniwe jęzory płomieni. Wiedział, że do eksplozji zostało jeszcze parę

minut. Płonął nie samochód z wypożyczalni, ale ten, którym sam tu przyjechał. Wynajęte auto nawet po spaleniu byłoby łatwe do identyfikacji, a to naprowadziłoby śledczych na trop denatki. Nazywała się Karen Reid. Dowiedział się o tym, gdy niszczył jej prawo jazdy, karty kredytowe i całą torebkę. Reszta jej rzeczy mogących umożliwić identyfikację leżała na tylnym siedzeniu jego nowego samochodu, w tym walizka podobna do tej, którą miał przez większość dorosłego życia. Opalił linie papilarne na palcach denatki jej zapalniczką, pozbawił twarz wszelkich cech charakterystycznych i tak spreparowane ciało umieścił w bagażniku swego dawnego samochodu. Całej reszty pozbędzie się w drodze do celu swojej podróży. Rozwiązanie nie było idealne, ale jedynym idealnym rozwiązaniem jest śmierć.

Po północy autostrada była niemal pusta. Shepherd przyspieszył do granicy dozwolonej szybkości i włączył tempomat. Prawie nie czuł, że przesiadł się do innego samochodu. Jeździł już wieloma wozami, ale do żadnego się nie przywiązał. Właściwie do niczego się nie przywiązywał. W ten sposób łatwiej kierować swoim życiem, a właśnie czuł, że coraz bardziej nim kieruje. Przynajmniej wyjaśniło się, gdzie jest teraz jego miejsce. Stawało się też oczywiste, że nadchodzi chwila, w której trzeba będzie włączyć w to innych. Musi niedługo z nimi porozmawiać, a to oznaczało konieczność obmyślenia wiarygodnego wytłumaczenia całego łańcucha zdarzeń, gdyby któreś z nich dotarło do dziewczynki przed nim.

Ale na razie pozostawało mu tylko spokojnie jechać do celu.

Po kilku kilometrach uchylił okno i wyrzucił pierwszy z zębów Karen Reid.

# Część II

*Podświadomie zazdrościmy martwym ich swobody:  
mają za sobą etap wstępny, a ich charaktery są  
wyraźnie określone.*

Andrzej Sieniawski, *Nierozważne myśli*

## Rozdział siedemnasty

W niedzielę pojechaliśmy do Birch Crossing na śniadanie, które zakończyło się kawą przy stoliku w ogródku, żebym mógł zapalić. Amy zachowała się sympatycznie, nie narzekała na zimno i ani razu nie przypomniała, że miałem rzucić palenie. Przejrzałem lokalną gazetę, ale nie znalazłem nic ciekawego. Amy próbowała podglądać siedzącą przy sąsiednim stoliku matkę z dwiema córeczkami, ale po chwili ją to znudziło i odwróciła wzrok.

Minęło tak już z pół godziny, gdy nagle ktoś zawołał: „Cześć!”. Uniosłem głowę i zobaczyłem wkraczającego do naszej kawiarni Bena Zimmermana. Pod pachą trzymał plik gazet i był jak zwykle ubrany w wysłużony kombinezon w kolorze khaki i sweter, jaki wkłada się już tylko na ryby, bo żona zabroniła pokazywać się w nim znajomym. Mimo to pomyślałem z zazdrością, że chciałbym tak wyglądać w jego wieku. Kiedy rzucił to luzackie pozdrowienie, poczułem, że naprawdę jesteśmy tu u siebie.

Skinąłem głową.

— Jak tam twój przyjaciel? — zapytałem.

Ben lekko się uśmiechnął i wzruszył ramionami. Nie bardzo wiedziałem, czy miało to znaczyć, że przyjaciel czuje się lepiej, czy też już umarł. Na wszelki wypadek pokiwałem głową i Ben wszedł do środka.



Potem połączyliśmy z Amy po sklepach, nurzając się w New Age i Mozarcie. Zostałem na ulicy i obserwowałem przez szybę, jak Amy przegląda się w lustrze, trzymając bluzkę w kolorze, którego nie dało się określić inaczej niż różowy. To mnie zaskoczyło. Mężowie w moim wieku i o moim charakterze z trudem tolerują istnienie różu, a jedyną okazją do bliższego kontaktu z tym kolorem są narodziny dziecka płci żeńskiej. Żony nie tolerują różu w wystroju wnętrza i prędzej wyzioną ducha, niż włożą coś różowego. Róż w dzisiejszych czasach, tak jak purpura w średniowieczu, jest czymś egzotycznym i nieznanym i z tej racji intryguje innością pośród ziemistych szarości i wszechobecnej czerni.

Po wyjściu ze sklepu Amy spojrzała na mnie i uniosła brwi.

— Z czego się śmiejesz, małpiszonie?

— Nigdy nie wyobrażałem sobie ciebie jako laluni w różowym — odparłem. — Ale nie ma sprawy, wyglądałaś ekstra. Chcesz później pójść do kina czy wolisz pokręcić się jeszcze po centrum handlowym?

Zarumieniła się, trzepnęła mnie w ramię i rzuciła parę cierpkich zdań na temat tego, gdzie mogę sobie wsadzić całe centrum handlowe razem z jego parkingiem. Wróciliśmy do domu spacerem w przyjaznej ciszy, rozkoszując się zapachem jodeł i sosen. Różniło się to bardzo od powrotów do domu w LA, i to w tę dobrą stronę.

W domu Amy przyjęła ulubioną pozycję na sofie i obłożyła się papierami, ja poszedłem do swojego pokoju. Nie otworzyłem od razu laptopa, tylko przez długą chwilę siedziałem i gapiłem się w wielkie okno. Przyszło mi coś do głowy, ale chciałem to przemyśleć i upewnić się, że się nie wygłupię i że nie dowodzi to tylko tego, jak trudno przychodzi mi rozstanie się z dawnym życiem.

\* \* \*

Życie policjanta jest dziwne i znacznie mniej skomplikowane, niż próbuje nam to wmawiać przemysł rozrywkowy. W zasadzie człowiek

jest monitorem ze spluwą, który boryka się z przekupstwem, nieuczciwością i czystym wariactwem — i to zanim jeszcze opuści mury posterunku. Policjant to szwacz latający i fastrygujący społeczną tkankę, by ją utrzymać w jednym kawałku; od czasu do czasu musi się włączyć do odwiecznej walki pokrzywdzonego z krzywdzicielem (lub tylko pomawianym o bycie krzywdzicielem, bo przecież był w tym czasie w szpitalu u chorej siostry i nawet nie ma samochodu, a już na pewno nie takiego samochodu, więc co się mnie czepiasz, jebana policyjno świnio, nie masz prawdziwych przestępców, żeby się na nich wyżywać?).

Na pierwszej lekcji gliniarz dowiaduje się, że niepotrzebne jest żadne esperanto, bo i bez niego funkcjonuje prawdziwie międzynarodowy język — kłamstwo. Wszyscy zawsze i na każdy temat kłamią. Szybko człowiek przestaje komukolwiek wierzyć i zaczyna zdawać sobie sprawę, że więcej kłopotu jest z ofiarami niż ze złoczyńcami, bo pokrzywdzeni albo się nie różnią od przestępców i tylko tym razem im się dostało (i wyduszą z tego faktu wszystko, co się tylko da), albo są kreaturami z klasy średniej, traktującymi policjantów jak swoich prywatnych ochroniarzy w przeświadczeniu, że wszystko da się załatwić za pomocą stowy, którą bardziej czy mniej dyskretnie próbują im wetknąć w łapę.

I dlatego trzeba udawać. Po włożeniu munduru człowiek staje się kimś innym. Kimś, kto nie dopuszcza do siebie myśli, że niewinnie wyglądający facet, któremu każe się zjechać na pobocze, może akurat być wściekły na swoją żonę albo kumpla, albo na to, że znów nie wygrał na loterii, i że z powodu tego rozgoryczenia może sięgnąć pod siedzenie i wyciągnąć spluwę, która każdego innego dnia pozostałaby nietknięta. Kimś, kto próbuje nie pamiętać, ile śmiercionośnej broni go otacza: noży do jarzyn w kuchennych szufladach; butelek w barach, gdzie bójki spadają na człowieka jak niechciane prospekty reklamowe na wycieraczkę pod drzwiami; zardzewiałych żyłek poutykanych w zakamarkach łachmanów włóczęgi, który pcha autostradą swój wózek

ze stertą odpadków — znanego lokalnego świra, wprawdzie niegroźnego, ale trzeba się z nim przez godziną użerać, żeby zechciał zjechać z drogi, bo ktoś się na niego poskarżył, a poza tym tak stanowi prawo — a któremu twoja interwencja przerywa mętne medytacje o mikrofalach i terrorystach winnych wypadania jego owłosienia łonowego, na dodatek trwa ona tak długo, że uznaje ją za zagrożenie, przeciw któremu musi podjąć walkę na śmierć i życie.

Człowiek rzadko nie ma pod ręką czegoś, czego może użyć do wyrażenia krzywdy innemu człowiekowi. Znałem gliniarzy, którym się to zdarzało w najdziwniejszych okolicznościach; na przykład jednemu kobieta z rozkwaszonymi przez konkubenta ustami rozorała mu gardło otwieraczem do butelek, bo uznała, że jeśli funkcjonariusz aresztuje jej partnera, dalsze życie straci dla niej sens. Gliniarza pochowano z honorami, kobieta trafiła na długie lata do więzienia, a drań, który powybijał jej zęby na oczach dzieci, mieszka teraz z inną babą w jej domu. Siedzi w fotelu i bębniąc palcami po wytartym z kurzu oparciu, nie może pojąć, dlaczego jej dzieci uparły się, żeby go wkurwiać, dlaczego ta durna dziwka nic w tej sprawie nie robi, a w dodatku nie przynosi mu następnego piwa, i co ona ma w sobie takiego, że czasem ma ochotę rozkwasić jej nos. Prędzej czy później któryś z jego koleśków podpieprzy mu telewizor albo akumulator, albo parę butów, a ty będziesz musiał się do niego odnosić grzecznie i z szacunkiem, bo to on jest teraz ofiarą.

Z tego składa się praca w policji. Z rozgrzanych słońcem chodników o zmroku. Z łomotania w odrapane drzwi. Z zapewnień dzieciaków, że wszystko jest w porządku, kiedy widzisz, że nie jest. Z pijanych dziewczyn zarzekających się, że ich chłopak nic, kurwa, nie zrobił, ale tylko do czasu, aż się zorientują, że one też mogą mieć kłopoty, bo wtedy zaczynają nadawać: „Panie władzo, on to może być nawet nazistowski zbrodniarz wojenny”. I z małżeństw ochryple wrzeszczących na siebie na podwórku i wzajemnie obrzucających się

pretensjami tak starymi, że już sami nie wiedzą, skąd się wzięły, a ty przez czterdzieści minut musisz wysłuchiwać, że dziś po południu ktoś zapomniało kupić kawę w sklepie. Odchodzisz, doprowadzisz do pojednania, po czym miesiąc później ty czy ktoś inny staracie się nie dopuścić, żeby się wzajemnie pozabijali o to, czyja była kolej wynieść śmieci.

Babrałem się w tym przez dziesięć lat. Przychodziłem i robiłem to, za co mi płacono: wtrącałem się w ludzkie życie, ale tylko gdy działo się coś złego, kiedy bóg zła postanawiał złożyć wizytę. Wreszcie moje życie zaczęło zbaczać z kursu, jak to się zwykle dzieje z życiem policjantów. Problem gliniarzy polega na tym, że grając tak często na boisku boga zła, zostają namierzeni przez jego radar jako intruz, wtrącający się, próbujący udaremniać jego plany zadawania bólu i sprawdzania nieszczęść na ludzi. Bóg zła to tylko mały zafajdany bożek, który odznacza się świetną pamięcią i nieustanną zawziętością. Jak mu się raz podpadnie, nie ma zmiłuj. Staje się twoim osobistym lichem, które ci siedzi na ramieniu i sra na plecy.

Przynajmniej tak mnie się czasem zdawało. Wiem, że to wszystko brednie, ale chwilami tak właśnie czułem.

\* \* \*

Zajęcie się po tym wszystkim pisaniem miało sens, i to nie tylko dlatego, że dawno temu studiowałem filologię angielską. Służba patrolowa jest zajęciem wymagającym mówienia. Człowiek spędza całe dnie, zastanawiając się, co i jak powiedzieć. Uczy się, jak za pomocą słów trafić do pijanych, naćpanych i kompletnych idiotów, tak by cię rozumieli. Także jak samemu rozumieć odpowiedzi ludzi, dla których mówienie prawdy jest jak posługiwanie się obcym językiem. Gdy dochodzi do użycia siły, twoi rozmówcy mogą być w tym dużo sprawniejsi, a już na pewno mają mniej skrupułów. Oczywiście w ciągu kilku minut możesz ściągnąć posiłki, ale do pozbawienia cię życia wystarczą sekundy, a jeśli ostatnim razem musiałeś wzywać

śmigłowce, twoja następna przechadzka tą ulicą będzie długa i trudna. I dlatego na ogół sztuka polega na odpowiednim doborze słów, tonie i sposobie budowy zdań. I dotyczy to nie tylko rozmów, ale i niezliczonych pisemnych raportów, które uczą związłego wysławiania się i oszczędnego gospodarowania zmyśleniami.

Pewne zwroty wchodzą człowiekowi w krew i stają się automatyczne. Zwracanie się per sir/madame do ofiar przestępstw ma je utwierdzić w przekonaniu, że są traktowane z należyтым szacunkiem. Ale tak samo zwracamy się do sprawców. „Sir, zechce pan wysiąść z samochodu”. „Madame, pani mąż twierdzi, że ma pani nóż”. „Sir, raz jeszcze proszę, żeby pan rzucił pistolet i położył się na pierdolonej podłodze”. Taka konstrukcja podkreśla teoretyczną uprzejmość wobec rozmówcy, a jednocześnie przypomina, że może się to zmienić. To trochę tak, jakby matka zwracała się do swojego dziecka pełnym imieniem i nazwiskiem, choć naprawdę chciałaby je wyzwać od zaszraných gówniarzy. Słowo „sprawca” też jest kluczowe, bo służy do zamazywania niezliczonych różnic między ludźmi i sprowadzania ich do jednej wspólnej kategorii winnych (rzekomego) przestępstwa, co czyni z nich osobników godnych potępienia i automatycznie ustawia w opozycji do ofiary lub ofiar, policji i ogólnie rzecz biorąc, całego wszechświata. To potężne, naładowane emocjami słowo, od którego wszystko się zaczyna.

„Broń” to przedmiot, którego posiadacz może łatwo zamienić się w „sprawcę”. Skrót MO od słów *modus operandi* określa charakterystyczny sposób postępowania sprawcy. „Ofiara” to rezultat takiego postępowania. „Wtargnięcie” to szczególny rodzaj postępowania sprawcy. Słowo to zawiera wszystko, co da się powiedzieć o nienaruszalności prywatności (w sensie prawa własności) i łajdactwie tego, kto odważa się zrobić wyłom w murze, jakim odgradzamy się od chaosu tworzonego przez innych. Nawet morderca jest tylko szczególnym rodzajem sprawcy.

Oczywiście nie każdy gliniarz zawraca sobie głowę takimi pierdołami, ale są tacy, którzy to robią. Podobnie jak wśród neurochirurgów są tacy, którzy wrzeszczą na meczach, a wśród księży tacy, którzy w trakcie spowiedzi myślą o czekającej ich pizzy na kolację. No cóż, synu, nękają cię bezbożne myśli o twojej sąsiadce, ale tak naprawdę pytanie brzmi: z anchois czy bez? Twoim zadaniem jest znaleźć słowa, które pasują do każdej sytuacji i ukażą drogę wyjścia niekończącą się więzieniem lub śmiercią. Uzbrojony w słowa dzielisz noc ruchem swej sprawiedliwej dłoni i naprawiasz świat — przynajmniej w swoich pisemnych raportach. System wymiaru sprawiedliwości może wszystko na powrót utopić we mgle. Prawnicy znają inne słowa i posługują się nimi do innych celów. Ich teoretyczne kryteria mogą być przejrzyste, bo nie trzeba ich weryfikować na klatkach schodowych, parkingach i w barach.

A gdy w końcu wyzwolisz się z tego cyrku?

Odejście z policji jest jak wypuszczenie z więzienia, ale nie w pozytywnym sensie. Czujesz się jak człowiek biegly w języku, zwyczajach i geografii kraju, który z dnia na dzień znika z powierzchni planety, a wraz z nim jego wszyscy mieszkańcy. W efekcie twoje dotychczasowe przemyślenia i hermetyczna wiedza stają się niewarte funta kłaków, a ty musisz zacząć uczyć się rozumieć prawdziwy świat i patrzeć na otoczenie inaczej niż przez pryzmat odznaki policyjnej na piersi. Musisz nauczyć się postępować z tymi dziwnymi, normalnymi ludźmi. Zrozumieć, o co im chodziło i co było dla nich ważne wtedy, gdy ty z klapkami na oczach widziałeś tylko zło, zło, zło.

Przystosowanie się to potężne wyzwanie. Przypuszczalnie konkurować z nim może tylko śmierć.

\* \* \*

Miejsca fotografowane przeze mnie w Los Angeles były miejscami przestępstw, ale szczególnego rodzaju. Książka miała tytuł *Nieproszeni goście* i na jej okładce widniał dom, w którym znaleziono zwłoki

Leah Wilson. Niby miejsce zwykłego morderstwa dokonanego przez nieznanego sprawcę lub sprawców, ale mnie zafascynowało. Inne zdjęcia zamieszczone w książce także ukazywały miejsca przestępczych czynów osoby lub osób, które włamywały się do czyjś domu i w środku popełniały kolejne przestępstwo — od rabunku po gwałt i morderstwo. Na fotografiach uwieczniłem wnętrza domów, garaży, restauracyjnych kuchni, tańszych i droższych pokoi hotelowych, kawiarni w Venice Beach. Na żadnym nie znalazły się ofiary napaści i nawet ukazany obraz zniszczeń był bardzo stonowany. W tekście towarzyszącym zdjęciom po prostu opisywałem przebieg zdarzeń — na tyle wiernie, na ile mogłem to zrobić, nie będąc naocznym świadkiem — i uzupełniałem opisem szerszego tła. Starłem się przywracać fotografowane miejsca do stanu sprzed dramatycznych wydarzeń, kiedy to czyjeś wtargnięcie z zewnątrz na zawsze zmieniło ich charakter. Wiem mniej więcej, skąd się to wzięło. Przez całe swoje zawodowe życie stykałem się z sytuacjami po fakcie. W rezultacie same fotografie też nie ukazywały prawdy, bo nigdy nie ukazują.

Pomysł, który przyszedł mi właśnie do głowy, był prosty. Już wcześniej o tym myślałem, ale wtedy zrezygnowałem, traktując *Nieproszonych gości* jako jednorazowy wyskok. Być może potrzebnym impulsem stała się wizyta Fishera, choć nadal uważałem, że policja ma rację i Bill Anderson jest pierwszym kandydatem na zabójcę żony i syna, i nie mamy do czynienia z kimś z zewnątrz.

Przyszło mi mianowicie do głowy, że mógłbym powielić ten sam pomysł, tylko w innym mieście. Na przykład w Seattle.

Nie miałem wprawdzie dostępu do akt przestępstw ani nie znałem dobrze tego rejonu, pomyślałem jednak, że bez pierwszego jakoś sobie poradzę, a w sprawie drugiego mogę się oprzeć na miejscowych. Telefoniczne rozmowy z działami miejskimi redakcji głównych gazet powinny wystarczyć, by mnie zauważyli na swoich radarach.

Może nawet zdobędę się na ponowne spotkanie z Blanchardem. W końcu w historiach zaginięć ludzi często pojawiają się jakiś tajemniczy nieznajomy czy nieznajoma. Intruz, nieproszony gość. Im dłużej siedziałem zapatrzony w okno, tym bardziej mój pomysł nabierał sensu. Wprawdzie zawsze uważałem się za kogoś, kto strzela tylko raz... ale jak to ujął Gary? Nazwał to wciąganiem bandery na maszt. Minęło już dość dużo czasu.

Może należy pogodzić się z myślą, że po prostu jestem byłym gliną.

\* \* \*

Otrząsnąłem się z zamyślenia i wtedy dotarło do mnie, że z salonu słychać muzykę. Amy coś nastawiła, a to musiało znaczyć, że już tak intensywnie nie pracuje i że jej nie przeszkodzi pytaniem, co sądzi o moim pomysle.

W połowie drogi zwolniłem, zdając sobie nagle sprawę, że to nie tyle muzyka, ile jakiś jednostajny dźwięk. Przez chwilę się wsłuchiwałem, sądząc, że zaraz się zmieni, ale tak się nie stało. Amy siedziała na sofie obłożona papierami, ale wzrok utkwiała gdzieś przed siebie i była lekko przygarbiona, jakby w tej pozycji trwała już jakiś czas.

— Hej — odezwałem się. Poczulem wewnętrzny niepokój, bo półtora roku temu był już taki okres, kiedy zapadała w podobne transy.

Zamrugła i spojrzała na mnie.

— Byłam daleko stąd — powiedziała.

— Czego słuchasz? Trochę to nietypowe jak na ciebie.

— Wszyscy dorastamy, kochany. Napijesz się herbaty?

— Chciałaś powiedzieć kawy.

Lekko zmarszczyła brwi.

— Nie. Mam chęć na herbatę.

Wzruszyłem bezradnie ramionami, gdyż nawet nie wiedziałem, że mamy coś takiego w domu. Podszedłem do szklanych drzwi na taras, Amy poszła do kuchni. Czekając na nią, patrzyłem na drzewa w dole i



niebo, które straciło już poranną przejrzystość i zaczynało szarzeć. Do takich widoków pasuje wiele rodzajów muzyki. Ale nie nowoorleański jazz.

\* \* \*

Godzinę później biegłem wśród drzew, walcząc ze swoją słabością. Nieczęsto się zdarza, żebym biegał dwa dni z rzędu, i nieprzyzwyczajone do takiego wysiłku ciało nie rozumiało, co chcę przez to udo wodnić. Ja zresztą też nie. Po prostu czułem potrzebę wyrwania się na trochę z domu.

Chciałem poświęcić trochę czasu przemyśleniom, którym oddawałem się w gabinecie, ale mój umysł nie był już tym zainteresowany i uparcie wracała do mnie muzyka słuchana przez Amy. W tej sytuacji postanowiłem o niczym nie myśleć i skupić się na stukocie stóp o podłogę, zapachu drzew i rytmicznym oddychaniu zimnym, orzeźwiający powietrzem.

Zawróciłem w stronę stawu na granicy naszej posiadłości i usłyszałem, że dzwoni moja komórka. Zwolniłem i zacząłem gmerać przy kieszeni spodni dresu, w końcu się zatrzymałem. Numer na wyświetlaczu nic mi nie mówił. Podeszedłem bliżej stawu i uniosłem telefon do ucha. Po drugiej stronie stawu widać było nasz dom. Może to jednak Amy?

— Jack — powiedział męski głos.

Zaskoczył mnie nie mniej niż za pierwszym razem.

— Cześć, Gary. Przyłapałeś mnie na bieganiu.

— Przepraszam. Słuchaj, musimy porozmawiać.

— Ale ja nie zmieniłem zdania — rzuciłem. Nie chciało mi się wdawać w rozmowy, bo patrząc na stojący sto pięćdziesiąt metrów dalej na wzgórzu dom, odniosłem wrażenie, że ktoś jest na tarasie.

— Nie w tej sprawie dzwonię — powiedział i jakby lekko się zawahał. — Dwa dni temu byłeś w Seattle.

— Skąd wiesz? A właściwie to skąd masz mój numer komórkowy?

— Chciałbym, żebyś tu przyjechał. Możliwie najszybciej.

— Gary, zaczyna mnie niepokoić, że mnie śledzisz. Może lepiej przyjedź tutaj i spróbuj mi wyjaśnić, co jest grane. Bo jak...

— Nie mogę tam przyjechać — przerwał pośpiesznie.

— Wszystko to zaczyna dziwnie wyglądać — wycodziłem. Udało mi się już dojrzeć, że osobą na tarasie jest Amy. Ależ oczywiście, ktośby inny. — Jestem bliski tego, żeby przerwać tę rozmowę, zablokować połączenie i zadzwonić na policję. Dlatego spręż się i wytłumacz.

W słuchawce zapadło milczenie. Widziałem, jak Amy spogląda na las nieświadoma tego, że na nią patrzę. Była bez płaszcza, więc zapewne długo nie postoi. Wiedziałem, jak nie lubi zimna, a powietrze było tak rześkie, że wokół jej głowy unosił się obłoczek pary.

— Chodzi o Amy — powiedział cicho Gary. — Przykro mi, Jack, ale są pewne sprawy, o których powinieneś wiedzieć.

## Rozdział osiemnasty

Trzeba iść do przodu. Trzeba iść do przodu. Trzeba iść do przodu. Tak należy. Jeśli idziesz, to znaczy, że dokąds zmierzasz. Jeśli dokąds zmierzasz, to znaczy, że jesteś kimś i nikt nie będzie się ciebie czepiał. Dlatego idziesz, nawet jeśli bolą cię nogi, i nie bardzo wiesz, gdzie jesteś i gdzie byłaś przedtem. Jeśli staniesz, zaczną się na ciebie gapić. Będą pytać, czy się nie zgubiłaś. Czy nie jesteś głodna, czy nie chce ci się pić i gdzie jest twoja mama. Jakby nie wiedzieli, jak takie pytania bolą.

Madison cieszyło, że ma na sobie płaszcz, i to nie tylko dlatego, że w Seattle było zimno. Cieszyło ją, że płaszcz był drogi, a ludzi musieli to widzieć. I dzięki temu nie zaczepiali jej różni tacy, którzy inaczej na pewno chętnie by ją zaczepili. Miała również szczęście, że jest wzrostu mamy.

Cieszyło ją też, że wreszcie nadszedł dzień. Noc ciągnęła się bez końca. Po dotarciu do miasta — dowiózł ją tu mężczyzna z pick-upem, który zatrzymał się na parkingu Scatter Creek, aby skorzystać z toalety, i który na widok tysiąca dolarów w gotówce bez wahania wziął ją do szoferki — uprzytomniła sobie, że wciąż nie wie, dokąd ma się udać. No więc jest już w Seattle i co dalej? Poczucie celu, jakie towarzyszyło jej od chwili opuszczenia Cannon Beach, teraz wyraźnie

osłabło. Do chwili gdy nią kierowało, wszystko zdawało się proste. Jakby cały czas wykonywała polecenia starszej koleżanki po to, by stać się jej przyjaciółką. Trochę tak, jak kiedy zajadasz w kuchni herbatniki i postanawiasz już przestać, ale nagle w dłoni znajdujesz kolejne nadgryzione ciasteczko. Ups! Zupełnie jakby w twojej ręce siedziała jakaś druga ręka, która robi coś bez twojej woli. Tylko że gdy potem wchodzi mama i przyłapuje cię z kolejnym ciasteczkiem, tej drugiej ręki już nie ma.

Maddy widziała, jak tata przy kolacji robi to samo. Mówi, że to już ostatni kieliszek wina, a potem jakby nieświadomie wyciąga rękę i dolewa sobie jeszcze trochę. Mama z kolei robi tak w sklepach, ale pewnie nie tylko. W ostatnich miesiącach widywała ją smutną i zamysloną, jakby coś ją gryzło. Ale potem wieczorem albo następnego dnia rano znów była radosna, a to musiało przecież znaczyć, że wszystko przemyślała i zmieniła zdanie. Tylko jak można mieć jakieś zdanie, a potem je nagle zmienić? Raz weszła do domu i zastała mamę rozmawiającą przez telefon, i może jej się tylko zdawało, ale mama miała wtedy taką minę, jakby to ją przyłapała na lasowaniu. Może takie rzeczy wszystkim się zdarzają? W każdym razie miała nadzieję, że nie tylko jej. I że to się nie nasili.

Ale przynajmniej nie czuła głodu ani pragnienia. Mężczyzna w pick-upie poczęstował ją kawą i podzielił się swoją kanapką. Gdy mu płaciła, zdała sobie sprawę, że wielu obcych skorzystałoby z okazji i walnęło ją w głowę, żeby się przekonać, co tam jeszcze ma. Na szczęście ten do takich nie należał. Była tego pewna, zanim wyjęła pieniądze. Jego oczy były pogodne i często się uśmiechał, i Madison czuła, że nie lubi komplikować sobie życia. Mama często jej powtarzała, że umie dobrze oceniać ludzi, co tata zwykle uzupełniał uwagą: „Tak ich omotać, że zrobią, co zechce”. Ale uśmiechał się przy tym i wiedziała, że nie jest to z jego strony wyrzut.

Przez kilka godzin kręciła się po ulicach, uskakując w bok lub zwracając na odgłos czyichś kroków lub krzyków. Próbowwała zadzwonić do domu w Portland z ulicznego automatu, posługując się bilonem

zabranym z portmonetki mamy, czego bardzo się teraz wstydziła, bo nie jest przecież złodziejką. Ale telefon dzwonił i dzwonił, a potem przełączał się na automatyczną sekretarkę. Był środek nocy, to prawda, ale przecież telefon stoi na nocnym stoliku tuż przy ich łóżku. Dlaczego taty nie ma w domu? Próbowała też zadzwonić na komórkę mamy, ale z jakiegoś powodu ciągle myliła numer. Znała go na pamięć, była tego pewna — parę miesięcy temu zadała sobie dużo trudu, żeby się go nauczyć — ale jakoś dziwnie wyleciał jej z głowy. Wybrała kilka znajomo kojarzących się kombinacji cyfr, ale skończyło się na obudzeniu paru poirytowanych osób, z których żadna nie była jej mamą.

Parła więc dalej do przodu. Chwilami wydawało jej się, że szuka czegoś konkretnego. W pewnym momencie przyłapała się na tym, że idzie pod górę długiego i naprawdę stromego zbocza. Wokół stały duże eleganckie domy i zatrzymała się przed jednym z nich, ale poczuła tylko ogarniający ją smutek i chłód. Gdy zrobiło się naprawdę zimno, wyszukała śródmiejski zaułek z głęboką wnęką przy wejściu do jakiegoś budynku, usiadła i opatulila się płaszczem. Wnęką śmierdziała moczem. Madison nie miała zamiaru spać, ale ją zmoгло. Była zmęczona tym bezustannym chodzeniem. I ciągłym udawaniem, że wcale, ale to wcale się nie boi.

Usnęła, lecz nie był to zdrowy sen. Cały czas coś jej się śniło. Niektóre sny były nawet całkiem przyjemne—jak choćby ten, w którym znalazła się w gronie małych, ładnych, uśmiechniętych dziewczynek. Albo ten, w którym siedziała na fotelu w ładnym domu i patrzyła przez okno na zatokę. Inne były smutne czy wręcz przerażające, jak ten, w którym zdyszana biegła betonową ścieżką tuż nad wodą. Zwykle lubiła, jak jej się coś śni. Sny bywały zabawne i ciekawe. Ale nie te. Te przypominały skakanie po telewizyjnych kanałach i natrafianie na coraz to nowe, których wcześniej nie było. Niektóre zdawały się mgliście znajome, jakby je zapamiętała z czasów, gdy budziła się w nocy i widziała nad sobą twarz mamy lub taty, którzy przybiegali do jej pokoju zaniepokojeni wydawanymi przez nią dźwiękami. Inne

były ponure, hałaśliwe i dorosłe... i całkiem niemiłe. I choć nie zobaczyła niczego, czego nie powinna widzieć, była pewna, że gdyby odczekała wystarczająco długo, toby... coś zobaczyła.

Przez większość czasu spędzonego we wnęce Madison nawet nie była pewna, czy śpi, czy nie. W pewnym momencie, choć zdawało jej się, że śpi, właśnie się rozwidniało. Wyszła z wnęki i ruszyła w dalszą drogę.

\* \* \*

Po otwarciu sklepów od razu zrobiło się raźniej. Wmieszała się w tłum przechodniów i podążając za nimi, dotarła do dużej otwartej przestrzeni w centrum miasta. Po drugiej stronie dostrzegła księgarnię Barnes & Noble i weszła do środka, wiedząc, że będzie tu przez chwilę bezpieczna. W księgarniach można siedzieć, ile się chce, trzeba tylko mieć na sobie ładny płaszcz. Pokręciła się wśród książek, potem przeszła do działu czasopism. Kiedy ktoś z obsługi podszedł do niej i spytał, czy czegoś nie potrzebuje, odparła, że nie, i pomachała ręką, jakby do kogoś w drugim końcu sklepu. Pracownik uśmiechnął się i zostawił ją w spokoju.

Po dziale czasopism kręciło się kilka innych dziewcząt w jej wieku, ale pamiętała swój sen i na ich widok trochę się spieszyła. Uznała też, że już za długo im się przypatruje, przeszła więc do Starbucksa i kupiła wodę, kawę i coś do jedzenia. Zrobiła to bez zastanowienia, ale gdy znalazła się przy kasie, uznała, że postąpiła bardzo sprytnie. Jaka rezolutna dziewczynka z tej Maddy, potrafi samodzielnie podejść do kontuaru i złożyć zamówienie pod okiem mamy, która siedzi... o, tam, kawałek dalej! Wypiła kawę i zjadła ciasto marchewkowe, a wodę i ciastka z muesli upchała po kieszeniach, które zaczynały już wyglądać dość pękato. Ale trzeba być przygotowaną.

Jest zaopatrzona. Dobrze sobie radzi.

\* \* \*

Wróciła do działu dziecięcego księgarni, znalazła wolne miejsce i usiadła. Zdjęła z półki książeczkę Richarda Scarry'ego i wetknąwszy w nią podniszczony notes, zaczęła go przeglądać.

Im bardziej się w niego wczytywała, tym dziwniej się czuła. Nie potrafiła powiedzieć dlaczego. W notesie nie było jednej opowieści, która ma początek i którą czyta się kartka po kartce aż do zakończenia, tak jak to robiła z wszystkimi książkami, jakie do tej pory czytała. Oczywiście nie licząc książeczek dla bardzo małych dzieci, które zawsze irytowały ją: myszka Molly wstaje z łóżeczka, myszka Molly stoi na wzgórzu i wacha kwiatki, Molly i jej przyjaciel narwal Neville idą popatrzeć na morze... Koniec. Tata zawsze się na te książeczki wściekał, twierdząc, że nie ma w nich żadnej treści i skąd, u diabła, wziął się nagle ten Neville? Zawartość notesu była trochę jak te bajeczki. Luźne, niczym niepowiązane fragmenty, bez początku i końca. Główna różnica polegała jednak na tym, że książeczki dla dzieci były w miarę jasne i zrozumiałe. Wzgórze było wielkie, kwiatki wyraźne i bardzo kolorowe, a wizerunek nie wiadomo skąd wziętego narwala Neville'a zajmował całą stroniczkę, bo jedynym celem książeczki było nauczyć maluchy czytać. Miała w takim stopniu zainteresować dzieci, żeby te chciały się dowiedzieć, co które słowo znaczy.

Notes wcale taki nie był. Często można było odnieść wrażenie, że autor starał się tak dobierać słowa, żeby nie można go było zrozumieć, chyba że się z góry wiedziało, o co w tym w wszystkim chodzi:

*Zawsze tu mieszkałem.*

*Przed długi czas drzewa były jedyną opowieścią.*

*Ale potem zjawili się najeźdźcy i wylamali drzewa, jakby nie przychodziło im do głowy, że ktoś inny już tu mieszka i nazywa to miejsce domem. Opowiem o tym pokrótce, zostawiając szczegóły jako ćwiczenie dla bardziej zaawansowanych czytelników.*

*W 1792 roku Vancouver wraz z załogą po raz pierwszy wpłynął do Cieśniny Pugeta. W 1851 członkowie wyprawy*

*Denny'ego zgłosili roszczenia do terytorium. Podczas sro-  
giej zimy 1851/1852 miejscowi Indianie Duwamisze i  
Suquamisze dostarczali osadnikom żywność na Cypel Al-  
ki. Można by sądzić, że czegoś się już do tej pory nauczyli,  
ale chyba nie byli zbyt rożgarnięci. Przynajmniej wódz  
Seattle dysponował wiedzą wielu żywotów i namówił „  
doktora „ Maynarda, by w roku 1852 dołączył do osadni-  
ków. Wiedział, że jego przyjaciel jest biegły w miejsco-  
wych tradycjach i może temu specjalnemu miejscu pomóc  
w przetrwaniu. Maynard opalikował bagna tam, gdzie są  
teraz Pioneer Square i International District, co można  
uznać za dziwaczny wybór. Denny, Bell i Boren objęli  
skarpe wokół Zatoki Elliotta (obecnie Centrum, Denny  
Triangle i Belltown), a w październiku 1852 zjawił się z pi-  
łą do drewna niejaki Henry Yesler, poszukując działki. Od  
tej chwili miasto zaczęło rosnąć. 22 grudnia 1852 utwo-  
rzono hrabstwo King, a w 1853 miejsce odwiedził pierw-  
szy gubernator terytorium, pułkownik Isaac Stevens, któ-  
ry przybył z zadaniem wyrugowania plemion z ich ziem.  
W 1854 Seattle wygłosił mowę, w której najbardziej przy-  
bliżył się do powiedzenia głośno prawdy. Ale blade twarze  
oczywiście go nie zrozumiały. Blade twarze nigdy niczego  
nie rozumieją.*

*W 1889 miasto spłonęło, a pożar rzekomo zaczął się od  
zapalenia się kleju w warsztacie stolarskim. Ale czy nie  
bardziej prawdopodobne, że była to ostatnia próba po-  
wstrzymania osadnictwa i przejścia na stałe tych tere-  
nów? Było już jednak za późno. Nikomu nie przyszło do  
głowy zastanowić się, dlaczego wioska ta w lushootseed,  
języku miejscowych Indian, nazywała się Djijila'letc, czyli  
„przeprawa”, a musiało tak być dlatego, że wtedy przebie-  
gała droga przez cieśninę, którą można było się przepra-  
wić podczas odpływu. Miejsce to wciąż istnieje, a ziemia  
wokół nasiąkła krwią dawnych właścicieli.*

*Chciałbym wierzyć, że spełniłem swoje zadanie.*



Cała reszta też była taka — listy różnych rzeczy i faktów. Wyglądało, jakby ktoś to pisał w pośpiechu. W niektórych słowach niepotrzebnie powtarzały się litery — na przykład *i* oraz *j* — z apostrofami też było coś nie w porządku. Madison nie była szczególnie biegła w ortografii, ale wiedziała, że nie używa się ich w środku długich słów.

Mimo to nie przerywała czytania, ślizgając się wzrokiem po słowach napisanych rdzawobrazowym atramentem i znajdując w tym dziwną przyjemność. Niektóre stroniczki zawierały też nazwiska i adresy, które nic jej nie mówiły.

W końcu wstała i wyszła na zewnątrz. Dojrzała niewielki pasaż handlowy po drugiej stronie placu, wiedziała jednak, że będzie głupio, jeśli wejdzie tam bez mamy. Nagle poczuła się samotna, bardziej niż w ciągu minionych dwóch dni, i zaczęła płakać.

Czuła, jakby siedziało w niej coś, co nagle się wyzwoliło. Z jej oczu popłynął strumień łez. Twarz wykrzywił grymas duszącego szlochu, klatka piersiowa zaczęła się gwałtownie unosić i opadać, jakby coś chciało rozerwać ją od środka.

Nagle sobie uświadomiła, że jest setki kilometrów od domu, a jej rodzice nawet nie wiedzą, co się z nią dzieje. Przypomniała sobie wydarzenia ostatnich dwóch dni, ale jakby widziane z innej perspektywy. Rzeczy, które dotąd wydawały się w porządku, nagle zaczęły wyglądać strasznie. Kradzież pieniędzy z portmonetki śpiącej mamy i wymknięcie się z domku; jazda autobusem do Portland i związane z nią podniecenie, zmieszane z poczuciem winy i zagubienia; jazda samochodem z miłą panią, która po usłyszeniu jej opowieści zgodziła się podwieźć ją do Seattle, ale która w pewnym momencie zaczęła jej się podejrzliwie przyglądać, poszła do toalety z telefonem komórkowym w ręku i...

Nie, tego fragmentu dobrze nie pamiętała. Ale wszystko inne nagle do niej wróciło. W tym także...

Numer komórki mamy!

Nagle go sobie przypomniała. Zupełnie jakby rozwiała się chmura zasnuwająca pamięć.

Madison przestała płakać i zaczęła szukać wzrokiem automatu telefonicznego. Puściła się biegiem po chodniku, nerwowo patrząc na boki i rozglądając się za telefonem. W końcu dojrzała coś po drugiej stronie ulicy i bez namysłu wbiegła na jezdnię. Samochody zaczęły trąbić, żółta taksówka musiała gwałtownie odbić w bok, żeby na nią nie wpaść, ale ona nie zwróciła nawet uwagi. Na rogu widać było cały rząd automatów telefonicznych i Madison wiedziała, że musi zdążyć, zanim numer mamy utonie w chmurze, która znów zasnuje jej umysł. Butelka z wodą wypadła jej z kieszeni, ale Maddy nawet nie odwróciła głowy. Miała przed sobą tylko jeden cel — rząd automatów, do których już wyciągała rękę, przepowiadając sobie w pamięci numer telefonu...

Zdążyła wybrać dwie pierwsze cyfry, gdy uświadomiła sobie, że reszty nie pamięta.

Aż krzyknęła i ze złością walnęła słuchawką o ścianę. Gdzie się znowu podział ten numer? I dlaczego?

— Ej, ty! — rzucił ostrzegawczo przechodzień z okazałym brzuchem. — Uwważaj, co robisz. Bo jak nie, to zaraz...

Madison zwróciła ku niemu twarz i mężczyzna nagle zamilkł.

— Spadaj, grubasie — warknęła, a on jakby się skulił pod jej spojrzeniem i bez słowa ruszył w dalszą drogę.

Madison była wstrząśnięta. Nigdy wcześniej nie zachowała się tak niegrzecznie wobec dorosłego, a właściwie wobec kogokolwiek. Nawet w myślach. To było jeszcze gorsze niż jej zachowanie wobec strażnika na lotnisku. Co się z nią dzieje?

Przez chwilę stała w bezruchu. Potem zamrugła i ostrożnie odwiesiła słuchawkę na miejsce. Poczowała, jak rozjaśnia się jej w głowie. Właściwie wcale nie ma ochoty dzwonić do matki. Zamiast tego może przecież zadzwonić pod inny numer — ten, który ma na wizytówce wetkniętej pod okładkę notesu. Tyle że już to zrobiła i mężczyzna, którym odebrał, zachował się bardzo arogancko. Z jakichś niezrozumiałych dla niej powodów wydał jej się kimś niegodnym zaufania.

Odwróciła się od telefonów i spojrzała na plac. Nie bardzo rozumiała, dlaczego przed chwilą płakała. Przecież wszystko jest w porządku. Wyrwała się z domu od mamy i taty — uciekła od tego wszystkiego, co czyniło z niej małą dziewczynkę i powodowało, że można jej było rozkazywać. Od paru miesięcy coś w środku jej mówiło, że wcale nie musi tak być. Że to ona ma władzę i że teraz inni muszą robić to, co im każe. Rzecz jasna, skontaktuje się z Alison i Simonem, bo chce ich o coś spytać, ale nie musi tego robić akurat teraz. Znowu poczuła głód i wiedziała, na co ma ochotę. Na pewno nie na żadne muesli. Chce zjeść męskie śniadanie z jajkami sadzonymi, podsmażanymi ziemniakami i pikantnym sosem. I wiedziała, gdzie to znajdzie.

Ruszyła ulicą prowadzącą do targu. Szła wyprostowana, stawiając długie, pewne kroki i trzymając dumnie uniesioną głowę. Nawet jeśli przechodnie zwrócą na nią uwagę, nikomu nie przyjdzie do głowy zastanawiać się, co tak młoda osoba robi tu sama lub gdzie są jej rodzice. Już prędzej zastanowi ich, co takiego jest w tej dziewczynce, że sprawia wrażenie tak dorosłej i pewnej siebie.

## Rozdział dziewiętnasty

Dojechałem do Seattle z godzinnym zapasem i część czasu wykorzystalem na wizytę w sklepie z książkami i płytami na Czwartej Alei. Zajrzałem do działu z jazzem i wyszukałem wzrokiem sprzedawcę, który najmniej ze wszystkich wyglądał na zaabsorbowanego myślami o wyjeździe na snowboarding. Wyjąłem komórkę, uruchomiłem plik MP3 przeniesiony z telefonu Amy i dałem mu do posłuchania. Sprzedawca zwiesił głowę i wsłuchał się, ale już po dwóch sekundach spojrział na mnie i z zapalem pokiwał głową.

— Beiderbecke — powiedział. — *A Good Man Is Hard To Find*\*. To klasyk.

\* Trudno znaleźć dobrego człowieka.

Poprowadził mnie do regału, przejechał dłonią po grzbietach kompaktów, jakby głaskał po plecach ukochaną osobę, i wyciągnął jeden z nich. Czarno-białe zdjęcie ukazywało faceta z czymś w rodzaju trąbki w dłoniach. Dałem się sprzedawcy namówić na kupno.

— Taka szkoda — zabawiał mnie rozmową, gdy czekaliśmy na autoryzację mojej karty kredytowej. — Mam na myśli Biksa. Wyjątkowy talent. Ledwie czytał nuty, ale grał jak anioł. Zmarł w wieku dwudziestu ośmiu lat. Zapił się na śmieć. — Westchnął, jakby to była jego

osobista strata.

Ruszyłem Pike Street w stronę targowiska i znalazłem wolny stół przy Seattle's Best po drugiej stronie ulicy. Wciąż jeszcze byłem przed czasem. Fisher odmówił podania przez telefon jakichkolwiek szczegółów. Prawdopodobnie uznał — i nie mylił się — że jeśli wszystko powie, to mnie nie namówi na przyjazd do Seattle. Byłem spokojny. Atmosfera poprzedniego wieczoru była dość napięta i nie mogłem się pozbyć wrażenia, że Amy jest jakaś inna, bardziej rzeczowa. Należy do tych kobiet, które potrafią wziąć do ręki garść składników, podrzucić w powietrze, a one spadną na talerz w postaci pysznego, apetycznego dania. Wczorajsza kolacja ledwie przeszła mi przez usta, i to nie z powodu stanu mojego żołądka po przedwczorajszych ekscesach. Potem Amy poszła do siebie popracować, ale sprawiała wrażenie dość rozkojarzonej, gdy stałem na tarasie i paląc papierosa, przypatrywałem się przez okno, jak siedzi na sofie i grzebie w leżących na stoliku książkach, jakby nie mogła czegoś znaleźć. W ciągu ostatnich dwóch lat widywałem ją już w takim stanie, ale gdy pytałem, czy wszystko w porządku, za każdym razem odpowiadała, że tak.

Gdy dziś rano oświadczyłem jej, że wybieram się do Seattle poszperać w sprawach kryminalnych, w pierwszej chwili spojrzała na mnie badawczo, potem niepewnie wzduszyła ramionami.

— Nie sądzę, żeby to był taki dobry pomysł — powiedziała i wróciła do swojej pracy. Nie minęło jednak dwadzieścia minut od wyjazdu, jak dostałem od niej SMS-a.

Powodzenia :-D

Nie bardzo wiedziałem, co mam myśleć, więc siedziałem w ten zimny poranek, nic nie myśląc. Słyszałem kiedyś opowieść o pierwszych osadnikach w tym rejonie. Wynikało z niej, że gdy Europejczycy

dotarli lądem do północno-zachodnich wybrzeży Ameryki przekonani, że są bohaterskimi zdobywcami nowych terytoriów, że zdumieniem stwierdzili, że miejscowa ludność wcale nie jest zaskoczona ich widokiem. Działo się tak nie dlatego, że ktoś już przed nimi przedarł się przez kontynent od wschodu, ale dlatego, że tutejsi Indianie już od pokoleń widywali na morzu statki handlowe (choć zdarzało się to nie częściej niż co kilkadziesiąt lat). Zdawali sobie sprawę, że załóg nie mogą stanowić ich współplemieńcy, i domyślali się, że wybierają się do nich z wizytą jakieś nieznanne istoty, choć wyraźnie im się z tym nie spieszy.

Kiedy po raz pierwszy usłyszałem tę opowieść, poczułem dreszcz. Nawet nie wiem, ile jest w niej prawdy, ale zapadła mi głęboko w pamięci: mglisty obraz widzianych w oddali statków widm, o których nic nie wiadomo i które nigdy nie podpływają bliżej, ale raz widziane nie dają o sobie zapomnieć. Zwiastun tego, że świat kryje nieoczekiwane zagadki; zapowiedź wydarzeń, których nie da się zmienić, przyspieszyć ani powstrzymać. Groźba nieznanego i niepojętego, wisząca gdzieś daleko w nadmorskiej mgłę. Przyszłości chwilowo zawieszonej, ale nieuniknionej.

Miejscowi wpatrywali się w dal i coś w niej dostrzegali, później odwracali się plecami do morza i zajmowali swoimi sprawami.

Czułem, że ja bym tak nie potrafił.

\* \* \*

Gdy zjawił się Fisher, od razu zauważyłem, że wygląda dość mizernie. Usiadł naprzeciw mnie i pociągnął łyk kawy, którą kupił po drodze w bufecie.

— Dzięki, że przyjechałeś.

Patrzyłem na niego w milczeniu.

— Dobra. — Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i się zawałał. — Coś ci pokażę. Ale zanim ci wyjaśnię, co to, najpierw musisz mnie wysłuchać. Zajmie to parę minut i nie będzie miłe, ale inaczej

nie zrozumiesz, skąd ja się wziąłem w tym wszystkim. Zgoda?

Kiwnąłem głową. Wyciągnąłem z kieszeni kopertę i mi podałem. Zajrzałem do środka i wyjąłem zawartość. Dwie fotografie w formacie dzieśnięć na piętnaście centymetrów. Obie lekko rozmyte — typowe cyfrowe odbitki w nadmiernym powiększeniu.

Na pierwszym widać było kobietę sylwetkę przed zwykłym domem przy zwykłej ulicy. W uchylonych drzwiach wejściowych stała Amy.

Po bliższym przyjrzeniu się można też było dostrzec, że w wejściu stoi ktoś jeszcze. Oświetlenie sugerowało, że zdjęcie wykonano pod koniec dnia.

— Wielkie rzeczy — powiedziałem.

Fisher milczał.

Na drugim zdjęciu widać było inną ulicę lub tę samą w innym miejscu. Przedstawiało idących obok siebie kobietę i mężczyznę, widzianych od tyłu. Szli blisko siebie i mężczyzna obejmował ręką ramiona kobiety. Ujęcie nie pozwalało stwierdzić, czy to ten sam mężczyzna, którego widziałem na zdjęciu w telefonie Amy, ale w każdym razie był wysoki, miał ciemne włosy i ciemny garnitur. Twarze obojga były niewidoczne, ale kobieta była ubrana tak samo jak na pierwszym zdjęciu.

Uniosłem wzrok. Fisher patrzył gdzieś w bok.

Zdjęcia potrafią kłamać, a jednym z przykładów jest uchwycenie przypadkowej sceny. Ludzie pracujący w reklamie są dotykowcami. Amy mogła iść z kolegą lub z klientem, który w pewnym momencie położył jej rękę na ramionach, aby podkreślić swoją wypowiedź lub dać wyraz radości z jakiegoś firmowego zwycięstwa. Albo mogła się poskarżyć, że jest jej zimno, a jej towarzysz ją objął, uważając, że mężczyzna ma obowiązek coś zrobić, i wiedząc, że etykieta biurowa dopuszcza tego rodzaju poufałość. Zrobione w odpowiednim momencie zdjęcie zamraża na zawsze taki przypadkowy gest. Ze wszystkim na

tych zdjęciach mogło tak być. Że ukazują więcej, niż było naprawdę. W każdym razie chciałem w to wierzyć.

— Co to za zdjęcia? — spytałem.

— Zrobione w ostatni piątek w Seattle.

Czyli w dniu, kiedy i ja tu byłem. Powoli i głęboko odetchnąłem. Poświęciłem wiele godzin przesłuchaniom świadków i wiem, że jeśli się chce, żeby mówili, trzeba im to umożliwić. I nie wolno pierwszemu atakować.

— No to mów — powiedziałem.

— Chodź ze mną — odrzekł.

\* \* \*

Wyszliśmy z ogrodzonego kawiarnianego ogródka i Fisher ruszył Pierwszą Aleją na północ. Minęliśmy kilka przecznic, potem wykonaliśmy parę skrętów w prawo i w lewo.

— Mówiłem ci, że moje zainteresowanie sprawą Andersonów wiąże się z pewną nieruchomością — zaczął. — Chodzi o klienta naszej firmy, Josepha Cranfielda. Słyszałeś o nim?

— Nie. A powinienem?

— Pewnie nie. Biznesmen ze starej szkoły. Twardziel, metr osiemdziesiąt wzrostu i wciąż kwadratowe ramiona mimo zbliżającej się osiemdziesiątki. Zaczął pracować w trzynastym roku życia. Jeden z tych, którzy już w pieluszkach pracują, a gdy raczkują, roznoszą w zębach gazety. Zastanawiałeś się kiedyś, jak to się dzieje, że niektórzy są zawsze przygotowani, wiecznie się rozglądają i gdy tylko dojrzą okazję, od razu wiedzą, co z nią począć?

Sam też znalazłem takich, którzy ani chwili nie przestają biec. Nigdy mi to specjalnie nie imponowało i nie widziałem powodu, żeby to zmieniać.

— Pewnie tak.

— W latach pięćdziesiątych Joe wdał się w przejmowanie upadających zakładów w Nowej Anglii, wyprowadzanie ich na prostą i odsprzedawanie. Kiedy biznes zaczął podupadać z powodu rynków zagranicznych, zajął się handlem detalicznym i fransyżą, wszystkim,



co przynosiło pieniądze. Następnie wszedł w nieruchomości i został wspólnikiem w pierwszych centrach handlowych w Illinois. Nie zna czy to, że nie popełniał błędów, ale otrząsał się i parł do przodu.

— Amerykański bohater — mruknąłem. — Powinien wszędzie mieć pomniki.

— Otóż to. — Gary pokiwał głową. — Zdawałoby się, że może być symbolem najbardziej zadufanego w sobie gburą, jaki kiedykolwiek chodził po tej ziemi. Poznałem go po skończeniu studiów prawniczych. Parę tygodni po rozpoczęciu pracy wysłali mnie do niego, bo czegoś od nas potrzebował. Byłem śmiertelnie przerażony. Miałem dwadzieścia trzy lata i poszczęściło mi się, bo załapałem się do prestiżowej firmy prawniczej. Wiedziałem, że jak to zawalę, to się już nie pozbieram. Zjawiam się więc u niego ubrany w nowiutki garnitur i z nowiutką teczką w ręku i wiem, że od tego spotkania może zależeć moje dalsze życie. W każdym razie mogę cię zapewnić, że mój przewód pokarmowy był zupełnie pusty.

Wyobrażenie sobie tak wystraszonego Gary'ego Fishera zrobiło na mnie większe wrażenie niż cała jego opowieść, nijak nie pasująca do żadnego z moich wszechświatów.

Mimo to spytałem:

— No i?

— Poprosił, żebym usiadł, poczęstował mnie kawą i wyjaśnił, o co chodzi. Na szczęście było to coś, z czym bez trudu umiałem sobie poradzić, on to wyczuł i polecił, żebym się tym osobiście zajął. Tydzień później znajduję na biurku liścik z podziękowaniem. Napisany odręcznie przez Cranfielda. Z czasem stałem się coraz częstszym gościem w jego biurze. W końcu jeden z szefów naszej firmy wygadał się po alkoholu, że ile razy Joe czegoś od nas potrzebuje, prosi o mnie. To oczywiście bardzo się liczyło, a poznałem już Joego na tyle, żeby wiedzieć, że niczego nie robi przypadkowo. To wystarczyło, żeby mnie zauważono, i po sześciu miesiącach pracy zostałem młodszym partnerem w firmie.

— Chciał, żebyś uprawiał na boku jego prywatną grządkę, na której rosły rzeczy nie przeznaczone dla niepowołanych oczu?

— Cynik z ciebie, Jack.

— Przez dziesięć lat byłem gliną. A od urodzenia jestem człowiekiem.

— Otóż nie, nie chciał. — Gary skrzył w kolejną przecznicę i coś mi mówiło, że coraz bardziej oddalamy się od miejsc poleconych turystom zwiedzającym Seattle. — Nie wątpię, że w początkach swej kariery Joe robił różne ciemne interesy. Nikt nie zbija majątku na trzymaniu się zasad biznesu, ale nigdy nie poprosił mnie o coś, na co nasze babcie by się skrzywiły. Życie toczyło się dalej, ja miałem większy gabinet i dużo więcej zarabiałem.

— Aż do?

— Pewnego dnia dostaliśmy wiadomość, że Joe Cranfield zmarł we śnie. Tak po prostu, bez żadnego uprzedzenia.

Zwolniliśmy i Gary przez chwilę milczał.

— Współczuję.

— Tak, to był poważny cios. To prawda, że w chwili śmierci miał osiemdziesiąt jeden lat, ale wyglądał tak, jakby mógł bez problemu dożyć setki. Godzinę po wiadomości o jego śmierci dzwoni do nas jakaś firma prawnicza, o której nikt w naszej kancelarii wcześniej nie słyszał. Okazuje się, że swoje sprawy prywatne Cranfield powierzył komuś innemu. W porządku, to się zdarza, tyle że wybrał sobie małenką, nikomu nieznaną firemkę gdzieś na końcu świata, więc wszystkich nas zatyka. Facet mówi, że ma instrukcje od Cranfielda, i chce, żebyśmy się od razu w to włączyli. No i od tej chwili zaczyna się robić dziwnie.

— Jak dziwnie?

— Chodzi o testament. Cranfield zapisał dwa miliony swojej żonie, po milionie swoim dzieciom, po dwieście pięćdziesiąt tysięcy każdemu z wnuków. W sumie nieco ponad osiem milionów.

Nie bardzo wiedziałem, do czego zmierza.

— A ile miał w chwili śmierci?

— Blisko dwieście sześćdziesiąt milionów dolarów.

Uniosłem brwi i Fisher kwaśno się uśmiechnął.

— Widzę, że nareszcie zaczynasz słuchać. W skali globalnej to niewątpliwie majątek drugiej kategorii, ale biedakiem też nie można go nazwać. Miał jeszcze więcej, ale jak się okazało, w ciągu ostatnich pięciu lat życia wydał dużo na różne instytucje publiczne, cele charytatywne i szkoły. Tu jakiś oddział szpitalny, tam ośrodek pomocy społecznej, gdzie indziej obraz wielkiego mistrza wypożyczony na stałe do niewielkiej galerii w Europie. O wielu takich przedsięwzięciach oczywiście wiedzieliśmy, bo zajmowaliśmy się jego podatkami, ale nikt tak naprawdę nie zdawał sobie sprawy, jak ogromne kwoty na to poszły. Blisko siedemdziesiąt milionów.

Zrewidowałem nieco swoje zdanie na temat starego, i to w tę lepszą stronę.

— A co się miało stać z resztą?

— Właśnie w tym sęk. W dniu pogrzebu Cranfielda zjawia się u nas niejaki Lytton, jeden z dwóch występujących w nazwie spółników firmy, i wręcza stos papierów. Wszyscy szefowie naszej kancelarii zasiadają w sali konferencyjnej i zaczynają je wspólnie przeglądać. Z papierów wynika, że Cranfield zostawił dokładne instrukcje w sprawie rozdysponowania swojego imperium i plan został już częściowo zrealizowany pod nadzorem firmy Burnell & Lytton, którą, jak się okazuje, formalnie do tego upoważniono. Jeśli chodzi o pozostałą część masy spadkowej, Lytton próbuje nas traktować jak chłopców na posyłki: zróbcie to, zróbcie tamto i zróbcie to zaraz. W swoich instrukcjach Joe uwzględnił wszystko, łącznie z należącym do niego przydrożnym barem szybkiej obsługi w Houma, w Luizjanie. Zapisał go starszej kobiecie, która go od lat prowadziła. Było trochę podobnych zapisów na rzecz indywidualnych spadkobierców, ale zasadnicza część majątku miała zostać spieniężona, łącznie z domami. Całość zgromadzonego w ten sposób kapitału minus dziesięć procent miała zostać rozdzielona między dziewięciu głównych beneficjentów.

— Mianowicie?

— Fundacja na rzecz maltretowanych kobiet. Miejskie instytucje oświatowe i antynarkotykowe. Długotrwałe zaopatrywanie w lekarstwa zapomnianych przez Boga zakamarków Afryki. Nawet akcja ratowania pieprzonych wydr morskich, którą prowadzi jakiś ekolog z Monterey i któremu przypadło sześć i pół miliona dolców na kontynuację szlachetnej krucjaty. Zadzwoiłem do faceta, a on niemal zszedł na serce ze słuchawką w dłoni. Nigdy w życiu nie widział Cranfielda na oczy. Nawet o nim nie słyszał.

— A te dziesięć procent?

— Dla trustu administrowanego przez firmę Burnell & Lytton w celu finansowania międzynarodowej działalności charytatywnej.

— I co na to rodzina?

— A jak myślisz? Dostali pierdolca. Ludzie po pięćdziesiątce, którzy od urodzenia mieli wszystko podane na talerzu, nachodzili nasze biuro i wrzeszczeli jak narkomani na głodzie, bo stary ich oszukał. I ciągnęło się to tygodniami. Każde z nich żyło w przekonaniu, że któregoś dnia dostaną czek na pokazną sumę, a my im teraz mówimy, że to tylko ich mrzonki. Oczywiście zakwestionowali treść testamentu z zamiarem obalenia go, ale dokument był sporządzony w trzech egzemplarzach podpisanych przez samego Cranfielda i uwierzytelniony przez cztery osoby: dwóch księży i dwóch sędziów będących niewątpliwie w pełni władz umysłowych. Pracują u nas ludzie, którzy zęby zjedli na znajdowaniu luk w tego rodzaju dokumentach. Prawdziwi wyjadacze, którzy zajrzeli do papierów i nie przystąpili nawet do zatemperowania ołówków. Jedynym członkiem rodziny, który zachował spokój, była żona Cranfielda, ale do tego zaraz wróć. Cranfield dokładnie wiedział, co chce zrobić ze swoim majątkiem, i to zrobił. Wszystko inne było nieistotne. No i w rezultacie... dzieci Cranfielda podały nas do sądu.

Zatrzymaliśmy się na kolejnym skrzyżowaniu. Przez ostatnie parę

minut moje myśli znów krążyły wokół fotografii Amy. Próbowałem sobie wyobrazić, co się mogło dziać z ręką mężczyzny w ciągu następnych minut po zrobieniu zdjęcia. Powoli traciłem cierpliwość i Gary'emu została nie więcej niż minuta.

— I jak to się skończyło?

Twarz Fishera stężała, a ja pomyślałem, że zmarszczki wokół oczu ma chyba od niedawna.

— Nie skończyło się. Wszyscy u nas odcieśli się od Cranfielda, jakby cuchnął. Ale ja nie mogłem. Jakiś miesiąc temu natknąłem się na szczegół wymagający wyjaśnienia. Pomyślałem sobie: trudno, wsiałem do samolotu, przyleciałem do Seattle i wybrałem się do firmy Burnell & Lytton.

— No i? — spytałem.

— No i okazało się, że jej nie ma.

— Jak to?

— Miałem za sobą już trzy miesiące kontaktów z tymi ludźmi, rozumiesz? Znałem ich adres i numery telefonu na pamięć. Przyleciałem na Sea-Tac\*, wsiałem do taksówki i pojechałem prosto do nich.

\* Tak nazywane jest główne lotnisko pasażerskie obsługujące miasta Seattle i Tacoma.

Okolica bardziej pasowała do kantoru poręczyciela od kaucji sądowych niż do szacownej kancelarii prawnej, a sam budynek był zabity na głucho deskami. I to wcale nie ostatnio. Powiedziano mi też, że wcześniej mieściła się tam knajpa, a budynek był tak zapuszczony, że na dachu nawet rośło pieprzone drzewo, dasz wiarę? I ani śladu firmy Burnell & Lytton. Przy wejściu do budynku był domofon, ale bardzo, bardzo stary. Na tabliczce dziesięć przycisków, ale tylko przedostatni sprawiał wrażenie, jakby w ciągu ostatnich czterdziestu lat ktoś go używał. Naciskam więc i czekam, ale nic się nie dzieje. Naciskam pozostałe, to samo. Zrobiło mi się niewyraźnie, idę więc do pobliskiej kafejki, zamawiam kawę i dzwonię do siebie do biura, żeby

mi jeszcze raz sprawdzili adres. Później dzwonię do nich i jak zwykle odbiera sekretarka Lyttona. Mówię, że chcę rozmawiać z Lyttonem, a ona, że go nie ma w biurze. Proszę o powtórzenie ich adresu, bo mam dla nich pilną przesyłkę, ona mi recytuje ten sam adres. No i wtedy ją pytam, który dzwonek jest do nich. W tym momencie zapada cisza. Kompletna, głucha cisza. Po czym słyszę jej głos: „Pan jest tutaj?”, a jej głos brzmi ostro i zaczepnie, zupełnie nie jak sekretarki.

— Trochę dziwne.

— Właśnie. Mówię więc szybko, że nie, nie ma mnie w Seattle, tylko że moja asystentka jest chora i nie chcę się pomylić przy wypełnianiu listu przewozowego na przesyłkę lotniczą. Od razu powraca przyjazny ton, którym mnie uspokaja, że to nie ma znaczenia i że starczy nazwa ulicy i numer domu. Dziękuję jej, zostawiam wiadomość dla jej szefów, żeby do mnie zadzwonili, i rozłączam się. Siedzę zamyślony, gdy nagle odzywa się moja komórka. To jeden z kolegów z biura w Chicago, mówi, że przed chwilą dzwonił Lytton i chciał ze mną rozmawiać. Asystentka powiedziała, że nie ma mnie w biurze, ale na szczęście nic nie wspomniała o Seattle. To oczywiście mógł być zbieg okoliczności, ale trochę dziwny. Wracam pod dom, naciskam dzwonek, ale wciąż brak reakcji. Ponownie dzwonię pod ich numer, ale tym razem nikt nie odbiera. Stoję tak z telefonem przy uchu i nagle dociera do mnie jakiś dźwięk. Dzwonek telefonu skądś z góry.

— Twoje połączenie?

— Zgadłeś. Rozłączyłem się i dla pewności zadzwoniłem jeszcze raz. Odszedłem parę kroków od wejścia i znów usłyszałem dzwoniący gdzieś na górze telefon. Stałem tak dłuższą chwilę, nie rozłączając się... W końcu wróciłem do domu.

Machnął ręką na znak, że to już koniec opowieści i że teraz kolej na mnie. Nie bardzo wiedziałem, czego po mnie oczekuje.

— Miałeś od tamtej pory jakiś kontakt z nimi?

— Wielokrotnie. Od mojego powrotu do Chicago wszystko znów wróciło do normy. Wykonaliśmy wspólnie kawał roboty i praktycznie zbliżamy się już do końca.

— Wspomniałeś któremuś z nich o swojej wizycie w Seattle?

— Nie — odparł. — Właściwie nie potrafiłem sformułować w głowie odpowiedniego pytania: „Hej, kolego, jak to możliwe, że wasze biuro mieści się w opuszczonej ruderze?”. Opowiedziałem o wszystkim jednemu ze starszych partnerów, ale ten najchętniej zatkałby uszy i udał, że nie słyszy. Nikt u mnie w firmie nie chce mieć nic wspólnego ze sprawą Cranfielda.

Rozumiałem ich, bo sam czułem podobnie.

— No więc mają tanie biuro w złej dzielnicy. Wielkie rzeczy.

— Jack! Czy chciałbyś, żeby po śmierci twoim majątkiem zarządzał prawnik z biurem w rozlatującej się ruderze? W sytuacji gdy ten majątek jest wart kilkaset milionów dolarów, a ty już zatrudniasz jedną z najbardziej prestiżowych firm prawniczych w Chicago?

— Jedno i drugie jest dość mało prawdopodobne. Jesteś pewien, że nie walczysz tylko o swoją pozycję w firmie, ponieważ w wyniku śmierci starego twoje akcje spadły?

— Pocałuj się w dupę, Jack!

— No to może wreszcie mi powiesz, po jaką cholere mnie tu ścignąłeś.

Wyciągnął rękę w stronę następnej przecznicy.

Widać za nią było ciąg podniszczonych budynków, pogięta tabliczka na latarni informowała, że znajdujemy się w Belltown. Na rogu znajdowała się kafejka, a siedzący przed nią dwaj faceci wyglądali tak, jakby przyszli odsapnąć po wyczerpującej serii napadów. Obok mieścił się antykwariat, zapewne handlujący też pornografią i pośredniczący w handlu narkotykami.

Dalej ciągnął się lokal z oknami zabitymi deskami, zajmował cały parter starego, mocno zaniedbanego budynku. Prowadziło do niego

wejście szersze niż w sąsiednich domach, co mogło sugerować, że niegdyś mieścił się tu niewielki dom towarowy. Nad zabitym deskami wejściem wciąż jeszcze widniał stary, łuszczący się, ręcznie wykonany szyld, na którym białe litery na czarnym tle układały się w nazwę „Ludzkie zachcianki”. Na lewo od zaślepionych otworów wystawowych znajdowały się pozbawione wszelkich ozdób szare drzwi. Wyjąłem z kieszeni kopertę ze zdjęciami i zerknąłem na pierwsze z nich. Nie musiałem się długo przyglądać, żeby wiedzieć, że to na ich tle sfotografowano Amy.

Przez chwilę miałem nawet wrażenie, że ją tam widzę z lekko odwróconą głową, jakby mi się przyglądała. Wyglądała przy tym jak ktoś zupełnie obcy.



## Rozdział dwudziesty

Przeszedłem na drugą stronę ulicy, cudem nie wpadając pod przejeżdżającą ciężarówkę, która ze świstem przemknęła mi tuż przed nosem. Dotarłem na chodnik, zatrzymałem się i stojąc twarzą w stronę centrum, uniosłem do oczu drugą fotografię.

— Tak — potwierdził Fisher, dołączając do mnie. — Zrobiłem je z tego narożnika.

Ruszyłem wzdłuż chodnikiem, starając się zajrzeć do środka, ale ten, kto pozabijał wszystko deskami, wykonał kawał solidnej roboty i nie zostawił ani szparki. Podeszedłem do drzwi i nacisnąłem klamkę, lecz drzwi ani drgnęły. Były ciężkie, masywne, wzmocnione ćwiekami i idealnie dopasowane do futryny. Można było dostrzec kolejne warstwy szarej farby, jakie na nie nakładano. Nachyliłem się do klamki i dostrzegłem wokół zamka jasne opilki metalu. Ktoś tu niedawno grzebał.

Cofnąłem się parę kroków i rozejrzałem na boki. Wejście do budynku było mocno wyeksponowane i widoczne z odległości co najmniej pięćdziesięciu metrów. Portal o wręcz monumentalnym charakterze, tak uwielbianym przez pewnych swego inwestorów z przełomu wieków, dawał świadectwo ich przeświadczeniu, że budowla trwać będzie w chwale całe wieki. Istotnie przetrwała do dziś, ale trudno się było dopatrzeć śladów dawnej chwały. Na każdej kondygnacji znajdowały się trzy duże okna. Na pierwszym i drugim piętrze

część szyb była powybijana i otwory też zabito deskami. Szyby na trzecim piętrze wyglądały na całe, ale odbijające się w nich niebo wskazywało, że w środku nie palą się żadne światła. Z połamanych rynien pod dachem wyrastały kępy trawy, na dachu rosło niewielkie drzewko.

Opuściłem wzrok na ulicę i zauważyłem, że dwa typy w kafejce na rogu wyraźnie nam się przyglądają. Ruszyłem więc w ich stronę, Fisher za mną.

Obaj mieli na sobie bluzy z opuszczonymi kapturami, poplamione dżinsy i adidasy tak nowe, jakby przed chwilą wyjęli je z pudełek. Nie licząc drobnych różnic w układzie rysów twarzy, wyglądali jak spod jednej sztancy. Na ich obtłuczonym stoliku nic nie stało. Zobaczywszy, że się zbliżamy, jeden z nich leniwie się uśmiechnął.

— Coś mi tu śmierdzi — rzucił do kompana. — Ty coś czujesz?

— No, coś jakby wieprzowina na grillu — przytaknął kompan.

— Cholernie stara gadka — powiedziałem. — Dość przedpotopowa. A śmierdzicie pewnie sami sobą. Bo aż stąd czuję. Jak będzie padać, to spróbujcie się wystawić na deszcz.

Typ przestał się uśmiechać.

— Czego chcecie?

— Tamten budynek, gdzie przed chwilą stałem. Wicie coś o nim? Widzieliście, żeby ktoś tam wchodził albo stamtąd wychodził?

Obaj powoli pokręcili głowami, jakby za pociągnięciem jednego sznurka.

— Jasne — parsknąłem. — Nie znacie tej okolicy. Pewnie jesteście tu zupełnie obcy. Właśnie przylecieliście z Paryża w ramach wymiany studenckiej i między wykładami wyskoczyliście na croissanta i kawkę ze śmietanką. Zgadłem?

Obaj gapili się na mnie w ponurym milczeniu. Uśmiechnąłem się

porozumiewawczo i pierwszy odwróciłem wzrok. Wyjąłem z kieszeni skrawek papieru i zapisałem numer swojej komórki.

— Dzwonie. Można trafić trochę kasy.

Skloniłem głowę przed dwiema parami pustych, zaczerwienionych oczu i zawróciłem w stronę budynku. Byłem ciekaw, czy nie ma jakiegoś wejścia od tyłu.

— Uważasz, że to działa? — spytał Fisher, zrównując się ze mną. Wyglądało, że odejście z narożnika sprawiło mu ulgę. — Takie otwarcie konfrontacyjne podejście?

— Tak — odparłem, wodząc wzrokiem po parterze budynku. — A następna konfrontacja będzie z tobą, jeśli mi zaraz wszystkiego nie powiesz...

Raz jeszcze podszedłem do drzwi. Na ścianie znajdował się brudny i zardzewiały metalowy prostokąt z kratką u góry i rzędkiem dużych przycisków. Zacząłem je po kolei naciskać, ale bez rezultatu. Po prostu nic się nie działo.

Przed naciśnięciem kolejnego dobrze mu się przyjrzałem. Warstwa rdzy była na nim cieńsza, patyna nieco inna. Tak jak mówił Fisher, wyglądało, że przycisk jest od czasu do czasu używany. Na tabliczce domofonu był drugi od góry. Przyszło mi do głowy, że może właśnie odkryłem znaczenie skrótu w ostatnim SMS-ie Amy. Tym, w którym wspomniała o „Dzw 9”.

\* \* \*

Dzwonek numer 9.

Za budynkiem znajdował się plac parkingowy, a tylna ściana była w jeszcze gorszym stanie, gdyż na dużej powierzchni odpadł tynk. Drzwi na parterze zamknięto na głucho, okna na piętrach zabito deskami, schody przeciwpożarowe ledwie się trzymały. Przez chwilę się przyglądałem, następnie wróciłem na ulicę i bez słowa ruszyłem w stronę centrum. Fisher poszedł za mną. Kilka ulic dalej natknęliśmy się na jakiś bar. Zatrzymałem się i wszedłem do środka.

Długi, ciągnący się przez całą ścianę bufet, przytłumione światła,

ściany wyłożone staromodną boazerią. Patrząc na gości, pomyślałem, że wielu pewnie pamięta, jak tu wyglądało lata temu przed jej położeniem.

Barman był chudy jak patyk i sprawiał wrażenie cwaniaczka, który z niejednego pieca chleb jadł. Obrzucił mnie przelotnym spojrzeniem i od razu zaczął się tłumaczyć ze spraw, o których nic nie wiedziałem, a które jeszcze mniej mnie obchodziły.

— Słuchaj, koleś, nie jestem żadnym pieprzonym gliną — powiedziałem. — Wpadliśmy tu tylko na piwo. Myślisz, że dałoby się to zorganizować?

Podszedłem do stolika w rogu i usiadłem. Fisher zapłacił za dwa piwa, przyniósł je do stolika i też usiadł. Przez chwilę paliłem w milczeniu.

— No dobra — oświadczyłem. — To teraz opowiedz resztę. Tylko naprawdę się streszczaj.

\* \* \*

— Wróciłem do Chicago, ale cała sprawa nie dawała mi spokoju — zaczął. — Zdążyłem nieźle poznać Joego i wiedziałem, że między nim a jego dziećmi nie było żadnych niesnasek. Klan Cranfieldów trzymał się razem: wspólne wakacje w letnich posiadłościach i fotografii całego rodu zamiast świątecznych kartek na Boże Narodzenie. Gdybyś pracował w mojej branży, zetknąłbyś się z wieloma takimi rodzinami. Czasem wybucha awantura, kiedy stary cap zapisuje część majątku jakiejś striptizerce, o której nikt wcześniej nie słyszał, ale nawet wtedy patriarcha rodu nie wyzbywa się wszystkiego.

— A ten wyraźnie tego chciał.

— Tylko że wciąż nie widziałem w tym sensu, zanudzałem więc na śmierć swoją żonę i nie miałem czasu dla własnych dzieci. W końcu postanowiłem odwiedzić wdowę po Cranfieldzie. Miałem okazję poznać Normę wcześniej, bo kilka razy byliśmy u nich w domu na kolacji. Nie wyszła za niego dla pieniędzy i przeżyli razem pięćdziesiąt lat. Kilka tygodni temu pojechałem odwiedzić ją w ich domu. Usiedliśmy

w ogromnym salonie w dużym stopniu огоłoconym już z rzeczy, które stały spakowane. Powiedziała mi, że właśnie przenosi się do niedużego mieszkania w mieście, a ja, słuchając jej, odniosłem wrażenie, że dostrzegam w jej oczach strach. Jakby nie była pewna, co się z nią za chwilę stanie. W końcu musiałem jej zadać to pytanie. Spytałem, czy rozumie, co się dzieje.

— I co ci odpowiedziała?

— W pierwszej chwili nic. Potem wstała, podeszła do sekretarzystki, otworzyła szufladę i coś wyjęła. Złożoną kartkę z przyczepionym do niej czarno-białym zdjęciem starego mola. Spytałem, co przedstawia zdjęcie, a ona wyjaśniła, że to molo w Monterey, gdzie poznali się z Cranfieldem. Wewnątrz było jedno króciutkie zdanie, napisane odręcznie przez jej męża. „Nie zniechaj mnie”.

— To wszystko?

— Tylko te trzy słowa. Spojrzałem na nią pytająco, a ona jedynie wzruszyła ramionami. „To wszystko, co wiem”, powiedziała. Nikomu nie wspomniała o tej kartce, nawet dzieciom. Wróciłem do biura, usiadłem nad jego papierami i po raz setny zacząłem je studiować. Nie żeby cokolwiek podważyć, tylko żeby zrozumieć. Raz jeszcze przeanalizowałem dziewiątkę beneficjentów, ale nie znalazłem nic podejrzanego. Nawet te cholerne wydry nabrały sensu po opowieści Normy o tym, jak dziesięć lat temu wybrali się na długi weekend do Monterey. Joe zachwyił się tamtejszym akwariem i nie mógł odebrać oczu od pływających w nim wydr. Potem raz jeszcze przyjrzałem się liście drobnych beneficjentów. Jest ich około trzydziestu: ludzi w rodzaju tej kobiety z przydrożnego baru, nieistotnych postaci z odległej przeszłości Joego. Potrafiłem wszystkich ich zidentyfikować i przypisać do tego czy innego fragmentu biznesu Cranfielda. Wszystkich z wyjątkiem jednego, który nijak nie pasował do znanej mi działalności Joego. Zajrzałem do Google i wtedy się okazało, że ten ktoś mieszka w Seattle, a jego rodzina została niedawno zamordowana.

— Bill Anderson.

— Joe wysłał mu czek na dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów, tyle samo, ile zapisał wnukom. Anderson pokwitował odbiór siedem tygodni temu, cały miesiąc przed swoim zniknięciem, ale do dziś go nie zrealizował. Dostaje czek na kwotę odpowiadającą jego cztero- czy pięcioletniej pensji i nie chce mu się pofatygować do banku? Nawiasem mówiąc, to kolejny powód, dla którego nie wierzę w finansowy motyw zabójstwa żony.

— Teraz też to widzę — mruknąłem. — Szkoda tylko, że nie wspomniałeś o tym za pierwszym razem.

— A to by coś zmieniło?

— Może.

— Uznałem, że jedynie Anderson nadaje się do roli dymiącego pistoletu w kwestii podziału majątku Cranfielda. Że jest kimś, kto może pomóc zrozumieć decyzję starego, której ani jego prawnicy, ani jego dzieci nie potrafią pojąć. I naprawdę przeczytałem twoją książkę od razu, jak tylko się ukazała, bo skojarzyłem sobie nazwisko. A potrzebny mi był zaprzyjaźniony gliniarz. Myślę, że rodzinę Andersona zabił ktoś z zewnątrz, jakiś nieproszony gość. A twoja książka tak się nawet nazywała: *Nieproszeni goście*. Więc spróbuj mi teraz powiedzieć, że wizyta u ciebie i prośba o radę była bez sensu.

— Zaczynj wreszcie mówić o Amy.

— Zaraz to zrobię. Widzę twoją wściekłą minę, ale pamiętaj, że jestem tu tylko w roli posłańca. Przyjechałem ponownie do Seattle, żeby się bliżej przyjrzeć zabójstwu dwojga Andersonów. Muszę sobie pozwolić na taką stratę czasu, bo jak już zechciałeś zauważyć, moje akcje w firmie szybko spadają.

Chciałem coś powiedzieć, ale uciszył mnie gestem ręki.

— Nie, Jack. Miałaś rację. Nie wiesz tylko, co w moim świecie znaczy, kiedy powinie ci się noga na kolejnym szczeblu drabiny. Świat biznesu opiera się głównie na zaufaniu. Poza zaufaniem mało

co się liczy. Toteż albo szybko wszystko naprawisz, albo ci zabiorą drabinę. Pławiłem się w blasku tej znajomości za życia Joego, więc...

— Czego się dowiedziałeś po przyjeździe tutaj?

— Powiedziałem ci to już w domu. Bo jeśli mam być szczery, to tak naprawdę mnie nie obchodzi, czy to Anderson załatwił swoją rodzinę, czy kto inny. Interesuje mnie tylko, dlaczego dostał te pieniądze i co z tego wynika. Siedzę więc w pokoju hotelowym, mam dostęp do Internetu i mnóstwo wolnego czasu i zaczynam grzebać. Pierwszym prowadzącym dokądś śladem jest ten dom, pod którym byliśmy przed chwilą.

— Siedziba Burnell & Lytton.

— Przynajmniej na papierze. Udaje mi się szybko ustalić, że firma nie jest właścicielem budynku, tylko go dzierżawi. Firma, która prowadziła tam poprzednio knajpę, od dawna już nie istnieje, więc to kolejna ślepa uliczka. W końcu udaje mi się ustalić, że w latach pięćdziesiątych pierwsze piętro budynku wynajmował ktoś na studio fotograficzne. Belltown było wtedy kompletnym zadupiem i tamtejsze nieruchomości kosztowały grosze. Studia już tam nie ma, ale budynek wciąż należy do tego samego właściciela. Agencji Kerry, Crane & Hardy.

Niewiele brakowało, żeby kufel wypadł mi z dłoni. Fisher położył dłoń płasko na stole i przybrał minę człowieka, któremu wreszcie udało się przyciągnąć uwagę słuchacza.

— No właśnie. W pierwszej chwili nic mi to nie powiedziało. Znalazłem nazwę w sieci i dowiedziałem się, że są dużą agencją reklamową, ale nie bardzo wiedziałem, co z tego wynika dla mnie. Nawet do nich zadzwoniłem, ale nie udało mi się przebić do kogoś odpowiednio wysoko, kto mógłby mi coś wyjaśnić. Uznałem to za kolejny ślepy zaułek, a to znaczyło, że zostały mi już tylko ostatnie drzwi do otwarcia. Chcesz zgadnąć, co mam na myśli?

— Fundacja charytatywna, do której trafia dziesięć procent majątku Cranfielda.

— Widzisz. — Uśmiechnął się. — Właśnie dlatego uważam, że bardzo byś się przydał.

— I czego się dowiedziałeś?

— Nazywają się Psychomachy Trust i mają siedzibę w Bostonie. Na zewnątrz nic o nich nie słyhać i wygląda na to, że nigdy nie zwracają się o dotacje do osób prywatnych czy w ogóle do społeczeństwa. W zarządzie trustu zasiadają Burnell, Lytton oraz paru innych facetów, na których temat nie mogę nic znaleźć. Pewnie nie są Amerykanami. Co ciekawe, organizacja jest częścią międzynarodowej sieci. Fundacje charytatywne są łatwiejsze do wyśledzenia, bo podlegają przepisom podatkowym. Bostoński trust, podobnie jak takie same oddziały w Paryżu, Berlinie, Jerozolimie, Tokio i paru innych wielkich miastach na świecie, podlega centrali w Londynie. Wiadomo, że to stara, istniejąca co najmniej od dwustu czy trzystu lat organizacja, której wcześniejsze losy toną we mgle. Właśnie dochodzę do wniosku, że nic więcej nie wymyślę, gdy niespodziewanie zdobywam dodatkowe informacje na temat budynku, który już znasz. Dostaję do ręki kopię aktu własności i czytam wymienione w nim nazwiska.

Sięgnął do kieszeni marynarki, wyciągnął złożony arkusz papieru i rozprostował go przede mną na stoliku. Nawet na niego nie spojrziałem. Zapaliłem papierosa i czekałem.

— Nazwiska są trzy — ciągnął Fisher. — Jedno z nich jest jakby oczywiste: Todd Crane, jeden ze wspólników w macierzystej firmie. Drugim jest niejaki Marcus Fox, który z tego, co wiem, w swoim czasie był wspólnikiem Cranfielda w jego interesach w Seattle.

— Wszystko zaczyna się łączyć.

— Właśnie. W połowie lat dziewięćdziesiątych Fox zniknął z biznesowego życia Joego Cranfielda i właściwie zapadł się pod ziemię. Trzecie nazwisko nic mi początkowo nie mówiło i dopiero po ponownym wejściu na strony internetowe Kerry, Crane & Hardy natrafiłem na nie.



Bez trudu je dostrzegłem, choć strona była aż gęsta od prawniczego żargonu. Trzecim współwłaścicielem była Amy Dyer.

\* \* \*

Ujrzawszy czarno na białym nazwisko Amy, poczułem się tak, jakby ten polujący na mnie samochód wreszcie we mnie wałnął. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie, że dokument sporządzono w roku 1992, sześć lat przed naszym poznaniem.

— Wiedziałeś o tym, kiedy do mnie przyjechałeś, tak?

— Wiedziałem. Ustaliłem, że Amy Dyer nazywa się teraz Amy Whalen i jest twoją żoną. Ale w tamtym momencie była tylko nazwiskiem na papierze. Potem pojechałem do ciebie, żeby porozmawiać i wysłuchać twojej opinii, ale się wycofałem. Nadal jednak koczowałem w Seattle i...

— Spędzasz mnóstwo czasu z dala od domu.

— Dopóki tego nie rozwikłałam... tak, dużo. I mam też zwyczaj co jakiś czas tu zaglądać i sprawdzać, co się dzieje w budynku. W zeszły piątek kręciłem się w tej okolicy parę godzin. Na następnym rogu jest kolejna kawiarnia, dużo przyjemniejsza od tamtej. Można w niej miło spędzić czas. I pod koniec dnia, kiedy zaczynało się robić zimno i czułem się już głupio, zresztą nie po raz pierwszy, zauważyłem, że ktoś podchodzi do tamtych drzwi. To, co wtedy zobaczyłem, widać na tych zdjęciach.

— Masz jeszcze jakieś inne?

Pokręcił przecząco głową.

— Bałem się dekonspiracji. Inwigilacja to nie moja specjalność. Poza tym w pobliżu kręciło się paru podejrzanych typków, a ja nie potrafię się zachowywać tak swobodnie jak ty. Woląłem się nie zbliżać i zrobiłem tylko te dwie fotki. Ani razu nie udało mi się zobaczyć twarzy tego mężczyzny. Naprawdę.

Drzwi baru otworzyły się i do środka wtargnęła banda spragnionych bywalców. Forpoczta hordy, jaka się tu zjawi w porze lunchu. Fisher w milczeniu obserwował, jak im się przyglądam, choć tak naprawdę nawet ich nie dostrzegłem. Oczami duszy widziałem tylko dwie osoby, mężczyznę i kobietę, którzy przytuleni, oddalają się ulicą. Zgasilem papierosa.

— Chcę zobaczyć oryginały tych zdjęć — burknąłem.

Fisher bez wahania wyjął z kieszeni nieduży aparat cyfrowy, wysunął kartę pamięci i ją podał.

— Czy to znaczy, że...?

— W tej chwili tak — odparłem. — Daj mi wszystko, co masz w sprawie Andersona. A potem sobie idź i zostaw mnie w spokoju.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Todd Crane siedział w swoim gabinecie. Biurko było niemal w całości zawałone papierami, wśród których przeważały listy zadań do wykonania, projekty sloganów i szkice reklam. Wiedział, że musi je wszystkie przeczytać, przemyśleć i skomentować. Zespoły kreatywne czekały w pogotowiu. Na brzegu biurka leżała sterta DVD z projektami już zrealizowanymi, które też wymagały obejrzenia. Pracownicy działu obsługi klienta i działu produkcji czekali na jego opinię, aby można było sprawdzić, którzy reżyserzy i aktorzy są wolni, negocjować stawki i ruszyć z produkcją, zapewniającą KC&H kolejne sukcesy w namawianiu ludzi do kupna szajsu, którego nie potrzebują.

On jednak na razie nic nie robił.

Siedział w fotelu odwróconym oparciem do biurka i tępych wzrokiem wpatrywał się w rozciągającą się za oknem panoramę Zatoki Elliotta. Widać było pirsy, znajdujący się na prawo dach targowiska i ciągnące się po lewej stronie doki. Tęm dla wszystkiego były szarobłękitne wody zatoki, za którą majaczyły sięgające chmur Olympic Mountains. Przez wiele lat z rzędu Todd z paroma kumplami z college'u spędzali co roku jeden długi weekend w górach, trochę po nich łażąc, z umiarem popijając piwo i konkurując opowieściami, który z nich osiągnął większy sukces. Nie pamiętał już, ile lat minęło od ich

ostatniego wypadu. Sześć? Dziesięć? Możliwe. Pewnie z czasem eskapady te staną się miłym wspomnieniem i jeszcze jednym wzorcem korzystania z uroków życia. Kolejnym dowodem na to, że można — mając predyspozycje i pieniądze (oraz wyrozumiałą żonę) — ustawić się tak, jakby całe życie było jedną wielką reklamą.

Ale na razie czuł, że coś wymyka mu się z rąk. Tak jak wtedy, gdy uświadomił sobie, że nigdy nie zdoła płynnie mówić po francusku, nie zobaczy wykutych w skałach świątyń Perry i przywoicie nie zagra bluesa na gitarze. Nie umiałby nawet powiedzieć, dlaczego te sprawy są lub były dla niego ważne. Po prostu milcząco zakładał, że kiedyś staną się częścią jego życia, z jakiegoś jednak powodu nie był już tego taki pewien.

W kącie na podłodze stał stary radiodbiornik, na który parę tygodni temu natknął się w domu. Dostał go w prezencie od rodziców, gdy miał dwadzieścia kilka lat. Wtedy był to duży i ważny prezent od dwojga starszych ludzi, którzy teraz oboje już nie żyli. Radio grało przez kilka lat, później się zepsuło. Bardzo możliwe, że uszkodzenie okazałoby się drobne i łatwe do usunięcia, a naprawy sprzętu radiowego nie były drogie, ale w ciągu minionych trzydziestu lat jakoś się tym nie zajął, tylko przestawiał aparat z miejsca na miejsce. Przez cały czas radio pozostawało w zasięgu wzroku i nie trafiało na oficjalną domową emeryturę, teoretycznie czekając na naprawę. Uznał to w końcu za idiotyzm i tydzień temu przywiózł je do biura w nadziei, że w końcu to go zmobilizuje i że odda je do naprawy. Ale radio zmieniło tylko miejsce i teraz tkwiło jak wyrzut w jego gabinecie. Może było mu pisane, że nigdy nie trafi do naprawy? Może w życiu wielu spraw się nie załatwia?

Ze złością odwrócił się od okna. Przecież, do cholery, ma dopiero pięćdziesiąt cztery lata. W dzisiejszych czasach to wiek średni. Więc skąd to poczucie, że życie zaczyna mu się wymykać z rąk? Dlaczego zaczyna coraz częściej myśleć o tym, czego nie zrobił, zamiast cieszyć się ze swych wielu dokonań? Ostatnio źle sypiał. Wiedział, że nie ma

to nic wspólnego ze stertą projektów zawałających jego biurko. Przez całe życie miał zawsze mnóstwo zajęć i nie powstrzymywały go od tego, by dziewięćdziesiąt dziewięć nocy na sto przesyłiał kamiennym snem. Więc w czym problem? Brakowało racjonalnego wytłumaczenia i choć jego znany z kreatywności umysł podsuwał kilka odpowiedzi, żadna nie trafiała mu do przekonania. Na przykład przez pewien czas miał wrażenie, że chodząc po ulicach miasta, czuje w nich jakąś niepokojącą zmianę i że jak na tę porę roku są nadmiernie zatłoczone. Doszło do tego, że pod pretekstem szukania spokojnego miejsca do pracy siadywał w ogródkach kawiarnianych i zaczynał liczyć ludzi, naocznie się przekonując, że nie ma ich więcej niż zwykle. Jego psychoanalityczka też nie umiała mu pomóc. Właściwie zawsze była do niczego, nawet podczas tych pięciu miesięcy, kiedy z sobą sypiali. To, że potem udało im się wrócić do normalnych relacji terapeutka—pacjent, świadczyło jego zdaniem o tym, że ani seks, ani psychoterapia nie miały dla nich większego znaczenia.

Poruszyła go też ta wizyta byłego gliniarza, męża Amy. Było w nim coś takiego, że miał ochotę odgrodzić się od niego murem. Co gorsza, Todd podejrzewał, że facet nie mówił prawdy. Nie wierzył, by Whalen miał choćby zielone pojęcie o tym, co Amy robi w Seattle. Nie kupił też tej opowiadki o zgubionym telefonie. Ale to możliwe, że Amy akurat była w tym czasie w mieście. Jej mąż sprawił na nim wrażenie człowieka, który wie, co mówi. A skoro tak, to co ona tu robiła? Jakies interesy na boku? Możliwe, ale gdyby tylko to, nie byłoby się czym przejmować. Tylko że może chodzić o coś więcej. Czuł przez skórę, że tak właśnie jest. Zwłaszcza że tego samego dnia Bianca nie dopuściła do niego kogoś, kto chciał go wypytać o pewien konkretny budynek. Podejrzewał, że to właśnie z tego powodu czuje nieprzyjemny ucisk w żołądku. Że ludzie chcą uchylić drzwi do tej części jego życia, której sam nigdy tak naprawdę nie rozumiał.

Nigdy wcześniej nie wątpił w siebie ani nie przejmował się upływem czasu. A teraz gnębiło go jedno i drugie. Czy nie znaczy to, że źródło zmartwień tkwi gdzieś w jego przeszłości?

\* \* \*

Zabrał się w końcu do pracy, ale chwilę później aż podskoczył na dźwięk dzwonka interkomu.

— Chryste, co znowu?

— Tu Jenni z recepcji.

Todd miał ochotę warknąć. Przecież uprzedził wszystkich, że nikt poza Biancą nie ma prawa zawracać mu głowy, jeśli nie chodzi o światowy kataklizm. Ale zachował spokój. Wierzył, że ma opinię dobrego szefa, a to znaczy, że nie wolno mu zbyt często opieprzać personelu. Dawno już doszedł do wniosku, że wysiłek bycia „dobrym szefem” to zawracanie głowy, ale było już za późno, żeby to zmieniać.

— O co chodzi, Jenni?

— Przyszedł ktoś ze szkoły Meadow. Chce z panem porozmawiać. Zmarszczył brwi. Ktoś ze szkoły jego najmłodszej córki?

— A czego chce?

— Chce rozmawiać z panem w cztery oczy.

Polecił Jenni, żeby przyprowadziła gościa na górę, i sięgnął po słuchawkę. Chciał zadzwonić do Liwie i spytać, czy coś o tym wie, przypomniał sobie jednak, że dziś jest na sesji pilatesu czy jogi, czy jeszcze innych cudownych ćwiczeń cielesnych. Nie szkodzi. Nie zostałby szefem najbardziej dochodowej agencji reklamowej na północnym zachodzie kraju, gdyby nie umiał sobie radzić z niezapowiedzianymi gośćmi. Przecież problemy związane z dwunastoletnią dziewczynką nie mogą być zbyt poważne.

Chyba nie.

Chwilę przyglądał się swemu odbiciu w kieszonkowym lusterku, które trzymał w dolnej szufladzie biurka. Widać było, że jest zmęczony,

ale poza tym wyglądał dobrze. Drzwi gabinetu otworzyły się i do środka wkroczyła Bianca w towarzystwie kogoś, kto z całą pewnością nie był nauczycielką ani w szkole jego córki, ani w żadnej innej. Todd znieruchomiał w trakcie podnoszenia się zza biurka.

— Kto to jest?

Bianca uniosła brew, co miało znaczyć, że nie ma zielonego pojęcia.

Wybawiła ją sama zainteresowana, obrzucając Todda spokojnym spojrzeniem.

— Mam na imię Madison — przedstawiła się.

\* \* \*

Bianca była gotowa interweniować. Do jej obowiązków należało weryfikowanie i ewentualne korygowanie decyzji recepcjonistki o dopuszczeniu gościa przed oblicze szefa. Pozwalało to realizować politykę firmy tam, gdzie to było naprawdę ważne — na najniższym szczeblu służbowym.

— Czy mam...?

— Nie, w porządku — uspokoił ją Todd.

Bianca kiwnęła głową i wyszła.

— A więc — zaczął Todd pogodnym tonem. Wyszedł zza biurka, przysiadł na krawędzi i wskazał ręką najbliższe krzesło. — Chodzisz z Meadow do jednej szkoły, czy tak?

— Nie — odparła dziewczynka, siadając wygodnie na środku krzesła. — W ogóle jej nie znam.

— Ale recepcjonistce powiedziałaś...

— A jak inaczej bym się tu dostała? — Dziewczynka obojętnie pokazała głową zdjęcie na brzegu biurka. — Ile ona ma lat? Trzynaście?

Todda zamurowało i skinął tylko głową. Czy nie powinien jednak wezwać Bianki na pomoc? I to zaraz?

— Tak. Prawie — mruknął. Dziewczynka uśmiechnęła się przyjaźnie.

— A ja mam dziewięć. Ale tej na dole powiedziałam, że chodzimy

do jednej klasy, a ona mi uwierzyła. Pewnie nie należy do najbystrzejszych, co?

— Ona... ona nigdy nie widziała Meadow. Po prostu chciała być grzeczna. — Todd powiedział to spokojnie, ale w duchu pomyślał, że nie pojmuje, jak Jenni mogła tu wpuścić to zagubione dziecko.

Dziewczynka kiwnęła głową.

— Może. Sypia pan z nią?

To go kompletnie zaskoczyło.

— Co?!

— Wygląda pan dość zgredowato, to prawda, ale chyba jeszcze nieźle pan słyszy. No i pewnie wyprawia pan jakieś świńskie hopszto-sy.

Świńskie... co?!

— Słuchaj, mała, jak ci tam na imię...

— Madison. Już mówiłam.

Todd wrócił na swoją stronę biurka i usiadł. Najwyższy czas wezwać Bianca.

Ale potem coś mu przyszło do głowy i chwilowo zrezygnował.

— Skoro nie chodzicie do tej samej szkoły, to skąd znasz imię mojej córki?

Dziewczynka się skrzywiła.

— Właściwie to sama nie wiem. Po prostu znam. Tak jak wiem, że pana pozostałe córki są dużo starsze. I że żona dużo piła...

Przerwała, a jej głowa wolno opadła.

— Przepraszam — wymamrotała. — To było bardzo niegrzeczne.

Przez chwilę siedziała z opuszczoną głową, potem ją uniosła i Todd odniósł wrażenie, że jej twarz wygląda teraz inaczej. Gwałtownie zamrugła powiekami, jakby była mocno czymś poruszona.

— Proszę — wydusiła. — Może mi pan dać kawałek papieru? I pióro?



Palec Todda nadal wisiał nad przyciskiem wzywającym asystentkę. Obrócił dłoń i wskazał bloczek samoprzylepnych karteczek. Dziewczynka zerwała się z krzesła, chwyciła z biurka długopis i zaczęła coś pisać na bloczku. Wyglądało to na rządęk cyfr.

Napisała cztery czy pięć i zawahała się.

— No nie — parsknęła ze złością. — Nie...

Szybko dopisała dwie cyfry na początku, oderwała karteczkę, złożyła na pół i schowała do kieszeni płaszcza. Wyglądała przy tym przez chwilę jak dziecko ulicy, które chowa swój ulubiony kawałek sznurka, by go ukryć przed kosmitami albo CIA, albo złymi duchami. Potem opadła z powrotem na krzesło i zakryła twarz dłońmi.

Todd obserwował to przedstawienie szeroko otwartymi oczami. Chwilę później usłyszał jej płacz. Dochodzący zza dłoni dźwięk był niski i miarowy, i bardziej przypominał szloch wywołany zmęczeniem niż żalnością. Znow wstał z fotela, kompletnie zdezorientowany. Dlaczego, do diabła, pozwolił Biance w ogóle stąd odejść?

— Słuchaj — powiedział, starając się ukryć zdenerwowanie. — Mogę ci jakoś pomóc? Może dać ci coś do picia?

Dziewczynka nie zareagowała i Todd w pierwszej chwili pomyślał, że go nie dosłyszała. Potem jednak przez zakrywające twarz dłonie dobiegł go jej stłumiony głos.

— Kawy.

— Kawy? Naprawdę? A nie... soku? Albo wody?

Potrząsnęła głową.

— Kawa. Czarna.

Podszedł do stojącej w kącie kawiarki, napełnił filiżankę i podał jej. Wejście w rolę usłużnego kelnera przyszło mu bez trudu, gdyż często zdarzało mu się obsługiwać córki. Czasem dramatyczna zamiana naturalnych ról jest jedynym sposobem na dotarcie do krnąbrnego dziecka i skłonienie go do posłuszeństwa. Dzieci mają wrodzone wycucie układu sił i od początku rozumieją, jak się sprawy mają.

— Proszę — rzekł, uzmysławiając sobie, że dziewczynka na niego nie patrzy.

Powoli odjęła dłonie od twarzy i spojrzała na filizankę. Uchwyciła ją oburącz, uniosła do ust i pociągnęła długi łyk. Todd patrzył na nią zdumiony. Kawa była tak gorąca, że aż parzyła. Potem dziewczynka objęła filizankę dłońmi i wpatrzyła się w resztkę na dnie.

— O to chodziło. — Westchnęła. Potem uniosła głowę i leniwie się uśmiechnęła. — No więc, Todd, co tam u ciebie?

Zamrugał. Wszystko w niej — ton głosu, uśmiech — znów się zmieniło. W miejsce wystraszonego i zagubionego dziecka pojawiła się... Właściwie nie bardzo wiedział kto. Ale wiedział na pewno, że nie chce jej w swoim biurze.

— Teraz stąd wyjdiesz i zostawisz mnie w spokoju — rzekł sucho. — Jeśli chcesz pojechać do domu, mogę kogoś poprosić, żeby ci wezwał taksówkę.

— Tak — powiedziała, patrząc ponad nim w okno. — Jak zawsze hojny, jeśli chodzi o drobiazgi.

— Słuchaj... kim ty właściwie jesteś?

— Zgadnij.

— Nie wiem i nie chcę wiedzieć — rzucił twardo. — Wdarłaś się tu, podając za koleżankę mojej córki. Ale oboje wiemy, że to nieprawda.

— Proszę. To powiedz mi. Powiedz mi, kim jestem.

— Jesteś małą dziewczynką.

Parsknęła śmiechem tak głośnym i szczerym, że znów go zaskoczyła.

— Wiem. To świetne, prawda?

— Rewelacyjne — mruknął, wyciągając rękę w stronę przycisku na aparacie.

— Nie rób tego. Ani się waż.

— Słuchaj, mam już tego dosyć — prychnął Todd. — Nie wiem, po co tu przyszedłaś, ale wydajesz się bardzo dziwną małą osobką: Na szczęście to problem twoich rodziców, nie mój. Na mnie czeka praca.

— Och, przymknij się. Nie mam zamiaru zostać w twoim towarzystwie ani minuty dłużej niż to konieczne, możesz mi wierzyć. Znasz powiedzenie o kataryniarzu i małpie? Jesteś pchlą na tyłku małpy i zawsze nią byłeś. Ale żebracy nie mogą grymasić, więc pozwolę ci zrobić dla mnie parę rzeczy. Szczęściar z ciebie.

— Nie mam zamiaru nic dla ciebie...

Przerwała mu, jakby go w ogóle nie słuchała.

— Po pierwsze, znajdziesz mi jakieś lokum. Potrzebny mi prysznic i mam już dość użerania się z gówniarzami z pozycji słabszego. Nie mówiąc o tym, że chciałabym się dobrze wyspać. Tobie zresztą też przydałoby się trochę snu.

Mówiła głosem twardym i pewnym siebie i Todd zaczynał rozumieć, jak to się stało, że udało jej się przekonać Jenni do wpuszczenia jej na górę. Bardzo przypominała mu jego kuzynkę z czasu, gdy ta leżała w szpitalu, przechodząc rehabilitację po poważnym wypadku samochodowym. Najbardziej krytyczny okres spędziła otumaniona morfiną, ale od czasu do czasu pomimo bólu i narkotycznych majaków wygłaszała uwagi, których przyziemność robiła niesamowite wrażenie. Kontrast między jej stanem a tym, co mówiła, był taki, że włosy jeżyły się na głowie. Słuchając teraz dziewczynki, odnosił takie samo wrażenie, choć jednocześnie nie miał wątpliwości, że swoim zachowaniem naśladuje kogoś dorosłego.

Wyglądało, że jego milczenie potraktowała jako zgodę.

— A gdy wstanę radosna, będę bardzo chciała z kimś się znowu spotkać. Z kimś, kogo oboje znamy. I ty mi to umożliwisz.

— Nie mam pojęcia, o kim mówisz — powiedział Todd. Zdobył się w końcu na wciśnięcie przycisku i od razu poczuł się pewniej. — Do naszych sesji nie angażujemy nikogo z boysbandów czy telewizyjnych rewii. Takie mamy zasady.

— Boysbandów? Co ty chrzanisz?

Usłyszał trzaśnięcie drzwi pokoju asystentki i odgłos jej szybkich kroków w korytarzu. Zarobki Bianki były o dwadzieścia procent

wyższe od poborów innych pracowników jej szczebla, ale zasługiwała na to. Dziewczynka też je usłyszała i od razu spochmurniała.

— Toddy, to jedna z tych sytuacji, kiedy możesz dokonać dobrego albo złego wyboru. Nie spieprz tego.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich Bianca.

— Ta młoda osoba właśnie wychodzi — rzekł Todd.

Dziewczynka ostentacyjnie westchnęła, ale Todd to zignorował.

— Jeśli będzie sprawiać kłopot, wezwij policję. Dostała się tu pod fałszywym pretekstem. Chce się spotkać z jakimś swoim idolem.

Bianca podeszła do krzesła i obrzuciła siedzącą dziewczynkę groźnym spojrzeniem.

— Wstawaj. Ale już, księżniczko.

— Oj, wy uparciuchy — mruknęła niechętnie dziewczynka. Podniosła się z krzesła, ignorując wyciągniętą rękę Bianki i nie odrywając wzroku od Crane'a. — Naprawdę nie chciałam sprawiać kłopotu. Ale sam widzisz, że mnie do tego zmuszasz.

Todd bez słowa wrócił za biurko. Bianca sobie z nią poradzi. A właściwie już to zrobiła, bo zdążyła chwycić dziewczynkę za ramię i pociągnąć ku otwartym drzwiom.

Spojrzał na leżące przed nim papiery. Nagle poczuł chęć zatopienia się po uszy w pracy. W tonie dziewczynki, jakim wypowiedziała kilka ostatnich zdań, coś go zaniepokoiło. I to nawet bardzo.

— Do widzenia — mruknął pod nosem.

Dziewczynka przymrużyła oko.

— Lepiej uważaj na siebie — rzuciła przez ramię, opuszczając gabinet.

Todd uniósł głowę i wpatrzył się w oddalającą się korytarzem postać.

\* \* \*

Po paru minutach zobaczył, jak dwa piętra niżej dziewczynka wyłania się na Post Alley. Zatrzymała się i powoli uniosła głowę. Todd

gwałtownie odsunął się od okna, ale i tak zdążyła go zauważyć.

Gdy chwilę potem ostrożnie wychylił głowę, wciąż stała nieruchomo ze wzrokiem wlepionym w jego okno. Dojrzała go i przez jej twarz przemknął cień uśmiechu, a ręka z wyprostowanym palcem wskazującym powędrowała do góry. Potem całym ramieniem zataczyła krąg, rysując w powietrzu jakiś symbol. Krótką spiralę, coś na kształt dziewiątki.

Zaraz potem odwróciła się i szybkim krokiem ruszyła przed siebie, jakby przestał ją interesować. Po chwili zniknęła mu z oczu.

Todd postął jeszcze trochę przy oknie, chcąc się upewnić, że dziewczynka nie zawróci. Nie bardzo rozumiał, dlaczego na myśl o tym czuł niepokój. To jej ostrzeżenie na pożegnanie. W ustach małej dziewczynki zabrzmiało tak absurdalnie, że... coś mu przypomniało. A właściwie kogoś.

To pozbawiony znaczenia zbieg okoliczności, nic więcej. Wywołane w jego umyśle wspomnienia, od których upłynęło wiele lat. Po prostu czuł ciężar mijającego czasu, nic więcej. Zresztą już wcześniej do tego doszedł. Przydałoby mu się coś na odmłodzenie. Spróbował przypomnieć sobie wygląd recepcjonistki Jenni i z przykrością stwierdził, że nie potrafi. Ale na to jeszcze przyjdzie czas. Może przy drinku.

Jego myśli wracały na zwykłe tory, skupiał się na czekającej go pracy. Znów zaczynał być sobą.

## Rozdział dwudziesty drugi

Dom Andersonów stał wysoko na skarpie przy Federal w pobliżu Broadway Avenue, skąd roztaczał się widok na centrum i Zatokę Elliotta. Broadway stanowi ważną arterię komunikacyjną, jest długą i szeroką aleją z wieloma sklepami, bankami i niezliczonymi kafejkami. Ogólnie rzecz biorąc, jesteśmy narodem lubiącym kawę, ale w północno-zachodnim rejonie kraju panuje na jej punkcie prawdziwa obsesja i właściwie dziwię się, że nikt jeszcze nie pomyślał o sprzedaży kawy w bankomatach. Federal to cicha, oddzielona od Broadwayu kilkoma przecznicami ulica, którą oceniają dwa rzędy starych drzew, o tej porze roku obsypanych żółtymi i miedzianymi liśćmi. Obowiązuje ograniczenie prędkości do trzydziestu kilometrów na godzinę, bo kręci się tu wielu pieszych. Domy otoczone są niskimi żywopłotami, o których przycinaniu ktoś pamięta, lub płotami, które ktoś pomalował. Są w większości nieduże, a zaparkowane przed nimi samochody dowodzą, że nie trzeba być bogaczem, by tu mieszkać. Nie trudno natomiast zgadnąć, co ludzi do tego skłania.

Andersonowie mieszkali w drugim domu od rogu. Ślady pożaru na zewnątrz były niewielkie, choć okna na parterze zabito arkuszami sklejki. Zamaszystym krokiem wszedłem po schodkach na nieduży ganek jak ktoś, kto ma do tego prawo.

Drzwi frontowe były oklejone taśmą, ale miałem z sobą odpowiednie narzędzie, a także wszystko niezbędne do otwarcia zamka. Wielu gliniarzy dysponuje podstawową wiedzą o technice włamań, moja wykracza nieco ponad średnią.

Wszedłem do ciemnego wnętrza przepełnionego smrodem spalenizny i zamknąłem za sobą drzwi.

Przez chwilę stałem bez ruchu, przyzwyczajając wzrok do ciemności. Przez szpary wokół arkuszy sklejk w oknach sączyło się trochę światła, ale i tak z trudem namacałem wyłącznik na ścianie. Pstryknąłem i światło się zapaliło. Mimo że właściciel zniknął bez śladu, zapewne opłatę za prąd nadal automatycznie ściągano z jego konta.

Najpierw udałem się na górę. Poza wonią spalenizny i lekkim okopceniem ścian ogień nie zostawił tu żadnych śladów. Dwie sypialnie, łazienka, pokój wykorzystywany jako graciarnia i gabinetek. Kłapa w suficie korytarza otwierała się na pokryty grubą warstwą kurzu stryszek, którego wyraźnie nikt ostatnio nie odwiedzał. Zajrzałem do obu sypialni, ale ograniczyłem się do otwarcia szuflad i rzucenia okiem do szaf, potem przeszukałem wszystkie typowe skrytki w łazience. Nie natknąłem się na nic, co nie pasowałoby do małżeństwa w średnim wieku z dorastającym synem. Nie znalazłem też żadnych śladów świadczących o posiadaniu broni: zamykanej na klucz kasetki, przesiąkniętej oliwą szmatki, pudełka z nabojami.

Wracając na parter, zatrzymałem się na przedostatnim stopniu schodów i rozejrzałem po salonie. Wiszące tu powietrze było duszne i nieruchome. Szeroki rozbryzg krwi na osmolonej ścianie i wypalona dziura w wykładzinie wskazywały miejsce śmierci Joshui Andersona. Ruszyłem na obchód salonu. Zrobiłem to bez większego przekonania, nie mając pewności, że jego obecny wygląd odpowiada stanowi, który ujrzała ekipa dochodzeniowa. Mimo to w głowie zaczynał mi się już układać scenariusz wydarzeń, jakie się tu rozegrały. Miałem w tych sprawach dość bogate doświadczenie.

Zajrzałem do kuchni, potem wróciłem przez hol do gabinetu. Stał

w nim nieduży telewizor z podłączoną konsolą PlayStation, a półki na ścianach wypełnione były DVD i książkami, na które składały się zarówno popularne powieści Kinga, Koontza i Rice, jak i elegancko wydane książki w twardej oprawie z dziedziny nauk ścisłych, stanowiące zapewne podręczną bibliotekę Billa Andersona. Na grzbietach książek widniały też nazwiska teoretyków alternatywnej archeologii, takich jak Cremo, Corliss czy Hancock. Zaskoczyło mnie to, ale nie aż tak, bym się nad tym dłużej zastanawiał.

Węższe drzwi obok wejścia do kuchni prowadziły na schodki do piwnicy. Zszedłem na dół i pociągnąłem za sznurek wyłącznika światła zwisający z sufitu. Miałem przed sobą pomieszczenie najbardziej zniszczone przez pożar. Podłogę pokrywała gruba warstwa czarnej mazi po papierach, które najpierw strawił ogień, a potem zalała woda. Pod ścianą leżały niedopalone resztki drewnianego stołu warsztatowego. Wszędzie wałały się narzędzia i części elektryczne, dwie okopcone szafki na dokumenty leżały na boku. Obraz zniszczeń był taki, jakby zdetonowano tu bombę, a nie tylko przeszukano i podpalono warsztat.

Czasem warto zobaczyć miejsce zdarzenia na własne oczy. Żeby móc coś powiedzieć, warto znaleźć się w środku. Ludzie potrafią robić różne dziwne rzeczy w zaciszu swego domu, zachowując się w sposób, którego nie można zrozumieć. Ale nagła ingerencja kogoś z zewnątrz to zupełnie co innego. To coś, co głęboko wrzyna się w tkankę dotychczasowego życia, zostawia bliznę i już nic nie jest takie samo.

Wyjąłem komórkę. Zrobiłem zdjęcie. Wyszedłem.

\* \* \*

Wychodząc, zauważyłem, że w drzwiach domu po drugiej stronie ulicy ktoś stoi. Zawróciłem i ruszyłem w stronę mężczyzny.

— Ma pan prawo tam wchodzić? — zapytał.

— Mam. Pan tu mieszka?

Kiwnął głową. Miała koło sześćdziesiątki, a jego siwe włosy były



mocno przerzedzone na czubku. Sprawiał wrażenie kogoś, kto lubi wiedzieć, co się wokół niego dzieje.

— To straszne, co się tam stało — powiedział.

— To znaczy?

— No wie pan... te morderstwa.

— Myśli pan, że to Bill?

Otworzył usta i zawahał się. Wiedziałem, jak mu pomóc.

— Bo ja nie. Myślę, że Ginę i Josha zabił ktoś obcy.

— Ja tam nikogo nie widziałem — rzucił pospiesznie mężczyzna.

— Właściwie to w ogóle nic nie wiem. Znaczy... wiem, że tu mieszkali ponad dziesięć lat. Prawie codziennie ich widywałem. Raz jedno, raz drugie, czasem całą trójkę. Machaliśmy do siebie, wołaliśmy „cześć”, wie pan, jak to jest. Jakieś trzy, cztery dni przed tą straszną historią widziałem ich oboje. Wychodzili dokądś wieczorem i o coś się kłócili, właściwie sprzeczali. Nie za głośno, ale jeszcze na ulicy. Wie pan, o czym mówię.

Wiedziałem.

— Dzięki. To bardzo przydatna informacja.

Mężczyzna znów skinął głową, splótł ręce i wycofał się tyłem, nie odrywając wzroku od domu naprzeciwko.

Ruszyłem Federal do następnej przecznicy i zapukałem do drzwi parterowego domku, w którym kiedyś mógł się mieścić warsztat rzemieślniczy i który pewnie aspirował do wpisania na listę zabytków. Po dłuższej chwili w środku zapaliło się światło, co o tyle mnie zdziwiło, że było wczesne i jak na Seattle lekko tylko zachmurzone popołudnie. Zrozumiałem, gdy drzwi się otworzyły i okazało się, że w środku panują zupełne ciemności. Niemal takie, jak w domu Andersonów.

Stała przede mną przygięta wpół, z głową na wysokości mojego brzucha. Musiała mieć około osiemdziesiątki, a jej twarz wyglądała jak jabłko, które przez całe lato przeleżało na słońcu. Gdy uniosła głowę i spojrzała na mnie, jej oczy przypomniały mi okna na piętrze opustoszałego domu w Belltown. Widać w nich było odbicie zachmurzonego nieba i nic więcej.

— Pani McKenna?  
— Mhm.  
— Mógłbym pani zadać kilka pytań?  
— Mhm.  
— Powiedziała pani policji, że podczas pożaru domu Andersonów widziała pani na ulicy kogoś, kto na ten widok rzucił się do ucieczki. Czy tak?

— M-mhm.  
Zawahałem się.  
— Czy to znaczy „nie”?  
— Mhm.  
— Ale ja zrozumiałem, że pani...  
— Bo nie widziałam „kogoś”. Widziałam Billa Andersona. Teraz pan kojarzy?

— Tak, rozumiem.  
— No i dobrze. To o co chodzi?  
Spojrzałem na okna jej domku.  
— Zawsze ma pani zaciągnięte zasłony? Dzień i noc?  
— Nie przepuszczają światła.  
— Domyślam się. Zatem, jeśli mi wolno spytać, jak mogła pani tamtego wieczoru zauważyć Andersona?

Staruszka przyjrzała mi się, a jej oczy nagle ożyły. Nie odbijały już tylko chmur, a ich wyraz świadczył o żywym zaangażowaniu ich właścicielki.

— Ty też jesteś jednym z nich?  
— Z jakich nich?

Jeszcze przez chwilę przyglądała mi się uważnie, potem pokręciła głową.

— Już widzę, że nie. Okay, no więc pilnuję. Zwłaszcza w nocy. Jak słyszę czyjeś kroki na ulicy, to wyglądam. Ktoś musi pilnować. Zawsze. Tu od tego jestem ja.

— Pilnować przed czym, proszę pani?  
— Przed tymi, których nie widać. No więc usłyszałam kroki, pomyślałam sobie, że brzmią znajomo, ale lepiej to sprawdzić. Odchyliłam zasłonę, ale tylko troszkę. Zobaczyłam Billa, a Bill jest w porządku.

Bill mi nie wadzi. Poszedł kawałek dalej i zatrzymał się. Stał i patrzył. Nie widziałam, na co patrzył. A potem cofnął się, odwrócił i zaczął biec. A ja nigdy przedtem nie widziałam Billa biegnącego. Po dwudziestu minutach zawyły syreny i wszystko, co tylko możliwe.

Bez żadnego ostrzeżenia zaniósła się głębokim, rżącym kaszlem. Nie próbowała nawet zakryć ust i coś, co odkasznęła, wystrzeliło jej z gardła i poszybowało na ziemię. Kiedy atak minął, z rezygnacją pokręciła głową.

— Nie zafunduj sobie raka, synu, bo to diabelnie nieprzyjemne. Chcesz coś jeszcze? Jak nie, to żegnam, bo mam program w telewizji do obejrzenia.

Zawróciłem do skrzyżowania, zapaliłem papierosa i stojąc na chodniku, przyglądałem się opadającym liściom. Rzeczywiście wolałbym nie powoływać pani McKenny na świadka w sądzie, ale nie zrobiła na mnie wrażenia osoby kompletnie szurniętej. Zresztą i bez niej już rozmowa z sąsiadem z naprzeciwka zasiała we mnie ziarno wątpliwości. Pary toczące z sobą zażartą wojnę i zdolne do naprawę brutalnych zachowań bardzo rzadko pozwalają sobie na publiczne sprzeczki. Ich zachowanie przy świadkach jest zwykle aż za słodkie lub lodowato grzeczne, i tylko w ich oczach można czasem dostrzec zły błysk. Prawdziwe awantury prowadzi się w czterech ścianach, bo to dyscyplina nie do uprawiania na wolnym powietrzu. Biorąc pod uwagę argumenty Fishera, można by zacząć wątpić, czy to rzeczywiście Bill Anderson pozbawił życia żonę i syna. Ale skoro nie on, to kto?

No i co się z nim stało?

\* \* \*

Na posterunku nie kazali mi nawet długo czekać, co mnie zaskoczyło. Albo nie mieli co robić, albo Blancharda zaciekawiła moja wizyta.

Zaprowadził mnie tym razem do innego pomieszczenia niż to, w którym trzy dni temu walczyłem z kacem. Stojące tu biurko mogło

być jego stałym miejscem pracy, bo panował na nim wystarczający bałagan.

— Chciałem przeprosić — zacząłem.

— Miło słyszeć.

— Miał pan rację w sprawie mojej żony. Naprawdę zapomniała numeru i rzeczywiście czekała na mnie w domu.

Pokiwał głową.

— Czyli wszystko gra.

— Gra i śpiewa.

— To świetnie. Nie musiał pan z tym aż przychodzić, ale doceniam to.

— Właściwie chciałem skorzystać z okazji i o coś spytać.

— Tak też myślałem. Wał pan.

— Co pan wie o morderstwach Andersonów? Trzy tygodnie temu w rejonie Broadway.

Zrobił zdziwioną minę.

— Niewiele. Dwoje ludzi brutalnie zamordowano i mówi się, że to sprawka męża. Nic ponad to.

— Anderson trafił na listę osób zaginionych?

— Nie. Jest podejrzany o podwójne morderstwo. A to, jak panu wiadomo, zupełnie inna lista.

— Pan w to wierzy? Że on ich oboje zabił?

— Nie wiem o tej sprawie nic bliższego. Najczęściej pierwszym podejrzany jest mąż, ale o tym też pan wie. A co, ma pan jakiś inny pomysł?

— Właśnie stamtąd wracam — powiedziałem. — Rozmawiałem też z paroma osobami.

Blanchard zmarszczył brwi.

— Czy to znaczy, że należą się panu gratulacje? Że wstąpił pan do policji w Seattle i od razu dostał awans na detektywa? Trochę mnie dziwi, że o tym nie słyszałem.

— Byłem tam jako zwykły obywatel. I rozmawiałem z innymi zwykłymi obywatelami.

— Aha. A skąd to obywatelskie zaangażowanie?

— Z przyczyn osobistych.

- I co się panu udało odkryć w ramach tego nowego hobby?
- Myślę, że Anderson ich nie zabił.
- Aha.

Blanchard zaczął rysować na leżącym przed nim notatniku małe zwinięte spirale.

— Naoczny świadek, pani McKenny, twierdzi, że widziała Andersona wracającego do domu już po fakcie. Zgoda, może staruszka nie jest najbardziej wiarygodnym świadkiem, ale ignorować jej też nie można. Rozmawiałem również z jednym z sąsiadów. Potwierdził, że Andersonowie byli zwyczajną parą, czego zresztą nikt chyba nie podważa. Więc jeśli nie tliło się w nim jakieś zadawnione ognisko nienawiści, nie widzę powodu, żeby miał to zrobić. A pan?

— Wie pan, że Gina miała polisę na życie na osiemdziesiąt tysięcy dolarów?

— Konkretniej kwoty nie znałem. Ale to żaden motyw. Nie miał nawet broni.

— To znaczy: nic nam nie wiadomo, żeby miał.

— Był czysty. Żadnych konfliktów z prawem, żadnych sygnałów, że coś jest nie tak.

— Daj spokój, Jack. Przecież siedziałeś w tym i wiesz, jak to jest. Tacy ludzie są jak uśpioni szpiedzy. Codziennie rano wstają do pracy, urządzają w ogrodzie grille, jeżdżą z sąsiadami na ryby. Zachowują się jak normalni, porządni obywatele. A potem którejs nocy budzą się i stwierdzają, że w środku są całkiem kimś innym. To coś ze środka wylaży na wierzch i nagle ich świat się zmienia, a ściany obryzguje krew. Osiemdziesiąt tysięcy to aż nadto, szczególnie jeśli w jego życiu było coś jeszcze.

— Otóż to — powiedziałem. — Rzeczywiście było coś jeszcze, ale nie w tym sensie, w jakim myślisz. Pewne sprawy, o których śledczy nie wiedzą.

Blanchard przestał gryzmolić w notatniku.

— Co mianowicie?

— Kilka miesięcy temu Anderson dostał część spadku po pewnym

nadzianym facecie z Chicago i otrzymał czek na ćwierć miliona dolarów.

Blanchard wyraźnie zastrzygł uszami.

— Skąd to wiesz?

— Od adwokata zajmującego się sprawą. Głęboko w tym siedzi i jest święcie przekonany, że Anderson tego nie zrobił.

— Tylko z powodu tego spadku? To o niczym nie świadczy.

— Wiem — zgodziłem się. — I to coś, czego ten adwokat nie bierze pod uwagę, bo nigdy nie był gliną. Ty natomiast od razu sobie wyobrażasz, że Bill Anderson poczuł kasę i postanowił rozpocząć nowe życie. Chociaż jego stosunki z żoną i synem były dotąd bez zarzutu, teraz chce się ich pozbyć, żeby mu nie zajmowali miejsca na jego nowym ręczniku plażowym.

— Dlaczego odszedłeś z tej roboty? Coś mi się widzi, że mogłeś być nie najgorszym gliniarzem na świecie.

— Jest tylko jeden problem — ciągnąłem. — Czek do tej pory nie został zrealizowany. A dostał go miesiąc przed zniknięciem. Nawet gdybyś postanowił zwiać do Meksyku i przez resztę życia tuczyć się tacos i żłopać dos equis w towarzystwie krzykliwych Meksykanek, to i tak najpierw założyłbyś konto i wpłacił na nie czek. Nie chciałbyś ryzykować, że to swoje nowe życie zgubisz albo ci je ukradną, albo natknie się na nie żona.

Blanchard siedział ze wzrokiem utkwionym w ścianę za moją głowę lub w jakiś punkt między nią a mną. Po chwili kiwnął głową.

— Okay. To możliwe. Jak się ten facet nazywa? Ten adwokat?

— Gary Fisher. Nazwy firmy nie znam.

— Ale jest w porządku?

— Znam go od wielu lat.

— Masz jego numer?

— Zostawiłem w hotelu.

Przyjrzał mi się badawczo.

— Dobra, niech będzie po twojemu, zatroskany obywatelu. Pogadamy z paroma ludźmi i wrzucę to do kotła. Zobaczymy, czy ktoś się na to złapie.

— Dzięki — powiedziałem, wstając.

— Jesteśmy po to, żeby służyć. A ty tymczasem wracaj do domu i nie szukaj guza.

— Co?

Spojrzał mi prosto w oczy.

— Widzę to po tobie. Dostrzegłem to, gdy tylko cię zobaczyłem.

\* \* \*

Obiecywałem sobie, że tego nie uczynię, ale od razu wiedziałem, że się okłamuję. Choć zrobiłem, co mogłem, żeby tego uniknąć. Zadzwoiłem do Fishera i umówiłem się z nim w barze przy Madison — tym samym, w którym spotkałem się z Georjem. Potem wyruszyłem na długi spacer w przeciwnym kierunku, przyglądając się, jak dzień robi się coraz mroczniejszy i zimniejszy. Po raz pierwszy zwróciłem też baczniejszą uwagę na naturalne ukształtowanie terenu i to, jak ostro opada ku Zatoce Elliotta. Wpatrywałem się w nie, omijając wzrokiem zabudowę i traktując ją jako niepotrzebny wytwór ludzkich rąk, który tylko zasłania widok. Z wycieczki z Amy zapamiętałem, że w minionym stuleciu przeprowadzono gruntowną modernizację całego miasta. Patrząc na mocno pofałdowany teren, trudno było zgadnąć, co w tym miejscu dojrzeli pierwsi osadnicy, i dopiero uświadomienie sobie, że okoliczne wzgórza były porośnięte cennymi drzewami, wyjaśniało zagadkę. Przeszedłem na ukos do Pierwszej Alei i ruszyłem nią na południe. Minąłem dziwny łuk, jakim Pierwsza omija koniec James Street, i ruszyłem w stronę Yesler Way, gdzie ulice nagle przestają bieć równoległe do linii brzegowej i przybierają kierunek wschód—zachód. Nie planowałem tego, ale jakoś tak się dziwnie składało, że każdy mój spacer po Seattle kończył się w tym rejonie. Zupełnie jakby miasto samo mnie spychało w tę stronę.

Zatrzymałem się na skrzyżowaniu Pierwszej i Yesler i przyjrzałem totemowi na Pioneer Square. Po drugiej stronie placu wznosił się obłożony terakotą gmach Yesler Building i znajdujące się na prawo od niego paskudztwo w postaci wielopoziomowego parkingu. Wzniesiono go w latach sześćdziesiątych w miejscu starego eleganckiego hotelu Occidental i rezultat okazał się tak porażająco brzydki, że dał impuls do zorganizowania akcji na rzecz ratowania starych budynków przed wyburzaniem i zastępowaniem ich kolejnymi parkingami. Kręciło się tu trochę bezdomnych, którzy snuli się pojedynczo z opuszczonymi ramionami i zwieszonymi głowami. To tylko pogłębiało bezsens otaczających to miejsce budynków. Jeśli ci ludzie mieli w tym mieście swoje miejsce, znajdowało się ono na gołej ziemi i wygląd chodników i nawierzchni ulic niewiele mógł zmienić.

Wszedłem na plac, stanąłem pod drzewem obsypanym krwistoczerwonymi liśćmi obok pompy z głową Indianina na czubku i przeczytałem tabliczkę z informacją, że to głowa samego Seattle — wodza miejscowego plemienia Suquamiszów, które zamieszkiwało te tereny przed nadejściem białych. Ujęcie wody, nazwa miasta i słup totemiczny były chyba jedynymi pamiątkami po dawnych gospodarzach tych ziem. Nawet po niektórych psach mieszczańskich właściciele zostaje więcej. Byłem ciekaw, czy Seattle i jego przodkowie stawali na wysokim brzegu zatoki i spoglądali na przepływające w oddali żaglowce, i jak na nie reagowali. I czy gdyby ich reakcja była wtedy inna, coś by to zmieniło.

W atmosferze placu było coś kojącego. Skorzystałem z tego i posiedziałem chwilę na ławce, potem ruszyłem przez stare miasto, wstępując po drodze do księgarni Elliott Bay Book Company. Staralem się na wszelkie sposoby zabić czas. Dłuższą chwilę postąłem przed regałem z sensacyjną literaturą faktu, dumając, czy jest we mnie coś, co pozwoli mi napisać książkę, która znajdzie miejsce obok stojącego na półce pojedynczego egzemplarza moich *Nieproszonych gości*. Nie tylko miałem co do tego wątpliwości, ale wcale nie byłem



pewien, czy naprawdę tego chcę. Lokalnym bestsellerem była ponura relacja o krwawych zdarzeniach w mrocznych zaułkach Seattle rozgrywających się w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. Podpalenia i skandale. Słynne samobójstwa i morderstwa. Długa seria tajemniczych zniknięć w latach siedemdziesiątych, osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku, a także porwań młodych dziewcząt, po których zostało tylko kilka straszliwie okaleczonych ciał — tak potwornie, że piszący o tym autor nie odważył się podawać szczegółów. Również ich twarze były zmasakrowane aż do kości.

Odłożyłem książkę na miejsce. Nie chciałem pisać takich książek, a nawet gdybym chciał, już to ktoś przede mną zrobił. Ostatecznie kupiłem cienką broszurkę o wczesnej historii tego rejonu i ruszyłem dalej ulicami miasta. Szedłem, dopóki ulica nie przekształciła się nagle w system ruchliwych nowych dróg o takiej liczbie kombinacji do wyboru, że nie było się jak zdecydować.

Zawróciłem i postanowiłem znaleźć coś innego. Cokolwiek, byle nie to, do czego od początku mnie ciągnęło. Ale i tak — choć wbrew sobie — krótko przed piątą wszedłem na Post Alley, gdzie kawałek dalej mieściła się agencja Kerry, Crane & Hardy.

\* \* \*

Minąłem ich siedzibę i poszedłem dalej, bo chciałem się upewnić co do paru rzeczy. Później zawróciłem i wszedłem do narożnych delikatesów ze stolikami pod oknem na ulicę. Zamówiłem kawę i usiadłem twarzą do budynku agencji. Nie miałem jak sprawdzić, czy Crane jest w środku, i pomyślałem nawet, że może to i lepiej. Po prostu posiedzę chwilę i poobserwuję wchodzących i wychodzących, potem już tylko wychodzących, a na koniec gasnące światła i kogoś, kto zamknie za sobą drzwi na klucz, opuści żaluzję i ogłosi koniec dnia pracy. Crane był grubą rybą i niewykłuczone, że już go nie ma w biurze,

bo właśnie siedzi w czyjejś sali konferencyjnej, wkładając do głów jej gospodarzom, jak dobre jest dla nich to, co im proponuje. Na tym polegała jego praca i podczas naszego spotkania wyczulem, że pewnie jest w tym dobry. Potem albo pójdzie z klientem na kolację, albo wróci do domu i swej rodziny jak z historyjki obrazkowej dla dzieci, co zresztą byłoby najlepsze, gdyż mnie w pewnym momencie się znudzi, poczuję pragnienie, zsunę się ze stołka i ruszę w noc.

Minęło tak czterdzieści minut i coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że taki będzie ciąg dalszy. A potem w drzwiach stanął Todd Crane.

Był sam i wyglądał na zaaferowanego. Zapłaciłem już wcześniej i byłem gotów w każdej chwili wyjść i ruszyć za nim, on jednak nie zrobił tego, na co liczyłem. Moje wcześniejsze rozpoznanie miało na celu ustalenie najbliższych wejść do wielopoziomowego parkingu znajdującego się na końcu uliczki. Byłem pewien, że ktoś taki jak Crane przyjeżdża do pracy czymś dużym i drogim, on jednak skręcił w przeciwnym kierunku i ruszył piechotą w moją stronę.

Cofnąłem się pod regał ze specjalami z importu, on jednak przeszedł obok ze wzrokiem wbitym w ziemię i rękami wetkniętymi głęboko w kieszenie płaszcza.

Wymknąłem się z delikatesów i ruszyłem za nim.

Szedł szybko w stronę miejsca, gdzie uliczka zamieniała się w przejście pod zjazdem z autostrady. Chciałem porozmawiać z nim w cztery oczy i zapytać, czy to on jest mężczyzną z fotografii zrobionej przez Fishera. Kimś, kto tak poufale obejmuje moją żonę. Przyspieszyłem kroku.

W tym momencie zabrzączał mój telefon. Dźwięk był na tyle głośny, że nie mogłem pozwolić, by dzwonił dłużej. Nie zwalniając kroku, sięgnąłem do kieszeni. Byłem prawie pewien, że to Amy, na wyświetlaczu jednak zamiast „Amy” pojawiło się „Rose”.

Nie znam nikogo o imieniu Rose. Uniosłem telefon do ucha.

— Kto, u diabła...

— Nie rób tego — powiedział kobiecy głos. Brzmiał głośno i natarczywie, po czym zapadła cisza. Połączenie zostało przerwane.

Nacisnąłem dwukrotnie zielony guzik, żeby oddzwonić, połączenie zostało zrealizowane, ale telefon po tamtej stronie tylko dzwonił i dzwonił, i nikt nie odbierał. Z komórką przy uchu zacząłem się rozglądać wokół, ale nikogo nie dostrzegłem.

Wreszcie poddałem się i ruszyłem biegiem w stronę wylotu uliczki, ale Todd Crane zdążył już zniknąć.

## Rozdział dwudziesty trzeci

Dotarłem do baru trochę przed czasem, gdyż chciałem usiąść i przemyśleć całe to zdarzenie. Zamierzałem też zadzwonić do domu i uprzedzić Amy, że nie wrócę dziś na noc. Na myśl o niej poczułem ukłucie żalu zmieszanego ze złością, choć właściwie nie było powodu. W końcu dom w Belltown stanowił obsesję Fishera, nie moją, a nazwisko Amy na akcie własności nie musiało w ogóle mieć związku z moim życiem. W tamtym okresie nawet się jeszcze nie znaliśmy. Po prostu czysta biurowa formalność: firmowe nazwisko na firmowym dokumencie. Ale męczyło mnie samo zastanawianie się, podobnie jak to, że nie mogłem przestać myśleć o tym, kim jest mężczyzna na fotografii. W końcu dałem sobie spokój z układaniem pytań i po prostu wybrałem jej numer.

— Hej — powiedziała. Zgłosiła się od razu, jakby trzymała telefon w pogotowiu. A może trzymała? A jeśli trzymała, czy to coś znaczy? — Co słyhać w wielkim świecie? O tej porze spodziewałam się już ciebie w domu.

Jej głos brzmiał całkiem naturalnie. Niestety, telefony — choć to niewątpliwie cudowny wynalazek — nie zapewniają głębszego porozumienia. Czegoś, co można by nazwać osobistą interakcją z drugą osobą. Poważniejsze rozmowy należy prowadzić twarzą w twarz. Ważne pytania zadaje się i na nie odpowiada na poziomie chemii.

Osobniki naszego gatunku żyły, kochały i kontaktowały się z sobą przez miliony lat, zanim nauczyły się mówić. I mowa jest wciąż tylko akompaniamentem w tle.

— Miałem parę spotkań. Zeszło mi to dłużej, niż myślałem. Nie-wykluczone, że później uda mi się zaprosić na piwo paru miejscowych reporterów od spraw kryminalnych.

— To ci się może przydać. Myślisz o zostaniu na noc?

— Niewykluczone. A co na to szefostwo misji?

— Nie ma sprawy. Poinformuję kuchnię. Czyli wygląda na to, że może coś z tego wyniknąć. Mam na myśli książkę.

— Może. — Było mi głupio tak ją okłamywać, wiedziałem, że właściwie nie mam na nią nic poza garstką SMS-ów, głównie pustych, i dwiema fotografiami, na których niewiele widać.

— To świetnie. I kochanie, przepraszam, że wczoraj wieczorem odniosłem się do tego tak sceptycznie. Miałam trochę dziwny nastrój.

— Tak, zauważyłem. — Zaczepnąłem powietrza i zrobiłem krok ku przepaści. — A u ciebie wszystko w porządku?

— Och, naturalnie — odparła, a ja nie potrafiłem ocenić, czy powiedziała to za szybko, za wolno, czy całkiem normalnie. Pewnie za bardzo się starałem. — Wiesz, po prostu codzienna praca. Takie tam zawracanie głowy.

— Myślałem, że wyjazd z LA wszystko to zmieni.

— I tak będzie. Musimy tylko poczekać.

Powiedziała coś jeszcze, ale nie dosłyszałem, bo jej słowa zagłuszył jakiś hałas w tle.

— Nie dosłyszałem.

— Przepraszam — rzuciła szybko. — Telewizor jest włączony. Zaczekać będzie maraton *Seksu w wielkim mieście*, a mikrofalówka też lada sekunda zacznie brzdąkać.

— Czyli jesteś we właściwym miejscu.

— Jestem. Ale ty będziesz w domu dopiero jutro, tak?

— Mniej więcej w porze lunchu.

— Świetnie. Brakuje mi tu ciebie, panie władzo.

W jej słowach usłyszałem dawną Amy — tę, którą poznałem, z którą się ożeniłem i u której boku spędziłem tak wiele dni krótkich i słodkich, a także długich i trudnych, że nie mieściło mi się w głowie, że coś było, jest albo kiedykolwiek będzie nie tak jak należy.

Mimo to potrzebowałem aż sekundy, żeby jej odpowiedzieć.

— Mnie też ciebie brakuje.

Fisher nazwał Andersona „dymiącym pistoletem”. Nie wiedziałem, czy gość zasługuje na taki status, ale podobne wątpliwości miałem też wobec siebie. Może po prostu należało zapytać Amy o budynek w Belltown, jako że tam zapewne pojechała taksówką tego dnia, gdy zniknęła. Tylko jak to mogłem zrobić? Bo przecież naprawdę pytałbym ją o coś zupełnie innego, a nie byłem pewien, czy jestem już gotów do otwarcia tej puszk. Nawet gdyby puszka okazała się pusta, już nigdy nie udałoby się jej dobrze domknąć. Wypowiedziane słowa są jak jednokierunkowa ulica. Raz zadanych pytań nie da się zawrócić.

Mój telefon brzdąknął, sygnalizując nadejście wiadomości tekstowej. SMS od Amy:

Baw się OK. Nie pij za dużo % :-D x

Wiadomość była sympatyczna i na jej widok uśmiechnąłem się, ale zaraz mi przeszło. Dwie ostatnio otrzymane od niej wiadomości — ta i z dzisiaj rano — uprzytomniły mi, że moja żona, która uśmiechniętą buźkę zawsze pisała jako :-), zaczęła nagle stosować symbol :-D, a także skracać wyrazy, upraszczać pisownię i używać innych symboli. Do tej pory zawsze pisała każdą literkę w każdym słowie i pilnowała interpunkcji, więc skąd ta nagła zmiana? Czy przejęła ten zwyczaj od kogoś innego? A może to drobiazg bez znaczenia i tylko ja nakładam go na inne drobiazgi i buduję z nich wieżę, w której cieniu chcę się zamartwiać?

Potarłem twarz i potrząsnąłem głową. Woląłem się pozbyć takich

myśli, przynajmniej na razie. Teraz chciałem zastanowić się nad wątpliwościami, które mnie nękały od chwili zniknięcia Crane'a.

Kim, u diabła, jest Rose i skąd znalazła się w moim telefonie?

Pojawienie się imienia na wyświetlaczu musiało znaczyć, że mam ją na liście swoich kontaktów. Zajrzałem i okazało się, że tak, mam taki wpis. Numer telefonu i imię „Rose”. Tyle że ja go tam nie umieściłem. Miałem ten aparat dopiero od dwóch miesięcy, bo po przyjeździe do Birch Crossing okazało się, że moja dotychczasowa sieć nie ma tu dobrego zasięgu, i zmieniłem operatora. W rezultacie w książce telefonicznej widniało mniej niż dwadzieścia kontaktów i każdy z nich umiałem dokładnie zidentyfikować. Każdy z wyjątkiem jednego. Nie znam nikogo o imieniu Rose. Nie znam i nigdy nie znałem.

Wybrałem kontakt i wcisnąłem guzik „połącz”. Była to już czwarta próba połączenia się z kimś, kto mi przeszkodził — celowo, jak się domyślałem — w przeprowadzeniu rozmowy z Toddem Crane'em. Jak poprzednio wybrany numer dzwonił i dzwonił, ale nie włączyła się nawet poczta głosowa. Mogłem próbować dowiedzieć się czegoś przez biuro numerów, ale coś mi podpowiadało, że to strata czasu.

Zacząłem zamiast tego dumać, jakim cudem numer mógł trafić na listę kontaktów w moim telefonie. Przychodził mi do głowy tylko jeden moment, kiedy to się mogło stać. Po bójce z opryszkami, rzekomo nieznanymi Georjowi, dowlokłem się do baru w pobliżu Pioneer Square, po czym między kłapnięciem na stolku barowym a przebudzeniem się w parku urwał mi się film. Niewątpliwie bardzo się wtedy urżnąłem. Czy mógł to być numer kogoś, kogo tam wtedy poznałem? Teoretycznie możliwe, gdyby nie jeden szczegół. Imię było wpisane wersalikami. Kiedy coś wpisuję, zawsze używam dużej i małych liter, a w wiadomościach tekstowych zawsze piszę całe słowa i stosuję wszelkie znaki diakrytyczne — dokładnie tak, jak to dotąd robiła Amy. Moglibyście pomyśleć, że skoro byłem tak urżnięty, żeby zapisać numer jakiejś kobiety i nawet tego nie pamiętać, mogłem też

machnąć ręką na niuanse typograficzne, ale to by tylko dowodziło, jak mało mnie znacie. Po pijaku bywam jeszcze bardziej upierdliwy niż zwykle.

Żeby udowodnić sobie i innym, że wcale nie jestem zalany, jasne?

Czyli wpisu musiał dokonać ktoś inny. A to prowadziło do następnego pytania. Pytania, na które nie umiałem sobie odpowiedzieć, a nie miałem nikogo, kogo mógłbym zapytać.

\* \* \*

Fisher wszedł do baru tuż po siódmej, ale nie sam. Podszedł do mojego stolika z jakimś mężczyzną.

— Kto to jest? — burknąłem.

— Peter Chen — odrzekł Fisher. — Przyjaciel Billa Andersona. Byli razem tego wieczoru, kiedy... no wiesz.

Chen był jednym z tych wątych facetów o zaokrąglonych ramionach i zapadniętej klatce piersiowej, których ciało wie, że jego jedyną funkcją jest bycie tragarzem dla mózgu. Podąłem mu rękę, a on ją uściśnął tak, jakbym się witał z dzieckiem.

Spojrzał na Fishera i z wyrzutem w głosie powiedział:

— Mówiłeś, że to nie będzie glina.

— O Jezu. — Skrzywiłem się. — Peter, nie marudź, tylko siadaj.

Zrobił to bez przekonania i nieufnie przyjrzał się miseczce orzeszków, które kelnerka postawiła na stoliku mimo moich protestów.

— Dlaczego ci zależało, żeby osoba, z którą masz się spotkać, nie była policjantem? — spytałem. — Nie wyglądasz na kogoś, kto miewa kłopoty z prawem.

— Oczywiście, że nie — zaperzył się. — Chodzi o to, że policja opowiada takie brednie o Billu i już jestem zmęczony słuchaniem, jak go oczerniają.

— My też uważamy, że Bill nie zabił Giny i Josha.

— Tak?

— Wiem o nim wystarczająco dużo, by nie wierzyć, że byłby do



tego zdolny. I widziałem, do jakiego stanu doprowadzono jego pracownię. On by tego nie zrobił.

— Byłeś u niego w domu? — zdumiał się Fisher. Zignorowałem pytanie, nie spuszczać wzroku z Chena.

— To co, twoim zdaniem, się wydarzyło?

— Nie wiem. — Wyglądało, że się trochę rozluźnił. — Mówiłem już glinom, że od paru tygodni, może nawet miesięcy, Bill chodził podminowany. Ale kiedy im o tym powiedziałem, od razu uznali, że świadczy to o jakichś problemach w jego życiu osobistym. Tylko że Bill nie miał żadnego życia osobistego. Oczywiście miał Ginę i Josha, ale niczego więcej nie potrzebował.

— Więc czym się gryzł? Wiesz coś o tym?

— Nie bardzo. Myślę, że to miało związek z pracą.

— Z zajęciami na uczelni?

Chen wzruszył ramionami.

— Nie wiem, ale chyba nie. Coś by powiedział. Jak mamy jakieś problemy, wszyscy o tym rozmawiamy.

— Pogaduszki przy automacie z kawą?

— Właśnie. Coś w tym rodzaju.

— Ale mimo to sądzisz — wtrącił Fisher — że chodziło o pracę.

— Może. Wiecie, wszyscy mamy jakieś dodatkowe zajęcia. Hobby. Zwykle dużo sobie o nich opowiadamy, ale od pewnego czasu, bo ja wiem... Bill sprawiał wrażenie, jakby coś przed nami ukrywał.

Pokiwałem głową.

— I rozumiem, że od tamtej pory się nie odezwał, tak? Nie utrzymujecie żadnych poufnych kontaktów?

— Chciałbym. — Chen opuścił wzrok. — Zawsze mam przy sobie telefon. Przez pierwsze dwa tygodnie codziennie wysyłałem mu e-maila. I wciąż jeszcze próbuję. Przez pierwsze dni nie zamykałem nawet tylnego wejścia do domu. Gerry zresztą też nie. — Spojrzał na mnie. — Dlatego myślę, że Bill nie żyje.

— Na jaki adres wysyłasz do niego te e-maile? Na uczelniany?

— Tak.

— Na pewno z niego nie korzysta. Podobnie jak na pewno do ciebie nie zadzwoni. Wie, że to by pomogło go namierzyć. Jeśli jest niewinny, to jest śmiertelnie przerażony i gnębi go rozpacz i poczucie winy jak rozbitka, który jedyny uratował się z katastrofy. I zмага się z tym wszystkim zupełnie sam. Większość ludzi już po dwóch dniach wylądowałaby w wariatkowie. W tej chwili należy pewnie do najgorszej rokujących paranoików w całym stanie. Nie ma jakiegoś innego adresu e-mailowego, z którego mógłby korzystać anonimowo?

— Nie. Już o tym myślałem, ale o niczym takim nie wiem. Ale przecież mógłby w każdej chwili założyć nowe konto i wysłać mi e-mail.

— Może jednak sądzić, że ty też uwierzyłeś w obowiązującą wersję wydarzeń i zechcesz go wmanewrować w przyznanie się.

— Nie. Wie, że nie zrobiłbym tego.

— Z całym szacunkiem, Peter, ale nie masz pojęcia, co to jest paranoja. A na przykład fora naukowe online, grupy dyskusyjne w Usenet, coś w tym rodzaju? Wirtualne miejsca, które mógłby odwiedzać.

Chen przekrzywił głowę.

— O tym nie pomyślałem — rzekł zadumany.

— Trudno oczekiwać, żeby się teraz angażował w jakieś naukowe dyskusje — odezwał się Fisher. — W sytuacji, w jakiej się znalazł.

— Oczywiście, że nie. Ale pamiętaj: dla nas jego historia jest tylko jeszcze jedną ponurą opowieścią o życiu, dla niego natomiast nic poza nią nie istnieje. Jeśli żyje, to od trzech tygodni się ukrywa. Wie, że musi z kimś porozmawiać, i to jak najszybciej, więc będzie się starał znaleźć jakiś sposób. Ale jednocześnie panicznie boi się jakichkolwiek kontaktów, żeby nie naprowadzić na swój trop tych, którzy go ścigają. Dlatego musimy znaleźć sposób, żeby mu to ułatwić.

— Ale przecież nie wiemy, gdzie jest.

— Gdzieś w mieście — powiedziałem. — Nie jest Rambo i nie łązi po górach z nożem myśliwskim w zębach. Nie ma też pieniędzy, bo wie, że skorzystanie z bankomatu od razu go zdekonspiruje. Ale to inteligentny facet i jestem pewien, że chętnie zgarnąłby trochę kasy kosztem pół godziny online. To najlepszy sposób skłonienia go, jaki przychodzi mi do głowy.

Zapisałem na serwetce swój numer komórkowy i podałem Chenowi.

— Jedź do domu. Wejść do sieci i zajrzyj do miejsc, które odwiedzaliście wspólnie z Billem i Gerrym. Wszędzie zostaw dla niego wiadomości. Nie adresuj ich bezpośrednio do Billa, ale umieść w treści wiadomości coś, co mu wpadnie w oko, a jednocześnie go upewni, że pochodzi od przyjaciela. I podaj mu ten numer telefonu. Oczywiście nie otwartym tekstem. Wymyśl jakiś sposób zaszyfrowania go, ale tak, żeby Bill sobie poradził z jego odczytaniem. Potrafisz to zrobić?

Energicznie pokiwał głową. Nie miałem wątpliwości, że coś wymyśli. Od początku wyglądał mi na miłośnika szarad.

— To dobrze. Spróbuj dać mu do zrozumienia, że znasz ludzi, którzy wierzą w jego niewinność. I że ten numer telefonu należy do jednego z nich.

— Jasne. Ale dlaczego twój numer? Dlaczego nie mój?

— Bo jeśli się nie mylimy, to Billa szuka też ten, kto skręcił kark jego żonie, postrzelił w twarz syna, a potem go podpalił. Więc ten, do kogo Anderson zadzwoni, ponosi ryzyko, że ów przyjemniaczek może też namierzyć jego. — Zgniotłem niedopałek i spojrzałem mu prosto w oczy. — Chcesz nim być?

— O, nie — rzucił szybko Chen.

## Rozdział dwudziesty czwarty

Chen odszedł i Fisher spojrział na mnie z wyrzutem.

— Nic mi nie powiedziałaś, że się wybierasz do tego domu. Gdybym wiedział, chętnie bym z tobą poszedł.

— Co było jednym z powodów, dla których ci nie powiedziałem — odparłem. — A poza tym i tak nie miałeś tam czego szukać.

— Jack...

— Wyluzuj. Udało ci się mnie w to wciągnąć, bo rzuciłeś mi w twarz imię mojej żony. To przez nią się tym zająłem i zrobię wszystko, żeby się dowiedzieć, o co w tej całej sprawie chodzi. Ty też się tu zjawileś z tym przyjacielem Andersona bez słowa uprzedzenia.

— Spotkanie z nim to zły pomysł?

— Nie, jeśli nie jest w zмовie z tym, kto załatwił rodzinę Andersona.

— Chryste, ty myślisz, że on mógłby...

— Nie, nie myślę. Ale tobie nie przyszło to nawet do głowy. A jeśli Chen dał komuś cynk, że tego wieczoru Andersona nie będzie w domu? Albo tylko obiecał, że dopilnuje, żeby go nie było? Jeśli któryś z tych domysłów jest prawdziwy, to nasze nazwiska właśnie trafiły na czyjś radar.

Fisher opuścił głowę.

— Jezu, nawet mi to nie przyszło do głowy. Przepraszam. Jestem... To naprawdę nie moja dziedzina.

— I lepiej, żebyś o tym pamiętał. Jeszcze coś. Kiedy do mnie zadzwoniłeś, wiedziałeś, że byłem w Seattle. Chcę wiedzieć skąd?

— Przypadkiem cię widziałem — odrzekł, wzruszając ramionami.  
— Nawet nie miałem zamiaru ci o tym mówić.

— Gdzie mnie widziałeś?

— Na ulicy u wylotu Post Alley. Niedaleko biur Kerry, Crane & Hardy.

— Chcesz powiedzieć, że przypadkiem byliśmy w tym samym miejscu o tej samej porze?

— Nie wiem, po co ty tam byłeś — rzekł ze złością. — Ja poszedłem do Crane'a, żeby się dowiedzieć czegoś o budynku w Belltown. Recepcjonistce powiedziałem, że jestem zainteresowany kupnem. Ale Crane'a nie było w biurze.

— Akurat był. Właśnie od niego wracałem.

— Ach, tak? — Fisher zmarszczył brwi. — A po co u niego byłeś?

— Poprzedniego wieczoru ktoś do mnie zadzwonił. Taksówkarz. Na tylnym siedzeniu znalazł komórkę Amy. — Zawahałem się. Miałem uczucie, że rozmawiając z nim o Amy, okazuję jej nielojalność. Jakbym się włączał w jakąś wymierzoną przeciw niej kampanię. Ale to oczywiście bzdura. — Wystąpiły pewne rozbieżności co do jej miejsca pobytu i poszedłem do Crane'a zapytać o program jej spotkań. Chciałem zwrócić Amy zgubiony telefon.

— I co?

— Nawet nie wiedział, że tamtego dnia przebywała w mieście. W każdym razie tak powiedział.

— A teraz się zastanawiasz, czy to on był tym facetem na moich zdjęciach.

Nic nie odpowiedziałem, nie musiałem.

— Współczuję ci, Jack.

— Wcale nie jestem pewien, czy jest mi czego współczuć.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz. Ale z tego wynika, że w sposób niezaplanowany obaj w ciągu pół godziny odwiedziliśmy biuro Crane'a i obaj wspomnieliśmy o twojej żonie. Czyli w ten sposób mogliśmy się znaleźć, jak ty to nazywasz, na jego radarze, prawda?

— Mnie to nie przeszkadza — odrzekłem. — Rozmawiałem z nim i nie wygląda mi na mordercę.

Fisher zamilkł, a ja nagle poczułem się nieswojo.

— Musisz przestać tak na mnie patrzeć — odezwałem się cicho.

— To znaczy jak?

— Jakbyśmy znów byli w szkole, a ja powiedziałem coś głupiego.

— Tak ci się tylko zdaje, Jack.

— Mam nadzieję — mruknąłem.

— Myślisz, że Anderson zadzwoni?

— Nie mam pojęcia. Chen może mieć rację. Anderson może już nie żyć. Ktoś, kto załatwił jego rodzinę, mógł też dopaść jego. Albo sam mógł skoczyć do zatoki. Dam mu czas do jutra po południu. Potem się wyłączę.

— A jeśli zadzwoni po tym terminie?

— To go skieruję do ciebie. Anderson mnie nie obchodzi. Ciebie zresztą też nie, choć to rzeczywiście ciekawe, że początek jego dziwnego nastroju zbiega się w czasie z dostaniem czeku po śmierci Cranfielda. Traktuję tę dobę jako osobistą przysługę dla ciebie, ale robię to też dlatego, że zwróciłeś mi uwagę na coś, co może być dla mnie ważne. Ale potem wracam. Mam w domu prawdziwe problemy, które tylko tam mogę rozwiązać.

— Dzięki, że przyjechałeś — powiedział. — Naprawdę to doceniam.

— To dobrze. Możesz mi postawić jeszcze jedno piwo.

Ponieważ wyglądało, że naszą kelnerkę ktoś w tym czasie porwał, Fisher sam poszedł po piwo do bufetu. Patrząc, jak owija sobie barmankę wokół palca, i obserwując jego uroczym bezpretensjonalnym uśmiechem, pomyślałem, że pewnie w końcu i tak postawi na swoim i

wciągnie mnie w swoje sprawy. Wrócił po chwili z piwami i przystąpiliśmy do tego, co dwaj samotni mężczyźni zwykle robią w barze w obcym mieście.

Zaczęliśmy się upijać.

\* \* \*

Po pewnym czasie dotarliśmy do hotelu Fishera. Znajdował się w centrum miasta, ale poza tym nie oferował żadnych atrakcji i powiedzmy sobie szczerze, w czymś takim Amy nogi by nie postawiła.

Facet za barem okazał się skończonym palantem, przez co chcę powiedzieć, że spojrzał na nas i odmówił przyjęcia zamówienia na coś do picia. To nas zmusiło do pójścia na górę. Pokój Fishera był duży, idealnie prostokątny i miał okno wychodzące na kolejny z niezliczonych w tym mieście krytych parkingów. Wpatrzyłem się w widok za oknem, Fisher pozapalał światła w pokoju. Na parkingu panował wzmożony ruch. Klienci wchodzili i wychodzili ze znacznie większą częstotliwością, niżby to wynikało z liczby parkowanych samochodów. Zresztą większość z nich i tak była pieszko, a ja pomyślałem, że gdybym nagle nabrał ochoty na jakieś prochy, nie miałbym problemu z ich znalezieniem. Po chwili bez trudu wypatrzyłem dealera. Nie dlatego, że go już kiedyś widziałem, tylko dlatego, że znałem ten typ. Ten podgatunek. Chudy, blady, z dziobatą twarzą i krótkimi, gęstymi jak sierść czarnymi włosami. Facetów o takim wyglądzie można też spotkać, jak bladym świtem nonszalancko wysiadają z samochodu, do którego przed chwilą się włamali. Pozbawieni zasad moralnych, poczucia winy i empatii kulturowi krety. A może raczej szczury, choć szczury są w istocie stworzeniami znacznie szlachetniejszymi i tylko ludzie uparli się, by czynić z nich symbol wyrzutków naszego gatunku, którzy w nadziei na łatwą zdobycz gotowi są wgryzać się w cudze życie.

Na szczęście minibarek w pokoju był dobrze zaopatrzony i w odróżnieniu od barmana na dole nie miał nic przeciwko naszemu stanowi.

Zasiedliśmy z Fisherem w przeciwnych końcach pokoju na jedynych dwóch fotelach. Było już po jedenastej, miałem za sobą długi spacer na zimnie i wpadłem na pomysł, żeby wysłać SMS-a do Amy. Nie byłem pewien co do treści, ale wiedziałem, że powinno to być coś krótkiego. I miłego. Potem doszedłem do wniosku, że lepiej dać sobie spokój. Dwukrotnie. Ale pomysł chyba uznał, że nie został właściwie potraktowany, bo odmawiał opuszczenia mojej głowy. Zmagając się z nim, wiedziałem, że za chwilę Amy i tak będzie już spała.

Siedziałem wyciągnięty w fotelu z rękami opuszczonymi i głową odrzuconą do tyłu, nie mogąc się zdecydować. Czulem zmęczenie, ale jednocześnie w ogóle nie chciało mi się spać.

— Jak to się stało, że nie macie dzieci? — spytał po chwili Fisher.

— Amy dużo pracuje — odparłem, czując niesmak, że zwałam to na nią.

Znów zapadła cisza, lecz po chwili ponownie przerwał ją Fisher.

— Wiesz, ona mi się czasem śni — powiedział.

Nie wiedziałem, o kim mówi.

— Kto?

— Donna.

Przez chwilę wysilałem pamięć, w końcu jednak sobie przypomniałem. Uniosłem głowę i spojrzałem na niego.

— Ta dziewczyna ze szkoły? Ta, która się zabiła?

— Mhm.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

— Pewnie to zrozumiałe. Jeśli dobrze pamiętam, jej śmierć odmieniła twoje życie.

— Odmieniła. Ale nie tak, jak sądzisz. Nigdy o niej nie myślałem. To, co się stało, było oczywiście straszne. Przez pewien czas bardzo się tym przejmowałem.

— To nie była twoja wina.



— Wiem, że nie. — Uśmiechnął się słabo. — To samo powiedziałeś wtedy i byłem ci za to wdzięczny. Szczerze mówiąc, gdyby nie ta nasza rozmowa na bieżni, pewnie bym cię w ogóle nie zapamiętał. Chodzi mi o to, że po pewnym czasie pogodziłem się z jej postępkami. Zdałem sobie sprawę, że nie mogę ponosić odpowiedzialności za jej decyzję. Byłem smarkaczem, przypuszczalnie niezbyt mądrym i na pewno zbyt w siebie zapatrzonym, tyle że ani jedno, ani drugie to nie przestępstwo, prawda? Nie zrobiłem nic, co mogłoby ją do tego pchnąć. Ale i tak przez dwa lata studiów byłem pod stałą opieką terapeuty i stopniowo pozbyłem się wyrzutów sumienia. Potem zająłem się swoim życiem i mi się powiodło. Miałem udane życie.

— Miałeś?

Nie zareagowałem.

— Przez całe lata o niej nie myślałem, a jeśli nawet, to bardziej jak o historii, którą ktoś mi opowiedział, a której morał znałem. A potem pewnej nocy mi się przyśniła.

Siedział ze wzrokiem wbitym w ręce złożone na kolanach i choć światło w pokoju było przytłumione, wydało mi się, że jego dłonie drżą.

— Jakiś rok temu śniło mi się, że wróciłem wcześniej z pracy i zastałem dom pusty. Nie zaniepokoiło mnie to, bo wiedziałem, że dzieci są jeszcze w przedszkolu, a żona na zakupach albo na kawie z sąsiadką. Miałem papiery do przejrzania i poszedłem do siebie, ale po chwili wydało mi się, że słyszę lejącą się wodę. Początkowo nie mogłem się połapać, skąd ten odgłos dochodzi, ale w końcu się zorientowałem, że z góry. Wydało mi się to bardzo dziwne, bo przecież wiedziałem, że dom jest pusty. Podszedłem do schodów i spojrzałem w górę. — Po jego twarzy przebiegł skurcz. — I wtedy zobaczyłem, jak na piętrze przemyka jakiś cień.

— I co, poszedłeś na górę?

— Oczywiście. Przecież opowiadam ci sen, nie? Właśnie chodzi w nim o to moje pójście na górę. A właściwie wbiegnięcie, bo ten cień...

przesunął się bardzo nisko po ścianie. A ja mam dwójkę małych dzieci, więc się wystraszyłem. Przeraziłem. Biegnę schodami w przeświadczeniu, że któremuś się coś dzieje, docieram na piętro i dźwięk lejącej się wody staje się dużo wyraźniejszy. Biegnę do końca korytarza, ale drzwi do łazienki są zamknięte. Naciskam klamkę, nie ustępują. Wiem, że nie ma w nich zamka. Zdemontowaliśmy go, kiedy dzieci podrosły na tyle, że mogłyby się zamknąć. Kopię w drzwi i słyszę, że w środku ktoś jest i wydaje jakieś dźwięki. To nie są słowa, tylko jakby pojękiwanie, a ja wiem, że to jedno z moich dzieci. Jestem tak zdesperowany, że cofam się i walę barkiem w drzwi, które nagle otwierają się bez trudu, a ja turlam się po podłodze łazienki. W łazience nie ma nikogo, wanna jest pusta, wszystko wygląda normalnie. Stoją szampony mojej żony w dziesięciu równych rzędkach, ster-ta czasopism leży obok sedesu, a obok zielony plastikowy wieloryb pełen dziecięcych zabawek do kąpieli. Wszystko w porządku, tylko że wtedy słyszę za plecami cichy szcęk. Wychodzę na korytarz i widzę, że drzwi w głębi są lekko uchylone. Sięgam do klamki, ale nagle nie chcę tych drzwi otwierać. Są na tyle uchylone, że przez szparę widzę fragment pokoju mojej córki, kawałek wykładziny na podłodze i część ściany. I widzę, jak po tej ścianie przesuwa się cień, tym razem o wiele za duży na dziecko, później słyszę szelest pościeli, jakby ktoś odchylił z łóżka kapę i ułożył się na odkrytym kawałku, i nie mam pojęcia skąd, ale wiem, że ten ktoś jest nagi i że na mnie czeka. Ale dopiero jak zaczynam pchać drzwi, dociera do mnie, że na łóżku jest Donna.

Przerwał nagle i dopiero po chwili dodał:

— Ale było już za późno.

— Za późno na co? — spytałem.

Potrząsnął głową, jakbym powinien się sam domyślić lub jakby nie mógł tego wypowiedzieć.

— I od tamtej pory mnie prześladowuje. Sen powtarza się co parę tygodni, czasem rzadziej. Za każdym razem, nim się obudzę, drzwi

otwierają się nieco szerzej, a ja wiem, że jeśli kiedyś otworzą się na tyle szeroko, bym zobaczył jej twarz, to już się wcale nie obudzę. Że wejdę do środka, a ona tam będzie leżała z uśmiechem na twarzy. Drzwi się za mną zamkną i już nigdy stamtąd nie wyjdę.

Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć.

— Starzejemy się — bąknąłem w końcu. — Życie stało się teraz tak zagmatwane i trudne, że wracamy do czasów, kiedy wszystko zdawało się prostsze.

Wydał z siebie krótkie, chrapliwe parsknięcie.

— To, co ona wtedy zrobiła, wcale nie było proste.

— Wiem, ale...

— Jest jeszcze coś. Sen uporczywie wracał, a ja byłem przybity i nie mogłem skupić się na pracy.

— Próbowalesz z kimś porozmawiać?

— Właściwie nie. W każdym razie żonie nic nie powiedziałem. Kiedy się poznaliśmy, tamta sprawa należała do przeszłości. No i wiesz... jak coś w tobie siedzi naprawdę głęboko i komuś o tym opowiesz, a ten ktoś nie zrozumie, jak ci to ciąży, to jest jeszcze gorzej i żałujesz, że w ogóle otworzyłeś usta i zdradziłeś swój sekret. Więc...

Znowu przerwał. Za oknem przejechał radiowóz z wyjącą syreną. Wyobraziłem sobie dealera i jego klientów, jak rozpierzchają się na boki niczym spłoszone szczury, by za chwilę znów powrócić.

— Ale... nieważne — rzekł Gary. — Jak dobrze pamiętasz Donnę?

— Tak sobie. Znałem ją tylko trochę. Nie była brzydka. Ale wiesz, umarła.

Pokiwał głową.

— Podczas terapii, na którą chodziłem w czasie studiów, ledwie mogłem przypomnieć sobie jej twarz. Ale jak się zaczęły te sny, okazało się, że bardzo dokładnie ją pamiętam.

— To dlatego, że...

— Jack, przymknij się i daj mi mówić, dobrze? No i pewnego

sobotniego popołudnia jestem w parku z Bethany. To moja córeczka, która właśnie skończyła dwa lata. Siedzi na trójkołowcu, wiesz, takim z rączką z tyłu do popychania, żeby nie musiała pedałować. Jestem zmęczony pracą i brakiem snu, niebo jest mocno zachmurzone, zanoszą się deszcz i właściwie mam wszystkiego dosyć. Mówię małej, że pora wracać do domu, ona odwraca główkę, patrzy na mnie i wtedy to zobaczyłem.

— Co zobaczyłeś?

— Nie wiem, jak to opisać. Bethany była strasznie naburmuszona, bo chciała jeszcze pojeździć po parku, ale nie o to chodzi. W każdym razie nie tylko o to. W jej wzroku dostrzegłem coś jeszcze. Jakby jej oczy promieniowały.

— W ogóle nie wiem, o czym mówisz.

Gary wzruszył ramionami.

— W ciągu paru następnych dni... Wiesz, dzieci zmieniają się z tygodnia na tydzień, czasem nawet z dnia na dzień. Ona jest teraz w takim wieku. Ale...

— Ale co, Gary?

— Parę tygodni później wszyscy siedzimy przy śniadaniu, panuje zwyczajne zamieszanie i w pewnym momencie moja żona nachyla się i zaczyna wpatrywać w twarz Bethany. „Skąd ona to ma?”, pyta, a ja nie mam pojęcia, o czym mówi. Żona pokazuje palcem i rzeczywiście. Koło oka Bethany jest nieduży ślad, jak od uderzenia. Jakby zakrzywiona blizna. Odpowiadam, że nie wiem i że na mojej zmianie nic się nie wydarzyło. Megan na to, że na jej też na pewno nie, i nagle zaczyna się robić nieprzyjemnie. Przez cały czas naszej przepychanki Bethany nie spuszcza ze mnie wzroku i znów widzę w jej oczach ten dziwny blask. I nagle zdaję sobie sprawę, że już wcześniej widziałem takie znamię. Czuję, że muszę natychmiast wstać od stołu, więc wstaję i wychodzę z domu odprowadzony wściekłym spojrzeniem Megan. I dopiero w drodze do pracy uświadamiam sobie, o co chodzi w tym wszystkim.

Mówił teraz cichym, beznamiętnym tonem.

— Myślę o tych nawiedzających mnie od miesięcy snach, że chcą mi coś przekazać. I nagle do mnie dotarło. Z taką siłą, że musiałem na chwilę stanąć. Uświadomiłem sobie, gdzie wcześniej widziałem taką bliznę. Takie znamię było na twarzy z moich snów. Na twarzy Donny.

— Gary, proszę cię, powiedz mi, że nie mówisz tego poważnie. — Wlepiam w niego wzrok.

— Oczywiście, że nie. Ale jako gliniarz musiałeś miewać takie chwile, kiedy nagle doznawałeś olśnienia: Tak, to tak musiało być! Albo: Tak, to ten facet! Ale w rzeczywistości tylko ubierałeś w słowa coś, co już w tobie siedziało od wielu dni czy tygodni, a teraz jedynie wychodziło na wierzch. I od razu wiedziałeś, że o to chodziło.

— Tak, znam to uczucie. Ale czasem znaczy tylko tyle, że człowiek za bardzo wszystko zagmatwał i już jedynie on może coś z tego zrozumieć.

Ale Fisher mnie nie słuchał.

— Przez chwilę poważnie się zastanawiałem, czy ona nie wróciła — powiedział cicho. — Donna. Żeby tym razem być bliżej mnie.

Milczałem, nie spuszczać z niego wzroku.

— Wiem, jak to głupio brzmi. Nawet gorzej niż głupio. Ale skąd takie sny, Jack?

— Bo... Słuchaj, czy ty się z nią przespałeś?

— Jack, ja nawet nie bardzo wiedziałem, że ona istnieje. O to właśnie chodzi. Dlatego tak mnie to obeszło. Był ktoś, komu tak bardzo na mnie zależało, a ja nawet nie zauważałem, że mieszka na tej samej planecie co ja.

— Powiem ci, co myślę — rzekłem. — Donna odeszła z tego świata i nie ma jej już nigdzie poza twoją głową, bo wciąż ci się zdaje, że ponosisz winę za to, co się stało. Ale prawda jest taka, że nie ma się wpływu na postępowanie innych. Każdy jest złożoną całością, w której mieszczą się dwie różne istoty. Istota, którą znasz, i istota, której nie znasz; ta ostatnia była przed tobą, pojawia się, kiedy cię nie ma,

zostanie i będzie rządzić po twoim odejściu. Za to istota, którą znasz, staje się jakby emanacją twojego umysłu, twojego jestestwa. I dlatego naprawdę kimś innym jest tylko ta druga istota. Ta, której nie znasz.

— Tak. — Pokiwał głową. — Tak. Pewnie masz rację.

Też kiwnąłem głową, wydymając usta jak osiemnastoletni mędrzec. Przez chwilę zrobiło się tak, jakby otaczające nas ściany znikły i jakbyśmy siedzieli w fotelach przy opustoszałej bieżni. Jakby wszyscy nasi przyjaciele odbiegli do innych zajęć i zostawili nas samych, a my mieliśmy tu zostać już na zawsze.

\* \* \*

Jeszcze trochę porozmawialiśmy, ale chyba już niedługo, bo w pewnej chwili przysnąłem. Obudził mnie telefon. Poderwałem głowę i zobaczyłem, że siedzący na drugim fotelu Fisher zrobił to samo. Czerwone cyferki na budziku przy łóżku pokazywały 3.18.

Dzwoniła moja komórka. Wyłuskałem ją z kieszeni.

— Ta — mruknąłem.

— Czy to Jack Whalen?

— Kto mówi? Zapadła chwila ciszy.

— Nazywam się Bill Anderson — powiedział męski głos.

## Rozdział dwudziesty piąty

W końcu Shepherd oddzwonił do Rose. Miał większą swobodę działania niż inni, ale istniały pewne granice, których nawet on nie powinien przekraczać. Przypuszczał, że skończy się to na rozmowie telefonicznej, ale Rose się uparła, że chce się z nim spotkać osobiście. Zaproponowała spotkanie na starym mieście w okolicach Pioneer Square, ale się nie zgodził. Nigdy nie lubił tego miejsca. Powietrze było tam aż gęste i miało się wrażenie, że jest tłoczno nawet wówczas, gdy w pobliżu nikt nie spacerował.

Przyszedł przed czasem do parku Victora Steinbruecka, ciągnącym się na północ od targu rybnego, w miejscu dawnego urwiska nad brzegiem zatoki. Trawnik był upstrzony nieruchomymi sylwetkami śpiących i wylegujących się kloszardów, przy kilku piknikowych stołach siedziały grupki pijaczków i narkomanów, Shepherd wyczuł jednak od razu, że są tu też inni. Wrażenie ich obecności było znacznie słabsze niż w rejonie placu, ale tu i tam przybierało na intensywności wraz z zapadnięciem zmroku. Zresztą ostatnio stawało się coraz wyraźniejsze bez względu na miejsce. Usiadł przy stole we frontowej, wybrukowanej części parku, skąd roztaczał się widok na autostradę i ruchliwy wiadukt Alaskan Way, który ciągnął się aż po wionącą chłodem toń Zatoki Elliotta. W pogodny dzień rozciągał się stąd widok

na całą panoramę od Cieśniny Pugeta aż po Górę Rainiera na południu, teraz jednak wszystko było ciemne, zachmurzone i martwe.

Po raz pierwszy od przyjazdu do tego miasta siedział, nigdzie się nie spiesząc. Cały dzień spędził na nogach. Poszedł do rezydencjalnej dzielnicy Queen Anne i odwiedził elegancki bar hotelowy w centrum miasta. Uparcie krążąc ulicami, obszedł całe centrum, dzielnicę międzynarodową i rejon Broadwayu.

Nigdzie się na nią nie natknął.

Rose spóźniła się godzinę. Przyszła sama, ale Shepherd zauważył, że żaden z kloszardów nawet nie uniósł głowy, by spojrzeć na idącą samotnie przez park niezbyt postawną kobietę. Zmysł unikania niepożądanych kontaktów jest znacznie bardziej wyostrojony u ludzi z marginesu społecznego niż u żyjących w centrum. Wśród odrzuconych następuje ewolucja pod wpływem przemocy i podłych narkotyków, dzięki czemu ludzie ci na odległość wyczuwają to, czego inni w ogóle nie zauważają.

Usiadła po przeciwnej stronie betonowego stołu bez uśmiechu i słowa powitania.

— Zapewne nastąpiło nieporozumienie — powiedziała. — Myślałam, że do twoich obowiązków należy natychmiastowa reakcja na moje telefony. A nie ociąganie się przez trzy zasrane tygodnie.

— Byłem zajęty. Robiłem to, co mi zleciłaś.

— No i?

Shepherd zauważył, że przy innych stołach w parku pojawiły się samotne postacie kobiet i mężczyzn w zwyczajnych, nierzucających się w oczy ubiorach. Jakies trzydzieści metrów od stołu stanął mężczyzna z krótkimi rudymi włosami. Żadna z postaci nie patrzyła w jego stronę i żadnej nie rozpoznawał. Ale nie musiał ich znać, by wiedzieć, kim są. Byli jak on i jak on żyli na walizkach. Zastanowiło go, czemu Rose uznała, że na spotkanie z nim musi przyjść z ochroną.



Zakładając oczywiście, że to tylko ochrona.

Przełożył ręce i wsunął prawą dłoń do kieszeni z pistoletem.

— Sprawa Oza Turnera załatwiona — powiedział. — Tylko niepotrzebna strata czasu. I tak nikt by go nie słuchał. Ale nieważne. Wszyscy mający bliższy kontakt z Andersonem nie żyją. Jego notatki zniszczone. Sprawa zakończona.

— Kpisz sobie?

Shepherd wzruszył ramionami.

— On sam gdzieś zniknął. Prawdopodobnie nie żyje. Więc...

— Jeden z twoich kolegów go widział — przerwała. — Wczoraj. Nadal jest w mieście.

— Jeśli masz kogoś, kto wie, gdzie on jest, to dlaczego się nim nie zajmie?

— Bo to należy do ciebie. To twoje zadanie.

— Ta sytuacja nie wynika z mojej winy — rzekł spokojnie. — Od początku twierdziłem, że nie musimy się pozbywać Andersona.

— To dziwne. Bo zawsze myślałam, że jesteś zwolennikiem radykalnych, czarno-białych rozwiązań. Byłeś taki, kiedy się poznaliśmy.

— I nadal jestem. Ale to znaczy, że czasem trzeba wybrać białe. Wystarczyłoby, żeby Andersona wyrzucili z pracy. Nie powinni byli pozwolić tej Dziewiątce na próbę załatwienia tego po mojemu.

— Inni nie zostali uprzedzeni. Od chwili kiedy Cranfield zrobił to, co zrobił, stało się jasne, że trzeba będzie posprzątać. Mnie powierzono rolę koordynatora i nie twoja sprawa dłaczego, Shepherd.

— Nie wymądrzaj się — prychnął. — Zajmowałem się tym, kiedy ty jeszcze nosiłaś pieluchy.

— Gratuluję. I co chcesz przez to powiedzieć?

— Po jakimś czasie człowiek zaczyna się zastanawiać.

— Ale i tak robi to, co mu od początku kazano, prawda? Bo taki jest układ.

Tak, układ. Shepherd czuł wiejący znad zatoki zimny wiatr. Wodził

wzrokiem za samochodami pędzącymi wiaduktem Alaskan Way — osłami gnającymi za marchewkami własnych reflektorów. W czasach jego młodości jednym z wielu niezwykłych pomysłów z dziedziny science fiction były samochody niewymagające ludzkiej obsługi, mające jeździć po wytyczonych trasach. Był ciekaw, ilu ludzi zdaje sobie sprawę, że zostało to zrealizowane i że niepotrzebny jest już nawet samochód.

— Niepokoisz mnie — rzekła Rose. — U ciebie wszystko w porządku?

— W porządku.

— Na pewno? Nie wyglądasz najlepiej.

Odwrócił wzrok od samochodów i spojrzał w jej szare przenikliwe oczy.

— Ze mną wszystko w porządku, Rose.

— Wolę ci wierzyć. Głupio byś zrobił, gdybyś nie chciał się przyznać.

— Przekaż, co masz dla mnie — powiedział.

Podala mu kartkę, na której coś napisano.

— I tym razem żadnych nieprzewidzianych strat. Innymi słowy, nie spieprz tego.

Podniósł na nią wzrok i z przyjemnością zauważył, że wstaje już od stołu. Kątem oka dostrzegł, że postacie przy innych stołach też już wstają, jakby szykując się do utworzenia orszaku. Ciekawe, jak wysoko wzeszła gwiazda Rose, pomyślał.

— Nie spieprzę — mruknął.

\* \* \*

Postacie rozplynęły się w mroku i Shepherd i Rose zostali sami. Ruszyli pod górę parkowego zbocza, mijając po drodze rząd smukłych słupów totemicznych. Stawiali je miłośnicy dziedzictwa przeszłości, nie wiedząc lub nie dbając o to, że tutejsi mieszkańcy — a właściwie w ogóle rdzenni Amerykanie — zaczęli je robić dopiero po

dotarciu tu białych z ich metalowymi narzędziami. Potem biali uznali za stosowne wykraść słynne słupy totemiczne — w tym także ten najsłynniejszy z Pioneer Square — z wiosek indiańskich w promieniu wieluset kilometrów i ustawić je w mieście.

Zatrzymali się kawałek przed Western Avenue, która wyznacza granicę terenów parkowych. Shepherd wiedział, że nie może już dłużej z tym zwlekać.

— Może pojawić się jeszcze jeden problem — rzucił beztrasko. — W Oregonie zniknęła dziewczynka.

— No i co?

— Myślę, że to jedna z waszych.

— Skąd taki pomysł?

— Odnalazłem tę małą i porozmawiałem z nią. Jest kompletnie zdezorientowana i zagubiona. Jeśli zacznie mówić, może się zrobić niebezpiecznie. Udało jej się mnie zgubić.

— Bardzo nierozważne.

— To było w miejscu publicznym.

— Jakiś dzieciak ucieka z domu — powiedziała, unosząc brew — a ty od razu doprowadzasz do poważnego kryzysu?

— Zajmuję się tym od bardzo dawna, Rose. Czasem tak się dzieje. Miewają przebłyśki pamięci i sprawy wymykają się z rąk. Dziecko z przyzwoitej, zwyczajnej rodziny bez żadnych problemów w przeszłości któregoś ranka nagle znika. Dorosłym też się to zresztą zdarza. Znikają z powierzchni ziemi. Wszyscy sądzą, że zginęli w ten czy inny sposób albo że wylądowali w sąsiednim stanie w środowisku ćpunów. Ale nie zawsze tak jest. Czasem rzeczywiście odnajdują się gdzieś indziej, ale żyją. I wiedzą, że zaszła w nich jakaś zmiana.

Chwilę się zastanowiła.

— No i?

— No i myślę, że jest teraz w Seattle. W każdym razie wyruszyła w te strony.

Rose zaklęła. Shepherd wiedział, że za wszelką cenę chce utrzymać spokój w mieście. Zwłaszcza teraz.

— Ile ona ma lat?

— Dziewięć.

— Dziewięć? — Przyjrzała mu się badawczo. — Shepherd, czy ty wiesz o tej sprawie coś, czego mi nie mówisz?

— Ja? — zdziwił się, wytrzymując jej wzrok, choć nie było to proste. — Jestem tu tylko, żeby służyć.

Odwróciła się i już przez ramię rzuciła:

— Zabij ją.

Patrzył za oddalającą się Rose, lekko się uśmiechając.

## Rozdział dwudziesty szósty

- Chyba już nie przyjdzie.
- No to nie przyjdzie — odrzekłem.

Fisher pokręcił głową i powrócił do wpatrywania się w okno. Było trochę po ósmej i siedzieliśmy w knajpie Byron's z widokiem na Pike Place. Do środka wchodziło się wprost z targowiska, mijając zwalistych handlarzy ryb głośno reklamujących swój towar i wkraczając wprost do niskiego, zapyziałego lokalu. Właściciele wyraźnie nie mogli się zdecydować, czy główną atrakcją ich przybytku mają być ociekające tłuszczem śniadania, czy podawane od rana wzmocnione koktajle. Podobne wątpliwości miała też część tutejszych bywalców. Środek sali zajmował niechlujny wiekowy bufet z płytą kuchenną, wokół którego na stołkach barowych siedzieli niechlujni wiekowi mężczyźni, oddając się konsumpcji jednej, drugiej lub obu specjalności. Część miała na sobie wyplamione białe fartuchy, świadczące o tym, że już od wielu godzin przerzucali skrzynki z obłożonymi lodem świeżymi owocami morza, inni, ubrani w białe koszule i krawaty, starali się pozować na ludzi, którzy tylko przypadkiem zajrzeli tu po drodze do pracy i równie przypadkowo natknęli się na kufel z piwem. Cała ściana od strony Zatoki Elliotta była przeszklona i siedzące pod nią grupki turystów miały z lekka wystraszone miny, a dowodzący nimi ojcowie niespokojnie wertowali przewodniki.

Zamówiłem dzbanek mocnej kawy, Fisher skusił się na śniadanie. Wyznał wcześniej, że ostatnio prawie nie pije, w co od razu uwierzyłem, gdyż po przebudzeniu się dziś rano snuł się smętnie. Sam też nie czułem się jak skowronek, więc gdy kelnerka zaproponowała dolewkę kawy, zgodziłem się, zostawiłem Fishera nad talerzem krzepnącej smażeniny i wyszedłem na papierosa.

Rozmowa z Andersonem była krótka. Nie chciał powiedzieć, skąd dzwoni, i odmówił przyjscia do hotelu Fishera. Nie chciał też, byśmy przyjechali do niego, a Byron's wybrał pewnie ze względu na panującą tu ruch. Zgodziłem się bez oporów, bo znałem już to miejsce. Trafiłem tu w ramach leczenia kaca między przebudzeniem się w parku Occidental a wizytą na policji, kiedy próbowałem zgłosić zaginięcie Amy.

Zgasilem peta na kocich łbach uliczki i przyjrzałem się przewalającym się tłumom. Turyści i klienci, dorośli i dzieci. Sprzedający, kupujący i jedynie oglądający. Rozmawiający, pokrzykujący, milczący. Zachowujący się zwyczajnie, a mimo to wyglądający jakoś dziwnie. Poruszający się w określonym celu, ale jakby sterowani zewnętrzna inteligencją, której obecności można się było tylko domyślać. Oczywiście wszystko to mogły być tylko moje zwiady na kacu.

Dla zabicia czasu podszedłem do stojącego kawalek dalej bankomatu i podjąłem trochę gotówki. Czekaając na wypłatę, mocno przetarłem oczy. Muszę wziąć się w garść. Czułem się bezbronny, podłamanym i bardzo zmęczony.

\* \* \*

Dwadzieścia minut i pół kolejnego dzbanka kawy później coś dostrzegłem.

— Okay — powiedziałem do Fishera, który uniósł głowę. — Chyba się udało.

Drzwi do knajpy były otwarte na oścież i widziałem sunący uliczką

zwarty tłum, zdarzały się jednak przerwy i w jednej takiej luce dostrzegłem mężczyznę stojącego nieopodal miejsca, gdzie niedawno paliłem papierosa. Na chwilę zniknął mi z oczu, ale zaraz znów się pojawił, tym razem nieco bliżej wejścia. Był średniego wzrostu, miał poszarzałą cerę i trochę zbyt obwisłą skórę. Z grubsza pasowałby wyglądem do otaczającego go tłumu, gdyby nie jego płomienny wzrok, tak jakby szykował się do zamachu na rząd Stanów Zjednoczonych lub do zrobienia ostatniego kroku ku przepaści, o której istnieniu tylko on jeden wiedział.

— To on — szepnął Fisher. — Przynajmniej tak mi się zdaje. Tyle że stracił trochę na wadze.

Spojrzałem mężczyźnie prosto w oczy i lekko skinąłem głową, potem odchyliłem się do tyłu na oparcie krzesła, dając znak Fisherowi, żeby zrobił to samo. Chciałem w ten sposób uspokoić Andersona, że jest nas tylko dwóch, w położonych na stole rękach nic nie mamy i trzymamy dla niego wolne miejsce. Potem opuściłem wzrok i zająłem się picciem kawy.

Po chwili się przysiadł.

Z bliska było widać w jego oczach strach. Przesunąłem w stronę Andersona kubek z kawą, a on podniósł go do ust i pociągnął długi łyk.

— Dobrze się pan czuje?

Zareagował jakimś grymasem, który może miał być uśmiechem. Na jego miejscu też nie bardzo bym wiedział, co odpowiedzieć. Pytanie było z gatunku idiotycznych, ale czasem nie da się ich uniknąć.

— Mam na imię Jack — powiedziałem. — A to jest Gary. I od razu chcę zapewnić, że obaj nie wierzymy, żebyś zamordował swoich bliźnich. Byłem u ciebie w domu i wiem, że to sprawka kogoś z zewnątrz.

— W tej chwili nawet nie mogę o tym myśleć.

Głos miał niski i chrapliwy, jakby zmagał się z atakiem grypy.

— Jasne. — Kiwnąłem głową. Odsuwanie od siebie myśli o tym, co się stało z żoną i synem, wydało mi się rozsądnym wyjściem. Pewnie

terapeuci od leczenia traumy pourazowej byłiby innego zdania, ale oni po dniu pracy mogą wrócić do domów i czekających na nich rodzin. — Gdzie teraz mieszkasz?

— Różnie. Przenoszę się z miejsca na miejsce.

— Starcza ci pieniędzy?

— Miałem prawie pięćdziesiąt dolarów, ale kupiłem szczoteczkę do zębów i mydło. Trochę tanich ciuchów, coś do jedzenia.

Położyłem rękę na stole i pokazałem ukryty w dłoni zwitek banknotów. Na jego widok aż się skrzywił.

— Nie — powiedział i potrząsnął głową.

— To tylko pożyczka. Oddasz mi.

Po chwili wahania położył dłoń na mojej, a potem wsunął pieniądze do kieszeni.

— Chcesz coś zjeść?

Pokręcił głową.

— Kawy bym się napił.

Dałem znak kelnerce i wszyscy trzej zamilkliśmy, czekając na zrealizowanie zamówienia. Wiedziałem, że Anderson potrzebuje trochę czasu na oswojenie się z sytuacją.

Fisher postanowił mnie wyręczyć.

— Jak to się stało, Bill? — zapytał.

— Skąd ja mogę wiedzieć. — Pokręcił głową.

— Ale dlaczego uciekłeś?

— Bo się bałem.

— Nie chciałeś wrócić do domu i sprawdzić, czy żyją?

— Na jego miejscu też bym uciekł — wtrąciłem. — Sąsiedzi i tak zrobiliby, co w ich mocy. A gliny były już w drodze. Też bym wiedział, że to nie był wypadek, prawda?

Anderson zaczął płakać. W wyrazie jego twarzy i ruchach nie nastąpiła żadna zmiana, chwilę wcześniej jego policzki były suche, a teraz po prostu zrobiły się mokre. Niepewnym ruchem odstawił kubek na stół.

— Mimo wszystko należało tam pójść — powiedział.



I rzeczywiście powinien, ale musiałby się powstrzymać od dotykania żony i dziecka. Inaczej jeszcze bardziej by wszystko skomplikował, gdyż zostawiłby ślady. Ale nie musiałem mu tego mówić.

— To oczywiście zrozumiałe, że tak czujesz, ale i tak było już po wszystkim. Nim wróciłeś, oboje już nie żyli. Idąc tam, niczego byś nie zmienił, a ryzykowałeś, że mogą cię złapać i zabić. Rozumiesz? To ważne, żebyś zrozumiał.

Nic nie powiedział. Na grillu za bufetem buchnął płomień, towarzysząc przerzucanym dwóm kolejnym hamburgerom. Przy stole w kącie sali dwoje dzieci kłóciło się o coś z wielką zawziętością, niemal można było uwierzyć, że jutro będą pamiętały, o co im poszło.

— Bill — odezwał się Fisher. — Wiem, jakie to dla ciebie trudne, ale...

— Tak? Wiesz? — syknął Anderson. Odwrócił się tak zdecydowanym ruchem, jakby się ostatecznie od nas odcinał. — Nie masz żadnego...

Głowa mu opadła i wyglądało na to, że nic więcej nie powie.

Fisher skrzywił się i przy stole zapadła cisza. Odczekałem dłuższą chwilę. Miałem nadzieję, że Anderson za moment trochę się uspokoi.

— Mojego ojca też zamordowano — powiedziałem.

Czułem się dziwnie, mówiąc coś, co na stałe tkwiło w mojej świadomości i od tak dawna wpływało na moje życie, że właściwie nie wyobrażałem sobie, by ktoś mógł jeszcze o tym nie wiedzieć. Dziwne i jednocześnie wyrachowane zachowanie, byłem jednak jedynym człowiekiem na świecie, któremu wolno posłużyć się tym do swoich celów.

Fisher spojrział na mnie wyraźnie zaskoczony.

— Nic nie wiedziałem.

— Nie mogłeś. Byłem wtedy już na studiach.

— Kto to zrobił?

— Nie wiem. — Zauważyłem, że Anderson odwrócił głowę i mi się przygląda. — Nigdy się nie dowiedzieliśmy. Mnie wtedy nie było, mama pojechała odwiedzić siostrę i została u niej na noc. Ktoś się

włamał do domu. Ojciec zszedł na dół i ich nakrył. Nie należał do ludzi, którzy w takiej sytuacji uciekają. Zabili go, nieumyślnie lub świadomie, tego nie wiem, a potem obrabowali dom. Zabrali stary telewizor, magnetowid, garść biżuterii i osiemdziesiąt dolarów w gotówce.

Po minie Fishera było widać, że nie wie, co powiedzieć.

— Nie porównuję tego z twoją stratą. — Spojrzałem na Andersona. — Problem w tym, że nie mogę go odzyskać, tak jak ty nie możesz odzyskać swojej rodziny. Do naszych domów wdarli się obcy, którzy nie mieli do tego prawa, i zabrali naszych bliskich. Cóż można w tej sprawie zrobić?

Jeszcze przez długą chwilę Anderson siedział w milczeniu, w końcu jednak odwrócił się do nas.

— A co ja mogę zrobić? Gliny myślą, że to ja.

— Więc powiedz nam coś, co pomoże im zmienić zdanie. Na przykład, jaki to wszystko ma związek z czekiem na ćwierć miliona dolarów.

Spojrzał na mnie ze zdumieniem.

— Skąd, u diabła, o tym wiecie?

Kiwnąłem głową na Fishera. Chciało mi się palić, rozmowa z Andersonem strasznie mnie dołowała i wcale nie miałem ochoty jej kontynuować.

— Zajmuję się masą spadkową Josepha Cranfielda — zaczął Fisher. — Byłem jego prawnikiem, a ty należysz do nielicznego grona jego spadkobierców. Zauważyłem też, że nie zrealizowałeś tego cheku. Dlaczego?

— Nie widziałem człowieka na oczy — rzekł Anderson. — Nawet o nim nie słyszałem. Któregoś ranka przynoszą mi ten wariacki czek, a ja nie mam pojęcia, co z nim zrobić ani dlaczego mi go przysłano. Do cheku był dołączony list.

— Wiem. — Fisher kiwnął głową. — Sam go pisałem.

— To jak ty to sobie, do cholery, wyobrażałeś?

— Co mianowicie?

— Oferować kupę pieniędzy, ale stawiać mi takie warunki.

— Nie rozumiem. Jakie warunki?

— Sam napisałeś, to wiesz.

— W liście napisałem tylko coś w rodzaju „Oto twoje pieniądze, życzę powodzenia”. I wyjaśniłem, od kogo pochodzą. Nic więcej. W testamencie twoja działka nie była obwarowana żadnymi warunkami.

Anderson nie odrywał wzroku od Fishera. Najwyraźniej nie bardzo wierzył w to, co słyszy. Ja też nie wiedziałem, co sądzić, ale wyraz zdumienia na twarzy Fishera był autentyczny.

— A co było w tym liście? — spytałem.

Na policzkach Andersona pojawiły się dwie krwistosine plamy, silnie kontrastujące z jego ziemistą cerą.

— Było napisane, że Cranfield zapisał mi te pieniądze pod jednym warunkiem: mam zaprzestać swoich badań. Jeśli spełnię ten warunek, pieniądze są moje. Ale jeśli zatrzymam pieniądze i będę kontynuował prace, spotkają mnie surowe konsekwencje. I dano mi do zrozumienia, że byłoby lepiej, gdybym się zdecydował je zatrzymać.

— Jakie badania? Twoje prace na uniwersytecie?

— Nie. — Na twarzy Andersona znów zagościł wyraz nieufności — Mój tajny projekt badawczy.

— Tajny? — zdziwił się Fisher. — Tajny dla kogo?

— Dla wszystkich.

Pamiętałem jego pracownię w piwnicy.

— Skoro taki tajny, to skąd Cranfield o nim wiedział?

— Nie mam pojęcia. Kontaktowałem się z paroma osobami w Internecie, odbyłem z nimi kilka poufnych dyskusji. Niewykluczone, że informacje dotarły do niego tą drogą.

— I dlatego postanowiłeś nie przyjmować tych pieniędzy?

— Tak.

— Poinformowałeś kogoś o swojej decyzji?

— Nie. Po prostu nie zanieśliłem czeku do banku.

— Nadal go masz?

— Był w domu.

Fisher siedział ze wzrokiem utkwionym tępo przed siebie, a ja

domyślałem się dlaczego. Sądził, że zarządza rozdziałem majątku Cranfielda, a przynajmniej pewnej jego części. Teraz okazywało się, że ktoś nie tylko podmienił jego list, ale monitorował stan rachunku, z którego miała nastąpić wypłata, bo skąd inaczej by wiedział, że Anderson odmówił podjęcia pieniędzy. W konsekwencji doprowadziło to do zamordowania jego żony i syna przed trzema tygodniami.

— Jak mogło dojść do podmiany listu? — spytałem.

— Znajdował się w paczce dokumentów, które najpierw trafiły do biura Burnell & Lytton — powiedział cicho Fisher. — Musieli to zrobić tam.

— Czy pożar wszystko zniszczył? — zwróciłem się do Andersona.  
— Mam na myśli twoje badania.

— Wszystko. — Pokiwał głową. — Akurat tego wieczoru nie wziąłem z sobą zapasowych kopii plików. Jeśli coś zostało, to tylko w mojej głowie.

— I czego to dotyczyło? — spytał Fisher. — Nad czym pracowałeś?

— Nie mogę powiedzieć.

— Możesz — rzekł twardo Fisher. — Muszę wiedzieć więcej.

Może spowodował to tylko wdzierający się do wnętrza poranny blask, ale odniosłem wrażenie, że twarz Fishera nabrała dziwnego wyrazu. Zmarszczki wokół jego oczu jakby się pogłębiły, usta zacisnęły się w cienką kreskę.

— Więcej? — zdziwiłem się. — Nie zdawałem sobie sprawy, że w ogóle coś o tej sprawie wiesz.

Fisher uciekł wzrokiem i już nie miałem wątpliwości, że mnie okłamywał.

— Gary miał na myśli to — powiedziałem do Andersona — że gdybyś mógł wyjaśnić, z jakiego powodu doszło do tej tragedii, bardzo by to ułatwiło nasze dalsze postępowanie. Żeby przekonać gliny do zmiany podejścia do sprawy, musimy im przedstawić wiarygodną teorię wskazującą na innego sprawcę.

— A skąd mam wiedzieć, że nie jesteś jednym z nich? Albo on?

— Znikąd — powiedziałem. — Żaden z nas nie ma pieczętki „Gwarancja uczciwości”. Jeśli ci zależy na kimś takim, to będziesz musiał poczekać, aż trafisz do nieba.

— Tobie powiem — rzekł Anderson, wlepiając we mnie wzrok. Sens jego słów nie budził wątpliwości.

— Gary — powiedziałem łagodnie do Fishera. — Może zamówiłbyś jeszcze jedną kawę dla Billa? A przy okazji dla mnie też.

Fisher zachował kamienną twarz.

— Jak sobie życzysz — odrzekł.

Wstał i sztywnym krokiem ruszył w stronę bufetu. Anderson po raz setny rozejrzał się po sali, strzelając na boki lekliwymi spojrzeniami.

— Coś ci doradzę — odezwałem się. — Nigdy nie rozglądaj się z takim strachem w oczach. Jeśli chcesz być niewidoczny, musisz patrzeć tak, jakbyś podążał z punktu A do B i miał prawo to robić. Jeśli jakiś gliniarz nie mający nic lepszego do roboty zauważy, jak strachliwie rozglądasz się na boki, na wszelki wypadek od razu cię sprawdzi.

— Skąd wiesz?

— Kiedyś sam to robiłem.

— Jesteś gliną?

— Słuchaj uważnie tego, co się do ciebie mówi, Bill. Powiedziałem: kiedyś to robiłem, a to znaczy, że już tego nie robię. W każdym razie nie jako policjant. Ale wiem też, że nie wszyscy gliniarze to osły. Możesz mi wierzyć, że w tej sytuacji byłbyś głównym podejrzanym w każdym mieście w Ameryce. Policja przywykła oceniać sprawy według pewnych schematów. To im oszczędza mnóstwo czasu, a niekiedy ratuje życie. Ty znalazłeś się po niewłaściwej stronie, ale to nie znaczy, że policja jest osiłą złą. Najlepiej byłoby tak wszystkim pokierować, żebyś nie musiał się dłużej ukrywać i mógł sam do nich zgłosić.

— Ale jak ja mogę... — Anderson pokręcił głową.

— Powiedz mi, o co w tym wszystkim chodzi. Rozumiem, że sprawa jest poufna i że nawet Peter Chen nie wie. To także nie moja sprawa i w zasadzie mnie to nie obchodzi. Ale masz niewielki wybór, a przez te twoje sekrety zginęło już parę osób.

— Nie uwierzysz, kiedy ci powiem.

— Wygląda jednak na to, że ktoś wierzy. Spróbuj, może też uwierzę.

Jeszcze przez chwilę się wahał. Spojrzałem w stronę bufetu, by dać Fisherowi sygnał, że może coś z tego będzie, ale go nie zauważyłem. Pewnie jest w toalecie, pomyślałem, albo wyszedł się przewietrzyć. Przebywanie tu pewnie działało mu na nerwy. Zwłaszcza że już znalazł to, czego podobno szukał.

Kiedy Anderson zaczął wreszcie mówić, zdałem sobie z czegoś sprawę: zdecydował się otworzyć nie tylko w nadziei, że dzięki temu mu pomogę, ale także dlatego, że zbyt długo to w sobie tłamsił. Nie jest tak, że każdy zbrodniarz chce wyznać swoje zbrodnie, ale większość jest gotowa powiedzieć tyle, by choć przez jakiś czas nie musieć się ukrywać.

— Jestem specjalistą od dynamiki fal — zaczął. — Szczególnie fal dźwiękowych. Na uczelni zajmuję się właściwie tylko fizyką ruchu falowego. Ale kilka lat temu zacząłem się interesować szerzej tymi sprawami. Na przykład tym, jak dźwięk wpływa na nas pod innymi względami.

— Czyli jakimi? — spytałem. Już te kilka zdań pozwoliło mi mieć wątpliwości, czy to, co usłyszę, znajdzie swoje miejsce w moim wszechświecie.

Następne słowa Andersona zabrzmiały tak, jakby wyczytał to z mojej twarzy.

— Dźwięk jest zjawiskiem niedocenianym — powiedział z naciśkiem. — Wszyscy się ekscytujemy tym, co widzimy, ale słyszenie jest znacznie ważniejsze, niż się nam wydaje. To, że coś słyszymy, uznajemy za oczywistość. Wszyscy wiedzą, że aby wykurzyć Noriegę,

grano mu ostry rock. Natomiast nieliczni zdają sobie sprawę, że podczas szturmów FBI na Waco posłużono się muzyką. Ale tu chodzi o coś znacznie więcej niż bombardowanie ludzkich uszu dźwiękami, jakich nie lubią. Idziesz do restauracji z głośną muzyką i nagle się okazuje, że potrawa, którą zamówiłeś, mniej ci smakuje. Nie możesz się skupić na jedzeniu, czasem wręcz nie czujesz jego smaku, bo wyłącza się pewna część mózgu. Albo słyszysz muzykę, jakąś melodię, której nie słyszałeś od lat, a twoja pamięć przenosi cię od razu do sytuacji, z którą ta muzyka się kojarzy. I nagle czujesz się jak wtedy. Przypominają ci się tamte zapachy, smaki, inne doznania zmysłowe. Znasz to uczucie, prawda?

— Chyba tak. Znam.

Gdy mówił o swojej pasji, na moment jakby zapominał o wszystkim innym.

— Albo jesteś w nocy sam w zupełnie obcym miejscu i nagle słyszysz hałas. Nieważne, że nie towarzyszy temu widok czegoś strasznego, bo wzrok przestaje rządzić twoimi reakcjami. Nie musisz nic widzieć, by móc odczuwać śmiertelny strach. Twój umysł i ciało wiedzą, że doznania dźwiękowe są równie ważne.

— No dobra — wtrąciłem. Wiedziałem, że powinienem pozwolić mu mówić, ale z jakiegoś powodu czułem niepokój. Fishera wciąż nie było i jego nieobecność zaczynała przekraczać rozsądny czas wizyty w toalecie. — Wierzę ci na słowo, Bill. Jesteś naukowcem i wiesz, co mówisz. Tylko do czego to wszystko zmierza? Czym konkretnie się zajmowałeś?

— Infradźwiękami. Dźwiękami o bardzo niskiej częstotliwości. Większość badaczy skupiła się na paśmie osiemnastu herców, ja zainteresowałem się dziewiętnastoma hercami. Częstotliwość taka wywołuje... pewne zjawiska. Poddanie się jej działaniu może powodować łzawienie oczu i rozmywanie pola widzenia. Ma się dziwne omamy słuchowe, następują bolesne skurcze mięśni i hiperwentylacja. Fizyk Vladimir Gavreau twierdzi nawet, że ultradźwięki są kluczem do zjawiska lęku miejskiego. Mówiąc wprost, infradźwięki

wywołują u człowieka strach. A jeśli dojdzie do rezonansu z częstotliwością oka ludzkiego, które funkcjonuje mniej więcej w tym paśmie, człowiek zaczyna mieć omamy wzrokowe. Wydaje mu się, że widzi różne dziwne rzeczy. Wszyscy zawsze uważali to za zjawisko fizjologiczne, za uboczny efekt fizyki oka ludzkiego, tylko że... tak nie jest. To sprawa znacznie bardziej złożona. Infradźwięki robią z nami różne dziwne rzeczy. Bardzo dziwne i niepojęte. Pozwalają nam zobaczyć rzeczy, których normalnie nie widzimy.

Złapałem się na tym, że sam niespokojnie rozglądam się po restauracji, robiąc dokładnie to, przed czym wcześniej ostrzegałem Andersona. Nie dostrzegłem niczego, co tłumaczyłoby mój wewnętrzny niepokój — uczucie, którego nie umiałbym nawet nazwać. Spojrzałem w stronę otwartych na oścież drzwi wejściowych, ale ujrzałem jedynie zwykłych przechodniów.

— Jakie rzeczy, Bill? O czym ty właściwie mówisz? Co te rzeczy zrobiły z tobą?

Z trudem powróciłem wzrokiem do naszego stolika. Anderson siedział z opuszczoną głową i wpatrywał się w swoje dłonie. Następne słowa wypowiedział niemal szeptem.

— Zbudowałem maszynę duchów.

Dokładnie w tym momencie zauważyłem wysokiego mężczyznę, który przepychał się przez tłum ku wejściu do naszej knajpy. Miał na sobie długi czarny płaszcz i nie rozglądając się na boki, zmierzał prosto w naszą stronę.

— Na podłogę! — syknąłem.

Anderson zamrugał, nie rozumiejąc, o czym mówię. Próbowiałem poderwać się i zepchnąć go z krzesła, ale nogi zaplątały mi się pod stołem. Mój wzrok padł jednocześnie na Fishera, który w tym momencie wyłonił się zza rogu bufetu z dwoma kubkami w dłoniach, i na mężczyznę w płaszczu, który był już w środku i wyciągał rękę z kieszeni.

— Bill, padnij!...

Zerwałem się i pchnąłem Andersona.



Ale było już za późno. Mężczyzna wycelował i bez pośpiechu oddał trzy strzały z pistoletu z tłumikiem.

Zanim do mnie dotarło, że żadna z kul nie była przeznaczona dla mnie, mężczyzna już zdążył się wmieszać w tłum na ulicy. Strzały były tak ciche, że nie wywołały paniki i dopiero na widok krwi Andersona, która chlusnęła na szybę, wszyscy w pobliżu zerwali się z miejsc i z krzykiem rzucili do ucieczki. Nachyliłem się nad Andersonem, by obejrzeć jego rany, i zobaczyłem, że otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć. Panujący harmider zagłuszył słowa, a z jego otwartych ust zaraz potem buchnęła krew. Próbował je jeszcze zamknąć, a ja patrząc na niego, wiedziałem, że to już ostatni wysiłek w jego życiu.

## Rozdział dwudziesty siódmy

— Nie żyje.

Uniosłem głowę i zobaczyłem nad sobą twarz Blancharda. Od postrzelenia Andersona minęły już dwie godziny i siedziałem na plastikowym krzeselku na korytarzu szpitala, którego nazwy i adresu nawet nie znałem. W głębi korytarza stało kilku policjantów, z których dwóch zdążyło mnie już przesłuchać.

— I co teraz zrobimy?

— Nie mam pojęcia — odparł. — Ale żeby była jasność: nie ma żadnych „nas”. Jestem tu tylko dlatego, że byłem kiedyś partnerem detektywa, który zajmuje się tą sprawą. A ty jesteś tu z uprzejmości i dlatego, że wszyscy świadkowie zgodnie potwierdzają twoją reakcję na widok mordercy. A gdzie ten twój koleżka Fisher?

— Poszedł się przewietrzyć.

Blanchard ciężko usiadł na sąsiednie krzeselko.

— Co się, kurwa, stało? Tylko bez wciskania kitu.

— Już to waszym powiedziałem. Dostaliśmy cynk od Andersona za pośrednictwem jednego z jego przyjaciół. Przyszedł, żeby z nami porozmawiać.

— Czemu? Tego właśnie nie rozumiem. Czemu z wami?

— Ponieważ uważaliśmy, że nie wymordował swojej rodziny. To Anderson zaproponował spotkanie w tej knajpie. Nie mam pojęcia,

jakim cudem znalazł go tam ten oprych.

— Co wam się udało z niego wyciągnąć?

— Właśnie zaczynał się otwierać, kiedy to się stało. Dostał ten czek, o którym ci mówiłem, ale nic z nim nie zrobił, bo realizacja była obwarowana warunkami, których nie chciał spełnić.

— Czyli?

— Że zrezygnuje z pracy nad swoim prywatnym projektem badawczym.

— Mianowicie?

— Właśnie zaczął mi mówić, kiedy został zastrzelony.

Blanchard przyjrzał mi się uważnie, ale nic nie powiedział.

— Możesz mi wierzyć albo nie — odparłem, wzruszając ramionami. — Próbowałem pomóc Gary'emu. Znaleźliśmy Andersona i dla mnie sprawa się skończyła. Teraz grzebcie się w tym szambie sami.

— Szambie?

— To, co się stało, w zasadzie uwalnia Andersona od zarzutu podwójnego morderstwa, nie sądzisz?

— Jedno z drugim nie musi mieć nic wspólnego.

— Tak, to prawda. I pewnie cała policja Seattle też się o tym wzajemnie zapewnia. Lepsze to, niż przyznać się, że przez miesiąc ścigało się niewinnego człowieka i dopadło dopiero wtedy, gdy się zjawiał jakiś typ i go rozwalili.

— Anderson jest sam sobie winien. Powinien był się do nas zgłosić. A przynajmniej się odezwać.

— A ty byś tak zrobił na jego miejscu?

— Tak.

Pokiwałem głową. Prawdę powiedziawszy, ja też nie bardzo rozumiałem zachowanie Andersona. Wtrąciłem się dopiero wtedy, kiedy Fisher zaczął go naciskać. Wiedziałem, że rozbudzanie w Andersonie poczucia winy nie skłoni go do mówienia, ale wzięwszy pod uwagę jego mętne odpowiedzi w sprawie programu badań, a także

opinię Chena i innych, że już od pewnego czasu chodził podenerwowany, zaczynałem podejrzewać, że czuł się zagrożony już wcześniej, jeszcze przed morderstwami. List przysłany z czekiem bardzo go poruszył, ale czy aż tak, żeby z tego powodu miał uciekać? A może w pracy natknął się na coś, co wzbudziło w nim strach? Lub bał się już wcześniej?

— No — zgodziłem się. — Ja też.

Wstałem z krzesła. Nie miałem tu już czego szukać.

— Dzięki za twoje podejście do tej sprawy — powiedziałem.

— Proszę. Tylko nie zrób czegoś głupiego.

— O co ci chodzi?

Spojrzał na swoje zwinięte w pięści dłonie.

— O to, że wiem co nieco o okolicznościach twojego odejścia z policji w Los Angeles. Nie chcielibyśmy, żeby coś takiego stało się tutaj.

— Nie wiem, co ci się zdaje, że wiesz, ale na pewno nie wiesz, co się naprawdę stało.

— Wiem, że w sprawie były jakieś trupy. I ty.

— Czy to znaczy, że już mnie posadziliście?

— Nie. Ale to, co powiedziałem, pozostaje w mocy.

— Rozumiem. — Ruszyłem korytarzem.

Nie uszedłem trzech metrów, gdy usłyszałem jego głos.

— Jack? Jak bardzo jesteś związany z Fisherem?

Zatrzymałem się i odwróciłem do niego.

— Ani trochę. A bo co?

— To niech tak zostanie. Rozmawiałem z kimś z firmy Fishera. Jak myślisz, po co tu przyjechał?

— Bo w ich imieniu próbuje coś rozwikłać.

— Mylisz się. Jest na przymusowym urlopie. „Z przyczyn osobistych”. Gość, z którym rozmawiałem, był bardzo dyskretny, ale odniosłem wrażenie, że się od niego dystansują. Na twoim miejscu zrobiłbym to samo. Myślę, że jest wplątany w sprawy, o których nawet nie masz pojęcia.

Ruszyłem dalej, tylko nieco szybszym krokiem. Fishera nie było przed budynkiem. Zniknięcie mogło wynikać z rosnącego zainteresowania

mediów — zabójstwo wydarzyło się na oczach wielu ludzi — ale jego telefon też nie odpowiadał.

W hotelu dowiedziałem się od recepcjonisty, że pół godziny temu pan Fisher się wymeldował.

\* \* \*

Zabrałem samochód z parkingu, gdyż zamierzałem wyjechać z miasta, ale po drodze zahaczyłem o Pioneer Square. Zaparkowałem po drugiej stronie, wysiadłem i machinalnie ruszyłem w stronę placu. Czulem, jak drżą mi ręce, choć nie bardzo wiedziałem dlaczego. Może przez to, co się stało z Andersonem, a może z powodu słów Blancharda, które odświeżyły we mnie wspomnienie spraw z Los Angeles. Usiadłem na ławce i zacząłem głęboko oddychać. Po dwudziestu minutach poczułem się lepiej i wróciłem do samochodu.

Wyruszyłem z miasta, kierując się w głąb łądu w stronę gór. Z początku poranek był pogodny i przejrzysty i po niebie snuło się tylko trochę dekoracyjnych pierzastych chmur. Również ruch na autostradzie był niewielki i jechało się niemal za łatwo. Zupełnie jakby cały świat pomagał mi w jak najszybszym wydostaniu się z miejsca, gdzie przyczyniłem się do śmierci człowieka.

W miarę jak zbliżałem się do łańcucha Gór Kaskadowych, zaczęło się jednak robić coraz chłodniej i powietrze straciło przejrzystość, a jedynym kolorowym przerywnikiem w szarości drzew i krzaków były rdzawe kępy derenia, którego łodygi aż nadto przypominały strużki zaschniętej krwi. Niebo pokryło się ciężkimi chmurami, które otuliły zbocza gór i zaczęły się snuć pośród drzew jak dym dawno wygasłych ognisk — wilgotne i ciche wspomnienie o ludziach żyjących tu niegdyś w spokoju i zgodzie z lasem, ziemią i wodą.

Czy i w knajpie Byron's zachowane zostanie wspomnienie o człowieku kulącym się nad stołem w ukośnie padających promieniach porannego słońca? A może w drzwiach lub oknie jego domu na Broadwayu przechodnie zobaczą lub wyczują cień człowieka zapłatanego

po drugiej stronie kurtyny i szukającego drogi do domu?

Wiedziałem tyle, że cień mojego ojca po jego śmierci pozostał w naszym domu w Barstow. Moja matka wytrzymała pięć miesięcy, po czym sprzedała dom i przeniosła się bliżej siostry, z którą wcześniej nie utrzymywała zbyt serdecznych stosunków. Do tego momentu spędziłem w domu trzy, może cztery weekendy. W trakcie każdej z tych wizyt odniosłem wrażenie, jakby podczas mojej nieobecności dom był całkowicie demontowany i na mój przyjazd ponownie składany. Zawsze też próbowałem odtwarzać w myślach dokładny przebieg tego, co się tutaj stało — pewnie po części z uwagi na okoliczności, w jakich się o tym dowiedziałem.

W czasie studiów uczył mnie pewien bardzo postępowy profesor, który wśród innych zalet miał też tę, że w piątkowe wieczory zapraszał grupę ulubionych studentów do siebie do domu. Wciągał nas wtedy w intelektualne dyskusje, ale jednocześnie pozwalał bez ograniczeń zaglądać do lodówki, bogato zaopatrzonej w różne trunki. Leżałem właśnie w łóżku, dosyć pijąc jedno z takich alkoholowych seminariów, gdy do moich drzwi w akademiku zapukało dwóch gliniarzy. Miałem potężnego kaca i tak się wystraszyłem (zwłaszcza że w szufladce nocnego stolika tkwiła duża działka marihuany), że poczułem się osaczony, zgubiony i całkowicie wytrącony z równowagi.

Ojca znaleziono na podłodze w kuchni w samych tylko spodniach od piżamy. Przypuszczalnie w nocy usłyszał hałas i zszedł na dół sprawdzić, co go wywołało, to przecież naturalny obowiązek każdego mężczyzny. Zadano mu kilka głębokich ran klutych wielkim nożem myśliwskim z ząbkowanym ostrzem, ale śmierć nastąpiła od ciosów w głowę ciężkim stolarskim młotkiem. Młotek leżał obok na podłodze i należał do ojca. Byłem z nim, gdy podczas spaceru w sobotni poranek wstąpiliśmy do sklepu, żeby go kupić. Wielokrotnie potem wiedziałem, jak za jego pomocą naprawiał krzesła czy płyty albo wieszał obrazy. Zgodnie z tym, co powiedziałem Andersonowi, bandyci niezbyt

się obłowili. Pieniądze przede wszystkim szły na to, żeby na naszym stole było smaczne jedzenie, żebym zawsze był przyzwoicie ubrany i miał książki potrzebne do szkoły. Rzeczy naprawdę ważnych nie da się zabrać — może z wyjątkiem rzeczy ważnych dla ojców. Kradną je przybłędy na sfinansowanie pijackiego wieczoru albo nowych opon, albo postawienia na konia, którego przegrała jest z góry przesądzona.

Nie miałem jednak wątpliwości, że ten, kto odebrał życie Billowi Andersonowi, nie zrobił tego dla przyziemnych korzyści. Wiedziałem, że informacja o jego śmierci wkrótce zniknie z radiowych i telewizyjnych wiadomości, ale ja miałem o niej zawsze pamiętać. Bo okłamałem Blancharda. Do godziny 8.51 rano życie Andersona rzeczywiście miało tylko luźny związek z moim życiem, ale w jednej chwili wszystko się zmieniło. Jest coś intymnego w zbryzganiu rąk czyjąś krwią, w patrzeniu w czyjeś oczy ze świadomością, że liczba obrazów z tego świata, jaka im jeszcze została do zarejestrowania, jest już bardzo mała i ściśle policzona. Dusza Andersona wczepiła się w moją, a to znaczyło, że sprawy spadku Joego Cranfielda i domu w Belltown stały się nagle moimi problemami, a ja będę musiał je rozwiązać łącznie z odpowiedzeniem sobie na pytanie, jaki to wszystko ma związek z moją żoną.

Dojeżdżając do zjazdu na drogę numer 97 prowadzącą lasami do Birch Crossing, nie miałem już wątpliwości, że nie wolno mi od tego uciekać i że zostawienie tej sprawy byłoby złe dla mnie i dla innych. Że bóg zła nadal wie, gdzie mieszkam, i zawsze będzie to wiedział, więc jeśli tylko spróbuję się ukryć, i tak mnie znajdzie.

Że może czas samemu przejść do ataku.

## Rozdział dwudziesty ósmy

Druga noc spędzana na ulicy dłużyła się Madison jeszcze bardziej niż pierwsza. Po wizycie u tego śmiesznego człowieczka w jego biurze — co w jej pamięci stało się już tylko mglistym epizodem — dość długo błąkała się po ulicach. Na niewielkim bazarze kupiła coś do jedzenia i zjadła to na ławce w parku, potem trochę popłakała i ponownie ruszyła przed siebie. Chodziła tak aż do zamknięcia sklepów i restauracji, cały czas trzymając się bocznych uliczek i kryjąc w cieniu. Przez chwilę postąpiła przed budynkiem z oknami zabitymi deskami i nawet podeszła do drzwi i nacisnęła jeden z przycisków domofonu. Odczepiła też kółko z kluczami przyklejone do wewnętrznej strony okładki notesu i spróbowała otworzyć drzwi, ale żaden z kluczy nie pasował. To ją bardzo zirytowało, gdyż miała takie uczucie, jakby coś jej ukradziono, a to coś jest tam w środku.

Zawróciła w stronę centrum i przeszła obok księgarni Barnes & Noble i publicznej biblioteki z jej dziwnym frontonem ze szkła i metalu, po czym dała się poprowadzić w dół zbocza schodzącego ukośnie ku zatoce. Tak ją to wszystko znużyło, że w pewnej chwili wydało jej się, jakby spała i tylko śniła, że jest małą dziewczynką, która uparcie błąka się w poszukiwaniu czegoś ważnego. Problem polegał na tym, że nikt jej nie powiedział, czym to coś jest. W końcu dotarła do miejsca, które jej się spodobało i skąd nie miała ochoty się



ruszać. Znajdowała się na niewielkim skwerku przed wielkim starym budynkiem, w którym nie było nic szczególnego poza tym, że umieszczono na nim nazwę „Yesler”. Zapamiętała tę nazwę z notesu. Na skwerze rosło trochę drzew, zamiast trawnika była zadaszona wiata i sterczał wysoki słup z głową Indianina. Stała też mała fontanna, z której można się napić wody.

Ale nie mogła tu zostać, ponieważ wokół kręcili się inni. Bezdomni okupujący narożniki ulic, którzy od czasu do czasu bez określonego celu przychodzili na skwer, stali na nim przez chwilę nieruchomo i zawracali. Czasem wypijali parę łyków wody, sprawiając wrażenie, jakby chcieli tu trochę pobyc, ale nie zostawać dłużej. Ona chciałaby zostać, ale nie mogła. Jak jest się małą dziewczynką, to bardzo wielu rzeczy nie wolno robić. Bycie małą dziewczynką to prawdziwa udreka. Nigdy wcześniej nie zdawała sobie sprawy, jak wielka. I jak bardzo można się z tym źle czuć.

W końcu zmęczenie wzięło górę i postanowiła nigdzie dalej nie iść. Przelazła przez niski murek i dotarła do drzwi, których dolna połowa była wyłamana. Krótkim przejściem dotarła do parkingu w kształcie tonącego statku. Na najwyższym piętrze stał tylko jeden samochód, porzucony tu samotnie na noc.

Uznała, że to akurat do niej pasuje. Tylne drzwi samochodu nie były zamknięte.

Wsiadła i rozciągnęła się na tylnym siedzeniu.

\* \* \*

Godzinę później coś ją gwałtownie obudziło. Zupełnie nie wiedziała, gdzie jest i co się z nią dzieje, za to nagle wróciła jej pamięć czegoś zupełnie innego. Jasno i wyraźnie.

Wyjęła z kieszeni karteczkę i długopis i jak najszybciej dopisała cztery brakujące cyfry. Zrobiła to w obawie, że lada chwila mogą znów zostać wydarte z jej pamięci.

Ale nie, tym razem się udało. Z bijącym sercem przeliczyła cyfry. Wyglądało, że jest ich tyle, co trzeba. Nareszcie miała cały numer.

Szybko wysiadła z samochodu i zaczęła zbiegać przez kolejne piętra parkingu. Wyskoczyła na zewnątrz i znalazła się na ulicy, gorączkowo rozglądała się za telefonem. W pobliżu nie było żadnego, puściła się więc biegiem ulicą. Wiedziała, że w ten sposób zwróci na siebie uwagę, ale nie miała czasu.

Biegła, aż natknęła się na działający telefon. Chwyliła słuchawkę i palcem wcisnęła cyfry z karteczki, wydając przy ostatniej głośny okrzyk triumfu.

Przestępując z nogi na nogę, czekała, by ktoś po drugiej stronie odebrał. Usłyszała głos i zaczęła nerwowo paplać, chcąc jak najszybciej wszystko z siebie wyrzucić.

Chwilę potem poczuła ogarniającą ją ciemność i nie docierały do niej własne słowa. Próbowwała się przemóc, tak jak wczoraj po południu próbowała to zrobić w biurze tamtego mężczyzny i jak to ostatnio ciągle robiła, walcząc z czarną, coraz gęściejszą chmurą, jaka na nią spływała. Chmurą, którą od środka rozświetlały tylko przebliski oderwanych myśli i wspomnień pchających ją do robienia złych rzeczy. W myślach rozpaczliwie krzyknęła, z jeszcze większą zaciekłością próbując się od nich wyzwolić.

Po chwili dotarło do niej, że znowu idzie ulicą. Za jej plecami pozostały strzępy podartej karteczki z numerem, które porwał podmuch wiatru, i telefon z roztrzaskaną słuchawką. Palce ją bolały, a gdy na nie spojrzała i zobaczyła krew, jej pierwszą reakcją było zdziwienie, że tym razem to jej własna.

\* \* \*

Jakiś czas potem obudził ją odgłos otwieranych drzwi samochodu. — Chryste Panie — powiedział męski głos. Madison poderwała głowę. Leżała na tylnym siedzeniu samochodu, za oknami było już widno.

Musiała chyba dość długo spać, bo czuła się trochę lepiej. Już nie taka... zagubiona. Obok samochodu stał mężczyzna, wpatrując się w nią zdumiony. Miał bladą karnację, włosy w kolorze piasku i nie patrzył jej w oczy, ale gdzieś niżej. Podążyła za jego wzrokiem i zobaczyła, że na dłoniach ma plamy zakrzepłej krwi. Ślady krwi widoczne też były na jej płaszczu.

— Wszystko w porządku — powiedziała szybko, czując, że dłonie ma mocno obolałe. — Nic mi nie jest. Rozleciał mi się telefon, nic więcej.

— Co tu robisz?

— Musiałam się gdzieś przespać. Zostawił pan niezamknięte drzwi. Ale proszę się nie martwić. Nic panu nie ukradłam.

— Ale to... słuchaj no...

Mężczyzna wyraźnie nie wiedział, jak się zachować. Ubrany był w garnitur, koszulę i krawat, a jego oczy były lekko nieprzytomne — zupełnie jak oczy jej taty, gdy bywał czymś bardzo zaabsorbowany i nie bardzo wiedział, co się wokół niego dzieje. Ale ten mężczyzna uznał, że ma obowiązek się nią zająć.

— Wszystko w porządku — powtórzyła. — Nic mi nie jest, naprawdę.

— Ale muszę... Zawiozę cię na najbliższy komisariat.

— To niekonieczne — powiedziała Madison. Wysiadła z samochodu i uśmiechnęła się.

— Myślę, że tak. Konieczne. Nie mogę pozwolić, żeby...

Potrząsnęła głową.

— Która godzina, przyjacielu?

— Co? Już prawie południe. Ale...

— Świetnie. Dziękuję za wszystko. Będę szczerze polecać twoją noclegownię.

Wyciągnęła do niego prawą rękę, a on machinalnie podał jej swoją. Ucisnęła ją po męsku, wyminęła go i ruszyła ku wyjściu. Przed wejściem na schody odwróciła głowę i spojrzała za siebie. Mężczyzna stał nieruchomo i kompletnie zbity z tropu wpatrywał się w swoją dłoń.

Była pewna, że nawet nie spróbuje jej zatrzymać. Nigdy nie przypuszczała, że tak łatwo jest radzić sobie z dorosłymi. Wystarczy uzmysłwić sobie, że dorośli właściwie się ciebie boją. Oczywiście matki i ojcowie umieją sobie radzić z własnymi dziećmi, ale już na cudze patrzą z ukosa, jakby były dzikie i niemożliwe do opanowania. Madison wiedziała, że dzieci potrafią takie być. Małe dziewczynki dysponują mocą i światłem. To coś, czego dorośli na ogół nie dostrzegają, ale gdy to do nich dotrze, chcą w tym uczestniczyć. Chcą spędzać z nimi czas, aby je bliżej poznawać, bardziej wnikliwie. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że właśnie o to chodziło temu mężczyźnie w żółtym samochodzie w Portland, choć był w tym amatorem. Nie wiedział, że można odnaleźć iskrę i ją zatrzymać. Gdyby jeszcze raz jej się to przytrafiło, porozmawiałaby z nim jak należy. Powiedziałałaby mu, co wie.

Wyszła z parkingu i ruszyła w stronę placu z totemem i wodą do picia. Teraz wiele spraw rozjaśniło jej się w głowie. Nawet te fragmenty tekstu w notesie, których wcześniej nie rozumiała.

*Magiczna liczba siedem w życiu człowieka?*

*Ależ oczywiście, że nie. Jak we wszystkim, tu też jest dziewięć.*

*Kiedy mamy 9 lat, musimy być zakorzenieni, żyć bezpiecznie powyżej lub poniżej. 18 — możemy zaczynać pociągać za sznurki. 27 — powinniśmy wystarczająco panować nad sobą, aby konsekwentnie zmierzać do celu. 36 — dorosłość, początek prawdziwej Dominacji. 45 — moment kryzysu bez integracji. 54 — wiek Władzy. 63 — Mądrości. Przy 72 — poszukiwania znów się zaczynają. 81 — czas odejść, ale nie umieramy tak jak inni i dlatego odejście z tego miejsca musi odbywać się w sposób kontrolowany. Dodajmy liczby składające się na te dziewięć okresów życia — 3+6 lub 7+2 — wszystkie zmierzają do liczby 9. I oto liczba owa została uświęcona i ukryta na widoku.*

*Trójkąt to  $180^\circ$  ( $1 + 8 + 0 = 9$ ); kwadrat i koło to  $360^\circ$  ( $3 + 6 + 0 = 9$ ). Wszystkie regularne kształty geometryczne zawierają 9. Nawet 666 — czyż muszę ci mówić, że należy dodać te trzy cyfry, potem dodać je ponownie?*

*To nie przypadek. Nasza matematyka powstała dla uczczenia potęgi 9. Potęgi Dziewiątek. Ale tymczasem same Dziewiątki osłabły, uduchowiły się, zaczęły nawet wierzyć we własną skarłatą wersję kłamstw. Wierzyć, że naszą władzę należy ograniczyć, że musimy wchodzić w życie jako nowo narodzeni — kryć się na widoku jako jeszcze jedno drzewo w lesie.*

*Ale wszystkie lasy zostały wycięte.*

*Ja z nimi nie padnę. Czy już Arystoteles nie powiedział: „Słabi chcą sprawiedliwości i równości; silnych nie obchodzi ani jedno, ani drugie „? Co się stanie z tymi, którzy jak Dziewiątki nie wierzą? Tymi, którzy wazą się im sprzeciwić? Ach —ponad tymi duszami, prawdziwie wolnymi, zrobiliby z siebie bogów i próbowali nas sądzić.*

*Święty Tomasz z Akwinu powiedział: „Poznawaj duszę po jej czynach”.*

*Możesz moją poznać po moich.*

*A zgodnie ze słowami Lichtenberga wyobrażamy sobie, że jesteśmy wolni w naszym działaniu, podobnie jak podczas snu rozpoznajemy miejsce, które niewątpliwie widzimy po raz pierwszy.*

*Jestem twoim snem.*

*Mam cię zawsze na oku.*

*Jestem tym, co kieruje twoją ręką.*

Wchodząc na plac, dojrzała swoje odbicie w szybie wystawowej i zaskoczyło ją, że jest taka mała. Przez dłuższą chwilę przyglądała się sobie, wracając myślami do dnia, gdy mama kupiła jej płaszcz u Nordstroma, przy Courthouse Square w Portland. Pamiętała, jak obie go po raz pierwszy zauważyły i jak zaczęły wokół niego krążyć.

Był naprawdę bardzo drogi, ale wpadł im w oko. Madison nie wtedy nie powiedziała, wiedząc, że matka musi sama do tego dojrzeć. Że własna decyzja kupna ekstrawaganckiego prezentu pod wpływem chwilowego kaprysu będzie dowodem na luzackie podejście do spraw macierzyństwa, natomiast zgoda na prośbę córki — choćby nie wiadomo jak grzeczną i subtelną — to coś zupełnie innego. Madison nie miała pojęcia, skąd to wie, ale tak było.

Wyszły wtedy ze sklepu i odwiedziły kilka innych. Oglądały inne płaszcze, ale tak naprawdę ich nie widziały, i Maddy doszła do wniosku, że jeśli będzie grzeczna i kochana, wróćą w końcu do Nordstroma.

I wróciły.

Zdała sobie sprawę, że właściwie zawsze umiała osiągnąć to, co zamierzyła — wtedy i kiedy indziej. Uświadomiła sobie, że coś w niej zawsze umiało postawić na swoim, manipulować innymi. Czy już wtedy ktoś nią kierował?

Zawsze tkwił w jej wnętrzu?

\* \* \*

Na placu było miło, ale nie czuła się tu tak, jak w nocy. Po placu kręciło się więcej ludzi, a mimo to miała wrażenie, że jest znacznie luźniej. Może dlatego, że skwer zapełniali teraz inni ludzie. Miejsce kloszardów zajęli turyści, którzy tylko tędy przechodzili i zamiast podziwiać, robili zdjęcia. Przechodnie, którzy zachowywali się, jakby byli panami tego miejsca jedynie dlatego, że tu stoją. Nie zdawali sobie sprawy, że jest wręcz przeciwnie.

Ale jeden z nich przyciągnął jej uwagę. Kiedy przyszła tu pół godziny wcześniej z kubkiem americano ze Starbucksa na rogu, zwróciła uwagę na SUV-a zatrzymującego się po drugiej stronie ulicy. Mężczyzna, który z niego wysiadł, wyminął przechodniów i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę placu. Nie wyglądało na to, żeby miał jakiś konkretny cel, bo podszedł do jednej z ławek i usiadł. Był dość

wysoki, miał szerokie bary i przez chwilę Madison nawet chciała do niego podejść, powiedzieć, jak się nazywa, i poprosić o pomoc. Czuli, że to ktoś zupełnie inny niż ten, w którego samochodzie spała. Że to ktoś, kto jeśli ma coś do wykonania, nie spocznie, dopóki tego nie zrobi.

Nie tylko jednak tego nie zrobiła, ale wstała z ławki i szybkim krokiem opuściła plac. Obejrzała się za siebie, dopiero gdy była pewna, że mężczyzna już jej nie widzi. Chyba chciała poprosić go o pomoc, ale ten ktoś w otaczającej ją chmurze nie życzył sobie tego. Jak przez mgłę pamiętała próbę telefonowania w nocy — głównie dzięki swoim poranionym dłoniom — ale już nie to, czego ten telefon miał dotyczyć. Poczuli za to chęć rozmowy z mężczyzną, którego dotąd unikała. Czuli się silniejsza i wiedzieli, że sobie z nim poradzi.

Znalazła telefon — tym razem w holu hotelowym w eleganckiej muszli w czerwono-złote pasy — sięgnęła po notatnik i wyjęła białą wizytówkę z dopisanym na odwrocie numerem.

Mężczyzna odebrał natychmiast.

— To ja — powiedziała. — Potrzebne mi informacje.

— Gdzie jesteś?

— Słyszałeś, co powiedziałam, Shepherd?

— Posłuchaj — rzekł mężczyzna irytująco cierpliwym tonem. — Chcę ci pomóc. Ale muszę wiedzieć, gdzie jesteś. Masz dziewięć lat. Nie jesteś... bezpieczna.

— Skończyłeś już?

— Nie, nie skończyłem. Madison, nic się nie wydarzy, póki mi nie powiesz, gdzie cię mogę znaleźć. Powiedz i wtedy porozmawiamy. Zdobędę wszystkie potrzebne ci informacje, ale swoim postępowaniem utrudniasz mi wykonanie zadania.

— Swoje zadanie już wykonałeś — prychnęła. — I dostałeś zapłatę. Chociaż nie zrobiłeś tego, co ci kazano, prawda? A to znaczy, że nie mogę ci ufać.

— A co zrobiłem nie tak? Przyszedłem po ciebie...

— Za wcześniej. Jak zawsze miałeś poczekać, aż skończę osiemnastkę, ale ty chciałeś dostać zapłatę już teraz i nie obchodziło cię,

czy jestem gotowa. Ale tak się składa, że jestem. Zawsze byłam gotowa przejąć kontrolę. Choć myślę, że to wiesz. A w każdym razie powinieneś.

— Posłuchaj — powiedział mężczyzna. — Miałś drobny wypadek, nic więcej. Przewróciłaś się na plaży. Zobaczyłaś mnie i pomyślałaś, że chcę ci zrobić krzywdę. Zaczęłaś uciekać i uderzyłaś się w głowę. Doznałaś lekkiego wstrząsu i dlatego miewasz teraz zaćmienia. Dlatego masz te dziwne...

— Och, przymknij się, Shepherd. Za moment ci powiem, czego masz się dowiedzieć, i odłożę słuchawkę. Za piętnaście minut zadzwonię z innego miejsca. Jeśli nie będziesz miał dla mnie wiarygodnej informacji, to zacznę robić rzeczy, które naprawdę utrudnią ci życie. Robić różne rzeczy i mówić o różnych rzeczach, jasne?

— Madison, musisz mi zaufać. — W głosie mężczyzny pojawił się przymilny ton, lecz Madison wiedziała, że próbuje ją tylko zwieść. Stara się stworzyć wrażenie kogoś, kogo przyszpilono i kto stracił pewność siebie, i robi to w nadziei, że ją tym zmyli, a ona zacznie go lekceważyć. Wiedziała, że nie jest z tych, którzy umieją się przymilać. — Zrobiłem wszystko, co chciałaś...

— Nieprawda — odparła zimno. — Nie zrobiłeś. Ale zrobisz. Naprawdę zrobisz. Ty i cała reszta.

Powiedziała, czego sobie od niego życzy, i odwiesiła słuchawkę, nie czekając na jego reakcję. Rzuciła okiem na zegar i ruszyła w stronę wind. Hotel był naprawdę duży i wiedziała, że bez trudu zgubi się na piętnaście minut w jego zakamarkach, nie wzbudzając niczyjego zainteresowania. Miła odmiana po wałęsaniu się ulicami.

Wsiadając do windy, minęła się ze szczupłą młodą kobietą w eleganckim kostiumie i bluzce. Kobieta miała błyszczące oczy, gładko zaczesane włosy i Madison poczuła od niej lekki zapach kawy i miętotówek odświeżających oddech. Pewnie jeszcze chwilę wcześniej siedziała w swoim pokoju hotelowym i powtarzała w duchu zaklęcia



mające wzbudzić w niej pewność siebie podczas czekającego ją spotkania, a korporacyjna maska na twarzy miała jej pomóc wmówić sobie, że już nie jest małą dziewczynką.

— Fajne cycki — parsknęła Madison.

Zamykające się drzwi windy przesłoniły zdumioną twarz kobiety.

\* \* \*

W chwili gdy jechała windą w górę, do przedmieść miasta szybko zbliżał się samochód. Prowadził Simon O'Donnell, Alison z dwiema mapami i telefonem komórkowym na kolanach siedziała na fotelu pasażera. Właśnie skończyła rozmowę z kimś o nazwisku Blanchard z Biura Osób Zaginionych policji w Seattle, kto potraktował ją na tyle poważnie, że zgodził się z nimi spotkać.

— To ten zjazd? — zapytał Simon.

— Następny — odparła. — Chyba następny. Powinnam pamiętać, ale...

— Wiem. Trochę czasu minęło.

„Trochę” w rzeczywistości oznaczało nieco ponad dziesięć lat, co było łatwo obliczyć, bo wyprowadzili się z Seattle wkrótce po tym, kiedy się okazało, że Alison jest w ciąży, a oni postanowili dziecku dać imię od nazwy ulicy, na której się poznali. Simon jak zwykle ostrożnie zaczął zmieniać pas. Dawniej zdarzało się, że ją ta jego ostrożność irytowała, ale nie dzisiaj.

Ostatnią dobę spędzili w pełnym napięciu oczekiwaniu na coś, co przerwie rozpaczliwą monotonię mijającego czasu. Policja powiadomiła ich, że na lotnisku w Portland widziano dziewczynkę próbującą wsiąść do samolotu, ale jej to uniemożliwiono, i że powinni siedzieć na miejscu i czekać na dalsze wiadomości. Siedzieli więc i czekali. Ale także rozmawiali. Córka była centralnym punktem ich życia i pustka po niej stała się tak dojmująca, że skłaniała do otwierania szuflad i wyrzucania z nich wszystkiego, co czyniło ową pustkę całkowitą.

Alison przyznała się do przyjaźni z mężczyzną, którego jej mąż nigdy nie widział, i przysięgła, że nigdy nie posunęli się nawet o krok poza wzajemne zauroczenie, co akurat było prawdą. Mówiąc to, miała wrażenie, jakby w jej głowie pękał nadmuchany balon, po którym nic nie zostaje.

Bez znaczenia okazało się też wiele pretensji, jakie miała do Simona i jego podejścia do ich związku. Nie dlatego, że nie były prawdziwe czy że nagle się rozwiały, ale skoro wszystko na świecie wydaje się niesprawiedliwe i pogruchothane, może trzeba dowieść, że jest inaczej. Cały wszechświat nie może być przecież źle urządzonej i Simon (choć raz) okazał na tyle taktu, by nie powiedzieć tego głośno. Zresztą nie musiał. Sama do tego doszła w ciągu trwających wiele godzin rozmów, a może podczas tych paru godzin snu, jakie po nich nastąpiły. Niczego to nie załatwiało i niczego nie naprawiało, ale stawiało ich problemy w nieco innym świetle i w tej chwili to wystarczyło.

Simon przyznał, że czasami zachowywał się tak, jakby nagle zmiany nastrojów Alison dowodziły jej złej woli, i że z jego strony to nie było fair. A także — choć zrobił to tylko w duchu sam przed sobą — uznał, że jego przypadkowa jednonocna przygoda z koleżanką z pracy trzy lata temu nie była całkiem bez znaczenia i że ceną za utrzymywanie tego w tajemnicy mógł być niższy poziom tolerancji dla żony — głównie dlatego, że jego pijacki wybryk wyrządził mu więcej szkody niż wszelkie „występki” Alison. Zachowanie innych da się znieść. Znacznie gorzej, gdy sami zadajemy sobie cios w plecy. Chwila nienawiści do kogoś innego może być całkiem orzeźwiająca, ale zupełnie co innego z nienawiścią do siebie samego. Choćby dlatego, że taka nienawiść nigdy nie trwa chwilę.

Oboje czuli — choć nie przyznali się do tego głośno — że te wyznania są ofiarą składaną u stóp mocy, która przetrzymuje ich córkę. Ale im dłużej rozmawiali, tym bardziej nieznośna stawała się nieobecność Maddy z każdą minutą milczenia telefonu.

W końcu przybrało to takie rozmiary, że oboje zamilkli i resztę nocy przesiedzieli ze wzrokiem tępo utkwionym w ciemności za oknem.

\* \* \*

W końcu położyli się na jednym łóżku; tak bliscy sobie nie byli od dawna. O 3.02 Alison obudził dzwonek jej telefonu komórkowego. Przechyliła się przez łóżko i spadając na podłogę, potrafiła telefon, który poleciał za nią. Zdołała go otworzyć i przytknąć do ucha na tyle szybko, by usłyszeć podniecony, nerwowy głos. Głos w telefonie wypowiedział tylko dwa zdania i zamilkł, ale jego brzmienie podziało na Alison jak ukłucie ostrogami. Nim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, połączenie zostało przerwane.

Alison odwróciła głowę i spojrzała na Simona, który podparty na łokciu patrzył na nią wyczekująco.

— Kto to? Policja?

— Nie — odparła, starając się zapanować nad wzruszeniem ścisnąjącym jej gardło. — To Madison. Chyba nam właśnie powiedziała, gdzie jest.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

Drzwi wejściowe były zamknięte na klucz i w pierwszej chwili mnie to zaskoczyło, zaraz jednak pomyślałem, że Amy po prostu gdzieś na chwilę wyszła. Otworzyłem swoim kluczem i wszedłem do środka. W domu panowała cisza charakterystyczna, gdy nie ma osoby, z którą dzieli się życie.

Wkraczając do salonu, byłem już właściwie zadowolony, że dzięki temu zyskam trochę czasu na zastanowienie się, jak rozegrać sprawę fotografii zrobionej przez Fishera i nazwiska panińskiego Amy na akcie własności. Z salonu zniknęły wszelkie ślady po jej ostatnim szale pracy, który ją opuścił, a ona wybrała się do miasteczka. Skoro tak, to może do niej zadzwonić i wyjechać naprzeciw? A przy okazji zjeść razem lunch i przeprowadzić długą rozmowę, która poprawi mi nastrój po dzisiejszym poranku i pozwoli zdecydować, co mam zrobić z całą resztą. Zawsze umieliśmy z sobą rozmawiać tak, że cały świat schodził na dalszy plan. Miałem nadzieję, że wciąż to potrafimy.

Zrobiłem jeszcze parę kroków i stanąłem jak wryty przed gabine-tem Amy.

Drzwi były otwarte na oścież i pewnie to, co ujrzałem, na nikim innym nie zrobiłoby większego wrażenia. Żeby rozumieć moje odczu-cia, trzeba ją było znać jak ja. Żyć z nią pod jednym dachem i wie-dzieć, jak poważnie traktuje swoje miejsca pracy. Jej gabinet był nie

tylko pomieszczeniem, w którym pracowała, ale i wizytówką świadczącą o tym, kim jest. To, co miałem teraz przed oczami, zupełnie do tego obrazu nie pasowało.

Komputer był włączony i na ekranie widniało mnóstwo otwartych okien. Amy zawsze zamykała zbędne okna, tak jak starsi ludzie, którzy przechodząc z pokoju do pokoju, gaszą za sobą światło i zostawiają tylko jedną zapaloną żarówkę. Biurko było zavalone stertą papierów i notesów, segregatory zwykle stojące na półce leżały porozkładane na biurku. Ktoś, kto ten gabinet przeszukał, nawet specjalnie nie nabałaganił – podejrzewam, że w wielu gabinetach bywa większy chaos – ale dokładnie wiedział, czego szuka. Z biurka zniknęły laptop i jej osobisty organizator.

Sięgnąłem po telefon, żeby spytać o to Amy, gdy uprzytomniłem sobie dwie rzeczy i to mnie powstrzymało. Przecież gdyby wiedziała, że ktoś się włamał do domu, sama by do mnie zadzwoniła. Nie zrobiła tego, więc musiało się to stać już po jej wyjściu.

Poza tym drzwi wejściowe były zamknięte na klucz.

Z palcem nad przyciskiem szybkiego wybierania wszedłem do salonu, stanąłem pośrodku i otworzywszy z napięcia usta, zacząłem nasłuchiwać. W domu nadal panowała martwa cisza. Po cichu obszedłem wszystkie pozostałe pomieszczenia na dole, potem to samo powtórzyłem na górze. Mój pokój do pracy z laptopem tkwiącym pośrodku biurka wyglądał dokładnie tak, jak go zostawiłem.

Przeszukałem resztę domu i po kilku minutach miałem już pewność, że w domu nie ma nikogo.

To znaczy Gary'ego Fishera. Trudno mi było uwierzyć, by ktoś poza nim mógł się tu włamać. Fisher nie tylko wiedział, gdzie mieszkam, ale podłączył Amy do historii zbudowanej wokół spadku po Cranfieldzie. Łatwo by mnie wyprzedził, gdyby prosto ze szpitala wsiadł do samochodu i tu przyjechał.

No ale pozostawała sprawa zamkniętych drzwi. Żeby je zamknąć, musiałby dysponować kluczami, ale swój komplet miałem w kieszeni,

a on ani razu nie miał okazji, by zrobić duplikaty. No, chyba że podczas swojej pierwszej wizyty zabrał nasz zapasowy komplet z miski w kuchni...

Klucze leżały na swoim miejscu w misce. Za kontuarem śniadaniowym znajdowały się drzwi do garażu, ale jedno naciśnięcie klamki upewniło mnie, że i te drzwi są zamknięte na klucz. Zostawała już tylko jedna, ostatnia możliwość. Zszedłem na dół i ruszyłem do wyjścia na taras. Chwyciwszy za rączkę przesuwanych drzwi, szarpnąłem, pewien, że się otworzą, ale nawet nie drgnęły.

Odblokowałem zamek, wyszedłem na taras i zadzwoniłem do Amy. Telefon przez dłuższą chwilę dzwonił, a gdy go w końcu odebrała, jej głos wydał mi się jakby nieobecny.

— Tak? — powiedziała.

— To ja. Słuchaj...

— Kto?

— A kto ci się wyświetlił, kochanie?

Sekunda milczenia.

— Odebrałam bez sprawdzenia. Przepraszam, byłam daleko stąd. Znowu, dodałem w myślach.

— Słuchaj, gdzie ty jesteś?

— W domu — odrzekła. — Ale gdzie ty jesteś?

\* \* \*

Odwróciłem się do szyby gotów uwierzyć, że jakimś cudem jej nie zauważyłem i że jest w środku, zajęta prozaicznymi pracami domowymi: sprząta albo robi kawę czy herbatę, przynosząc się z miejsca na miejsce tak, że się na nią od wejścia nie natknąłem.

— W domu?

— O której wracasz?

— Amy, nie ma cię w domu. To ja jestem w domu i ciebie tu nie ma.

Chwila ciszy.

— Nie w naszym domu.

— W Birch Crossing?

— Nie. Jestem w LA.

— Jesteś w Los Angeles?

— Tak. W moim rodzinnym mieście. Tu, gdzie się wychowałam.

Jak za starych dobrych czasów.

— O czym ty mówisz? Co ty robisz w LA?

— Zostawiłam ci wiadomość w poczcie głosowej. — Jej głos nabrał pewności siebie, jakby już doszła, gdzie tkwi nieporozumienie. — Jakąś godzinę po naszej rozmowie wczoraj. Wieczorem poleciałam do LA.

— Dlaczego?

— KC&H zwołało wielką nasiadówę. Pan Bóg i wszyscy święci przylatują klasą biznesową.

Odsunąłem telefon od ucha i spojrzałem na wyświetlacz. Widniała na nim ikonka sygnalizująca wiadomość w poczcie głosowej.

— Nie zauważyłem, że coś dostałem — powiedziałem. — Amy... — zacząłem, ale nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć, i zrejterowałem w sprawy techniczne. — Nie mogłaś urządzić telekonferencji?

— Dokładnie to samo im powiedziałam, kochanie. Walczyłam o to zębami i pazurami. Ale podobno nie. Ponoć musimy wszyscy siedzieć z sobą twarzą w twarz.

— Jak długo zostaniesz?

— Zebranie jest jutro rano kretyńsko wczesnie. Całe przedpołudnie przesiedziałam w biurze, teraz jadę do Natalie i posiedzę u niej do wieczora. Postanowiłam skorzystać z okazji i zabawić się w starszą siostrę. Pewnie jej brakuje, żeby ją ktoś zdrowo opieprzył.

— Jasne — bąknąłem machinalnie, bo moją uwagę przykuła nagle mała bładożółta kropka w poszyciu, parę metrów poniżej tarasu. Nie miałem pojęcia, co to może być.

— Jesteś tam jeszcze?

- Tak. — Wychyliłem się przez barierkę i patrzyłem na poszycie.  
— Czy jak wyjeżdżałaś z domu, wszystko było w porządku?  
— Tak, oczywiście — odparła. — A co, coś się stało?  
— Nie, tylko... poczułem jakiś taki chłód.  
— To zajrzyj do pieca, jaskiniowcu. Tam mieszka wielki duch ognia. Chcę, żeby ci było ciepłutko i rozkosznie w czasie pracy.

Dodała jeszcze, że będzie ze mną w kontakcie, i rozłączyła się.

Ale jej ostatnich słów i tak już prawie nie słyszałem. Podszedłem do schodków i zbiegłem z tarasu na ścieżkę. Teren bezpośrednio pod tarasem stromo opadał i schodki omijały go, kończąc się nieco dalej na bardziej płaskim kawałku. Aby dotrzeć do miejsca, na które patrzyłem z tarasu, musiałem zawrócić i przedrzeć się przez gęstwinę krzaków.

Po paru minutach rozglądania się natrafiłem na pierwszy, chwilę potem znalazłem jeszcze trzy.

Wróciłem na ścieżkę, trzymając je na wyciągniętej dłoni. Cztery pety. Każdego zduszono o coś twardego i wyrzucono z tarasu. Barwa i stan filtrów świadczyły, że niedopałki nie leżały tam zbyt długo. Najdalej od wczoraj, ale prędzej od dzisiejszego ranka. Przez noc bardziej by rozmokły i straciły kolor.

Wróciłem na taras, stanąłem w miejscu, skąd je wypatrzyłem, przyjrzałem się poręczy. Na górnej powierzchni widać było odbarwioną plamę. Właśnie w celu uniknięcia takich plam swoje niedopałki zawsze gasiłem o spodnią stronę poręczy. Co więcej, nigdy nie rzucałem niedopałków w krzaki. Zawsze je zbierałem i wyrzucałem do śmieci.

Ktoś stał w tym miejscu, paląc papierosy.

Dwie rzeczy były dla mnie niezrozumiałe. Po pierwsze, gdyby ktoś w tym czasie był w domu, musiałby zauważyć stojącego tu człowieka z papierosem.

Po drugie, wiedziałem, że Gary Fisher nie pali.

\* \* \*



Coś jeszcze mnie zastanowiło. Naszym SUV-em pojechałem do Seattle, więc jak Amy dostała się na lotnisko? W Birch Crossing nie ma taksówek i przychodziło mi do głowy jedynie rozwiązanie, z którego parę dni temu sam skorzystałem. Zimmermanowie. To podsunęło mi kolejną myśl.

Zimmermanowie mieli zapasowe klucze do naszego domu.

Nawiasem mówiąc, byli jedynymi ludźmi na świecie, którzy je mieli. Wprawdzie ani przez chwilę nie umiałem sobie wyobrazić, że któreś z nich otwiera nasze drzwi i wchodzi do środka, ale byli ludźmi uczynnymi. Gdyby ktoś się do nich zwrócił z przekonującą historyjką, wcale nie byłbym pewien, czy nie próbowaliby mu pomóc. Przynajmniej Ben, bo pewnie Bobbi byłoby trudniej omamić. Ale czy w takiej sytuacji nawet Ben nie towarzyszyłby temu komuś i nie pozostałby z nim cały czas na miejscu?

Po pięciu minutach szukania ich numeru telefonu poddałem się i postanowiłem się przejść. Na pierwsze pytanie uzyskałem odpowiedź, nim je jeszcze zadałem: oba samochody Zimmermanów stały pod domem.

Podszedłem do drzwi i nacisnąłem dzwonek. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast i stanęła w nich Bobbi z kieliszkiem wina w ręce. Radosny uśmiech najpierw zniknął jej z twarzy, potem powrócił, ale już w trochę zmienionej postaci.

— Jack — rzuciła. — Co u ciebie?

Dom Zimmermanów był parterowym bungalowem w stylu wiejskiej chałupy, gdzie wszystko mieściło się na jednym poziomie. Ponad ramionami Bobbi dostrzegłem, że w ich wielkim salonie z widokiem na strumień odbywa się jakieś spotkanie towarzyskie. Stało w nim około dwudziestu osób, wśród których nie dostrzegłem Bena.

Wszedłem do sieni, udając, że nie zauważam tłumku gości ani tego, że niektórzy z nich wyraźnie się na mnie gapią.

— Chciałem tylko o coś spytać — powiedziałem cicho. — Są u was nasze klucze do domu. Czy ostatnio ktoś o nie prosił? Albo prosił o wpuszczenie do domu?

Bobbi wlepiła we mnie wzrok.

— Oczywiście, że nie. A jeśli nawet, to i tak byśmy tego nie zrobili.

— Jasne — rzuciłem szybko. — Tak też myślałem. Po prostu odniosłem wrażenie, że ktoś się kręci koło naszego domu. Bena nie ma?

Pokręciła głową i wyjaśniła, że ich przyjaciel znów się gorzej poczuł i Ben do niego pojechał. Staralem się słuchać jej wyjaśnień, ale czułem się trochę rozkojarzony. Uświadomiłem sobie, że kilka z osób obecnych w pokoju znam. Sama, brodatego grubasa, właściciela sklepu spożywczego. Chudą siwowłosą kobietę, której imienia nie znałem, a która była chyba właścicielką księgarni. Odpicowanego faceta, do którego należy Galeria Kaskady, i jeszcze parę osób. Może powinno mi być głupio, że wprawilem Bobbi w zakłopotanie, przyłapując ją na wydaniu przyjęcia, na które nie zostaliśmy zaproszeni, ale wcale tak nie było, a gapiący się na mnie goście nie sprawiali wrażenia, że się szykują do powitania kogoś nowego. Patrząc na nich, poczułem się jak uczeń, który przez pomyłkę wszedł do nie swojej klasy i choć są w niej znajome twarze, zostaje powitany zinnymi, obojętnymi spojrzzeniami.

— Pewnie mi się zdawało — powiedziałem, uśmiechając się. — Przepraszam za najście. A co to za okazja?

Bobbi chwyciła mnie za łokieć i łagodnie popchnęła ku drzwiom.

— Nic takiego, zwykle spotkanie naszego klubu czytelniczego — odrzekła. — Nie zapomnij pozdrowić Amy.

Wyszedłem na ganek i drzwi się zamknęły. Przez moment im się przypatrywałem, potem odwróciłem się i ruszyłem w drogę powrotną. Przy bramie natknąłem się na kogoś, kogo też rozpoznałem.

Mijając mnie, szeryf skinął głową i bez słowa podążył w stronę domu Zimmermanów.

Nigdy nie sprawiał wrażenia miłośnika książek.

\* \* \*

Stałem na tarasie, pałac i opróżniając kolejną filiżankę kawy. Próbowałem coś sobie upichcić, próbowałem robić wiele innych rzeczy, ale w końcu i tak musiałam zająć się tym, co mnie nękało od początku.

Najpierw zadzwoniłem do Natalie w Santa Monica. Powiedziała, że Amy właśnie przed chwilą od niej wyszła, a to znaczyło, że spędziła u niej najwyższą godzinę. I wtedy zadzwoniłem pod drugi numer — do centrali agencji Kerry, Crane & Hardy, oddział w Los Angeles. Serce waliło mi jak młot. Jakaś szczebiotka odebrała zaraz po pierwszym dzwonku.

— Hej! — wykrzyknąłem. — Tu rozdzielnia poczty w Seattle. Mam pilną przesyłkę dla hm... pani Whalen, chyba na jutrzejsze zebranie. Wiesz może, kochana, w którym hotelu mieszka? Albo może mogę to wysłać prosto do waszego biura?

— Jasne, pewnie. A o jakie zebranie chodzi?

— Nie mam pojęcia — powiedziałem. — Jest tylko napisane „Na zebranie, czwartek rano”. Chyba jakiś wielki spęd.

Na chwilę zapadła cisza, potem znów usłyszałem jej głos.

— W kalendarzu na jutro niczego takiego nie widzę. Właściwie jutro nic się tu specjalnego nie dzieje. Możesz podać więcej szczegółów?

— Sprawdzę i oddzwonię — rzuciłem.

Siedziałem na krześle z widokiem na las, starając się zachować zimną krew. Brak laptopa Amy i jej osobistego organizera oraz stan jej biurka zaczynały nabierać sensu, a jednocześnie tracić walor do wodu na ingerencję kogoś z zewnątrz. Najwyraźniej musiała wyjeżdżać w pośpiechu. Pozostawało już tylko to, co znalazłem w krzakach pod tarasem. To i coraz mocniejsze przeczucie.

Zamiast podejść do sprawy racjonalnie, puszczałem wodze fantazji. Pozwalałem myślowi obierać własne kształty i decydować, jakim tokiem chcą biegnąć, w nadziei, że z chaosu wyłoni się porządek, którego nie dostrzegam tylko dlatego, że patrzę na wszystko z niewłaściwej perspektywy.

Jeśli taki porządek istniał, nie udało mi się go dostrzec. Jedynym efektem moich rozmyślań było uzmysłowienie sobie jeszcze jednego

faktu i dorzucenie go do stosu. Gdy w dniu powrotu Amy z Seattle wyszedłem po bieganiu na taras, na jego podłodze zauważyłem drobiny popiołu. Nie zastanawiając się wtedy, przyjąłem, że musiały tam zostać po moim ostatnim paleniu. Ale w świetle tego, co przed chwilą znalazłem, czy miałem prawo tak zakładać? A może już wtedy ktoś krył się w cieniu za naszymi plecami i uczestniczył w naszym życiu?

W cieniu, ale tuż obok.

Poszedłem do sypialni i wrzuciłem do torby bieliznę na zmianę, potem wszedłem na górę i otworzyłem drzwi garażu.

Garaż zawałony był stertami kartonów z rzeczami należącymi do nas i do właścicieli domu. Niektóre były tylko moje, jak choćby albumy z rodzinnymi zdjęciami — właściwie to jedyna pamiątka po moich latach dziecięcych. Trudno było przypuszczać, żebym jeszcze kiedykolwiek chciał do nich zaglądać.

Obszedłem skrzynie i stare meble odesłane tu na emeryturę i odsunąłem stojący w rogu stół warsztatowy. Znajdująca się za nim wpuszczona w ścianę szafka była zamknięta na dwa zamki. Otworzyłem je kluczami z domowego pęku.

W środku owinięty w szmatkę leżał mój pistolet.

Tkwiał tam od dnia przeprowadzki jak wspomnienie dawnych czasów, przechowywane w mrocznym zakamarku pamięci. Coś, co całymi latami nosiłem z sobą codziennie do pracy. Coś, co miałem przy sobie tamtej nocy. Coś, czego już dawno powinienem się pozbyć.

Wyjąłem go z szafki.

# Część III

*Nocą, gdy ulice waszych miast i wiosek cichną  
i wydają wam się opustoszałe, one są pełne  
powracających gospodarzy, którzy niegdyś  
zaludniali i wciąż kochają tę piękną ziemię.  
Biały człowiek nigdy nie będzie tu sam.  
Niech więc będzie sprawiedliwy i dobrze  
traktuje mój lud, bo martwi to nie znaczy bezsilni.*

Wódz Seattle, fragment mowy wygłoszonej w roku 1854

## Rozdział trzydziesty

Z lotniska LAX wzięłem taksówkę do Santa Monica, kazałem kierowcy zatrzymać się pięćdziesiąt metrów przed domem i resztę przeszedłem pieszo. Na podwórku od frontu bawił się kilkuletni chłopiec.

— Hej — rzuciłem.

Spojrzał na mnie ponuro i nie odpowiedział.

— Wujek Jack — przypomniałem mu.

Kiwnął głową i przekrzywił ją na bok, tak jakby chciał powiedzieć, że wprawdzie wierzy w prawdziwość mojego twierdzenia, ale nie robi ono na nim większego wrażenia.

Wyminałem go i zapukałem do drzwi. Tak jak przypuszczałem, drzwi otworzyły się natychmiast. Matka chłopca nie pozwoliłaby mu buszować przed domem o tak późnej porze, gdyby nie miała go stale na oku.

— No i proszę! — wykrzyknęła, teatralnym gestem biorąc się pod boki. — Człowiek całymi miesiącami nie widzi Whalenów, a potem nagle drzwi się nie zamykają. To pewno coś z dziedziny astrologii, nie? Albo biorytmów. Jakaś kometa na nas leci czy jak?

Czułem się trochę nieswojo. Siostra Amy nie należy do najłatwiejszych osób.

— Co u ciebie, Natalie?

— Ciągłe jeszcze nie zostałam gwiazdą filmową i ważę całe pięć kilo więcej, niżbym chciała, ale poza tym, jak na moje potrzeby i charakter, może być. Powiedziałam ci już przez telefon, że rozminąłeś się z Amy, prawda? I to o ładnych parę godzin.

— Umówiliśmy się na później. Po prostu pomyślałem, że skoro już tu jestem, to wpadnę i się przywitam.

Przyjrzała mi się podejrzliwie.

— Zawiadomię media. Napijesz się kawy z okazji tej uroczystości?

Poszedłem za nią w głąb domu. Jak zawsze u Natalie w kuchni stał duży dzbanek świeżo zaparzonej kawy. Jedno z nielicznych podobieństw między siostrami.

Podawała mi kubek i napełniła kawą.

— Amy nic nie wspominała, że masz zamiar zaszczyścić te progi.

— Bo nic o tym nie wie. To niespodzianka.

— Mhm. Wy faceci potraficie niezłe nachachmęcić. A tak przy okazji. Czy tylko mi się zdaje, czy mojej siostrzyczce troszkę ostatnio odbiło?

— W jakim sensie? — Staralem się, by mój ton brzmiał w miarę obojętnie.

— Najpierw wpada tu bez słowa uprzedzenia, potem pyta, czy mam herbatę. No, kurczę, jasne, że mam herbatę. Jestem gospodynią z piekła rodem, ale się staram. Poza tym Don lubi się napić z samego rana. Znaczący, herbaty. Ale Amy? Herbata? To coś zupełnie nowego.

— Od pewnego czasu ją pije — uspokoiłem ją. — Może akurat są w trakcie jakiejś kampanii reklamowej.

— Dobra. Powiem Mulderowi i Scully, żeby się wycofali. Ale jest jeszcze coś. Znasz może dzisiejszą datę?

— Oczywiście — powiedziałem, sięgając do kieszeni. — Dziś jest...

— Jasne — przerwała. — Zaraz mi powiesz, jaki mamy miesiąc, a może nawet dzień. Ale nie o to mi chodzi. To czas męski. A ja mówię

o czasie babskim. W moim babskim kalendarzu dziś są urodziny Annabel plus sześć dni.

— Annabel — powtórzyłem. — Twojej Annabel?

— W zeszłym tygodniu skończyła dwanaście.

— I w związku z tym co?

— Rzucający się w oczy brak kartki z życzeniami i prezentu od Whalenów.

— Jezu, przepraszam — sapnąłem. — Tak mi...

Uciszyła mnie gestem ręki.

— Jack, nawet gdyby twoje życie od tego zależało, i tak nie umiałbyś podać daty urodzin mojej córki. Zresztą moich czy Dona też. A datę swoich pewnie masz wypisaną na dłoni. A jednak zawsze dostajemy życzenia. Więc jak to się dzieje?

— Amy pamięta.

Natalie zrobiła w powietrzu ruch dłonią, jakby odhaczała ptaszka.

— I nie tylko o urodzinach. Pamięta datę naszego ślubu z Donem. Pamięta daty śmierci mamy i taty i tak dalej. Żyje rodzinnymi datami. Rok w rok, bez żadnej obsuwy.

— Wspomniała coś o tym, kiedy tu...

— Właśnie o to chodzi. Wpada bez uprzedzenia, wypija herbatę, idzie na górę, wraca na dół, buźka, buźka, pa, pa. Zachowuje się jak zawsze, czyli w zasadzie jest słodka i tylko chwilami można ją zabić, ale ani słowem nie wspomina, że zapomniała o urodzinach swojej siostrzenicy. A musi to już teraz wiedzieć.

— Poszła na górę?

— Do swojego dawnego pokoju. Teraz to pokój Annabel.

— Powiedziała ci dlaczego?

Natalie wzruszyła ramionami.

— Ile ona teraz ma...? W tym roku skończy trzydzieści sześć, prawda? Może zebrało jej się na wspomnienia. Składa je na kupkę, zanim alzheimer na dobre ją dopadnie.

— Pozwolisz, że tam zajrzę?



— Już to zrobiłam. Nie zauważyłam, żeby coś ruszała. Zresztą po co?

— Mimo wszystko...

Natalie przekrzywiła głowę na bok i od razu było widać, od kogo chłopiec przed domem przejął ten gest.

— Jack, co tu jest grane?

— Nic. Jestem tylko ciekaw.

— A rób, co chcesz, detektywie. Annabel jest na próbie orkiestry. Drugie drzwi po prawej.

Zostawiłem ją w kuchni i poszedłem na górę. Drugie drzwi po prawej były lekko uchylone i sen Fishera stanął mi tak wyraźnie przed oczami, że aż się wzdrygnąłem, potem jednak spokojnie pchnąłem drzwi.

Oczywiście za czasów Amy pokój różnił się szczegółami. Na ścianach wisiały plakaty innych zespołów, na półkach stały drobiazgi związane z filmami, które od tamtej pory miały już pewnie po dwa remaki. Ale poza tym był to wciąż typowy pokój nastolatki.

Dziwnie jest zaglądać do dzieciństwa ukochanej osoby. To, że się ją zna teraz, wcale nie znaczy, że się wie, jaka była kiedyś. Ten ktoś sprzed twoich czasów pozostanie na zawsze kimś nieznanym, nawet jeśli wspólnie dożyjecie końca swoich dni. Dziwnie jest wyobrazić sobie żonę o tyle niniejszą i młodszą. Patrzeć na rzeczy i widoki, na których uczyła się świata. Słyszysz echa tamtych dni i podświadomie zaczynasz się zastanawiać, czy może nadal czuje się najlepiej i najbezpieczniej w pomieszczeniach o takiej wielkości i wysokości albo czy sypialnia, którą dzielisz z jej dorosłym wcieleniem, wydaje jej się nie taka jak należy, bo okno jest z innej strony. Wyobrażasz sobie, jak ze złączonymi stopami siedzi na krawędzi tego łóżka i patrzy w przyszłość zachłannym i trochę niesamowitym wzrokiem dziecka.

Zauważenie tego, czego Natalie nie miała szans dostrzec, okazało się całkiem łatwe. W pokoju był bałagan — pewnie niedawno panował tu porządek i pewnie niedługo znów zapanuje — rzeczy i części

ubrania obecnej właścicielki pokoju porozrzucano w kompletnym nieładzie. Z jednym wyjątkiem. Dywanik na środku pokoju był równo wygładzony i ułożony prościutko w stosunku do łóżka. Miałem wątpliwości, czy to Annabel go tak zostawiła.

Odstawiłem stojące na nim krzesło i podwinąłem koniec. Pod dywanikiem były tylko gładkie deski podłogi, które w ostatnich dziesięciu latach ktoś pomalował modną farbą w kolorze złamanej bieli. Podwinąłem drugi brzeg i choć na pierwszy rzut oka podłoga pod nim była taka sama, moją uwagę zwrócił kawałek pod łóżkiem. Ukłąłem, wsunąłem rękę pod łóżko i obmacałem deski przy samej ścianie.

Były dobrze spasowane, ale niewielki fragment jednej z nich dało się odchylić. Pod spodem znajdowało się pokryte kurzem wgłębienie — wymarzona dziecięca skrytka. Skrytka okazała się pusta, ale coś mi mówiło, że do wizyty Amy taka nie była.

\* \* \*

Natalie stała przy kuchennym oknie i z kubkiem kawy w dłoniach obserwowała bawiącego się na podwórku syna.

— No i?

— Tak jak mówiłaś — powiedziałem, wzruszając ramionami. — Zebrało jej się pewnie na wspomnienia. — Spojrzała na mnie trochę dziwnie. — Coś nie tak?

— Wszystko dobrze. Tylko że... od pewnego czasu Matthew ma zmyślonego kolegę. Nic wielkiego. Tylko człowiek się zastanawia, co im nagle przychodzi do głowy.

— Próbowalaś go podpytać?

— Pewno. Mówi, że to po prostu kolega. Razem się bawią, czasem słyszę, jak coś do niego mówi. Na szczęście nie doszło jeszcze do tego, żebyśmy musieli nakrywać dla niego przy stole. No i lepsze to niż nocne koszmary. Takie, jakie męczyły Amy.

— Naprawdę?

— Boże, straszne. Jedno z moich najwcześniejszych wspomnień... nie wiem, ile wtedy miałam, trzy, może cztery lata... to okropne hałasy w nocy. Jakby ktoś wył ze strachu, tylko jeszcze gorzej. Głośno, potem ciszej, potem znów głośno. Przerażające. A później kroki taty w przedpokoju, który szedł ją uspokoić. Przez jakiś czas było cicho i po godzinie zaczynało się od nowa. Trwało to ładnych parę lat.

— Amy nigdy mi o tym nie wspominała.

— Pewnie nawet tego nie pamięta. U dzieci sen to strefa wojny. Szczególnie u małych. Dzieciak mojej przyjaciółki wpychał sobie palce do oczu, żeby tylko nie zasnąć. Poważnie. Usypianie Matthew było jednym wielkim dramatem. Można go było wozić w wózku stąd do San Diego, a on i tak nie zmrużył oka. W nocy budził się po cztery, pięć razy i natychmiast podnosił alarm. Leżysz sobie w łóżku, w domu cisza, dzieciak śpi, i nagle zaczyna wyć, jakby go napadło stado wilków.

— Trudno się dziwić. Budzisz się po ciemku sama, nie widzisz obok siebie mamy ani taty, nie czujesz ich zapachu, więc zaczynasz wrzeszczeć.

— Jasne. To tłumaczy budzenie się z krzykiem. Ale skąd taka straszna zawziętość, żeby nie usnąć?

— Bo nie było tak w czasach, kiedy wszyscy żyliśmy w jaskiniach. Wtedy cała rodzina spała razem i nie kazała juniorowi spać w innej jaskini z potwornymi malunkami i jakimiś strachami wiszącymi nad głową. Taki dzieciak myśli sobie: No kurwa żeż mać, pogięło was? Toż to niebezpieczne tak mnie tu zostawiać samego. No i wtedy stosuje jedyny znany mu sposób, który zawsze daje skutek: zaczyna się drzeć wniebogłosy.

— Zdumiewasz mnie, Jack. Nie zdawałam sobie sprawy, że tak dobrze rozumiesz tkwiące w tobie dziecko.

— Zawsze rozumiałem. Znacznie gorzej mi idzie z tkwiącym we mnie dorosłym.

Uśmiechnęła się.

— Nie wiem, może masz rację. Ale dzieci potrafią być bardzo dziwne. Na przykład biorą pilota od telewizora, przytykają sobie do ucha jak telefon i z kimś rozmawiają. Dajesz im zabawkę saksofon, a one biorą go do buzi i dmuchają, zamiast ssać, a przecież wszystko inne dotąd ssały. Podnoszą pusty kubek do ust i robią „mniamm”, a ty sobie myślisz: Skąd się tego nauczyło? Czy ja kiedykolwiek robiłam „mniamm”? A potem któregoś dnia przestają i łamią ci tym serce. Najpierw wymyślają sobie jakiś absolutnie uroczy odruch, a potem trach, i już jest po nim. A ty od razu zaczynasz tęsknić, nawet jeśli wciąż je masz przy sobie. Na tym między innymi polega miłość, nie?

Nagle przerwała, a na jej policzkach pojawił się krwistoczerwony rumieniec. Nigdy przedtem nie widziałem Natalie zmieszanej. Nawet nie przyszło mi do głowy, że jest do tego zdolna.

— Co się stało? — spytałem.

— Strasznie cię przepraszam, że byłam taką cholerną żoną.

— Nic podobnego. — Pokręciłem głową.

— Ale...

— Poważnie. Nie ma sprawy.

— A co z Amy? Jak...

— Wszystko w porządku.

— Dobra — mruknęła. — Już to widzę. To twarda sztuka. — Przez jej twarz przemknęło jednak coś w rodzaju siostrzanej dumy, a ja pomyślałem, że też chciałbym mieć rodzeństwo, które by tak o mnie myślało. — Ale od pewnego czasu... bo ja wiem? Zrobiła się jakaś inna, nie sądzisz?

— Chyba tak. — Wzruszyłem ramionami.

Ale Natalie nie dawała się zbyć.

— A może nawet już wcześniej?

Spojrzałem zdziwiony i z zaskoczeniem stwierdziłem, że wpatruje się we mnie intensywnie, upodabniając się w tym do siostry.

— Ludzie się zmieniają — rzuciłem lekko. — Starzeją się.

Dorastają. Może tobie też się to kiedyś przytrafi.

Pokazała mi język.

— Jest coś, czego nigdy nie mogłam zrozumieć — ciągnęła, opierając się o zlew i znów zerkając w okno. Jej syn w dalszym ciągu zachowywał się nienagannie. Nie podchodził do jezdni na mniej niż obowiązujące dwa metry, zupełnie jakby jakaś zewnętrzna siła trzymała go na uwięzi blisko domu. I może tak było. Amy nie była jedyną panną Dyer, która umie stawiać na swoim.

— Mianowicie?

— Jak to się stało, że Amy trafiła do reklamy.

— Różnie bywa. Ja trafiłem do policji.

— Nie znałam cię w czasach, kiedy nie byłeś jeszcze gliniarzem, więc dla mnie to było naturalne. Nie mówiąc o tym, że można to zrozumieć. To, co się zdarzyło z twoim tatą i... Po prostu pasowałeś na gliniarza. Na pewno bardziej niż na pisarza.

— No wiesz!

— Przekonaj mnie, że nie. Ale Amy? Jako nastolatka była straszonym mołem książkowym.

— Naprawdę? — zdziwiłem się, marszcząc czoło.

— Nie wiedziałeś o tym? Straszonym. Wciąż siedziała nad jakimś gównem. Nie wyściubiła nosa z książek, których same tytuły mogły wpędzić w śpiączkę.

— Niezbyt mi to pasuje do tej kobiety, którą znam.

— To zrozumiałe. Przez lata nie widziała świata poza przedmiotami ścisłymi i wszyscy byli przekonani, że wyrośnie z niej jakaś jajo-głowa profesor. Aż tu nagle któregoś dnia przychodzi i oznajmia, że chce pracować w reklamie. Równie dobrze mogła powiedzieć: „Chcę być gwiazdą filmową”. Nawet nie bardzo wiedziałam, co to znaczy „pracować w reklamie”. Właśnie niedawno skończyła osiemnaście lat i nagle zaczęła o tym mówić przy stole w czasie kolacji. Zapamiętałam to dobrze, bo starzy poświęci dużo wysiłku i kasy, żeby w niej rozwijać te techniczne zdolności. Wozili ją do klubów, byli z niej dumni, bardziej niż kiedykolwiek ze mnie i tego, co robiłam, a potem

nagle lup!... i wszystko się wali. Wciąż mam przed oczami tatą, gdy ona to mówi, a jemu opadają ramiona. — Uśmiechnęła się, nie odrywając wzroku od swego dziecka za oknem. — Miałam wtedy czternaście lat i po raz pierwszy w życiu pomyślałam, że bycie rodzicem chyba nie jest tak usłane różami, jak mi się wcześniej zdawało.

— Podać powód tej zmiany?

— Nie musiała. Złote dziecko nie musi.

— Natalie...

— Tylko sobie kpię. — Uśmiechnęła się. — Nie, nie podała. Ale raz ją o to spytałam. Powiedziała mi, że kogoś poznała.

Serce skoczyło mi do gardła.

— Kogoś ze szkoły?

— Nie, kogoś starszego. Być może pracował w reklamie, choć to tylko moje przypuszczenia. Wyczułam, że się w nim zadurzyła, potem coś tam nie wyszło... ale i tak przy tym została. Znasz ją i wiesz, jaka potrafi być zawzięta. Nieważne, jak długo coś trwa i jak długo trzeba na to czekać. Zawsze była osobą widzącą wszystko perspektywicznie.

Odwróciłem się do okna, choć wcale nie byłem ciekaw, co się za nim dzieje. Nie chciałem tylko, żeby Natalie widziała wyraz mojej twarzy, kiedy zadam następne pytanie.

— Pewnie nie podała ci nazwiska tego kogoś?

— Akurat podała, a co dziwniejsze, do dziś je pamiętam. Czysty zbieg okoliczności. Przez wiele lat mieliśmy psa, który zdechł kilka miesięcy wcześniej. Był przy mnie niemal przez całe moje życie i naprawdę bardzo to przeżyłam. Dlatego to zapamiętałam.

— Ten człowiek nazywał się jak wasz pies?

— Nie, słoneczko. Pies nazywał się Jazgot i danie komuś imienia Jazgot byłoby dość ryzykowne, nawet jak na Los Angeles. Chodziło o rasę psa. Był owczarkiem niemieckim.

Spodziewałem się, że usłyszę nazwisko „Crane”, więc musiałem się upewnić, czy się nie przesłyszałem.

— Nazywał się Shepherd\*?

— Mhm. — Na moment się zamyśliła. — To dziwne. Minęło prawie dwadzieścia lat, a człowiek wciąż tęskni za cholernym psem.

\* Sheperd (ang.) — dosł. pasterz, ale także pies pasterski, owczarek.

\* \* \*

Dziesięć minut później wrócił jej mąż w towarzystwie dziewczynki z klarnetem pod pachą. Moje spotkania z Donem zawsze obracały się wokół policyjnych opowieści, do których snucia mnie zmuszał. Po moim odejściu z policji nie mieliśmy jeszcze okazji ustalić nowego tematu rozmów. Jego córka powitała mnie z lodowatą uprzejmością, jakby ćwicząc wpojone zasady odnoszenia się do starszych. Nie wiedziałem, jak zgrabnie wybrnąć ze sprawy jej urodzin, więc na wszelki wypadek w ogóle o nich nie wspomniałem.

Niedługo potem Natalie odprowadziła mnie do drzwi.

— Miło cię było zobaczyć, Jack.

Zaskoczyła mnie tym.

— Ciebie też.

— U was na pewno wszystko w porządku?

— Tak sądzę.

— Dobra, niech ci będzie. To gdzie się dziś wybieracie? Bo Amy nieźle się odpicowała.

— To tajemnica — odrzekłem.

— Rozumiem. Dmuchanie w ognisko rodzinne. Jesteś natchnieniem dla nas wszystkich. Odwiedźcie nas znowu, bo jak nie, to my wszyscy się do was zwalimy, a tego byście nie chcieli. Aha, to też mnie dziś rozbawiło. — Parsknęła śmiechem. — Zdawało mi się, że wynieśliście się do stanu Waszyngton, nie na Florydę.

— Nie bardzo wiem, o czym mówisz.

W odpowiedzi uniosła dłoń i rozczapierzyła palce, a ja potrząsnąłem głową, że nadal nic nie rozumiem.

— Amy i jasnoróżowy lakier do paznokci? — parsknęła. — I co jeszcze?

\* \* \*

Wyszedłem na ciepłe przedwieczorne powietrze i ruszyłem ulicami Santa Monica, zupełnie nie wiedząc, co z sobą począć. Wokół mnie mieszkańcy podjeżdżali samochodami lub nimi odjeżdżali, wracali do domów lub z nich wychodzili, inni stali w oknach kuchni i sypialni lub podlewali rośliny w przydomowych ogródkach. Chętnie skręciłbym w te dróżki, wślizgnął do tych kuchni, rozsiadł się na fotelu w jednym z tych salonów i zagaił: „No to co słyhać? Opowiedzcie mi, jak wam się żyje. Opowiedzcie mi wszystko o sobie”. Życie innych zawsze wydaje mi się ciekawsze, lepiej zorganizowane, po prostu prawdziwsze od mojego. Telewizja, książki, kolorowe magazyny, nawet zwykłe gapienie się na otaczający świat. Wszystko to odzwierciedla dążenie do życia pełnego prostoty i bezpośredniości, którego my nie znamy. Wszyscy kiedyś pragniemy być kimś innym. I prawie wierzymy, że jesteśmy, tylko coś nam stoi na drodze i przeszkadza w rozpoczęciu nowego życia.

Zadzwonił mój telefon. Numer, który się wyświetlił, nic mi nie mówił.

— Tak?

— Chto to mówi? Chto?

Dzwoniący mówił z silnym akcentem i trudno go było zrozumieć.

— Tu Jack Whalen — powiedziałem. — A ty coś za jeden?

— L.T. Znaczy się, chodzi o ten budynek, co mówiłeś.

— Jaki budynek?

— Kurwa. Mówiłeś, że będzie kasa.

Dopiero w tym momencie mnie oświeciło, z kim rozmawiam.

— Ty jesteś tym kolesiem z kawiarni w Belltown, tak?

— No. To jak, chcesz to, co mam?

— Nie chcę — odparłem. — Już się tym nie zajmuję.

Mój rozmówca nie omieszkał wyrazić swego niezadowolenia.



— O ty jebany skurwielu! Powiedziałeś, że dasz kasę. No to dzwonię, ty gliniarski skurwielu.

— W porządku, szanowny panie. Niech mi pan przekaże, co pan ma.

— Pierdol się. Skąd mam wiedzieć, że potem mi dasz kasę.

— Słusznie. Ale nie ma mnie teraz w Seattle. Albo mi powiesz, co wiesz, a ja ci później zapłacę, albo się rozłączę i zablokuję ci numer.

Jego wahanie nie trwało długo.

— No bo chodzi o tamtą laskę, koleś.

— Co?

— Młoda, prawie szczylówka. Przyszła tu wczoraj wieczorem i stała pod tym domem. Miała nawet klucze i próbowała otworzyć. Ale dupa, więc trochę postąpiła i se poszła.

— Chcesz powiedzieć, że widziałeś jakąś dziewczynkę — parsknąłem — która przyszła, postąpiła pod domem, a potem sobie poszła? I za to chcesz kasę?

— Ale mówiłeś...

— Dobra. Dzięki. Czek wysyłam pocztą.

Rozłączyłem się i zanotowałem sobie w pamięci, żeby jak tylko usiądę, zablokować dostęp. W dawnych czasach robiłem to bardzo często. Podawałem numer ludziom mogącym mieć jakieś informacje, którzy woleli przekazać je bez świadków, a kiedy zaczynało im się zdawać, że już mają swojego człowieka w policji, który im załatwi anulowanie mandatów za złe parkowanie albo wyciągnie ciotkę z kryminału, blokowałem dostęp. Nie brakowało mi tych typów. Białych i czarnych, młodych i starych, potulnych i zادیornych mężczyzn z wiecznie niezadowolonymi, swarliwymi żonami, całkowicie odciętych od swych marzeń przez narkotyki, biedę i los — a także często lenistwo połączone z małą odpornością i jeszcze mniejszą wytrzymałością, co dawało gwarancję, że ich apetyt na łatwe życie nigdy nie zostanie zaspokojony.

Nie zmieniając kierunku, dotarłem do Main, mijając po drodze miejsca będące przed laty moim żywiołem: Rick's Tavern i Coffee

Bean, iBod i Schatzi, Say Sushi i Surf Liquor. Nawet Amy poznałem w barze niedaleko stąd. Siedziałem z kolegą, gdy dwóch pijaczków zaczęło się przystawiać do stolika paru kobiet. Jak głosi niepisana umowa z właścicielem baru przyjaznego gliniarzom: jeśli któryś z gości nie wie o tym, że do baru często wpadają policjanci po służbie i że w związku z tym trzeba się przyzwoicie zachowywać (przynajmniej jeśli samemu nie jest się gliniarzem), należy mu to uświadomić. Wstałem więc i w drodze do toalety podszedłem do stolika kobiet. Uniosłem palec i zwróciłem pijaczkom uwagę, że byłoby lepiej, gdyby zajęli się czymś innym. Jeden z nich zrobił minę, jakby chciał się stawiać, ale jego kumpel musiał wyczuć, co jest grane, bo obaj spokojnie odeszli. Po powrocie z kibla na moim miejscu przy barze zastałem kufel świeżo nalanego piwa. I od tego się zaczęło.

Kilka miesięcy później wezwano mnie do niewielkiej stłuczki kawałek od tamtego baru. Za kierownicą jednego z samochodów siedział sympatyczny, kompletnie nawalony siedemdziesięcioletek, który przyznał się do winy, zanim jeszcze wytoczył się z samochodu i padł na chodnik. Za kierownicą drugiego siedziała kobieta, w której rozpoznałem jedną z tamtych pań z baru. Była trzeźwa, spokojna i elegancka. Wtedy w barze nie zwróciła na mnie uwagi, ale nim skończyłem spisywać protokół, już mnie sobie skojarzyła. W takich sytuacjach zawsze starałem się być szybki i sprawny i pewnie to jej się spodobało. Jak się później okazało, ze wszystkich męskich zalet Amy Ellen Dyer ceniła najbardziej szybkość i sprawność w działaniu.

Kilka tygodni później znaleźliśmy się znów w tej samej knajpie. Oboje skojarzyliśmy swoje twarze, więc szybko i sprawnie podszedłem do jej stolika, żeby się przywitać. Wprawdzie podrywanie ofiar wykroczeń uznawane było przez wielu kolegów za jedną z głównych dodatkowych korzyści płynących z tej pracy, sam nie miałem pod tym względem żadnych doświadczeń i niczego nie oczekiwałem. Jej towarzystwo opuściło bar w chwili, gdy stojąc za budynkiem, pałilem

skręta z kucharzem, ale po powrocie do środka okazało się, że została u barmana karteczkę z numerem telefonu.

„Proszę zadzwonić — napisała. — Niezwłocznie”.

Spotkaliśmy się później parę razy i jedno z tych spotkań przerosło się w takie, co zaczyna się w jednym miejscu, ale potem przenosi się gdzieś indziej, później jeszcze gdzieś i człowiek nawet nie pamięta, jak i dlaczego się tu znalazł, bo tak go wciąga rozmowa. Pod koniec zrobiło się z tego coś w rodzaju współzawodnictwa, które z nas zaproponuje kolejne, jeszcze dziwniejsze miejsce. W końcu wylądowaliśmy razem na ławeczce wśród turystów, zdając sobie sprawę, że jest nam tu dobrze, bo tego wieczoru nie czujemy się jak miejscowi, tylko jakbyśmy się rodzili na nowo. I tak zresztą było.

Kiedy człowiek się zakochuje, następuje w nim głęboka i trwała przemiana i dlatego druga osoba nigdy nie może poznać i zrozumieć poprzedniego wcielenia, gdyż nie da się już do niego wrócić. Dlatego gdy ta druga osoba zaczyna się oddalać, zanim jeszcze ogarniesz to umysłem, twoje serce już boleśnie krwawi.

\* \* \*

Kręcąc się po tej okolicy, nie mogłem nie myśleć o tamtym wieczorze, a także o wielu, które nastąpiły po nim — tych dobrych i tych złych. Idąc Ashland, dotarłem do nadmorskiego bulwaru, minąłem hotel Shutters, przeszedłem pod kładką łączącą molo z Ocean Avenue i wszedłem na wybetonowaną ścieżkę wzdłuż plaży. Zaczyna się tu ciąg budynków dochodzących do samego piasku — najstarszych budowli w tym rejonie — które zawsze nie pasowały mi do tego miejsca. Zwaliste domiszczą w pseudoangielskim stylu, ogrodzone i dochodzące do samej plaży, stoją przycupnięte w cieniu wysokich urwisk.

Wszystkie lampy na molo już się paliły. Wyjąłem komórkę i wybrałem numer Amy.

— Hej — powiedziała. — Przepraszam, że się nie odezwałam. Zasiadziałam się u Nat. Dopiero co od niej wyszłam. Wiesz, jaka ona jest. — Nie zareagowałam. — A jak w domu? Nagrzałeś trochę?

— Nie jestem w Birch Crossing — powiedziałem.

— O?

— Jestem w Santa Monica. Przyleciałem tu parę godzin temu.

Zapadła cisza.

— I po co to zrobiłeś?

— A jak myślisz?

— Nie mam pojęcia, kochanie. Ale brzmi trochę bez sensu.

— Od tygodnia prawie cię nie widuję. Pomyślałem, że będzie miło się tu spotkać. Odwiedzić nasze stare kąty.

— Słonko, to naprawdę uroczy pomysł, ale mam mnóstwo roboty. Muszę wszystko przygotować na jutrzejsze zebranie.

— Nic mnie to nie obchodzi. Jestem twoim mężem. Jestem w mieście. Spotkaj się ze mną przynajmniej na kawę.

Tym razem cisza potrwała całe pięć sekund.

— Gdzie?

— Wiesz gdzie. Zaśmiała się.

— Wyobraź sobie, że nie wiem. Nie jestem jasnowidzem.

— No to zgadnij. I bądź tam jak najszybciej.

— Naprawdę nie powiesz mi gdzie?

— Sama wybierz. I bądź tam.

— Jack, to idiotyczna zabawa.

— Nie. Wcale nie.

## Rozdział trzydziesty pierwszy

Po molo skąpanym w łagodnym świetle zachodzącego słońca spacerowały grupki turystów, zaglądając do sklepików z pamiątkami i nieufnie czytając menu knajpek. Stałem oparty o balustradę i czekałem, czując, jak supeł w moim żołądku coraz bardziej się zaciska. Po niecałej półgodzinie ujrzałem kobietę idącą kładką od strony Palisades. Nie spuszczać z niej wzroku, patrzyłem, jak zdecydowanym krokiem wkracza na molo i zaczyna lawirować wśród tłumu spacerowiczów. Była dobrze po trzydziestce, ale wyglądała młodziej i bardzo szykownie. Nie rozglądając się na boki, parla prosto do celu. W prawej dłoni trzymała coś tak do niej nie pasującego, jakbym oglądał fotomontaż na żywo. Pomyślałem, że jest jeszcze wiele spraw, których nie rozumiem.

Odczekałem, aż mnie minie, potem wyprostowałem się i ruszyłem za nią.

\* \* \*

Gdy ją dogoniłem, stała w żółtej poświacie lampy oparta o balustradę, wpatrując się w oddzielony wodą brzeg Venice. Wokół kręciło się jeszcze trochę ludzi, ale tłumów już tu nie było. Znajdowaliśmy się na samym koniuszku mola i wszystkie atrakcje turystyczne zostały za nami. Większość docierała do tego punktu tylko po to, by pokłonić

się oceanowi i szybko zawrócić ku sklepom i restauracjom. Amy zwróciła ku mnie głowę.

— Hej, znalazłeś mnie — powiedziała. — Dobry jesteś.

Wyglądała trochę dziwnie. Wydawała mi się wyższa, a jednocześnie jakby bardziej zwarta. Jakbym miał przed sobą nową wersję oprogramowania Amy 1.1, którą wypuściła na rynek bez konsultacji ze mną.

— Niespecjalnie. — Skrzywiłem się. — To jedyne sensowne miejsce.

— Właśnie. Więc co to za tajemnicze podchody spod znaku płaszcza i sztyletu?

— Chciałem sprawdzić, czy jeszcze pamiętasz.

Przewróciła oczami.

— Nie żartuj. Tu umówiliśmy się na naszą pierwszą randkę. I właśnie tu mi się oświadczyłeś. I tu... no wiesz. Takich rzeczy się nie zapomina.

— To dobrze. — Czulem zmęczenie i zniechęcenie, jakbym nie do końca pamiętał, o co mi w tym wszystkim chodziło. Oparłem się obok niej o balustradę.

— Więc o co chodzi? — odezwała się. — Oczywiście cudownie się z tobą spotkać, ale muszę się jeszcze uporać z mnóstwem spraw i obowiązków, zanim trafię do łóżka.

Pokręciłem przecząco głową.

— Co to znaczy?

— Że nie masz żadnych spraw i żadnych obowiązków.

— Co ty pleciesz?

— Przed wyjazdem z domu zadzwoniłem do twojego biura.

Odechnęła się od balustrady i stanęła przede mną.

— Kochanie, musisz przestać nachodzić ludzi, z którymi pracuję. To naprawdę niczemu...

— Jutro nie ma żadnego zebrania.

Przekrzywiła głowę w stylu Dyerów. Widać było, że się zastanawia, jak to rozegrać. W końcu przytaknęła.

— To prawda.

No i proszę. „Tak, okłamałam cię”. Poczulem na karku jakby zimny podmuch, chociaż wieczór był ciepły i nie wiało.

— Więc co tu robisz?

— Chciałam się zobaczyć z Natalie.

— Według niej nie bardzo. Powiedziała, że wpadłaś na chwilę i nawet nie była pewna po co. — Widziałem przed sobą przepaść, ale mimo to krok po kroku zmierzałem ku krawędzi urwiska.

— Urządziłeś jej przesłuchanie? Boże, szkoda, że nie byłeś tak dociekliwy w czasach pracy w policji.

— Nigdy nie chciałem być detektywem. Wiedziałaś o tym.

— A teraz już chcesz? Kiedy jest za późno?

— Pewnie teraz bardziej mi na tym zależy.

— I dlaczegoż to?

— Bo chodzi o ciebie. Bo dzieje się coś, czego nie rozumiem. A ty nie odpowiadasz na moje pytania.

— Nic się, słonko, nie dzieje.

Wyciągnąłem papierosy, wyjąłem jednego i podsunąłem jej paczkę. Zrobiłem to po raz pierwszy od naszego poznania. Spojrzała na mnie w milczeniu.

— Przed chwilą przeszłaś obok mnie z papierosem w dłoni — wyjaśniłem. — Po twoim powrocie z Seattle znalazłem ślady popiołu na tarasie, choć wtedy jeszcze nie wiedziałem, że to twój. Kiedy poszedłem pobiegać w niedzielę po południu, stałaś na tarasie i paliłaś. Wtedy myślałem, że te kłęby to tylko twój oddech, ale to nie była para.

— Jack, zaczynasz pleść bzdury. Przecież ja nie...

Ale w jej tonie brakło przekonania i nie musiałem podnosić głosu, by jej przerwać.

— Poza tym znalazłem całą kolekcję petów w krzakach pod tarasem. Nie potrafiłem zrozumieć, jak będąc w domu, mogłabyś nie zauważyć, że ktoś tam stoi i pali. A to dlatego, że to ty paliłaś. Zgadza się?

Odwróciła głowę. Przyłapanie jej na kłamstwie nie sprawiało mi żadnej satysfakcji.

— Więc co to za pomysł, żeby do tego wrócić po... ilu? Dziesięciu latach? Dwunastu?

Milczała. Stała ze wzrokiem utkwionym gdzieś daleko, wyдутymi ustami i wyglądała jak nastolatka wysłuchująca bury za złamanie domowej godziny policyjnej, którą uważa za głupią i niesprawiedliwą.

— Czy z tego samego powodu zaczęłaś stosować skróty?

— O czym ty znów mówisz?

— Jesteś kobietą inteligentną. Na pewno potrafisz zrozumieć pytanie.

— Rozumiem słowa, ale nie to, do czego zmierzają. Coś strasznie motasz, kochanie.

— Nie sądzę. To ty musisz spojrzeć prawdzie w oczy. Bo to coś czy ten ktoś, kto ci mąci w głowie, kompletnie cię rozwalil.

— O mnie się nie martw — powiedziała. — Zdaje się, że to u ciebie się palą czerwone lampki alarmowe.

Spojrzała przy tym tak odpychająco zimno, że w tym momencie miałem ochotę obrócić się na pięcie i odejść. A może nawet — przez ułamek sekundy — pchnąć ją przez balustradę. Ukarać kogoś obcego za podszywanie się pod osobę, którą kochałem.

Nie zrobiłem ani jednego, ani drugiego.

— Urodziny Annabel — powiedziałem tylko.

Zmarszczyła czoło i gdy się odezwała, jej głos brzmiał niepewnie, jakby nie bardzo wiedziała, o czym mówię.

— I co z tego?

— Kiedy je ma? Dopiero wtedy zaskoczyła.

— O cholera.

— W skali globalnej to nic ważnego, ale...

— Oczywiście, że to ważne. Cholera. Dlaczego Natalie nic mi nie powiedziała?

— Może przez delikatność.

— Natalie i delikatność? Myślisz, że to możliwe?



— Szczerze mówiąc, nie. Ale myślę też, że przed wyjazdem z miasta powinnaś coś temu dziecku kupić, nie sądzisz?

— Tak. Jezu, co myśmy jej dali w zeszłym roku?

— Nie mam pojęcia — odparłem. — Zadzwoń do Natalie, wymyśl jakiś pretekst i przy okazji dowiedz się, co by chciała dostać.

— Sprytne.

Przez chwilę oboje milczeliśmy. Wyglądało na to, że wjechaliśmy w jakiś zaułek, a ja nie bardzo wiedziałem, jak z niego zawrócić do wyjścia. I dlatego postanowiłem całkowicie zmienić kierunek jazdy.

— Amy, jeśli masz zamiar się wykręcać, to...

— Nie ma nic takiego, o czym warto by rozmawiać.

— To skąd to twoje nagle zainteresowanie Biksem Beiderbeckiem? — spytałem, zdając sobie sprawę, jak idiotycznie to brzmi.

— Chryste! Naprawdę się zawzięłaś, co? Złapałam coś w radiu, pomyślałam, że fajnie brzmi, i nie zmieniłam stacji. Ale... skąd ty w ogóle wiesz, że to on...?

— W swoim telefonie masz go pełno.

— Grzebałaś w moim telefonie? Na litość boską! Kiedy?

— Tego dnia w Seattle. Wszystko wskazywało, że zniknęłaś z powierzchni ziemi.

— To, co mam w swoim telefonie, to moje prywatne sprawy.

— Dla mnie też? Od kiedy mamy przed sobą tajemnice?

— Ludzie zawsze mają jakieś tajemnice. Jack, nie bądź idiotą. To pozwala człowiekowi odróżnić się od innych ludzi.

— Ja nie mam żadnych tajemnic.

— Jasne, pewnie. I dlatego wszystkim opowiadasz, że odszedłeś z policji, ponieważ miałeś tego dość. A dlaczego nie mówisz, jak którejś nocy wstałeś i spieprzyłeś...

— Mówię o tajemnicach przed tobą. A wolałabyś, żebym co mówił? Że o mały włos nie wylądowałem...

— Oczywiście, że nie. Ale... — Westchnęła ciężko.

Powietrze traciło już sweienne ciepło i zaczynało robić się coraz chłodniej. Spojrzeliśmy na siebie i przez chwilę znów byliśmy tylko my dwoje. Jakby rozdęty balon pękł i okazało się, że wszystkie nasze pretensje są bzdurne.

— Masz ochotę na kawę? — Skinęła głową. — A może teraz wolisz herbatę?

Uśmiechnęła się jakby trochę przekornie.

— Niech będzie kawa.

\* \* \*

Kawę kupiliśmy w stoisku trzydzieści metrów od końca mola i ruszyliśmy w stronę brzegu, ale w pewnej chwili zawróciliśmy i znów doszliśmy do samego końca. Zawsze tak było. Gdy byliśmy razem na molu, nogi same nas tam niosły.

Niespodziewanie dla samego siebie powiedziałem coś, co w moich ustach zabrzmiało dziwnie i niezręcznie.

— Myślisz, że coś jeszcze z niego tu zostało?

— Z kogo? Wiedziała, o czym mówię.

— Nie pamiętasz tego podmuchu? Jak trochę... jak przywiało trochę na nas z powrotem na molo.

Odwróciła twarz.

— Nic nie zostało. Ani tu, ani gdzie indziej. Minęły dwa lata. Sprawa zakończona.

— Nie dla nas.

— Dla mnie tak. — Skrzywiła się. — To już historia. I nie wracaj do tego.

Choć trwało to tylko mgnienie oka, dostrzegłem, jak zadrzał jej podbródek. Jakby przebiegły po nim mikroskurcze. Uzmysłowiłem sobie, że już dawno nie widziałem jej płaczącej. Zbyt dawno jak na to wszystko.

— W ogóle o tym nie rozmawiamy — powiedziałem. — Nigdy.

— Bo nie mamy nic do powiedzenia.

— Musimy mieć.

Potrząsnęła głową, a na jej twarzy pojawił się wyraz zawziętości.

— Byłam w ciąży. Umarło w piątym miesiącu i przez pewien czas nosiłam w sobie coś martwego. Potem to ze mnie wyszło i zostało skremowane. Rozsypaliśmy popiół po morzu. Mam uszkodzoną macicę i już nigdy nie zajdę w ciążę. Nie ma tu nic więcej do powiedzenia, Jack. Stało się i nie ma do czego wracać.

— To dlaczego zmieniałaś zdjęcie w swoim telefonie?

— Wiesz dlaczego. Bo na tym zdjęciu miałam wielki brzuch. A ja chcę iść do przodu. I ty też powinieneś, a nie wciąż do tego wracać. Nie chcę, żeby to albo cokolwiek innego, co wydarzyło się piętnaście lat temu, rządziło moim życiem. Ludzie czasem umierają. Dzieci, ojcowie. Ale trzeba iść do przodu. Ten twój durny bóg zła jest tylko w twojej głowie. Nie ma kogo ścigać, Jack. Nie ma sprawcy. Nic się nie da zrobić.

— Ale nie możesz udawać, że to się nigdy nie zdarzyło.

— Nie udaję. Ja się tylko w tym nie pławię. Nie chcę więcej o tym myśleć. Chcę być kimś innym.

— Gratuluję. Chyba już ci się udało.

— To idiotyczna uwaga.

— To ty zachowujesz się idiotycznie.

No i zaczęło się. Zaczęliśmy na siebie krzyczeć jak para rozzłoszczonych dzieciaków. Dwoje dorosłych ludzi na krańcu mola drących się tak, że spacerowicze albo skręcali, żeby nas ominąć, albo zwalniali, by wychwycić choć parę zdań. Ani jedni, ani drudzy nie mieli pojęcia, że są świadkami, jak cały wszechświat rozpada się na pół.

\* \* \*

Scena ta — i to akurat w tym miejscu — wywoływała we mnie tak straszny smutek, że słowa więzły mi w gardle. Ledwie też słyszałem, co mówi Amy.

— Amy, spójrz mi prosto w oczy i powiedz, że nie chodzi o innego mężczyznę.

Wypowiedzenie tego na głos spowodowało, że ogarnęły mnie złość, żal i poczucie bezradności. Zupełnie jakby spytać: „Mamo, dlaczego ty mnie już nie kochasz?”. Czułem się jak czternastolatek, a to, że nie odpowiedziała, jeszcze wszystko pogorszyło.

— Jack, bzdury pleciesz.

— Czy to Todd Crane?

— Chryste.

— Amy, nie kpij sobie ze mnie. Zadaję ci poważne pytanie. Czy masz romans z Toddem Crane'em?

— Ja... Słuchaj, bardzo, bardzo dawno temu, wiele lat przed naszym poznaniem coś mnie z nim łączyło. Bardzo krótko i już nigdy potem. On ma pusto w głowie, Jack.

— To kto? Ten jakiś Shepherd?

Wlepiała we mnie spojrzenie. Chyba nie trafiłem — w każdym razie nie w sprawie jej romansu — ale moje pytanie poruszyło ją w sposób, jakiego nie rozumiałem.

— Co... skąd o nim wiesz?

— Amy, tak czy nie?

Wzrok jej się zachmurzył i odwróciła głowę.

— Oczywiście, że nie.

— A ten twój związek z Crane'em. To było w czasie, kiedy firma kupiła dom w Belltown?

Amy była już wyraźnie zdenerwowana, a ja pomyślałem, że Fisher przynajmniej co do jednego się nie mylił: dom w Belltown musiał mieć jakieś istotne znaczenie.

— Jack, naprawdę... nie powinieneś się do tego mieszać. To nie ma nic wspólnego z tobą, i tak tego nie zrozumiesz. Uwierz mi.

Ale jak już zacząłem, nie umiałem się powstrzymać. Musiałem rzucić jej w twarz jeszcze jedno nazwisko poznane w ostatnich dniach. To, które obok jej i Crane'a znalazło się w akcie własności budynku.

— A kto to jest Marcus Fox?

Amy pobladła, a ja ze smutkiem pokiwałem głową. Czułem, że przestaję jej wierzyć. Że wszystko, co przeżyliśmy wspólnie w ciągu ostatnich paru lat, przestaje się liczyć, a miniony czas krzepnie w tafłę lodu — z początku całkiem przezroczystą, ale z każdym dniem coraz twardszą i mętniejszą.

— To twoja ostatnia szansa, żeby wyjść z tego cało — oświadczyłem. — Powiedz mi prawdę.

Sięgnęła do torebki i lekko drżącą dłonią wyjęła paczkę papierosów. Wyciągnęła ostatniego, zapaliła i wyrzuciła puste opakowanie za balustradę. Zrobiła to kobieta, która w czasach kiedy się poznaliśmy, uczestniczyła w ochotniczych patrolach zbierających śmieci na plaży.

— Nie jestem zbyt podatna na groźby.

Spojrzenie miała spokojne i chłodne, jej palce trzymające papierosa były zakończone jasnoróżowymi paznokciami, a ja sobie uzmysłowilem, że nie znam tej kobiety. Ktoś czający się cały czas w cieniu wdarł się w moje życie, rozpanoszył w nim i niszczy wszystko, co dla mnie najważniejsze. Albo mi to kradnie, albo odmienia tak, żeby to już nie było moje. Myślałem, że jak nie wpuszczę do domu nikogo z zewnątrz, będę bezpieczny, ale się myliłem. W środku cały czas była Amy i to do niej przyszedł ten ktoś obcy.

A teraz wyraźnie mi ją odbierał.

Czułem, jak w głowie pęcznieje mi coś niedobrego i bardzo mrocznego. Coś, nad czym mogę nie zapanować.

— To już nie jesteś ty — rzekłem ponuro.

— Ależ tak, Jack, jestem. Przykro mi, ale to ja.

— Mam szczerą nadzieję, że nie. Bo ja tego kogoś nie znam. I jest kimś, kogo bardzo trudno mi zaakceptować.

I odszedłem.

Na sztywnych nogach pomaszerowałem wzdłuż mola aż do zakrętu, skąd nie było już jej widać. Mrugałem powiekami szybko i bezwolnie, ręce z dłońmi zaciśniętymi w pięści zwisały mi wzdłuż ciała i czułem się tak, jakby ktoś inny kierował moimi ruchami.

Dotarłem do końca, zatrzymałem się i zacząłem głęboko i wolno

oddychać. Miałem wrażenie, jakby molo kołysało się pod moimi stopami, ale wiedziałem, że to tylko złudzenie. Kołysał się cały świat. Zdałem sobie sprawę, że to samo czułem wtedy na tarasie domu w Birch Crossing, kiedy nie mogłem sobie uzmysłowić, gdzie jestem. Jakbym od dawna żył we śnie, z którego za chwilę się obudzę.

\* \* \*

Zawróciłem, ale już jej nie było.

Napad złości mi przeszedł i szybkim krokiem ruszyłem w stronę łądu. Lawirowałem wśród uśmiechniętych spacerowiczów, cały czas robiąc uniki, by nie wpaść na kolejną parę, czułem się trochę jak zjawka z innego świata. Potem puściłem się biegiem.

Dotarłem do brzegu i na kładce kończącej molo dojrzałem postać wyglądającą na Amy. Znajdowała się jakieś sześćdziesiąt metrów ode mnie i zbliżała się już do zejścia na Ocean Avenue. Zawołałem głośno jej imię.

Jeśli nawet mnie usłyszała, to nie zareagowała. Podeszła do czekającego na ulicy samochodu, otworzyła tylne drzwi i wsiadła do środka. Samochód od razu ruszył, a ja nie miałem żadnych szans, by ją dogonić.

Chwyciłem za telefon i wybrałem jej numer, ale zgłosiła się tylko poczta głosowa. Pewnie nie miała zamiaru odbierać moich telefonów.

— Amy — powiedziałem do słuchawki. — Proszę, zadzwoń.

A potem zadzwoniłem gdzie indziej i poprosiłem o sprawdzenie czegoś. Czekając na telefon, przeszedłem kładką na stronę Ocean Avenue, zszedłem i ciężko usiadłem na parkowej ławce. Telefon zadzwonił po pięciu minutach.

— Co wiesz o tym człowieku? — spytał Blanchard.

— Nic poza nazwiskiem. A co?

— Fox był biznesmenem. Wygląda, że przez pewien czas dość liżąącym się w mieście.

— Był?

— Zaginął dziewięć, dziesięć lat temu.  
— Zostawiając niezapłacone długi?  
— Nie. Ale w pewnej chwili zainteresował się nim wydział zabójstw. Jakiś świadek zeznał, że widział go w pobliżu miejsca zaginięcia młodej dziewczyny. W dzielnicy Queen Anne, parę przecznic od jego domu. W ciągu paru lat zaginęło w mieście kilka dziewcząt. Nawet więcej niż kilka. Śledczy uzyskali nakaz rewizji w domu Focha i znaleźli w nim bardzo czystą piwnicę.

— Podejrzenie czystą?

— Może. W każdym razie jego już tam nie zastali. Rozmawiałem z kolegą, który był wtedy w tym domu. Mówi, że przypominał pokład *Mary Celeste*. Na stole otwarta butelka wina, cygaro obcięte i gotowe do zapalenia, wszystko, co chcesz. Sprawa jest wciąż otwarta, ale już mocno zakurzona. Muszę też podkreślić, że nigdy go o nic nie oskarżono. A co on ma wspólnego z tobą, Jack?

— Nie wiem — odparłem.

— Chyba nie bardzo ci wierzę — rzekł Blanchard znużonym tonem. — Ten kolega powiedział, że parę tygodni temu już ktoś o Focha wypytywał. Ktoś podający się za adwokata. Mam mówić dalej?

— Nie — mruknąłem i rozłączyłem się.

A potem wybrałem jeszcze jeden numer.

— Okłamałeś mnie — rzuciłem, zanim Fisher zdążył coś powiedzieć. — Wybieram się do Seattle. Albo się ze mną spotkasz, albo cię znajdę. Ale jeśli mnie do tego zmusisz, będziesz żałował do końca życia.

Rozłączyłem się i podszedłem do krawężnika. Chciałem złapać taksówkę i pojechać na lotnisko albo do motelu, albo do baru — do jakiegokolwiek, gdzie uda mi się przetrwać noc przed wyruszeniem na północ.

## Rozdział trzydziesty drugi

Rachel stała na chodniku z rozdziawionymi ustami. Rozejrzała się na boki, potem wykonała melodramatyczny piruet, jakby to jej mogło w coś pomóc. Nie pomogło. A to szmata.

Naprawdę odjechała.

No, wspaniale.

Dzięki, Lori. Co za bombowe zakończenie kolejnej nocy. Umówiły się, że jeśli któraś trafi na pięciogwiazdkowego kandydata, może się z nim wynieść bez powiadamiania o tym drugiej. Ale umowa bardziej dotyczyła Rachel, bo Lori zawsze prowadziła, więc nie musiałyby teraz sterczeć przed najmodniejszym (w bieżącym tygodniu) lokalem w Seattle z perspektywą spaceru do domu, który w miarę jak trzeźwiała, zdawał się coraz bardziej oddalać. W dodatku miała na sobie spódniczkę zupełnie nieprzystosowaną do pieszych wędrówek i jakiś mizerny płachetek zamiast ciepłego płaszcza.

— Kurwa — prychnęła ze złością. Ale nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Albo nielojalnością eksprzyjaciólek. Ha! Czy to śmieszne, czy tylko mądre? A może zresztą nie takie znów mądre.

Ale skoro cały dyskurs toczy się tylko w jej głowie, czy to, kurwa, w ogóle ma jakieś znaczenie?

Spojrzała niepewnie w stronę wejścia do Wanna:Be. Pewnie



mogłaby wrócić do środka i spytać, czy nie dysponują jakimś czarodziejskim zaklęciem wzywającym taksówki, ale nawet gdyby, to i tak nie wiadomo, jak długo przyszłoby jej czekać. Nie mówiąc o tym, że nie miała ochoty użerać się z bramkarzem, żeby zechciał ją ponownie wpuścić do środka. Bramkarz — rosły czarnoskóry osilek — był bardzo przejęty swoją rolą i wyraźnie nie zdawał sobie sprawy, że za miesiąc znów wyląduje na ulicy, gdzie będzie rozdawał wejściówki przypadkowym pijaczkom w celu utrzymania frekwencji na pożądanym poziomie.

— Kurwa — mruknęła raz jeszcze, owijając się swym paltocikiem jak szalem i modląc w duchu, żeby się okazało, że nowy fagas Lori ma same problemy i ptaszka jak fistaszek. Na koniec zaklęła jeszcze raz i ruszyła w kierunku domu.

\* \* \*

— Dwadzieścia siedem — mruknęła pod nosem.

Skrupulatnie liczyła mijane przecznice, bo nie miała zamiaru nic zmyślać. Chciała między frazy „Musiałam przejść...” a „...zasranych przecznic” wstawić prawdziwą liczbę i z samego rana wysłać to e-mailem do Lori.

Przystanąła, żeby chwilę odpocząć. Dwie przecznice dalej będzie jej ulica, a wtedy już tylko piętnaście minut i dotrze do swego niezbyt okazałego domu w niezbyt okazałej okolicy. Domu, w którym trzymała swój dobytek, spała i jadła przed telewizorem. Domu, za który i tak powinna być wdzięczna losowi i ojcu, bo bez jego pomocy byłaby skazana na mieszkanie w jakiejś śmierdzącej prochami norze, dzielonej z trójką innych dwudziestoparolatków.

Po chwili ruszyła w dalszą drogę, ale już wolniej. Ulice niemal opustoszały i tylko od czasu do czasu przemykał jakiś samochód. Ludzie siedzieli po domach, robiąc to, co się o tej porze robi w domu. Ulica wiodła wśród przyzwoicie wyglądających domów, oddzielonych od jezdni zadbanymi ogródkami. Wyglądało na to, że nikt z mieszkańców nie siedzi po nocy, bo we wszystkich oknach było ciemno.

Widać wszyscy znaleźli to, czego szukali, i nie musieli już udawać, że można to znaleźć podczas „tej jednej, jedynej nocy” w barach pełnych światła i gwaru, które mimo to przypominały wnętrza dusznych szaf. Po co się męczyć komuś, kto ma garaż na dwa samochody. Wszyscy siedzą w ciepłych i przytulnych domach. Wszyscy poza...

...kimś wydającym te dziwne dźwięki.

Rachel zatrzymała się i obejrzała za siebie. Odgłos kroków. Zirytowała ją własna reakcja na czyjeś kroki. No więc ktoś dokądś sobie idzie. Tyle że było już bardzo późno i ciemno, ale i tak nic w tej sprawie nie mogła zrobić.

Za nią nie było nikogo. Sądząc po dźwięku, idący musiał być jeszcze dość daleko, a jego kroki były lekkie i ciche. Rachel sięgnęła do torebki i wyciągnęła komórkę.

— Właśnie — powiedziała głośno. — Ale z pingwinami zawsze tak jest, przecież wiesz. Większość nawet nie umie prowadzić samochodu. Z wyjątkiem tych z wielkimi czubami. Ale te przeszły szkolenie w CIA do zawodów w terenowych marszobiegach.

Przerwała i przez chwilę nasłuchiwała. Udawanie rozmowy telefonicznej, mającej zniechęcić potencjalnego napastnika, uważała za obciach, ale jedna z koleżanek Lori upierała się, że ta sztuczka nieraz wybawiła ją z opresji.

Wokół panowała cisza. Ten, którego kroki słyszała, chyba musiał gdzieś skręcić. No i bardzo dobrze. Nie odejmując telefonu od ucha, okrążyła róg i skręciła w swoją ulicę. Stąd do domu miała już tylko sześć przecznic. Ręka z telefonem powoli osunęła się jej wzdłuż ciała.

Dwadzieścia metrów dalej ktoś stał.

Nie wyglądał na zbyt wysokiego, ale poza tym nie widziała wiele więcej, bo postać była rozmyta w świetle stojącej za nią latarni.

Zwolniła i nie spuszczać wzroku z intruza, zrobiła jeszcze parę kroków.

Sylwetka nabrała konturów i przyjęła postać małej, stojącej nieruchomo dziewczynki.

\* \* \*

— Zgubiłam się — powiedziała dziewczynka.

— A dokąd chciałaś trafić? — spytała Rachel.

— Gdzie indziej.

— No dobra. Ale jak... hm... jak to możliwe, że o tej porze nie jesteś jeszcze w domu?

Dziewczynka pominęła pytanie milczeniem, ale Rachel to nie zaskoczyło. Wiedziała, że z wyjątkiem swej małej siostrzyczki nie potrafi nawiązywać kontaktu z dziećmi. W jej biurze nie było żadnych dzieci, żadne też nie chodziły na siłownię. A także nie bywały w nocnych barach. Jedyne dzieci, z jakimi miewała bliższy kontakt, należały do jej starszej siostry, ale nawet z nimi nie zostawała nigdy sama. Siostra zawsze kręciła się gdzieś w pobliżu, jakby się obawiała, że Rachel będzie chciała pożyczyć od nich pieniądze albo namówić je do palenia.

Mimo to postanowiła się przemoc i pochyliła się nad dziewczynką.

— Twoja mama wie, gdzie jesteś?

— Nie.

— A gdzie ty mieszkasz, kochanie?

— Chcę tylko znaleźć schronienie pod dachem. Nie chcę wracać do domu.

Oho, pomyślała Rachel. Nagle cała sprawa wydała jej się bardziej skomplikowana. Zgubione dziecko to jedno. Pozwala odegrać rolę dobrego bliźniego. Ale uciekiniarka z domu to coś zupełnie innego. Jakieś domowe problemy. Jakiś dziwny wujek Bob. Wszystko razem w komplecie.

— Dlaczego? — zdziwiła się. — Jest już bardzo późno. I zimno. Dużo przyjemniej byłoby w domu, nie sądzisz?

Dziewczynka spokojnie wyczekała do końca.

— A gdzie jest twój dom?

Rachel uniosła brwi.

— Słucham?  
— Gdzie twój dom?  
— Niedaleko stąd. Ale...  
— Weź mnie do siebie.  
— Posłuchaj — powiedziała Rachel zdecydowanym tonem. — Mogę ci pomóc odnaleźć twój dom. Rodzice na pewno się niepokoją. Ale...

Dziewczynka bez uprzedzenia zaatakowała.

Rachel kompletnie to zaskoczyło. Wyciągnęła rękę, starając się zamortyzować upadek, ale i tak runęła jak długa, uderzając głową o płytę chodnika. Wszystko trwało sekundę. W oczach jej się rozjarzyło, jakby nocne niebo rozdarła błyskawica.

Zaraz potem zobaczyła tuż nad sobą rozmyty kontur twarzy dziewczynki.

— Weź mnie do domu.

Rachel odczołgała się do tyłu po chodniku, czując, jak jej chrzęści nadgarstek.

— Co z tobą? Oszalałaś?

Rysy dziewczynki nabrały ostrości. Jej zaciśnięte usta stanowiły cienką kreskę.

— Weź mnie do domu.

— Nigdzie cię nie wezmę, ty pieprzona wariatko!

Dziewczynka zawahała się, wymierzyła jej kopniaka w brzuch i rzuciła się do ucieczki. Rachel zdążyła jeszcze dojrzeć, jak zwinnie przeskakuje niskie ogrodzenie wokół czyjegoś domu i znika w ciemnościach.

\* \* \*

Zerwała się na nogi i od razu ruszyła przed siebie. Dopiero dwie przecznice dalej dotarło do niej, co się stało, i zaczęła dygotać. W pierwszym odruchu chciała zadzwonić na policję i zażądać, by natychmiast przyjechali i poszukali gówniary, postanowiła jednak poczekać z tym do powrotu do domu.

Gdy do domu zostały jej już tylko dwie przecznice, znów coś się zaczęło dziać. W pierwszej chwili zdawało jej się, że ponownie słyszy

kroki. Tym razem od razu stanęła, ale wokół panowała głucha cisza. Powoli obróciła się w przekonaniu, że gdzieś w oddali — choć i tak za blisko — zobaczy kryjącą się za latarnią drobną sylwetkę.

Nikogo nie było.

To tylko nerwy, uspokajała się. Nic więcej.

Ruszyła w dalszą drogę, jeszcze bardziej przyspieszając kroku. Miała wrażenie, jakby jej uszy odstawały dziesięć centymetrów od głowy. Ramiona trochę ją bolały, jakby naciągnęła mięśnie. Starła się nie zwalniać tempa. Miarowo stukała obcasami. Próbowła patrzeć prosto przed siebie. Były tylko do przodu...

A potem nagle spojrzała w lewo.

Miała przed sobą dwa niemal identyczne bungalowy w wiejskim stylu, przedzielone niskim płotkiem. Oba ciche i ciemne w świetle księżycy. Ale czy z tyłu nie przeskoczył ktoś przez płot? Wzrok i słuch tego nie potwierdzały, ale serce waliło tak głośno, jakby było tego pewne. I bardzo tym zaniepokojone.

Zawahała się, potem szybko odwróciła głowę. Płot od ściany domu dzieliło pięć, może sześć metrów. Czy mała dziewczynka dałaby radę tak błyskawicznie pokonać taką odległość? To zapewne tylko kot dokonujący obchodu swego terytorium. Mignął jej w chwili przeskakowania przez płot, potem jak wszystkie koty rozpląnął się w ciemnościach.

Ale... jeśli to jednak ta smarkula? To by znaczyło, że wyprzedziła Rachel i jest teraz z przodu. I może na nią czekać parę domów dalej ukryta za kolejnym płotem.

Nie, to na pewno tylko kot.

A jeśli nawet nie... to co właściwie może zrobić? Wrócić biegiem przez Bóg wie ile przecznic do tego samego lokalu i prosić czarnego bramkarza o pomoc? Albo wezwać gliny? „Rozumiem, proszę pani, a ile pani dziś wypła? Naprawdę tylko tyle?”.

A poza tym to przecież dziecko. Za pierwszym razem mała ją zaskoczyła, ale teraz sobie z nią poradzi.

Mimo to ostami fragment drogi Rachel przebiegła truchtem, nie spuszczać wzroku z mijanych płotów. Domy w sąsiedztwie były o wiele skromniejsze i tańsze, a podwórko za jej płotem niezbyt duże. I na szczęście puste.

Pobiegła ścieżką do wejścia, otworzyła kluczem zamek, po czym wpadła do środka i zatrzasnęła za sobą drzwi.

I parsknęła śmiechem. Jezu, co za koszmarny wieczór.

\* \* \*

Od razu nalała sobie duży kieliszek wina i jednym haustem wypła połowę. W końcu straciła rachubę przebytych przecznic, ale Lori i tak padnie, jak usłyszy jej opowieść. Może nawet wyjątkowo przeprosi. Weszła do salonu i przez chwilę stała bez ruchu. Przeżyty wstrząs i wydzielona adrenalina z wolna przestawały szumieć w głowie i stopniowo się rozluźniała. Tylko co dalej? Usiąść w ciszy? Włączyć telewizor? Lori na pewno nie robi w tej chwili ani jednego, ani drugiego.

Pociągnęła kolejny łyk. Wino odświeżyło w niej wypity wcześniej alkohol i poczuła się lekko wstawiona. Wstawiona i podminowana. I naprawdę wkurzona. Co się na tym świecie wyrabia, żeby takie smarkule kręciły się po nocy i napadały na niewinne samotne kobiety?

I co się dzieje w tym świecie, że jej dotyczą te dwa ostatnie przymiotniki? Nie powinna samotnie włączyć się po nocach i nie powinna samotnie sterczeć w swoim salonie. Jedno i drugie to straszny obciach.

Ze złością uniosła kieliszek. Postanowiła dopić go do końca i nalać sobie następny. W końcu nie ma obok niej nikogo, kto mógłby mieć jej to za złe, prawda? W tym momencie coś usłyszała.

Cichy brzęk tłukącego się szkła.

Odwróciła się tak gwałtownie, że resztką merlota w kieliszku chlapanęła na wykładzinę.

Dźwięk rozległ się na górze.

Po cichu odstawiła kieliszek i z bijącym sercem wyszła do przedpokoju. Położyła rękę na poręczu schodów i spojrzała w górę. Znów

pomyślała, żeby zadzwonić na policję, ale teraz nie było już na to czasu. Czekanie na ich przyjazd za długo potrwa. Pomyślała nawet, czy nie wybiec na ulicę, ale sama się skarciła. Przecież, kurwa, jest u siebie w domu!

Powoli ruszyła schodami na górę. Stawiała stopy na końcach stopni, aby uniknąć skrzywienia, i udało jej się dotrzeć na piętro niemal bezszelestnie. Chwilę odczekała, nasłuchując, ale panowała głucho cisza. Zrobiła dwa kroki dzielące ją od sypialni i otworzyła drzwi.

Od razu zauważyła, że dolna połówka szyby w oknie jest wybita i w jej miejscu jest dziura otoczona ostrymi odłamkami szkła. Kawałki szkła leżały też na podłodze pod oknem. Rozejrzała się uważnie wokół. Wiedziała aż za dobrze, że w szafie nie ma miejsca nawet na jeszcze jedną bluzkę, tym bardziej na człowieka. Łóżko sięgało do samej podłogi, więc pod nim też nie mogło nikogo być.

A potem zauważyła coś, czego tu przedtem nie było. Na podłodze obok szafy leżał nieduży kamień.

Ktoś musiał rzucić nim w okno i stłuc szybę, po czym kamień potoczył się aż pod szafę. Ktoś? Nie było wątpliwości kto.

Podeszła do okna, przylgnęła do ściany, by jej nie było widać z zewnątrz, i ostrożnie wyjrzała, gotowa w każdej chwili cofnąć głowę.

Pod domem nie było nikogo i Rachel uznała, że ma już tego dosyć i musi zawiadomić policję. Zdecydowanym krokiem opuściła sypialnię i zeszła na dół.

Dziewczynka stała w końcu przedpokoju na tle oświetlonego wejścia do kuchni.

\* \* \*

Rachel od razu domyśliła się, co się stało. Smarkula stłukła szybę w sypialni, żeby ją tym zwabić na górę, a w tym czasie po cichu zbiła szybę w tylnych drzwiach, wsadziła rękę do środka i otworzyła sobie drzwi. Ale czy małe dziewczynki potrafią coś takiego wymyślić? Co to za dziecko?

— Wynoś się stąd.

Powiedziała to jednak głosem zdławionym i niezbyt groźnym.

Dziewczynka trzymała coś w ręku i Rachel bez trudu to rozpoznała. Profesjonalny nóż kuchenny z dwudziestopięciocentymetrowym ostrzem, jakiego używają szefowie kuchni. Kupiła go, gdy postanowiła poznać tajniki kuchni francuskiej, a także naręcze książek i malakser, ale jej kaczka po prowansalsku okazała się niejadalna i postanowiła dać sobie spokój. Od tamtej pory nóż leżał w szufladzie praktycznie nieużywany, lecz nadal był bardzo ostry i swymi rozmiarami zupełnie nie pasował do dłoni ściskającej go osoby. Dziewczynka w jej wieku z czymś takim w ręku powinna wyglądać komicznie. Niestety, wcale tak nie było.

Rachel odwróciła się i podbiegła do drzwi wejściowych. Chwyliła za rączkę zatrasku i pociągnęła. Zamek ani drgnął.

Sama zablokowała go zaraz po wejściu do domu.

Dziewczynka stała już w pokoju.

— Pomożesz mi — oświadczyła.

— Posłuchaj, kochanie — rzekła Rachel zdecydowanym, choć nieco drżącym głosem, biorąc się pod boki. — Naprawdę, dość tego. Nie wiem, jaki masz problem, ale zaraz dzwonię po policję. Mówię poważnie.

Dziewczynka uniosła nóż, tak że jego koniec znalazł się tuż przy jej gardle.

— Nie zadzwonisz.

— Mylisz się. Wynoś się z mojego domu.

— Nie zmuszaj mnie, żebym to zrobiła.

Na skórze widać było lekkie wgłębienie w miejscu, gdzie koniec noża naciskał na jej gardło.

— Co ty wyprawiasz...

— Chcesz, żeby policja tak mnie znalazła?

— Słuchaj...

Oczy dziewczynki nagle wypełniły się łzami. Rachel patrzyła, jak jej ręka jeszcze mocniej dociska nóż i jak wokół ostrego końca wycieka ciemnoczerwona kropla z przeciętej skóry. Widziała też, jak dłoń



dziewczynki zaciska się na rękojeści i za chwilę nóż wbije się jeszcze głębiej. I że na tym się nie skończy.

— Proszę — powiedziała dziewczynka cichym, wystraszonego głosem, który brzmiał zupełnie inaczej niż dotąd. — Pomóż mi. To nie ja robię.

— Jezu! — wykrzyknęła Rachel, wyciągając przed siebie obie ręce. — Okay, już dobrze, wygrałaś. Tylko... tylko przestań.

Dziewczynka zrobiła krok do przodu, stając bliżej światła. Wyglądała teraz prawie niewinnie, jakby nóż znalazł się w jej ręce przypadkiem, ponieważ podczas wspólnego gotowania mama jej nie przypilnowała, ale zaraz go odłoży i wszystko wróci do normy.

— Przrzekasz?

— Pewnie — rzekła Rachel. — Jasne, przrzekam.

Dziewczynka powoli odjęła nóż od gardła i lekko się uśmiechnęła. Uśmiech był miły i Rachel troszkę się odprężyła. Dziecko, które potrafi się tak uśmiechać, nie może być do końca złe. Chyba nie.

— Dobrze — powiedziała spokojnym, przyjaznym tonem. — Czyli to już mamy z głowy. To może mi teraz powiesz, jak ci na imię?

Twarz dziewczynki spochmurniała.

— Po co chcesz wiedzieć?

— Bo skąd mam wiedzieć, kochanie, jak do ciebie mówić? Ja jestem Rachel. Widzisz? Zdradzić komuś swoje imię to nic wielkiego.

Dziewczynka trzymała nóż w opuszczonej ręce, jakby już o nim zapomniała.

— Mam na imię Madison — powiedziała. — W zasadzie.

— Świetnie — uśmiechnęła się Rachel. — To naprawdę fajne imię. Madison i Rachel. Dwie kumpelki, tak?

Dziewczynka przez chwilę przyglądała się jej w milczeniu, potem zamrugła.

— Ja już wiedziałam, jak ci na imię.

Znowu się uśmiechnęła, ale jednocześnie nastąpiła w niej jakaś zmiana. Rachel odniosła wrażenie, jakby jej cały wygląd — rysy twarzy, ciało, ubiór — nie miały znaczenia i liczyły się tylko oczy. Jakby jedynie one mówiły prawdę. Rachel poczuła ściskanie w dołku. Chciała odwrócić wzrok, ale nie potrafiła.

— Czas — powiedziała dziewczynka, obrzucając Rachel zimnym spojrzeniem — nie jest nam przychylny. Zachowałeś się perfekcyjnie, dokładnie tak jak chciałam. Do tego stopnia, że nawet poczułam trochę sympatii, uwierzysz? Ale cóż. To było przedtem, teraz jest teraz. Musisz to zrozumieć, moja troszkę podstarzała Rachel. Jesteś dla mnie za stara i nie jesteśmy kumpelkami, a nawet gdybyśmy były, nie przeszkodziłoby mi to w pocięciu cię na kawałki. Dlatego byłoby wskazane, żebyś robiła teraz to, co ci każe.

Rachel skinęła głową. Nic innego nie przyszło jej na myśl.

— Świetnie. Teraz do kogoś zadzwonimy. Myślę, że będzie mto dla ciebie ciekawa rozmowa. W każdym razie pouczająca.

Dłoń dziewczynki znów zacisnęła się na rękojeści noża, co tak przykuło uwagę Rachel, że gwałtowny wymach drugiej ręki dostrzegła, gdy było już za późno.

— Doskonale — parsknęła Madison, patrząc na nieprzytomną Rachel na podłodze. — Teraz się przekonamy, jak bardzo wielki Todd Crane kocha swoją córkę.

## Rozdział trzydziesty trzeci

Już to kiedyś widziałem. Ta scena wielokrotnie rozgrywała się w mojej głowie, ale nigdy tak intensywnie jak teraz, gdy działo się to naprawdę.

Jestem w Los Angeles. Siedzę po ciemku w starym fotelu, powietrze jest przesycone wonią odpadków, a ja czekam na dwóch oprychów. Ich tożsamość ustaliłem w wyniku śledztwa, które ze wszystkiego, co robiłem, najbardziej przypominało pracę detektywistyczną. Oprychów wdzierających się do miejsc, do których nie mieli prawa wchodzić. Miejsc, które obrabowali i gdzie dopuścili się co najmniej dwóch gwałtów i jednego morderstwa. Wyznaję zasadę, że istota ludzka jest przede wszystkim typem społecznym, więc jeśli nie rozumiemy, że nie wolno jej wchodzić do czyjegoś domu bez zgody właściciela, to może być *Homo sapiens*, ale nie jest istotą ludzką.

Zdaję sobie sprawę, że robię dokładnie to samo co oni i co ci, którzy wiele lat temu i setki kilometrów stąd zabili mojego ojca. Nie mam prawa przebywać w tym domu. Nawet gdybym miał nakaz, to i tak nie powinienem tu siedzieć. Powinienem być w domu u boku Amy, która jest bliska załamania i mnie potrzebuje. Ale jestem tutaj. Nie mogę pomóc ani Amy, ani sobie, bo wyczerpałem wszelkie możliwości. I dlatego siedzę w tej obskurnej norze na końcu kanionu, w której wszystkie okna są szczelnie zamknięte i brakuje powietrza.

Tylko co ja tak naprawdę tu robię? Czekam, żeby aresztować dwóch oprychów, których tożsamość udało mi się ustalić, czy może czekam na dwóch nieznanych mi bandziorów z przeszłości, których nazwisk nigdy nie poznam i których nigdy nie złapię?

Nie myślę o tym. Nie myślę o niczym. Myśleć to znaczy pamiętać wyraz twarzy kobiety obsługującej ultrasonograf, która najpierw o sekundę za długo patrzy na ekran, a potem spokojnie dzwoni po szefa sekcji badań prenatalnych. To znaczy też widzieć moją żonę, która tłukąc się po domu, na próżno czeka, by to coś w niej ją opuściło. I to znaczy odtwarzać w myślach moment dwa wieczory temu, gdy nagły podmuch wiatru przy końcu mołu w Santa Monica sypie mi w twarz drobiny pyłu, jakby cała przyroda chciała, bym wiedział, że obraz tego, co się teraz dzieje, już nigdy, przenigdy mnie nie opuści. To, co z niej wyszło i zostało skremowane i rzucone na wiatr, to nie był on. Naszego syna nigdy nie było na tym świecie. Pozostał w środku i wciąż snuje się po zakamarkach jej ciała, a w świecie zewnętrznym istnieje tylko w postaci myśli w naszych głowach. Ci, którym przyszło dzielić życie z kimś nieżyjącym, wiedzą, jak donośnie brzmi to wszystko, czego już nigdy nie da się powiedzieć. Jak świetnie się pamięta sytuacje, które już nigdy się nie zdarzą.

Zostałem pozbawiony ciągłości pokoleniowej w obie strony i nie mam dokąd pójść, więc siedzę tu i czekam. Ktoś za to odpowiada. Ktoś musi za to zapłacić. W końcu drzwi się otwierają, słychać głośne rozmowy i odgłos ciężkich kroków, a ja wiem, że do środka weszło więcej niż dwóch mężczyzn. Ich obce głosy są szorstkie i pełne zawodu równie gorzkiego jak mój.

W ciągu następnych trzech minut zabijam strzałami czterech ludzi.

Nie chcę więcej tego przeżywać. Gdy w końcu udaje mi się wyrwać ze snu, pasażer siedzący obok mnie w samolocie do Seattle aż podskakuje ze strachu. Krzyk zamiera mi w gardle, a ja zdaję sobie sprawę,

że to, co we śnie było odgłosem ciężkich kroków, to tylko wypuszczenie podwozia w podchodzącym do lądowania samolocie.

\* \* \*

Wylądowaliśmy krótko przed dwunastą w południe i natychmiast włączyłem swoją komórkę. Trzydzieści sekund później rozległo się piknięcie, ale ku mojemu rozczarowaniu wiadomość nie była od Amy. Gary podawał mi adres swojego hotelu.

Hotel mieścił się w zachodniej części śródmieścia, niedaleko kanyoniu przecinającej miasto autostrady 15, i chyba reprezentował podobny standard do poprzedniego. Wczorajsza rozmowa z Blanchardem pozwalała to lepiej zrozumieć. Tym razem Fisher nie mógł obciążyć kosztem jakiegoś dzianego klienta i płacił za hotel z własnej kieszeni. Zaparkowałem przed wejściem, sięgnąłem do bagażnika i wszedłem do środka.

Gary zaproponował spotkanie w holu, ale ja spytałem w recepcji o numer pokoju i pojechałem na górę. Zapukałem do drzwi i usłyszałem stłumione pytanie.

— Do minibaru — odrzekłem, odwracając głowę w bok.

— Niczego nie potrzebuję.

— Muszę spisać stan, proszę pana.

Uchylił drzwi, a ja kopnąłem w nie tak, że walnęły go prosto w twarz. Wszedłem do środka i zatrzasnąłem za sobą drzwi.

— Jack, co ty...

Pchnąłem go w pierś, Fisher zatoczył się do tyłu i upadł na plecy. Ukląkłem mu na klatce piersiowej, wyciągnąłem pistolet i przyłożyłem do środka czoła.

— Morda w kubek — rzuciłem. — Ani słowa.

Mimo to zaczął otwierać usta.

— Mówię poważnie, Gary — powiedziałem, wciskając mu lufę w czoło. — Naprawdę. Mam już dość bycia zabawką w rękach twoich i całej reszty. Rozumiesz mnie?

Tym razem tylko zamrugał.

— To ty wystawiłeś Andersona?

Nie spuszczał ze mnie wzroku.

— Co?

— O miejscu naszego spotkania wiedziały tylko trzy osoby. Ty, ja i on. Ja nikomu nie powiedziałem, zakładam, że on też nie. Zostaje więc tylko jedna możliwość. Ty.

Na jego twarzy odmalował się strach. Spróbował się podnieść, ale zobaczył moją minę i dał spokój.

— Jack, musisz mi uwierzyć.

— Nie mam zamiaru wierzyć komuś, kto ucieka ze szpitala zaraz potem, jak na jego oczach zastrzelono człowieka. I kto od razu wymeldowuje się z hotelu i znika.

— Musiałem, Jack. Są pewne... Ktoś mnie śledził. Ktoś był w moim pokoju.

— Gary, na litość boską! Zgłoś się lepiej do swojego terapeuty i tym razem potraktuj sprawę poważnie.

— Nic mi nie...

— Czyżby? To dlaczego powiedziałeś, że wciąż pracujesz w swojej firmie, podczas gdy naprawdę jesteś na przymusowym urlopie?

— Skąd to wiesz?

— Co to za względy osobiste, Gary? Co z tobą, kurwa, nie tak? A właściwie wiesz, co ci powiem? Gównu mnie to obchodzi. Mam ważniejsze sprawy na głowie.

— Nie masz. Nie ma nic ważniejszego od tego.

Patrzyłem na rozciągniętego na podłodze pokoju hotelowego mężczyznę, dumając, jak, na litość boską, mogło do tego dojść. Jak to się stało, że ze szkolnej bieżni trafiliśmy tutaj.

— Nieważne — odparłem. — Mam w dupie Andersona, Cranfielda i całą resztę tego szajsu. Chcę tylko, żebyś mi powiedział wszystko, co wiesz o Amy, a potem raz na zawsze zniknął z mojego życia.

— Jack — jęknął. — Rzeczywiście nie powiedziałem ci wszystkiego. Przyznaję. Ale nie mogłem. Daj sobie wytłumaczyć.

Powinienem ruszyć do drzwi, bo pistolet zbyt dobrze leżał mi w

dłoni, ale nie bardzo wiedziałem, co mógłbym zrobić poza odwiedzeniem Todda Crane'a, a to nie był dobry pomysł. Przemawiały do mnie proste rozwiązania. Najchętniej wyrządziłbym komuś krzywdę.

— Proszę. Daj mi pięć minut.

— Na co? Na dalsze wodzenie mnie za nos?

— Zajrzyj do mojej teczki.

Spojrzałem na otwartą walizeczkę na krześle.

— Po co?

— Po prostu zajrzyj. Nie ruszę się z miejsca. Zostanę na podłodze.

Podszedłem i zajrzałem. Fotokopie kontraktów, broszury prawnicze. Biblia z oślimi rogami, w paru miejscach przełożona karteczkami.

— Na co mam patrzeć?

— W bocznej kieszeni.

Wyciągnąłem mały twardy prostokącik. Minidysk wideo.

— Jest na nim Amy?

— Nie — odparł. — To coś zupełnie innego.

— Więc mnie to nie obchodzi.

— Jack, proszę. Dosłownie pięć minut. A później powiem ci wszystko, co wiem.

— Czy to, co wiesz, ma jakiś związek z tym, co mnie obchodzi?

— Tak.

Rzuciłem mu dysk na klatkę piersiową.

\* \* \*

Usiadłem na krześle i nie chowając pistoletu, obserwowałem, jak Fisher podnosi się z podłogi, wyjmując z walizeczki kamerę wideo i długi cienki kabel, którego jeden koniec wtyka do gniazdka w telewizorze, a drugi do kamery z minidyskiem w środku.

— Muszę znaleźć właściwe miejsce.

— Czekam. Twoje pięć minut już tyka.

Stał pochylony nad kamerą i coś przy niej manipulował, zasłaniając sobą ekran.

— Okay — oznajmił po chwili. — Gotowe.

Odsonił telewizor, którego ekran wciąż był czarny. Podeszedł do okna i zaciągnął zasłony.

— Po co to robisz? — spytałem.

— Obraz jest dość ciemny.

Usiadł na brzeжку sofy. W pokoju zrobiło się mroczno i tylko blade świecenie ekranu wskazywało, że telewizor jest włączony.

Fisher nacisnął guzik pilota i ekran ożył.

Obraz przedstawiał jesienny park w pochmurne popołudnie. Pożółkła trawa, drzewa z resztkami liści, w oddali paru ludzi uprawiających jogging. Z bliska dobiegł chrzęst czyichś kroków na żwirze.

Kamerzysta panoramuje i zatrzymuje kadr na dziecku — małej dziewczynce idącej ścieżką — które trzyma w rączce patyk i wymachuje nim, jakby się przed czymś opędzało.

— Beth? — słyhać męski głos. Głos Gary'ego. — Bethany?

Dziecko powoli odwraca twarz do kamery, jakby jeszcze nie w pełni kojarzyło, że wypowiedziane przez ojca słowo ma jakieś szczególne znaczenie. Uśmiecha się, coś mamroce i macha drugą rączką bez patyka.

— Zobacz — mówi głos Gary'ego. — Co tam jest?

Kamera odjeżdża i w kadrze z lewej pojawia się duży pies.

Biegnie ścieżką w stronę dziewczynki, a jej buzia się rozpromienia.

— Hau-hau — mówi radośnie. — Hau-hau.

— Tak, kochanie. To jest piesek. Hau-hau.

Dziecko rusza w stronę zwierzęcia z rączką wyciągniętą przed siebie, z dłonią ułożoną na płasko — zapewne tak, jak ją tego nauczone. Za psem idzie para w starszym wieku.

— Proszę się nie bać — mówi kobieta. — Jest zupełnie niegroźny.

Dziewczynka przez chwilę przygląda się najpierw kobiecie, potem jej mężowi, po czym wyciąga ku niemu rączkę.



— Dziadzia — mówi zdecydowanym głosem. — Dziadzia.  
Kamera robi najazd na dziewczynkę i słychać śmiech Gary'ego.  
— Dziadziuś? Nie, kochanie. — Po czym dodaje już innym tonem.  
— Ona myśli, że każdy, kto... No, wie pan.  
Słychać pogodny śmiech mężczyzny.  
— Każdy, kto ma siwe włosy, tak, wiem. A poza tym naprawdę jestem dziadkiem. I to aż pięciokrotnym. — Mężczyzna nachyla się nad Bethany, która klepie psa po grzbiecie. — Jak ci na imię, kochanie?

Dziewczynka milczy.

— Bethany, jak ci na imię? — pyta Gary.

— Batne — mówi dziewczynka.

Potem jeszcze raz klepie psa, tym razem trochę zbyt zamasyście, i odbiega ścieżką. Obraz nieruchomieje i zaraz potem ekran ciemnieje.

— Cholernie wzruszające — mruknąłem. — Tylko że...

— Sekundę — przerwał Gary. — Musiałeś najpierw to zobaczyć. A teraz to, o co mi chodzi.

Wygląd ekranu się zmienił i w miejsce czerni pojawił się nakrapiany fiolet — typowy dla nagrania przy bardzo słabym oświetleniu.

Po przyzwyczajeniu wzroku do ciemnego obrazu dostrzegłem, że jedynym źródłem światła była stojąca przy łóżku lampka nocna, a bledsze plamy pośrodku kadru to zwisające i wolno obracające się sylwetki zwierzątek. Patrzyłem na wnętrze dzieciennego pokoju ze zgaszonym górnym światłem.

— Co jest, do...

— Proszę, tylko to zobacz — nie pozwolił mi skończyć Gary.

Przez jakiś czas kamera tkwiła nieruchomo, zapewne kadrując wnętrze pokoju przez otwarte drzwi na korytarz. Jedynym dźwiękiem był stłumiony oddech operatora, starającego się oddychać jak najciszej.

Potem lekko kołysząc się w rytm kroków operatora, kamera zaczęła sunąć do wnętrza pokoju i ustawiła się pod ścianą. Słychać było

cichutkie skrzypnięcie i metaliczny szczęk, po czym obraz jeszcze bardziej pociemniał.

Kamerzystka drżącą ręką zaczął panoramować cały pokój. Smugi bladego zimnego światła przeciskającego się przez szpary w zasłonach pozwalały dojrzeć gruboziarnisty obraz na ścianie, przedstawiający tropikalną dżunglę, małe stolice z krzeselkiem i etażerkę z równo poustawianymi rządkami zabawek. Kamera wykonała pełny obrót, mijając po drodze zamknięte drzwi i kończąc na nocnym stoliku ze świecącym zegarem, potem przeniosła się na dziecinne łóżeczko.

Łóżeczko było ze wszystkich stron zabezpieczone kratką z drewnianych listewek, co nasuwało myśl o żłóbku z dzieckiem zbyt małym i bezbronnym, by mogło o własnych siłach stawić czoło światu. Dostrzegłem zarys śpiącego dziecka, słyszałem jego miarowy oddech.

Przez parę minut nic się nie działo, ale można było poznać, że kamera pokazuje obraz w czasie rzeczywistym, bo dało się słyszeć nie tylko oddechy dwojga ludzi, ale też ciche bzyczenie automatyki kamery, która starała się łapać ostrość w niemal całkowitych ciemnościach.

To wszystko nie przykuło mojej uwagi i już miałem wstać, gdy z głośników telewizora dobiegł jakiś nowy dźwięk.

— Co to było? — spytałem.

Gary uciszył mnie gestem ręki.

Na ekranie nagle zmienił się kadr. Kamera przesunęła się w bok i kilkadziesiąt centymetrów w dół, zatrzymując się na główce dziecka widzianej z boku przed ochronną kratką.

Nachyliłem się i wbiłem wzrok w ciemny ekran.

Przez chwilę nic się nie działo, potem znów usłyszałem ten dźwięk, przypominający głębokie westchnienie. Niewątpliwie to nie Gary wdychał. Przez chwilę panowała cisza, potem szept:

— Nie wiem.

Zmrużyłem oczy niemal pewny, że się nie przesłyszałem. Przez następne piętnaście, dwadzieścia sekund panowała cisza.

— Czy ktoś mnie słyszy?

Tym razem nie było już wątpliwości. Słowa zostały wypowiedziane z naciskiem i dziwną modulacją. Oczy dziecka pozostawały zamknięte, ciało spoczywało nieruchomo.

Ciałko dwuletniej dziewczynki.

— Odejdź — powiedziała i tym razem jej głos zabrzmiał nieco inaczej, jakby słowa były nie do końca wyartykułowane.

— Nie — odrzekł pierwszy głos, dochodząc także z ust Bethany. — Nigdzie nie pójdę.

Dziewczynka nagle przekreśliła się na bok i ustawiła buzią wprost do kamery. W jej ruchu było zniecierpliwienie.

Słysząc było, jak kamerzysta wstrzymuje oddech, pewnie w obawie, że dziecko się obudzi, wystraszy i podniesie wrzask.

Ale oczy dziewczynki pozostawały zamknięte. Rozległ się cichy płacz i pierś dziecka zaczęła się szybciej podnosić i opadać.

— Mogę poczekać — powiedział głos.

Dziewczynka znów przekreśliła się na wznak, dało się słyszeć ponowne ciężkie westchnienie i wszystko ucichło. Chwilę później ekran zrobił się czarny.

\* \* \*

— Pokaż to jeszcze raz — poleciłem.

Cofnął nagranie i obejrzałem je ponownie. Ani razu nie zauważyłem ruchu warg dziecka, tyle że w pokoju panowały ciemności, a twarz Bethany częściowo zasłaniały listewki osłony łóżeczka. Ale jednocześnie trudno uwierzyć, by głos dograno później. Zbyt dobrze pasował do szmerów w tle, ale zwróciłem jeszcze uwagę, jak mała przekreśliła się na wznak. W zachowaniu dziewczynki było coś dorosłego. Zrobiła to zdecydowanym, jakby pełnym irytacji ruchem. Czy tak się zachowują małe dzieci?

Nie byłem pewien. Nacisnąłem pauzę i zatrzymałem obraz na twarzy Bethany.

— Co to ma wspólnego z Amy? — rzuciłem.

Przewiercił mnie spojrzeniem.

— Kpisz sobie, tak? Przecież od ciebie wiem, jak się nazywają. Z twojej książki.

— Jak kto się nazywa?

— Właśnie go słyszałeś, Jack. Słyszałeś jego głos dobywający się z ust mojego dziecka.

— Chcesz powiedzieć, że w twoim dziecku jest ktoś jeszcze?

— Nie tylko w niej. Wciąż nie rozumiesz, Jack? — Pochylił się do przodu i popatrzył na mnie, a jego oczy jarzyły się jakimś wewnętrznym blaskiem. — To intruzi, nieproszeni goście. To obcy wewnątrz innych ludzi.

## Rozdział trzydziesty czwarty

Istnieje pewien stan ducha dobrze znany wszystkim policjantom. Uświadomienie sobie, że ktoś, z kim rozmawiasz, cały czas kłamie. To może być grube kłamstwo w zasadniczej sprawie albo małe, nieistotne kłamstewko, ale w jednym i drugim wypadku nagle sobie uzmysławiasz, że świat opisywany przez tego kogoś — kto ci przy tym patrzył głęboko w oczy i udawał chętnego do współpracy — po prostu nie istnieje.

Nie sądziłem, żeby Gary świadomie kłamał, poza tym jednak czułem to samo co on. Chciałoby się, żeby neuroza miała wymiar heroiczny i nadawała szamański majestat pogmatwanemu wewnątrznie światu, z którego niektórzy nie potrafią znaleźć wyjścia. Ale tak nie jest. W neurozie nie ma nic majestatycznego. Jest w niej tylko ogromny smutek.

Dojrzał to w moim wzroku.

- Nie, Jack. Przecież widziałeś to na własne oczy.
- Widziałem śpiące dziecko. I słyszałem jakieś słowa.
- Których normalnie nie potrafiłaby wymówić.
- Widocznie jakiś fragment jej mózgu wysforował się do przodu i urządza sobie harce w stanie uśpienia. Nic więcej. Mówienie przez sen to nic nadzwyczajnego. Amy też to miała. I to zarówno w dzieciństwie, jak i ostatnio.
- Czyżby.

- Co to ma niby znaczyć?
- Jack, wyjaśnij mi sprawę Mozarta.
- Słucham?
- Zaczął komponować, gdy miał cztery lata. Tak, wszyscy o tym wiemy, ale zamiast się przerazić, że to kompletnie nienormalne, my się zachwycamy: „Super, jaki on musiał być genialnie mądry”. Ale czy byłoby to możliwe, gdyby nie przyszedł na ten świat z zasobem dodatkowej wiedzy?
- Chodzi ci o reinkarnację, Gary?
- Nie. Tu nie chodzi o kogoś powracającego w nowym wcieleniu. Tu mamy do czynienia z sytuacją, kiedy w jednym umyśle funkcjonuje dwóch ludzi.
- I myślisz, że w głowie Bethany jest ktoś jeszcze?
- Ja to wiem. I nawet wiem kto.
- Na litość boską, Gary. Mówiłeś, że nie wierzysz w te bzdury o Donnie. Myślałem, że się po prostu spiles.
- Nie przyglądałeś mi się wtedy zbyt uważnie. — Uśmiechnął się.
- Połowy swoich piw nie wypilem. Już dużo nie piję. Zmądrzałem.
- Dobra. Jasne. Niech ci będzie. Ale co to wszystko ma wspólnego z moją żoną?
- Joe Cranfield też miał w sobie nieproszonego gościa. A właściwie sam nim był. Kimś starszym, goszczącym w ciele człowieka, którego poznałem. Dzięki temu potrafił wystartować z marszu. Geniusz finansowy, tak? Jak Mozart w muzyce. To on stał się dla mnie pierwszą poszlaką w całej sprawie. I dlatego na koniec pozbył się całego majątku, nie uprzedzając o tym żony, bo ona nie należała do grona nieproszonych gości i nic o tym wszystkim nie wiedziała. To jedna z obowiązujących reguł. Tak ci ludzie funkcjonują.
- Jacy ludzie, Gary? Twoja dwuletnia córka i zmarły biznesmen z Illinois? Coś ze sobą knuli? Czy to chcesz mi powiedzieć?
- Jack... Oczywiście, że nie. Jest ich znacznie więcej, są na całym świecie. Istnieje grupa organizująca powroty, która od dawna się tym

zajmuje. Nauczyli się to robić setki, tysiące, może dziesiątki tysięcy lat temu. Sam zwróciłeś na to uwagę jeszcze w szkole. Powiedziałeś coś takiego o Donnie, pamiętasz? Że gdy przyszła na świat, od razu wiedziała pewne rzeczy.

— Gary, tak mi się tylko powiedziało. Miałem wtedy osiemnaście lat, na litość boską. Próbowałem zaszpanować, powiedzieć coś, co mądrze zabrzmiało.

— Ale się nie myliłeś. Bo właśnie o to chodzi. Pewni ludzie przychodzą na świat z zapasem wiedzy, której normalnie nie powinni mieć. W każdym razie dysponuje nią ta druga osobowość, która w nich mieszka. Pewna grupa ludzi doszła do wniosku, że może powrócić i zagnieździć się w głowach osób żyjących. Dosiąść się do kogoś i odbyć z nim kolejną podróż przez życie. Nauczyli się też przywracać pamięć tego, kim byli poprzednio. Zaczęli snuć plany na przyszłość, obmyślając, jak to zrobić, by następnym razem być naprawdę sobą, a nie tylko tkwić w czyjejs podświadomości. Dlatego niektórzy rodzą się źli. Dlatego...

— Gary, posłuchaj doświadczonego człowieka. Nikt nie rodzi się zły.

— Czyżby? I sądzisz, że wszyscy gliniarze też tak myślą? I wszyscy pracownicy z opieki społecznej? I wszyscy adwokaci w sprawach karnych? I rodzice tych dzieci, które po prostu nie umieją być posłuszne i muszą otwierać wszystkie drzwi, kopiąc w nie z całej siły? Niektórzy nieproszeni goście są dobrymi, przyzwoitymi ludźmi. Taki był Joe Cranfield. Ale są też inni. Ci wracają po to, żeby narozrabiać jeszcze bardziej niż za pierwszym razem. Odczekują, żeby się upewnić, że dziecko nie umrze na jakąś chorobę wieku niemowlęcego, potem się w nie wciskają. Dlatego pierwsze napady złości u dzieci zaczynają się w wieku dwóch, trzech lat, bo dwie dusze zaczynają z sobą walczyć o przewodnictwo. I dlatego przez następne pięć, sześć lat niektóre dzieci miewają nocne koszmary. Są zagubione, przerażone, nie rozumieją, co się z nimi dzieje, i próbują walczyć z czymś, co je nawiedza podczas snu, gdy w sposób naturalny są bardziej podatne.

Zwróć uwagę, Jack, jak często geniusze młodo umierają albo zapadają na choroby psychiczne. Pół biedy, jeśli wiedzą, co się z nimi dzieje, kiedy nieproszony gość zajmuje środek sceny i w sposób świadomy kieruje losem, a gospodarz się temu poddaje. Ale jeśli nie zdajesz sobie sprawy, co jest grane, to czujesz się kompletnie zagubiony i cały czas gnębią cię jakieś wewnętrzne głosy. W takiej sytuacji ludzie zapijają się na śmierć, zostają narkomanami lub popadają w obłąd. Nie bardzo wiedziałem, co mam mu powiedzieć.

— Tylko że wciąż nie mogę dojść, jaki związek wszystkie te brednie mają z moją żoną.

— Firma Burnell & Lytton, zajmująca się podziałem majątku Jogo, ma siedzibę w budynku, w którego akcie własności widnieje między innymi twoja żona. A firma jest powiązana z organizacją, która zarządza tym całym systemem. Nieproszeni goście muszą pod względem finansowym każdorazowo zaczynać od nowa. Inaczej mielibyśmy ludzi z ogromnymi majątkami, które zgromadzili i których nie mieliby jak przekazać dalej, a to prowadziłoby do ujawnienia całego systemu. Domyślam się, że pod koniec doczesnego życia mają obowiązek wyzbyć się wszystkiego po to, by móc zacząć następne od zera. I dlatego właśnie...

— Gary, brak czegoś nie może być dowodem na to, że...

— Wiem, Jack. W końcu jestem pieprzonym prawnikiem. Ale zastanów się: istnieje jakaś więź łącząca Amy i Cranfielda. Wszystko sprowadza się do tych dziesięciu procent majątku Cranfielda, które przeznaczono na inny cel. Jest jeszcze coś, czego ci wcześniej nie powiedziałem. Bałem się, że mi nie uwierzysz.

— Teraz też nie uwierzę.

— Pamiętasz tę fundację charytatywną administrowaną przez firmę Burnell & Lytton? Psychomachy Trust? Słowa „psychomachy” nie znajdziesz w żadnym współczesnym słowniku i początkowo sądziłem, że po prostu wymyślono. Ale okazuje się, że kilkaset lat temu



wyraz ten był w powszechnym użyciu. Terminem „psychomachia” określano konflikt między ciałem a duszą, czyli innymi słowy konflikt między osobą a tym, co w niej siedzi w środku. Trust jest tylko przykrywką. Gdy któryś z nieproszonych gości umiera, ma obowiązek oddać mu dziesięć, co w przypadku Cranfielda wyniosło prawie dwadzieścia sześć milionów dolarów. Z tych dziesięć finansowana jest bieżąca działalność organizacji, wypłacane pensje personelu albo... Zresztą nie wiem dokładnie, jak to wszystko działa — dokończył poirytowany. — Ale...

— Dobra — powiedziałem, podnosząc się z miejsca. — Wychodzę. Gary, wracaj do domu. Mówię serio. Pobądź trochę z rodziną i poradź się kogoś mądrego, zanim to się jeszcze pogorszy.

— Nie dziwię się, że mnie podejrzewasz o... Wiem, jak dziwacznie to wszystko brzmi. Ale mam dowody, Jack. Mnóstwo dowodów. Przeprowadziłem skrupulatne badania. Zresztą sam wiesz, jacy są ludzie. Wiecznie niezadowoleni, pragnący być kimś innym lub mieć coś innego i nie umiejący powstrzymać się od robienia czegoś, o czym wiedzą, że jest złe. I inni, którzy od początku jakby korzystali z pomocy sił wyższych.

Schowałem pistolet do kieszeni marynarki. Uznałem, że nie będzie mi tu potrzebny, a przebywanie w jednym pomieszczeniu z Fisherem stawało się jeszcze bardziej uciążliwe niż rozmowa z Andersonem. Chciałem stąd wyjść.

A jednak nie zrobiłem tego. Miałem w pamięci obraz kobiety, która jako dziecko miewała nocne koszmary, a rok temu zaczęła mówić przez sen. I od pewnego czasu zaczęła się zachowywać inaczej niż ta, którą kiedyś znałem. Mało tego, wręcz odmiennie pachniała. Pytanie Natalie spowodowało, że zacząłem się nad tym zastanawiać. Uprzymniłem sobie, iż od paru lat w Amy zachodziły drobne, ale systematyczne zmiany. Proces ten zaczął się jeszcze przed tragedią z naszym dzieckiem. Czy wszystko to należało tłumaczyć obecnością w niej kogoś innego? Kogoś lubiącego herbatę i róż, kto ponosił odpowiedzialność za objawienie się innej Amy? I czy w jej życiowej podróży

był to tylko krótki moment, raptowna przesiadka do wieku średniego, połączona z pozbyciem się dotychczasowego bagażu?

Czy też działa się z nią coś więcej?

Potrząsnąłem głową. Nie, to nie tak. To tylko szukanie czegoś, co mogłoby tłumaczyć jej zachowanie w sposób mniej dla mnie bolesny. Uciekanie przed przyznaniem, że skończyła się miłość i zaszyły w Amy nieodwracalne zmiany. Bo niemal wszystko zdawało się lepsze od tego, co oczywiste.

Choćby to wszystko było nie wiem jak absurdalne.

— To dlaczego zabili Andersona? — spytałem, czując, jak moja determinacja słabnie. — Co on ma z tym wspólnego?

— Ty mi to powiedz. To ty z nim rozmawiałaś.

— Właściwie nie zdążył mi nic powiedzieć.

— Okay. Ale czego to wszystko dowodzi? Co człowiek w rodzaju Andersona mógł zrobić takiego, żeby to uzasadniało narażanie własnego życia i strzelanie do niego na oczach tłumu? Myślisz, że zabójca działał samotnie? Oczywiście, że nie. A więc co? Co mogło być aż tak ważne? Powiedz mi.

— Nie wiem i jest mi to obojętne. Ja...

W tym momencie zadzwoniła moja komórka.

— Halo?

— Ty skurwielu jeden — wymamrotał głos.

Zakląłem. Zdążyłem już zapomnieć, co niektórzy są gotowi zrobić dla paru groszy.

— L.T. Miałem zamiar zablokować twój numer i zaraz to zrobię.

— Wisisz mi kasę. To twoja ostatnia szansa.

— Bo co? Nic ci nie jestem winien. Już ci powiedziałem, że nie jestem zainteresowany.

— Na pewno? Bo akurat oni są tam teraz.

— Jacy oni?

— No w tym domu. Właśnie tam weszli we trójkę.

To mnie troszkę przystopowało.

— Weszli do tego domu? Jak wyglądali?

- Aa, znaczy już cię znowu zainteresowało.
- Powiedz mi tylko, jak wyglądali.
- Jak cała reszta białych skurwieli. Jeden taki więcej biznesmen.

W garniturze był. Reszta nie wiem.

- Nie ruszaj się stamtąd i zadzwoń do mnie, jak wyjdą.
- Zamknąłem klapkę telefonu.

Fisher siedział na łóżku ze wzrokiem utkwionym w ekran, na którym widniał zatrzymany obraz jego córki. Nagle jakby się postarzał. Stary, skulony samotny człowiek. Na policzkach dostrzegłem wilgotne ślady.

- Co jest? — powiedziałem, czując w sercu nagły chłód. — Gary?
- Tęsknię za nią — odparł cicho. — Za wszystkimi.
- To wracaj do domu. Zapomnij o wszystkim i wracaj.
- Na to już za późno. — Podniósł na mnie załzawione oczy. —

Nie wierzysz mi, prawda? Nie wierzysz w tę całą sprawę.

— Nie — odparłem. — Przykro mi, ale nie. Za to dostałem wiadomość, że właśnie ktoś wszedł do tego domu w Belltown. Chcesz się dowiedzieć kto?

Potarł twarz dłońmi, jakby to mu miało pomóc w powrocie do rzeczywistości.

I rzeczywiście chwilę później jego wzrok znów nabrał ostrości. Wstał z łóżka i sięgnął po marynarkę.

- Pewnie i tak nas tam nie wpuszczą — mruknął.

Wyjąłem naboje i wcisnąłem do magazynka. Po raz pierwszy tego dnia załadowałem pistolet.

- Nie mam zamiaru ich prosić.

## Rozdział trzydziesty piąty

Telefon zadzwonił w środku nocy i Todd musiał najpierw otrząsnąć się ze snu, co przyszło mu z trudem. Po położeniu się do łóżka przez wiele godzin wiercił się, nie mogąc usnąć. W końcu mu się udało i teraz nie miał ochoty rozstawać się ze snem, zwłaszcza że dochodzący z dołu dzwonek był ledwie słyszalny. Telefon w sypialni został z polecenia Liwie usunięty już dziesięć lat temu, kiedy jakiś półgłówek uparł się, żeby wydzwaniać po nocach do ich średniej córki, wówczas zaledwie jedenastoletniej.

Telefon przestał dzwonić i włączyła się automatyczna sekretarka, ale trzydzieści sekund później znów zaczął dzwonić.

Todd zmusił się do otwarcia oczu. To dziwne. Ci, którym zdarzy się zadzwonić pod zły numer, zwykle orientują się, że popełnili pomyłkę zaraz po usłyszeniu nagranych powitania, i drugi raz nie dzwonią. Wszyscy inni po prostu zostawiliby wiadomość.

Z trudem usiadł na łóżku. Budzik pokazywał 3.21. Jezu.

Kogoś dzwoniącego o tej porze chyba nie należy ignorować.

Chwycił szlafrok i ruszył schodami na dół, ale nim dotarł do holu, dzwonienie znów ustało. Usłyszał kliknięcie włączającej się automatycznej sekretarki, potem nastąpiła chwila ciszy i automat się wyłączył. A później telefon znów natychmiast zaczął dzwonić. Szarpnął słuchawkę.

— Co to za...

— Cicho bądź. — Głos należał do młodej dziewczyny i Todd poczuł, że jeżą mu się włoski na karku.

— Kto mówi?

— Posłuchaj.

Zapadła chwila ciszy.

— Tatuś? — Ktoś inny. Ktoś starszy i mocno wystraszony. Crane kurczowo ścisnął słuchawkę.

— Tato, to ja.

— Rachel? Co się stało?

Usłyszał, jak córka gwałtownie wciąga powietrze, tłumiąc szloch. Cały aż zeszywniał. Czuł, jak opadają z niego resztki sennego zamroczenia i pojawia się mieszanina złości i strachu.

— Przepraszam — szepnęła jeszcze i zamilkła.

— Okay — powiedział pierwszy głos i Todd już wiedział, skąd go zna. To ta smarkata, która była u niego w biurze wczoraj po południu. — Teraz mnie wysłuchasz, Toddy. Bez twojej pomocy znalazłam sobie dach nad głową. Zgadnij gdzie?

— Oddaj słuchawkę mojej córce...

— Chętnie, bo Rachel opíše ci całą sytuację. Tylko słuchaj uważnie.

Znów nastąpiła krótka przerwa potrzebna na przekazanie słuchawki, potem rozległ się smętny głos jego córki.

— Jestem przywiązana do stołu. Ona stoi za mną. Ma nóż.

W słuchawce ponownie zabrzmiał tamten głos.

— Jak na mój gust ciut za bardzo hemingwayowskie, ale mam nadzieję, że wszystko jasne. Bo to ważne, Todd, żebyś dobrze rozumiał sytuację.

— Proszę — powiedział Crane. — Nie zrób jej krzywdy.

— Może nie zrobię. — W głosie dziewczynki słyhać było wahanie, jakby rzeczywiście zastanawiała się nad jego prośbą. — Nigdy nic nie wiadomo. Ale to zależy. Powiedziałam ci, że chcę się z kimś spotkać, ale mnie zignorowałeś. Chcę, żebyś jeszcze raz przemyślał całą sprawę i znalazł skuteczniejsze rozwiązanie, jak to mawia ktoś mi bliski.

Chcę, żebyś zorganizował mi to spotkanie.

— Z kim...

— Z Rose.

Todd rozdziawił usta, potem je zamknął.

— Ale...

— Nie. Nie ma żadnych „ale”, Todd. Nawet nie próbuj się przymerzać do jakichś „ale”, bo będzie po Rachel. Zorganizuj wszystko, i to szybko. Jak nie, zabiję twoją córkę. Jeśli zawiadomisz gliny albo komuś o tym powiesz, będę wiedziała. I wtedy też od razu się nią zajmę. Będziesz mógł ją sobie obejrzeć po wszystkim. Ze świadomością, że to ty ją tak urządziłeś. Będziesz mógł o tym myśleć, zdejmując wszystkie lustra w jej słodkim domku i wieszając je dla kaleki w wózku inwalidzkim.

Todd miał zbyt sucho w ustach, żeby coś powiedzieć.

— Po prostu zrób to — polecił głos i połączenie zostało przerwane.

\* \* \*

Kilkanaście minut po rozmowie Todd siedział już w samochodzie. Nie przyszło mu nawet do głowy, aby obudzić żonę. I tak nie mogłaby mu w niczym pomóc, a on nie umiałby jej powstrzymać od zawiadomienia policji.

Jechał przez uśpione miasto jak w transie, przeskakując przez czerwone światła i nawet tego nie dostrzegając. Przejechał obok domu córki, uważając, by nawet nie zwolnić. Wszystkie okna były ciemne. Skręcił w następną przecnicę, zatrzymał się i zaczął gorączkowo myśleć.

Czy ta smarkula rzeczywiście by wiedziała, gdyby zadzwonił na policję? Jakim cudem? Był pewien, że blefowała, groźba jednak brzmiała prawdziwie. Najbardziej utwierdził go w tym głos córki. Ile w sumie powiedziała — dwadzieścia, może trzydzieści słów? Ale to starczyło. Rachel była osobą niezależną, twardą i zdecydowaną — bardziej niż jej dwie siostry podobną do swego ojca. Jakoś nie mogła

sobie ułożyć życia osobistego, ale nigdy nie brakowało jej pewności siebie. A dziś przez telefon mówiła głosem małej, mocno wystraszonej dziewczynki. Wyraźnie uwierzyła w prawdziwość gróźb swej prześladowczyni. Wyraźnie uwierzyła w prawdziwość gróźb swej prześladowczyni i to wystarczyło, by i Todd w nie uwierzył. Jak zadzwoni na policję, to jeśli nawet poważnie potraktują zgłoszenie o dorosłej kobiecie sterroryzowanej przez dziecko, pojedą i grzecznie zapukają do drzwi, zamiast je od razu z impetem wyważać...

Todd nie mógł podejmować takiego ryzyka. Mogłoby się zdarzyć, że nim policja wejdzie do środka, Rachel będzie już martwa, a jej morderczyni zdąży zbiec.

W takim razie może pójść tam samemu? W ten sposób spełniłby jej warunek, bo nikomu by nie powiedział. Ale pozostanie pytanie, czy w środku jest tylko ta smarkula, czy ktoś jeszcze bierze w tym udział.

Siedział przerażony w samochodzie, nie gasząc silnika i nie mogąc się zdecydować. Przecież to chyba rola każdego ojca, prawda? Podejmowanie takich akcji i chronienie swoich dzieci. Rzucanie się w przeświadczeniu, że potrafi sobie poradzić z każdą sytuacją i obroni swoje dziecko.

Ale już do niego dotarło, że ma to jakiś związek z tamtymi sprawami. Z dziwnymi wydarzeniami, które od wielu lat towarzyszyły jego życiu. Z ludźmi, którym od czasu do czasu wyświadczał drobne przysługi i który w zamian pomagali mu robić karierę.

I dlatego wcale nie był pewien, czy w tej sytuacji sobie poradzi. Bo jeśli sprawa dotyczy Rose, niczego nie da się z góry przesądzić.

\* \* \*

— Musisz mnie wysłuchać — mówił do słuchawki blisko dwanaście godzin później. — Naprawdę muszę się z tobą spotkać. I to dzisiaj.

— Niech mi pan powie przez telefon — odparła. — Jestem bardzo zajęta.

Todd ukrył twarz w dłoniach. Była lepka od potu i czuł mdłości. Zegar wskazywał kilka minut po trzeciej; tyle zajęło mu dodzwonienie się do niej. Miał tylko jedną szansę i nie mógł jej zmarnować.

Uniósł głowę i potoczył wzrokiem po zatoce i górach w nadziei, że ten znajomy widok pomoże mu odzyskać zwykłą pewność siebie. Nigdy mu jej przy tym biurku nie brakowało.

— To niemożliwe — rzekł, starając się mówić chłodnym i opanowanym tonem jak pewny swego szef. Ktoś przywykły do stawiania na swoim.

— Dlaczego?

— Myślę, że mój telefon jest na podsłuchu.

Zapadła cisza.

— Dlaczego pan tak uważa? — spytała po chwili milczenia.

— Słyszę jakieś dziwne odgłosy.

— Dobrze się pan czuje, panie Crane? Nie pił pan czegoś? Może był pan na zbyt zakrapianym lunchu z potencjalnym klientem? Albo z młodą kobietą? A może wrócił pan do używania kokainy, z czego wyciągnęliśmy pana wiele lat temu?

— Nie — powiedział, czując, że długo tego nie pociągnie. — Po prostu muszę z tobą porozmawiać w cztery oczy.

— Nie da się, panie...

— Och, na litość boską! Skończ z tym wreszcie i mów mi Todd. Przecież wiesz, że nie zawracałbym ci głowy. Chcę się z tobą zobaczyć, bo... — W porę wyhamował.

— Bo... co?

Todd się zawahał. Wiedział, czego nie wolno mu powiedzieć. Ale wiedział też, że jeśli nie puści trochę farby, nie ma co liczyć, by Rose się ugięła.

— Ktoś był u mnie wczoraj w biurze — powiedział ostrożnie.

— Co to znaczy „ktoś”?

— Mała dziewczynka. Ale było w niej coś dziwnego.



Znów zapadło milczenie.

— Oddzwonię za pół godziny — powiedziała sucho Rose.

W telefonie zapadła cisza.

\* \* \*

Siedział, czekając na telefon i patrząc na radio, które wciąż stało w kącie na podłodze. Starał się nie widzieć w nim symbolu wszystkich spraw, którymi należało się w porę zająć, ale gdy umysł raz coś uzna za symbol lub zapowiedź czegoś, nie można się już z tego wyzwolić. Nawet jeśli ma świadomość, że już jest za późno i że ów symbol będzie go tylko niepotrzebnie dręczył. Po przyjściu do biura od razu zadzwonił do Rachel do pracy, ale powiedziano mu, że jest chora. Po paru godzinach zadzwoniła Liwie, żeby się poskarżyć, że nie może się dodzwonić na komórkę córki. Chciała się z nią umówić na lunch w najbliższych dniach, ale Rachel nie odbiera. Todd uspokoił ją, że dziesięć minut wcześniej dostał od niej e-mail, w którym córka pisała, jak to wczoraj wieczorem zgubiła swój telefon w jakimś klubie i czeka, aż operator przyśle jej nowy. Przepraszył też żonę, że od razu jej o tym nie zawiadomił.

Robił wszystko, co należy. Zachowywał się normalnie. I coraz bardziej odchodził od myśłów.

Rose zadzwoniła po dwudziestu minutach.

— Możemy się zobaczyć — oznajmiła bez żadnych wstępów. — Około siódmej. Miejsce podam przed spotkaniem.

— Ale ja muszę... — zawiesił głos. Wiedział, że nie może jej zmusić do wyjawienia miejsca spotkania ani tym bardziej zaproponować własnego. Jeszcze nie.

— Co musisz, Todd?

— Muszę się z tobą zobaczyć, to wszystko.

— I zobaczysz się. Mam tylko nadzieję, że uznam twoją prośbę za uzasadnioną.

I już się rozłączyła.

Todd włożył płaszcz i wyszedł z gabinetu. Przechodząc obok pokoju Bianki, kątem oka dostrzegł, że macha do niego, ale nawet nie

odwrócił głowy. Bianca może poczekać. Wszystko może poczekać.

Wyszedł na Post Alley i z głową wtuloną w ramiona i telefonem w dłoni ruszył chodnikiem, ale do domu córki zadzwonił dopiero po przebyciu kilkudziesięciu metrów. Tłumacząc rozmówczyni, że nie może jej jeszcze potwierdzić spotkania w wybranym przez nią miejscu, nie zwrócił uwagi na przysadzistego, rudowłosego mężczyznę, który tuż za nim wyszedł z narożnych delikatesów. Mężczyzna nie tylko wysłuchał całej rozmowy, ale od razu przekazał jej treść dalej.

\* \* \*

W pokoju hotelowym parę minut drogi od tego miejsca siedział na krawędzi łóżka mężczyzna, który tkwił tam niemal przez całe popołudnie. Łóżko nie było zbyt wygodne, a pokój zbyt ładny i właściwie cały hotel nie należał do udanych, ale Shepherdowi było to obojętne. Nocował na tyle często w eleganckich hotelach, by wiedzieć, że jeśli komuś nie jest gwałtownie potrzebna wizyta w gabinecie odnowy biologicznej i nie zależy mu na wydaniu trzydziestu dolców za śniadanie, po zgaszeniu światła praktycznie nie wyczuje różnicy. Tu i tam będzie tylko kimś w obcym pokoju, w obcym budynku, w obcym mieście i wśród obcych ludzi i pozostanie mu jedynie mieć nadzieję, że tym razem uda mu się zasnąć.

Odezwała się jego komórka, ale rzucił okiem na wyświetlacz i nie odebrał. Dzwonił ktoś z komórki Alison O'Donnell. Znowu. W ciągu dnia zostawiła mu już kilka wiadomości w poczcie głosowej, jej mąż zresztą też. Oboje byli bardzo zdenerwowani, bo nawiązali kontakt z jakimś gliniarzem z Seattle, który miał dość oleju w głowie, by im wytłumaczyć, że Shepherd kazał Alison dzwonić z telefonu komórkowego, ponieważ podający się za agenta FBI oszust nie odbierze telefonu od niej z żadnego innego aparatu. Czyli detektyw Jakiś tam zasłużył sobie na cygaro. Widać w Biurze Osób Zaginionych policji w Seattle pracują ludzie o wyższym IQ niż w biurze szeryfa w Cannon

Beach. Ale Shepherd i tak nie miał ochoty na rozmowę z Alison O'Donnell. Sprawy zmierzały już do finału. Nie tylko sprawa, w której tu przyjechał, ale w ogóle wszystko. Czuł przez skórę, że z każdą godziną koniec się przybliża.

Na łóżku leżała jego walizka. Służyła mu już od czterech lat. Poprzednia wyglądała dokładnie tak samo, przed nią była jeszcze jedna. Nie umiał nawet określić, ile ich przeszło przez jego ręce w ciągu tych wszystkich lat.

Walizka była pełna pieniędzy. Dla nich zdecydował się przyjąć tę propozycję i wypełniać jej warunki, które zobowiązywały go do udzielenia pomocy komuś, kogo postępowanie uznano za nie do przyjęcia. Pierwszą rzeczą, jaką dziewczynka na plaży sobie przypomniała, było miejsce odbioru pieniędzy. Tak to zostało zaaranżowane — kluczem był symbol dziewiątkowy — i Shepherd od razu pojechał do Portland, by przejąć gotówkę od starej Chinki, u której ją zdeponowano. Tym samym złamał warunki pierwotnej umowy, ale nie chciał dłużej czekać. Pieniądze były mu potrzebne zaraz. Miały być stawką w jego grze, prezentem urodzinowym, zapewnią mu przewagę przy następnym starciu. Swoim postępowaniem złamał zakaz, ale nie był i nigdy nie będzie jednym z nich — nawet jeśli skorzysta z wcześniejszego porozumienia, które zawarł, gdy miał dwadzieścia lat.

Pracuj dla nas — głosiło porozumienie — wykonuj dla nas brudną robotę, a my dopilnujemy, żeby cię uświadomiono po powrocie. W końcu Shepherd był obecny nie tylko przy zgonach; jak wszyscy inni z tytułem miał też istotny udział w ponownych narodzinach. Pojawiał się w życiu wybranych młodych ludzi krótko po ich osiemnastych urodzinach i dostarczał klucz, który rejestrowali w truście. Kluczem mogła być fraza, utwór muzyczny, obraz lub symbol, niekiedy nawet określony zapach — coś tkwiącego w pamięci i uruchamiającego ją, ale tak dobranego, by konkretna osoba nie mogła się na to natknąć, zanim będzie gotowa. Zanim pojawi się ktoś taki jak Shepherd i

przeprowadzi ją przez procedurę uświadomienia sobie, że już wcześniej przemierzała tę ziemię pod inną postacią.

Shepherd miał jednak świadomość, że gdyby dokonano remanentu jego życia, liczba zgonów znacznie przewyższyłaby liczbę narodzin. Wspecjalizował się w uśmiercaniu ludzi, którym coś zaczynało świtać, choćby nieistotnego. Ludzi, którzy dopiero zaczynali się czegoś domyślać. Czasem nawet kogoś z ich własnych szeregów. Kogoś, kto mógł się stać zagrożeniem dla systemu lub czyj powrót nie był pełnowartościowy z powodu awarii po drodze. W obu sytuacjach obowiązywała zasada, że takim osobnikom nie pomaga się w ponownym powrocie.

Kolejne zabójstwa i kolejne pokoje w motelach — wszystko w końcu zlewało się w jedno. Shepherd czuł zbierającą się i osaczającą go spuściznę jego działalności. Jeśli maszyna Andersona naprawdę działała, mógłby to nawet zobaczyć. Tych, których wyekspediował i którzy otaczali go coraz grubszym szpalerem. Jak niewidzialne koty, tylko powolniejsze i podstępnie ocierające mu się o łydki i kark. I czekające. Jak daleko od niego? Na pewno niewystarczająco.

Shepherd chciał się już z tego wycofać. Wyznać Rose, w jakim jest stanie, i zacząć wszystko porządkować. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebował poczucia pewności. Teraz, gdy finał się zbliżał, zaczynały go nękać wątpliwości, czy naprawdę istnieje jakiś układ. Czy wszyscy do niego podobni nie zostali oszukani. Może naszło go to w czasie snu, może podczas długich bezsennych godzin nocnego czuwania, kiedy miał czas zastanawiać się nad swoim życiem i wszystkim, co zrobił. A może jeden z czających się wokół niego cieni szepnął mu coś na ucho nie po to, żeby go ostrzec, ale żeby go dręczyć. W każdym razie któreś nocy uzmysłowił sobie nagle, że nigdy nie natknął się na kogoś takiego jak on, kto by powrócił. Ani też nigdy o kimś takim nie słyszał od innych, a przecież znał wielu do siebie podobnych, którzy umarli po latach służby. Jak choćby ten, który go zwerbował.

Zainteresował się tyczkowatym młodzieńcem z małego miasteczka w Wisconsin i tak mu zawrócił w głowie obietnicami, że chłopak rzucił wszystko — łącznie z dziewczyną, którą kochał. Człowiek ten umarł dwadzieścia pięć lat temu i od tej pory ślad po nim zaginął, a przecież umówili się, że jak go tylko uświadomią, od razu się z Shepherdem skontaktuje.

Ale gdzieś przecież musi być.

Układ musi obowiązywać. Niemożliwe, żeby było inaczej. Jego niepokój to tylko swoista odmiana wątpliwości nękających wszystkich ludzi u schyłku ich drogi.

Shepherd czuł ze swego miejsca smród dochodzący z łazienki. W jego brzuchu niemal bez przerwy trwała rewolucja, ale mimo to próbował jeść. Jedzenie to nawyk organizmu, z którego trudno się wyzwoląć. Przypomina maltretowanego psa, brutalnie odpędzanego i latami nękanego przez okrutnego właściciela, do którego jednak łąsi się i wciąż powraca w nadziei, że tym razem zasłuży na jego miłość. Gdy miał trzynaście lat, jego matka powoli umierała. Pamiętał, że ostatnie miesiące spędziła na mozolnym spisywaniu wspomnień z czasów młodości. Jakby zbierała opadłe liście i tuliła je do piersi, by ich nie rozwiał wiatr zapomnienia. Ale parę tygodni przed śmiercią przestała i od tej pory siedziała już tylko na swym fotelu na ganku, cuchnęła rakiem i z coraz większym zniecierpliwieniem czekała na koniec. Gotowa samotnie odejść czekała, aż jej ciało ostatecznie się podda, wreszcie ją uwalniając od swych potrzeb i żądań.

Shepherd oskarżał wtedy matkę o to, że się poddała. Teraz ją rozumiał.

\* \* \*

Po chwili telefon znów zadzwonił. Spojrzał na wyświetlacz i tym razem odebrał.

— Znaleźliśmy tę, której szukasz — powiedziała Rose. — Dopinamy szczegóły spotkania.

— Okay. Będę.

— Kiedy zadzwonię, zjaw się natychmiast — poleciła. — Sytuacja wymaga szybkiego działania. Mam złe przeczucia co do tego, kto to może być.

— Kto? — spytał obojętnie. Był ciekaw, czy się domyśliła, ale nie chciał, żeby pomyślała, że go to specjalnie interesuje.

— Ktoś, kogo wszyscy znaliśmy — rzuciła i rozłączyła się.

Shepherd wstał z łóżka. Czyli już wie. Nieważne. To tylko dodatkowo potwierdza konieczność uśmiercenia Madison O'Donnell. I to jak najszybciej. Wyjął z walizki pistolet i wsunął magazynek.

## Rozdział trzydziesty szósty

— Nie bardzo wiem, jak chcesz to zrobić — powiedział Gary.

Od pięciu minut sterczeliśmy za domem w Belltown, rozglądając się i sprawdzając, czy wszystkie okna od pierwszego piętra w górę też są pozabijane. Choć miało to i tak czysto teoretyczne znaczenie, bo schody przeciwpożarowe kończyły się trzy metry nad ziemią, a ich stan był taki, że wahałbym się wpuścić na nie kota. Drzwi na parterze były zamknięte na dwie zasuwę, które dawały się otworzyć tylko od środka. Sforsowanie ich od zewnątrz zajęłoby mnóstwo czasu i wymagałoby użycia młota pneumatycznego, co niewątpliwie wzbudziłoby zainteresowanie klientów parkingu zajmującego całe podwórze aż do tylnego muru. Jego użytkownicy wjeżdżali i wyjeżdżali, w budce siedział groźnie wyglądający cerber, który już zdążył nas obrzucić podejrzliwym spojrzeniem. Nikt na mojej zmianie nie będzie mi tu dilał, mówiła jego mina. Ani rozwalał żadnych drzwi.

Wysiedliśmy z samochodu, przeszliśmy wzdłuż bocznej ściany na ulicę i stanąwszy po drugiej stronie, przyjrzelśmy się frontowi. Dochodziła piąta, ale ruch był niewielki, samochody przejeżdżały dość szybko i byłem pewien, że nikt jadący ulicą nie zwróci na nas uwagi. Większy problem stanowili piesi. Kręciło się ich sporo, jako że w tej części Belltown było trochę starych zapyziałych barów, ale także całkiem nowych, oraz liczne knajpki. Większość zajętych swoim sprawami

przechodniów mogła nas w ogóle nie zauważyć. Ale większość nie znaczy wszyscy.

— Idź na drugą stronę i zadzwoń — poleciłem.

Fisher podszedł do wejścia i zaczął naciskać przyciski na tabliczce domofonu, ja zaś wpatrywałem się w okna na piętrach. Niebo odbijające się w szybach było zachmurzone i łatwo bym zauważył, gdyby w środku coś się poruszyło. Gary spojrzął na mnie, a ja przytknąłem prawą dłoń do ucha i pokazałem głową w górę. Wyjął telefon i wybrał numer, chwilę odczekał i wzruszył ramionami. Żadnej reakcji.

— I co teraz? — zapytał, wracając na moją stronę.

\* \* \*

Złożyłem szybką wizytę w pobliskim sklepie i poszliśmy się spotkać z L.T. w kafejce na rogu — tej samej, z której Gary sfotografował wychodzącą z budynku Amy. L.T. czekał na chodniku w towarzystwie tak ponurego draba, że za sam wygląd można by go aresztować i spokojnie liczyć na wyrok skazujący. Obrzucił nas spojrzeniem, w którym było coś pośredniego między chciwością a otwartą wrogością, myślę jednak, że takim samym wzrokiem patrzył też na swoje odbicie w lustrze.

— Byliśmy umówieni w środku — upomniałem go.

— Wykopali nas — odburknął L.T.

Wyciągnąłem ku niemu paczkę papierosów ze złożoną na wierzchu pięćdziesiątką. Wziął banknot, dwa papierosy i puścił oko do kompana.

— No i co?

— Nikt nie wychodził — oznajmił. — Są w środku.

— Chcecie trafić drugą pięćdziesiątkę? Na łba.

— No kurwa — powiedział L.T., co zapewne wyrażało aprobatę.



— Macie przy sobie jakiś towar? — Obaj pokręcili głowami. — Pytam poważnie. — Po sekundzie namysłu obaj przytaknęli. — Pozbądźcie się go gdzieś. Macie być czyści. Ale już.

Zetknęli dłonie ze zwinnością magika i drab polazł gdzieś za róg schować prochy.

— Dobra — oświadczyłem, kiedy wrócił. — Oto wasze zadanie. — Machnąłem ręką wzdłuż ulicy. — Macie się ustawić na tych dwóch narożnikach.

— I co mamy robić?

— Macie stać na środku chodnika i mordować wzrokiem każdego, kto się do was zbliży. Ale nic nie róbcie i nic nie mówcie. Do nikogo. Okay? Po prostu chcę, żeby przez pięć minut jak najmniej ludzi tędy przechodziło.

— A co tu jest, kurwa, grane? — zainteresował się L.T.

— Nie twoja sprawa. — Wręczyłem mu pieniądze. — Jak już nas nie będzie, możecie sobie iść.

L.T. wziął pieniądze i pokazał głową Fishera.

— Ten gościu umie w ogóle mówić?

— Umie, tylko jest wybredny. Rozmawia jedynie z innymi gliniarzami od narkotyków. I widział, gdzie chowacie prochy. Jarzysz?

L.T. zrobił ruch dłonią i pieniądze zniknęły.

— Nie chcecie wiedzieć o tej szczyłowie?

— O jakiej szczyłowie?

— Tej, człowieku, co ci o niej mówiłem.

— Niespecjalnie. A bo co?

— Bo znów ją tu przylukałem. Wczoraj wieczór. Przyszła późno, podeszła do drzwi i od razu zaczęła dzwonić. Ale nikt nie otworzył. A potem jeszcze widziałem, jak sterczała pod takim jednym nowym barem parę ulic dalej w stronę miasta. To już było grubo po porze łózkowej dla takiej smarkuli.

— Świetnie — powiedziałem. — To teraz idźcie stanąć tam, gdzie mówiłem.

Odczekaliśmy, aż obaj zajmą pozycje. L.T. ustawił się na bliższym narożniku, jego kompan pomaszerował do następnej przecznicy. Dosłownie w ciągu paru minut ruch po drugiej stronie ulicy raptownie

wzrósł, po ich stronie spadając niemal do zera.

— Idziemy — zakomenderowałem.

Przebiegłem jezdnię i podszedłem do drzwi, Gary podążył za mną.

— Wyjmij telefon i udawaj, że dzwonisz — poleciłem. — Od czasu do czasu spoglądaj w okna.

Nie spiesząc się, wyciągnąłem z kieszeni pęk kluczy. Założyłem, że niemal pusty chodnik i ktoś sterczący przed wejściem i próbujący się dodzwonić do kogoś skutecznie odwróci uwagę od moich działań. Przynajmniej przez jakiś czas.

— Chryste — szepnął po chwili Fisher. — Radiowóz.

— Gdzie?

— Na skrzyżowaniu.

— Miej go na oku.

Nie przestawałem dłubać w zamku. Próbowąłem wyczuć układ metalowych części w środku, rozkład docisków sprężyn, sposób, w jaki tkwiące wewnątrz elementy mogą się poruszyć. Nic nie wskórałem i wziąłem do ręki coś bardziej giętkiego.

— Cholera, nie ma go — syknął Fisher, spoglądając w drugą stronę.

— Radiowozu?

— Nie, tego twojego L.T. Zniknął i nawet nie wiem kiedy.

— A co robią gliny?

— Zatrzymali się. Przy tym drugim.

— Poradzi sobie.

— Biegnie w naszą stronę.

— Cholera.

Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem biegnącego ku nam kompana L.T. Jeden z gliniarzy biegł za nim, drugi stał przy radiowozie i rozmawiał przez radio.

— Głupi palant nie pozbył się prochów — domyśliłem się. — Nikomu już nie można ufać.

— Jack, ale on biegnie prosto na nas!

— Wiem. Stań plecami do ulicy.

Sam też się odwróciłem do drzwi i przymknąłem oczy. Za plecami słyszałem tupot nóg uciekającego i pokrzykiwanie goniącego go gliniarza, starałem się jednak koncentrować na sygnałach płynących z cienkiego kawałka metalu w dłoni.

— Jack...

— Zamknij się, Gary. Już go prawie mam.

Odgłosy pogoni były coraz bliżej.

— To on! — usłyszałem zdyszany głos. — Ten tam! Ten pod drzwiami!

Kompan L.T. zatrzymał się pięć metrów ode mnie i pokazał na mnie ręką. Goniący go gliniarz przystanął i położył rękę na rękojeści pistoletu, starając się ocenić nagły zwrot akcji. Jego partner też już ruszył w naszą stronę, z oddali dochodziło wycie syren.

— To ten — sapnął rosły drab, pokazując mnie palcem.

Gliniarz zbliżył się do niego ostrożnie, jednocześnie niepewnie zerkając w moją stronę. — To on dał mi kasę. Powiedział, że mam tam stać. Ja żadnym głównym nie handluje.

Drugi z gliniarzy zrównał się z partnerem, który zdążył już chwycić draba za ramię. Wyminął ich i podszedł do nas.

— Przepraszam panów — powiedział głośno. — Czy panowie rozumieją coś z tego, co ta łajza mówi?

— Przykro mi, ale nie — odparłem. Patrzyłem mu prosto w oczy niczym pełen szacunku uczciwy obywatel, jednocześnie wyczuwając pod palcami lekkie chrobotnięcie ustępujących zapadek. Z obojętną miną pchnąłem drzwi, jakbym to robił przynajmniej dwa razy dziennie. — A co, jest jakiś problem?

Gliniarz jeszcze przez chwilę mi się przyglądał, stracił jednak zainteresowanie i zawrócił, żeby pomóc koledze obezwładnić rosnącego draba, który wyrywał się i wrzeszczał wniebogłosy.

Wszedłem do środka, Fisher za mną.

## Rozdział trzydziesty siódmy

Zamknęliśmy za sobą drzwi i znaleźliśmy się w kompletnych ciemnościach, bo mając na karku gliniarzy, nie chciałem po omacku szukać wyłącznika.

— Chryste — jęknął Fisher. — To było...

— ...jak trzeba. I mów ciszej.

Wyjąłem z kieszeni latarkę kupioną w sklepie, skierowałem snop światła w stronę drzwi i przesunąłem nim po ścianie. Z mroku wyłoniła się cała bateria wyłączników. Kolejno je nacisnąłem, ale bez rezultatu. Poświeciłem na podłogę pod drzwiami. Była pusta.

— Nie ma prądu — szepnął Fisher.

— Podobnie jak listów i reklamowych śmieci. Ktoś je stąd musiał zabrać.

Znajdowaliśmy się w szerokim i wysokim korytarzu z odłóżką od ścian tapetą i spękaną podłogą. Kiedyś pokrywała ją solidna przemyślowa terakota, ale teraz wielu płytek brakowało lub zostały potłuczone. Ruszyłem ostrożnie do przodu. Wnętrze cuchnęło wilgocią, stęchlizną i starością. Trzy metry dalej po prawej dostrzegłem lekko uchylone drzwi. Długie wąskie pomieszczenie za nimi musiało kiedyś stanowić zaplecze kuchenne kawiarni, ostatniego najemcy części parteru od frontu. W świetle latarki wyglądało to tak, jakby w którymś momencie właściciele przerwali pracę, postanowili się wynieść

i nigdy więcej nie wracać. Potłuczone filiżanki, zardzewiałe urządzenia, szczyrce odchody i dominujące nad wszystkim wonie Seattle — zwietrzałej kawy i wilgotnej mgły. Budynek wyglądał na zupełnie opuszczony i kojarzył mi się z wnętrzem leżącego setki metrów pod wodą okrętowego wraka.

Dwoje drzwi w głębi korytarza było otwarte na oścież i ukazywało obszerne pomieszczenie zagracone fragmentami gablot z czasów, kiedy mieścił się tu dom towarowy. Poodsuwano je od ścian i porzucano na środku jak opuszczone szalupy.

Wróciłem na korytarz i w tylnej ścianie dostrzegłem kolejne drzwi. Spróbowałem je otworzyć, ale nawet nie drgnęły. Zapewne zamykały tylne wejście, które widziałem od strony parkingu. Pod schodami znajdowały się jeszcze jedno drzwi. Otworzyłem je i ujrzałem prowadzące w dół wąskie drewniane schody, które ginęły gdzieś w ciemnej i wilgotnej czeluści. Wejście do piwnicy.

Cofnąłem się i ostrożnie ruszyłem schodami na górę. Opierając ciężar ciała na poręczy i sprawdzając stopą każdy kolejny stopień, po cichu wspinałem się na piętro. Fisher posuwał się krok w krok za mną. Dotarłem do pierwszego piętra, dałem mu znak ręką, żeby stanął, i zacząłem nasłuchiwać.

Ani śladu rozmów, kroków, skrzypienia podłóg — jakichkolwiek oznak życia

Wszystkie drzwi na pierwszym piętrze były pozamykane na klucz, tak samo piętro wyżej. Ktoś najwyraźniej pamiętał, by zgodnie z przepisami przeciwpożarowymi pozamykać wszystkie drzwi i utrudnić w ten sposób ewentualne rozprzestrzenianie się ognia. Na drugim piętrze wybrałem drzwi prowadzące ku frontowi budynku i ostrożnie wylaamałem zamek.

Za drzwiami znajdowała się duża, ciągnąca się przez całą szerokość budynku sala, w której dzięki szczelinom między deskami w oknach panował lekki półmrok. Widać było porozrzucane sprzęty, wijące się na podłodze przewody, które miejscami wchodziły na

ściany, i cały stos zrolowanych, pokrytych pleśnią płócien w różnych odcieniach. To zapewne tu mieściło się studio fotograficzne, a płócien używano jako tła do zdjęć. Próbowałem sobie wyobrazić dużo młodszą Amy, jak z kubkiem kawy w dłoniach siedzi na jednym z tych krzesełek i nadzoruje sesję zdjęciową. Nie umiałem.

Jedyną jaśniejszą plamę w mrocznym pomieszczeniu stanowiła twarz stojącego w wejściu Fishera. Pokazałem ręką na sufit.

— Spróbuj jeszcze raz.

Wybrał numer i chwilę później usłyszeliśmy dochodzący z góry trel — jeden z tych dzwoneczków telefonicznych, które brzmią jak niecierpliwie uderzany mały dzwoneczek. Ani nikt nie odebrał, ani nie włączyła się automatyczna sekretarka.

Napięcie mięśni brzucha i ramion powoli zaczynało ustępować i poczułem, że wraca zdolność koncentracji, której brakowało mi od ponad roku.

— Wszystko w porządku? — spytał Fisher. Po jego wymizerowanej twarzy przebiegały nerwowe skurcze, a utkwiony we mnie wzrok miał dziwny wyraz.

Ale nie patrzył na moją twarz, tylko niżej, na moją prawą dłoń. Zdałem sobie sprawę, że napięcie mięśni wcale nie zelżało, tylko rozeszło się po całym ciele.

I że zupełnie bezwiednie sięgnąłem po pistolet.

— W porządku — powiedziałem.

Wyminąłem go, przeszedłem kawałek korytarzem i wyciągając szyję, spojrzałem w górę schodów na następne piętro. Skierowałem światło latarki ukośnie na ścianę i ruchem ręki powstrzymałem Fishera.

Ruszyłem na górę, znów ostrożnie wymacując stopnie. Na półpiętrze zatrzymałem się i zacząłem nasłuchiwać. Na piętrze panowała cisza i słychać było tylko stłumione odgłosy ruchu ulicznego i cichy plusk kapiącej gdzieś wody. Kiwnąłem na Fishera, żeby poszedł za mną, i pokonałem resztę schodów. Na końcowym podejściu zatrzymałem się i poczekałem, aż Gary do mnie dołączy. Byliśmy na najwyższym piętrze.

Układ pomieszczeń był tu taki sam jak na niższych poziomach i z korytarza prowadziły drzwi na boki i ku frontowi budynku. Zgasilem latarke, ogarnęły nas ciemności i w korytarzu ciągnącym się na tyły domu zrobiło się tak czarno, jakby tam w ogóle nic nie było.

Za to spod drzwi pomieszczenia od frontu sączyła się blada poświata. Fisher też ją zauważył.

Podszedłem cicho do drzwi i osłoniwszy dłonią latarke, ponownie ją zapaliłem. Z bliska okazało się, że wejście różni się od pozostałych w budynku. Drzwi były tu masywniejsze, nowsze i wzmocnione stalowymi prętami, a z klamki zwisała kłódka wielkości pięści.

Zgasilem latarke i schowałem do kieszeni. Zorientowałem się, że mój prawy kciuk przesuwają dźwignię bezpiecznika pistoletu i postanowiłem mu w tym nie przeszkadzać. Chwyciłem za gałkę i lekko docisnąłem drzwi, co miało pomóc ich bezgłośnie otworzyć.

Gałka stawiała opór, ale dała się do końca obrócić.

Przytrzymałem ją w tej pozycji i odsunąłem się w prawo, dając Fisherowi znak głową, że ma się ustawić za mną. A potem pociągnąłem drzwi. Otworzyły się lekko i bezszelestnie.

Przytrzymałem je, gdy rozwarły się na pięć centymetrów.

We wnętrzu panował półmrok, bo jedynym źródłem światła była lampa stojąca na rogu czegoś w kształcie biurka. Była niska i osłonięta staromodnym, karbowanym, zielonym abażurem. Dostrzegłem kawałek ściany, a na niej od podłogi po sufit półki wypełnione księgami oprawionymi w skórę. Usłyszałem szmer.

W pierwszej chwili pomyślałem, że to myszy harcujące po drewnianej podłodze, i dopiero po chwili sobie skojarzyłem. Był to dźwięk, jaki samemu zdarzało mi się wydawać, choć może ostatnio niezbyt często. Szmer klawiatury komputerowej.

Nie nabiera się powietrza przed wchodzeniem do pokoju. Po prostu się wchodzi.

Znalazłem się w pomieszczeniu, które jeśli nie liczyć biurka i półek

z książkami, wyglądało na zupełnie puste. Ściany działowe między pokojami kiedyś wyburzono i utworzono ogromne pomieszczenie w kształcie litery L, ale podłogę pozostawiono z gołych desek, okna zabito arkuszami sklejki i nie wstawiono żadnych sprzętów oprócz biurka i samotnej lampy.

Za biurkiem siedział mężczyzna z twarzą skąpaną w mdłym blasku rzucanym przez ekran laptopa. Siedzący spokojnie uniósł głowę, a ja wlepiłem wzrok w jego twarz.

— Ben? — wydusiłem.

\* \* \*

Fishera замуrowało. Ben Zimmerman popatrzył na niego, potem przeniósł wzrok na mnie.

— Ojej — powiedział. — Miałaś rację.

— Kto? — prychnąłem. — Kto miał rację? I w jakiej sprawie?

— A ostrzegałam cię — zabrzmiał inny głos.

Odwróciłem głowę i ujrzałem stojącą pod ścianą Bobbi Zimmerman.

— Od pierwszej chwili, gdy tylko cię zobaczyła — powiedział Ben, tym razem do mnie — mówiła, że będą z tobą kłopoty. Powinienem częściej jej słuchać.

— No, powinieneś — potwierdziła jego żona.

Ben opuścił głowę i spokojnie wrócił do pisania. Zdałem sobie sprawę, że wciąż do niego mierzę, i opuściłem rękę z pistoletem, choć on i tak nie wyglądał na przejętego widokiem broni. W ogóle wyglądał zupełnie inaczej niż starszy pan, którego znałem z Birch Crossing. Zamiast powyciąganych płóciennych spodni i swetra miał na sobie ciemny garnitur, koszulę i krawat, a jego postura się zmieniła. Zniknęła przygarbiona postać dobrodusznego i roztargnionego emerytowanego profesora historii. Uzmysłowiłem sobie, że już wcześniej widziałem jego podobiznę w tej wersji.

— Jack! — wybuchnął Fisher. — Skąd ty znasz tego człowieka?



— To mój sąsiad — odparłem, przenosząc na niego wzrok. Jego policzki płonęły, zmarszczki wokół oczu jeszcze się pogłębiły. — Nazywa się Ben Zimmerman.

— Nie! — wykrzyknął Fisher tonem rozdrażnionego dziecka. — To Ben Lytton. Jeden z prawników Cranfielda. To on bywał w naszym biurze w Chicago.

Sięgnąłem do kieszeni po fotografie, które trzymałem tam od chwili wręczenia mi ich przez Fishera dwa dni temu.

— Jak to się stało, że nie rozpoznałeś go w mężczyźnie sfotografowanym z Amy?

Fisher przyjrzał się zdjęciu, potem Benowi. Na jego twarzy pojawiło się zmieszanie.

— Byłem dość daleko. Nie widziałem jego twarzy.

Wyglądało, jakby nasza rozmowa zupełnie Bena nie interesowała.

— Jak ty się w końcu nazywasz? — spytałem.

— Zimmerman — odrzekł, nawet nie unosząc głowy.

— A dlaczego twierdziłeś, że nazywasz się Lytton? — warknął Fisher.

Palce Bena ani na chwilę nie przestawały tańczyć po klawiaturze.

— To kwestia zachowania ciągłości — wtrąciła Bobbi. — Lytton już od dawna nie żyje. Podobnie jak Burnell. A to firma z długimi tradycjami.

Fisher obrzucił ją spojrzeniem.

— A ty kto?

Ben uniósł głowę i spojrzał na mnie.

— Pana Fishera nigdy nie uznawaliśmy za kogoś, kim warto sobie zawracać głowę w jego... sytuacji. Ale co do ciebie, Jack, przewiduję pewne kłopoty. Może trzeba będzie coś zrobić.

— To ma być groźba? Bo jeśli tak, to uważaj.

— Wiem dobrze, do czego jesteś zdolny.

Fisher przeniósł wzrok na mnie.

— O czym on mówi?

— Jack pokazał, że ma skłonności do aktów przemocy — odezwała się Bobbi. — Nie wiedziałeś o tym?

Czułem, że moja twarz zaczyna płonąć. Nie mogłem pojąć, jak to możliwe, że ci ludzie wiedzą o mojej przeszłości więcej, niż mają do tego prawo. Czyżby od Amy?

Fisher nie spuszczał ze mnie wzroku.

— O co jej chodzi?

— Uczestniczyłem w pewnym zdarzeniu — powiedziałem, przypominając sobie jednocześnie, że gdy tego ranka po przebudzeniu w parku w Seattle zadzwoniłem do Zimmermannów, Amy u nich była i to Bobbi przekazała jej słuchawkę. — Kiedyś natknąłem się na podejrzaną scenę. Tylne drzwi do pewnego domu były wyłamane i wszedłem do środka.

— I co?

— I były ofiary.

W tym momencie rozległ się ten sam dźwięk dzwonka, który słyszeliśmy z dołu. Dobywał się z laptopa Zimmermana. Ben wyciągnął rękę i nacisnął klawisz.

— Jadę po odbiór—usłyszeliśmy kobiecy głos, który wydał mi się znajomy. Był podobny do tego, który parę dni temu skutecznie przeszkodził mi w konfrontacji z Crane'em.

Ben wstał i zaczął zgarniać rozrzucone na biurku papiery, Bobbi podeszła i złożyła stos dużych kopert. Oboje wyraźnie się spieszyli.

— Co się dzieje? — spytałem.

— Shepherd już tu jest? — rzekł Ben, unosząc głowę i lekko się uśmiechając, a ja sobie uświadomiłem, że wcale nie kieruje tego pytania do mnie.

— Jest w drodze — powiedział głos.

Odwrociłem się w jego stronę. W drzwiach stało dwóch znanych mi mężczyzn — blondyn i krótko ostrzyżony rudzielec — tyle że tym razem obaj byli uzbrojeni. Pomyślałem, że Georj jednak mówił prawdę. Wtedy też nie chodziło im o niego.

Ale nie to było najważniejsze. Między nimi stał ktoś trzeci. Kobieta.

Moja żona.

W głowie poczułem lodowate zimno, całe ciało jakby zawisło w próżni. Nie mogłem się ruszyć.

— Amy?

Nawet na mnie nie spojrziała, jakby mój głos w ogóle do niej nie docierał. Zimmermannowie bez słowa mnie wyminęli i ruszyli do wyjścia.

— Od tyłu — rzuciła w ich stronę Amy.

Rudzielec uniósł rewolwer i wycelował.

— Proszę o pistolet — powiedział blondyn.

— O, właśnie — ucieszył się rudzielec.

Amy jakby dopiero teraz mnie zauważyła.

— Proszę robić, co każą, panie Whalen.

— Amy... co ty...

Wyciągnąwszy rękę, wyjęła mi pistolet z dłoni i podała rudzielcowi, potem odwróciła się i bez słowa wyszła.

Obaj mężczyźni wycofali się za nią i nie spuszczać ze mnie wzroku, zniknęli za sobą drzwiami.

A potem Fisher i ja usłyszeliśmy metaliczny szcęk zamka.

## Rozdział trzydziesty ósmy

Gdy telefon w końcu zadzwonił, Todd wyszarpnął go z kieszeni tak gwałtownie, że wysunął mu się z ręki i spadł na chodnik. Rzucił się za nim na czworakach, nie zważając na ironiczne uśmiešky zdziwionych przechodniów. Interesowało go tylko jedno: musi odebrać. Przez ostatnie trzy godziny wałęsał się po ulicach. Nie umiał się zdobyć na to, by w tym stanie wrócić do biura i użerać się z Bianca i całą resztą, nie mógł też w żadnym razie pojechać do domu. Ale musiał coś robić, chodził więc bez celu, próbując się wtopić w tłum anonimowych przechodniów. Starał się też pozbyć wrażenia, że ulice znów są bardziej zatłoczone. Czuł, że w zapadającym mroku odczucie to jest silniejsze niż kiedykolwiek przedtem.

— Tak? — rzucił do słuchawki.

Odezwał się głos Rose. Kobieta podała mu adres, pod którym ma się stawić. Todd znał dobrze ten dom. Przed laty spędził w nim wiele godzin, gdy rozparty na krzeselku ze swym nazwiskiem na oparciu nadzorował sesje zdjęciowe i decydował, która z sekretarek otrzyma zaproszenie na szybką, choć kosztowną kolację w jakimś ustronnym miejscu. Od tamtej pory wielokrotnie obstawał przy sprzedaży całego budynku, ale bez rezultatu. Mimo że dom od dawna stał pusty, a na

dachu wyrosły już nawet drzewka, nadal pozostawał ich własnością. I dopiero teraz zaczynało mu świtać dlaczego.

Skończył rozmowę z Rose i natychmiast zadzwonił pod numer córki, tak kurczowo ściskając komórkę, że omal jej nie zgniótł. W końcu ktoś odebrał.

— Todd — usłyszał głos dziewczynki.

— Załatwione — rzucił. — Zaraz.

— Doskonale.

— Spotkanie w...

— Belltown?

— Skąd wiedziałas, że wybierze akurat to miejsce?

— Bo jestem mądra. Bo wymienili zamki, a jest tam coś, co należy do mnie.

— Daj mi córkę do telefonu.

— Jest cała i zdrowa. Jak inaczej bym się tam dostała? Mam nadzieję, że pamiętasz, jak wygląda jej samochód.

— Oczywiście, że...

— To się za nim rozglądaj.

Todd wydał z siebie pełen desperacji okrzyk i zatoczył się w wąski przesmyk między budynkami. Wiedział, że jest już za późno na zwracanie się o pomoc do policji i że wszystko obraca się wokół tego domu, tych ludzi i spraw, których nigdy nie starał się zrozumieć.

A potem zaczął biec.

\* \* \*

Gdy dotarł na miejsce, z przerażeniem ujrzał pod domem dwa radiowozy, a nie dalej jak pięć metrów od wejścia policjantów szamoczących się z wrzeszczącym, zakutym w kajdanki roslym czarnym facetem.

W skroniach mu waliło, a płuca paliły. Spojrzał na zegarek. Biegł całą drogę i dotarcie tu zajęło mu zaledwie piętnaście minut. Czy przed upływem kolejnych dwudziestu policja zechce się stąd wynieść? Bo jeśli nie... Todd czuł się tak, jakby za chwilę miał dostać zawału.

Zatrzymał się i zmusił do równomiernego oddechu. Przeszedł na drugą stronę i stanął pod markizą nad oknem wystawowym galerii już zamkniętej na noc. Obserwował, jak czarny osilek szarpie się z przedstawicielami prawa, i zaczął się modlić do eleganckiego bóstwa opiekującego się ludźmi reklamy w pewnym wieku, aby zawał trafił wcześniej cholernego czarnego ćpuna. Byłe jak najszybciej. Najlepiej od razu!

Bóstwo nie usłuchało, ale chyba w swej dobroci wpłynęło na gliniarza z drugiego radiowozu, który w końcu postanowił pomóc kolegom, co pozwoliło im wspólnymi siłami zapakować wierzgającego draba na tylne siedzenie radiowozu. Potem załogi obu radiowozów jeszcze chwilę powstały, gawędząc i pokazując sobie coś rękami. Todd przewiercał ich wzrokiem, jakby poza nimi w okolicy nie było nikogo. Zrozpaczony pomyślał, że będą teraz przez godzinę omawiać akcję, a on już nigdy nie ujrzy córki żywej.

Potem jednak — nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu — gliniarze się rozeszli, wsiedli do radiowozów i odjechali. I nagle było po wszystkim. Do wyznaczonej godziny brakowało jeszcze pięciu minut.

Zadzwoił telefon. Todd spojrzął na wyświetlacz i chwilę bił się z myślami, wiedział jednak, że żona tak łatwo nie odpuści.

— Hej — powiedział. — Kochanie, jestem teraz strasznie zajęty.

— Na litość boską! — wykrzyknęła Liwie, przypuszczając frontalny atak, co było jej specjalnością. — Już od dawna powinieś być tutaj!

W pierwszym momencie nawet nie wiedział, o czym mówi, i dopiero po chwili go olśniło. Jego nowi klienci. Japończycy. Zaprosił ich do domu na kolację, na którą się zjawia za... za jakąś godzinę.

— Chryste Panie, ja...

— Nie, Todd, nie. Tego zdania nie da się skończyć w żaden sposób, który by mnie przekonał. Więc nawet go nie kończ. Po prostu masz być w domu.

— Będę. Tylko że... posłuchaj...

Przez głowę przemknęło mu wspomnienie Liwie sprzed dwudziestu pięciu lat, kiedy wszystko było kolorowe i dużo, dużo prostsze. Właściwie chciałby, żeby wszystko, co się od tamtej pory stało, mogło się odstać. Chiałby wytrzeć do czysta wszystkie tabliczki i zacząć postępować tak, żeby Liwie nie była wciąż na niego zła. Odnaleźć w niej tę pełną zapału i werwy studentkę, o której nie mógł przestać myśleć, a która spowodowała, że na jakiś czas reszta przedstawicielek jej płci przestała istnieć. A najbardziej chciałby móc opowiedzieć jej, co się teraz dzieje, i poprosić ją o pomoc, a ona ze wszystkim by sobie poradziła. Bo tak naprawdę mężczyźni właśnie tego najbardziej oczekują od swoich kobiet. Problem w tym, że nigdy nie umieją o to głośno poprosić.

A potem go zobaczył. Jasnozielony volkswagen garbus — jego prezent dla córki na jej dwudzieste pierwsze urodziny. Jechał szybko od strony centrum.

— Muszę kończyć — rzucił i nie czekając na reakcję żony, zamknął telefon.

A potem ruszył biegiem przez jezdnię.

\* \* \*

Samochód stanął kawałek za domem i Todd z bijącym sercem do niego podbiegł. Siedząca za kierownicą Rachel miała mocno podkrążone oczy i tępo patrzyła przed siebie. Szyba po stronie pasażera była już opuszczona, na fotelu siedziała dziewczynka.

— Popatrz na moją rękę — poleciła.

Todd zdążył już zauważyć, że jej ręka dotyka brzucha córki, a z rękawa wyziera coś wystającego poza końce jej palców. Pod nosem Rachel dostrzegł zakrzepłą krew, a na policzku ogromny siniec.

— Dziecko, wszystko w porządku?

— W porządku. — Głos Rachel zabrzmiał słabo i chrapliwie.

— Otwórz drzwi — rzuciła dziewczynka. — Wejdz do środka i zostaw drzwi otwarte.

— Nie. To ty...

— Tato, rób, co mówię — powiedziała Rachel. — Proszę.

Todd odwrócił się i na sztywnych nogach ruszył do wejścia. Wyjął z kieszeni pęk kluczy i wybrał z nich jeden, którego nie używał już od sześciu czy siedmiu lat. Otworzył i wszedł do środka, zostawiając za sobą drzwi otwarte na oścież. Zaraz jednak odwrócił się, sprawdzając, co się dzieje w samochodzie. Chciał się upewnić, że w razie czego zdążyłby doskoczyć.

Zorientował się, że dziewczynka mówi coś do Rachel, a ta potakująco kiwa głową. Wciąż widział w niej maleństwo, które tulił w ramionach — cień dziecka sprzed wielu lat. Ciekawe co, jeśli cokolwiek, zostało w nim samym, Toddzie Cranie, z tamtych lat. Jaki martwy stwór, który nie potrafi ani zrozumieć, ani wyzwolić się z ciasnego więzienia, zbudowanego wokół siebie.

Dziewczynka wysiadła i ruszyła przez chodnik do wejścia, a Todd dojrzał z daleka, jak jego córka pochyla się i opiera głowę o kierownicę. Serce skoczyło mu do gardła.

Ale po chwili Rachel uniosła głowę, zwróciła ją w jego stronę i ich spojrzenia się spotkały.

\* \* \*

Dziewczynka wyminęła go i zamknęła za sobą drzwi.

Nagła ciemność spowodowała, że nerwowo zamrugał i odruchowo cofnął się pod ścianę, jakby miał do czynienia nie z dzieckiem, ale kimś dużo starszym, silniejszym i nieporównanie bardziej niebezpiecznym. Tak zresztą było, wiedział o tym. Brzmiało to wprawdzie bez sensu, ale nie istniało inne wytłumaczenie. Wiedział też jeszcze coś: należało lepiej wsłuchać się w wewnętrzny głos mówiący, że w końcowej uwadze rzuconej przez dziecko wprowadzane przez Biancę z gabinetu było coś znajomego, co mu przywiodło na myśl kogoś, z kim miał do czynienia bardzo dawno temu i kogo serdecznie nie znośił.



Usłyszał pstryknięcie i silny strumień światła latarki rozświetlił twarz dziewczynki, która zdążyła już cofnąć się i ustawić między nim a drzwiami.

Dziewczynka przekrzywiła głowę.

— Upewnijmy się teraz, że dobrze się rozumiemy — po wiedziała, wyciągając długi nóż z rękawa swego eleganckiego płaszcza. — Słyszysz mnie, Todd?

Crane poczuł mdłości.

— Tak, Marcus. Słyszę cię głośno i wyraźnie.

— Miło mi, że wreszcie na to wpadłeś. — Uśmiechnęła się.

## Rozdział trzydziesty dziewiąty

Poderwałem się do działania i skoczyłem ku drzwiom z imieniem Amy na ustach, ale zrobiłem to o pięć sekund za późno.

— Nie dasz rady tego otworzyć? Jak drzwi wejściowych? — Fisher stał już przy półkach i przeglądał poustawiane na nich książki.

— Z tamtej strony jest kłódka.

Przekartkował kolejny tom i rzucił na podłogę.

— Same prawnicze książki.

— Bo to kancelaria prawnicza — przypomniałem.

— Biuro Lyttona czy Zimmermana, czy jak się tam naprawdę nazywa.

Całkiem zbytecznie kopnąłem w drzwi.

— Albo są na tyle rozsądni, żeby w tak oczywistym miejscu nie trzymać nic trefnego, albo niczego takiego nie mają.

— Jezu, Jack. Co tu jest grane?

Tak naprawdę sam nie bardzo wiedziałem.

— Dwóch uzbrojonych ochroniarzy plus twoja żona — zadumał się Fisher. — Trochę dużo jak na jednego prawnika, nie sądzisz?

Wszystko jedno, czy był prawnikiem, czy emerytowanym profesorem historii, nijak nie mogłem pojąć, co w tym wszystkim robi moja żona. Jedynej miarodajnej odpowiedzi mogłaby udzielić tylko ona.

Zajrzałem w głąb ciągnącej się przez cały budynek odnogi pomieszczenia, ale okazało się, że wszystkie drzwi na korytarz są równie masywne i na głucho zamknięte.

— Dlaczego wymienili te wszystkie drzwi? — nie rezygnował Gary. — Po co im taka warownia? Co oni tu trzymają?

— Gównu mnie to obchodzi, Gary. Muszę się porozumieć z Amy. Cała reszta to już tylko twój problem.

Okno na tylnej ścianie było zabite arkuszem sklejki. Wcisnąłem palce w szparę od spodu i pociągnąłem, ale płyta ani drgnęła. Zrobiłem krok do tyłu i walnąłem w nią obcasem. Po kilku kopnięciach sklejka zaczęła w końcu trzeszczeć.

Fisher nie przestawał buszować w książkach. Zdejmował je kolejno z półek, kartkował i rzucał na podłogę, wyglądał przy tym na coraz bardziej zde gustowanego.

Po kolejnym kopnięciu sklejka pękła w jednej trzeciej wysokości, wymierzyłem jej jeszcze jednego kopniaka, chwyciłem dłońmi i szarpnąłem ku sobie. Pęknięty fragment odłamał się i poczułem podmuch chłodnego powietrza, a jednocześnie z dołu dobiegły mnie stłumione odgłosy ruchu ulicznego. Wczepiłem się palcami w dolną krawędź pozostałej części arkusza i zacząłem ciągnąć. Po kilku szarpnięciach sklejka zaczęła się odrywać i po chwili ział przede mną pusty otwór okienny.

Wetknąłem głowę i wyjrzałem. Na zewnątrz było już ciemno, od parkingu w dole dzieliły nas trzy piętra. Stało tam kilka zostawionych na noc samochodów, na wjeździe wisiał łańcuch, budka cerbera była ciemna. Tuż obok mnie widniał na ścianie ukośny bieg schodów przeciwpożarowych. Tych samych, o których wcześniej wyrażałem się z taką pogardą. Zmieniłem zdanie.

— Wychodzimy — rzuciłem.

Fisher podszedł i wyjrzał przez okno.

— Ani mi się śni — mruknął.

— Możemy nimi zejść na niższe piętro.

— Albo sfrunąć na sam dół.

Na ulicy za parkowaniem dostrzegłem idącą parę, wychyliłem się i wrzasnąłem, ale żadne nawet nie uniosło głowy. Z tej wysokości i przy tej odległości krzyk utonął w ulicznym hałasie.

Wspiąłem się na parapet, chwyciłem wiszący ukośnie odcinek żelaznych schodów i pociągnąłem. Schody opornie zjechały, a ja przytrzymując się lewą ręką framugi, postawiłem prawą stopę na metalowym podeście, potem nie zważając na ostrzegawcze skrzywienie całej konstrukcji, zacząłem ostrożnie przenosić ciężar ciała. W końcu zdjąłem lewą stopę z parapetu i dostawiłem do prawej.

— To długo nie wytrzyma — powiedziałem. — Przygotuj się do szybkiej akcji.

Ruszyłem schodami w dół, zerkając podejrzliwie na kotwy w ścianie. Wszystkie były przerdzewiałe, kilku w ogóle brakowało. Dotarłem do niższego podestu, płosząc przy okazji dużego ptaka, który z głośnym łopotem zerwał się do lotu, powodując, że cała konstrukcja się zakołysała. Okno na niższym piętrze też było zabite płytą.

Zerknąłem w dół, ale piętro niżej sytuacja przedstawiała się identycznie, kotwy w ścianie wyglądały jeszcze bardziej niepewnie i dalsze schodzenie miało się z celem. Szybę w oknie wybito i z ramy sterczały tylko ostre odłamki szkła. Walnąłem łokciem w spoinę framugi, potem jeszcze raz i jeszcze raz.

Spoina puściła i udało mi się odłamać wokół niej na tyle duże kawałki, że powstał spory otwór. Wszedłem dwa stopnie wyżej, zrobiłem zamach nogą i kopnąłem. Od razu pierwsze kopnięcie upewniło mnie, że płyta w oknie jest przegniła i długo nie wytrzyma. Podobnie zresztą jak kotwy w ścianie, które wydały z siebie kolejne ostrzegawcze zgrzytnięcie.

— Szykuj się! — zawołałem w górę.

Płyta w miejscu kopnięcia pękła, kawałek się odłamał, zszedłem na niższy stopień i ponownie kopnąłem. Konstrukcja schodów nad moją głową głośno zgrzytnęła i przez chwilę miałem uczucie nieważkości.

Z okna na górze wychyliła się głowa Fishera. Twarz miał bladą jak papier, a ja, widząc jego minę, uświadomiłem sobie, jak daleko mam do ziemi.

— Jack...

— Poczekaj, aż wejść do środka! — krzyknąłem. — Obu nas nie uniesie.

Oparłem się ręką o framugę, żeby choć trochę odciążyć konstrukcję, drugą pchnąłem trzymający się jeszcze fragment płyty. Odlamał się kolejny kawałek, ale powstały otwór pozwalał już na przecięnięcie głowy i ramion. Obtłukłem co większe kawałki szkła i zginając się w pół, zawisłem na parapecie, z górną połową ciała w środku.

W pomieszczeniu panowały kompletne ciemności; wprawdzie latarkę miałem w kieszeni, ale nie mogłem się do niej dostać. Nie pozostało mi nic innego, jak zaryzykować i wsunąć się do środka. Po chwili górna połowa ciała przeważyła i runąłem do wnętrza, z brzękiem waląc w żeliwny kaloryfer pod oknem.

Pozbierałem się i wystawiłem głowę na zewnątrz, jednocześnie wyłamując resztę płyty.

— Ruszaj! Już! — wrzasnąłem.

W oknie piętro wyżej ukazały się nogi Fishera. Konstrukcja schodów znów złowieszczo zgrzytnęła, tym razem dłużej i głośniej, jakby ktoś na siłę otwierał stare zardzewiałe zawiasy. Usłyszałem też brzdęk i niewielki kawałek metalu poszybował tuż obok mojej głowy.

— Cholera! — wykrzyknął Fisher. — Zaczep się oderwał...

Ostatnie trzy stopnie pokonał jednym skokiem. Chwyciłem go za rękę i zacząłem ciągnąć, ale zdołał się odbić nogami i runął w okno z takim impetem, że kolejny raz poleciałem na podłogę, tym razem na plecy.

\* \* \*

— Jak nam się nie uda stąd wyjść, to cię zabiję — mruknął Fisher, wycierając dłonie z krwi.

W świetle latarki widać było, że cały pokój jest zawalony rupieciami

i kartonami. Ruszyliśmy do wyjścia, przeciskając się wśród gratów na podłodze.

Dotarliśmy do drzwi i desperacko rzuciliśmy się na nie całym ciężarem naszych poobijanych ciał, zaraz jednak ochłonąłem, odsunąłem Fishera i zmobilizowałem się do podjęcia należytego ataku. Pochyliłem się nisko i z całej siły grzmotnąłem w miejsce, gdzie wycięcie na zamek najbardziej osłabia konstrukcję drzwi. Od razu pojawiła się pierwsza rysa, a ja włączyłem do akcji nogi.

Fisher też się przyłączył, drzwi po chwili z trzaskiem puściły, my zaś z impetem wypadliśmy na podest schodów. Pozbieraliśmy się i zbiegliśmy piętro niżej.

Byłem gotów biec dalej aż do parteru, ale Fisher złapał mnie za ramię.

— Co to? — szepnął.

Z dołu dobiegały jakieś dźwięki.

Stanąłem na szczycie schodów i nadstawiłem ucha. Na dole ktoś wyraźnie ciężko dyszał i pojękiwał.

Ale nie mieliśmy wyboru. Sunąc plecami po ścianie, zacząłem schodzić, Fisher robił to samo dwa stopnie wyżej. Dotarłem do podestu na półpiętrze i poświeciłem latarką w dół.

Koło schodów leżał jakiś mężczyzna, a widoczna wokół niego kałuża krwi dowodziła, że właśnie wykrwawia się na śmierć. Ruszyliśmy w dół. Leżący najwyraźniej nas usłyszał, bo z wysiłkiem dźwignął głowę.

To był Todd Crane.

## Rozdział czterdziesty

Było zbyt ciemno, żeby coś widzieć, ale stęchły odór lochu znała aż za dobrze. Madison nie miała wątpliwości, że już wcześniej odwiedziła to miejsce w swoich snach i nocnych majakach. Wprawdzie mężczyzna w jej ciele parł przed siebie w ciemność, ona to jednak odbierała, jakby ją wciągał w przeszłość. Ciemności nie były dla Marcusa problemem. Wiedział, że nie ma się w nich czego obawiać. Wyczuwał, że Madison nie chce go już gościć w sobie, ale wiedział też, że dziewczynka nie ma wyboru. Jeżeli mieliby się rozstać, to prędzej on ją wypchnie. Stawał się coraz bardziej niezależny lub inaczej – z coraz większym trudem powstrzymywała go od zanurzania się w czymś, co było jego żywiołem. Nie przypuszczała na przykład, że rzuci się z nożem na ojca Rachel, a jednak w pewnej chwili tak się właśnie stało i nie mogła nic zrobić, aby temu zapobiec. Wściekł się też, że kobieta, z którą przyszedł się zobaczyć, wcale się nie pojawiła, i uznał to za pułapkę, choć Madison podejrzewała, że cały czas się z tym liczył, a jego wściekłość była częściową pozą i stanowiła element gry, którą wciąż prowadził.

Ręce i płaszcz Madison były uwalane krwią, od razu sobie przypomniała, co wydarzyło się w toalecie przydrożnego parkingu. Teraz już pamiętała, co się stało z tą miłą panią: dziewczynka popchnęła ją

tak, że tamta runęła do tyłu i uderzyła głową w krawędź muszli klozetowej. Łzy popłynęły Madison po twarzy, ale nawet o tym nie wiedziała. Coś ją ciągnęło do przodu, zupełnie jakby ktoś obwiązał jej nogi i ramiona sznurem i wciągał za sobą w coraz gęściejszą chmurę.

Wyglądało, że Marcusa w ogóle nie interesują górne piętra budynku. Od razu pociągnął ją ku drzwiom do piwnicy. Wygadywał przy tym jakieś straszne rzeczy. Czowała odrazę, gdy słuchała tych okropności wypowiedzianych jej głosem, jakby smakował na języku jakieś swoje wspomnienia. Z rzadka używał zabranej Rachel zapalniczki, którą na chwilę sobie przyświecał, po czym znów zapadały kompletne ciemności.

Po pewnym czasie jej kroki zaczęły brzmieć inaczej i Madison odgadła, że dotarli do jakiegoś większego pomieszczenia. Marcus cały czas parł do przodu, zupełnie się nie przejmując, że po drodze mogli na coś wpaść, przewrócić się i poranić.

Jej stopy nadepnęły na coś szeleszczącego, Marcus zatrzymał się i na jej twarzy wykwitł uśmiech, nie to jednak było celem jego wyprawy. W pomieszczeniu znajdowało się coś znacznie dla niego ważniejszego, co chciał znów zobaczyć i co budziło w nim uczucie zbliżone do miłości.

Torował sobie drogę wśród stert połamanych krzesel i kartonów. W pewnej chwili znów przyświecił sobie zapalniczką i Madison zauważyła, że znajdują się w dużej, niskiej, przypominającej schron sali. W kącie widać było przejście prowadzące do następnego ciemnego pomieszczenia, tuż obok majaczył jakiś kształt. Jakby ktoś siedzący na krześle.

Marcus wpatrzył się, wstrzymując oddech i trzymając płonąca zapalniczkę tak długo tuż przy twarzy, że zaczęła parzyć, i Madison głośno krzyknęła. Wtedy ją zgasił i ruszył przed siebie z entuzjazmem kogoś, kto wreszcie odnalazł dawno utracony dom.

\* \* \*

- Musicie ją ostrzec — jęknął słabym głosem Crane.
- Kogo ostrzec? Przed czym?



Kucnąłem przy nim, próbując ustalić rozległość obrażeń. Na razie widziałem tylko dużo krwi i wyglądało to niewesoło.

— Marcus wrócił.

— Co?

— Marcus Fox — wtrącił Fisher, błędnie interpretując moje zaskoczenie. — Ten drugi wymieniony w akcie własności budynku. Ten, o którego losach w ciągu ostatnich dziesięciu lat nie mogłem się niczego dowiedzieć.

— Nie mogłeś, bo od lat już nie żył — jęknął Crane. — Musicie ją ostrzec. Rose.

Moje dłonie znieruchomiały i wlepiłem w niego spojrzenie.

— Rose? Co o niej wiesz? Kto to jest Rose?

Wzrok Crane'a zaczynał mętnieć.

— No wiesz, Rose — wymamrotał. W jego głosie było ciepło, ale i gorycz. — Wszyscy ją znają...

Po twarzy przebiegł mu skurcz i słowa zamieniły się w spazmatyczne zaczerpnięcie powietrza.

— I gdzie on jest? Ten Marcus?

Crane'owi udało się tylko lekko przekręcić głowę.

— Gdzieś na górze?

Z trudem zaprzeczył ruchem głowy. Skierowałem światło latarki w głąb korytarza.

— W piwnicy — domyślił się Fisher.

Chwilę się zastanowiłem. Amy i Zimmermanowie na pewno już dawno się stąd wynieśli i nie było sensu ich gonić.

— Gary, wyjdź na ulicę i zorganizuj pomoc. Tylko się pospiesz. Wezwij karetkę.

— A ty co?

— Rozejrzę się za tym, kto go tak urządził.

— Idę z tobą.

— Nie. On jest w ciężkim stanie. Potrzebna mu pomoc, i to jak najszybciej.

Fisher przepchnął się obok mnie i ruszył w głąb korytarza.

— Nieważne — rzucił. — Chcę wiedzieć, co tam jest na dole.

— Och, na litość boską!

Chciałem ominąć Crane'a, by pójść do wyjścia, ale wczepił mi się palcami w nogawkę spodni.

— Nie daj mu iść samemu. Zginie.

— Todd, potrzebna ci pomoc lekarska.

— Idź za nim. Proszę. — Na moment wróciła mu bystrość spojrzenia. — Inaczej zginie.

Zawahałem się.

— Dociśnij dłonie do rany — poleciłem. — Zaraz wracam.

Ruszyłem w stronę drzwi do piwnicy. Fisher był już na schodach.

— Ty idioto — prychnąłem, kierując światło latarki w dół i oświetlając mu drogę.

Fisher nawet na mnie nie spojrział i tylko przyspieszył kroku. Schody kończyły się półpiętrzem, zwracały i biegły dalej w dół. Pod ziemią mieściło się jeszcze jedno piętro o pełnej wysokości, co mnie zaskoczyło. Wiedziałem, że tego typu lochy spotyka się na starym mieście, ale tutaj?

Schody kończyły się na dużej otwartej przestrzeni. Po lewej znajdowało się wejście do części technicznej pełnej rur i kabli, po prawej widniały otwarte na oścież drzwi. Miały około ośmiu centymetrów grubości i były wyposażone w takie same wzmocnienia jak drzwi na najwyższym piętrze. Poświeciłem do środka latarką i stwierdziłem, że ciągnący się za nimi wąski korytarz ginie w ciemnościach.

Fisher poszedł pierwszy, ja za nim. Mur zewnętrzny wykonano ze starych cegieł i łącząca je zaprawa miejscami przegniła. Natknęliśmy się na rządę wyłączników na ścianie, ale wszystkie nie działały.

— Gary, zwolnij.

Zdawało się, że Fisher mnie nie słyszy, i dogoniłem go dopiero wtedy, gdy zatrzymał się na skrzyżowaniu korytarzy. Promień latarki sięgał na jakieś trzy metry, dalej we wszystkich trzech odnogach panowała ciemność. Zewsząd śmierdziało starym murem i kurzem.

— Nic nie rozumiem. Przecież musimy już być pod ulicą — zastanowiłem się.

W tym momencie dobiegł nas jakiś dźwięk. Cichy, ale szybko narastający jęk.

Zaczęliśmy nasłuchiwać. Jęk z wolna zamienił się w coś pomiędzy szyderczym chichotem a krztuszeniem się, potem wszystko ucichło. Dochodził z lewego korytarza.

— Idziemy — rzuciłem.

\* \* \*

Pociągnął ją do kąta. To coś na krzesle okazało się plastikowym, zawiązanym sznurem workiem, a gdy spowodował, że jej dłonie zaczęły go rozwiązywać, z worka dobył się fetor tak straszny, że niemal wypełniał sobą cały wszechświat. Z oczu pociekły jej łzy, poczuła mdłości, jakby zaraz miała zwymiotować, on jednak nie tylko nie zrezygnował, ale zmusił do rozgarnięcia rozwiązanego końca worka. Wepchnął jej ręce do środka i dotknęła czegoś, co było jego ostatnim domem. Bijący ze środka smród sugerował, że to coś w dotyku będzie ciepłe, ale okazało się zimną galaretowatą masą z tkwiącymi w niej twardszymi kawałkami. Wyczuła też kości. Zmusił ją, by jeszcze bardziej zbliżyła twarz i otworzyła usta, jakby chciał, żeby posmakowała...

Za żadne skarby.

Szarpnęła się do tyłu, gwałtownie zamachała rękami i z krzykiem zatoczyła w ciemność. Zaczęła gorączkowo wycierać dłonie w płaszcz, teraz już zbrukany krwią, błotem i tą straszną odrażającą mazią z worka. Ruszyła z powrotem ku wyjściu, co chwilę na coś wpadając, ale nie zwracała na to uwagi. Natrafiła wreszcie na korytarz i puściła się biegiem. Po chwili dotarła do jakiegoś większego pomieszczenia.

Wiedziała, że wszystkie korytarze wyglądają tak samo i nie miało znaczenia, dokąd ją zaprowadzą. I tak nie było ucieczki przed tym, co tkwiło w niej.

\* \* \*

Gary pobiegł korytarzem w lewo, a ja za nim; zacząłem wyczuwać w powietrzu jakąś nową woń, która przebijała się przez zaduch starych lochów.

Dotarliśmy do końca korytarza i znaleźliśmy się w większym pomieszczeniu. Miało około czterdziestu metrów kwadratowych powierzchni, niski sufit i było zawałone starymi meblami, drewnianymi skrzyniami i mnóstwem rupieci. Cała jedna ściana zabudowana była regałami pełnymi starych książek oprawionych w skórę, choć w większości niewiele grubszych od notesów. Pomieszczenie miało grube betonowe ściany i powietrze w nim było suche jak pieprz, ale tak przesycone obrzydliwym fetorem, że oddychanie nim okazało się znacznie trudniejsze niż zatęchłym wilgotnym powietrzem, w jakim dotąd przebywaliśmy.

Torując sobie drogę wśród zawałających podłogę rupieci, nadepnąłem nagle na coś, co zaszeleściło i z lekkim trzaskiem ustąpiło. Zaczepiłem o coś stopą.

Poświeciłem pod nogi. Wdepnąłem w pakunek w ciemnoszarej folii plastikowej, mający niecałe półtora metra długości i z pół metra szerokości.

— Co to? — spytał Fisher zduszonym głosem.

Znałem odpowiedź, bo wielokrotnie miewałem z czymś takim do czynienia. Worek na zwłoki. Ciągający się przez całą długość zamek błyskawiczny był zabezpieczony taśmą klejącą, którą wzmocniono też spoiny na końcach. Taśma odstawała trochę na krawędziach, jakby worek leżał tu już dłuższy czas. Pochyliłem się i wyciągnąłem rękę.

— Nie otwieraj — syknął Fisher.

Zerwałem taśmę, namacałem suwak i kawałek odciągnąłem. Z wnętrza buchnął straszliwy fetor. Poświeciłem do środka i Fisher z obrzydzeniem odwrócił głowę. Widać było twarz, a właściwie to, co z niej zostało. Denatka musiała długo przeleżeć zamknięta w szczelnym, niemal hermetycznym worku. Za życia miała długie rude włosy, nie była zbyt wysoka i na pewno niezbyt stara. Miała zmasakrowaną twarz, a liczne cięte rany układały się w kształt dziewiątki.

Zasunąłem suwak i z powrotem docisnąłem taśmę, ale odrażająca woń nie ustąpiła. Tego rodzaju fetor to nie zwyczajny smród i mózg nie przestaje wysyłać sygnałów alarmowych nawet wówczas, gdy źródło odoru znika. Wie, że taki fetor oznacza miejsce, do którego nie da się wejść i gdzie nie uda się przeżyć.

Zakładając, że rzeczywiście było to jedyne źródło...

Pamiętałem, że podobny smród prześladował mnie od wejścia do tego pomieszczenia.

— Jack — sapnął Fisher. — Tam.

Poświeciłem i zobaczyłem drugi taki sam worek. Leżał na podłodze, częściowo wepchnięty pod stół. Zacząłem świecić po kątach i po chwili dostrzegłem następny, później jeszcze jeden. Przez moment miałem nawet wrażenie, jakby przed chwilą tu ich nie było i dopiero na naszych oczach zaczęły się objawiać i mnożyć, wypełniając sobą pomieszczenie.

W samym rogu leżał jeszcze jeden worek. Tego nie rzucono jak inne na podłogę, ale posadzono na starym fotelu w kącie pomieszczenia, tuż obok przejścia prowadzącego gdzieś dalej. Przez krótką chwilę wydało mi się, że latarka oświetliła wystającą z worka twarz, ale to tylko fałdy folii plastikowej tak się ułożyły, jakby odzwierciedlając swoją zawartość. Worek był znacznie większy od pozostałych i w odróżnieniu od reszty otwarty.

Fisher wyszarpnął mi latarkę i skierował jej światło w bok. W ścianie widać było kolejne przejście i w ciągnącym się za nim korytarzu coś mignęło.

Coś tam się ruszało. Od podłogi oderwał się cień i rzucił do ucieczki.

Fisher bez wahania rozsunął stertę starych krzeseł i ruszył w stronę korytarza. Zza jego pleców widziałem, jak cień rozmywa się w mroku i znika za załomem.

Ale wcześniej zdążył się ułożyć w sylwetkę małej dziewczynki.

Zaraz potem wszystko znikło i słychać było tylko tupot biegnących stóp. Fisher też zaczął biec, wydając przy tym bezsensowne okrzyki.

Najpierw wołał po imieniu córką, potem Donnę, wreszcie zacząć wykrzykiwać jakieś niezrozumiałe słowa. Pomyślałem, że chyba traci poczucie rzeczywistości i nawet nie bardzo wie, gdzie jest i co się wokół niego dzieje.

Biegając za nim, widziałem tylko zarys jego pleców. Ściany pokrywał grzyb i ociekały sączącą się gdzieś z góry wodą, a podłoga korytarza lekko opadała. Pomyślałem, że pewnie tę jego część poprowadzono podczas wyrównywania terenu jeszcze przed postawieniem budynku, trzymając się oryginalnego poziomu gruntu.

Tylko po co?

Fisher znowu coś krzyknął, ale jego głos zabrzmiał teraz płasko i bezdźwięcznie. Korytarz wyraźnie zaczynał się rozszerzać, echo naszych kroków zmieniało barwę i z głębi przed nami docierały coraz głośniejsze odgłosy strachu i cierpienia. Przed nami wyrosła nagle ściana, jakby korytarz kończył się ślepo, ale tuż przed nią ostro skręcał w prawo.

A potem obie boczne ściany gdzieś się rozstały.

— Gary, zaczekaj! — krzyknąłem.

Mój głos też już brzmiał inaczej. Do Fishera dotarło, że coś się wokół nas zmieniło, bo wreszcie zwolnił. Ale nie tylko brzmienie naszych głosów było inne. Powietrze stało się czystsze i chłodniejsze, a dochodzące z głębi odgłosy nabrały wyrazistości i przeszły w urywany szloch.

Posuwaliśmy się teraz wolniej i ostrożniej. Pięć metrów, dziesięć. Fisher uniósł latarkę i zaczął nią świecić wokół, ale światło rozprasało się w ciemnościach, niczego z nich nie wydobywając.

Usłyszeliśmy krzyk wyraźnie złożony ze słów i Gary błyskawicznie skierował w tę stronę światło latarki.

Z mroku przed nami wyłoniła się jakaś postać. Mała dziewczynka, hipnotycznie wpatrzona w padający na nią snop światła jak zwierzę złapane w nocy w samochodowe reflektory. Posklejane w strąki włosy sterczały jej we wszystkie strony, jakby próbowała je sobie wrywać. Ubrana była w płaszcz poplamiony krwią i czymś ciemnym i lepkiem.

Łzy wyłobily jaśniejsze smugi w grubej warstwie brudu na twarzy, ścięgni na szyi były tak naprężone, jakby miały za chwilę pęknąć.

— Idźcie sobie! — wykrzyknęła histerycznie.

Fisher ruszył w jej stronę, ale dziewczynka zaczęła się młócić pięściami po twarzy i głowie.

— Tu nie wolno wchodzić!

Fisher wyciągnął ku niej ręce.

— Ciii — powiedział. — Już dobrze. Już...

Dziewczynka poderwała głowę i spojrzała na Fishera, jakby nie wiadomo skąd się pojawił. Zamrugała powiekami, a jej głos zabrzmiał niżej i chrapliwie.

— A ty, kurwa, coś za jeden?

— Wszystko dobrze — rzekł Gary, robiąc kolejny krok w jej stronę. — Już wszystko w porządku. Jesteśmy...

Usłyszeliśmy serię pstryknięć i wokół nas zaczęły się zapalać światła. Stopniowo rozpraszały ciemności, zbliżając się ku nam kolejnymi sekcjami.

Dopiero teraz zobaczyłem, że znajdujemy się w ogromnej sali, długiej na co najmniej pięćdziesiąt metrów i szerokiej na czterdzieści, choć trudno było to dokładnie ocenić, gdyż liczne filary z cegieł, podpierające niskie sklepienie, przesłaniały trochę widok. Na środku stał duży okrągły stół otoczony dziewięcioma masywnymi dębowymi fotelami. Przed każdym widniał szklany dzbanek, zmatowiały od grubej warstwy kurzu. Sala posiedzeń, którą jakby żywcem przeniesiono z czasów wiktoriańskich czy średniowiecza, ale równie dobrze z innej planety.

Po obu stronach stołu wznosiły się jak w amfiteatrze rzędy drewnianych siedzeń podobnych do kościelnych ławek. Sala była oświetlona ciągami niewielkich elektrycznych lampek, które rozmieszczono wzdłuż ławek. Całość przypominała wnętrze kościoła.

Fisher z rozdziawionymi ustami rozglądał się wokół, ale dziewczynka odwróciła już od niego wzrok i popatrzyła na wylot korytarza, którym przyszliśmy.

Podążyłem za jej spojrzeniem i stwierdziłem, że dołączył do nas ktoś nowy — wysoki mężczyzna w płaszczu, którego bez trudu rozpoznałem. Ten sam, który w knajpie u Byrona zastrzelił Billa Andersona.

Mężczyzna ruszył wolno w stronę środka sali, ale nie miałem wątpliwości, że nie przyszedł tu podziwiać wielki drewniany stół i dębowe fotele. Wyraźnie nie interesowaliśmy go też ani Gary, ani ja.

Jego celem był ktoś inny.

— Witaj, Marcus — powiedział, wprowadzając nabój do komory trzymanego w prawej ręce pistoletu. — Tym razem przynajmniej będziesz wiedział, że to ja.

Dziewczynka odwróciła się i zaczęła biec w stronę wylotu korytarza po przeciwnej stronie sali.

— Czas umierać! — krzyknął mężczyzna. — Znowu!

Gary rzucił się śladem dziewczynki. Odwróciłem się twarzą do mężczyzny z pistoletem.

— Coś ty za jeden, do cholery? — warknąłem.

Uniósł pistolet i strzelił do mnie jakby od niechcienia, po czym ruszył za tamtymi, nawet się przy mnie nie zatrzymując, by sprawdzić, czy jeszcze żyję.



## Rozdział czterdziesty pierwszy

Madison wbiegła do korytarza i znów otoczyły ją ciemności. Obijając się o ściany na łukach i zakrętach, zawzięcie posuwała się do przodu. Była jak lis nieuchwytny w swojej norze. Właściwie sama już nie wiedziała, kim jest, i prawie nie czuła, że wpada na ściany, potyka się i upada. Jej ciało parło do przodu, biegła więc wraz z nim, choć decyzje rodziły się w głowie, która już do niej nie należała. Nie miała co na nią liczyć ani nie mogła jej ufać.

Przez chwilę słyszała kroki kogoś, kto biegł za nią, i widziała błyski latarki, ale klucząc po korytarzach tak dobrze znanych Marcusowi, a nieznanym Shepherdowi i temu drugiemu, łatwo zgubiła prześladowców. Shepherd. To on podszedł do niej na plaży i wydrążył w jej umyśle jamę na tyle wielką, by pomieściła Marcusa. A teraz zjawiał się, żeby ją zabić. Niewykluczone też, że chciał to zrobić już wcześniej.

Czyli miała rację, że mu nie ufała, prawda?

Potknęła się o coś i runęła jak długa.

Pozbierała się i nagle uzmysłowiła sobie, że wcześniej była już w tym miejscu. Przekonał ją o tym wypełniający pomieszczenie trupi fetor.

Zatem przejście do budynku znajduje się na przeciwległej ścianie.

Była zmęczona kilkudniową włościwą. Właściwie zmęczona życiem. Parła do przodu pędzona strachem, ale ten w niej się nie bał. Marcus nie bał się ciemności, trupów kobiet ani w ogóle czegokolwiek, bo nigdy nie podlegał emocjom. W żadnym ze swoich żyć. Za dużo widział, by kierować się emocjami. Znał te tereny, zanim powstały tu lochy. Znał je, gdy były jeszcze drzewami, skałami i wodą. I należały do niego. Wtedy wszystko było tak, jak sobie tego życzył. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Nie, nie wszystko, sprzeciwiła się Madison.

Przedzierając się przez składowisko rupieci w pomieszczeniu, z żalem pozbyła się płaszcza. Już go nie chciała. Nie chciała mieć na sobie czegoś tak uwalanego krwią. Ale nie tylko z tego powodu. Nie chciała go też dlatego, że nie była sobą, gdy podstępem nakłaniała matkę, by go jej kupiła. Teraz pragnęła przebywać z matką i ojcem, być dla nich tylko sobą. Rzuciła płaszcz na podłogę, ale jej nogi jakby wrosły w ziemię i nie potrafiła zrobić nawet kroku.

Oczywiście! On chciał odzyskać swój notes tkwiący w kieszeni płaszcza. Nie godził się, żeby go tu zostawiła. Był mu potrzebny. Madison poczuła satysfakcję, że go rozzłościła, i wtedy przyszedł jej do głowy jeszcze lepszy pomysł.

Sięgnęła do kieszeni po zapalniczkę, uklękła i przytknęła ją do płaszcza dokładnie w miejscu, gdzie schowała ten idiotyczny notes z jego mętnymi wywodami i rachunkami — tymi wszystkimi bredniami, których nie chciała pamiętać ani rozumieć. Skrzesanie ognia było dla niej trudniejsze niż dla niego, bo jako palacz robił to stale.

Ale się nie poddała. Próbował odciągnąć jej rękę, ale mu nie pozwoliła, jednocześnie napinając mięśnie i tak długo kręcąc kółkiem, aż w końcu wystrzelił płomyk. Przytknęła go do płaszcza, który od razu zajął się ogniem. Wszystko wokół było wyschnięte, więc podpaliła jeszcze kilka starych zakurzonych ksiąg.

Ogień szybko się rozprzestrzeniał. Zaczęła krzyczeć i śmiać się, czując jednocześnie, jak pęka jej głowa.

\* \* \*

Uczucie było takie, jakby ktoś walnął mnie młotem pneumatycznym z doczepioną do końca pinezką. Czubkiem w moją stronę.

Pocisk trafił w lewy bark i okręcił mną tak, że runąłem na pierwszy rząd siedzeń. Od uderzenia głową w ławkę na chwilę pociemniało mi w oczach, a ból, który temu towarzyszył, wydał mi się gorszy od trafienia kulą.

Poleciałem na ziemię i tocząc się, spróbowałem podeprzeć lewą ręką, ale zaboląła mnie tak, jakby ktoś w nią wpychał tłuczone szkło. Chwyciłem prawą ręką drewnianą osłonę ławki i podciągnąłem się.

Krew kapała mi z marynarki i całe lewe ramię paliło żywym ogniem. Bólu po uderzeniu głową już prawie nie czułem, wiedziałem natomiast, że z ramieniem będzie z każdą chwilą gorzej.

Wbiegłem do korytarza na drugim końcu sali, skręciłem ostro w prawo i znalazłem się w całkowitych ciemnościach. Gdzieś z oddali dobiegały jednak krzyki Gary'ego i zacząłem posuwać się w tamtą stronę.

Po kolejnym skręceniu w prawo echo moich kroków przycichło i zmieniło barwę, sygnalizując, że dotarłem do następnej sali o podobnej wielkości do tej, którą przed chwilą opuściłem. Wyjąłem telefon komórkowy i otworzyłem klapkę. Ekran rozjarzył się nikłym blaskiem i choć trochę rozjaśnił najbliższe otoczenie.

Nie było tu ławek i pomyślałem, że pomieszczenie mogło stanowić magazyn lub coś w rodzaju westybulu przed główną salą posiedzeń. Nie zatrzymując się, ruszyłem w stronę przeciwległej ściany.

Znajdujące się na niej drzwi zamykały wejście do następnego krótkiego korytarzyka, który kończył się na korytarzu biegnącym w

poprzek. Czulem, że muszę być już blisko ciągu tuneli, które nas doprowadziły do piwnicy z ciałami.

Skądś dobiegł mnie piskliwy rechot zmieszany z krzykiem — zapewne znów tej dziewczynki — a potem jakiś męski głos. Głos nie należał do Gary'ego, zatem musiał pochodzić od łajdaka, który do mnie strzelił. Chętnie bym się jak najszybciej z nim spotkał.

Przyświeciłem sobie komórką i na ścianie korytarza odchodzącego w prawo dojrzałem ciemne plamy, mogące być śladami krwi. To zdecydowało o wyborze. Po chwili poczułem, że korytarz prowadzi lekko pod górę, a w powietrzu unosi się jakaś nowa woń. Nie tak jak poprzednio fetor rozkładających się ciał — choć tego też nie brakowało — ale coś ostrzejszego i drapiącego w gardło.

Z oddali zaczęły też dobiegać jakieś szmery i w pierwszej chwili pomyślałem, że pewnie zbliżam się do Gary'ego lub tego drugiego. Tyle że w szmerach nie rozpoznawałem ani echa kroków, ani ludzkich głosów.

Robiło się też coraz cieplej.

Po chwili już wiedziałem: czuć było dym. Coś gdzieś się paliło, a słyszane szmery były trzaskaniem drewna zajmującego się ogniem. Zatrzymałem się. Nie miałem ochoty biec wprost w płomienie, nie byłem jednak pewien, czy trafię do wyjścia od drugiej strony, a nie chciałem się znaleźć w pułapce. Pewne natomiast było jedno: im dłużej będę nad tym rozmyślał, tym moja sytuacja będzie trudniejsza. Ruszyłem prosto przed siebie.

Wkrótce poświata wyświetlacza komórki zaczęła się odbijać od przesyczonego dymem powietrza. Schowałem telefon do kieszeni i krzycząc z bólu, ściągnąłem z siebie płaszcz i przykryłem nim twarz. Oddychało mi się trochę łatwiej, ale pieczenie i łzawienie oczu nie ustąpiło. Na wpół oślepiony dymem parłem do przodu, sunąc plecami przy ścianie. Wiedziałem, że nie mam innego wyjścia, choćby moje ciało chciało zawrócić i zacząć uciekać w przeciwną stronę.

A potem nagle zrobiło się jeszcze goręcej i głośniejsze i w blasku płomieni poznałem, że dotarłem do pomieszczenia, w którym widziałem worki ze zwłokami. Tyle że wsunąłem się do niego od drugiej strony, obok fotela ze złożonym na nim workiem. Nic się nie zmieniło i tylko wszystko migotało teraz w blasku płomieni buchających pośrodku pomieszczenia.

Okrażając źródło ognia, sunąłem wzdłuż prawej ściany obok tłących się już książek. Szukając drogi, przedzierałem się przez zwalone sprzęty i skrzynie, by choć trochę odgrodzić się od płomieni.

Po drodze nadepnąłem co najmniej na jeszcze jeden worek ze zwłokami i poczułem pod stopą, jak w środku coś z trzaskiem się zapada. W wejściu do korytarza na drugim końcu dojrzałem zarys ludzkiej sylwetki.

Zawołałem Gary'ego po imieniu, ale albo mnie nie usłyszał, albo udał, że nie słyszy, bo ruszył biegiem w głąb korytarza i znikł w ciemnościach.

\* \* \*

Myślami była teraz nad morzem: biegła wzdłuż brzegu, jak to robiła na zakończenie długiego popołudnia na plaży w Cannon Beach, gdy z mamą i tatą odbywali swój wieczorny spacer. Rodzice przyjaźnie z sobą gawędzili, pogoda była piękna, a ona wyrwała do przodu po bieżni z mokrego piasku, która wyznaczała granicę jej świata. Biegła tak do końca trasy spaceru, potem zawracała i ruszała ku rodzicom, którzy czekali na nią z rozpostartymi ramionami. Tata wtedy kuczał, żeby ją pochwycić w biegu. Zawsze tak robił, chociaż była na to o wiele za duża i oboje o tym wiedzieli. Ale udawali, że tego nie zauważają.

Tyle że jakimś cudem biegła też wzdłuż innej linii wody i kiedy indziej. Ścieżka prowadziła nad Zatoką Elliotta w Seattle, była noc przed dziesięciu laty, a ona uciekała, wiedząc, że ktoś ją/go goni i że ten ktoś bardzo chce ją/go pozbawić życia. Że znaleziono to, co ukrył pod piwnicą swego domu w dzielnicy Queen Anne, a także te inne

ukryte tu, w lochu pod domem w Belltown, i uznano, że jego postępowania nie da się dłużej tolerować. Przyszli po niego tuż przed policją, ale jemu udało się uciec z domu, choć wiedział, że z nimi nie ma żartów i jego ucieczka nie potrwa długo. Marcus zawsze podejrzewał, że decyzję Dziewiątki wymogła Rose — zdobywająca coraz silniejszą pozycję młoda protegowana Joego Cranfielda. Teraz już wiedział, że do wykonania wyroku posłużono się Shepherdem, który to zrobił ledwie miesiąc po ich spotkaniu w barze w Seattle, kiedy to doszli do porozumienia. Zawarli układ, którego szczegóły sam dopracował, bo doświadczenie z poprzednich żyć mówiło mu, że zbierają się już nad nim chmury zapowiadające koniec kolejnego żywota.

Gonili go, a on biegł prosto w pułapkę zastawioną przez Shepherdą.

Na swój sposób nawet go za to podziwiał. Shepherd stanowił naturalny wybór i nikt nie mógł mieć do niego pretensji o to, że działał na dwie strony. Ciekawe natomiast, czy wiedzieli, że po zamknięciu worka Marcus jeszcze żył i skonał, wrzeszcząc i dusząc się w ciemnym lochu.

Tak, chyba musieli o tym wiedzieć.

A to już nie było w porządku. Nie taka była umowa co do okoliczności rozstawania się z kolejnym życiem. Nieważne, ile razy się umiera, śmierć nigdy nie jest czymś przyjemnym. Przyglądając się, jak to dziecko miota się w sytuacji, w której się znalazło, Marcus znów zaczynał czuć spływający na niego mrok. Cienie, z którymi nie był gotów się spotkać po tak krótkim czasie.

Choć w głowie aż huczało od nieustannego ruchu, w rzeczywistości Madison ledwie się posuwała. Mozolnie pełzła na czworakach korytarzem pełnym kurzu i dymu, niemal nic przed sobą nie widząc. Płuca miała tak ciężkie od dymu, jakby ktoś nasypał do nich ziemi. Podczas rozpalania ognia oparzyła sobie rękę i teraz bardzo cierpiała. Nie przypuszczała, że ogień tak szybko buchnie. Nie wiedziała, co ze sobą zrobić, i miała już wszystkiego dość.

Nie ujdzie z tego z życiem, była tego pewna. Dlatego próbowała odnaleźć drogę do innego miejsca gdzieś głęboko w środku, jednocześnie odpychając siedzącego w niej mężczyznę. Wiedziała, jak bardzo chciałby powrócić, ale czuła, że jego uścisk słabnie od chwili, gdy zrozumiał, że ona woli umrzeć, niż żyć tak dalej. Że nie jest gotowa dalej go gościć.

A potem uderzyła w coś głową. Uniosła ją i stwierdziła, że wokół zrobiło się trochę jaśniej. Dało się też wyczuć lekki powiew chłodniejszego powietrza.

W przeblysku świadomości dotarło do niej, że wypełzła już z korytarza i znalazła się w jakimś obszerniejszym pomieszczeniu, a przeskodą, w którą uderzyła, jest pierwszy stopień schodów.

Wczołgała się na niego i z wysiłkiem zaczęła gramolić się na górę. Pozostało jej tylko doczołgać się do szczytu tych schodów i uciec, tym razem już naprawdę. Na górze są drzwi prowadzące na ulicę, a za nimi cały świat. Wydostanie się, zacznie biec i już się nie zatrzyma.

Nie patrząc na boki, wbiegnie na jezdnię pełną samochodów. To przykre rozwiązanie, ale skuteczne. I da nauczkę Marcusowi. Należy się liczyć z kimś, komu próbuje się ukraść ciało, nawet jeśli tym kimś jest tylko mała dziewczynka.

Bo nie wszyscy się na to godzą.

\* \* \*

Cała prawa strona piwnicy zamieniła się już w ścianę ognia. Przepychałem się bliżej środka, brodząc w zawałających podłogę rupieciami i czując, że włosy i płaszcz zaczynają się tlić. Tuż przede mną fragment regału z książkami powoli odchylił się od ściany i gruchnął na podłogę, obsypując mnie deszczem iskier i płonących strzępów papieru i drewna. Wcisnąłem głowę w ramiona i uparcie parłem do przodu. Po chwili dotarłem do wylotu korytarza i strząsałem z siebie płonące resztki.

Dym całkowicie wypełniał korytarz, usłyszałem, że ktoś się krztusi. Zacząłem się przedzierać przez kłęby szarego dymu, czując, jak

wcisła mi się do oczu i zatyka usta. W lewym barku postępowało bolesne stężenie mięśni. Czułem, że całe ramię mam mokre i zaczynam tracić w nim czucie. Uderzyłem w nie prawą pięścią, by pobudzić krew do krążenia i poczuć ból.

Dotarłem w końcu do piwnicy u stóp schodów i niemal się przewróciłem, gdy potknąłem się o jakąś zwiniętą w kłębek i zanoszącą się kaszlem postać.

To Gary. Chwyciłem go za kołnierz marynarki i ciągnąc ku schodom, zacząłem mu wrzeszczeć prosto w twarz. Na tyle go to otrzeźwiło, że zaczął się ruszać o własnych siłach i rozpoczęliśmy wspinaczkę po schodach. Choć byłem tuż za nim, oczy miałem tak zażawione i piekące, że ledwie widziałem jego plecy. Na zakręcie schodów poślizgnąłem się i padłem na kolana. Tym razem Fisher się odwrócił, objął mnie ramieniem i pomógł wstać.

Ostatni fragment schodów pokonaliśmy ramię w ramię, wzajemnie się podtrzymując.

Na górze też było pełno dymu. Gary bez chwili wahania puścił się pędem ku otwartym na oścież drzwiom wejściowych i wypadł na ulicę. Zrobiłem już krok nad ciałem Crane'a, ale pomyślałem, że nie mogę go tak po prostu zostawić. Pochyliłem się i chwyciwszy za przegub, zacząłem go ciągnąć za sobą. W pewnym momencie usłyszałem cichy jęk i zdałem sobie sprawę, że Crane wciąż jeszcze żyje. Czułem, jak z wysiłku wrywam sobie ramię ze stawu, ale nie przestałem ciągnąć aż do chwili, gdy potknąwszy się o próg, runąłem jak długi i owiało mnie zimne nocne powietrze.

Pomyślałem, że chyba już wiem, co to znaczy narodzić się na nowo.

Samochody, nocne odgłosy, błyski świateł. Ludzie przebiegali na drugą stronę ulicy i coś krzyczeli, pokazując sobie rękami budynek, z którego buchały kłęby dymu. W oddali usłyszałem narastające dźwięki syren.

Zostawiłem Crane'a przewieszzonego przez próg i odszedłem parę kroków dalej. Z grupki gapiów docierał do mnie głos Gary'ego, który



coś wykrzykiwał, ale jego samego nie widziałem. Zdaje się, że wszyscy lepiej ode mnie rozumieli, co się dzieje, bo ich reakcje były szybsze i bardziej przemyślane. Wszystko działo się błyskawicznie i tylko z rekonstrukcji zdarzeń wynika, że naprawdę w tym uczestniczyłem.

Człowiek z pistoletem dojrzał dziewczynkę na środku chodnika i ruszył w jej stronę, a wszyscy otaczający ją natychmiast się rozpięchli.

Wszyscy z wyjątkiem Gary'ego, który tylko chwycił dziewczynkę za ramię i zaczął ciągnąć ku jezdni. Widać było, że chce ją odciągnąć z linii strzału i skryć się za wielkiego SUV-a. Próbował ocalić jej życie.

Ale ona zaczęła się wyrywać. Szarpała się, wrzeszcząc i wymachując rękami. Gary też krzyczał.

— Bethany! Czekaj!

Człowiek z pistoletem mierzył prosto w dziewczynkę.

Gary to zauważył, szarpnął ją do tyłu i jednocześnie sam rzucił się do przodu, zasłaniając ją własnym ciałem. W rezultacie pierwszy strzał chybił celu.

Ludzie zaczęli głośniejsz krzyczeć. Zbliżały się wyjące syreny.

Dziewczynka wyrwała się z rąk Gary'ego i odskoczyła. Nie mam pojęcia, co chciała przez to osiągnąć, bo przecież znalazła się w potrzasku i nawet nie próbowała uciekać. Było niemal tak, jakby chciała ułatwić zadanie swemu prześladowcy. Gary musiał wiedzieć, że nie zdąży jej złapać i odciągnąć, ale i tak rzucił się, podciął jej nogi i zasłonił małą własnym ciałem.

Mężczyzna wystrzelił cztery razy.

Wszystkie cztery strzały trafiły Gary'ego, odrzucając go do tyłu.

Mimo to nie wypuścił jej ręki i całym ciężarem runął na małą. Upadli jednocześnie i głowa dziewczynki grzmotnęła w chodnik z takim hukiem, że słyszałem go z odległości sześciu metrów.

W tym momencie ruszyłem już na człowieka z bronią i wpadłem

na niego z całym impetem, jednocześnie usłyszałem kolejny strzał, a potem następne dwa. Spleceni razem runęliśmy na zaparkowany samochód.

Mężczyzna odbił się i potoczył po chodniku, ja zwinąłem się i padłem wprost na krawężnik. Zdołałem jeszcze unieść głowę na tyle, by dojrzeć wjeżdżające w ulicę radiowozy.

Mężczyzna z pistoletem podniósł się, popatrzył w stronę dziewczynki i zobaczył rozlewającą się po chodniku kałużę krwi. Chwilę się wahał, potem odwrócił się na pięcie i wmieszał w tłum.

Wczołgałem się na chodnik i podpełzłem do miejsca, gdzie leżał Gary.

Dziewczynka miała zamknięte oczy i nie ruszała się.

Koszula Gary'ego była czerwona od krwi, kałuża na chodniku szybko rosła.

Moje lewe ramię odmówiło posłuszeństwa i padłem na chodnik tuż obok Gary'ego, z twarzą nie dalej niż pół metra od jego twarzy.

Brakowało mu połowy czaszki z tyłu. Oczy miał otwarte, pozbawione wyrazu i suche.

## Rozdział czterdziesty drugi

— Nie złapaliśmy go — oznajmił męski głos.

Siedziałem na krześle w szpitalnej sali, mając za sobą kolejną serię przesłuchań przez przedstawicieli prawa w Seattle, którym przedstawiłem okrojoną wersję wydarzeń w domu w Belltown. Zrobiłem to nie po raz pierwszy i pewnie nie ostatni. Na twarzy i rękach miałem ślady poparzeń, na głowie łyse placki po spalonych włosach. Ból spowodowany raną postrzałową ramienia, naderwaniem mięśni i założonymi szwami był trudny do zniesienia, mimo że zaaplikowano mi masę środków przeciwbólowych. Dolna część pleców tak mnie bolała, jakbym wpadł pod ciężarówkę, pulsujący ból głowy zadomowił się na dobre i chyba nie miał zamiaru jej opuścić. Krótko mówiąc, nie byłem w nastroju do wysłuchiwania wiadomości. Mimo to spojrzałem w stronę drzwi. Stał w nich Blanchard.

— Mam nadzieję, że czujesz się lepiej, niż wyglądasz — rzekł z uśmiechem.

Wszedł na salę, oparł się o krawędź łóżka, splótł ramiona i wlepił we mnie wzrok. W milczeniu czekałem, aż powie to, z czym tu przyszedł.

— Ale mogło być gorzej — rzucił w końcu. — Jeszcze pół godziny temu wyglądało znacznie gorzej. Masz cholerne szczęście.

— W jakim sensie?

— Mamy już raport balistyczny. Pociski, które zabiły Fishera, i ten, który wydlubali z ciebie, mają wspólne cechy z pociskami znalezionymi w ciele Billa Andersona.

— Przecież zeznałem, że to ten sam facet.

— Zeznałeś. Ale wiesz, co ci powiem? Raporty balistyczne mają jednak większą wiarygodność niż słowa eksplodanta. Zwłaszcza takiego, który był na miejscu każdej strzelaniny ze skutkiem śmiertelnym, jaka się wydarzyła w Seattle w ubiegłym tygodniu.

— I uciekł wam? Rozpłynął się w powietrzu na oczach wszystkich?

— Podobnie jak po zabiciu Andersona i jego rodziny. Najwyraźniej to zawodowiec. Udało nam się jedynie ustalić, że może się nazywać Richard Shepherd. To wszystko. — Wydaje mi się, że nawet nie mrugnąłem, ale widziałem, że Blanchard i tak uważnie mi się przypatruje. — Coś ci to mówi?

— A skąd wiecie, jak się nazywa? — odparłem, kręcąc przecząco głową.

— Zaraz ci powiem. Ale najpierw chciałbym, żebyś coś wyjaśnił. Naprawdę nie wiesz, od czego się zaczął ten pożar w piwnicy? W części magazynowej?

— Nie. — Przynajmniej w tej sprawie nie musiałem nic kręcić. — A dużo się spaliło?

— Dużo. Straż pożarna dopiero teraz próbuje wejść do środka. Wszystko poza murami poszło z dymem. Zakładając oczywiście, że w ogóle coś tam było.

Zrobiłem minę z gatunku „nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia”.

Blanchard uśmiechnął się krzywo.

— Chodź — powiedział. — Odprowadzę cię.

— Jestem wolny?

— Na razie. I powtarzam: masz cholerne szczęście.

\* \* \*

Na korytarzu przekonałem się, że chodzenie jest jeszcze boleśniej-  
sze niż siedzenie. Pielęgniarki ostentacyjnie odwracały głowy, dwóch  
uzbrojonych gliniarzy, którzy od początku siedzieli pod moim poko-  
jem, już zniknęło.

— Nie mamy konkretnych dowodów łączących tego człowieka z  
zabójstwem rodziny Andersona — powiedział Blanchard. — Ale skoro  
wiadomo, że to on zabił Billa i robiącego szum wokół tej sprawy Ga-  
ry'ego Fishera, wszyscy są gotowi przypisać mu także tamte zabój-  
stwa. Nie wiesz przypadkiem, dlaczego zrobił to wszystko?

Potrząsnąłem głową, za bardzo nie mijając się z prawdą.

— A co z tym drugim? Z Toddem Crane'em?

— Leży w prywatnej klinice na drugim końcu miasta. Stracił wia-  
dro krwi i trzeba go było dobrze pocerować, ale się wyliże. Jeszcze  
pójdzie w góry.

— Słucham?

— Po wyjściu z sali operacyjnej głównie o tym marudził swojej  
żonie. O wycieczce w Olympic Mountains. Czyli jego też załatwił She-  
pherd, tak?

— Skoro tak twierdzi.

— Pracuję z tego Shepherd.

Czyste i dające poczucie bezpieczeństwa otoczenie szpitalne nie  
poprawiało mi nastroju. Byłem przygnębiony i choć czułem satysfak-  
cję, bo udało mi się przeżyć, nie bardzo wiedziałem, co jeszcze mam  
czuć. Noc spędziłem bezsennie, leżąc z otwartymi oczami i raz po raz  
odtwarzając z pamięci moment śmierci Gary'ego Fishera. Przekony-  
wałem sam siebie, że Shepherd wpakował w Gary'ego śmiertelne  
pociski, zanim mogłem cokolwiek w tej sprawie zrobić. Tak rzeczywi-  
ście było, ale niewiele mi to pomagało. Człowiekowi zawsze się zdaje,  
że w takich okolicznościach mógł zrobić więcej. Nawet więcej niż w  
sytuacji, która dopiero może się wydarzyć. Sam nie wiem, skąd się to  
bierze.

Blanchard zatrzymał się obok dyżurki pielęgniarek. Drzwi do poko-  
ju naprzeciwko były otwarte, dostrzegłem w nim leżącą dziewczynkę

i siedzące przy jej łóżku dwie osoby. Kobieta i mężczyzna — zapewne rodzice — trzymali się za ręce. Dotarło do mnie, że to ta sama dziewczynka, którą ostatnio widziałem leżącą pod Fisherem, zalaną jego krwią.

— Nic jej nie będzie — uspokoił mnie Blanchard. — Silne wstrząśnienie mózgu, trochę poparzeń i obtarcie naskórka. Chyba częściowo straciła pamięć, bo wielu zdarzeń z ostatniego tygodnia w ogóle nie pamięta. To może być chwilowa amnezja, umysł broni się przed pamiętaniem aktów przemocy, ale psycholodzy uważają, że to trwały zanik pamięci.

— Co ona tam w ogóle robiła?

— W tym kryje się odpowiedź na twoje pytanie. Madison O'Donnell wprowadzono pięć dni temu z rodzinnego letniego domku w Oregonie. Nie bardzo wiadomo, co się z nią przez te pięć dni działo i jak się tu dostała, ale na pewno był w to zamieszany jakiś mężczyzna. Dziecko twierdzi, że to ten sam bandzior, który według twojej wersji próbował ją wczoraj zabić. Rodzice dziewczynki podali jego dokładny rysopis i nawet przekazali nam wizytówkę, którą im zostawił. Stąd znamy jego nazwisko. W każdym razie nazwisko, jakim się posługuje.

Wlepiłem w niego spojrzenie.

— Facet porywa dziecko i potem zostawia swoją wizytówkę? Przecież to bez sensu.

— Też tego nie rozumiem — przyznał Blanchard. — I póki go nie dopadniemy, w naszej sprawie zostanie wiele luk. Ale muszę przyznać, że nie bardzo się palę do wyjaśniania tego wszystkiego.

Przez chwilę przyglądałem się rodzinnej sielance. Dziewczynka miała mocno posiniaczoną twarz, ale się uśmiechała. Rodzice trzymali się za ręce i wyglądali na szczęśliwych. Bardzo szczęśliwych.

Jak fajnie mieć rodzinę, pomyślałem. Takie to niby proste, a jakie trzeba mieć szczęście.

Odwróciłem głowę i dojrzałem na twarzy Blancharda wyraz lekkiego zmieszania.

— Co jest?

— Nie wiem, co z tego już wiesz — powiedział — więc na wszelki wypadek ci powiem. Wczesnie rano była tu żona Fishera z dzieckiem. Przyjechała, żeby zidentyfikować zwłoki. Potwierdziła tożsamość i od razu wyjechała.

— Z dzieckiem? Przecież miał dwoje.

Blanchard wolno pokiwał głową.

— Czyli nie wiesz. Jego córka umarła. Trzy miesiące temu. Spojrzałem na niego z niedowierzaniem.

— Bethany nie żyje?

— Tak miała na imię.

— Ale jak? Co się stało?

Twarz Blancharda nie wyrażała żadnych uczuć.

— Utopiła się. Podczas kąpieli. Fisher... była wtedy pod opieką ojca. Według jego wersji wyszedł na chwilę z łazienki po jej piżamkę, ona w tym czasie poślizgnęła się i uderzyła w głowę. Próbował ją reanimować. Nie udało mu się, choć nie mogła za długo przebywać pod wodą.

— Chyba nie sugerujesz...

— Nikt niczego nie sugeruje. Ale Fisher miał poważne kłopoty w pracy. Został obwiniony o poważne zaniedbania przy realizacji czyjegoś testamentu. W rezultacie w jego życiu zawodowym i osobistym nastąpił głęboki kryzys. Zaczął cierpieć na bezsenność. Parę tygodni po wypadku w wannie nagle zniknął z domu i ślad po nim zaginął. Jego żona nawet nie wiedziała, że jest w Seattle. Nie było go już miesiąc.

Poczułem gwałtowną potrzebę wyjścia stąd. Już nie chciałem być w szpitalu i nie chciałem nic więcej słyszeć.

— Poczekaj tu na mnie — rzuciłem.

Wszedłem do pokoju dziewczynki i cała trójka równocześnie podniosła na mnie wzrok. Oboje rodzice zmarszczyli brwi i spojrzeli na mnie niezbyt przyjaźnie, ale trudno im się dziwić, bo mój wygląd chyba nie zachęcał do nawiązywania kontaktów towarzyskich.

- Pamiętam pana — powiedziała dziewczynka. — Chyba.
- Byłem tam w środku. W tym budynku. Ale jak słyszę, ty niewiele z tego pamiętasz.
- Pokręciła głową. Sprawiała wrażenie z lekka oszołomionej.
- Właściwie to nie.
- A pamiętasz innego mężczyznę? Nie mnie i nie... nie tego z pistoletem. Jeszcze kogoś innego?
- Czy to teraz takie ważne? — obruszył się ojciec. Chciał ją przede mną chronić i nie miałem mu tego za złe. Widziałem też, że jego żona już otwiera usta, by mu przyjść w sukurs, ale nie miałem zamiaru odpuścić.
- Tak, ważne — odparłem. — Madison, pamiętasz go?
- Dziewczynka zamyśliła się, potem skinęła głową.
- Tak, chyba tak — powiedziała. — Był tam jakiś pan. Próbował mnie odciągnąć.
- Ten pan nazywał się Gary Fisher. To on uratował ci życie.

\* \* \*

Blanchard zjechał ze mną windą i odprowadził do wyjścia. Zapaliłem papierosa, a on rozejrzał się po ulicy.

— Nie planujesz wyjazdu z kraju, prawda? Ani opuszczenia granic stanu?

— Nie, nie planuję — mruknąłem.

— To świetnie. Cholerne szczęście to jeszcze nie to samo co czyste konto.

— Niech ci będzie.

Kiwnął głową, potem podniósł na mnie wzrok.

— Nie miej wyrzutów sumienia z powodu tego, co się stało — rzekł z wahaniem. — Moim zdaniem wszyscy zrobili, co do nich należało. A najbardziej Fisher.

— Okay — zbyłem go. Nie miałem ochoty o tym rozmawiać.

— Właśnie. — Kiwnął głową. — No więc... aha, byłbym zapomniał.

Wręczył mi świstek papieru.

— Co to?



— Ktoś to dla ciebie zostawił rano u pielęgniarek. Tylko mi obiecuj, że nie siądziesz dziś za kierownicą.

— Nie siądę dziś za kierownicą.

— Cieszę się. Do zobaczenia, Jack.

Oczekałem, aż wejdzie z powrotem do budynku szpitala, i dopiero wtedy rozłożyłem karteczkę. Chwilę trwało, nim rozpoznałem charakter pisma, bo był jakiś zmieniony. Na kartce widniały tylko dwa słowa:

„Spotkajmy się”.

## Rozdział czterdziesty trzeci

Najpierw wsiadłem do taksówki i pojechałem do Belltown po samochód. Cały teren wokół budynku otoczono taśmą, za którą kręcili się policjanci i strażacy. Przed taśmą co chwila zatrzymywali się przechodnie, którzy próbowali coś dojrzeć, choć nie bardzo wiedzieli, na co mają patrzeć, ale i tak stanowiło to urozmaicenie w monotonii dnia. Z zewnątrz budynek prawie nie ucierpiał, przypuszczałem jednak, że skoro ogień uszkodził fundamenty, pewnie nadaje się już tylko do rozbiórki.

Na pustej działce powstanie najpierw kolejny parking, potem apartamentowiec, który kiedyś ktoś też zburzy, robiąc miejsce pod coś ze świata przyszłości. Rzeczy powstają i znikają i tylko czas niewzruszenie płynie.

Wsiadłem do samochodu i ruszyłem w kierunku Pioneer Square.

\* \* \*

Kupiłem kawę w Starbucksie i wyszedłem na zewnątrz. Wszystkie żeliwne stoliki w kawiarnianym ogródku były wolne. Wybrałem więc taki z dobrym widokiem na plac i ostrożnie usadowiłem się na krzeselku, co okazało się bolesne. Postanowiłem dać jej godzinę i pójść.

Siedziałem, popijając kawę i rozglądając się wokół. Sączące się przez korony drzew światło powoduje, że cały plac ma dziwną, jakby nierealną atmosferę. Jak na centralny punkt wielkiego miasta to dość

niepozorne miejsce. Raptem parę drzew, altana z ławeczkami, ujęcie wody pitnej i słup totemiczny — wszystko jeszcze pomniejszone przez obecność potężnych wieżowców, które jak palisada otaczają plac.

A jednak plac wcale nie sprawia wrażenia małego.

Dobrze mi się siedziało. Po jakimś czasie powlokłem się do środka po następną kawę i wróciwszy do stolika, na nowo podjąłem obserwację kręcących się tu i ówdzie przechodniów — spieszących gdzieś przyjezdnych i miejscowych i wałęsających się bez celu kloszardów, którzy stawali na chwilę na placu, po czym na nic nie patrząc, wlekli się dalej.

Byłem w połowie drugiej kawy, gdy za plecami usłyszałem hurgot odsuwanego krzesła. Odwróciłem głowę i stwierdziłem, że ktoś się do mnie dosiadł.

— Dobry jesteś — rzuciła.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Siedziała przede mną z filiżanką herbaty w dłoni i kręciła jej zawartością, by przyspieszyć stygnięcie. Potem ją odstawiła, zapaliła papierosa i odchyliwszy się do tyłu, spojrzała na mnie.

— Dobrze się czujesz? Fizycznie?

— Przeżyję.

— To świetnie.

— Miło, że tak myślisz.

— Zostałeś zamknięty na górze nie bez powodu. Miałeś tam zostać dla własnego bezpieczeństwa.

— Szkoda, że mi tego nie powiedziałaś. Gary Fisher wciąż by żył.

Wzruszyła tylko ramionami. Wyczuwałem w niej zmianę i to dużo wyraźniejszą niż podczas naszego ostatniego spotkania na molo w Santa Monica. Nawet wczoraj wieczorem wydała mi się mniej odmieniona, choć nie miałem okazji zbyt dobrze jej się przyjrzeć. Była jakoś inaczej uczesana, jej kostium też wyglądał inaczej. Różnił się rodzajem tkaniny, a jego krój przywoływał w pamięci minioną modę.

Ale mogło też chodzić o coś mniej namacalnego. O język ciała, blask oczu, a może jego brak. Szczegóły powodujące, że osoba, na którą patrzysz, różni się od tej, którą znałeś dotąd. Coś, co sygnalizuje, że zmienił się też stosunek do ciebie. W każdym razie wiedziałem, że siedząca przede mną kobieta nie jest moją żoną, podobnie jak nie była nią dziewczyna mieszkająca niegdyś w domu należącym do Natalie. Postanowiłem od tego zacząć.

— Co stamtąd zabrałaś? — spytałem. — Z pokoju w domu Natalie?

— Nic ważnego. Pamiątkę.

— Pamiątkę po czym?

— Moim dzieciństwem. Miałam zwyczaj chować swoje skarby w skrytce pod podłogą.

— I skąd to nagle zainteresowanie?

Zawahała się, jakby się zastanawiała, ile chce mi wyjawić. Albo do jakiego stopnia zasługuję na jej zaufanie.

— Kiedy miałam osiem, może dziewięć lat — powiedziała w końcu — w któryś weekend wybrałyśmy się do Venice na pchli targ. Ja, mama i Natalie. Łaziłyśmy wśród straganów i oglądałyśmy typowe barachło. Wiesz, jak to wygląda. A potem wpadł mi w oko jeden stragan i od razu wiedziałam, że muszę w nim pogrzebać. Leżało na nim pełno zakurzonych staroci.

Sięgnęła do torebki i położyła coś na stoliku. Małą, kwadratową szklaną buteleczkę z wysoką bakelitową zakrętką. Jej zawartość kiedyś musiała mieć jaskraworóżową barwę, dziś już zupełnie niemodną, ale teraz zamieniła się już w suchą, spękaną masę w odcieniach szarości i czerni. Buteleczka miała wypłowiałą etykietę z napisem wykonanym krojem pisma znanym ze starych filmów. Litery układały się w nazwę „Jazzberry”.

— Lakier do paznokci — domyśliłem się.

— Z tysiąc dziewięćset dwudziestego roku, choć wtedy jeszcze nie miałam o tym pojęcia. Wiedziałam tylko, że muszę to mieć. Mama

myślała, że zwariowałam. Potem od czasu do czasu wyjmowałam to ze skrytki i oglądałam. Nie rozumiałam dlaczego. Aż do ukończenia osiemnastu lat.

- I co się wtedy stało?
- Zmieniło się.
- Zaczęłaś wierzyć, że już kiedyś na tym świecie byłaś?
- Czyli zdaje ci się, że coś wiesz, tak?
- Tak naprawdę to nic nie wiem.
- Podobno twój przyjaciel Gary zbudował z niczego całą fortecę, w której chciał się samotnie zaszyć. Nie obraż się, ale może nawet lepiej, że stało się to, co się stało.
- Ale się nie mylił? Choćby w części tego, co mówił?
- Nie wiem, co ci powiedział, ale... ludzie są domyślni. I czasem domyślają się prawdy. W szpitalach psychiatrycznych na całym świecie przebywa mnóstwo zupełnie zdrowych ludzi tylko dlatego, że nie umieli się przymknąć.
- Co to jest Psychomachy Trust?
- A jak myślisz?
- Ma to jakiś związek z nieproszonymi gośćmi.
- Z kim?
- Gary tak nazywał wierzących w to, że mogą wielokrotnie powracać.
- Pewnie zaczerpnął to z twojej książki. Jestem pewna, że gdyby tacy ludzie istnieli, woleliby być nazywani „powtórными gośćmi”.
- A te lochy pod domem w Belltown? Po co to wszystko?
- Spojrzała na zegarek.
- Sala posiedzeń. Zwołuje się je bardzo rzadko, ale kolejne planujemy już niebawem. Dlatego ostatnio spędzałam tu tak dużo czasu.
- Ale przecież wszystko się spaliło.
- Och, i tak byśmy z niej nie skorzystali. Urządzono ją dużo wcześniej. Sto lat temu tak się to odbywało. Dzisiejszy świat już nie jest taki sformalizowany. Trzeba iść z duchem czasu.
- A nie baliście się, że ktoś się na to natknie?

— Natkniesz na co? — parsknęła. — Stół i parę krzeseł? Wielkie rzeczy. Ukrywanie się jest dobre dla amatorów.

— A te trupy?

— To już zupełnie inna sprawa.

— Kim był Marcus Fox?

— W swoim czasie kimś ważnym — odparła niechętnie. — Ale był zawsze... trudny. A podczas jego ostatniej nieobecności jeszcze się to nasiliło.

— Nieobecności gdzie?

— Tam, dokąd się odchodzi. Na przerwę. Niedaleko stąd. Marcus zrobił się okrutny. Zaczął krzywdzić ludzi. Małych ludzi.

— Widziałem. Ale dlaczego tam trzymano te zwłoki?

— Były tam równie bezpieczne, jak zakopane w lesie czy wrzucone do zatoki. Aż do chwili gdy ty i twój kolega zaczęliście wtykać nos w nie swoje sprawy.

— A Fox?

— Stanowił zagrożenie i zajęto się nim.

— Chcesz powiedzieć: zabito. Zrobił to ten sam człowiek, który zastrzelił Gary'ego.

— To ty tak twierdzisz.

— A dlaczego Todd Crane powiedział wczoraj, że w budynku jest Marcus?

— Masz dobry słuch. I za dużo kombinujesz. To może stać się problemem. Ale oczywiście wiemy, gdzie mieszkasz.

Spojrzałem na nią zaskoczony.

— Przecież ty też tam mieszkasz.

— O, nie. Nigdy tam nie mieszkałam, panie Whalen. — Zdusiła niedopałek i obrzuciła mnie chłodnym spojrzeniem. — Myślałam, że już to zrozumiałeś. Nie rozmawiasz z Amy. Rozmawiasz z Rose.

\* \* \*

Może istotnie się tego domyślałam. W każdym razie doszedłem do wniosku, że tylko Amy mogła mi wpisać numer telefonu Rose w dowolnym momencie podczas ostatnich tygodni czy miesięcy, a ja nawet

bym o tym nie wiedział, póki z tego numeru nie zadzwoniła. I zrobiła to, tylko dlaczego? Żeby mnie ostrzec? A może żebym nie wtrącał się do spraw, których nie rozumiem? Pewnie z tego samego powodu napadło na mnie tych dwóch osiłków, kiedy szedłem z Georjem. Płatni wysłannicy na usługach nieproszonych gości, kimkolwiek ci, do cholery, byli.

— To kim jest Rose? — spytałem.

— Tylko nazwaniem pewnego stanu umysłu.

— Nie wierzę w to. I ty chyba też nie. Dlaczego Shepherd próbował zabić tę dziewczynkę? Bo myślał, że Fox w niej siedzi?

— Fox w niej siedział. Ale wygląda na to, że pan Fox opuścił schronienie.

— Tak się zdarza?

— Bardzo rzadko. Była silna. I o wiele za młoda. Niepokojące jest to, jak Marcusowi w ogóle udało się w nią wniknąć. Mógł w tym maczać palce jeden z naszych pomocników. — Wzruszyła ramionami. — Czasem powtórni goście wykazują samowolę. Zdarza się, że są wyrzucani. Będziemy mieć tę dziewczynkę na oku.

Musiała dostrzec nieme pytanie w moim wzroku, bo wzruszyła ramionami.

— Tu tak nie będzie. Powiedziałam ci to już na molo. Ja nią jestem. Podskórnie zawsze nią byłam.

Zauważyłem, jak na Yesler zatrzymuje się szara limuzyna i wysiada z niej starszy Afroamerykanin o nobliwym wyglądzie. Samochód odjechał, a mężczyzna ruszył w stronę placu, podszedł do jednej z pustych ławek i usiadł. Wydało mi się to trochę dziwne.

Odwróciłem od niego wzrok, bo Amy zapaliła następnego papierosa. To dziwne, ale właśnie tego rodzaju drobiazgi najbardziej drażnią. Wprawdzie było jasne, że już jej nie rozumiem, nie chciałem jednak, żeby stąd odeszła. Miałem świadomość, że w chwili gdy to robi, niezależnie od tego, jak się teraz nazywa, zostanę sam jak palec.

Głównie z tego powodu zacząłem ją znów wypytywać.

— Co to była ta maszyna duchów Andersona?

— O tym też nie powinieneś wiedzieć — westchnęła.

— Ale wiem. Co w niej było takiego, że Bill Anderson musiał za nią zapłacić życiem? A także jego żona i syn?

— Wymyślił coś, co pozwalało gołym okiem dojrzeć pewne rzeczy.

— Chryste, Amy, rozmawiaj ze mną po ludzku. Jakie rzeczy?

— Odpowiedź zawarta jest w nazwie, panie Whalen.

— Ta maszyna pozwalała widzieć duchy?

— Dusze. W momencie oczekiwania na powrót. Wszystkie są wśród nas, mieszkają w... Uwierz mi, to było nikomu niepotrzebne urządzenie. Nie przyniosłoby nic dobrego. Lepiej, żeby ludzie o pewnych sprawach nie wiedzieli.

— I dlatego Cranfield zapłacił Billowi za rezygnację z badań.

— Joseph był dobrym człowiekiem. Dzięki zdobytemu majątkowi i pozycji przywykł do stawiania na swoim. Ale nawet ludzie jego pokroju czasem tracą z oczu ogólniejszy obraz. I to był błąd. W tej sprawie powinna się była wypowiedzieć Dziewiątka.

— Z kogo składa się ta Dziewiątka?

— Z ludzi, którzy wszystkim kierują. Podejmują strategiczne decyzje. Pierwsi wśród równych. Wiesz, co mam na myśli.

Nagle zauważyłem, że na ławce usiadł drugi mężczyzna. Nie było widać, żeby porozumiewał się z pierwszym. Po prostu siedział na drugim końcu ławki i patrzył przed siebie. Niedaleko totemu pojawiła się samotna kobieta około sześćdziesiątki.

— Niestety, pieniądze utwierdziły Andersona w przekonaniu, że wpadł na trop czegoś ważnego. Zaczął się chwalić w Internecie, że coś odkrył.

— I to było całe jego przestępstwo? Wzmianki w Internecie?

— Nadejdzie taki czas, że Internet stanie się naszym największym sprzymierzeńcem. Wszystko, co da się powiedzieć, prędzej czy później zostanie powiedziane. Każda najgłupsza brednia zostanie ogłoszona i



dowiedziona i nikt już nie będzie wiedział, co jest prawdą, a co nie. Ale jeszcze trochę nam do tego brakuje.

— I dlatego wasi ludzie zamordowali Andersona?

— Jego rodzinę miano oszczędzić.

— A teraz ja wiem o pewnych sprawach, więc...

— Tylko sądzisz, że coś wiesz. I na pewno zdajesz sobie sprawę, jak brzmi to, co mógłbyś powiedzieć. Czy serio potraktowałeś Gary'ego, kiedy zaczął ci przedstawiać swoje teorie?

— Więc co ze mną będzie?

— Kwestia do dyskusji, tylko że nie z tobą. — Zawahała się. — Nie mogę się zdobyć, żeby zalecić normalny tryb postępowania. Amy wciąż jest jeszcze silna. Ale to minie.

— Nie byłbym taki pewien — burknąłem. — To twarda sztuka.

— Wiemy natomiast o wieczorze w Los Angeles, kiedy rzekomo natknąłeś się na podejrzaną sytuację. Wiemy, że ludzie z wydziału wewnętrznego postanowili przyjąć twoją wersję wydarzeń, bo uwzględnili twoją wcześniejszą wzorową służbę oraz to, że żadna z czterech matek twoich ofiar ich nie oplakiwała. Ale wiemy również, bo wie o tym Amy, że naprawdę wcale tak nie było. Że wyszedłeś wtedy z zamiarem zapolowania na dwóch z tych czterech i po to zabrałeś z sobą broń. Nie wzięłeś za to ani krótkofalówki, ani odznaki służbowej. Zrobiłeś to z premedytacją i Amy może to poświadczyć.

— Nie zrobiłaby tego.

— Ona może nie. Ale ja tak.

— Wtedy ja też zacząłbym mówić.

— Zamknęliby cię w celi z miękką okładziną na ścianach. Twoja kartoteka też by ci specjalnie nie pomogła. Ani twój charakter.

Mówiła to wszystko chłodnym, obojętnym tonem, a ja uzmysłowiłem sobie nagle, że już co najmniej raz z tą kobietą rozmawiałem.

Podczas spotkania z Amy na molo przez pewien czas mówiła do mnie Rose. A wcześniej? Pewnie też. Może było tak od samego początku. Zdarzały się chwile, gdy Amy wydawała mi się trochę dziwna, zachowywała się inaczej niż zwykle. Ale przytrafia się to wszystkim.

Od którego momentu Rose przejęła ster? Czy od utraty dziecka, które zbliżyłoby nas do siebie? Czy ta sprawa mogła spowodować, że Amy zaczęła się kulić w sobie i zostawiła środek sceny dla kogoś innego? Czy też musiało się to stać niezależnie od wszystkiego i było przejęciem władzy przebiegającym zgodnie z wcześniejszym planem?

— To kim jest ten mężczyzna na zdjęciach w twoim telefonie?

Uśmiechnęła się do swoich myśli, uśmiech był czuły i ciepły, a ja pomyślałem, że to uśmiech, po którym mężowi robi się smutno.

— Ma na imię Peter, skoro już musisz wiedzieć.

— Nie pytam, kurwa, jak ma na imię — prychnąłem. — Pytam, kim jest.

— O, przepraszam. Jest programistą komputerowym. Mieszka w San Francisco i ma dwadzieścia cztery lata. Gra na gitarze w zespole i jest w tym bardzo dobry. O takie informacje ci chodzi?

Sam nie wiedziałem, o co mi chodzi.

— Od jak dawna się spotykacie?

— Spotkaliśmy się tylko raz. Przedwczoraj wieczorem w LA.

— I po to tam pojechałaś?

— Tak.

— Ale czegoś nie rozumiem. Skoro nigdy przedtem się nie spotkaliście, to skąd miałaś te jego zdjęcia?

— Jedna z naszych pomocnic go wypatrzyła. Zrobiła mu zdjęcia i mi przysłała. Przeprowadziła z nim wstępną rozmowę, co należy do obowiązków pasterzy. Potem wymieniliśmy się SMS-ami.

— Nadal nic nie rozumiem. Co to znaczy, że go „wypatrzyła”?

Uśmiech nie opuszczał jej twarzy, a ja nagle uprzytomniłem sobie, że od dawna nie widziałem jej tak rozpromienionej. Ciekawe, w jakim stopniu to była moja wina, a w jakim znajdowało się to poza moją kontrolą?

— Dawno temu — powiedziała — żyła pewna młoda, bardzo zakochana kobieta. Kochała się w muzyku jazzowym, niezwykle utalentowanym młodym człowieku, który potrafił tworzyć muzykę jak nikt inny na świecie, który... zresztą sam już wiesz. Ale jednocześnie nie umiał dojść do ładu z samym sobą. Z tym, co się działo w jego głowie. Walczył z sobą, ale za dużo pił i umarł bardzo młodo. Odnalazłam go i tym razem będzie inaczej.

— To znaczy, że jest tutaj? W Seattle?

— Nie. Potrzebuje czasu na adaptację. Ale pierwsze spotkanie przebiegło bardzo pomyślnie. Myślę, że niedługo się tu zjawi. Taką mam nadzieję.

— Kochasz go?

— Zawsze go kochałam.

Naturalnie przez chwilę czułem do niej nienawiść, ale nadal nie chciałem, żeby stąd odeszła. Ostatnie siedem lat życia spędziłem z kimś, kto przynajmniej z wyglądu był kobietą siedzącą teraz przy moim stoliku. Wiedziałem, że gdy od niego wstanę, mój pierwszy krok zaprowadzi mnie do świata, w którym nigdy wcześniej nie byłem.

Zauważyłem, że Amy coraz częściej spogląda w stronę placu. Było na nim już pięć czy sześć osób, których na pozór nic nie łączyło. Tyle że przebywały blisko siebie.

Popatrzyłem na nią, przywołując w pamięci obraz jej twarzy w tyłu różnych sytuacjach.

— Zrobiłaś coś w sprawie urodzin Annabel?

Uśmiechnęła się i przez chwilę zrobiło się inaczej. W jej oczach znów dostrzegłem coś z kobiety, którą kiedyś znałem. Nawet więcej niż coś. Bardzo dużo.

— Sprawdź — parsknęła. — Dziewczyny właśnie teraz szaleją w Banana Republic.

I już znów jej nie było.

— Nie martw się — dodała pospiesznie Rose. — Amy będzie robić wszystko, co do niej należy. Odgrywać jak dotąd swoją rolę w życiu innych osób. Poza tobą nikt niczego nie zauważy.

— A co ze mną?

— A co z tobą? — Rozmowa na mój temat zdawała się skończona. Jej filiżanka była już pusta. Mój czas się skończył.

— Co jest takiego w tym miejscu? W tym placu? Dlaczego panuje tu taka dziwna atmosfera?

— Istnieją miejsca, gdzie mury są cieńsze — odrzekła obojętnie. — To jedno z nich, nic więcej.

Policzyłem ludzi tkwiących nieruchomo na placu. Sprawiali wrażenie obcych sobie ośmiorga przechodniów, którzy przyszli tu podziwiać widoki. Dopiero teraz dostrzegłem, że jednym z nich jest Ben Zimmerman.

— Widzę tylko ośmioro.

— Dziewiątym był Joe — odparła. — Ale wybrano już następstwo.

Skinąłem głowę. Teraz rozumiałem. Uzmysłowiłem sobie, że przeprowadzka do Birch Crossing nastąpiła wkrótce po śmierci Cranfielda, choć pewnie przymiarki trwały już od dawna. Od chwili gdy wyznaczono Amy do roli współwłaścicielki domu w Belltown.

A może jeszcze wcześniej? Może od chwili, gdy jako osiemnastoletnia dziewczyna poznała Shepherda i jej życie zaczęło stopniowo zmieniać kurs.

— I co teraz? — spytałem.

— Teraz cię pożegnają.

Wstała i ruszyła przez Yesler Way w stronę placu.

— Amy! — zawołałem za nią. Kobieta się zatrzymała. — Do zobaczenia.

Nie odwróciła się i ruszyła dalej. Dotarła na drugą stronę i dołączyła

do grupki ludzi pod drzewami. Nikt się do niej nie odezwał, ale wszyscy lekko skłonili głowy. W dalszym ciągu mogli sprawiać wrażenie przypadkowych przechodniów, którzy tylko na chwilę tu przystanęli. W miejscu mającym znaczenie długo przed zbudowaniem tego nowoczesnego miasta i być może stanowiącym prawdziwy powód jego powstania.

Miasta zbudowanego w najdalszej dziczy — miejscu, które przez pewnych ludzi mogło być uważane za swoje. Miejscu specjalnym, czczonym przez nich, zanim do niego trafili. W samolocie do Los Angeles zacząłem czytać o historii tych ziem w książce, którą w drodze na lotnisko kupiłem w księgarni niedaleko stąd. Okazuje się, że kiedyś w tym miejscu była wioska nazywana Djijila'letc, co zwykle tłumaczy się jako „małe przejście”.

Nazwa musiała nawiązywać do miejsca, które da się przedostać. Stąd — dokądś indziej. I być może z powrotem.

Błądziłem wzrokiem po nielicznych nieopadłych jeszcze liściach, które trzepotały na lekkim wietrze. W miejscu, gdzie siedziałem, nie czułem żadnego wiatru, ale tuż za plecami miałem wysoki budynek. I tak było jednak dość chłodno.

Przez chwilę przyglądałem się liściom, wsłuchując się w ich suchy, szeleszczący szmer. Odnosiłem wrażenie, jakby padało i jednocześnie nie padało. Jakby współistnienie tych dwóch stanów było możliwe. Jakby wiele rzeczy i zjawisk mogło obok siebie współistnieć w jednym miejscu, kryjąc się w świetle.

Gdy w końcu oderwałem od nich wzrok i spojrzałem w dół, plac był pusty.

## Rozdział czterdziesty czwarty

Od razu po otwarciu drzwi poczułem, że w domu wszystko jest inaczej. Domy to miejsca pragmatyczne i wolne od sentymentów. Jeśli coś się zmienia w twoich relacjach, dom się od ciebie odwraca i oddala. Zauważyłem, że zniknął komputer Amy, trochę jej książek, część ubrań, i nawet zrobiło mi się przykro, że tak mało stąd zabrała. Jak niewielką cząstkę naszego wspólnego życia uznała za istotną dla swej dalszej egzystencji.

Powlokłem się do salonu, stanąłem na środku i z premedytacją zapaliłem papierosa. Koniec z tymi ograniczeniami, pomyślałem buntowniczo. Okazało się to jednak silniejsze ode mnie, bo otworzyłem drzwi na taras i wyszedłem na zewnątrz.

Ludzie tak naprawdę nigdy nie odchodzą. To najgorsza krzywda, jaką odchodzący lub umierający wyrządzają tym, co zostają. Zostawiają po sobie echo, które ich bliscy słyszą przez resztę życia.

\* \* \*

Tej nocy prawie nie spałem. Nawet gdybym potrafił uciszyć nękającą mnie nawałnicę myśli, rwący ból ramienia i tak nie pozwoliłby mi usnąć. Bolesne było leżenie na plecach, nie pomagało przekręcanie się na bok czy ułożenie się na brzuchu.

Podniesienie się do pozycji siedzącej też niczego nie załatwiało. Niezależnie od pozycji bolało mnie to, że żyję.

Kolejne dni spędzałem na siedzeniu w salonie lub staniu na tarasie. W końcu wyniosłem krzesło na taras i do środka wchodziłem tylko po to, by się zdrzemnąć. Na spanie na zewnątrz było już o wiele za zimno.

Dwa dni później spadł pierwszy śnieg.

Znienacka zaczęło padać w nocy i przegapiłem pierwsze płatki, bo akurat udało mi się wreszcie usnąć. Gdy jak zwykle rano wyszedłem na taras, aż mnie zatkało.

Wszystko po horyzont było białe. Wiedziałem oczywiście, że pod spodem nic się nie zmieniło i wszystko zostało jak dawniej, ale pozornie wyglądało to tak, jakby cały świat został stworzony na nowo. Zawsze tak jest po pierwszym śniegu.

Kocham śnieg. Zawsze kochałem. Czując rozpierającą mnie radość, marzyłem jednocześnie, aby móc wejść do środka, obudzić Amy, otulić ją ciepłym szlafrokiem i pociągnąć na taras. Żebyśmy dygocąc z zimna i wcale o to nie dbając, mogli podziwiać tę wszechogarniającą biel i mieć wrażenie, jakbyśmy się od nowa urodzili na odmienionym świecie, by go uczynić swoim.

I nareszcie się rozplakałem.

\* \* \*

Po południu zacząłem się zastanawiać nad wizytą w miasteczku. Powoli kończył mi się zapas jedynych artykułów, jakie mnie trzymały przy życiu: kawy i papierosów. Zajrzałem do portfela, żeby sprawdzić stan mojej gotówki, i natknąłem się na coś wetkniętego między banknoty. Mały prostokącik z niebieskiego plastiku, niewiele grubszy od karty kredytowej i jakieś sześć razy od niej mniejszy.

Uświadomiłem sobie, że to karta pamięci z aparatu fotograficznego Gary'ego. Wziąłem ją od niego po obejrzeniu zdjęć Amy w Belltown i całkiem o niej zapomniałem.

Zaniosłem ją do gabinetu i wsadziłem do czytnika kart w laptopie.

Na karcie znajdowały się cztery pliki. Pierwsze dwa stanowiły zdjęcia, które już znałem. Wiedząc, kto jest na zdjęciu, i znacznie je powiększając, i tak z trudem rozpoznałem Bena. Nie mogłem mieć do siebie pretensji, że wcześniej na to nie wpadłem. Następny był plik tekstowy w formacie Worda. Kliknąłem na niego dwukrotnie, ale przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Już zaczynałem podejrzewać, że plik jest uszkodzony i laptop się zawiesił, gdy ekran nagle ożył, a ja zrozumiałem, że oczekiwanie wynikało z dużej objętości pliku. Dokument liczył kilkadziesiąt tysięcy znaków i zawierał liczne rysunki i schematy.

Przewinąłem kilkanaście stron, żeby się zorientować w jego układzie, ale okazało się, że brak w nim przemyślanej struktury. Zaczynał się listą osób, które według Gary'ego miały w sobie nieproszonych gości. Znajdowali się na niej Frank Lloyd Wright, Johann Sebastian Bach, Żyd Wieczny Tułacz, Nikola Tesla, Ozyrys, wampiry, budowniczowie Stonehenge, Thomas Jefferson, wszyscy dalajlamowie, a także żyjący po kilkaset lat prorocy ze Starego Testamentu, którzy według Gary'ego oczywiście nie mogli żyć tak długo w jednym ciele. Chodziło o tę samą duszę, wielokrotnie goszczącą w różnych ciałach. Wspominał też o pewnej quasi-historycznej postaci, którą w dniu narodzin odwiedzili trzej mędrcy z „darami” symbolizującymi doświadczenia noworodka z jego poprzednich wcieleń. Według Gary'ego matce chłopca wyjawiono, iż — w przeciwieństwie do tego, co napisano w Piśmie Świętym — Duch Święty zostanie zesłany nie na nią, ale na jej syna.

„Obietnica wiecznego życia. Pan, który jest naszym pasterzem. Ojciec, Syn i Duch Święty”.

— O Boże, Gary — jęknąłem na głos.

A jednak czytałem dalej. Szybko stało się jasne, że nawet w dniu swojej śmierci nie mówił prawdy. Próbował mi wmawiać, że pojawianie się nieproszonych gości jest zjawiskiem odizolowanym. Że chodzi o pojedyncze istoty, które znalazły sposób na przechodzenie z pokolenia na pokolenie, o garstkę odmieńców innych niż wszyscy.



A teraz okazywało się, że sam w to nie wierzył.

Dowodził, że nocne mary wywodzą się ze skandynawskiej legendy *nachtmara* — o demonach przyczajonych na piersi śpiącego — od dawna zaś wiadomo, że senne koszmary to sprawka złych duchów, które starają się przeniknąć do wnętrza człowieka. Twierdził, że pierwotnym zadaniem położnych było wyszukiwanie zdrowych ciężarnych kobiet, których stan pozwalał mieć nadzieję, że ich dzieci przeżyją wiek niemowlęcy i staną się dobrymi gospodarzami dla szukających się do powrotu starszych nieproszonych gości. Przypominając, że nikt nie wie, na czym dokładnie polega działanie środków antydepresyjnych, upierał się, że służą do neutralizowania intruza źle zintegrowanego z organizmem gospodarza. Jego zdaniem to właśnie tłumaczyło, dlaczego początkowo korzystne efekty często ustępują miejsca jeszcze gorszej depresji lub prowadzą nawet do prób samounicestwienia. W tym sensie samobójstwo staje się nieuświadomioną próbą zabicia w sobie intruza — istoty panoszącej się we wnętrzu i przeszkadzającej normalnie żyć. Uważał, że to wyjaśnia skłonność przedstawicieli naszego gatunku do alkoholu i narkotyków, bo używki pozwalają osłabić pozycję głównej osobowości i dają intruzowi szansę na rozwinięcie skrzydeł i chwilowe kierowanie jej zachowaniami. Ów intruz miał z reguły mniejsze opory, większe doświadczenie i był po prostu inną osobą, co prowadziło do niekonwencjonalnych zachowań. Pewnie dlatego Gary rzucił picie i dlatego powiada się, że Bóg ma w opiece pijaków i dzieci. A naprawdę to wcale nie Bóg, tylko ukryty wewnątrz nieproszony gość.

Gary uważał, że w każdym z nas jest ktoś taki, ale tylko niewielu zdaje sobie sprawę z szansy na powrót. By reszta nie zwariowała i mogła czuć się bezpiecznie w swej tożsamości, większość godziła się na odgrodenie i zakneblowanie drugiej duszy. Gdy jednak coś przecieka przez barierę w głowie, mamy do czynienia z poczuciem *déjà vu*, odwiedzamy we śnie miejsca, w których nigdy nie byliśmy, łatwo uczymy się obcego języka czy gry na instrumencie. Pojawia się

przeświadczenie, że powinniśmy być gdzie indziej i wieść inne życie, na co zwykle reagujemy wzruszeniem ramion, uważając, że rozkojarzenie, wewnętrzne rozbitcie, brak panowania nad własnym umysłem to stan normalny.

Gary miał nawet teorię naukową. Twierdził, że wszystko bierze się z umiejętności adaptacji, która jest prawdziwą przyczyną tego, że światem rządzą ludzie. W którymś momencie na trawiastych równinach Afryki czy w zimnych górach Europy nasz gatunek zrozumiał ewolucyjne korzyści płynące z pomieszczenia dwóch dusz w jednym ciele. Współczesna dusza nie zdawała sobie z tego sprawy, ale była zdolna do podejmowania intuicyjnych decyzji — ratujących życie i przez to w naturalny sposób prowadzących do selekcji — na podstawie doświadczeń zdobytych w trakcie wcześniejszych żyć powracających dusz. Ale wiązały się z tym koszty. Kiedy obie dusze współpracowały, człowiek prosperował. Kiedy nie, następował konflikt i człowiek popadał w depresję, stawał się niezdolny do działania, skłonny do aktów przemocy, nadużywał alkoholu. Dlatego niektórzy z nas są chorzy umysłowo, cierpią na dwubiegunową psychozę albo po prostu nie radzą sobie z sobą i w takim stanie wchodzą w świat.

Dusza dokądś na chwilę odchodzi, ale potem wraca i zagnieżdża się w dzieciach i niemowlętach. Później się przyczaja i czeka, cały czas się integrując i zyskując na sile aż do nadejścia właściwego momentu. Dlaczego nikt nie mówi o życiu Jezusa przed trzydziestką? — pytał Gary. I odpowiadał, że dopiero wtedy obcy w jego ciele stał się na tyle dojrzały, by przejąć kontrolę. Każde wewnętrzne zagrożenie dla bezpieczeństwa układu było zawsze szybko neutralizowane i jako przykład podawał postępowanie Salieriego z Mozartem, gdy ten okazywał zniechęcenie i rozczarowanie pracą. Salieri zaczął wtedy w swych dziełach umieszczać odpowiednie wskazówki, ukrywając je pod postacią odniesień do masonerii. No i dlaczego wbrew złożonym obietnicom Jezus nigdy nie wrócił? Zagubił się gdzieś po drugiej

stronie i stał jednym z wielu cieni w tłumie, który być może udałoby się zobaczyć za pomocą maszyny Billa Andersona, gdyby jej nie zniszczono.

I tak dalej, i tak dalej.

Było tego jeszcze dużo więcej — zbyt dużo, by wszystko przeczytać i w to uwierzyć. Nie wiedziałem, co myśleć o kobiecie, która była moją żoną, i co spowodowało jej zmianę. Nie mogłem natomiast uwolnić się od myśli, że coś powiedzianego przeze mnie całe wieki temu na szkolnej bieżni mogło umocnić Gary'ego w jego obsesji. Że moje bezmyślne słowa zapadły mu w pamięć i jak śmierć Donny tkwiły w niej od lat, stopniowo przejmując władzę nad jego umysłem. Zamknąłem plik tekstowy.

Ostatnim z czterech plików było jeszcze jedno zdjęcie. Po otwarciu go na ekranie aż wstrzymałem oddech, bo fotografia przedstawiała Gary'ego z Bethany. Dziewczynka miała przyczepioną do sukienki plakietkę z informacją, że właśnie tego dnia skończyła dwa lata, czyli zdjęcie zrobiono zaledwie parę tygodni przed jej śmiercią. W rączce trzymała wielki kawał tortu urodzinowego, całą buzię i włosy miała w bitej śmietanie. Patrzyła roześmiana na ojca, oczy promieniały radością kogoś, kto ma przy sobie jedną z dwóch wypełniających jej cały świat dusz.

Zdjęcie wykonano w jakimś zamkniętym pomieszczeniu przy użyciu flesza i ostrość była doskonała. Powiększyłem je i przesunąłem tak, by w centrum ekranu znalazły się okolice prawego oka Bethany. Potem przyjrzałem się obrazowi na ekranie i przez chwilę siedziałem zmartwiały.

Bethany miała przy oku niewielką lukowatą bliznę.

Przymknąłem oczy. Tak jak Gary pamiętałem, u kogo już widziałem taką bliznę.

\* \* \*

Do miasteczka poszedłem pieszo, więc zajęło mi to mnóstwo czasu. Brodzenie w piętnastocentymetrowym śniegu powodowało, że

przy każdym kroku czułem nieznośny ból w barku i szyi. Ale nie było rady i musiałem się z tym pogodzić.

W Birch Crossing ruch samochodowy niemal zamarł, ale market Sama był otwarty. Kręciłem się sam wśród regałów, bezmyślnie wodząc wzrokiem po obfитоści wyłożonych towarów. Przez chwilę moja dłoń zawisała nad puszką kiszzonej kapusty, pomyślałem jednak, że właściwie nie wiem, dlaczego ją lubię, i cofnąłem rękę.

Przy kasie siedział sam właściciel. Bez słowa włożył moje skromne zakupy do torby, ale ujrawszy, jak kuśtykam z nią do wyjścia, powiedział:

— Jeśli pan chce, mogę wysłać chłopaka, żeby to dostarczył do domu.

Zatrzymałem się i odwróciłem głowę. Pamiętałem, że ostatnio widziałem go na tym spędzie w domu Zimmermanów. Przyszło mi do głowy, że to bardzo mało prawdopodobne, abym jeszcze kiedyś robił zakupy w Birch Crossing, ale mimo to skinąłem głową.

— Tak, dzięki.

— Powinien pan bardziej dbać o to ramię.

Podczas mozolnej wędrówki z powrotem sens jego słów nie bardzo do mnie docierał, a po dojściu do dróżki prowadzącej do domu moją uwagę przykuło co innego. Brama wjazdowa była otwarta, na śniegu widać było świeże ślady opon.

Obok mojego SUV-a stał jakiś obcy samochód, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Wszedłem do środka, zatrzymałem się u szczytu schodów i spojrzałem w dół.

Na sofie w salonie ktoś siedział.

Zawróciłem do kuchni i nalałem sobie kubek gorącej kawy, bo w drodze ze sklepu niezłe zmarzłem. Z kubkiem w dłoniach zszedłem na dół i usiadłem naprzeciw sofy. Obok intruza stał taki sam kubek z kawą.

— Czuj się jak u siebie w domu — parsknąłem.

— Klucze — powiedział Shepherd, pokazując głową na stolik. — Rose już ich nie potrzebuje.

— Po cholere tu przyjechałeś?

Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął mój pistolet i telefon komórkowy. Położył je na stoliku, potem dołożył jeszcze magazynek.

— Jak twoje ramię?

— A jak myślisz?

— Nie było w tym nic osobistego. Po prostu sprawiałeś wrażenie kogoś, kto mi może stanąć na drodze.

— Zabiłeś mojego przyjaciela.

— Powtarzam. Nie było w tym nic osobistego.

— Już ktoś przed tobą okazał mi dziś troskę o ramię.

— Pewnie zdążyłeś się domyślić, że to miasteczko jest jednym z ich miejsc. Może nawet główną siedzibą.

— Coś mi zaczęło świtać. Przypadkiem trafiłem u sąsiadów na coś, co chyba było uroczystym wstępem do posiedzenia. Mają dużo takich miejsc?

— W tym kraju tylko dwa. W sumie nie ma ich aż tak wielu.

— Kim oni właściwie są?

— Pewnie Rose przedstawiła ci tę ich dętą wersję. Czasem lubi sobie pożartować. To po prostu rodzaj klubu towarzyskiego, panie Whalen. Coś jak masoni. Albo rotarianie. Albo Bohemian Grove. Klub wzajemnej adoracji ludzi sukcesu. Niektórzy dorabiają sobie całą legendę, ale to nic nie znaczy. To jak wiara w Świętego Mikołaja po to, by móc dawać świąteczne prezenty. Nic więcej.

Spojrzałem na przedmioty leżące na stoliku.

— Dlaczego mi to zwracasz?

— Bo to twoje, a wielkie posiedzenie już się odbyło. Widocznie omawiano na nim twoją sprawę.

Znów sięgnął do kieszeni płaszcza, wyjął nieduże pudełeczko i położył obok reszty na stoliku.

— Jeśli się zdecydujesz, podejdź do sąsiadów i porozmawiaj z panem Zimmermanem. On ci przedstawi warunki.

— Wszystko jedno, co tam jest, i tak tego nie zrobię.

— Twoja decyzja — powiedział, wstając.

Patrzyłem, jak wchodzi na górę i skręca ku wyjściu. Przed samymi drzwiami zatrzymał się i odwrócił głowę.

— Chciałbym tylko jedno podkreślić. Ci ludzie nie uznają sprzeciwu. Jeśli im odmówisz, ktoś się tobą zajmie. I w tym też nie będzie nic osobistego.

Potem otworzył drzwi i wyszedł.

\* \* \*

Najpierw wziąłem do ręki komórkę. Z listy kontaktów usunięto numery Amy i Rose i wyczyszczono rejestr połączeń. Oczywiście mógłbym bez trudu wyszukać numer Amy, ale wiedziałem, że mija się to z celem. Jeśli ją jeszcze kiedyś zobaczę, to na pewno nie dlatego, że umówię się z nią przez telefon. Tyle że jeśli nie przez telefon, to jak?

Odłożyłem aparat i sięgnąłem po pudełeczko. Wewnątrz znajdowały się wizytówki ze śnieżnobiałego papieru. Zawierały tylko nazwisko czy może raczej tytuł zawodowy.

Jack Shepherd.

Zostawiłem pudełeczko na stoliku, wyszedłem na taras i zamknąłem za sobą drzwi. Świat sprawiał wrażenie martwego i płaskiego.

Było bardzo cicho.

Przeszedłem przez taras i zszedłem po schodkach, ale zamiast ruszyć dalej, zawróciłem w stronę domu i zacząłem się wspinać, przedzierając się przez ośnieżone zarośla. Trzymając się blisko ściany, obszedłem dom i ostrożnie wyrzałem zza narożnika.

Samochód Shepherd'a nadal stał na naszym podjeździe.

Wcisnąłem magazynek, odbezpieczyłem pistolet i nisko pochyłony podkradłem się do samochodu od tyłu. Potem szybko się wyprostowałem i skoczyłem do drzwi kierowcy. W środku nie było nikogo i tylko na tylnym siedzeniu leżała niewielka czarna walizka.

Zawróciłem w stronę domu, podszedłem do wejścia i stanąwszy z boku, pchnąłem drzwi. Powoli się otworzyły, a ja wyskoczyłem na

środek i stanąłem z wyciągniętym przed siebie pistoletem. Czułem narastający ból w ramieniu. Przytrzymałem drzwi nogą i ostrożnie wszedłem do środka.

W domu panowała cisza. Zrobiłem parę kroków i zatrzymałem się dwa metry od szczytu schodów.

Chwilę później Shepherd wyłonił się z gabinetu Amy i wyszedł na środek salonu. Poruszał się cicho i pewnie, jakby był u siebie. W rękę trzymał pistolet.

Wystrzeliłem trzy razy.

Gdy zszedłem na dół, leżał skulony na plecach, ale wciąż jeszcze żył. Oczy miał otwarte i zdawał się patrzeć na coś czy na kogoś za moimi plecami. Spróbował unieść broń i choć nie sądziłem, by dał radę, wołałem nie ryzykować.

Strzeliłem jeszcze raz i już było po wszystkim.

Stałem nad nim pięć, może dziesięć minut, wpatrując się w rozlewającą się po deskach podłogi kałużę krwi. Zbryzgane krwią były też stolik przy sofie i sama sofa, na której po raz ostatni widziałem Amy w czasach, gdy tu jeszcze mieszkała. Siedziała jak zwykle zanurzona w stosie papierów i miałem w pamięci uśmiech, z jakim patrzyła na mnie, gdy schodziłem do salonu. Dawała mi odczuć, że jestem u siebie w domu. Pamiętałem też słowa wypowiedziane przez Amy/Rose.

„Niepokojące jest to, jak Marcusowi w ogóle udało się w nią wniknąć. Mógł w tym maczać palce jeden z naszych pomocników”.

Zastanowiłem się, czy Rose po to przysłała tu Shepherdę, żeby ostatecznie zamknąć ten rozdział, czy też miała nadzieję, że sprawy potoczą się inaczej. Że może już zacząłem dla nich pracować.

— Zabiłeś mojego przyjaciela — rzuciłem w twarz leżącym u moich stóp zwłokom. Ale w głębi serca wiedziałem, że nie to było rzeczywistym powodem mojego postępowania.

Przyszedł mnie zabić i po prostu nie miałem innego wyjścia.

Nie jestem zabójcą. Nie jestem Jackiem Whalenem. Nie jestem synem mojego ojca. W środku tkwi we mnie coś, co z każdym rokiem coraz usilniej próbuje się wydostać.

\* \* \*

Wyruszyłem w trasę i jadę samochodem Shepherd'a. Z domu zabrałem tylko jedną fotografię. Jestem na niej z kobietą, którą kiedyś kochałem i którą być może znów będę kochał, jeśli ją jeszcze kiedyś zobaczę. Zajrzałem do walizki na tylnym siedzeniu. Była w niej zmiana bielizny i ubrań pewnie na mnie pasujących i sporo gotówki. Myślałem, że zarówno walizka, jak i jej zawartość należą teraz do mnie.

Zmierzcha się i niebo ma ołowianą barwę. Pewnie niedługo znów zacznie padać śnieg. Będę to oglądał w samotności. Ale mam nadzieję, że wtedy znajdę się już daleko stąd. Nie wiem, dokąd zmierzam.

Nigdy tego nie wiedziałem.